

JOHN LE CARRE

JEGO UCZNIOWSKA MOŚĆ

I ja, i publiczność wiemy to,
czego się uczą dzieci w szkole:
Ci, którym wyrządzono zło,
odpłacą pięknym za nadobne.

W.H. Auden

Część I

NAKREĆCANIE ZEGARA

JAK TO CYRK OPUSZCZAŁ MIASTO

Potem, w zakurzonych kątach, gdzie pospołu piją londyńscy pracownicy służb specjalnych, doszło do sporu, kiedy tak naprawdę zaczyna się historia Delfina. Jedna grupa, na której czele stał zatwardziały facet odpowiedzialny za transkrypcję podsłuchów mikrofonowych, poszła aż tak daleko, że stwierdziła, iż prologu należy szukać przed sześćdziesięciu laty, kiedy pod zdradziecką gwiazdą przyszedł na świat „ten gbur nad gbury Bill Haydon”. Mroziło ich na sam dźwięk tego nazwiska. I tak jest do dziś. Albowiem to ten sam Haydon, który, będąc jeszcze w Oksfordzie, został zwerbowany przez Rosjanina Karłę jako „kret” albo „špioch”, czyli agent penetrujący, aby pracować przeciwko nim. I który pod kierownictwem Karli przeniknął do ich szeregów i szpiegował ich przez trzydzieści, a może i więcej lat. I którego ostateczne zdemaskowanie — taka była linia rozumowania — tak pognębiło Brytyjczyków, że doprowadziło ich do nieszczęsnej zależności od siostrzanej, amerykańskiej służby, nazywanej w ich osobliwym żargonie „kuzynami”. „Kuzyni” zupełnie zmienili taktykę gry, powiedział zacierzwieniec — równie dobrze mógłby boleć nad kikssem w krykiecie lub tenisem siłowym. I zupełnie ją sknocili, dorzucili jego podwładni.

Dla mniej kwiecistych umysłów prawdziwą genezą było zdemaskowanie Haydona przez George'a Smileya i w konsekwencji wyznaczenie Smileya na głównego reorganizatora zdradzonej służby, co nastąpiło pod koniec listopada 1973 roku. Jak już George się wkurzył z powodu Karli, powiedzieli, nie było sposobu, by go powstrzymać. Biedny, stary George. Ale jaki wykonał majstersztyk w tak beznadziejnej sytuacji!

Jedna uczona dusza, badacz swego rodzaju, „dłubacz” w ich żargonie, upierał się nawet, mając mocno w czubie, przy 26 stycznia 1841 roku jako naturalnym początku, kiedy to niejaki kapitan Elliot z Marynarki Królewskiej wylądował z desantem na odkrytej mgłą skale o nazwie Hongkong u ujścia Rzeki Perłowej i kilka dni później ogłosił tę ziemię brytyjską kolonią. Z przybyciem Elliota, rzekł ów uczony, Hongkong stał się centrum brytyjskiego handlu opium z Chinami,

a w konsekwencji jednym z filarów gospodarki Imperium. Jeśli Brytyjczycy nie stworzyliby rynku opium, powiedział nie całkiem poważnie, nie byłoby sprawy, nie byłoby żadnych zysków — a więc także renesansu Cyrku, jaki nastąpił po zdradzieckich zagrywkach Billa Haydona.

Tymczasem twardziele — starzy „frontowcy”, szkoleniowcy i oficerowie operacyjni, którzy zawsze pomrukiwali razem — widzieli sprawę jedynie w kategoriach operacyjnych. Wskazali na zręczne podchody Smileya, który odnalazł ślady płatnika Karli w Vientiane, na to, jak rozegrał partię z rodzicami poszukiwanej dziewczyny, jak poradził sobie z opornymi baronami z Whitehall, którzy trzymali łapę na skarbcu operacyjnym i rozdzielali prawa i pozwolenia w świecie tajnych służb. A ponad wszystko wskazali na ów cudowny moment, kiedy dokonał nagłego zwrotu w operacji. Dla nich sprawa Delfina była zwycięstwem kunsztu, niczym więcej. Przymusowy mariaż z „kuzynami” traktowali jedynie jako kolejny przejaw zręczności w długiej i pełnej napięcia grze w pokera. A jeśli chodzi o ostateczny wynik? Niech to cholera, umarł król, niech żyje król.

Spór ten powstaje za każdym razem, kiedy spotykają się starzy kumple, choć rzadko wymienia się nazwisko Jerry'ego Westerby'ego, co jest zrozumiałe. Prawda, że czasami ktoś, przez nonszalancję, sentyment lub może zwykłe zapomnienie, wykopie je na wierzch i wtedy atmosfera psuje się, ale nie na długo. Oto na przykład któregoś dnia młody rekrucik, świeżo po odnowionym ośrodku szkolenia Cyrku w Sarratt — „wylęgarni” w ich żargonie — zaczął trąbić o tej historii w barze dla młodziaków. Już wtedy wprowadzono rozcieńczoną wersję sprawy Delfina do zajęć jako materiał do dyskusji, nawet do gier, i biedny chłopak, wciąż zielony jak groszek, palił się, by wykazać, że wie, w czym rzecz.

— Ale *na Boga* — zaprotestował, delektując się wolnością błazna, którą czasem obdarowuje się kadetów marynarki w mesie oficerskiej — *na Boga*, dlaczego nikt nie docenia roli Westerby'ego w całej sprawie? Jeśli *ktokolwiek* zebrał to do kupy, to właśnie Jerry Westerby. To on był w awangardzie. No co, nie był? Tylko szczerze? — Oczywiście nie wymówił nazwiska „Westerby”, ani imienia „Jerry”, choćby dlatego, że ich nie znał; zamiast tego użył kryptonimu nadanego Jerry'emu na okres sprawy.

Bezpańską piłkę zgarnął Peter Guillam. Guillam jest wysoki i twardy, i pełen wdzięku; rekruci oczekujący na pierwszą robotę mają zwyczaj podnosić ku niemu oczy, jakby spoglądali na greckiego boga.

— Westerby dołał jeszcze oliwy do ognia — stwierdził krótko, przerywając milczenie. — Tyle to mógłby zrobić każdy „frontowiec”, a niektórzy o wiele więcej.

Kiedy do młodziaka dalej nie docierało, Guillam podniósł się, podszedł do niego i, bardzo blady, warknął mu w ucho, że powinien łyknąć jeszcze kielicha, pod warunkiem, że nie rozleje, a potem zamknąć jadaczkę na kilka dni lub tygodni. I wtedy rozmowa zeszała na starego, kochanego George'a Smileya, z pewnością ostatniego z *wielkich*, na to, co porabia w tych czasach i czy jest z powrotem na emeryturze. Wiódł tak wiele żywotów; miał tyle do wspomniania w spokoju, uznali zgodnie.

— Dorobek George'a i nasz to jak pięć do jednego — stwierdził ktoś lojalnie, kobieta.

Dziesięć, przyznali jednogłośnie. Dwadzieścia! *Pięćdziesiąt!* Wśród tych hiperbol cień Westerby'ego litościwie się usunął. W pewnym sensie George'a Smileya również. No cóż, George potrafił wspaniale zagrywać, powiedzieli. Czego innego można się spodziewać po facecie w *jego* wieku?

Być może bardziej realistycznym punktem wyjścia byłaby pewna huraganowa sobota po południu, kiedy to Hongkong leżał pozamykany na cztery spusty w oczekiwaniu na kolejny atak tajfunu. W barze Klubu Zagranicznych Korespondentów tłumek dziennikarzy, głównie z byłych kolonii brytyjskich — Australii, Kanady i Ameryki — wyglupiał się i pił w nastroju gwałtownego próżniactwa, chór bez bohatera. Trzynaście kondygnacji niżej stare tramwaje i piętrowe autobusy pokrywały się błotnisto-brązowym potem z ulicznego kurzu i sadzy pochodzących ze skupiska kominów na Koulun. Niewielkie sadzawki wokół niebosiężnych hoteli kłuł powolny, uporeczywy deszcz. W męskiej ubikacji, która dawała najlepszy widok na port, młody Lukę Kalifornijczyk zanurzał twarz w umywalce, zmywając z warg krew.

Lukę był nieobliczalnym, wielgachnym tenisistą, starym wygą w wieku dwudziestu siedmiu lat, do chwili wycofania się Amerykanów najbardziej płodnym korespondentem w sajgońskiej stajni swego pisma. Jeśli się wiedziało, że grywa w tenisa, trudno było wyobrazić sobie, że może robić coś innego, choćby pić. Człowiek wyobrażał go sobie przy siatce, wyprostowującego się gwałtownie i walącego każdą piłkę na drugą stronę świata albo serwującego asy pomiędzy podwójnymi błędami. Jego umysł, kiedy tak ssał i popluwał, rozpadł się za przyczyną alkoholu i lekkiego wstrząsu na kilka klarownych fragmentów — Lukę pewnie użyłby słowa „odłamków”. Jeden z nich zajęty był myślą o dziewczynie imieniem Ella z baru w Wanchai, przez wzgląd na którą uderzył tę świnię policjanta i poniósł nieuniknione konsekwencje: przy minimalnym użyciu siły wspomniany inspektor

Rockhurst, znany inaczej jako Rocker, w tejże chwili odprężający się po wysiłku, zwałił go z nóg na spokojnie i kopnął sprytnie w żebra. Inna część umysłu skupiła się na czymś, co tego ranka powiedział mu jego chiński gospodarz domu, kiedy wpadł poskarżyć się na hałas gramofonu i został na piwo.

Jakaś sensacja, to na pewno. Tylko jaka?

Lukę przeczekał kolejne nudności i wyjrzał przez okno. Wiatr chłostał dżonki za barierkami, a prom „Star Ferry” przestał kursować. Wysłużona brytyjska fregata stała na kotwicy i pogłoski w klubie głosiły, że Whitehall ją sprzedaje.

— Powinna wyjść w morze — wymamrotał nieskładnie, przy pominając sobie okrucieństwa marynarskich mądrości, których liźnął pod czas swych podróży. — Fregaty wychodzą w morze w czas tajfunu. Tak jest.

Pod zwałami chmur wzgórze nabrały ciemnosinej barwy. Sześć miesięcy temu mruczały z zadowolenia na ten widok. Port, zgiełk, nawet sklecone drapacze chmur, wspinające się pod górę od brzegu *morza* aż *po sam Peak* — po Sajgonie Lukę żarłocznie obejmował wzrokiem całą scenę. Ale dziś widział tylko kołtuński, bogaty, brytyjski kawałek skały w rękach zgrai spasionych handlarzy, których horyzonty kończyły się na zarysach ich własnych brzuchów. Kolonia stała się dla niego dokładnie tym, czym była dla innych dziennikarzy: pasem lotniska, telefonem, pralnią, wyrkiem. Czasem — choć nigdy na długo — kobietą. Miejscem, gdzie nawet doświadczenie trzeba było sprowadzać. Jeśli zaś chodzi o wojnę, od dawna będącą jego nałogiem, Hongkong był od niej równie daleko co Londyn czy Nowy Jork. Jedynie giełda wykazywała zdawkową wrażliwość, ale w soboty i tak była zamknięta.

— Przeżyjesz to, mistrzu? — spytał zarośnięty kowboj z Kanady, podchodząc do umywalki obok.

— Dzięki za troskę, kolego. W życiu nie czułem się lepiej — odparł Lukę swoim najbardziej napuszonym angielskim akcentem.

Postanowił, że musi sobie przypomnieć, co powiedział mu tego ranka przy piwie Jake Chiu, i nagle, niczym dar z niebios, otworzyła mu się klapka.

— Mam! — wrzasnął. — Jezu, kowboju, przypomniałem sobie! Lukę, ty pamiętasz! Główka pracuje! Chłopaki, słuchajcie, co Lukę ma wam do powiedzenia!

— Lepiej sobie odpuść, mistrzu — poradził mu kowboj. — Dzisiaj los ci nie sprzyja. Nieważne, co to jest, odpuść sobie.

Ale Lukę otworzył kopniakiem drzwi i z rozpostartymi rękoma wpadł do baru.

— Hej, chłopaki!

Nie odwróciła się ani jedna głowa. Przystawił dłonie do ust. — Słuchajcie, zapijaczone mordy, mam nowiny. To fantastyczne, dwie butelki szkockiej dziennie, a umysł jak brzytwa. Uciszcie się.

Widząc, że nic z tego, chwycił kufel i walnął nim kilkakrotnie w poręcz przy kontuarze, rozlewając piwo. Nawet wtedy tylko karzeł ledwie zwrócił na niego uwagę.

— Co się stało, Lukie? — spytał jękliwie swoim pedalskim ja zgotem z Greenwich Village. — Czy Szycha znów dostał czkawki? Nie zniósłbym tego.

Szycha nazywano w klubie gubernatora, a karzeł był szefem redakcji Luke'a, brzuchatym, ponurym stworem ze zmierzwionymi włosami, które spływały mu czarnymi kosmykami na twarz, i umiejętnością wyskakiwania jak spod ziemi u czyjegoś boku. Rok temu dwaj Francuzi, rzadko tu widywani, omal go nie zabili za rzuconą mimochodem uwagę na temat początków bałaganu w Wietnamie. Zawlekli go do windy, złamali mu szczękę i kilka żeber, po czym zostawili w postaci bezładnej kupy na podłodze i wrócili dokończyć drinki. Wkrótce potem podobne lanie sprawili mu Australijczycy za czyniony im głupi zarzut o pozorne zaangażowanie w wojnie. Zasugerował, że Canberra weszła w układ z prezydentem Johnsonem, żeby trzymano Australijczyków w Wung Tau, gdzie było jak na pikniku, podczas gdy Amerykanie bili się naprawdę gdzie indziej. W odróżnieniu od Francuzów Australijczycy nie zaprzęтали sobie głowy windą i wpięprzyli karłowi tam, gdzie stał, a gdy upadł, dostał jeszcze dokładkę. To go nauczyło, kiedy w Hongkongu należy się trzymać z dala od pewnych ludzi. W czasie gęstej mgły, na przykład. Albo kiedy dostawy wody skracano do czterech godzin dziennie. Albo w huraganową sobotę.

Kiedy indziej klub był dość pustawy. Mając na uwadze swój prestiż, najlepsi korespondenci omijali to miejsce z daleka. Paru biznesmenów, którzy przychodzili dla atmosfery, jaką stwarzali pismacy, parę dziewczyn, które przychodziły dla facetów. Kilku niedzielnych speców od wojny z telewizji w podrabianych mundurach polowych. I w swoim stałym kącie straszliwy Rocker, inspektor policji, eks-Palestyńczyk, eks-Kenijczyk, eks-Malaj, eks-Fidżyjczyk, nieubłagany stary wyjadacz z piwem, zestawem lekko zaczerwienionych kłykci i sobotnio-niedzielnym wydaniem „South China Morning Post”. Rocker, mawiali ludzie, pochodził z wyższych sfer. A przy wielkim stole pośrodku, który w dni powszednie stanowił rezerwat United Press International, pokładali się, oddając się z lubością swojemu cotygodniowemu turniejowi, członkowie Konserwatywnego Klubu Kręglarzy Anabaptystów, którym przewodził pstrokaty stary Australijczyk

Craw. Celem rywalizacji był rzut zgniecioną serwetką przez całą salę i ulokowanie jej na stojaku z winem. Ilekroć ktoś wygrywał, współzawodnicy kupowali mu butelkę i pomagali ją wypić. Stary Craw mruczał komendy do rzutów, a posunięty w latach Szanghaj ski kelner, jego ulubieniec, osowiale porządkował teren i podawał nagrody. Tego dnia gra nie była zbyt zacięta, niektórym członkom nie chciało się nawet rzucać. Niemniej to tę grupkę Lukę wybrał na swoją publiczność.

— Szycha ma czkawkę! — upierał się karzeł. — Koń żony Szychy ma czkawkę! Stajenny konia żony Szychy ma czkawkę! Córka stajennego konia...

Podszedłszy do stołu, Lukę wskoczył nań z trzaskiem, zbijając kilka szklanek i uderzając głową o sufit. Obramowany w ten sposób w półprzysiadzie na tle południowego okna wydał się wszystkim niewspółmiernie wielki: ciemna mgła, w niej mroczny cień Peaku, i ten olbrzym wypełniający bez reszty pierwszy plan. Ale grali i pili dalej, jakby go nie zauważyli. Tylko Rocker rzucił okiem w jego kierunku, raz jeden, po czym polizał ogromny kciuk i odwrócił stronę gazety.

— Trzecia runda — zarządził Craw swoim pełnym australijskim akcentem. — Brat Kanada przygotowuje się do rzutu. Czekaj, flejo. Teraz, rzucaj.

Zgnieciona serwetka poszybowała w kierunku stojaka, nabierając wysokości. Napotkawszy drzazgę, zawisła na moment, po czym spadła na ziemię. Zachęcony przez karła, Lukę zaczął tupać po stole i wyrzucił jeszcze kilka szklanek. W końcu złamał opór widowni.

— Wasze Łaskawości — powiedział Craw z westchnieniem. — Wysłuchajcie, proszę, tego młodzieńca. Mniemam, że chce się z nami układać. Bracie Lukę, dokonałeś tego dnia kilku aktów agresji i jeszcze jeden wywołał nasze srogie niezadowolenie. Przemów jasno, a zwięźle, nie zaniedbując żadnej sprawy, choćby najmniejszej, a po tem nie strzęp więcej języka.

W niestrudzonych pogoniach za legendami o sobie nawzajem stary Craw był ich starym marynarzem*. Wytrząsł ze swoich szortów więcej piasku, mawiali, niż większość z nich kiedykolwiek podepcze, i mieli rację. W Szanghaju, gdzie zaczęła się jego kariera, był za przynieś-wynieś oraz za redaktora działu lokalnego w jedynym w tym porcie angielskim dzienniku. Od tamtej pory donosił o walce komunistów przeciw Czang Kaj-szekowi, Kai-szeka przeciw Japończykom i Amerykanów przeciw praktycznie wszystkim. Craw dawał im poczucie historii w tym mieście bez korzeni. Jego sposób wysławiania

* Aluzja do wiersza Samuela Coleridge'a pt. *Pieśń o starym marynarzu* (przyp. tłum.).

się, który w czasie tajfunu nawet najwytrwalsi mogli uznać — co zrozumiałe — za wkurzający, był kacem po latach trzydziestych, kiedy to większość dziennikarzy na Wschodzie pochodziła z Australii, a żargon ich środowiska, z jakiegoś powodu, z Watykanu.

Tak więc Lukę, dzięki staremu Crawowi, wreszcie to wykrztusił.

— Panowie! Karzeł, ty cholerny Polaku, puść moją nogę! Pano wie — przerwał, by wytrzeć usta chusteczką — budynek zwany High Haven został wystawiony na sprzedaż, a szlachetny Tufty Thesinger zwinął skrzydełka i poleciał do domciu.

Żadnej reakcji, ale i tak niczego wielkiego się nie spodziewał. Dziennikarze nie są skłonni do wydawania okrzyków niedowierzania, a nawet zdziwienia.

— High Haven — powtórzył Lukę dobitnie — jest na sprzedaż. Panu Jake'owi Chiu, wziętemu handlarzowi nieruchomościami, wam bardziej znanemu jako mój chmurny gospodarz, rząd Jej Królewskiej Mości zlecił *pozbycie się* High Haven. To znaczy poszukiwanie kupca. Odwal się, ty polski skurczybyku, bo cię zabiję!

Karzeł ściał go z nóg, tak że tylko zwinnie skok i rozpaczliwa młócka ramionami w powietrzu uratowały go od upadku. Z podłogi Lukę obrzucił napastnika nowym stekiem przekleństw. Tymczasem Crawl odwrócił swoją wielką głowę i wpił w niego groźnie wilgotne oczy, co zdawało się trwać bez końca. Lukę zastanawiał się, przeciw której z wielu zasad Crawl zgrzeszył. Pod wieloma maskami, które przywdziewał Australijczyk, krył się mędrzec i samotnik, o czym wiedzieli wszyscy siedzący wokół stolika. Wymuszona oschłość skrywała miłość do Wschodu, która czasami zdawała się dopiekać mu bardziej, niż mógł znieść, tak że znikał z oczu na całe miesiące, jak posępny słoń, który rusza własną drogą, dopóki znów nie nadaje się do życia w stadzie.

— Wasza Łaskawość, czy nie zechciałbyś ochłonąć? — odezwał się w końcu Crawl, odrzucając do tyłu głowę wielkopańskim ruchem. — Toczysz pianę. Powstrzymaj się, proszę, i przemów słowem czy stym niczym woda zdrojowa. High Haven to gniazdko szpiegów. Od lat. Nora majora Thesingera o kocich oczach, kiedyś w Strzelcach Jej Królewskiej Mości, obecnie w hongkongskim oddziale Yardu. On nie zwinąłby skrzydełek, to sokół, a nie kanarek. Monsignor — to do szanghajskiego kelnera — pokrzep tego młodzieńca napitkiem, bo bredzi.

Wymamrotał kolejną komendę do rzutu i klub powrócił do swych intelektualnych rozrywek. Prawdę powiedziawszy, rewelacje Lukę'a na temat szpiegów nie były niczym nowym. Nie od wczoraj miał reputację szpiegowskiego mitomana i na jego informacje niezmiennie machano ręką. Od czasów Wietnamu ten głupek widział agentów

w każdej szafie. Wierzył, że świat jest w ich szponach i większość wolnego czasu, pod warunkiem, że był trzeźwy, spędzał na waleśnianiu się wśród batalionów kiepsko zamaskowanych obserwatorów Chin, a nawet gorszych typków, od których roilo się w amerykańskim konsulacie na wzgórzu. I gdyby nie był to tak nudny dzień, sprawa z pewnością na tym by się zakończyła, a tak karzeł nie ominął okazji do rozerwania się:

— Powiedz nam, Luke — poprosił, wykręcając dziwacznie uniesione ręce — sprzedają High Haven z zawartością czy bez?

Za to pytanie nagrodzono go oklaskami. Czy High Haven było więcej warte ze swoimi sekretami czy bez nich?

— Czy sprzedają go razem z *Thesingerem*? — dorzucił południowoafrykański fotoreporter swoim śmiertelnie poważnym zaśpiewem, i znów parsknęli śmiechem, choć nie aż tak przyjaznym. Ów facet był postacią niepokojącą; wychudły, o włosach obciętych na jeża i twarzą podziurawionej jak pola bitew, które lubił zwiedzać. Pochodził z Kapsztadu, ale oni zwali go Szwab Śmierciolub. Mawiali, że pochowa ich wszystkich, bo snuje się za nimi jak karawaniarz.

Pod nawałem historyjek o majorze Thesingerze i jego metodach kamuflażu, w których opowiadanie włączyli się wszyscy prócz Crawa, sprawa Luke'a zeszała na kilka minut na drugi plan. Przypomniano, że Thesinger pokazał się po raz pierwszy w dokach Kolonii durnie zakamuflowany jako importer, by sześć miesięcy później pojawić się zaskakująco na liście personelu Sekcji Współpracy i, wraz ze swoją drużyną bladych urzędników i nadzianych, dobrze odżywionych sekretarek, wprowadzić się w ramach wymiany pracowników do wspomnianego już gniazda. Zrelacjonowano szczegółowo jego lunchy *tete a tete*, na które, jak się teraz okazało, zaprosił swego czasu każdego ze słuchających dziennikarzy. I które kończyły się pokretnymi propozycjami nad brandy, nie wyłączając takich ofert jak: „Posłuchaj, chłopie, jeśli przypadkiem styknąłbyś się z jakimś ciekawym Kitajcem z drugiej strony rzeki, no wiesz, z takim, co ma *dojścia* — kapujesz? — to pamiętaj: High Haven!” Po czym przychodziła kolej na magiczny numer telefonu, który „dzwoni od razu na moim biurku, żadnych sekretarek, magnetofonów, niczego takiego, rozumiemy się?”, numer, który co najmniej sześciu z nich miało zapisany w notesach. „Dobra, machnij go na mankiecie, udawaj, że to jakaś babka, dziewczyna, czy ktoś taki. Już? Lewy brzeg, pięć-zero-dwa-cztery...”

Odśpiewawszy cyfry chórem, zamilkli. Gdzieś zegar wybił piętnaście po trzeciej. Luke wstał powoli i otrzepał kurz z dżinsów. Stary kelner porzucił stanowisko przy stojaku i sięgnął po menu w nadziei, że ktoś może coś zje. Na chwilę opanowało ich uczucie niepewności.

Dzień był stracony. Stracony już przy pierwszym ginie. W tle rozległ się niski pomruk — to Rocker zamawiał obfity lunch.

— I do tego zimne piwo, *zimne*, słyszysz? Baaaardzo ziiiiimne. Migiem. — Inspektor miał swój sposób na tubylców i mówił tak za każdym razem. Znow zapadła cisza.

— No i masz, Lukę — odezwał się karzeł, odsuwając się. — W ten sposób zdobyłeś Nagrodę Pulitzera. Gratulacje, chłopie, Sensacja Roku.

— A wypchajcie się wszyscy — rzekł Lukę od niechcenia, ruszając w kierunku baru, gdzie siedziały dwie blade dziewczyny, córki wojskowych na łowach. — Jake Chiu pokazał mi przecież list ze zleceniem, no nie? W tej cholernej służbie Jej Królewskiej Mości. Z tym cholernym herbem u góry, lwem pieprzającym kozła. Cześć, laleczki, pamiętacie mnie? Jestem tym miłym panem, który kupił wam na jarmarku watę cukrową.

— Thesinger nie odpowiada — zaintonował żalobnie Szwab Śmierciolub przy telefonie. — Nikt nie odbiera, ani Thesinger, ani żaden z jego ludzi. Odłączyli linię.

Zaferowani, a raczej śmiertelnie znudzeni, nie zauważyli, że Śmierciolub popada w zadumę.

Craw siedział dotąd rozwalony bez ruchu jak martwy dodo. Teraz podniósł gwałtownie głowę.

— Wykręć jeszcze raz, głupku — rozkazał opryskliwie jak musz trujący sierżant.

Wzruszywszy ramionami, Śmierciolub ponownie wykręcił numer Thesingera, a kilku z nich podeszło, by popatrzeć. Craw się nie ruszył, patrzył z daleka. Były dwa aparaty. Śmierciolub spróbował z drugiego, ale bez rezultatu.

— Połącz się z centralą — rozkazał Craw ze środka sali. — No, nie stój tam jak wampirzyca w ciąży. Dzwon na centralę, afrykański gorylusie!

Numer odłączony, powiedział telefonista.

— Od kiedy? — spytał Śmierciolub w słuchawkę.

Informacja zastrzeżona, odpowiedział telefonista.

— Człowieku, to może oni mają jakiś nowy numer, co? — Śmierciolub zawył do nieszczęsnego telefonisty. Nikt jeszcze nie widział, żeby się tak przejmował. Dla Śmiercioluba życie było jak wszystko, co się dzieje po drugiej stronie wizjera — tę pasję należało złożyć na karb tajfunu.

Informacja zastrzeżona, powiedział telefonista.

— Dzwon do Płytkiego Gardła — rozkazał Craw, całkiem już rozeźlony. — Dzwon do wszystkich ważniaków w całej Kolonii!

Smierciolub pokręcił niepewnie długą głową. Płytkie Gardło był oficjalnym rzecznikiem prasowym rządu, obiektem powszechnej nienawiści. Zagaić o cokolwiek i facet już miał wściekłą minę.

— Daj mi to — powiedział Craw, podnosząc się. Odsunął ich na bok, by dostać się do telefonu, i rozpoczął ponure umizgi do Płytkiego Gardła: — Oddany panu Craw, do usług. Jak się miewa nasza Eminencja na ciele i duszy? To wspaniale, po prostu wspaniale, proszę pana. A żona i dzieci? Ufam, że mają apetyt? Żadnego tyfusu ani szkorbutu? To bardzo dobrze. Hmm, a może pan łaskawie by mnie oświecił, dlaczego, do cholery, Tufty Thesinger zwinął skrzydełka? — Wpatrzyli się w Crawa, ale jego twarz znieruchomiała jak skała i nic nie można było z niej wyczytać.

— Wzajemnie, drogi panie — prychnął na zakończenie i trzasnął słuchawkę na widelki z taką siłą, że zatrzęsł się stół. Po czym odwrócił się do szanghajskiego kelnera. — Monsignor Goh, niech pan będzie łaskaw zamówić dla mnie osła na benzynę. Wasze Łaskawości, ruszcie tyłki, wszyscy!

— Po cholere? — spytał karzeł, mając nadzieję, że i jego dotyczyło to polecenie.

— Po informacje, ty zasmarkany kardynałku, po informacje, wy rozpustne, zapijaczone Eminencje. Po bogactwo, sławę, kobiety i długowieczność!

Żaden z nich nie mógł rozszyfrować, co oznacza ten kwaśny nastrój.

— Ale co takiego złego powiedział Płytkie Gardło? — spytał niechlujny kowboj z Kanady, zaintrygowany.

— No właśnie — powtórzył za nim jak echo karzeł. — Co on powiedział, brachu?

— Powiedział *no comment* — odrzekł z wielką godnością Craw, jakby te słowa były najohydniejszą plamą na jego dziennikarskim honorze.

I tak ruszyli aż na Peak, zostawiając w spokoju milczącą większość gości: oporny Szwab Smierciolub, długi Luke, a za nimi niechlujny kowboj z Kanady, rzucający się w oczy przez swoje rewolucyjne, meksykańskie wąsy, karzeł, który jak zawsze przykleił się do pozostałych, i na końcu stary Craw oraz dwie córki wojskowych, a zatem sesja plenarna Konserwatywnego Klubu Kręglarzy Anabaptystów, dodatkowo w towarzystwie dam, mimo że Klub zaprzysiężony był w celibacie. Zabawne, że wesoły kantoncki taksówkarz zabrał wszystkich — zwycięstwo nad fizyką. Zgodził się nawet wypisać trzy

rachunki za przewóz, po jednym dla każdej reprezentowanej gazety, coś, czego — o ile wiadomo — nie zrobił wcześniej żaden hongkongski taryfiarz. Był to dzień precedensów. Craw siedział z przodu, mając na głowie słynny słomkowy kapelusz ze wstążką w barwach Eton, zapisany mu przez kolegę. Karzeł wcisnął się za dźwignię zmiany biegów, a pozostali trzej mężczyźni siedzieli z tyłu, Lukę z dziewczynami na kolanach, co utrudniało mu opatrywanie krwawiącej wargi. Rocker nie uważał za wskazane się przyłączyć. Założył serwetkę pod szyję, gotując się na klubową smażoną baraninę, sos miętowy i furę ziemniaków.

— Jeszcze jedno piwo! Ale tym razem zimne, słyszysz, chłopcze? *Bardzo ziiiiimne, i to raz, raz.*

Kiedy jednak uspokoiło się wokół, on też skorzystał z telefonu i zamienił słowo z Kimś Ważnym, tak na wszelki wypadek, choć obaj uznali zgodnie, że nic nie da się zrobić.

Taksówką był czerwony mercedes, całkiem nowy, ale żadna podróz nie wykańcza samochodu szybciej niż jazda na Peak — co chwilę zmiana biegu, klimatyzacja do oporu. Pogoda nadal była okropna. Kiedy posuwali się z rżeniem silnika w górę betonowych nawisów, otoczyła ich tak gęsta mgła, że można się było zakrtusić. Kiedy wysiedli, było jeszcze gorzej. Na szczycie zaległa nagrzana, nieruchoma zasłona, cuchnąca benzyną i wypełniona zgiełkiem dochodzącym z doliny. Wilgoć unosiła się w gorących, delikatnych falach. W pogodny dzień mieliby widok z dwóch stron, jeden z najpiękniejszych na ziemi: na północy Koulun i błękitne góry Nowych Terytoriów, kryjące przed oczami osiemset milionów Chińczyków pozbawionych dobrodziejstwa brytyjskiego panowania; na południu Repulse, Zatoka Głębokich Wód i otwarte Morze Południowochińskie. W końcu High Haven został zbudowany w latach dwudziestych przez Marynarkę Królewską w poczuciu niewinności zaszczytnej służby, by zyskać i rozaczać dokoła poczucie władzy. Ale tego popołudnia, gdyby budynek nie znajdował się w zagłębieniu i wśród drzew, które wyrósłszy w wysiłku osiągnięcia nieba powstrzymały mgłę, nie mieliby czego wypatrywać oprócz dwóch białych betonowych kolumn z przyciskami dzwonek opatrzonymi napisami „dzień” i „noc” oraz zamkniętej na łańcuch bramy. Dzięki drzewom ujrzeli budynek wyraźnie, choć znajdował się pięćdziesiąt metrów dalej. Mogli odróżnić rynny, schody przeciwpożarowe i sznurki z praniem i podziwiać zieloną kopułę, którą dobudowali japońscy żołnierze podczas czteroletniego zamieszkiwania w nim.

Chcąc wejść do środka jak najszybciej, karzeł pośpieszył do bramy i nacisnął dzwonek oznaczony „dzień”. W kolumnę wmontowany był głośniczek i wszyscy natychmiast wlepili weń wzrok, czekając, aż coś powie lub, jak wołałby Luke, wydymucha obłoczek dymu z trawki. Na poboczu kantoński taryfiarz włączył radio na cały regulator i popłynęła jękliwa, nie kończąca się chińska piosenka o miłości. Druga kolumna nie miała nic prócz mosiężnej tabliczki z napisem „Sekcja Współpracy Między Urzędami” — wytarty kamuflaż Thesingera. Szwab Smierciolub wyjął aparat i obfotografowywał metodycznie, jakby był na jednym z pól bitewnych w swoim kraju.

— Może nie pracują w soboty — zasugerował Luke, kiedy tak czekali, na co Craw odrzekł, żeby nie był taki cholernie głupi: szpiegdy pracują świątek, piątek i niedziela, na okrągło. Nigdy też nie jedzą, oprócz Tufty'ego.

— Dzień dobry — rzekł karzeł.

Nacisnąwszy nocny dzwonek, przyłożył wykrzywione czerwone usta do szczeliny głośnika, naśladowując angielski wyższych sfer, co — trzeba przyznać — udało mu się zadziwiająco dobrze.

— Nazywam się Michael Hanbury-Steadly-Heamor i jestem osobistym chloptasiem na posyłki Szychy. Chciałbym baaardzo mówić z majorem Thesingerem, chodzi o sprawę nie cierpiącą zwłoki: nad Rzeką Perłową ukazała się chmura w kształcie grzyba, której major mógł nie zauważyć. Jak się wydaje, powstała ona nad samą rzeką i przeszkadza Szysze w grze w golfa. Dziękuję baaardzo. Czy mógłbym wejść wobec tego?

Jedna z blondynek zachichotała.

— Nie wiedziałam, że on się nazywa Steadly-Heamor — rzekła.

Porzuciwszy Luke'a, uwiesiły się obie u ramion niechlujnego Kanadyjczyka, od dłuższego czasu szepcząc mu coś do ucha.

— To Rasputin — powiedziała jedna z nich z podziwem, głaszcząc go z tyłu po udzie. — Widziałam film. Jest jego sobowtorem. Prawda, że jesteś, Kanada?

Przegrupowując się i zastanawiając, co robić, wszyscy pociągnęli z faszki Luke'a. Z taksówki wciąż płynęła ochoczo piosenka o miłości, za to głośniczek w kolumnie milczał. Karzeł wcisnął oba dzwonki naraz i spróbował groźby w stylu Ala Capone.

— Dość tego, Thesinger, wiemy, że tam jesteś. Wychodź z rękami do góry, bez płaszcza, a gnata rzuć na ziemię —*ej, uważaj, głupi baranie!

Przekleństwo nie było skierowane ani do Kanadyjczyka, ani do starego Crawa — pomykającego niepostrzeżenie w kierunku drzew, najwyraźniej za potrzebą — ale do Luke'a, który postanowił siłą dostać się do budynku. Brama stała w zabłoconej ulicznej zatoczce, pod

osłoną ociekających deszczem drzew. Dalej z boku znajdowała się kupa odpadków, niektóre świeże. Podeszedłszy tam w poszukiwaniu olśniewającej wskazówki, Lukę wygrzebał ze stosu kawał żelastwa w kształcie litery S. Przy taszczy wszy go pod bramę, choć musiał ważyć z piętnaście kilogramów albo i więcej, zamachnął się nim oburącz nad głową i przyłożył w pręty, na co brama zadzwoniła jak pęknięty dzwon.

Smierciolub przyklęknął na jedno kolano, trzaskając zdjęcie za zdjęciem, a jego wkleśłą twarz rozdarł męczęński uśmiech.

— Liczę do pięciu, Tufty — zawył Lukę, zadając drugi niszczący cios. — Raz — kolejne uderzenie. — Dwa...

Z drzew wzbily się ptaki — różne, niektóre bardzo okazałe — i krążyły teraz powoli w górze, ale ich krzyki zagłuszył szum doliny i huk bramy. Taksówkarz tańczył w kółeczko, klaszcząc w dłonie i śmiejąc się, zapomniawszy o miłosnej piosence. Jakby tego było mało, na ulicy pojawiła się mimo psiej pogody cała chińska rodzina, pchająca nie jeden wózek, ale dwa, i oni też zaczęli się śmiać, nawet najmniejsze bobo, przykładając dłonie do ust, żeby zasłonić zęby. Nagle kowboj wydał okrzyk, strząsnął z siebie dziewczyny i pokazał palcem za bramę.

— Na miłość boską, co ten Craw wyprawia, cholera jasna. Stary myszołów przeskoczył przez płot.

Jeśli dotąd istniało jakieś poczucie wstrzemięźliwości, to w tej chwili przysło. Wszystkich opanowało zbiorowe szaleństwo. Alkohol, ponury dzień, klaustrofobia, wszystko to uderzyło im do głowy. Dziewczyny bez zahamowań pieściły Kanadyj czy ka, Lukę dalej walił w bramę, chiński kierowca dorwał się ze śmiechem do klaksonu, aż tu nagle z boskim wyczuciem czasu podniosła się mgła, świątynie niebiesko-czarnych chmur przepłynęły bezpośrednio nad nimi i na drzewa runął potok deszczu. Nie minęła chwila i ich dosięgnął, mocząc do suchej nitki pierwszym uderzeniem. Dziewczyny, nagle półnagie w prześwitujących koszulkach, uciekły ze śmiechem i piskiem do mercedesa, ale męskie szeregi nie ustąpiły z pola — nawet karzeł — patrzyły tylko poprzez strugi deszczu na nieomylnie charakterystyczną postać Australijczyka Crawa w etońskim kapeluszu, ukrytą w prowizorycznej sieni, wyglądającej jakby ją zrobiono na rowery, choć nikt przy zdrowych zmysłach nie przyjeżdżałby na Peak rowerem.

— Craw! — wrzasnęli. — Ty skurczybyku, wyprzedziłeś nas!

Szum deszczu ogłuszał, gałęzie zdawały się łamać pod naporem ulewy. Lukę odrzucił na bok swój młot szaleńca. Najpierw przeskoczył niechluj, za nim Lukę i karzeł, a tyły zamykał Smierciolub z tym swoim uśmiechem i aparatem, przyklękując i kicając, w biegu cykając na ślepo zdjęcia. Deszcz zlewał ich jak chciał, tworząc błotniste

czerwone rzeczułki wokół ich kostek, gdy podążali pod górę śladem Crawa. Do hałasu dołączyło kumkanie żab. Wdarli się na stromy nas[>], zahamowali z poślizgiem przed wewnętrznym ogrodzeniem z drutu kolczastego, przedarli się przez rozciągnięte druty i przeskoczyli niewielki rów. Kiedy dopadli Crawa, ten miał wzrok utkwiony w zielonej kopule, a deszcz pomimo słomkowego kapelusza ściekał mu obficie z brody, przeistaczając jego wymuskany płowy garnitur w poczerńniętą, bezkształtną powłokę. Stał jak zahipnotyzowany patrząc prosto do góry. Lukę, który najbardziej go lubił, odezwał się pierwszy.

— Wasza Łaskawość? Hej, obudź się, to ja: Romeo! Jezu Chryste, co mu jest?

Naprawdę już zaniepokojony, dotknął ramienia Crawa. Ale on wciąż milczał.

— Może umarł na stojąco — zasugerował karzeł, a uśmiechnięty Śmierciolub sfotografował go podczas wyrażania tej genialnej myśli.

Niczym stary bokser, Crawl w końcu się otrząsnął.

— Lukę, bracie, winni ci jesteśmy przeprosiny — wymamrotał.

— Zaprowadźcie go do taksówki — powiedział Lukę i zaczął robić przejście, ale stary wyga się nie ruszył.

— Tufty Thesinger. Niezły sokół. Nie żaden orzeł, za mało sprytny, by szybować wysoko, ale niezły sokół.

— Tufty Thesinger niech spoczywa w spokoju — rzekł Lukę, zniecierpliwiony. — Chodźmy. Karzeł, rusz się.

— On skamieniał — odezwał się kowboj.

— Zważ na ślady, Watsonie — zaczął znowu Crawl po kolejnej przerwie na medytację, podczas której Lukę ciągnął go za ramię, a deszcz lał coraz rzęsiściej. — Zauważcie najpierw dziury przy oknach, skąd pośpiesznie powyrywano klimatyzatory. Oszczędność, mój synu, zaleta godna pochwały, szczególnie, jeśli mogę się tak wyrazić, u szpiega. Spójrzcie na kopułę, o tam. Przypatrzcie się uważnie, panowie. Rysy. Niestety, to nie są ślady pazurów gigantycznego psa, tylko zarysowania po zdejmowanych nerwowo, drżącą ręką, ante nach radiowych. Słyszeliście kiedykolwiek o szpiegowskim gnieździe bez anten? To jak burdel bez pianina.

Deszcz osiągnął crescendo. Ogromne krople padały wokół nich jak kule. Twarz Crawa wyrażała mieszane uczucia; Lukę mógł się jedynie ich domyślać. Głęboko w duszy przyszło mu na myśl, że Crawl może naprawdę umiera. Lukę niewiele wiedział o naturalnej śmierci, ale był na nią wyczulony.

— Może zarazili się gorączką złota i poszli w rozsypkę — powiedział, usiłując ponownie namówić Crawa do powrotu do samochodu.

— Bardzo możliwe, Wasza Łaskawość, naprawdę bardzo możliwe. Z pewnością mamy porę roku sprzyjającą wybrykom.

— Do domu — rzekł Lukę i pociągnął go stanowczo za ramię.
— Zróbcie przejście, dobra? Niesiemy go.

Ale stary wyga wciąż się ociągał, chcąc po raz ostatni spojrzeć na angielskie gniazdo szpiegów, drżące w czasie burzy.

Pierwszy ukończył pisanie Kanadyjczyk i jego artykuł zasługiwał na lepszy los. Napisał go jeszcze tej samej nocy, podczas gdy dziewczyny spały w jego łóżku. Doszedł do wniosku, że informacja pójdzie lepiej w formie dłuższego tekstu, jak dla czasopisma, a nie jako krótki news, tak więc wplótł ją w ogólną historyjkę o Peaku i wykorzystał Thesingera jedynie jako pretekst. Wyjaśnił, jak to Peak był tradycyjnie Olimpem Hongkongu — „czym wyżej się mieszkało, tym wyżej się stało na drabinie społecznej” — i jak to zamożni brytyjscy handlarze opium, ojcowie-założyciele Hongkongu, uciekali tam przed cholera i gorączką trawiącą miasto, jak to jeszcze kilkadziesiąt lat temu obywatel chińskiego pochodzenia musiał mieć przepustkę, żeby mógł tam postawić nogę. Przedstawił historię High Haven, wspominając na końcu o reputacji brytyjskiej wylęgarni spisków przeciwko Mao, jaką cieszył się ten budynek, wyrobionej mu przez chińskojęzyczną prasę. W ciągu jednej nocy wylęgarnię zamknięto, a sekserzy się wynieśli.

„Kolejny gest pojednania?” — pytał. — „Ustępstwa? Część ugodowej polityki Wielkiej Brytanii wobec Chin? Czy może po prostu kolejny sygnał, że w południowo-wschodniej Azji, jak wszędzie indziej, Brytyjczycy zmuszeni są do zejścia z piedestałów?”

Błąd polegał na tym, że wybrał poważną niedzielną gazetę anglojęzyczną, która od czasu do czasu drukowała jego artykuły. Blokada informacyjna, zakazująca wszelkich wzmianek o tej historii, czekała już tam na jego dzieło.

„Żałuję, ale nie mogliśmy puścić tego tekstu” — zadesperzował do niego naczelny i wrzucił artykuł do kosza.

Kilka dni później, wróciwszy do domu, kowboj zastał swój pokój przewrócony do góry nogami. Jego telefon doznał na kilka tygodni kontuzji: czegoś w rodzaju zapalenia krtani, tak że kiedy kowboj dzwonił, zawsze rzucał uprzednio w słuchawkę kilka soczystych uwag pod adresem Szychy i jego świty.

Lukę poszedł do domu tryskając pomysłami. Wykąpał się, wypił mnóstwo czarnej kawy i zabrał się do pracy. Zadzwoił do linii lotniczych, wtyczek w rządzie i do całej chmary białych, wymuskanych znajomek z konsulatu amerykańskiego, którzy wkurzali go figlarnymi i wymijającymi odpowiedziami. Niepokoił firmy przewozowe, specjalizujące się w wykonywaniu zleceń rządowych. Jeszcze tej samej nocy miał, jak to sam określił w rozmowie z Karłem, do którego

też kilka razy telefonował, „niezbity dowód do piątej potęgi”, że Thesinger, jego żona i wszyscy pracownicy High Haven opuścili Hongkong wczesnym rankiem w czwartek czarterem lecącym do Londynu. Szczęśliwym trafem dowiedział się, że seter Thesingera poleci samolotem towarowym jeszcze w tym tygodniu. Zrobiwszy kilka notatek, Lukę przemierzył pokój, zasiadł do maszyny do pisania, wystukał kilka linijek i, dobrze wiedząc, że tak się stanie, stracił wenę. Zaczął pośpiesznie, płynnie:

„Dziś nad okopanym ze wszystkich stron, nie wybranym demokratycznie rządem jedynej pozostałej brytyjskiej kolonii unosi się nowa chmura skandalu. Jeszcze nie przebrzmiały ostatnie rewelacje o łapówkarstwie w policji i administracji, a już słyhać, że jedna z najbardziej zawoalowanych instytucji Brytanii, High Haven, baza dla jej wypadów spod znaku płaszcza i szpady przeciw czerwonym Chinom, została w pośpiechu zamknięta”.

Nagle, z bluznierczym szlochom impotencji, przerwał i wcisnął twarz w otwarte dłonie. Koszmary, te mógł znieść. Kiedy po tak potężnej dawce wojny budził się drżący i zlany potem z powodu nieopisanych wizji, z nozdrzami wypełnionymi smrodem spalonej napałmem ludzkiej skóry, była to w pewien sposób dla niego pociecha, bo wiedział, że wreszcie, po tych wszystkich przejściach, otwały się śluz jego uczuć. W czasach, gdy doświadczał tych okropności, pragnął odrobiny wytchnienia, by odzyskać zdolność do odczuwania wstrętu. Jeśli koszmary były niezbędne, by powrócić w szeregi normalnych ludzi, to witał je z wdzięcznością. Ale nawet w najgorszym z nich nie przeczuł, że napisawszy tyle o wojnie, nie będzie w stanie pisać o pokoju. Przez sześć godzin Lukę walczył z okropną niemocą. Chwilami przypominał mu się Crawl, jak tam stał, ociekając deszczem, i wygłaszał mowę pogrzebową: może o tym napisać? Ale kto buduje historyjkę na osobliwym poczuciu humoru kumpla po fachu?

Wypocona wersja karła też nie odniosła wielkiego sukcesu, z powodu czego zrobił się jędzowaty. Na pierwszy rzut oka jego tekst miał wszystko co trzeba. Karzeł naigrawał się w nim z Brytyjczyków, napisał wołami słowo „szpieg” i — choć raz — odpuścił sobie przedstawienie Ameryki w roli kata południowo-wschodniej Azji. Ale po pięciu dniach czekania dostał jako odpowiedź jedynie lakoniczne polecenie, by się nie wychylał i dał spokój z dmuchaniem w trąbkę.

Został zatem stary Crawl. Wprawdzie to, co wtedy zrobił i czego nie zrobił, było w porównaniu z wagą głównego wątku tylko występem towarzyszącym, ale zgranie jego posunięć w czasie po dziś dzień robi wrażenie. Przez trzy tygodnie nic nie dawał do gazety.

Miał nabazgrać jakąś błahostkę, ale sobie darował. Lukę'owi, który poważnie się o niego martwił, z początku wydawało się, że dalej trwa jego tajemniczy schyłek. Craw całkowicie stracił wyniosłość i upodobanie do towarzystwa. Zrobił się zgryźliwy, chwilami wręcz opryskliwy, i tylko szczeakał kiepskim kantoniskim na kelnerów, nawet na swego ulubienca Goha. Traktował Kręglarzy, jakby byli jego wrogami, i wypominał im domniemane grzeszki, o których dawno zapomnieli. Siedząc samotnie na krzesła przy oknie, wyglądał jak stary emeryt, któremu przyszło żyć w ciężkich czasach: zły jak osa, skryty, zgnuśniały. I oto pewnego dnia zniknął i kiedy Lukę, pełen obaw, zadzwonił do niego, stara służąca powiedziała mu, że: „Whisky Papa myk, myk Londyn siipko”. Była dziwnym, małym stworzonkiem i Lukę nie bardzo jej wierzył. Nudny najemnik „Der Spiegla” z Niemiec północnych twierdził, że widział Crawa w Vientiane, hulającego w barze „Pod Gwiazdozbiorem”, ale Lukę wąpił. Siedzenie Crawa zawsze było czymś w rodzaju sportu dla wtajemniczonych i każdy chciał się uważać za jednego z wybranych.

Aż tu nastął poniedziałek i około południa stary wyga wkroczył do klubu w nowym beżowym garniturze z bajerancką butonierką, wśród zmartwychwstałych uśmiechów i anegdot. Tego dnia wziął się do pisania historyjki o High Haven. Zaczął lekką ręką wydawać pieniądze, więcej niż pozwalały jego pobory w gazecie. Zjadł w jowialnej atmosferze kilka lunchów z dobrze ubranymi Amerykanami z różnych agencji o niejasnych nazwach. Paru z nich Lukę znał. W słynnym kapeluszu na głowie, zabierał każdego z nich po kolei do cichych, pieczołowicie wybranych restauracji. W klubie urągano mu za wazeliniarstwo wobec dyplomatów — poważne przestępstwo — co go cieszyło. Następnie został wezwany do Tokio na konferencję obserwatorów Chin i patrząc z perspektywy, należy chyba przyjąć, że wykorzystał tę podróż dla sprawdzenia innych fragmentów układanki, która powoli nabierała w jego oczach kształtów. Z całą pewnością prosił starych przyjaciół spotkanych na konferencji, by wydobyli dla niego na światło dzienne to i owo, kiedy już wrócą do Bangkoku, Singapuru, Tajpej czy gdzie tam mieszkają, a ci zgodzili się, bo wiedzieli, że to samo zrobiliby dla nich. W tajemniczy sposób zdawał się wiedzieć, czego szuka, jeszcze zanim to dla niego znaleźli.

Rezultaty ukazały się w pełnej wersji w jednej z sydneyjskich gazet porannych, której nie sięgało długie ramię anglo-amerykańskiej cenzury. Uznano zgodnie, że artykuł przypomina najlepsze lata mistrza. Miał dwa tysiące słów. Znamienne, że na pierwszy plan Craw wysunął nie sprawę High Haven, lecz zagadkę „opustoszałego w tajemniczych okolicznościach skrzydła” brytyjskiej ambasady w Bangkoku, które jeszcze miesiąc temu mieściło dziwną instytucję o nazwie

„Jednostka koordynacyjna SEATO”, jak również sekcję wizową, chlubiącą się aż sześcioma podsekretarzami na służbie. Czy to rozkosze salonów masażu w londyńskim Soho, zapytywał słodko stary Australijczyk, tak wabiły Kitajców do Wielkiej Brytanii, że do załatwienia podań o wizę potrzebnych było aż sześciu podsekretarzy? Jakież to dziwne, dumiał dalej, że po ich wyjeździe i zamknięciu skrzydła pod ambasadą nie uformowały się długie kolejki potencjalnych podróżnych. Stopniowo, ciągnął swobodnie, ale nie nonszalancko, rozwijał się przed oczami czytelnika zdumiewający obraz. Craw nazwał brytyjski wywiad Cyrkiem. Wyjaśnił, że nazwa ta pochodzi od słynnego londyńskiego placu u zbiegu ulic, na którym stoi kwatery główna tej tajnej służby*. Cyrek wyniósł się nie tylko z High Haven, napisał, ale również z Bangkoku, Singapuru, Sajgonu, Tokio, Manili i Dżakarty. I z Seulu. Nie ostał się nawet samotny Tajwan, gdzie — jak się okazało — nie opiewany przez nikogo rezydent Wielkiej Brytanii pozbył się trzech urzędników-kierowców i dwóch zastępców sekretarza za ledwie na tydzień przed ukazaniem się artykułu.

„Dunkierka — nazwał to Craw — tyle że kentyjską flotę rybacką zastąpiły czarterowe DC-8, a francuskich żołnierzy angielscy szpiedzy”.

Co wywołało ten exodus? Podał kilka nieśmiałych hipotez. Czy jesteście świadkami kolejnych cięć w wydatkach rządowych Wielkiej Brytanii? — zapytał, po czym odniósł się do tego wyjaśnienia z wielkim sceptycyzmem. W ciężkich czasach Brytania ma zwyczaj bardziej, a nie mniej polegać na swoich szpiegach. Cała jej imperialna historia skłania ją do tego. Im cieńsze jej szlaki handlowe, tym więcej wkłada wysiłku, by je zabezpieczyć. Im słabszy jej kolonialny uścisk, tym bardziej desperackie działania przeciw tym, którzy chcą go połuznić. Nie: być może Brytania rzeczywiście ledwo wiąże koniec z końcem, ale szpiedzy byłiby ostatnim zbytkiem, którego by się wyrzekła. Craw przedstawił inne możliwości i kolejno je obalił. „Gest dobrej woli wobec Chin?” — zasugerował, powtarzając domysły kowboja. Brytania zrobiłaby wszystko pod słońcem, by utrzymać Hongkong z dala od antykolonialnych zapędów Mao — tylko nie pozbyła się swoich szpiegów. I tak oto Craw doszedł do hipotezy, która najbardziej mu się podobała:

„Na całej szachownicy Dalekiego Wschodu — napisał — Cyrek wykonuje manewr, który w szpiegowskim fachu nazywa się 'daniem nura”.

Ale dlaczego?

* Chodzi o skrzyżowanie Cambridge Circus (przyp. tłum.).

W tym miejscu autor powołał się na „wyższych rangą prebendaruszy wojującego kościoła św. Szpiega w Azji”. Agenci wywiadu amerykańskiego w ogóle, napisał, nie tylko w Azji, „szaleją z wściekłości z powodu lichych środków bezpieczeństwa w brytyjskich służbach”. Najwięcej krwi napsuło niedawne odkrycie rosyjskiego super-szpiega — tu wrzucił fachowe określenie: „kret” — w londyńskiej kwaterze głównej Cyrku: brytyjskiego zdrajcy, którego nazwiska pre-bendariusze nie zgodzili się podać, a który — zgodnie z ich słowami

— „w ostatnich dwudziestu latach skompromitował każdą tajną anglo-amerykańską operację wartą miedziaka”. „Gdzie przebywa teraz kret?” — autor zadał pytanie informatorom. Odpowiedzieli na to z niepomaganą złością: „W zaświatach. Albo w Rosji. Oby i tu, i tu”.

Craw nigdy nie gonił za tanią sensacją, a ten artykuł, w przychylnych oczach Luke’a, miał w sobie posmak czegoś naprawdę wyjątkowego. To był niemal dowód życia, choćby tylko potajemnego życia.

„Czy zatem mały szpieg Kim zniknął na dobre z legend Wschodu?” — pytał na koniec Craw. — „Czy angielski mądrąla już nigdy nie pociemni sobie skóry, nie wskoczy w tubylczy strój i nie zasiądzie przy plemiennym ognisku? Bądźcie spokojni — zapewnił. — Brytyjczycy wrócą! Tradycyjna gra w łapaj szpiega znów będzie z nami! Szpieg nie umarł, jeno zasnął”.

Artykuł się ukazał. W klubie wywołał przelotny podziw, zazdrość, po czym popadł w zapomnienie. Tutejsza gazeta anglojęzyczna, ściśle powiązana z Amerykanami, przedrukowała go w całości, dzięki czemu motyl żył o jeden dzień dłużej. Zrzutka na rzecz starego, powiedzieli: uchylano przed nim czapkę, zanim zejdzie ze sceny. Potem puściła to zagraniczna sekcja BBC, a na końcu uśpiona sieć kolonii dała wersję wersji BBC, i przez cały dzień toczyła się dyskusja, czy Szycha zdecydował się zdjąć tutejszym mediom kaganiec. Ale nawet przy tak przeciągniętym serialu nikt, ani Luke, ani nawet karzeł nie uważał za stosowne zastanowić się, skąd, do cholery, stary wyga znał tylne wejście do High Haven.

Co jedynie dowodzi — jeśli taki dowód w ogóle jest potrzebny — że dziennikarze wcale nie zauważają szybciej niż inni, co się dzieje pod ich nosem. No, ale w końcu w ową sobotę szalał tajfun.

Jeśli chodzi o Cyrk, jak Craw trafnie nazwał siedzibę wywiadu brytyjskiego, reakcje na artykuł różniły się w zależności od tego, jak dużo wiedział ten, kto reagował. W sekcji administracji, na przykład, która odpowiadała za owe strzępy kamuflażu, na które w tym okresie było stać Cyrk, stary wyga wywołał falę zdławionej furii, co mogą w pełni zrozumieć tylko ci, którzy zasmakowali atmosfery obłązonej

tajnej służby. Nawet tolerancyjne zazwyczaj dusze wołały o surową karę. Zdrada! Złamał umowę! Zablokować mu emeryturę! Wpisać na listę tych pod dozorem! Postawić w stan oskarżenia, gdy tylko wróci do Anglii! Trochę dalej w korytarzu, ci, którzy nie traktowali bezpieczeństwa tak chorobliwie, przyjęli łagodniejszą postawę, choć i oni nie wiedzieli wszystkiego. No, no, mówili trochę smutnym tonem, tak to już jest, nie ma faceta, który od czasu do czasu nie wy trąbiłby czegoś o nas, szczególnie gdy pozostaje tak długo w nieświadomości jak stary Craw. I prawdę mówiąc, nie wyjawiał niczego, co nie byłoby ogólnie dostępne; administracyjni powinni okazać *trochę* umiaru. Pamiętajcie, jak potraktowali biedną Molly Meakin, siostrę Mikę'a, dopiero co „wyklutą”, za to, że zostawiła kawałek czystego papieru w koszu na śmieci!

Tylko ci u samego źródła wiedzieli, jak się rzeczy mają. Dla nich artykuł Crawa był mistrzowską dezinformacją: George Smiley w szczytowej formie, orzekli. To przecież jasne, że sprawa i tak wyszłaby na jaw, wszyscy zgodzili się zatem, że cenzura w żadnym razie nie jest wskazana. O wiele lepiej zatem, żeby wyszła na jaw pod nasze dyktando. Odpowiedni czas, odpowiednia data, odpowiedni ton: arcydzieło życia, uznali zgodnie, w każdym pociągnięciu pędzla. Ale ten pogład nie wyszedł poza ich krąg.

Znów Hongkong. Nic dziwnego, orzekli Kręglarze, że stary wyga, podobnie jak człowiek będący jedną nogą na tamtym świecie, miał prorocze przecucie sprawy — historia High Haven stała się dla Crawa jego łabędzim śpiewem. Miesiąc później okazało się, że się wycofał, nie z Kolonii, ale z dziennikarskiego fachu, i z wyspy też. Wynajawszy chatę na Nowych Terytoriach, oznajmił, że postanowił wyzionąć ducha pod niebem Wschodu. Dla Kręglarzy mógł równie dobrze wybrać Alaskę. To po prostu za daleko, cholera jasna, żeby wracać samochodem po pijaku. Krążyły plotki — nieprawdziwe, bo Crawa nie ciągnęło w tę stronę — że do towarzystwa sprowadził sobie ładniutkiego chińskiego chłopca. To była robota karła: on nie lubił, gdy starzy ludzie go ubiegali. Tylko Lukę wciąż myślał o Crawie. Pewnego ranka po nocnej zmianie pojechał tam. Po cholere? Po to, żeby się z nim zobaczyć, bo stary myszołów wiele dla niego znaczył. Craw nie posiadał się z radości, powiedział im później Lukę, ten sam podły charakter, trochę zaskoczony nieoczekiwaną wizytą w jego jaskini. Był tam też jego przyjaciel, ale nie żaden młody Chińczyk, tylko jakiś ważniak na walizkach, którego Craw przedstawił jako George'a: tęgawy, mały typek o słabo widzących oczach za okrągłymi okularami, który najwyraźniej wpał bez zapowiedzi. Na boku Craw wyjaśnił

Lukę'owi, że George pracuje dla brytyjskiego syndykatu prasowego, dla którego on sam robił wieki temu.

— Pisz o starszuchach, Wasza Łaskawość. Robi przejażdżkę po Azji.

Kimkolwiek był ten tęgawy facet, dało się zauważyć, że Craw czuje przed nim respekt, bo nazywał go nawet „Wasza Świątobliwość”. Lukę wyczuł, że przeszkadza, i wyjechał nie upiwszy się.

To tyle. Ucieczka chyłkiem Thesingera, bliska śmierć i zmarłychwstanie Crawa, jego łabędzi śpiew na przekór kagańcom ukrytej cenzury, obsesja Luke'a na temat tajnych służb, natchnione wykorzystanie przez Cyrk zła koniecznego. Nic z tego nie było zaplanowane, ale — jak życie często chce — stało się przygrywką do późniejszych wydarzeń. Huraganowa sobota; krąg na powierzchni cuchnącej, mętnej, mulistej kałuży, jaką jest Hongkong; znudzony chór, wciąż bez bohatera. I, o dziwo, kilka miesięcy później, znów Lukę'owi przypadła w udziale rola szekspirowskiego posłańca, zapowiedzenie przybywającego bohatera. Telegram przyszedł do gazety, gdy akurat miał dyżur. Obwieścił nowinę znudzonej widowni z typowym dla niego zapalem.

— Ludzie, nadstawcie uszu, mam wiadomości! Jerry Westerby znowu w obiegu! Wali na Wschód, słyszycie mnie? Znowu na liście płac tego samego komiksu!

— Jego *lordowska mość* — wykrzyknął natychmiast karzeł w udawanej ekstazie. — *Świeży dopływ błękitnej krwi, no nie*, że użyję pospolitego wyrażenia. Niech żyje profesjonalizm, a niech mnie!

Zakławszy, rzucił zgniecioną serwetkę prosto na stojak z winem.

— Jezu — powiedział i opróżnił szklanekę Luke'a.

Rozdział 2

WEZWANIE

Tego popołudnia, kiedy przyszedł telegram, Jerry Westerby stukał w swoją maszynę do pisania na ocienionej części balkonu walącej się farmy, z workiem pełnym starych książek rzuconym u stóp. Kopertę przyniosła odziana na czarno kierowniczką poczty, oschła i sroga chłopka, która wraz ze zmierzchem tradycyjnych urzędów została naczelnikiem zapadłej tokańskiej wioski. Zwykle zachowywała się

przebiegle, ale dziś dramatyzm wypadków wziął górę nad samo-kontrolą i pomimo upału ile sił w nogach mknęła spalonym traktem. W księdze sprawozdań wpisała potem godzinę sześć po piątej jako historyczną chwilę doręczenia telegramu, co było kłamstwem, ale świadczyło o jej pedanterii. Tak naprawdę była wtedy punkt piąta. Koścista dziewczyna Westerby'ego, nazywana w wiosce sierotą, waliła tłuczkiem w oporny kawałek koziego mięsa, gwałtownie, tak jak obchodziła się ze wszystkim. Chciwe oko kierowniczkii dostrzegło ją w otwartym oknie ze sporej odległości: łokcie wypchnięte na wszystkie strony, górne zęby wpite w dolną wargę, bez wątpienia była wściekła jak zwykle.

— Dziwka — pomyślała kierowniczkia z pasją. — Masz teraz 'to, na co czekałaś!

W radiu dudnił Verdi: sierota słuchała tylko muzyki klasycznej, o czym przekonała się cała wioska, kiedy wywłoka zrobiła scenę w gospodzie tego wieczora, gdy kowal chciał wybrać z szafy grającej muzykę rockową. Rzuciła w niego kuflem. Co za hałas — Verdi, maszyna do pisania i walenie w mięso naraz — nawet Włoch by usłyszał.

Jerry przysiadł na drewnianej podłodze niczym szarańcza, przypomniała sobie później — może miał poduszkę — wykorzystując torbę na książki jako podnózek. Siedział w rozkroku, pisząc między kolanami. Dokoła siebie miał porozkładane kartki popstrzonego przez muchy rękopisu, przygniecione kamieniami na wypadek piekących powiewów wiatru, będących plagą jego spalonego wzgórze, oraz, pod ręką, plecioną flaszkę miejscowego czerwonego wina, bez wątpienia na chwile — znane nawet największym artystom — kiedy to zawodzi naturalne natchnienie. Pisał na sposób orli, powiedziała im później wśród pochwalnego śmiechu, długie krążenie w powietrzu i nagłe runięcie w dół. Miał na sobie to co zawsze, bez względu na to, czy przechadzał się bez celu po wybiegu dla koni, czy pielęgnował ów tuzin bezużytecznych drzewek oliwnych, które wtrzyił mu ten oszust Franco, czy sunął z sierotą po zakupy do wioski, czy też siedział w gospodzie nad jednym głębszym, zanim wyruszył na długą wspinaczkę do domu: buty z koziej skóry, których sierota ani razu nie wypastowała i stąd świeciły się matowo na czubkach, skarpety do kostek, których nigdy nie uprała, brudną koszulę, kiedyś białą, i szare krótkie spodenki, które wyglądały, jakby je dopadły złe psy, i które porządna kobieta dawno by połatała. Powitał ją tym znanym bełkotliwym potokiem słów, nieśmiały i radosnych, których nie rozumiała dokładnie, tylko piąte przez dziesiąte, jak wiadomości radiowe, ale które potrafiła powtórzyć poprzez czarne szpary między zniszczonymi zębami ze zdumiewającymi przebłyskami dokładności.

— Mama Stefano, ho, ho, super! Widzę stan wrzenia. Proszę, ko-bitko, umocz dziób — wykrzyknął, schodząc z ceglanych stopni, ze szklanką wina dla niej, uśmiechnięty jak uczeń; tak go we wsi nazywano: uczeń, telegram dla ucznia, pilne, z Londynu! W ciągu dziewięciu miesięcy nie więcej niż sterta tanich książek i co tydzień kilka słów nabazgranych przez jego dziecko, aż tu nagle jak grom z jasnego nieba ten mrozący krew w żyłach telegram, krótki jak polecenie, ale z góry zapłacone pięćdziesiąt słów odpowiedzi. Wyobraźcie sobie, co za koszt! Pięćdziesiąt słów! To przecież oczywiste, że wszyscy razem powinni spróbować go odczytać.

Najpierw zakrzusili się przy słowie *wielmożny*. „Wielmożny pan Gerald Westerby”. Dlaczego? Piekarz, który był jeńcem wojennym w Birmingham, wyjął postrzępiony słownik: *tytuł wysoko postawionej osoby, członka szlacheckiego rodu*. Oczywiście. Signora Sanders, mieszkająca po drugiej stronie doliny, stwierdziła kiedyś, że w żyłach ucznia płynie szlachecka krew. Drugi syn barona prasowego, powiedział. *Lord Westerby*, właściciel gazety, nie żyje. Najpierw umarła gazeta, a potem on — oto cała signora Sanders, dowcipna istota — tak sobie opowiadali ten żart. Następnie z *żalem*, ale to było łatwe. Tak samo *radzimy*. Kierowniczką z zadowoleniem odkryła, ileż to dobrej łaciny wbrew wszelkim oczekiwaniom zasymilował angielski pomimo swojej dekadencji. Słowo *opiekun* okazało się trudniejsze i zawiodło ich do *protektora*, a to z kolei oczywiście wywołało wśród mężczyzn niewybredne żarty, którym kierowniczką natychmiast gniewnie położyła kres. W końcu, krok po kroku, kod został złamany, wiadomość odczytana. Uczeń miał opiekuna, to znaczy zastępczego ojca. Ten opiekun leżał śmiertelnie chory w szpitalu i żądał zobaczenia się z chłopcem, zanim umrze. Nie chciał nikogo innego, tylko wielmożnego Westerby'ego, nikogo innego. Szybko uzupełnili cały obraz: łkająca rodzina zebrała się wokół łoża, na pierwszym planie żona w czarnej rozpacz, dystyngowani księża udzielający ostatnich sakramentów, kosztowności zabezpieczone, i wszędzie, w całym domu, w korytarzach, w kuchniach, to samo szeptane słowo: Westerby — gdzie jest wielmożny Westerby?

Zostało już tylko objaśnić podpisy pod telegramem. Były trzy, opatrzone wyrażeniem *szczerze oddany radca prawny*, co wywołało nową serię sprośnych skojarzeń, aż nagle znaleziono w słowniku słowo *notariusz* i twarze natychmiast spoważniały. Santa Maria! Jeśli zaangażowanych jest w to aż trzech notariuszy, to musi chodzić o wielkie sumy pieniędzy. I jeśli żaden nie omieszkął się podpisać, a na dodatek zapłacili z góry za pięćdziesiąt słów odpowiedzi, to nie chodziło o wielkie, ale o ogromne sumy pieniędzy. Całe wagony pieniędzy! Góry! Nic dziwnego, że sierota tak się do niego przyssała, dziwka! Nagle

każdy gorąco zapragnął udać się z wiadomością na wzgórze. Guido zajechałby swoją lambrettą aż po zbiorniki z wodą. Mario potrafił pomykać jak zając, a Manuela, córka sklepikarza, miała łzawe oko, przystoił jej cień żaloby. Odrzuciwszy wszystkich ochotników i przyłożywszy Mariowi kuksańca za nachalność, kierowniczką zamknęła kasę i zostawiła pocztę-sklep pod opieką swego niedorozwiniętego syna, choć oznaczało to dwadzieścia minut wędrówki w spiekocie oraz — jeśli ten ognisty wiatr tam wieje — usta pełne czerwonego pyłu za cały jej trud.

Z początku mieli Jerry'ego za nic. Żałowała tego teraz, kiedy tak mozolnie posuwała się przez gaje oliwne, ale ten błąd miał swoje uzasadnienie. Po pierwsze, Jerry zjawił się zimą, kiedy przyjeżdżają kupcy nie śmierzący groszem. Zjawił się sam, ale miał niewyraźną minę kogoś, kto pozbył się sporego balastu, takiego jak dzieci, żonę, matkę: kierowniczką dobrze poznała mężczyzn w swoim czasie; widziała ten zraniony uśmiech zbyt często, by nie dostrzec go na twarzy Jerry'ego: „jestem żonaty, ale wolny”, mówił, i żadne z tych dwóch twierdzeń nie było prawdziwe. Po drugie, sprowadził go wyperfumowany angielski major, znana tu dobrze świnia, który prowadził agencję nieruchomości wyszukującą chłopów: kolejny powód, by myśleć o uczniaku z pogardą. Wyperfumowany major pokazał mu kilka atrakcyjnych gospodarstw, także i to, którym kierowniczką sama była zainteresowana, przypadkowo najładniejszym, ale uczniak i tak osiedlił się w ruderze pederasty Franco, tkwiącej na szczycie tego zapomnianego wzgórza, na które teraz się pięła: nazywali je Diabelskim Wzgórzem. Diabeł tu przychodzi, kiedy w piekle mu za zimno, mawiali. Ze wszystkich ludzi uczniak wybrał akurat gładkiego Franco! Tego, który wodą rozcieńcza mleko i wino, który spędza niedziele na umizgach do różnych gogusiów na rynku miasteczka! Wyśrubowana cena wynosiła pół miliona lirów, z których jedną trzecią usiłował ukraść wyperfumowany major, po prostu za to, że była umowa.

— Każdy wie, dlaczego major faworyzuje gładkiego Franco — syknęła tamtego dnia przez zaślinione zęby, a wśród jej zwolenników rozległo się znaczące hm, hm, aż w końcu kazała im się zamknąć.

Jako że była bystrą kobietą, coś w Jerry'ym wzbudzało jej nieufność. Surowość pokryta wielkodusznością. Widziała to wcześniej u Anglików, ale uczniak stanowił klasę samą w sobie, i nie ufała mu, z powodu jego niepokojącego uroku uważała go za niebezpiecznego człowieka. Dziś oczywiście należało złożyć te wczesne nieporozumienia na karb ekscentryczności angielskiego pisarza, ale wtedy kierowniczką nie okazała takiej wyrozumiałości.

— Zaczekajcie do lata — warknęła ostrzegawczo do swoich klientów, gdy tylko Jerry, powłóczywszy nogami, opuścił jej sklep po

pierwszej wizycie: makaron, chleb, środek na muchy. — Jak przyjdzie lato, przekona się, co kupił, kretyn. Jak przyjdzie lato, myszy gładkiego Franco rozpełzną się po sypialni, pchły Franco zjedzą go żywcem, pedalskie szerszenie Franco będą go ścigać po ogrodzie, a ten diabelski, palący wiatr spali mu małego na popiół. Skończy mu się woda, będzie się musiał wypróżniać w polu, jak zwierzę. A jak znowu przyjdzie zima, wyperfumowany major będzie mógł sprzedać dom kolejnemu głupkowi, ze stratą dla wszystkich prócz siebie.

Przez pierwsze miesiące uczeń nie pokazywał po sobie, że jest jakąś znakomitością. Nigdy się nie targował, nigdy nie słyszał o obniżkach; kierowniczką nie miała żadnej przyjemności z oszwabiania go. A kiedy pewnego dnia w sklepie zapędziła go w rozmowie poza te kilka nędznych zwrotów wypowiedzianych łamanym włoskim, nie podniósł głosu, nie wrzasnął na nią jak prawdziwy Anglik, tylko wzruszył pogodnie ramionami i sam wziął to, o co mu chodziło. *Pisarz*, powiedzieli. No to co, a kto nim nie jest? Doskonale, kupował u niej arkusze papieru kancelaryjnego. Zamówiła więcej, kupił. *Bravo*. Miał książki: z wyglądu zbutwiała kolekcja, którą nosił w szarym worku jutowym, jakie mają kłusownicy. Zanim zjawiła się sierota, widywali go, udającego się w jakieś zacisze z workiem przewieszonym przez ramię, żeby poczytać. Guido natknął się kiedyś na niego w lesie *contessa*, usadowionego na balu drzewa jak ropucha i wertującego je jedna po drugiej, jakby wszystkie były jedną książką, a on zgubił ostatnie zdanie. Posiadał również maszynę do pisania, noszoną w brudnym pokrowcu pstrokato oklejonym wytartymi hotelowymi nalepkami: *bravo* jeszcze raz. Tak jak pierwszy lepszy długowłosy brudas, który kupuje sobie puszkę farby i uważa się za artystę: *taki* z niego pisarz. Wiosną zjawiła się sierota i jej też kierowniczką nienawdziła.

Ruda, a to już w połowie kurwa. Piersi nawet nie na tyle, żeby wykarmić królika, i co najgorsze, mocna głowa do liczb. Mówili, że znalazł ją w miasteczku, no więc jasne, że dziwka. Od pierwszego dnia nie spuszczała go z oka. Przyłgnęła do niego jak dziecko. Jadła z nim i się dąsała, piła z nim i się dąsała, robiła z nim zakupy używając złodziejskiego języka, aż w końcu ich widok opatrzył się tutejszym mieszkańcom: angielski olbrzym i ten jego nadąsany strzęp dziwki, oboje wlokący się razem ze wzgórza z koszykiem z sitowia, on w postrzępionych spodenkach, szczerząc się do wszystkich, ona nachmurzona, w tym swoim dziwkarskim worku pokutniczym, nie mająca nic pod spodem, tak że choć była brzydka jak skorpion, mężczyźni oglądali się za nią, żeby zobaczyć drgające pod materiałem pośladki. Szła, wpiwszy się wszystkimi palcami w jego ramię i puszczała go tylko w chwili, gdy przychodziło jej płacić — ■ marnie — z portfela, który teraz znajdował się w jej pieczy. Kiedy spotykali znajomą

twarz, on pozdrawiał przechodnia za oboje, wznosząc potężne ramię jak faszysta. Boże, miej w opiece mężczyznę, który ośmielił się zagaić ją śmielszym słowem albo rzucić z podziwem fiu! fiu!, podczas tych rzadkich wypadków, kiedy była sama: odwracała wtedy ku niemu twarz i spluwała jak uliczna zdzira, a jej oczy płonęły jak u diabła.

— I wiemy, dlaczego! — wykrzyknęła kierowniczką donośnym głosem, kiedy — wciąż wspominając — weszła na zdradziecką grań. Sierota ma apetyt na jego spadek. W przeciwnym razie dlaczego dziewczka byłaby komuś wierna?

To wizyta signory Sanders w sklepie spowodowała u Mamy Stefano gruntowne przeszacowanie wartości uczniaka i motywów kierujących sierotą. Sanders była zamożną kobietą, hodowała konie dalej w dolinie, gdzie mieszkała z przyjaciółką, noszącą krótko przystryżone włosy i paski z kółek w spodniach, znaną jako stara-malutka. Ich konie wszędzie zdobywały nagrody. Sanders była bystra, inteligentna i oszczędna na sposób, jaki cenią Włosi, znała każdego spośród zramolałych Anglików, rozsianych po wzgórzach, którego warto było znać. Wpadła niby po to, żeby kupić szynkę, musiało to być z miesiąc temu, ale tak naprawdę szukała uczniaka. „Czy to prawda?

— spytała. — Signor *Gerald* Westerby mieszka tu we wsi? Potężny mężczyzna, włosy pieprz i sól, atletycznie zbudowany, energiczny, arytokrata, nieśmiały?" Jej ojciec, generał, znał jego rodzinę w Anglii, rzekła; przez pewien czas mieszkali po sąsiedzku na wsi, ojciec uczniaka i jej. Pani Sanders nosiła się z zamiarem złożenia mu wizyty: czy uczeń mieszka sam? Kierowniczką mruknęła coś o sierocie, ale Sanders to nie zraziło.

— Och, Westerby'owie zawsze byli kobieciarzami — powiedziała ze śmiechem i odwróciła się do wyjścia.

Kierowniczką oniemiała. Zatrzymała Angielkę, po czym zasy-pała ją pytaniami.

Ale kim on jest? Co robił w młodości? Był dziennikarzem, odrzekła Sanders i opowiedziała o rodzinie wszystko, co wiedziała: ojciec — postać bardzo malownicza, jasnowłosa jak syn, hodował konie, spotkała go ponownie tuż przed jego śmiercią i nadal był pełen wi-goru. Tak jak syn, nigdy nie usiedział w jednym miejscu: kobiety i domy, cały czas je zmieniał, zawsze wrzeszczał na kogoś, jeśli nie na syna, to na kogoś po drugiej stronie ulicy. Kierowniczką naciskała dalej. Ale sam z siebie, czy sam z siebie uczeń jest kimś wyjątkowym? No cóż, pracował, rzecz jasna, dla pewnych wyjątkowych gazet, odrzekła Sanders uśmiechając się tajemniczo.

— Anglicy z reguły niezbyt cenią dziennikarzy — wyjaśniła ze swoim klasycznym, rzymskim akcentem.

Ale kierowniczką koniecznie chciała wiedzieć więcej, o wiele więcej. Jego pisanina, jego książka, o czym *to* jest? Tak długo! I tyle zmarnowanego papieru! Pełne kosze, powiedział jej o tym kiedyś śmieciarz — bo nikt przy zdrowych zmysłach nie zapaliłby tam ognia latem. Beth Sanders rozumiała ożywienie samotnych ludzi i wiedziała, że na pustkowiu ich inteligencja musi się skupiać na drobnych sprawach. Tak więc postanowiła pójść kierownicze na rękę. No cóż, rzekła, podchodząc z powrotem do lady i kładąc na niej swe sprawunki, ustawicznie *podróżował*, dziś, rzecz jasna, wszyscy dziennikarze podróżują, śniadanie w Londynie, obiad w Rzymie, kolacja w Delhi, ale signor Westerby jest wyjątkiem nawet wśród dziennikarzy. Może to zatem książka podróżnicza, zaryzykowała.

— Ale *po co* podróżował? — nie dawała za wygraną kierowniczką, dla której każda podróż ma swój cel. — *Po co?*

— Żeby zobaczyć oblicza wojny — odpowiedziała cierpliwie Sanders: wojny, epidemie i głód.

— Cóż innego robi w naszych czasach dziennikarz, jak nie pisze o nieszczęściach? — spytała.

Kierowniczką pokiwała ze zrozumieniem głową, skupiając wszystkie zmysły na tej rewelacji: syn lorda-koniarza, który wrzeszczał, szalony podróżnik, pisujący dla wyjątkowych gazet! A czy był jakiś kraj, spytała, jakiś zakątek świata, w którym się specjalizował? Myślę, że przeważnie przebywał na Wschodzie, odpowiedziała po chwili namysłu Sanders. Bywał wszędzie, ale są tacy Anglicy, dla których domem jest Wschód. Bez wątpienia to dlatego przyjechał do Włoch. Niektórzy mężczyźni kapcanieją z braku słońca. I niektóre kobiety też, pisnęła kierowniczką, i obie serdecznie się uśmieły.

Och, ten Wschód, dodała, przechylając teatralnie głowę — wojna za wojną, dlaczego papież tego nie powstrzyma? Podczas gdy podążała tym tropem, Sanders coś się najwyraźniej przypomniało. Uśmiechnęła się lekko, po chwili szerzej. Uśmiech wygnańca, przyszło do głowy kierownicze, kiedy tak na nią patrzyła: wygląda jak żeglarz wspominający morze.

— Miał w zwyczaju taszczyć ze sobą worek pełen książek — odezwała się Sanders. — Mawialiśmy, że kradł je z rezydencji różnych arystokratów.

— Ma go i teraz! — wykrzyknęła kierowniczką i opowiedziała, jak Guido napatoczył się na uczniaka czytającego w lesie *contessy*.

Sanders zebrało się na wspominki.

— O ile wiem, chciał zostać powieściopisarzem — powiedziała.
— Pamiętam, co mówił o tym jego ojciec. Był *straszliwie* wściekły, wydzierał się na cały dom.

— Uczniak? *Uczniak był wściekły!* — wykrzyknęła Mama Stefano, teraz już z najwyższym niedowierzaniem.

— Nie, nie, ojciec — zaśmiała się gromko Sanders. W angielskiej drabinie społecznej, wyjaśniła, powieściopisarze stoją nawet niżej od dziennikarzy. — Czy wciąż maluje?

— Maluje? To on jest też malarzem?

Próbował swych sił, odrzekła Sanders, ale ojciec i tego mu zabronił. Malarze są w Anglii najniższymi ze *wszystkich* stworzeń, dodała, znów parszkając: toleruje się jedynie wziętych.

Wkrótce po tych rewelacjach o uczniaku kował — ten sam, w którego sierota cisnęła kuflem — doniósł, że widział Jerry'ego i dziewczynę w stadninie Sanders, dwa razy w jednym tygodniu, a potem trzy razy, i nawet tam jedli. I że uczniak ma dryg do koni, obchodzi się z nimi z naturalną swobodą, nawet z najbardziej naro-wistymi. Sierota nie brała w tym udziału, dodał. Siedziała w cieniu ze starą-malutką: albo czytała coś z worka, albo obserwowała go zazdrosnymi, nieruchomymi oczyma, czekając — jak wszyscy teraz wiedzieli — aż umrze opiekun. I dziś ten telegram!

Jerry zobaczył Mamę Stefano z daleka. Miał instynkt, pewna część jego świadomości nigdy nie przestawała czuć: czarna postać kuśtykająca niestrudzenie niczym kulawy żuk, to w cieniu stojących rzędem cedrów, to w słońcu na zakurzonej ścieżce, w górę wyschniętego kanału przy gajach oliwnych gładkiego Franco, do ich własnego, jak to nazywał, kawałka Włoch, wszystkiego dwieście metrów kwadratowych, jednak wystarczająco dużo, by w chłodne wieczory, kiedy przychodziła im ochota na odrobinę ruchu, uderzyć przywiązaną do palika piłkę tenisową. Niemal od razu spostrzegł niebieską kopertę, którą machała, i doszło go nawet jej utyskiwanie, rozbrzmiewające fałszywie wśród odgłosów doliny: warkotu lambretty i pił taśmowych. Pierwsze, co zrobił, bez przerywania pisania, to rzucił ukradkowe spojrzenie na dom, by się upewnić, czy dziewczyna zamknęła okno w kuchni przed upałem i owadami. Po czym, tak jak to później opisała kierowniczką, zszedł szybko ku niej po stopniach, ze szklanką w dłoni, by wyjść jej naprzeciw, zanim podejdzie zbyt blisko.

Przeczytał telegram powoli, raz jeden, nachyliwszy się, by rzucić cień na kartkę. Jego twarz, obserwowana przez kierowniczkę, sponępniała, stała się zamknięta. Położył jej na ramieniu potężną, miękką dłoń.

— *La sera* — wy dukał ochryplym głosem, prowadząc ją ścieżką z powrotem. Chciał powiedzieć, że wysze odpowiedź jeszcze tego wieczora. — *Mollo grazie*, Mama. Super, wielkie dzięki. Doskonale.

Kiedy się rozstawali, ona wciąż świergotała jak najęta, proponując mu wszelką pomoc pod słońcem: taksówki, tragarzy, telefony na lotnisko, Jerry tymczasem klepał się bezwiednie po kieszeniach spodnek w poszukiwaniu drobnych albo grubych: najwyraźniej zapomniał na moment, że to dziewczyna trzyma kasę.

Uczniak przyjął wiadomość z godnością, doniosła wsi kierowniczką. Z klasą, do tego stopnia, że odprowadził ją kawałek drogą; tak mężnie, że tylko kobieta światowa — i tylko taka, która zna angielski — potrafiłaby dostrzec maskowany ból, tak wielki, że zapomniał dać jej napiwek. Albo może już opanowało go niesłychane skąpstwo, typowe dla bogaczy?

— A jak się zachowała sierota? — pytali. — Nie łkała, nie wzywała imienia Dziewicy, udając, że dzieli z nim jego ból?

— Jeszcze jej o tym nie powiedział — wyszeptła kierowniczką, przypominając sobie, zadumana, przelotny profil dziewczyny okładającej mięso. — Musi dopiero rozważyć, co z nią.

Wieś się uspokoiła, oczekując wieczoru, a Jerry usiadł w polu pełnym szerszeni, wpatrując się w morze i okręcając na pasku worek z książkami, do końca, aż zaczynał się sam odkręcać.

Najpierw była dolina, a nad nią wznosiło się w półkolu pięć wzgórz, nad wzgórzami zaś rozciągało się morze, które o tej porze dnia było niczym więcej jak brązową plamą na niebie. Pole szerszeni, na którym siedział, było długą, obramowaną kamieniami terasą ze zniszczoną stodołą, która podczas pikników i opalania służyła im za schronienie. Dostrzegli stodołę dopiero wtedy, gdy w jednej ze ścian zagnieździły się szerszenie. Sierota spostrzegła je podczas rozwieszania prania i pobiegła do Jerry'ego, by mu o tym powiedzieć, a on bez namysłu chwycił wiadro zaprawy z domu gładkiego Franco i wypełnił nią wszystkie wejścia do gniazda. Potem ją zawołał, żeby podziwiała jego robotę: mój mężczyzna, jak on mnie ochrania. Widział ją wyraźnie we wspomnieniu: stała skulona u jego boku, drżała, wpatrzona w nowy cement i wsłuchana w odgłosy oszalałych wewnątrz szerszeni. „Jezu, Jezu”, szeptała, zbyt przestraszona, by się poruszyć.

Może na mnie zaczeka, pomyślał.

Przypomniał sobie dzień, kiedy ją spotkał. Wspominał to wydarzenie często, bo jeśli chodzi o kobiety, to brakowało mu fartu, więc gdy już go miał, lubił, jak sam mawiał, smakować go na języku. Czwartek. Jak zwykle podjechał autostopem do miasteczka,

żeby zrobić drobne zakupy, a może żeby zobaczyć parę nowych twarzy i na chwilę odpocząć od pisania albo wyrwać się na moment z wrzaskliwej monotonii pustego krajobrazu, który coraz częściej był dla niego jak więzienie, i to z osobną celą, lub być może, niewykluczone, chciał poderwać jakąś babkę, co mu się czasami zdarzało, gdy kręcił się po hotelowym barze. Siedział zaczytany na rynku — karafka, talerz szynki, oliwki — i nagle uświadomił sobie obecność chudego, smukłego dzieciaka — rude włosy, posępna buzia, brązowa sukieneczyna podobna do mniszego habitu i torba zrobiona z wykładziny dywanowej.

Wygląda nago bez gitary, pomyślał.

Przypominała mu mgliście jego córkę Cat, to zdrobnienie od Catherine, ale tylko mgliście, bo nie widział małej od dziesięciu lat, to znaczy od czasu, kiedy rozleciało się jego pierwsze małżeństwo. Dlaczego właściwie jej nie widywał, nie potrafił teraz dokładnie powiedzieć. W pierwszym szoku po rozstaniu błędne poczucie rycerskości kazało mu myśleć, że dla Cat będzie lepiej, jeśli o nim zapomni. „Musi mnie wyrzucić z pamięci. Jej serce powinno być tam, gdzie jej dom”. Kiedy jej matka powtórnie wyszła za męża, polityka wyrzeczeń stała się jeszcze bardziej wskazana. Ale czasami tęsknił za nią okropnie i to prawdopodobnie dlatego zwrócił na dziewczynę więcej niż przelotną uwagę. Czy Cat też tak łązi, samotna, najeżona ze zmęczenia? Czy wciąż ma piegi i szczękę jak kamyczek? Później dziewczyna powiedziała mu, że jest na gigancie. Dostała pracę guwernantki u jakiejś zamożnej rodziny we Florencji. Matka była zbyt zajęta kochankami, by zaprzętać sobie głowę dziećmi, za to ojciec miał mnóstwo czasu — dla guwernantki. Złapała więc całą forszę, jaką udało się jej znaleźć, i dała dyla, i oto jest: bez rzeczy, z policją na karku i z ostatnim wymiętym banknotem na solidny obiad przed zatraceniem.

Na rynku nie było tego dnia na kim zawiesić oka — właściwie nigdy nie było — i zanim mała usiadła, zdążyli się do niej przystawić niemal wszyscy sprawni fizycznie faceci w miasteczku, poczynawszy od kelnerów, mrużących „piękna panienka” i jeszcze inne, znacznie bardziej grubiańskie słowa, których sens umykał Jerry'emu, ale które wzbudzały szyderczy śmiech dokoła. Nagle jeden z nich spróbował uszczypnąć dziewczynę w pierś, na co Jerry podniósł się i podszedł do jej stolika. Nie był typem bohatera, wręcz przeciwnie w swoim mniemaniu, ale mnóstwo myśli kłębiło mu się w głowie, i przecież to równie dobrze mogłaby być Cat, przyciśnięta do muru. Zatem: gniew. Jedną ręką pacnął więc w ramię małego kelnera, przystawiającego się do dziewczyny, a drugą większego, który przyklaskiwał tym aktom męstwa, i wyjaśnił im, kiepskim włoskim, ale w rozsądny sposób, że powinni przestać się naprzykrzać i dać pięknej panience

zjeść w spokoju obiad. W przeciwnym razie złamie im te ich małe za-
tłuszczone karki. Nie można powiedzieć, żeby po tych słowach zapanowała
szampańska atmosfera, mały najwyraźniej miał nawet ochotę do bójki, bo
jego rękę uparcie ciągnęło do tylnej kieszeni spodni, pod połę marynarki,
ale przyjrząwszy się dobrze Jerry'emu, rozmyślił się. Jerry rzucił na stół
zapłatę, wziął torbę dziewczyny, wrócił do stolika po swój worek i
poprowadził małą przez plac do Apolla, niemal unosząc ją nad ziemią.

— Jesteś Anglikiem? — spytała po drodze.

— Wiejscy amanci — prychnął wściekły i wtedy zobaczył po raz
pierwszy, jak się uśmiecha. Był to uśmiech, na który warto było pracować:
jej koścista drobna twarz rozjaśniała się jak buzia ulicznika pod warstwą
brudu.

Kiedy już trochę ochłonął, nakarmił ją, a gdy uspokoił się całkowicie,
spróbował nawiązać rozmowę, bo czuł, że po tygodniach bez treści
powinien otworzyć do kogoś usta. Wyjaśnił jej, że jest pismakiem, obecnie
na zielonej trawce, i że pisze powieść, że to jego pierwszy strzał, że palce
go do tego świerzbiły od dawna i że forsa, którą dostał na odprawę od
gazety, kończy mu się — śmiechu warte, powiedział, bo całe życie jest
odprawiany z kwitkiem.

— To jak chusteczka na otarcie łez — rzekł. Część poszła na dom,
część przejadł i teraz została już tylko niewielka kupka złota. I wtedy
uśmiechnęła się po raz drugi. Zachęcony, poruszył kwestie samotności w
dziale tworzenia: — Mówię ci, Jezu, nie uwierzyłybyś, ile to potu kosztuje,
żeby to z człowieka wyszło, te sprawy...

— Jakież żony? — spytała, przerywając mu. Przez chwilę myślał, że
ona wczytuje się w powieść, ale nagle dostrzegł jej podejrzliwe oczy, więc
odpowiedział ostrożnie:

— Sprawy wygasłe. — Jakby żony były wulkanami. W świecie
Jerry'ego tym właśnie były. Po lunchu, kiedy szli przez plac, nieco do siebie
przyklejeni w ostrym słońcu, złożyła jedną deklarację:

— Wszystko, co mam, jest w tej torbie, kapujesz? — powie
działa. To o torbie z wykładziny. — I chcę, żeby tak zostało, więc
żebyś nie dawał mi niczego, czego nie mogę unieść. Rozumiesz?

Gdy doszli na przystanek, powałęsała się wokół, a kiedy nadszedł
autobus, wsiadła za Jerrym i pozwoliła kupić sobie bilet. Gdy wysiedli,
ruszyła pod górę u jego boku, Jerry z workiem książek, ona ze swoją torbą,
i tak to było. Przez trzy noce i większość dnia spała; czwartego wieczora
przyszła do niego. Zupełnie się tego nie spodziewając zamknął wcześniej
drzwi do pokoju: miał tę obsesję na temat drzwi i okien, szczególnie w
nocy. Musiała walnąć pięścią kilka razy i krzyknąć:

— Na miłość boską, wpuść mnie do tej swojej cholernej koi.

— Nigdy mnie nie okłamuj — ostrzegła, gramoląc mu się do łóżka, jakby mieli coś wspólnie świętować w akademiku. — Żadnych słów, żadnych kłamstw, rozumiesz?

Jako kochanka była niczym motyl, wspominał: przypominała Chinki. Zwiewna, nigdy nie zastygała w bezruchu, tak otwarta, że się o nią bał. Kiedy powychodziły robaczki świętojańskie, przyklękli na parapecie, przypatrując się im, i Jerry pomyślał o Wschodzie. Cykady cykały, żaby rechotały, ogniki robaczek nurkowały w plamę czerni przed nimi, zataczając kręgi, a oni dwoje klęczeli tam nadzy przez godzinę, a może i dłużej, wpatrzeni i wsłuchani, podczas gdy gorący księżyc spłynął na stoki wzgórz. Nigdy nie rozmawiali w takich chwilach, nie postanawiali niczego, czego byłby świadom. Ale przestał zamykać drzwi.

Muzyka i walenie w mięso ucichły, ale rozległo się za to wołanie dzwonów, na wieczorne nabożeństwo, jak przypuszczał. W dolinie nigdy nie zapadała cisza, ale teraz dzwony brzmiały donośniej z powodu rosy. Podeszedł do metalowego palika z piłką, szarpiąc za sznurek, po czym kopnął piłkę od spodu swoim starym butem z kozłej skóry, przypominając sobie, jak gibkie ciało dziewczyny śmigało przy strzałach, a mniszy habit falował.

— Najważniejsze jest słowo „opiekun” — powiedzieli mu. — „Opiekun” oznacza drogę powrotną. — Jerry zawahał się przez chwilę, spoglądając w dół na niebieską dolinę, którą biegła droga do mia sta i na lotnisko, prawdziwa, nie metaforyczna, szemrząca i prosta jak kanał.

Według swego mniemania nie był człowiekiem myśli. Dzieciństwo spędzone na wysłuchiwaniu wrzasków ojca szybko go nauczyło, ile są warte wielkie idee, i wielkie słowa też. Może właśnie to przede wszystkim pociągało go w dziewczynie, pomyślał. Ciągle to powtarzała: „Nie dawaj mi niczego, czego nie mogłabym unieść”.

Może. A może nie. Znajdzie sobie kogoś. Zawsze się kogoś znajduje.

Już czas, pomyślał. Pieniądze się skończyły, powieść poroniona, dziewczyna zbyt młoda: no, dalej. Już czas.

Czas na co?

Czas! Czas, by znalazła sobie młodego byczka zamiast zajeżdzać starego. Czas, by obudził się w nim duch obieżyświata. Czas zagrać pobudkę. Obudzić wielbłądy i w drogę! Bóg wie, że Jerry zrobił to już raz czy dwa. Rozbił stary namiot, osiadł gdzieś na chwilę, po czym ruszał dalej; przykro mi, kobitko.

To rozkaz, powiedział sobie. Tacy jak ja nie są od myślenia. Roz-' lega się gwizdek i zbiórka. Koniec gadania. *Opiekun*. Dziwne, czuł, że to nadchodzi, zawsze tak samo, pomyślał, wciąż wpatrzony w zamazaną dolinę. Żadne wielkie przeżycie, nic z tych bzdetów, po prostu wycucie czasu. Pora. A jednak zamiast radosnej ochoty do działania jego ciało opanowała ospałość. Poczul się nagle zbyt zmęczony, zbyt gruby, zbyt śpiący, by jeszcze kiedyś się poruszyć. Mógłby się tu położyć, tu, gdzie teraz stoi. Mógłby spać na ostrej trawie, aż dziewczyna go obudzi albo zapadnie mrok.

Kicz, powiedział sobie, najzwyczajniejszy kicz. Wyjąwszy telegram z kieszeni, wszedł energicznie do domu, wołając ją po imieniu:

— Hej, kobitko! Mała! Gdzie jesteś? Złe nowiny. — Podał jej telegram.

— Koniec pieśni — rzekł i podszedł do okna, żeby nie widzieć, jak czyta.

Stał tam, aż usłyszał szelest rzuconego na stół papieru. Wówczas się odwrócił, bo nic innego mu nie pozostało. Nie powiedziała nic, wcisnęła jedynie skrzyżowane ręce pod pachy i tylko mowa jej ciała była ogłuszająca. Widział, jak jej palce gwałtownie się poruszają, usiłując się na czymś zamknąć.

— Dlaczego nie posuniesz do Beth na jakiś czas? — zaproponował. — Przyjmie cię z otwartymi ramionami. Bardzo cię lubi, będziesz mogła u niej zostać, jak długo zechcesz.

Stała tak z założonymi rękoma, dopóki nie zszedł w dolinę wysłać telegram. Zanim wrócił, zdążyła wyjąć jego garnitur, ten niebieski, z którego zawsze się naśmiewali — nazywała go strojem więziennym. Drżała, a twarz jej zbladła i poszarzała jak wtedy, gdy zrobił porządek z szerszeniami. Kiedy spróbował ją pocałować, była zimna jak marmur, więc nie nalegał. Noc przespalili razem i to było gorsze niż bycie samemu.

Mama Stefano oznajmiła nowiny w porze lunchu, z zapartym tchem. Jego uczniowska mość wyjechał, rzekła. Miał na sobie garnitur. Dźwigał walizkę, maszynę do pisania i worek z książkami. Franco zabrał go furgonetką na lotnisko. Sierota pojechała z nimi, ale tylko do wylotu szosy na autostradę. Wysiadając nie powiedziała mu nawet żegnaj, tylko usiadła przy drodze, jak śmieć, którym była. Przez chwilę, po tym, jak ją wyrzucili, ucniak był cichy i zamyślony. Ledwo do niego docierały naiwne, bezpośrednie pytania Franco i bez przerwy mierzwił swoją jasną grzywkę — Sanders nazwała ją pieprz i sól. Na lotnisku, mając przed odlotem godzinę wolnego czasu, zasiedli razem do buteleczki wina i partyjki domina, ale kiedy Franco

spróbował zedrzyć z niego za kurs, uczeń okazał niezwykle grubiaństwo, nareszcie targując się jak prawdziwy bogacz.

Franco jej o tym powiedział, rzekła: jej najserdeczniejszy przyjaciel, oskarżany fałszywie o pederastię. Czyż nie broniła go zawsze, eleganckiego Franco, ojca jej niedorozwiniętego syna? Owszem, dochodziło do nieporozumień między nimi — między kim nie dochodzi? — ale niech jej wymienia, jeśli mogą, nazwisko chłopca bardziej prawego, pracowitszego, mającego więcej uroku i lepiej ubranego od Franco, jej przyjaciela, jej mężczyzny!

Uczeń pojechał po spadek, rzekła.

Rozdział 3

KOŃ GEORGE'A SMILEYA

Tylko George Smiley, powiedział Roddy Martindale, pulchny dowcipniś z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, mógł dać się mianować kapitanem tonącego okrętu. I tylko Smiley, dodał, mógł spotęgować ból tego awansu, wybierając tę samą chwilę na porzucenie pięknej, acz niekiedy błędzącej żony.

Na pierwszy, a nawet drugi rzut oka George Smiley nie wydawał się odpowiedni ani do jednej, ani do drugiej roli, jak szybko zauważył Martindale. Był baryłkowanym i w drobnych sprawach bezradnie nieśmiałym mężczyzną. Wrodzony brak pewności siebie przydawał mu czasem śmiesznej powagi, i dla ludzi z fantazją Martindale jego powściągliwość jawiła się jako nieustanny wyrzut. Był też krótkowidzem, i każdy, kto by go zobaczył w tych pierwszych dniach po holocaustie, wspieranego przez swego smukłego i mrukawatego lokaja, Petera Guillama, w idealnie okrągłych okularach i żalobnym stroju urzędnika państwowego, jak dyskretnie wędruje po co bardziej bagiennych bezdrożach Whitehallu lub też tkwi pochylony nad stosem papierów o każdej porze dnia i nocy w swojej sali tronowej na piątym piętrze edwardiańskiego mauzoleum przy Cambridge Circus, którym teraz dowodził, pomyślałby, że to on, a nie martwy Haydon, rosyjski szpieg, zasługuje na miano kreta. Po długich godzinach pracy w tym na poły wyludnionym budynku wory pod jego oczami przemieniały się w sińce; rzadko się uśmiechał, choć nie brakowało mu poczucia humoru, i zdarzało się, że zwykły ruch uniesienia się z krzesła zdawał się go wyczerpywać. Stanąwszy na

nogi, nieruchomiał, z lekko rozwartymi ustami, wydawał małe, szczelinowe „uh” i dopiero wtedy ruszał z miejsca. Inną jego manierą było bezwiedne wycieranie okularów grubym końcem krawata, przez co jego twarz wydawała się tak niepokojąco naga, że pewną znacznie posuniętą w latach sekretarkę — w ich żargonie zwano takie kobiety „matkami” — niejedną raz oświadczyła ledwo pohamowana chęć, by rzucić się do przodu i uwolnić go od tego niewykonalnego zadania, które najwyraźniej zdecydowany był wykonać.

— George Smiley nie tylko sprzęta stajnię — zauważył ten sam Roddy Martindale podczas lunchu, siedząc przy swoim stoliku w „Garrick” — ale jeszcze dodatkowo dźwiga swego kulawego konia pod górę, niech mnie.

Autorzy innych pogłosek, powtarzanych głównie w tych departamentach, które starały się o spadek po upadającej służbie, okazywali mniej szacunku dla jego wysiłków.

— George jedzie na swojej reputacji — mawiano po kilku miesiącach opowiadania tych historii. — Schwytanie Billa Haydona to czysty przypadek.

To był cynk od Amerykanów, twierdzono, nie żaden strzał George[^] w dziesiątkę: to „kuzyni” powinni byli zebrać brawa, ale oni dyplomatycznie usunęli się w cień. Nie, nie, mówili inni, to Holendrzy. Holendrzy złamali szyfr centrali moskiewskiej i przesłali zdobyczą przez łącznika, spytajcie Roddy'ego Martindale'a — tyle że o Cyrku Martindale wiedział akurat najmniej. I tak w kółko, podczas gdy Smiley, pozornie nieświadomy, co się mówi, zatrzymał swoją radę starszych, a oddalił żonę.

Nie mogli w to uwierzyć.

Nie mogli wyjść z osłupienia.

Martindale, który w życiu nie kochał żadnej kobiety, czuł się szczególnie znieważony. Zrobił z tego niezłą sprawę w „Garrick”.

— Co za tupet! On jest nikim, a ona ma w żyłach krew Sawleyów! Pawłowizm, tak to nazywam. Najzwyklejsze pawłowiańskie okrucieństwo. Po tylu latach godzenia się na jej całkiem zrozumiałe grzeszki — popychania jej do nich, zważcie na moje słowa — co robi nasz mały przyjaciel? Odwraca się i z *napoleońską* brutalnością kopie ją w zęby! To skandal. Powiem wszystkim, że to skandal. Jestem czło- wiekiem tolerancyjnym, ufam, że światowym, ale Smiley posunął się za daleko, oj, za daleko.

Tym razem, co nie zdarzało się często, Martindale wiedział, co mówi. Wszyscy mieli dowody przed oczami. Po śmierci Haydona Smileyowie zerwali z przeszłością, puścili w niepamięć sprzeczki i, jako pogodzona para, z powrotem wprowadzili się, z drobnym ceremo-

niałem, do małego domku w Chelsea przy Bywater Street. Próbowali nawet zaistnieć w towarzystwie. Wychodzili, używali życia stosownie do nowego stanowiska George'a; „kuzyni”, jakiś poseł, różni baronowie z Whitehallu, wszyscy u nich jadali i wracali do domu z pełnymi brzuchami; przez kilka tygodni Smileyowie zgrywali nawet lekko egzotyczną parkę w wyższych sferach biurokracji. Aż tu nagle pewnej nocy, niewątpliwie ku strapieniu żony, George Smiley zszedł jej z oczu i rozłożył się obozem na skromnym poddaszu za swoją salą tronową w Cyrku. Wkrótce ponurość tego miejsca zaczęła odciskać swoje piętno na fakturze jego twarzy, jak kurz na cerze więźnia. Tymczasem w Chelsea Ann Smiley usychała z tęsknoty, z bólem przyzwyczajając się do roli porzuconej żony.

Oddanie sprawie, orzekli wtajemniczeni. Mnisia wstrzemięźliwość. George to święty. I to w *jego* wieku!

Bzdury, zareplikowała frakcja Martindale'a. Oddanie *jakiej* sprawie? A co tam zostało, w tym ponurym gmaszysku z czerwonej cegły, co wymagałoby takiej samoofiary? I w ogóle czy jest jeszcze coś takiego *gdziekolwiek* w tym nieludzkim Whitehallu albo, Boże, miej nas w swojej opiece, w tym nieludzkim kraju, co wymagałoby takiego poświęcenia?

Praca, odrzekli wtajemniczeni.

Jaka praca? — rozległy się falsety protestujących samozwańczych sędziów Cyrku, rozpuszczających dokoła, niczym gorgony, strzępy tego, co zasłyszano i podejrzano. Co on tam robi, z siatkami agenturalnymi w strzępach, pozbawiony trzech czwartych personelu, wszystkich oprócz kilku starych wron do parzenia herbatki? Jego zagraniczne placówki puste, jego niewidzialny fundusz zamrożony na amen przez Skarb — mieli na myśli konta operacyjne — i nikogo w Whitehallu czy w Waszyngtonie, kogo mógłby nazwać przyjacielem! Chyba że za jego przyjaciela uważacie tę fikającą świnię Lacona z biura rządu, zdecydowanego iść mu na rękę w każdej sytuacji. Oczywiście, Lacon stanąłby do walki o Smileya: miałby inne wyjście? Cyрк był podstawą potęgi Lacona. Bez niego byłby on — no cóż, tym, czym i tak już był — kapłonem. Naturalnie, że Lacon dałby sygnał do bitwy.

— To skandal — oznajmił rozeźlony Martindale, kosztując wędzonego węgorsa i stek z nerekami oraz klubowe wino, znów droższe o dwadzieścia pensów za butelkę.

Między wieśniakami z Whitehallu a wieśniakami z Toskanii była czasami zdumiewająco niewielka różnica.

Czas nie przepłoszył plotek. Wprost przeciwnie, mnożyły się, żywiąc odosobnieniem Smileya, przedstawiając je jako obsesję.

Pamiętano, że Bill Haydon był nie tylko kolegą George'a, ale także kuzynem Ann i jeszcze kimś więcej. Wściekłość na Haydona, mówili, nie minęła Smileyowi wraz z jego śmiercią: on najzwyczajniej w świecie tańczył na jego grobie. Na przykład osobiście nadzorował sprzątanie osławionego pokoju Haydona, z oknami wychodzącymi na Charing Cross Road, i zniszczenie wszystkich jego rzeczy, co do ostatniej, od miernych obrazów olejnych, namalowanych jego własną ręką, po różne drobiazgi leżące w szufladach biurka, a nawet samo biurko, które rozkazał pociąć na kawałki i spalić. A kiedy zostało to wykonane, wezwał robociarzy Cyrku, by rozebrali ściany działowe. Tak, tak, zapewniał Martindale.

Albo, żeby dać inny przykład i to, prawdę mówiąc, zupełnie wytrącający człowieka z równowagi, to zdjęcie wiszące na ścianie w obskurnej sali tronowej Smileya, sądząc po wyglądzie, zdjęcie paszportowe, tylko powiększone do takich rozmiarów, że według niektórych rzucało upiorne spojrzenie. Jeden z chłopców z Ministerstwa Skarbu zauważył je podczas doraźnego posiedzenia na temat łatania kont operacyjnych.

— Czy to portret Kontroli zrobiony przez wiadomo kogo? — spytał Petera Guillama, jedynie żeby zagadać, bez żadnych złych intencji. No chyba wolno się zapytać? Kontrola, inne imiona nieznane, był legendą tego miejsca, przewodnikiem i nauczycielem Smileya przez całe trzydzieści lat. W rzeczywistości Smiley go pochował, mawiali, bo najtajniejszy z tajnych, podobnie jak i najbogatsi, mają skłonność umierać nie oplakiwani.

— Nie, cholera jasna, to nie jest Kontrola — odwarknęła lokaj Guillam, w ten swój bezceremonialny, lekceważący sposób. — To Karla.

A kim był Karla, kiedy nie był Karlą?

Karla, moi drodzy, to roboczy pseudonim radzieckiego oficera operacyjnego, który zwerbował Billa Haydona i potem go prowadził.

— Też legendarna postać, tyle że, mówiąc delikatnie, innego rodzaju — rzekł Martindale, cały się trzęsąc. — Wygląda na to, że jesteście świadkami regularnej wendety. Nie mogę wyjść ze zdumienia, jak dziecinnie potrafią się zachowywać co poniektórzy.

Nawet Lacon był odrobinę zaniepokojony tym zdjęciem.

— Poważnie, George, dlaczego trzymasz to na ścianie? — za pytał swoim gromkim głosem naczelnika prefektury, wpadłszy pewnego wieczora do Smileya w drodze z siedziby rządu do domu. — Za stanawiam się, co on dla ciebie znaczy? Myślałeś o tym? Nie sądzisz, że to makabreska? Zwycięski przeciwnik? Czy to cię nie przygnębia, kiedy on tak wlepia w ciebie gały?

— No cóż, Bill nie żyje — odparł niejasno Smiley, jak to miał czasem w zwyczaju, podając raczej wskazówkę prowadzącą do jego racji, a nie samą rację.

— A Karla tak, czy o to ci chodzi? — odpowiedział Lacon. — I ty wolisz mieć żywego wroga niż umarłego? Czy to masz na myśli?

Ale w pewnych okolicznościach pytania do George'a Smileya miały zwyczaj przelatywania obok, a nawet, zdaniem jego kolegów, sprawiały wrażenie pytań w złym guście.

Wydarzenie, dzięki któremu bazar Whitehallu obiegiły bardziej konkretne pogłoski, dotyczyło „fretok”, czyli wymiataczy elektroniki. Nie pamiętano gorszego wypadku nepotyzmu. Mój Boże, te łobuzy miały tupet! Martindale, który czekał rok, żeby sprawdzili *jego* gabinet, wysłał skargę do podsekretarza stanu. Napisaną odręcznie, do rąk własnych. Podobnie uczynił jego brat w Chrystusie z Ministerstwa Obrony i niewiele brakowało, bo to samo zrobił Hammer z Ministerstwa Skarbu, tyle że ten albo zapomniał jej wysłać, albo się w ostatniej chwili rozmyślił. To nie była tylko kwestia priorytetów, o nie. Nawet nie zasad. Tu chodziło o *pieniądze, publiczne* pieniądze. Skarb i tak wymienił na nalegania George'a połowę przewodów w Cyrku. Ale najwyraźniej jego obsesja podsłuchu była nieuleczalna. Do tego „fretkom” brakowało personelu, toczyły się dyskusje z pracownikami na temat niecywilizowanych godzin pracy — rany, padały wszystkie argumenty! Beczka prochu, cała ta sprawa.

I co się w końcu wydarzyło? Martindale miał szczegóły w wypielęgnowanym małym palcu. George poszedł do Lacona w czwartek — w tę niesamowitą spiekotę, pamiętacie, kiedy wszyscy praktycznie o mało się nie *przekręcili*, nawet w „Garrick” — i w sobotę — uwaga, w sobotę, a więc *nadgodziny!* — Cyrk już roił się od tych wandalii, rozrywających budynek na kawałki, wkurzających sąsiadów rumorem. Z bardziej rażącym wypadkiem ślepego uprzywilejowania jednych kosztem drugich nie zetknięto się od czasu, no, od czasu, kiedy to wbrew rozsądkowi pozwolili Smileyowi mieć z powrotem tę jego rosyjską badaczkę Sachs, Connie Sachs, dziekana z Oxfordu, nazywaną „matką”, choć przecież nią nie była.

Martindale zadał sobie sporo trudu, by dyskretnie, lub raczej na tyle dyskretnie, na ile potrafił, dowiedzieć się, czy „fretki” cokolwiek znalazły, ale natrafił na mur. W świecie tajnych służb informacja to pieniądze i według tego kryterium, a może nie tylko tego, Martindale, choć chyba nie miał o tym pojęcia, był biedakiem. Tajniki tej operacji znane były nielicznym. To prawda, że Smiley zawitał w czwartek w wyłożonym boazerią gabinecie Lacona z widokiem na St. James's

Park i że dzień był nadzwyczaj upalny jak na jesienną porę roku. Ostre promienie słoneczne lały się na reprezentacyjny dywan, a pyłki kurzu igrały w nich jak maluteńkie rybki tropikalne. Lacon zdjął nawet marynarkę, choć oczywiście nie krawat.

— Connie Sachs przyjrzała się odciskom palców Karli w podobnych wypadkach — oznajmił Smiley.

— *Palców?* — powtórzył Lacon, jakby robienie czegoś palcami było zabronione.

— Jego stylowi pracy. Jego zagrywkom. Wygląda na to, że jeśli to było operacyjnie możliwe, zawsze prowadził w tandemie krety i pluskwy.

— Jeszcze raz, George, dobrze? Tylko tym razem po ludzku.

Kiedy tylko sprzyjały okoliczności, powiedział Smiley, Karla wspierał operacje swego agenta podsłuchem. Wprawdzie, stwierdził z zadowoleniem, w budynku nie zostało powiedziane nic, co mogłoby zniweczyć „obecne plany”, jak je nazwał, ale wnioski były niepokojące. Lacon poznawał teraz także odciski palców Smileya.

— Czy jest coś na poparcie tej raczej wątpliwej hipotezy? — spytał, przyglądając się pozbawionej wyrazu twarzy Smileya znad ołówka trzymanego jak linijka między dwoma palcami wskazującymi.

— Zrobiliśmy inwentaryzację naszej elektroniki — wyznał Smiley, marszcząc czoło. — Brakuje trochę domowego sprzętu. Wygląda na to, że sporo zniknęło podczas zmian w sześćdziesiątym szóstym.

Lacon czekał, wyciągając z niego słowa. — Haydon był w komisji odpowiedzialnej za wykonanie roboty — dokończył Smiley, w ostatnim wyznaniu. — W rzeczywistości był duchem przewodnim. Po prostu, no, po prostu wydaje mi się, że jeśli „kuzyni” by się o tym dowiedzieli, byłaby to ostatnia kropla.

Lacon nie był głupi, a gniew „kuzynów”, podczas gdy wszyscy dokoła starali się ich ugłaskać, był czymś, czego za wszelką cenę należało unikać. Gdyby to od niego zależało, wysłałby „fretki” jeszcze tego samego dnia. Sobota była kompromisem; nie konsultując się z nikim posłał cały zespół, dwunastkę, w dwóch szarych furgonetkach z napisem „Zwalczanie szkodników”. To prawda, że poszatkowali cały budynek na kawałki, stąd te pogłoski, że zniszczyli pokój Haydona. Diabli ich brali, bo był weekend, może rzeczywiście niepotrzebnie zachowywali się tak gwałtownie: na myśl o podatku, który płacili za nadgodziny, burzyła się w nich krew. Ale ich nastrój szybko się zmienił, bo już przy pierwszej „zmiotce” znaleźli pięć mikrofonów, wszystkie co do jednego standardowe cacka z magazynów Cyrku. Haydon rozmieścił je w sposób klasyczny, co przyznał i Lacon, kiedy wpadł dokonać osobiście inspekcji. Jeden w szufladzie nie używanego biurka, jakby włożony tam bez złych zamiarów i zapomniany,

tyle tylko, że biurko stało w pokoju szyfrantów. Inny zbierał kurz na metalowej szafce w sali konferencyjnej na piątym piętrze — czyli, w ich żargonie, „bawialni”. Jeszcze inny wciśnięty był z typowo haydonowską fantazją za rezerwuar w ubikacji dla wyższych oficerów. Druga „zmiotka”, obejmująca ściany nośne, ujawniła jeszcze trzy mikrofony, osadzone głęboko w murarce podczas prac remontowych. Sondy z plastikowymi rurkami wpompowującymi dźwięk. „Fretki” ułożyły je w rzędzie jak myśliwskie trofea. Oczywiście były martwe od pewnego czasu, niemniej ukryte tam przez Haydona i nastawione na częstotliwości, których Cyrk nie używał.

— Sprzęt eksploatowany na koszt Ministerstwa Skarbu — rzekł Lacon z najbardziej cierpkim uśmiechem, pieszcząc w palcach kable, które łączyły kiedyś mikrofony z siecią wysokiego napięcia. — Przynajmniej dopóki George nie wymienił przewodów w budynku. Muszę pamiętać, żeby powiedzieć o tym koledze Hammerowi. Będzie zachwycony.

Hammer, Walijczyk, był najbardziej nieustępliwym wrogiem Lacona.

Za radą Lacona Smiley zrobił małe przedstawienie. Kazał „fretkom” z powrotem podłączyć mikrofony w sali konferencyjnej i dostroić odbiornik w jednym z kilku pozostałych Cyrkowi wozów inwigilacyjnych. Następnie zaprosił trzech z najmniej przychylnych mu biurwasów, w tym Walijczyka Hammera, na przejażdżkę w promieniu pół kilometra od budynku, by posłuchali wyreżyserowanej wówczas rozmowy dwóch tajemniczych pomocników Smileya, siedzących w bawialni. Każde słówko. Nie umknęła im ani jedna sylaba.

Następnie Smiley osobiście zaprzysiągł ich, by dochowali tajemnicy, i dla efektu kazał podpisać deklarację, napisaną naprędce przez administracyjnych. Peter Guillam uważał, że będą siedzieć cicho około miesiąca. Albo krócej, jeżeli się rozpadą, dodał kwaśno.

Lecz jeśli Martindale i jego koledzy na skraju boiska Whitehallu pozostawali w dziewiczej nieświadomości realiów świata Smileya, to ci, którzy znajdowali się bliżej tronu, czuli się równie oddaleni. Im bliżej Smileya, tym krąg go otaczający był mniejszy, na początku zaledwie kilku wybrańców miało dostęp do środka. Wchodząc przez posępne brązowe drzwi Cyrku, z ustawionymi tymczasowo barierkami, obsadzonymi czujnymi odźwiernymi, Smiley nie zrzucał z siebie ani krztyny swego powszedniego odosobnienia. Przez całe dnie i noce drzwi jego małego biura pozostawały zamknięte, a jego jedynymi towarzyszami byli Peter Guillam i krążący ciemnooki totumfacki o nazwisku Fawn, który podczas wykurzania Haydona pełnił wespół z Guillamem funkcję niańki Smileya. Czasami Smiley znikał

tylnym wyjściem, ledwo skinąwszy głową, zabierając ze sobą Fawna, gładką, drobną istotę, i zostawiając Guillauma, by odbierał telefony i zawiadomił go w razie ważnej sprawy. „Matki” przyrównywały jego zachowanie do ostatnich dni Kontroli, zmarłego na posterunku, za sprawą Haydona, na serce. Zgodnie z procesami organicznymi, zachodzącymi w zamkniętej społeczności, w żargonie pojawiło się nowe słowo. Zdemaskowanie Haydona nazywano teraz „upadkiem”, a historia Cyrku została podzielona na tę przed „upadkiem” i po. Wraz ze znikaniem i pojawianiem się Smileya fizyczne podupadanie samego budynku, pustego w trzech czwartych, będącego po wizycie „frettek” w stanie rozkładu, budziło w tych, którzy musieli w nim przebywać, posępne poczucie ruiny, nabierającej w ciężkich chwilach symbolicznego znaczenia. Co „fretki” rozszarpia, tego już nie złożą: to samo, być może tak czuli, tyczy się Karli, którego przykurzone oblicze, przybite do ściany przez ich nieuchwytnego szefa, bezustannie obserwowało wszystkich z ciemności spartańskiej sali tronowej.

To straszne, jak mało wiedzieli. Tak nudne sprawy, jak choćby kwestie personalne, nabrały ogromnego znaczenia. Smiley zamaszystym ruchem skreślał nazwiska i rezydentury; na przykład biednego Tufty'ego Thesingera z Hongkongu, choć Hongkong, będąc dość daleko od sceny sowieckiej, padł jako jeden z ostatnich. Po Whitehallu, terenie, na którym Smiley czuł się nadzwyczaj niepewnie, krążyły pogłoski, że wdaje się w jakieś dziwaczne i raczej nieeleganckie spory na temat warunków zwolnień i powtórných przyjęć. Zdarzało się — biedny Tufty Thesinger jeszcze raz posłużył za najlepszy przykład — że Bill Haydon umyślnie promował spalonych oficerów, co do których mógł być pewien, że nie będą działać z własnej inicjatywy. Czy należało się z nimi rozliczyć według ich rzeczywistej wartości, czy według wyśrubowanej ceny, ustalonej złośliwie przez Haydona? Byli i inni, których w obawie o własną skórę zwolnił pod byle pretekstem. Czy powinni otrzymywać pełną emeryturę? Czy mogli rościć sobie prawo, by ich ponownie zainstalować? Zakłopotani młodzi ministrowie, świeżo u władzy po ostatnich wyborach, podejmowali odważne i sprzeczne decyzje. W konsekwencji smutna procesja skołowaciałych „frontowców”, kobiet i mężczyzn, przeszła przez ręce Smileya, a administracyjni dostali polecenie, by ze względów bezpieczeństwa, jak i chyba smaku, żaden z powracających z zagranicznych rezydentur nie przestąpił progu Cyrku. Smiley nie będzie też tolerował żadnych kontaktów między potępionymi a ulaskawionymi. W związku z tym, przy niechętniej pomocy Walijczyka Hammera z Ministerstwa Skarbu, administracyjni otworzyli tymczasowy punkt przyjęć w wynajętym domu w Bloomsbury, pod przykrywką szkoły języków (Tylko

Za Uprzednim Umówieniem Się) i obsadzili go kwartetem urzędników z księgowości. To ciało nieuchronnie zyskało przydomek Grupa Bloomsbury* i wiadomo było, że czasem, mając wolną chwilę, Smiley nie omieszkiał wślizgnąć się tam i, niczym odwiedzający w szpitalu, złożyć wyrazy ubolewania nie znanym sobie często twarzom. Innym razem, zależnie od nastroju, siedział w kącie zakurzonego pokoju przesłuchań, milczący, zagadkowy, podobny do figurki Buddy.

Co nim kierowało? Czego szukał? Jeśli motorem jego działań był gniew, był to w takim razie gniew wspólny im wszystkim. Siedzieli razem w bawialni po całym dniu pracy, żartując i plotkując, ale kiedy komuś wyrwało się nazwisko Karli albo jego kreta Haydona, zlatywały się im na głowy anioły ciszy i wówczas nawet stara przebiegła Connie Sachs, Moskiewska Baczość, nie mogła zdjąć z nich uroku.

Jeszcze bardziej wzruszające w oczach podwładnych były wysiłki Smileya, by uratować coś z zagłady siatek agenturalnych. Nie minął dzień od aresztowania Haydona i nastąpił zgon wszystkich dziewięciu siatek Cyrku w Związku Radzieckim i Europie Wschodniej. Zapadła śmiertelna cisza w eterze, kurierzy przestali kursować i były wszelkie racje ku temu, by uznać, że jeśli ostali się jeszcze jacyś prawdziwi agenci Cyrku, to do rana zostaną zwinięci. Lecz Smiley gwałtownie przeciwstawił się temu łatwemu pogładowi, podobnie jak nie chciał wierzyć, że Karła i centrala w Moskwie działają ze stuprocentową skutecznością, dokładnością czy logiką. Wiercił dziurę w brzuchu Laconowi, wiercił „kuzynom” w rozległych biurach na Grosvenor Square, upierał się, żeby latać po częstotliwościach, i pomimo gwałtownego protestu Ministerstwa Spraw Zagranicznych — jak zwykle z Roddym Martindale'em na czele — kazał zagranicznym stacjom BBC nadać otwartym tekstem wiadomość instruującą każdego pozostałego przy życiu agenta, który by ją usłyszał i rozumiał hasło wywoławcze, by natychmiast opuścić okręt. Powoli, ku ich zdumieniu, zaczęły napływać lekusieńkie oznaki życia, niczym zniekształcone sygnały z innej planety.

Najpierw „kuzyni”, w osobie podejrzanie prostodusznego szefa tutejszej placówki, Martella, dali znać z Grosvenor Square, że dwoje brytyjskich agentów podąża amerykańską „drogą ewakuacyjną” do starego kurortu Soczi nad Morzem Czarnym, gdzie szykowana jest dla nich łódź, by wykonać to, co cisi ludzie Martella z uporem nazywali „operacją ekstrakcji”. Sądząc po opisie, Martello mówił o Czu-

* Aluzja do kręgu artystycznointelektualnego z początku XX wieku, którego członkowie spotykali się między innymi w domu Wginii Woolf w Bloomsbury (przyp. tłum.).

rajewach, *spiritus movens* siatki „Kontemplacja”, obejmującej Gruzję i Ukrainę. Nie czekając na pozwolenie z Ministerstwa Skarbu, Smiley przywrócił do życia emeryta o nazwisku Roy Bland, krzepkiego eksmarksistowskiego dialektyka i w pewnym okresie „frontowca” Cyrku, który był oficerem prowadzącym siatkę. Powierzył Blandowi, który runął z wysokiego konia w okresie „upadku”, de Silsky'ego i Kaspara, dwa rosyjskie charty, też będących w odstawce, też byłych protegowanych Haydona, żeby pojechali ich przejąć. Byli na pokładzie rafowskiego transportowca, kiedy nadeszła wiadomość, że Czu-rajewowie zostali zastrzeleni przy wypływaniu z portu. Z „operacji eksfiltracji” nici, powiedzieli „kuzyni”. Powodowany współczuciem Martello osobiście zadzwonił z nowiną do Smileya. Był na swój sposób życzliwym facetem, stara szkoła, jak Smiley. Środek nocy i lało jak z cebra.

— Słuchaj, George, nie bierz tego za bardzo do siebie — ostrzegł ciepłym tonem. — Słyszysz mnie? Są ludzie od roboty w terenie i są ludzie od roboty za biurkiem i do nas należy dopilnowanie, żeby ten podział się zachował. W przeciwnym razie wszyscy dostaniemy bzika. Nie możesz sam ich wszystkich powyciągać. To truizm. Pamiętaj o tym.

Peter Guillam, który stał przy ramieniu Smileya, kiedy ten dostał wiadomość, przysięgał później, że Smiley nie okazał niczego po sobie, a Guillam znał go dobrze. Niemniej jednak dziesięć minut później Smiley wyszedł, nie zauważony przez nikogo, a z wieszaka zniknął jego obszerny płaszcz przeciwdeszczowy. Wrócił z nastaniem świtu, przemoknięty do suchej nitki, z płaszczem przewieszonym przez ramię. Przebrawszy się, zasiadł z powrotem za biurkiem, i kiedy Guillam, nie proszony, przydreptał na palcach z herbatą, ku swemu zażenowaniu znalazł przełożonego siedzącego sztywno przed starym tomikiem niemieckiej poezji, z pięściami zaciśniętymi po bokach książki, płaczącego bezgłośnie.

Bland, Kaspar i de Silsky błagali o szansę powrotu do pracy. Wskazali na małego Toby'ego Esterhase'a, Węgry, który jakoś przeszedł weryfikację, i żądali takiego samego potraktowania, ale na próżno. Usunięto ich i więcej o nich nie wspomniano. niesprawiedliwość rodzi niesprawiedliwość. Choć skompromitowani, mogli się jeszcze przydać, ale Smiley nie chciał o nich słyszeć, nie wtedy, nie później, w ogóle nie. W tych dniach Cyrk sięgnął dna. Niejeden — i w Cyrku, i poza nim — był święcie przekonany, że usłyszał ostatnie uderzenie serca angielskich służb specjanych.

Los nie poskąpił jednak Smileyowi odrobiny pocieszenia. Kilka dni po tej katastrofie pewien agent będący w odwrocie usłyszał w Warszawie, w jasny dzień, sygnał emitowany przez BBC i poszedł prosto

do ambasady brytyjskiej. Dzięki ostrym naciskom Smileya i Lacona, wbrew Martindale'owi, facet jeszcze tego samego wieczora wyleciał do Londynu w przebraniu kuriera dyplomatycznego. Nie wierząc w jego historyjkę, Smiley przekazał go Cyrkowym inkwizytorom, którzy, pozbawieni innych zdobyczy, niemal go rozszarpali, ale w końcu orzekli, że jest czysty. Zainstalowano delikwenta w Australii.

Następnie Smiley, wciąż na początku swego panowania, musiał wydać werdykt w sprawie spalonych ośrodków krajowych Cyrku. Instynkt mówił mu, by zamknąć wszystko: kryjówki, teraz już odkryte, „wylęgarnię” w Sarratt, gdzie tradycyjnie odbywało się szkolenie agentów i nowicjuszy, eksperymentalne audiolaboratoria w Harlow, szkołę pirotechniczną w Argyll, „akademię morską” u ujścia Helfordu, gdzie niegdysiejsze wilki morskie uprawiały czarną magię małej żeglugi, jakby to były rytuały wymarłej religii, oraz bazę transmisji radiotelegraficznych w Canterbury. Chciał nawet skreślić ośrodek geniuszy matematycznych w Bath, gdzie łamano szyfry.

— Wszystko do śmieci — powiedział Laconowi, wpadłszy do jego biura.

— A co potem? — zapytał Lacon, zaskoczony gwałtownością, która od klęski w Soczi rzucała się w oczy.

— Od początku.

— Rozumiem — rzekł Lacon, co oczywiście znaczyło, że nie rozumie. Lacon miał przed sobą zestawienia liczbowe z Ministerstwa Skarbu, i zapoznawał się właśnie z nimi.

— „Wylęgarnia” w Sarratt, z powodu, którego niestety nie potrafię odgadnąć, utrzymuje się z budżetu *wojska* — zauważył z namysłem. — Nie z twojego niewidzialnego funduszu. Ministerstwo Spraw Zagranicznych łoży na Harlow — i jestem pewien, że dawno już o tym zapomniało — Argyll jest pod skrzydłami Obrony, która z pewnością nie ma pojęcia o jego istnieniu, poczta płaci za Canterbury, a marynarka za Helford. Bath, co z przyjemnością stwierdzam, też jest finansowane z budżetu Ministerstwa Spraw Zagranicznych, na podstawie osobistego podpisu Martindale'a, dołączonego sześć lat temu, co pewnie wypadło urzędasom z pamięci. Więc jeść nie wołają, mam rację?

— Ale to jałowa ziemia — upierał się Smiley. — Dopóki ich nie zamkniemy, nie zastąpimy ich nowymi. Sarratt zeszło na psy już dawno temu, dni Helford są policzone, Argyll to kupa śmiechu. Jeśli zaś chodzi o matematyków, to praktycznie przez ostatnie pięć lat pracowali na pełen etat dla Karli.

— Mówiąc Karla, masz na myśli centralę w Moskwie?

— Mam na myśli departament odpowiedzialny za Haydona i pół tuzina innych...

— Wiem, co masz na myśli. Ale uważam, że bezpieczniej jest utrzymać te ośrodki, jeśli nie masz nic przeciwko temu. W ten sposób oszczędzimy sobie wycieczek pod naszym adresem, a w końcu *po to są* instytucje, czyż nie? — Lacon stuknął rytmicznie ołówkiem w biurko. W końcu podniósł wzrok i przyjrzał się Smileyowi z lekkim zdziwieniem. — No, no, wykosiliśbyś wszystko, co, George? Aż boję się pomyśleć, co by się stało, gdybyś zaczął machać kosą po mojej stronie pola. Te ośrodki to pozłacana zastawa, jak się ich pozbędziesz, nigdy ich nie odzyskasz. Później, jeśli chcesz, kiedy już będziesz na fali, możesz je sprzedać i kupić coś lepszego. Ale nie wolno sprzedawać, gdy ceny idą w dół, wiesz przecież. Trzeba zaczekać, żeby opchnąć z zyskiem.

Smiley niechętnie poszedł za jego radą.

Jakby tych wszystkich zmartwień było mało, nadszedł pewien czarny poniedziałek, kiedy to rewident z Ministerstwa Skarbu wykrył poważne nadużycia w zarządzaniu niewidzialnym funduszem w ostatnich pięciu latach, zanim został on zamrożony po „upadku”. Smiley był zmuszony urządzić sąd kapturowy. Podczas jego obrad pewien starszy urzędnik z sekcji finansów, wyciągnięty z emeryckich pieleszy, załamał się i przyznał do zgubnej namiętności do dziewczyny z działu rejestracji, która wodziła go za nos. Targany okropnymi wyrzutami sumienia, staruszek poszedł do domu i powiesił się. Wbrew wszelkim radom Guillaume Smiley poszedł na pogrzeb.

Należy jednak zaznaczyć, że po tych fatalnych początkach, po zaledwie kilku tygodniach na urzędzie, George Smiley przeszedł do ofensywy.

Mobilizacja miała po pierwsze wymiar filozoficzny, po drugie teoretyczny, i dopiero po trzecie, dzięki dramatycznemu pojawieniu się zatwardziałego hazardzisty Sama Collinsa, ludzki.

Filozofia była prosta. Zadaniem służby wywiadowczej, obiecał stanowczo Smiley, nie jest gra w chowanego, lecz dostarczanie informacji swoim klientom. Jeśli ona tego nie robi, klienci zwracają się do bardziej operatywnych sprzedawców lub — co gorsza — rozpoczynają amatorskie działania na własną rękę. A służba schodzi na psy. Nie być widzianym na rynkach Whitehallu oznaczało nie być potrzebnym, kontynuował. Gorzej: jeśli Cyrk nie będzie produkował, nie będzie miał towaru na handel wymienny z „kuzynami” ani z innymi siostrzanymi służbami, z którymi tradycyjnie dobijano targu. Nie produkować oznacza nie handlować, a nie handlować oznacza umrzeć.

Amen, odpowiedzieli.

Teoria Smileya — nazwał ją *przesłanką* — jak można zdobyć informacje nie mając do tego środków była w niespełna dwa miesiące po jego wstąpieniu na urząd tematem nieformalnego zebrania niewielkiego wewnętrznego kręgu podwładnych, którzy do pewnego stopnia tworzyli grupę jego zauszników. W bawialni znalazła się cała piątka: Smiley, jego lokaj Peter Guillam, wielka, zaokrąglona Connie Sachs, Moskiewska Baczość, ciemnooki totumfacki Fawn, w czarnych pepegach, obsługujący miedziany samowar i częstujący herbatnikami, i w końcu doktor di Salis, znany jako Szalony Jezuita, najważniejszy spec od Chin w Cyrku. Kiedy Bóg skończył tworzyć Connie Sachs, mawiali dowcipnie, musiał odpocząć, a więc ulepił z resztek di Salisa. Doktor był małą, ciemnową, niechlujną istotką, wyglądającą bardziej na małpkę Connie niż na jej kolegę po fachu, a jego ciało — to prawda — począwszy od nastroszonych srebrnych włosów, sięgających brudnawego kołnierzyka, a skończywszy na wilgotnych niekształtnych palcach, dziobiących wszystko dokoła jak kurczaki, sprawiało silne wrażenie nieudanego tworu. Jeśli Beardsley by go narysował, to owłosionego i na łańcuchu, wyglądającego zza poły ogromnego kaftana Connie. Ale za to di Salis był wybitnym orientalistą, uczonym, a także kimś w rodzaju bohatera, bo część wojny spędził na werbowaniu w Chinach do armii Boga i Cyrku, a część w więzieniu w Changi, za sprawą Japończyków. Oto oni, Grupa Pięciu. Z czasem się ona powiększyła, ale zaczynać tylko w piątkę oznaczało znaleźć się w doborowym towarzystwie, a potem, jak powiedział di Salis, wspominać, że się zaczynało, to jak „mieć legitymację członkowską partii komunistycznej z jednocyfrowym numerem”.

Najpierw Smiley przedstawił rozmiary zniszczeń, co zabrało trochę czasu, tak jak zabiera go przejście po splądrowanym mieście czy zapoznanie się z długą listą zlikwidowanych osób. Zajrzał we wszystkie zakamarki Cyrku, ukazując bezlitośnie, w jaki sposób i — niezrządkiem — kiedy dokładnie Haydon odsłonił ich tajniki swoim moskiewskim pracodawcom. Miał oczywiście nad słuchaczami tę przewagę, że osobiście go przesłuchiwał i że prowadził wcześniej dochodzenie, które zaowocowało zdemaskowaniem. Niemniej to podsumowanie strat stanowiło pewien *tour de force* w dziedzinie analizy destrukcyjnej.

— Zatem nie miejcie złudzeń — zakończył zwięźle. — Ta służba już nigdy nie będzie taka sama. Może być lepsza, ale nie taka sama.

Amen, powiedzieli ponownie i, przygnębieni, zrobili sobie przerwę dla rozprostowania kości.

Osobliwe, wspominał później Guillam, że wszystkie ważne sprawy w tych pierwszych miesiącach rozgrywały się nocą. Bawialnią była

długim pomieszczeniem z krokwiami, z wysoko umieszczonym rzędem okien mansardowych, ukazujących jedynie pomarańczowe wieczorne niebo i zagajnik porzewiałych anten radiowych — pozostałości wojny — których nikt nie uznał za stosowne usunąć.

Przesłanka, zaczął Smiley, kiedy usiedli z powrotem, sprowadza się do tego, że Haydon nie zrobił nic przeciwko Cyrkowi ponad to, co mu kazano, a rozkazy przychodziły tylko od jednego człowieka, Karli.

Według przesłanki Smileya Karla, instruując Haydona, odsłonił luki w wiedzy centrali moskiewskiej, a polecając mu blokować informacje napływające do Cyrku, umniejszać ich znaczenie lub zniekształcać je, lekceważyć albo nawet zupełnie zaprzeczać ich istnieniu, wskazywał tajemnice, których nie chciał ujawnić.

— A więc możemy iść po śladach gumki, prawda, kochanieńki?
— mruknęła Connie Sachs, która jak zwykle chwytiała o kwadrans szybciej niż pozostali.

— Zgadza się, to właśnie możemy zrobić. Iść po śladach gumki.
— Smiley wrócił do wykładu, zostawiając Guillauma bardziej zdeorientowanego niż przed chwilą. Przedstawiając dokładnie niszczyielski szlak Haydona, jego marszrutę — jak to nazwał — sporządzając wyczerpującą listę wybieranych przez niego akt, zbierając ponownie, miesiącami, jeśli będzie trzeba, informacje zdobyte w dobrej wierze przez ośrodki Cyrku i porównując je, w każdym szczególe, z informacjami dostarczonymi przez Haydona klientom z Whitehallu, natrafią na ślady gumki, jak trafnie wyraziła się Connie, i wtedy będzie można ustalić punkt wyjścia Haydona, a więc i Karli, powiedział Smiley.

Kiedy już natrafią na ślady gumki, otworzą się przed nimi niespodziewane możliwości i Cyrk, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, będzie mógł przejąć inicjatywę — czy też, jak ujął to Smiley — przejść ze stanu *reakcji* w stan *akcji*.

Przesłanka, by użyć późniejszych radosnych słów Connie Sachs, oznaczała: „poszukiwanie drugiego cholernego Tutenchamona — George Smiley trzyma zapaloną zapałkę, a my, biedne głupki, machamy łopatami”.

Rzecz jasna, nikomu z nich nie śniło się jeszcze wtedy, by do operacji włączyć Jerry'ego Westerby'ego.

Następnego dnia ruszyli do bitwy, ogromna Connie Sachs w swoim kącie, opryskliwy di Salis w swoim. Jak powiedział di Salis nosowym, pełnym dezaprobaty tonem, w którym czaiła się dzikość: „Przynajmniej wiemy w końcu, po co tu jesteście”. Ich ekipy błędnych

dłubaczy przedzieliły archiwa na dwie części. Connie i jej „bolszom”, jak ich nazywała, przypadła Rosja i satelity. Di Salisowi i jego „żółtkom” — Chiny i Trzeci Świat. To, co się zostało, na przykład raporty źródłowe na temat teoretycznych sojuszników Brytanii, zostało złożone w specjalnej skrzyni do późniejszej oceny. Pracowali, podobnie jak Smiley, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Personel bufetu narzekał, dozorczy grozili, że pójdą do domu, ale stopniowo energia dłubaczy udzieliła się nawet pracownikom pomocniczym, tak że się w końcu zamknęli. Powstała przyjacielska rywalizacja. Pod wpływem Connie chłopaki i dziewczyny z dokumentacji, na których twarzach rzadko gościł uśmiech, nagle nauczyli się podrywać z siebie językiem ich wielkich znajomych spoza Cyrku. Zajadli carscy imperialiści pili kawę bez smaku z kłótliwymi nieortodoksyjnymi szowinistycznymi stalinistami i byli z tego dumni. Lecz najgłębsza odmiana zaszła niewątpliwie w di Salisie, który przerywał teraz nocną pracę krótkimi, lecz wyczerpującymi pojedynkami przy stole ping-pongowym, gdzie stawał przeciwko każdemu, skacząc dokoła jak lepidoptero-log za rzadkimi okazami motyli. Wkrótce praca przyniosła pierwsze owoce, co dodało im sił. W ciągu miesiąca puszczono w ściśle zamknięty obieg trzy raporty, które znalazły uznanie nawet u sceptycznie nastawionych „kuzynów”. Miesiąc później opracowanie w twardej okładkach, zatytuowane *Raport na temat luk w wiedzy Sowieców o zdolności NATO iv zakresie działań morze-powietrze*, zyskało wstrzeмиęźliwe pochwały od dowódców Martella z Langley w Wirginii oraz nagrodę w postaci entuzjastycznego telefonu od niego samego.

— Goerge, mówiłem im! — wrzasnął tak głośno, że telefon zdawał się zbyt dużą ekstrawagancją. — Powiedziałem im: „Cyrk się podniesie”. Uwierzyli mi? Akurat.

Tymczasem Smiley, raz z Guillamem dla towarzystwa, to znowu z opiekuńczym Fawnem, odbywał własne, męczące wędrówki, aż był ledwie żywy ze zmęczenia. Bez rezultatu. Wędrował jednak dalej. Nocą i dniem przemierzał angielskie hrabstwa, przesłuchując dawnych oficerów Cyrku i byłych agentów, będących teraz na zielonej trawce. W Chiswick, siedząc półdupkiem w tanim biurze podróży i rozmawiając szeptem z byłym polskim oficerem kawalerii, pracującym tam za biurkiem, już myślał, że coś błysnęło, ale niczym fatamorgana, obietnica się rozwiła, jak tylko się zbliżył. W Sevenoaks w sklepie z używanym sprzętem elektronicznym pewien Czech sudecki obudził w nim podobną nadzieję, ale kiedy pognał z Guillamem z powrotem, by szukać potwierdzenia w dokumentach Cyrku, okazało się, że aktorzy nie żyją i nie ostał się nikt, kto mógłby poprowadzić ich dalej tym tropem. Z kolei w prywatnej stadninie w Newmarket, ku ledwo pohamowanej wściekłości Fawna, spotkała go, wciąż

goniącego za nie wiadomo czym, zniewaga z ust czerstwego, zawziętego Szkota, protegowanego jednego z jego poprzedników, Alleline'a. Wróciwszy do siebie, Smiley kazał przynieść dokumenty, ale zobaczył tylko, że światelko znowu niknie.

Był to bowiem ostatni, nie wypowiedziany głośno pewnik przesłanki, którą Smiley przedstawił pokrótce w bawialni: że powodem wpadki Haydona nie było nic nadzwyczajnego. Że koniec końców to nie papierkowa robota Haydona, nie sztuczki z raportami, nie utrata kontroli nad niewygodnymi dokumentami spowodowały jego upadek, ale panika. Spowodowała go spontaniczna interwencja Haydona w operację terenową, kiedy to groźba wykrycia jego samego lub być może innego agenta Karli stała się tak wielka, że jego jedyną myślą było wkroczyć, bez względu na ryzyko. To prawidłowość i Smiley pragnął, by powtórzyła się i tym razem. To było właśnie pytanie, które zadawali kolejkowiczom — niewyraźnie, jakby mimochodem — Smiley i jego pomocnicy z Grupy Bloomsbury:

„Czy przypominasz sobie, żeby kiedyś podczas służby powstrzymano cię, według ciebie bez powodu, od podążania śladem operacyjnym?”

To właśnie wytworny Sam Collins, o uśmiešku wiejskiego eleganta, w smokingu, z przyszyżonym wąsikiem i brązowym papierosem, wezwany pewnego dnia na cichą pogawędkę, wypalił:

„Tak, chłopie, jeśli się nad tym zastanowić, to było coś takiego”.

Ale z tą tego pytania i przełomowej odpowiedzi Sama wyłaniała się już krocząca, ogromna postać panny Connie Sachs, rozpoczynającej poszukiwania rosyjskiego złota.

Z kolei w tle za nią, jak zawsze, czaiło się zamglone zdjęcie Karli.

— Mam coś — szepnęła Connie do Petera Guillama przez wewnętrzny telefon pewnego późnego wieczora. — Pewne jak amen w pacierzu.

Nie było to w żadnym razie jej pierwsze znalezisko w tych poszukiwaniach, ani nawet dziesiąte, ale lisi instynkt podpowiedział jej od razu, że to „strzał w dziesiątkę, kochanieńki, zapamiętaj sobie moje słowa”. Zatem Guillam powiedział Smileyowi, a ten zamknął akta w szufladzie, usunął wszystko z biurka i rzekł: — Dawaj ją.

Connie była olbrzymią, kaleką, przebiegłą kobietą, córką i siostrą wykładowcy uniwersyteckiego, sama kimś w rodzaju nauczyciela akademickiego, znaną starszym graczom jako Matka Rosja. Tradycja głosiła, że Kontrola zwerbował ją przy partyjce brydża, gdy jeszcze była zielona, w noc, kiedy to Neville Chamberlain obiecał „pokój naszym czasom”. Gdy Haydon wspiął się na szczyty władzy po plecach

swego protektora Alleline'a, jednym z jego pierwszych i najmądrzejszych ruchów było wysłanie Connie na zieloną trawkę. Connie bowiem wiedziała więcej o tajemnicach centrali w Moskwie niż większość żalonych bydlaków, jak zwykła była ich nazywać, którzy tam działali, a prywatna armia kretów i werbowników Karli zawsze cieszyła się jej szczególnym zainteresowaniem. Nie było dawniej ani jednego sowieckiego odstępcy, którego raporty nie przeszłyby przez jej artretyczne ręce, ani jednego zidentyfikowanego łowcy talentów ze stajni Karli, którego śladem by nie podążała, najmniejszego strzępu informacji w ciągu niemal czterdziestu lat trwania na posterunku, który nie zostałby przez nią przyswojony, umieszczony w głowie wśród różnych śmieci encyklopedycznej wiedzy po to, by w odpowiedniej chwili go wydobyć. Umysł Connie, powiedział kiedyś Kontrola, jakby w przystępie rozpaczy, jest niczym ogromna koperta. Zwolniona, Connie pojechała do Oxfordu i do diabła. Kiedy Smiley wezwał ją ponownie, żyła na dwóch butelkach dziennie, a jej jedyną rozrywką była krzyżówka w „The Times”. Ale tej nocy, na swój sposób historycznej nocy, kiedy tak taszczyła swoje wielkie kształty korytarzem na piątym piętrze ku gabinetowi Smileya, miała na sobie czysty szary kaftan, namalowane różowe ustka, które nie różniły się tak bardzo od prawdziwych, i przez cały dzień nie łyknęła nic prócz miętowych kropli nasercowych, których zapach zostawiała teraz za sobą. Biła od niej, jak uznano potem zgodnie, świadomość, że nastął wyjątkowy dzień. Dźwigała ciężką plastikową torbę, bo nie uznawała skóry. W norze na niższym piętrze, gdzie pracowała, jej kundel, ochrzczony Trot, zwerbowany w przyływie tęsknoty za jego zmarłym poprzednikiem, skamlał płacząco pod biurkiem ku sporemu rozdrażnieniu kolegi z pokoju, di Salisa, który od czasu do czasu ukradkiem częstował zwierzę kopniakiem lub, jeśli był w lepszym humorze, zadowalał się recytowaniem Connie wszystkich sposobów, w jakie Chińczycy przyrządzają smacznie psie mięso. Za edwardiańskimi mansardowymi oknami, kiedy tak je mijała jedno za drugim, padał rześisty późnoletni deszcz, kończący długą posuchę, a ona dostrzegała w tym — jak im później powiedziała — symboliczne, jeśli nie biblijne znaczenie. Krople dudniły o łupkowy dach niczym śrut, rozgniatając suche liście, które na niego spadły. W sekretariacie niewzruszone „matki” robiły swoje, przyzwyczajone do pielgrzymek Connie i wcale im przez to nie bardziej zycziwe.

— Kochanieńkie — mruknęła Connie, machając do nich wielgachną ręką jak królowa. — Co za lojalność, co za lojalność.

Do sali tronowej prowadził jeden stopień w dół — niewtajemniczeni zwykle tracili tam równowagę mimo wyblakłej tabliczki z ostrzeżeniem — i cierpiąca na artretyzm Connie pokonała go jak drabinę, podczas gdy Guillam podtrzymał jej ramię. Smiley przypatrywał się jej, dotykając pulchnymi dłońmi biurka, podczas gdy z namaszczeniem wyjmowała z torby swoje pomoce: nie oko żaby ani paluszki uduszonego noworodka — jak to ujął Guillam — lecz akta, cały stos, wymięte, z adnotacjami, łupy z jej beznamiętnych studiów nad archiwum centrali moskiewskiej, które aż do jej powrotu z krainy umarłych kilka miesięcy wcześniej pleśniały zapomniane za sprawą Haydona przez całe trzy lata. Kiedy je wyciągała, wyglądając poprzipinane do nich karteczki, listy pozostawione przy ścieżce w harcerskich podchodach, uśmiechała się tym swoim pełnym uśmiechem — znów słowa Guillama; ciekawość kazała mu porzucić robotę i przyjść popatrzeć — mrużąc „a tu jesteś, cholero” i „gdzie się zapodziałaś, zarazo”; oczywiście nie miała na myśli ani Smileya, ani Guillama, tylko swoje dokumenty, wyznawała bowiem pogląd, że wszystko jest żywe i krnąbrne, czy to będzie Trot, jej pies, czy krzesło stojące jej na drodze, czy centrala w Moskwie, czy też w końcu sam Karla.

— Wycieczkę z przewodnikiem, kochaniecy — oznajmiła — oto, co miałam. Świetna zabawa. Przypomniała mi się Wielkanoc, kiedy matka zawsze chowała po domu malowane jajka i grała z nami, *dziuszkami*, w „zimno-ciepło”.

Przez następne trzy godziny, podczas których ciemnooki Fawn z uporem przynosił im kawę, kanapki i inne nie chciane co nieco na ząb, Guillam pocił się, by nadążyć za nagłymi zwrotami i przyspieszeniami akcji w relacji Connie z jej niecodziennej podróży. Przekazywała Smileyowi akta, jakby to były karty do gry, ciskając je na blat, po czym chwyciła je z powrotem powykrećaną dłonią tak szybko, że ledwo miał czas rzucić okiem. Jednocześnie nadawała bez przerwy żargonem wytrawnych dłubaczy, który Guillam nazwał „kuglar-skim trajkotem do piątej potęgi”. Sednem jej odkrycia, o ile dobrze się zorientował, było coś, co nazwała rosyjską „żyłą złotą”, sowiecka operacja prania brudnych pieniędzy, dzięki której tajne fundusze lądowały na świeżym powietrzu. Trasa nie była jej znana do końca. Dzięki izraelskiemu kontaktowi miała jeden odcinek, dzięki „kuzynom” drugi, dzięki Steve'owi Mackelvore'owi, nie żyjącemu już rezydentowi w Paryżu, trzeci. Z Paryża ślad prowadził na Wschód, przez Banque de l'Indochine. Dokumenty na ten temat zostały przekazane londyńskiej placówce Haydona, jak nazywano centrum operacyjne, wraz z poleceniem od wyczerpanej sekcji sowietologicznej Cyrku, by je udostępnić i by sprawą zajęli się wywiadowcy w terenie. Ale londyńska placówka ukrećiła jej łeb.

„Potencjalnie szkodliwe dla pewnej zagrożonej placówki”, napisał jeden z popleczników Haydona, i tyle.

— Szuflada i szlus — mruknął Smiley, z roztargnieniem prze rzucając kartki. — Zawsze mamy dobry powód, by nic nie robić.

Na zewnątrz świat spał.

— Właśnie tak, kochanieńki — rzekła Connie bardzo cicho, jakby się bała, że go obudzi.

Akta i skoroszyty porozkładane były teraz po całej sali tronowej. Wyglądało to raczej na scenę kłęski niż zwycięstwa. Przez kolejną godzinę Guillam i Connie patrzyli w milczeniu w przestrzeń lub na zdjęcie Karli, podczas gdy Smiley skrupulatnie wracał po śladach Connie, z napiętą twarzą nachyloną ku lampie — jej grube kontury uwydatnione w snopie światła — z dłońmi brykającymi po papierach, czasem z prawą podniesioną do ust dla poślinienia paka. Raz czy dwa wpatrzył się w Connie i otworzył usta, by coś powiedzieć, ale ona miała gotową odpowiedź, zanim zdążył zadać pytanie. W myśli kroczyła ścieżką u jego boku. Kiedy skończył, oparł się wygodnie, zdjął okulary i przetarł je, tym razem nie grubym końcem krawata, ale nową jedwabną chusteczką wyjętą z górnej kieszonki czarnej marynarki; spędził większość dnia zamknięty na cztery spusty z „kuzynami”, za-murując dziury w murze. Connie rzuciła Guillamowi promienne spojrzenie i wypowiedziała z namaszczeniem swoje ulubione zdanie na temat szefa, które omal nie doprowadzało Guillauma do szału: — Czyż on nie jest boski?

W słowach Smileya zabrzmiała nuta lekkiego sprzeciwu.

— Connie, ale formalne polecenie, by zbadać sprawę, wyszło jednak z londyńskiej placówki do naszej rezydentury w Vientiane.

— Ale to było jeszcze zanim Bill zdążył położyć na tym łapę — odrzekła.

Jakby nie słysząc, Smiley wziął otwarty skoroszyt i podał jej przez biurko.

— A Vientiane wysłało długą odpowiedź. Wszystko jest wykazane w indeksie. Ale my jej nie mamy, więc gdzie ona jest?

Connie nie pofatygowała się, by wziąć z jego rąk dokumenty.

— Wylądowała w niszczarce, kochanieńki — odpowiedziała, rzucając Guillamowi kolejne promienne spojrzenie.

Nadszedł ranek. Guillam przeszedł po budynku, gasząc światła. Tego samego popołudnia wpadł do cichego domu gry na West Endzie, gdzie Sam Collins, przedstawiciel profesji, dla której noc nigdy się nie kończy, znosił trudy emerytury. Guillam spodziewał się, że znajdzie go przy zwykłej popołudniowej partyjce *chemin-de-fer*, był więc zdumiony, kiedy wprowadzono go do rozległego pokoju z napisem

„Kierownictwo”. Sam królował za wspaniałym biurkiem, uśmiechając się szeroko w chmurze dymu z nieodłącznego brązowego papierosa.

— Co ty, cholera, wyrabiasz, Sam? — spytał Guillam teatralnym szeptem, udając, że nerwowo rozgląda się dokoła. — Wykończyłeś mafię, czy co? Jezu!

— Och, to nie było konieczne — odrzekł Collins z tym samym łobuzerskim uśmiechem. Włożywszy płaszcz na smoking, wyprowadził Guillama, nie mogącego się w cichości nadziwić jego nagłemu powodzeniu, ciemnym korytarzem przez drzwi przeciwpożarowe na ulicę, gdzie obydwaj wskoczyli do czekającej taksówki.

„Frontowcy” mają różne sposoby, by maskować uczucia. Sam się uśmiechał, wolniej palił, a jego oczy spoczywając na rozmówcy, wypełniały się ciemnym blaskiem osobliwej pobłażliwości. Był specem od Azji, starym cyrkowcem z długą przeszłością w terenie: pięcioma latami na Borneo, sześcioma w Birmie, kolejnymi pięcioma w północnej Tajlandii i na ostatku trzema w stolicy Laosu Vientiane, wszędzie pod przykrywką handlarza. Tajowie wzięli go dwa razy w obroty, ale puścili, z Sarawaku wyjechał w skarpetkach. Kiedy był w nastroju, opowiadał o wędrownkach wśród górskich plemion północnej Birmy i szczepów Szanów, ale w nastroju był rzadko. Sam należał do ofiar Haydona. Przed pięciu laty nadszedł moment, kiedy dzięki niedbalej błyskotliwości stał się poważnym kandydatem do awansu na piąte piętro — nawet, jak twierdzili niektórzy, na stanowisko szefa, ale Haydon poparł komicznego Percy'ego Alleline'a. Tak więc, zamiast wylądować na szczycie, gnił w terenie, aż w końcu Haydon znalazł sposób, by go odwołać i zdymisjonować za nagłośnione wykroczenia.

— Sam, dzięki, że wpadłeś! Klapnij sobie — powiedział Smiley, naraz jowialny. — Chcesz się czegoś napić? Jaka to pora twojego dnia? Może powinniśmy ci zaproponować śniadanie?

W Cambridge Sam błyskotliwie zrobił specjalizację, zbijając z tropu swych nauczycieli, którzy mieli go dotąd za półidiotę. Zrobił ją, pocieszali się później wykładowcy, całkowicie polegając na pamięci. Lepiej zorientowani mówili jednak zupełnie co innego. Według nich Sam ciągnął romans z nieładną dziewczyną z sekcji egzaminacyjnej, która obdarzyła go, poza innymi względami, także tematami egzaminacyjnymi.

ZAMEK BUDZI SIĘ DO ŻYCIA

Smiley najpierw starał się wybadać Sama, a Sam, który kochał grę w pokera, starał się wybadać Smileya. Niektórzy „frontowcy”, szczególnie ci sprytniejsi, odczuwają perwersyjną radość, gdy nie wiedzą w czym rzecz. Ich maestria sprowadza się do zręcznego operowania odrębnymi fragmentami układanki i nie sięga ani kroku dalej. Sam nie był wyjątkiem. Poszperawszy zawczasu w jego dossier, Smiley wypytał go najpierw o kilka starych, nie śmierdzących spraw i przekonał się, że facet nadal jest w formie i pamięć wciąż go nie zawodzi. Przyjął go sam, ponieważ w obecności kogoś trzeciego byłaby to inna gra, bardziej albo mniej zacięta, ale inna. Później, kiedy sprawa leżała już na talerzu i pozostało jedynie odpowiedzieć na drugorzędne pytania, wezwał z dołu Connie i di Salisa. Guillema też wpuścił. Ale to było później, na razie Smiley w pojedynkę sondował umysł Sama, ukrywając przed nim, że wszystkie dokumenty owej sprawy zostały zniszczone i ponieważ Mackelvore nie żyje, że jest on jedynym świadkiem pewnych kluczowych wydarzeń.

— Dobra, Sam, czy przypominasz sobie może — spytał, uznawszy, że nadeszła odpowiednia chwila — polecenie wysłane z Londynu do ciebie do Vientiane, dotyczące pewnych przekazów pieniężnych z Paryża? Pewnie było to typowe polecenie, by „sprawdzić na miejscu, potwierdzić lub zaprzeczyć”, coś w tym rodzaju. Kojarzysz?

Smiley miał przed sobą stos papierów i było to tylko kolejne pytanie w powolnym ciągu. Kiedy je zadawał, zaznaczał coś ołówkiem, nie patrząc na Sama. Ale tak jak słyszy się lepiej z zamkniętymi oczami, tak teraz Smiley wyczuł, że Sam natężył uwagę: wyciągnął nogi, skrzyżował je, niemal znieruchomiał.

— Miesięczne przelewy do Banque de l'Indochine — odrzekł Collins po stosownej chwili milczenia. — Grube. Wypłacane z konta nadyjskiego konta w paryskim oddziale. — Podał numer konta. — Wypłat dokonywano w ostatni piątek każdego miesiąca. Zaczęło się 23 stycznia czy coś koło tego. Jasne, że kojarzę.

Smiley dostrzegł natychmiast, że Sam szykuje się do długiej rozgrywki: najwyraźniej pamiętał wszystko doskonale, ale nie powiedział wiele; było to raczej wejście do licytacji, a nie szczerza odpowiedź.

Wciąż pochylony nad papierami, rzekł:

— Czy możemy trochę pośłuchać nad tą sprawą? W dokumentach są pewne niezgodności i chciałbym je wyjaśnić.

— Jasne — odrzekł Sam i, rozluźniony, zaciągnął się brązowym papierosem. Obserwował dłonie Smiley'a i od czasu do czasu zerkał — niby obojętnie — na jego twarz. Smiley tymczasem próbował ogarnąć myślą wszystkie kręte ścieżki, którymi chadzają agenci w terenie. Sam mógł ukrywać coś nieistotnego. Być może kręcił z wydatkami i myślał teraz, że to wykryto. Albo zmyślił coś w raporcie, zamiast nadstawić karku w terenie: w końcu miał już te lata, kiedy dba się przede wszystkim o własną skórę. A może było odwrotnie: może poszedł śladem dalej, niż na to zezwoliła centrala. Przyciśnięty do muru, sprzedał informację handlarzom, zamiast zamieścić ją w meldunku. Może ubił na boku interes z „kuzynami” albo może szantażowała go tamtejsza służba bezpieczeństwa — aniołki na nim usiadły, jak ma wiano w Sarratt — i grał na dwie strony, by przeżyć, nie stracić twarzy i emerytury. Smiley wiedział, że aby się nie pomylić, musi pamiętać o tych i setkach innych możliwości. Biurko to bardzo niebezpieczne miejsce do patrzenia na świat.

Zatem, jak zaproponował Smiley, posłęczeli. Polecenie z Londynu, powiedział Sam, było typowe, prawie jak to ujął Smiley. Pokazał mu je stary Mac, który zanim wysłano go do Paryża, był łącznikiem Cyrku w wientiańskiej ambasadzie. Wieczorna nasiadówka w ich melinie. Rutynowa sprawa, choć wątek rosyjski rzucił się w oczy od początku i Sam pamiętał nawet, że powiedział wtedy do Maca: „Londyn pewnie myśli, że to niewidzialny szmal moskiewskiej centrali”, ponieważ zauważył na rozkazie kryptonim sekcji sowietologicznej Cyrku. (Smiley uświadomił sobie, że Mac nie powinien był pokazywać rozkazu Samowi.) Sam pamiętał też, że Mac odpowiedział na to: „Źle zrobili wywalając starą Connie Sachs”, z czym w pełni się zgodził.

Tak w ogóle, rzekł, polecenie nie było trudne do wykonania. Miał już wtedy wtyczkę w banku, dobry kontakt, niech mu będzie na imię Johnny.

— Jest w aktach? — zapytał delikatnie Smiley.

Sam nie odpowiedział i Smiley to uszanował. Jeszcze się taki agent nie narodził, który wpisałby do teczek wszystkie swoje kontakty albo się ich pozbył. Podobnie jak iluzjoniści strzegą tajemnic swych sztuczek, tak „frontowcy” z wrodzoną niechęcią mówią o źródłach swych informacji.

Johnny'emu można było ufać, powiedział Sam dobitnie. Zapisał się chwalebnie kilka razy w zwalczaniu handlu bronią i narkotykami i Sam ręczyłby za niego głową.

— Ty też miałeś w tym swój udział, co? — spytał Smiley z szacunkiem.

A zatem Sam robił na czarno dla tamtejszej agencji antynarkotykowej, uprzytomnił sobie Smiley. Niejeden „frontowiec” to robił, niektórzy nawet za przyzwoleniem centrali: w swoim świecie przyrównywali to do sprzedawania odpadków przemysłowych. To było jak służbowy samochód. A zatem nic wyjątkowego, ale Smiley to sobie zakonotował.

— Johnny był w porządku — powtórzył Sam z tonem ostrzeżenia w głosie.

— Na pewno — odrzekł Smiley równie grzecznie jak przedtem.

Sam opowiadał dalej. Skontaktował się z Johnnym w banku i sprzedał mu jakąś bajeczkę, żeby siedział cicho. Kilka dni później Johnny, który był tam zwykłym urzędniczyzną, sprawdził księgi i dokopał się do kwitów. W ten sposób Sam miał pierwsze ramię ośmiornicy odcięte i wysuszone na haku. I tak to szło, powiadał.

— W ostatni piątek każdego miesiąca na konto niejakiego mon-sieur Delassusa, który zatrzymał się w hotelu „Condor” w Vientiane, przychodził teleksem przekaz pieniężny z Paryża. Pieniądze wypłacano za okazaniem paszportu, numer podany. — Sam jeszcze raz płynnie wyrecytował cyfry. — Bank wysyłał zawiadomienie, Delassus zjawiał się w poniedziałek zaraz po otwarciu, brał pieniądze w gotówce, wkładał je do nesesera i wychodził. Tu ślad się urywał.

— Ile?

— Zaczęło się skromnie, ale szybko poszło w górę. Potem się zatrzymało i znów wzrosło.

— Aż do?

— Dwudziestu pięciu tysięcy dolców w dużych banknotach — odrzekł Sam bez mrugnienia okiem.

Smiley uniósł brwi. — W jednym miesiącu? — spytał, zabawnie zdumiony.

— Wielka gra — odrzekł Sam i zapadł w leniwe milczenie. Sprytnych ludzi, jeśli ich umysł nie działa na pełnych obrotach, charakteryzuje szczególne napięcie, którego czasem nie potrafią ukryć. W tym sensie, mając lampę świecącą prosto w oczy, są w o wiele większym niebezpieczeństwie niż ich głupsi koledzy. — Sprawdzasz mnie z aktami, kolego? — spytał Sam.

— Nie sprawdzam cię, Sam. Wiesz przecież, jak to jest w takich sytuacjach jak ta. Musimy się chwycić brzytwy, szukać igły w stogu siana.

— Jasne — odrzekł Sam ze współczuciem, i kiedy już wymienili ufne spojrzenia, powrócił do opowiadania.

Sprawdził w hotelu „Condor”. Portier był źródłem wiadomości, wszyscy je od niego kupowali. Nie było tam żadnego Delassusa, ale recepcjonista z ochotą wyznał, że wziął w łapę za udostępnienie adresu hotelu. W następnym poniedziałek — który akurat wypadał po

ostatnim piątku miesiąca — Sam kręcił się o stosownej porze przy okienku, gdzie spieniężano czeki podróżne i co tam jeszcze, mając wspaniały widok na wmaszerowującego Delassusa, który okazawszy paszport, włożył przeliczone pieniądze do nesesera i wyszedł do czekającej taksówki.

Taksówki, wyjaśnił Sam, to rzadka zwierzyna w Vientiane. Każdy, kto chciał być nikim, miał kierowcę i samochód, wniosek z tego, że Delassus nie chciał być nikim.

— Jak na razie dobrze? — spytał, przyglądając się z ciekawością piszącemu Smileyowi.

— Bardzo dobrze — odparł Smiley. Podobnie jak jego poprzednik, Kontrola, nigdy nie używał bloczków papieru, tylko osobnych kartek, pojedynczych, oraz szklanego przycisku, polerowanego przez Fawna dwa razy dziennie.

— Zgadza się z dokumentami czy zbaczam?—dopytywał się Sam.

— Powiedziałbym, że trzymasz się kursu — uśmiechnął się Smiley. — Mnie jednak bardziej interesują szczegóły. Wiesz, jak to jest z papierami.

Sam powiedział, że jeszcze tego samego wieczora — znowu w melinie — przyjrzał się wraz z Makiem galerii portretów rosyjskich łobuzów rezydujących w Vientiane i rozpoznał niesympatyczne rysy podsekretarza (d/s handlowych) radzieckiej ambasady: po pięćdziesiątce, wojskowa postawa, żadnych powiązań, nazwisko podane, ale nie do wymówienia, znany w dyplomatycznych kręgach jako „Borys Handlowiec”.

Sam oczywiście miał już na końcu języka owo niewymawialne nazwisko i przeliterował je Smileyowi powoli, żeby ten mógł je zapisać dużymi literami.

— Już? — spytał życzliwie.

— Tak, dziękuję.

— Ktoś zostawił jego kartę personalną w autobusie?—spytał Sam.

— Właśnie — potwierdził Smiley ze śmiechem.

Kiedy nadszedł ważny poniedziałek miesiąc później, Sam postanowił stąpać ostrożnie. Zamiast samemu pomykać na paluszkach za Borysem, wysłał do roboty paru miejscowych tropicieli, którzy specjalizowali się w deptaniu po piętach.

— Koronkowa robota — rzekł. — Żadnego potrząsania drzewem, żadnego buszowania po krzakach, niczego. Laotańczycy.

— Nasi?

— Trzy lata w drużynie — odrzekł Sam. — Dobrzy — kazała mu dodać jego natura agenta, dla którego wszystkie własne wróble to orły.

Tropiciele poszli śladem nesesera. Borys pojechał taksówką, inną tym razem, na przejażdżkę po mieście, a po godzinie wysiadł z po-

wrotem przy głównym placu, niedaleko Banque de l'Indochine. Przeszedł się kawałek, po czym wpadł do innego banku, laotańskiego, wywalil całą sumę na kontuar i wpłacił.

— Tra-la-la — zakończył Sam, zapalając nowego papierosa i nie starając się ukryć lekkiego zdziwienia, że Smiley bada tak dobrze udokumentowaną sprawę.

— Rzeczywiście, tra-la-la — mruknął Smiley, zajęty pisaniem.

I to było na razie tyle, rzekł Sam. Przyczaił się na kilka tygodni, żeby kurz opadł, po czym włączył do akcji swoją współpracowniczkę, by dokończyła robotę.

— Nazwisko?

Podał. Dziewczyna z kraju, doświadczona, przeszkolona w Sar-ratt, była pod handlową przykrywką razem z nim. Przyszła do laotańskiego banku przed Borysem, zaczęła, aż wypisze on formularz, po czym zrobiła małą scenę.

— Jaką? — zapytał Smiley.

— Zażądała, żeby ją obsłużono w pierwszej kolejności — odpowiedział Sam z uśmiechem. Brat Borys, szowinistyczna męska świnią, uważał, że to nie w porządku i zaprotestował. Doszło do wymiany zdań.

Formularz leżał odwrócony na kontuarze i dziewczyna, grając swoją rolę, przeczytała go: wpłata dwudziestu pięciu tysięcy dolarów amerykańskich na konto towarzystwa lotniczego o nazwie Indochar-ter Vientiane SA.

— Aktywa? Garstka wyklepanych DC3, blaszany barak, plik ba-jeranckiego papieru listowego, głupia blondynka do przyjmowania klientów i krewki meksykański pilot, znany w mieście jako Tyci Ri cardo z powodu jego słusznego wzrostu — wyrecytował Sam. — I jak zwykle, anonimowa gromada pracowitych Chińczyków na zapleczu — dodał.

Smiley zamienił się w słuch; usłyszałby teraz, jak opada liść. Zamiast tego uchwycił — w przenośni — odgłos otwierającej się zapory i natychmiast poznał, po rytmie odpowiedzi, po napięciu w głosie Sama, po niewielkich zmianach na jego twarzy i w ruchach, które miały świadczyć o szczerości spowiedzi, że dotarł do jego ostatnich murów obronnych.

W myśli postawił znaczek, postanawiając zatrzymać się na chwilę przy owej firmie lotniczej.

— Ach tak — powiedział beztrzesko. — To znaczy, że słyszałeś o tej firmie wcześniej?

Sam rzucił błokę: — Vientiane nie jest metropolią, chłopie.

— Ale czy o niej słyszałeś?

— Wszyscy znali Tyciego Ricarda — odparł Sam, uśmiechając się szerzej niż dotąd i Smiley pojął w mig, że Sam sypie mu piaskiem w oczy. Ale nie zmienił stylu gry.

— To powiedz mi o nim — poprosił.

— Jeden z byłych błaznów „Air America”. Roilo się od nich w Vientiane. Walczyli w tajnej wojnie w Laosie.

— I przegrali ją — odrzekł Smiley, znów coś pisząc.

— Osamotnieni — dopowiedział Sam, przyglądając się, jak Smiley odkłada na bok jedną kartkę i sięga do szuflady po nową. — Ricardo był miejscowym bohaterem. Latał z kapitanem Rockym i resztą. Zapisał się w kilku wypadach do Junanu na polecenie „kuzynów”. Kiedy wojna się skończyła, objął się trochę, a potem związał z Chińczykami. Nazywał tę swoją firmę „Air Opium”. Kiedy Bill ściągnął mnie do domu, przeżywali rozkwit.

Smiley nadal pozwalał Samowi mówić. Jak długo Sam będzie myślał, że wodzi Smileya za nos, tak długo będzie nawijał, jeśli zaś wyczuje, że zbliża się on do sedna, zamknie się jak ślimak w skorupie.

— Dobra — powiedział więc uprzejmie Smiley, skończywszy pilne pisanie. — Wróćmy teraz do tego, co zrobiłeś potem, dobrze? Mamy pieniądze, wiemy, dla kogo są, wiemy, kto je przekazuje. Jaki był twój następny ruch?

No cóż, jeśli Sam pamiętał dobrze, to przez dzień czy dwa analizował sprawę. Były w niej zagwozдки, wyjaśnił, co nieco dawało do myślenia. Zagadka numer jeden to Borys Handlowiec. Facet był *bonafide* dyplomatą, jeśli coś takiego w ogóle istnieje, żadnych powiązań z innymi firmami. A jednak chodził sobie samopas, miał wyłączność na walizkę pieniędzy. Już każda z tych rzeczy z osobna, według skromnej opinii Sama, to definicja słowa „agenciak”.

— A dwie naraz to nie agenciak, tylko jakiś cholerny bonza. Czerwozęby, czterogwiazdkowy mocodawca, pułkownik albo wyżej, mam rację?

— A inne zagwozдки? — spytał Smiley, trzymając Sama na dłużej wodzy, wciąż nie chcąc tknąć tego, co ten uważał za sedno sprawy.

— Pieniądze nie były głównym daniem — rzekł Sam. — To była przystawka. Mac tak twierdził. Ja też tak twierdzą. Wszyscy tak twierdzili.

Smiley uniósł głowę jeszcze wolniej niż za pierwszym razem.

— Jak to? — spytał, patrząc wprost na Sama.

— Jawna placówka radziecka w Vientiane posiadała konta w trzech bankach. „Kuzyni” mieli wszystkie trzy na podsłuchu. Od lat. Wiedzieli o każdym wyjmowanym cencie, a nawet, znając numery kont, czy szedł on na wywiad czy na wywrotowców. Placówka

miała własnych ludzi do noszenia szmalu i system trzech podpisów dla każdej wypłaty powyżej tysiąca dolców. Jezu, George, przecież to wszystko jest w papierach!

— Sam, chciałbym, żebyśmy przyjęli, że papierów nie ma — rzekł bardzo poważnie Smiley, wciąż pisząc. — Dowiesz się wszystkiego w swoim czasie, ale na razie wytrzymaj.

— Co tylko każesz — odrzekł Sam odetchnąwszy, co nie uszło uwagi Smileya. Najwyraźniej poczuł grunt pod nogami.

Właśnie wtedy Smiley zaproponował, żeby rozmowie mogła się przysłuchiwać Connie, i może też di Salis, jako że przecież południowo-wschodnia Azja to jego działka. Podyktowały to względy taktyczne — chciał się jeszcze zastanowić nad sekretem Sama — i strategiczne — pozostali też powinni usłyszeć jego rewelacje. Zatem Guillam poszedł po nich, a Smiley z Samem rozprostowali kości.

— Jak tam firma? — zagadnął Sam.

— Hm, trochę podupadła — przyznał Smiley. — Tęsknisz?

— To Karla, prawda? — spytał Sam, przyglądając się zdjęciu.

Smiley natychmiast przybrał profesorski, rozkojarzony ton.

— Kto? Ach to, tak, tak. Niestety niezbyt wyraźne, ale na razie lepszego nie mamy.

Równie dobrze mogliby podziwiać starą akwarelę.

— Masz coś do niego osobiście, prawda, George? — spytał Sam, zamyślony,

W tej chwili do pokoju wyspali się Connie i di Salis, prowadzeni przez Guillama, wspierani przez małego Fawna, niepotrzebnie przytrzymującego im drzwi.

Ponieważ sekret Sama usunął się chwilowo w cień, zebranie stało się czymś w rodzaju narady wojennej: rozpoczynało się polowanie. Najpierw Smiley streścił opowieść Sama, wyjaśniając w trakcie mimochodem, że zachowują się, jakby nie było dokumentów tej sprawy — zawołowane ostrzeżenie dla nowo przybyłych, rzecz jasna — następnie Sam podjął urwany wątek zagwozdek, to znaczy szczegółów, które dawały mu do myślenia, choć naprawdę, przekonany, niewiele zostało już do powiedzenia. Ślad prowadził do „Indocharter SA” i tam się urywał.

— To była chińska firma — powiedział, rzucając spojrzenie na di Salisa. — Przeważnie szantouczycy.

Na to słowo di Salis wydał okrzyk — na poły śmiech, na poły lament. — Och, oni są najgorsi z najgorszych — stwierdził, mając na myśli to, że najtrudniej ich złamać.

— To było chińskie przedsiębiorstwo — powtórzył Sam reszcie — a wariatkowa w południowo-wschodniej Azji pękają w szwach

od sumiennych agentów, którzy próbowali poznać żywot gorących pieniędzy, jak już trafiły one do żołądka chińskich firm. — Szczególnie, dodał, należących do szantouczyków albo czuczouczyków, którzy są odrębnym narodem i którzy kontrolują handel ryżem w Tajlandii, Laosie i kilku innych miejscach. „Indocharter”, rzekł, to nieodrodne dziecko rodziny. Dzięki handlowej przykrywce mógł się trochę w nich wgryźć.

— Najpierw w Paryżu zostało zarejestrowane *societe anonyme*. Potem *societe*, a to pewna wiadomość, stało się własnością szanghajskiej firmy handlowej z siedzibą w Manili, dyskretnie lokującej na prawo i lewo, która sama z kolei była własnością czuczouckiej firmy zarejestrowanej w Bangkoku, kontrolowanej przez nad wyraz amorficzną instytucję z Hongkongu o nazwie „China Airsea”, notowaną na tamtejszej giełdzie, posiadającą wszystko, od flot dżonek przez cementownie, konie wyścigowe, po restauracje. Jak na warunki hongkongskie, „China Airsea” oznaczała bezpieczne akcje, była firmą z tradycją, o mocnej pozycji — powiedział Sam — i prawdopodobnie je dyny związek pomiędzy „Indocharter” a „China Airsea” stanowiło to, że ktoś miał pięciu braci, a najstarszy miał przyszywaną ciotkę, która chodziła kiedyś do szkoły z jednym z udziałowców i była mu winna przysługę.

Di Salis jeszcze raz szybko kiwnął głową, potwierdzając, i splótszy niezgrabne dłonie, zarzucił je na krzywe kolano, które przyciągnął pod podbródek.

Smiley zamknął oczy i wydawało się, że drzemie. Ale w rzeczywistości słuchał uważnie tego, co spodziewał się usłyszeć: kiedy przyszło do wymienienia personelu „Indocharter”, Sam Collins zaczął lawirować.

— Ale wspomniałeś chyba, że było też dwoje nie-Chińczyków — przypomniał mu Smiley. — Głupawa blondynka i pilot, Ricardo.

Sam lekko odrzucił zarzut.

— Ricardo był zbikowanym kotem marcowym — odrzekł. — Chińczycy nie powierzyliby mu trefnej forsy. Ważne sprawy rozgrywały się na zapleczu. Gdy napływała forsa, tam się nią zajmowali, tam znikwała. Czy była to radziecka gotówka, szmal z handlu opium, czy co innego.

Di Salis, ciągnąc się zapamiętałe za płatek ucha, natychmiast się wtrącił. — I wypływała dowolnie, w Vancouver, Amsterdamie, Hongkongu albo gdzie tam było komuś po chińskiej myśli — stwierdził i dumny z własnej przenikliwości powiercił się chwilę na krzesło.

Jeszcze raz, pomyślał Smiley, Sam zerwał się z haczyka. — No dobra, Sam — powiedział. — Ale jak stamtąd wychodziła, według twojej autoryzowanej wersji?

— Przecież Londyn ukręcił łeb sprawie.

Po martwej ciszy, jaka zapadła, Sam w mgnieniu oka poznał, że dotknął czulego punktu. Zdradzała to mowa jego ciała: nie popatrzył dokoła na twarze, nie okazał zainteresowania. Zamiast tego, przesadnie nieśmiały, zaczął się przyglądać swym błyszczącym wieczorowym butom i eleganckim skarpetkom, zaciągając się w zadumie brązowym papierosem.

— A kiedy to się stało? — spytał Smiley.

Sam podał datę.

— Cofnijmy się trochę. Pamiętaj, niby nie ma dokumentów, do brze? Co Londyn wiedział o twoim dochodzeniu, gdy je prowadziłeś? Powiedz nam, czy wysyłałeś raporty na bieżąco? A Mac?

Jeśli „matki” za ścianą zdetonowałyby w tej chwili bombę, nikt z zebranych nie oderwałby oczu od Sama.

— Cóż — powiedział Sam lekkim tonem, jakby dogadzając karysowi Smileya — ze mnie jest stary wyga. Moją zasadą było najpierw działać, a potem przeproszać. Maca tak samo. Jeśli pracujesz inaczej, to wkrótce Londyn nie pozwoli ci przejść na drugą stronę ulicy na własną rękę.

— A więc? — spytał Smiley cierpliwie.

A więc pierwsze słowo, które wysłali do Londynu, było ostatnim, można powiedzieć. Mac potwierdził dochodzenie, zameldował o ustaleniach Sama i poprosił o dalsze instrukcje.

— I co? I co zrobił Londyn?

— Wysłał szybko gromkie „stop!” i odebrał nam sprawę, żądając, żeby Mac zadespeszował natychmiast, czy zrozumiałem i wykonałem rozkaz. Na deser pogrozili nam palcem, żebyśmy więcej nie działali samopas.

Guillam bazgrał coś na kartce papieru: kwiatek, płatki, padający deszcz. Connie patrzyła rozpromieniona na Sama, jakby to był dzień jego ślubu, a jej dziecięce oczy wypełniły się łzami zaafierowania. Di Salisem, jak zwykle, wstrząsało i szarpało, niczym starym silnikiem, ale on również, o ile w ogóle można o tym mówić, wlepił wzrok w Sama.

— Chyba byłeś wściekły?

— Nie bardzo.

— Nie chciałeś doprowadzić tego do końca? Miałeś przecież konkretne wyniki.

— Świerbiło mnie, jasne.

— Ale wykonałeś rozkaz?

— Jestem żołnierzem, George. Wszyscy tkwimy w okopach.

— To się chwali — rzekł Smiley, przypatrując się znowu Samowi, jak siedzi rozwalony, gładki i ujmujący w swoim smokingu.

— Rozkaz to rozkaz — rzekł Sam.

— Tak jest. Ciekawi mnie, czy wspomniałeś o tej sprawie — mówił dalej Smiley opanowanym tonem — choćby mimochodem, po powrocie do Anglii, kiedy miałeś z Billem regulaminową nasiadówkę pt. „Witamy, dobra robota”?

— Spytałem go, o co tu, do cholery, chodzi—wyznał Sam leniwie.

— A co Bill na to?

— Zwalił winę na „kuzynów”. Powiedział, że weszli w to przed nami. Powiedział, że to ich sprawa i ich parafia.

— Miałeś powód, by w to wierzyć?

— Jasne. Ricardo.

— Myślałeś, że to ich człowiek?

— Latał dla nich. Był już wtedy na ich liście płac. To był naturszczyk, jedyne, co musieli zrobić, to trzymać go na boisku.

— Myślałem, że ustaliliśmy, że taki człowiek jak Ricardo nie wiedziałby o prawdziwych działaniach firmy?

— To by im nie przeszkadzało. Nie „kuzynom”. Nawet jeśli Ricardo był tylko próżniakiem. Układ o wyłączności obowiązywałby w obie strony.

— Wróćmy do momentu, kiedy Londyn zdjął was z tej sprawy. Dostałeś rozkaz „Odstąpić” i posłuchałeś. Ale do Londynu wróciłeś trochę później, prawda? Czy było jakieś pokłosie?

— Nie bardzo rozumiem.

Jeszcze raz Smiley skrupulatnie zanotował sobie w głowie, na marginesie, że Sam zrobił unik.

— No, na przykład twój kumpel w „Banque de l'Indochine”. Johnny. Utrzymałeś z nim kontakt?

— Jasne — odrzekł Sam.

— A czy Johnny wspomniał, mimo że sprawa była już nieaktualna, co się dalej działo z żyłą złota, po tym jak Londyn powiedział „ręce precz”? Czy pieniądze nadal napływały co miesiąc, tak jak wcześniej?

— Urwało się. Paryż zakreślił kurek. Cisza.

— A Borys Handlowiec bez wywiadowczych powiązań? Czy żył długo i szczęśliwie?

— Pojechał do domu.

— Musiał?

— Odsłużył trzy lata.

— Zwykle służą dłużej.

— Zwłaszcza agenci — przyznał Sam z uśmiechem.

— A Ricardo, zbzikowany meksykański lotnik, którego podejrzewasz o bycie agentem „kuzynów”? Co się z nim stało?

— Zginął — odparł Sam, patrząc Smileyowi w oczy. — Rozwalił się na tajlandzkiej granicy. Podobno przeładował maszynę heroiną.

Przyciśnięty, podał datę.

— Czy w barach wylano dużo lez i wody na jego cześć, że się tak wyrażę?

— Niewiele. Większość ludzi czuło, że Vientiane będzie bezpieczniejszym miejscem bez Ricarda, który lubił opróżniać magazynek w sufit „Białej Róży” madame Lulu.

— Jakich ludzi?

— U Maurice'a.

— Maurice'a?

— Hotel „Pod Gwiazdami”. Maurice to właściciel.

— Aha, dziękuję.

Była tu oczywista luka, ale Smiley najwyraźniej nie miał ochoty jej wypełnić. Obserwowany przez Sama, trójkę pomocników i totumfackiego Fawna, chwycił rękoma za okulary na nosie, przechylił je, wyprostował i położył ręce z powrotem na szkle biurka. Następnie jeszcze raz przewałkował z Samem całą historię, sprawdził bardzo skrupulatnie daty, nazwiska i miejsca, szukając zwyczajem wyszkolonych inkwizytorów najmniejszych rys, niezgodności, pominięć, przesunięcia akcentów. Najwyraźniej nie znalazł. A Sam, w błędnym poczuciu bezpieczeństwa, przystał na to, patrząc z tym samym nieokreślonym uśmiechem, z jakim spoglądał na padające na rypsy karty lub na ruletkę igrającą z kulką po przegródkach.

— Sam, czy mógłbyś może zostać tu z nami na noc? — spytał Smiley, kiedy znów zostali tylko we dwóch. — Fawn przygotowuje ci łóżko i tak dalej. Myślisz, że twój klub obędzie się bez ciebie?

— Jak sobie życzysz — odrzekł Sam wspaniałomyślnie.

Wówczas Smiley zrobił coś mocno deprymującego. Wręczywszy Samowi garść czasopism, zadzwonił, by mu przyniesiono dossier Sama, wszystkie jego teczki, i zaczął je czytać w milczeniu na jego oczach, od deski do deski.

— Widzę, że z ciebie wielbiciel płci pięknej — zauważył w końcu, kiedy już zmrok zbierał się w oknach.

— Czasami — przyznał Sam, znów z uśmiechem. — Czasami. — Ale w jego głosie przebiegała nerwowość.

Kiedy nadszedł wieczór, Smiley wysłał „matki” do domu i przez wydział administracji wydał polecenie, by wszyscy dлубacze opuścili archiwum najpóźniej o ósmej. Nie podał powodu. Mogli myśleć, co chcieli. Sam miał czekać w bawialni na wezwanie, a Fawn dotrzymywać mu towarzystwa, nie zostawiać samopas. Totumfacki wziął pole-

cenie dosłownie. Nawet kiedy godziny się dłużyły i Sam najwyraźniej się zdrzemnął, Fawn pozostał zwinęty na progu jak kot, czuwając.

Potem zamknęli się we czworo w rejestracji — Connie, di Salis, Smiley i Guillam — i rozpoczęli długie, uważne kopanie w papierach. Najpierw szukali dokumentów operacyjnych, które powinny się znajdować w dziale południowo-wschodniej Azji, pod podanymi przez Sama datami. Nie było jednak ani kart w katalogu, ani samych dokumentów, ale to jeszcze o niczym nie świadczyło. Londyńska placówka Haydona miała w zwyczaju kłaść łapę na dokumentach operacyjnych i umieszczać je we własnym, ciasnym archiwum. Zatem podreptali do piwnicy, kłapiąc podeszwami o brązowe płytki linoleum, aż stanęli przed zakratowaną niszą, jakby kryptą, gdzie złożono resztki archiwum londyńskiej placówki. Tu też nie znaleźli ani kart, ani dokumentów.

— Szukajcie telegramów — polecił Smiley. Sprawdzili więc księgi sygnałów, zarówno wychodzących, jak i przychodzących, i przynajmniej Guillam był przez chwilę gotów podejrzewać, że Sam kłamał, ale Connie zauważyła, że istotne wykazy zostały napisane na innej maszynie do pisania: na tej, jak się później okazało, którą „matki” kupiły nie wcześniej niż pół roku po dacie widniejącej na dokumencie.

— Szukajcie odbitek — rozkazał Smiley.

Odbitki były kopiami najważniejszej dokumentacji, sporządzanymi w wydziale rejestracji, kiedy istniało przypuszczenie, że dokumenty będą w ciągłym obiegu. Gromadzono je w segregatorach kartotekowych, jak stare numery czasopism, i wpisywano do katalogu co sześć tygodni. Po przerzuceniu tony papieru Connie wygrzebała segregator „południowo-wschodnia Azja”, obejmujący okres bezpośrednio po wydaniu instrukcji z Paryża. Nie było w nim słowa na temat domniemanej radzieckiej żyły złota czy „Tndocharter SA” z Vientiane.

— Spróbujmy w TO — rzekł Smiley, wyjątkowo używając skrótu, czego nie znosił. Podreptali więc do innego kąta i ryli po szuflach dach pełnych kart, szukając najpierw teczki osobowej Borysa Handlowca, a potem Ricarda — pod jego imieniem i pod Tyci — uznano go za zmarłego i najwyraźniej wspomnianego przez Sama w jego nieszczęsnym raporcie wysłanym do londyńskiej placówki. Co pewien czas wysyłali Guillama na górę, by spytał Sama o jakąś drobność, gdy ten tymczasem czytał „Field” i sączył dużego scotcha, obserwowanego przez niewzruszonego Fawna, który — jak później dowiedział się Guillam — zabijał nudę robiąc od czasu do czasu pompki, opierając się najpierw na kostkach dwóch palców obu rąk, potem na opuszkach. Wypisali warianty ortograficzne imienia Ricardo i przekopali katalog.

— Gdzie są teczki instytucji? — spytał Smiley.

Ale w katalogu instytucji nie było karty *societe anonyme* znanego jako „Indocharter” z Vientiane.

— Sprawdźmy materiały ze współpracy.

Za dni Haydona interesy z „kuzynami” prowadzono wyłącznie poprzez londyński sekretariat łączności, który z oczywistych powodów był pod jego osobistą kontrolą i prowadził własne kopie całej korespondencji między służbami. Wróciwszy do niszy, jeszcze raz doznali zawodu. Dla Petera Guillama noc zaczynała przybierać surrealistyczne wymiary. Smiley szalał, ale milczał. Jego pulchna twarz skamieniała. Zaaferowana Connie zapomniała o artretycznych bólach i strzykaniu w kościach — skakała przy półkach jak nastolatek grający w piłkę. Guillam, w żadnym razie nie urodzony urzędas, gramolił się za nią, udając, że nadaża, w duszy zaś był wdzięczny za kursy na górę.

— Mamy go, kochanieńki — półszepem powtarzała Connie Smileyowi. — Jak amen w pacierzu mamy to wstrętne ropuszysko.

Doktor di Salis odpłynął w płasach w poszukiwaniu nazwisk chińskich dyrektorów „Indocharter” — o dziwo Sam wciąż miał dwa z nich w głowie — i rył wytrwale w katalogu, najpierw sprawdzając wersję chińską, potem alfabet łańciski, a na końcu chiński kod handlowy. Smiley siedział na krześle, czytając teczki jak człowiek w pociągu, bohatersko ignorujący współpasażerów. Co jakiś czas podnosił głowę, ale odgłosy, które do niego docierały, nie pochodziły z pokoju. Connie z własnej inicjatywy rozpoczęła poszukiwania odsyłaczy do teczek, do których teoretycznie powinny być przypisane dokumenty sprawy. Były teczki tematyczne dotyczące wolnych strzelców: najemników i pilotów. Były teczki metodologiczne na temat technik prania pieniędzy wypłacanych agentom przez centralę w Moskwie, a nawet rozprawa, którą sama napisała dawno temu, o tajnych płatnikach odpowiedzialnych za nielegalne siatki Karli, działające bez wiedzy głównych rezydentur. Niewymawialnego nazwiska Borysa Handlowca nie zamieszczono w załączniku. Były drugorzędne dokumenty na temat „Banque de l'Indochine” i jego powiązań z moskiewskim Bankiem Narodnym, a także dokumentacja statystyczna dotycząca rosnącego zaangażowania moskiewskiej centrali w południowo-wschodniej Azji oraz analizy działalności rezydentury w Vientiane. Nadal jednak nie mieli nic — ale to ciągle „nic” to właśnie było „coś”. Nigdzie jeszcze w ich pościgu za Haydonem nie natrafili na takie systematyczne i dokładne zacieranie śladów. Gumka wszechczasów.

Wskazująca nieubłaganie na wschód.

Tej nocy znaleźli tylko jeden ślad ujawniający sprawcę. Natrafili na niego gdzieś między świtem a porankiem, kiedy Guillam drzemał

na stojąco. Wywąchała go Connie, Smiley w milczeniu położył znalezione na stole i cała trójka przyjrzała się mu w świetle lampy, jakby to była wskazówka prowadząca do zakopanego skarbu. Przed sobą mieli mały plik dwunastu protokołów ze zniszczenia dokumentacji z nabazgranym na środku czarnym flamastrem kryptonimem upoważnienia, dającym przyjemne wrażenie węgla drzewnego. Skazane na zagładę teczki dotyczyły „ściśle tajnej korespondencji z H/Aneks”

— to znaczy z główną siedzibą „kuzynów”, a więc — jak wtedy, tak i teraz — z bratem w Chrystusie Smileya, Martellem. Powód zniszczenia dokumentów był taki sam, jak powód zaprzestania dochodzenia w Vientiane podany przez Haydona Samowi Collinsowi: „Ryzyko wystawienia na szwank delikatnej operacji Amerykanów”. Podpis, na podstawie którego dokumentacja wylądowała w piecu, był roboczym pseudonimem Haydona.

Wróciwszy na górę, Smiley jeszcze raz zaprosił Sama do swojego gabinetu. Sam nie miał już muszki, a jego wymuskana prezencja ucierpiała wiele za przyczyną szczeciny na brodzie, uwydatnionej tłem białej, rozpiętej pod szyją koszuli.

Najpierw Smiley wysłał Fawna po kawę. Począł, aż Fawn ją przyniesie i wymknie się, po czym nalał dwie filiżanki, dla Sama z cukrem, dla siebie z sacharyną ze względu na nadwagę. Następnie usadowił się w miękkim krześle u boku Sama, nie za biurkiem naprzeciwko, żeby zrobiło się mniej oficjalnie.

— Myślę, że powinienes powiedzieć mi coś o tej dziewczynie, Sam — rzekł bardzo łagodnie, jakby dzielił się tragiczną wieścią. — Czy to rycerskość kazała ci zbyt wiele o niej nie mówić?

Sam był tym najwyraźniej ubawiony.

— Teczki diabli wzięli, mam rację, chłopie? — spytał z poufałością charakterystyczną dla pogawędek w męskiej toalecie.

Czasami, żeby pozyskać czyjeś zaufanie, trzeba nim też obdarzyć.

— Bill je wziął.

Sam zamyślił się widowiskowo. Zgiąwszy w połowie swoją dłoń pokerzysty, przyglądał się paznokciom, użalając w myśli nad stanem ich czystości.

— Ten mój klub praktycznie sam się prowadzi — zauważył.

— Szczerze mówiąc, trochę mam już tego dość. Nic tylko pieniądze. Czas na zmianę, czas, żebym coś ze sobą zrobił.

Smiley zrozumiał, ale musi być stanowczy.

— Nie mam środków, Sam. Ledwo mogę wykarmić te kilka gąb, które już dla mnie pracują.

Collins sączył w zadumie czarną kawę, uśmiechając się przez smużki pary.

— Kim ona jest? O co tu chodzi, Sam? Nieważne, jak bardzo nabrojono, to już musztarda po obiedzie, zapewniam cię.

Podniósłszy się, wcisnął ręce do kieszeni, potrząsnął głową i, jakby to mógł zrobić Jerry Westerby, zaczął się snuć po gabinecie, zerkając na posępne cuda wiszące na ścianach: zbiorowa fotografia wykładowców w mundurach z czasów wojny, oprawiony w ramki odręczny list od nieżyjącego premiera, jeszcze jedno zdjęcie Karli, któremu tym razem przyglądał się dokładnie, bez końca.

— Nigdy nie oddawaj fantów — rzekł, stojąc tak blisko, że szkło na fotografii zmatowiało od jego oddechu. — Tak zawsze mówiła mi matka. „Nigdy niepotrzebnie nie pozbywaj się atutów. Życie nam ich skąpi, więc trzeba ich używać oszczędnie”. Tu gra idzie o coś dużego, prawda? — spytał. — W tym twoim budynku panuje atmosfera głodu, George. Poczulem to, gdy tylko przestąpiłem próg. Duża stawka, powiedziałem sobie.

Podsiedłszy do biurka Smileya, usiadł na jego krześle, jakby chciał sprawdzić, czy jest wygodne. Bujało się i obracało. Spróbował i tego, i tego. — Muszę mieć oficjalne polecenie — powiedział.

— Prawa strona u góry — odparł Smiley i patrzył, jak Sam otwiera szufladę, wyjmuje żółty formularz i kładzie go na blat. Przez kilka minut Sam pisał w milczeniu, przerywając od czasu do czasu, by znaleźć odpowiednie słowo.

— Daj znać, jeśli ona się pokaże — powiedział i machnąwszy żartobliwie Karli na pożegnanie, wyszedł.

Zostawszy sam, Smiley wziął formularz z biurka, posłał po Gu-illama i wręczył mu go bez słowa. Guillam zatrzymał się na schodach, by przeczytać.

„Worthington, Elizabeth alias Lizzie, alias Ricardo, Lizzie”. To na górze strony. Potem były szczegóły: „Wiek: około dwudziestu siedmiu lat. Narodowość: brytyjska. Stan cywilny: mężatka, informacji o mężu brak, nazwisko panięńskie też nieznane. 1972-73 konkubina Ricarda, Tyciego, który nie żyje. Ostatnie znane miejsce pobytu: Vientiane w Laosie. Ostatnie znane zajęcie: sekretarka-recepcjonistka W »Indo-charter Vientiane SA«. Poprzednie zajęcia: hostessa w nocnym lokalu, sprzedawczyni whisky, luksusowa prostytutka”.

Jak zwykle w tym ponurym okresie, wydział rejestracji potrzebował około trzech minut, by z żalem odpowiedzieć, iż „nie ma żadnej informacji o danej osobie”. Poza tym słowo „luksusowa” wywołało sprzeciw „królowej matki”, która uważała, że dla tego rodzaju prostytutki o wiele odpowiedniejsze jest określenie „wytworna”.

O dziwo, małowówność Sama nie zniechęciła Smileya. Przyjął to bez mrugnienia okiem jako coś normalnego w tym fachu. I kazał sobie przynieść wszystkie kopie raportów źródłowych, które Sam

wysłał z Vientiane lub skądkolwiek indziej przez ostatnie dziesięć lat i które umknęły gumce sprytnego Haydona. Po czym, w wolnej chwili, jeśli się taka trafiła, kartkował je, pozwalając swej wyobraźni poszukiwacza tworzyć obraz mrocznego świata Sama Collinsa.

Na tym newralgicznym etapie Smiley okazał głębokie wyczuć, jak potem wszyscy zgodnie uznali. Człowiek mniejszego formatu pewnie popędziłby biegiem do „kuzynów” z żądaniem, żeby Martello jak najpilniej sprawdził amerykańską dokumentację na temat zniszczonej korespondencji i pozwolił mu do niej zajrzeć, ale Smiley nie chciał żadnego poruszenia, żadnego nagłośnienia. Zdał się zatem na najcichszego ze swych emisariuszy. Molly Meakin była wzorową, ładną absolwentką Sarratt, może trochę zbyt pedantyczną, odrobinę zamkniętą w sobie, ale już cieszyła się opinią zdolnego oficera za biurkiem, starego cyrkowca, po ojcu i bracie. W dniach „upadku” była wciąż na stażu, zdobywając ostrogi w wydziale rejestracji. Potem pozostała w uszczuplonym personelu i awansowała, jeśli to odpowiednie słowo, do wydziału analiz, skąd — jak wieść gminna niesie — nikt, a co dopiero kobieta, nie wraca żywy. Ale Molly miała — może odziedziczyła — to, co w tym fachu nazywa się intuicją. Podczas gdy inni, dowiedziawszy się o aresztowaniu Haydona, długo jeszcze opowiadali sobie historie o tym, co się dzieje i jaka jest sytuacja Cyrku, Molly nawiązała cichy, nieoficjalny kontakt ze swym odpowiednikiem w Aneksie na Grosvenor Square, dzięki czemu omijała żmudne procedury uzyskiwania informacji, wprowadzone przez „kuzynów” po „upadku”. Jej największym sprzymierzeńcem była systematyczność. Dniem odwiedzin był piątek. Każdego piątku szła na kawę z Edem, który obsługiwał komputer, a czasami zostawała na potańcówkę, partyjkę rzutków albo kolejkę kręgli w klubie „Zmierzch” w piwnicy Aneksu. Piątek był również dniem, całkiem przypadkowo, kiedy zabierała ze sobą długą listę sprawunków — nazwisk osób interesujących Cyrk. Nawet jeśli nie miała nic szczególnego, pamiętała o tym, by coś wymyślić, żeby źródło nie wyszło, i w ten piątek, na rozkaz Smileya, włączyła do swych wybrańców Tyciego Ricarda.

— Ale nie chcę, żeby jego nazwisko rzucało się w oczy — rzekł zaniepokojony Smiley.

— To oczywiście — odrzekła Molly.

Jako zasłonę dymną, jak to nazwała, wybrała kilka innych nazwisk na R i kiedy przyszła kolej na Ricarda, napisała: „Richards tudzież Rickard tudzież Ricardo, zawód: nauczyciel tudzież instruktor pilotażu”, tak aby prawdziwy Ricardo został podany jedynie jako

jedną z możliwych identyfikacji. Narodowość: meksykańska lub arabska, dopisała i dodała jeszcze, że poszukiwany może już nie żyć.

Kiedy Molly wróciła do Cyrku, znów był już późny wieczór. Guillam ledwo żył. Czterdziestka to nie jest wiek, w którym łatwo można się obejść bez snu, doszedł do wniosku. Kiedy się ma dwadzieścia albo sześćdziesiąt lat, to ciało wie, o co chodzi, ale czterdziestka to wiek dojrzewania, w którym się sypia, by się zestarzeć lub by zostać młodym. Molly miała dwadzieścia trzy lata. Przyszła prosto do gabinetu Smileya, usiadła sztywno z mocno ściśniętymi kolanami i zaczęła wypakowywać torebkę, obserwowana uważnie przez Connie Sachs i jeszcze uważniej — ale z innych powodów — przez Guillama. Śmiertelnie poważna, przeprosiła, że tak długo jej nie było, ale Ed uparł się, żeby ją zabrać na dodatkowy pokaz „True Grit”, wielki przebój w „Zmierzchu”, a potem musiała go spławić, ale tak, by nie obrazić, szczególnie dziś. Wręczyła Smileyowi kopertę, a on ją otworzył i wyciągnął długą żółtawą kartę komputerową. A więc spławiła go czy nie? — chciał wiedzieć Guillam.

— Jak poszło? — spytał najpierw Smiley.

— Całkiem gładko — odrzekła.

— Co za dziwny rękopis — wykrzyknął Smiley. Ale kiedy czytał, na jego twarzy pojawił się rzadko widywany, wilczy uśmiech.

Connie nie była aż tak powściągliwa. Jeszcze zanim podała kartę Guillamowi, uśmieła się szczerze.

— Och ten Bill! Podstępny, czarujący łgarz! Wszystkich wykołował, szczwany lis!

Aby uciszyć „kuzynów”, Haydon odwrócił pierwotne kłamstwo. Odszyfrowany, długawy wydruk komputerowy opowiadał następującą uroczą historię:

Obawiając się, że „kuzyni” mogą dublować dochodzenie Cyrku na temat „Indocharter”, Bill Haydon, jako naczelnik londyńskiej placówki, przesłał do Aneksu stosowne zawiadomienie, żądając, zgodnie z obustronną umową o wyłączności, by umyli ręce. Informował Amerykanów, że „Indocharter Vientiane SA” jest obecnie pod obserwacją Londynu i że Cyrk ma tam swojego agenta. W związku z tym Amerykanie zgodzili się nie interesować dłużej tą sprawą w zamian za część ewentualnych łupów. W ramach pomocy Brytyjczykom wspomnieli, że ich kontakt z pilotem zwanym Tyci Ricardo wygaś.

Krótko mówiąc, tak wspaniały przykład balansowania na linie, jakiego świat nie widział.

— Dziękuję, Molly — rzekł Smiley uprzejmym tonem, kiedy już każdy się nadziwił. — Bardzo ci dziękuję.

— Nie ma za co — odrzekła Molly przepisowo niczym pielęgniarka. — A Ricardo na pewno nie żyje, panie Smiley — dodała,

podając tę samą datę śmierci, co Sam Collins. Skończywszy na tym, zamknęła z trzaskiem torebkę, naciągnęła spódnicę na zachwycające kolana i, skromna, wyszła z gabinetu, cały czas uważnie obserwowana przez Guillaama.

W Cyrku zapanował zupełnie inny duch, zupełnie inny nastrój. Szaleńcze poszukiwania śladu, jakiegokolwiek śladu, mieli za sobą. Teraz mogli już maszerować do celu, a nie biegać we wszystkich kierunkach. Zabawny podział na dwie ekipy zatarł się w dużej mierze: „bolszoje” i „żółtki” stały się jednym zespołem pod połączonym dowództwem Connie i di Salisa, nawet jeśli różniły ich umiejętności. Lecz przyptywy entuzjazmu były jeszcze wśród dłubaczy rzadkością, jak źródła podczas wędrówki przez jałowy step, i niejedno o mało nie padło po drodze. Zidentyfikowanie sowieckiego płatnika, który nadzorował przepływ funduszy do „Indocharter” — Borysa Handlowca — zabrało Connie nie więcej niż tydzień. Był nim były żołnierz Zimin, stary absolwent prywatnego ośrodka szkoleniowego Karli pod Moskwą. Ów Zimin figurował w teczkach pod nazwiskiem Smirnow jako płatnik wschodnioniemieckiego *aparatu* w Szwajcarii dziesięć lat temu. Wcześniej pojawił się w Wiedniu pod nazwiskiem Kurski. Jego uboczną działalnością było rozprowadzanie urządzeń podsłuchowych i zastawianie pułapek na naiwnych, a niektórzy twierdzili, że to ten sam Zimin, który złapał na lep pewnego francuskiego senatora, który z kolei sprzedał później połowę tajemnic swego kraju. Zimin opuścił Vientiane dokładnie miesiąc po tym, jak raporty Sama trafiły do Londynu.

Po tym skromnym sukcesie Connie postawiła sobie pozornie niewykonalne zadanie — chciała ustalić, jakie kroki mógł przedsięwziąć Karla lub jego płatnik Zimin, aby zastąpić przerwany przepływ gotówki. Było kilka przesłanek: po pierwsze znana zachowawczość potężnych instytucji wywiadowczych i ich przywiązanie do sprawdzonych szlaków, po drugie prawdopodobny pośpiech centrali, by zastąpić starą trasę nową, jako że chodziło o duże sumy pieniędzy, po trzecie samozadowolenie Karli, zarówno przed „upadkiem”, kiedy miał Cyrk na haczyku, jak i po, kiedy Cyrk leżał bezzębny u jego stóp, z trudem łapiąc powietrze. No i wreszcie polegała też na swojej encyklopedycznej wiedzy w tym zakresie. Gromadząc stopy surowych, nie przetworzonych materiałów, które leżały podczas banicji Connie celowo zapomniane, jej pracownicy przekopywali olbrzymie tunele przez zwały teczek, korygowali, naradzali się, rysowali tabele i wykresy, szukali pisma odręcznego znanych agentów, dostawali migreny, sprzeczali się, grali w ping-ponga i — czasami —

z udręczającą ostrożnością i za pośpieszną zgodą Smileya — dokonywali nieśmiałego wywiadu w terenie. Zaprzyjaźniony kontakt w City został namówiony do odwiedzenia starego znajomego, który specjalizował się w kompaniach hongkongskich działających za granicą. Makler walutowy w Cheapside otworzył swoje księgi przed Tobym Esterhase'em, bystrookim Węgrem, który — przeszedłszy samotnie weryfikację — był wszystkim, co pozostało po dawnej chlubnej armii kurierów i „ogonów” Cyrku. I tak to szło, w ślimaczym tempie, choć teraz ślimak przynajmniej wiedział, dokąd iść. Di Salis, na swój delikatny sposób, poszedł śladem chińskim, przedzierając się przez sekretne sieci powiązań „Indocharteru” z tajemniczymi matczynymi firmami. Jego pomocnicy byli tak wyjątkowi jak on sam: albo studenci filologii, albo starzy specjaliści od Chin, ponownie w akcji. Z czasem twarze ich wszystkich pokryła bladeść, jaka pokrywa oblicza kleryków zawilgotniałego seminarium.

Tymczasem Smiley posuwał się nie mniej ostrożnie, i to jeszcze bardziej krętymi uliczkami i przez jeszcze większą liczbę drzwi.

Ponownie zniknął im z oczu. Był to czas oczekiwania i Smiley spędził go zajmując się setkami innych spraw, które pilnie wymagały jego uwagi. Mając za sobą króciutki okres pracy w zespole, wycofał się w najskrytszy rejon swego świata. Widziano go w Whitehallu i w Bloomsbury, i u „kuzynów”. Kiedy indziej drzwi do sali tronowej pozostawały zamknięte przez kilka dni z rzędu i tylko ciemnemu totumfackiemu, Fawnowi, wolno było wemknąć się tam w pepegach, z parującą filiżanką kawy, talerzykiem ciasteczek albo — czasem — z wiadomością na piśmie do swego pana. Smiley od zawsze czuł wstręt do telefonu i teraz już w ogóle nie podnosił słuchawki, chyba że w opinii Guillama sprawa nie cierpiała zwłoki, co się nie zdarzało. Jedyne urządzenie, którego Smiley nie mógł wyłączyć, był połączony bezpośrednio z telefonem na biurku Guillama. Kiedy wpadał w ten swój nastrój, kładł na nim szmatkę, żeby stłumić terkot. Gu-illam niezmiennie odpowiadał dzwoniącemu, że Smiley wyszedł albo jest na zebraniu i że oddzwoni za godzinę. Następnie pisał, o co chodzi, wręczał kartkę Fawnowi i w końcu, ponaglany jeszcze przez totumfackiego, Smiley oddzwaniał. Naradzał się z Connie, czasem z di Salisem, czasem z obojgiem, tylko Guillam nie był mu potrzebny. Dossier Karli, wszystkie siedem teczek, na dobre przekazano z wydziału badań Connie do osobistego sejfku Smileya. Podpisawszy papierek Guillam zaniósł mu bezcenne materiały, i kiedy Smiley podniósł wzrok znad biurka i zobaczył je, ogarnął go spokój. Wyciągnął rękę, jakby na powitanie starego przyjaciela. Potem drzwi znów się zamknęły i minęło kolejnych kilka dni.

— Coś nowego? — pytał czasem Smiley Guillema. Znaczyło to: „Czy dzwoniła Connie?”

Mniej więcej w tym czasie ewakuowano rezydenturę w Hongkongu i Smiley zbyt późno dowiedział się o niezdarnych zabiegach sekcji administracji, by utrzymać w tajemnicy historię o High Ha-ven. Natychmiast wyciągnął dossier Crawa i znów wezwał Connie na naradę. Kilka dni później w Londynie pojawił się na czterdzieści osiem godzin Craw we własnej osobie. Guillam słuchał kiedyś jego wykładu w Sarratt i pogardzał nim. Kilka tygodni później głośny artykuł starego wygi o High Haven ujrzał światło dzienne. Smiley przeczytał go z uwagą i podał Guillamowi, wyjaśniając tym razem motywy swych działań: Karla i tak bardzo dobrze wie, co Cyrk robi, powiedział. W takich wypadkach zawsze szuka się śladów. Ale Karla nie byłby człowiekiem, gdyby nie zasnął po tak wielkim zwycięstwie.

— Chcę, żeby zewsząd usłyszał, że przetrzącił nam kręgosłup — wyjaśnił Smiley.

Wkrótce kamuflaż „złamanych skrzydeł” został rozciągnięty na inne sfery, i jednym z najprzyjemniejszych zadań Guillema było dopilnowanie, żeby Roddy Martindale nie mógł się opędzić od smutnych historii o klinicznej śmierci Cyrku.

„Dłubacze” nadal harowali. Nazwali to „tropieniem”. Mieli mapę, powiedziała potem Connie, znali kierunek, ale wciąż pozostały góry do przerzucenia łyżeczką. W oczekiwaniu na postęp Guillam zabierał Molly Meakin na długie i kosztowne obiady, ale nie doprowadzały one do rozstrzygnięcia. Grał z nią w squasha i podziwiał jej celność, zabierał ją na pływalnię i podziwiał jej ciało, jednak ona wystrzegала się bliższego kontaktu, odwracając i spuszczać głowę z tajemniczym, intymnym uśmiechem, gdy szła trzymając go za rękę.

Pod presją przedłużającej się beczynności totumfacki Fawn zaczął się osobliwie zachowywać. Zostawiony przez Smileya samemu sobie, dosłownie usychał z tęsknoty za swym panem. Wchodząc niespodzianie pewnego wieczora do jego nory, zszokowany Guillam zobaczył go w niemal embrionalnej pozycji, aż do bólu owijającego chusteczkę wokół kciuka jak ligaturę.

— Na Boga, człowieku, przecież George nie ma nic do ciebie! — wykrzyknął. — On tylko cię na razie nie potrzebuje. Weź kilka dni wolnego albo coś. Ochłoń.

Ale Fawn myślał o Smileyu jako o swoim Szefie i patrzył krzywo na tych, którzy nazywali go inaczej.

Pod koniec tego jałowego okresu pojawiło się na piątym piętrze nowe urządzenie — zielony telefon, przyniesiony w walizce i zain-

stalowany w ciągu trzech dni przez dwóch techników ostrzyżonych na jeża, przeznaczony, pomimo uprzedzeń Smileya, na jego biurko i łączący go bezpośrednio z Aneksem. Linia szła przez gabinet Guillama i podłączona była do wszelkiego rodzaju anonimowych szarych skrzynek, które buczały bez ostrzeżenia. Obecność tego telefonu pogłębiła tylko ogólną atmosferę nerwowości: po co to, pytano, skoro nie mieli co przez to przekazać?

A jednak coś mieli.

Gruchnęła wieść. Choć Connie nie powiedziała, co znalazła, pogłoski o odkryciu rozprzestrzeniały się lotem błyskawicy: Connie jest w domu! „Dłubacze” są w domu! Znaleźli nową żyłę złota! Wyśledzili ją od początku do końca!

Skąd, dokąd? Jak? Gdzie jest ten koniec? Connie i di Salis nie puszczali pary z ust. Przez całą dobę wydeptywali ścieżkę do sali tronowej, obładowani teczkami, pewnie by jeszcze raz pokazać Smileyowi owoce swej pracy.

Następnie Smiley zniknął na trzy dni i dopiero później Guillam dowiedział się, że wybrał się do Hamburga i Amsterdamu na rozmowę z pewnymi znajomymi bankierami, żeby „zapiąć wszystko na ostatni guzik”. Panowie ci poświęcili kilka długich minut na wytłumaczenie mu, że wojna się skończyła i że nie bardzo mogą postąpić wbrew etyce zawodowej, po czym podali mu informacje, których tak bardzo potrzebował, choć było to jedynie ostateczne potwierdzenie tego, co wydedukowali dłubacze. Smiley powrócił, ale Guillam nadal pozostawał wyłączony i mógłby w nieskończoność żyć w zapomnieniu, gdyby nie kolacja u Laconów.

Guillam załapał się całkiem przypadkowo. Przypadkowa też była kolacja. Smiley poprosił Lacona o spotkanie po południu w biurach rządu i spędził kilka godzin na przygotowaniach, namawiając się z Connie i di Salisem. W ostatniej chwili Lacon został wezwany przez swych rozkazodawców z parlamentu i w zamian zaproponował naprędce zaimprovizowaną kolację w swojej nieładnej rezydencji w Ascot. Smiley nie znośił prowadzić, a służbowego samochodu nie było. Guillam zaproponował więc, że zawiezie go swoim starym porsche, w którym wiał. Podczas jazdy przykrył szefa kocem, trzymanym na wypadek, gdyby Molly Meakin zgodziła się na piknik. Smiley próbował pogadać, ale przychodziło mu to z trudem, bo był zdenerwowany. Przyjechali w deszczu i na progu doszło do małej debaty, co począć z nie oczekiwanym podwładnym. Smiley uparł się, żeby Guillam znalazł sobie coś do roboty i wrócił o wpół do jedenastej, Laconowie zaś, że musi zostać, bo są tony jedzenia.

— Ty decyduj — powiedział Guillam do Smileya.

— Och nie, no oczywiście, jeśli oni nie mają nic przeciwko temu, to zostań — odrzekł Smiley obrażonym tonem i weszli.

Przyniesiono zatem czwarte nakrycie, pokrojono na kawałeczki zbyt wysmażony stek, aż wyglądał jak wyschnięty gulasz, i wysłano starszą córkę na rowerze do pubu przy drodze, z funtem w garści, po drugą butelkę wina. Pani Lacon była jak łania; jaśniała, z rumieńcem na twarzy, panna młoda — dziecko, które zostało dzieckiem-matką. Stół był za długi dla czterech -osób. Posadziła Smileya i męża przy jednym końcu, a Guillama obok siebie. Zapytawszy go, czy lubi madrygały, zaczęła opowiadać o koncercie w prywatnej szkole córki. Powiedziała, że został on kompletnie sknocony przez dzieci bogatych cudzoziemców, które przyjmowano dla podreperowania budżetu. Połowa z nich w ogóle nie potrafiła śpiewać na sposób zachodni:

— No bo kto by chciał, by jego dziecko wychowywało się z Per sami, skoro oni wszyscy mają po sześć żon? — spytała.

Przytakując, Guillam usiłował usłyszeć coś z rozmowy po drugiej stronie stołu. Lacon najwyraźniej serwował i zarazem odbierał piłkę.

— Najpierw powinieneś wystąpić do mnie z oficjalną prośbą — huczał. — Robisz to właśnie, doskonale. Na tym etapie musisz przedstawić jedynie zarys wstępny. Ministrowie tradycyjnie nie lubią niczego, czego nie można zmieścić na jednej kartce. Najlepiej poczto wej — rzekł i skosztował przepisowo wstrętnego czerwonego wina.

Pani Lacon, której nietolerancja miała w sobie coś anielskiego, zaczęła się uskarżać na Żydów.

— No bo oni nawet nie jedzą tego samego co my — powiedziała.

— Penny mówi, że na lunch mają jakieś specjalne potrawy ze śledzi.

Guillam znów zgubił wątek, aż nagle Lacon podniósł głos, upominając.

— Daj spokój z tym Karłą, George. Prosiłem cię już. Naucz się mówić Moskwa, dobrze? Góra nie lubi osobistych akcentów — jakkolwiek beznamiętna jest twoja nienawiść do niego. Ja też nie.

— No więc Moskwa — rzekł Smiley.

— To nie to, że się ich nie lubi — rzekła pani Lacon. — Oni po prostu są inni.

Lacon powrócił do jakiejś wcześniejszej sprawy:

— Mówiąc duża suma, jak dużą sumę masz na myśli?

— W tej chwili nie potrafimy tego określić — odrzekł Smiley.

— Świetnie, coraz lepiej. Czy jest jakiś czynnik strachu?

Smiley zrozumiał tyle co Guillam.

— Co cię najbardziej niepokoi w twoim odkryciu? O co się najbardziej lękasz jako obrońca ojczyzny?

— O bezpieczeństwo kolonii Korony Brytyjskiej? — zasugerował Smiley po namyśle.

— Oni mówią o Hongkongu — wyjaśniła Guillamowi pani Lacon. — Mój wuj był sekretarzem stanu. Wuj ze strony ojca — do dała. — Brat mamy nigdy nie zrobił nic mądrego.

Powiedziała, że Hongkong to miłe miejsce, tylko cuchnące.

Lacon dostał wypieków, był podekscytowany.

— Kolonia, mój Boże, słyszysz, Val? — zawołał przez stół, robiąc przerwę, by pouczyć żonę. — Pewnie ze dwa razy bogatsi od nas, a z miejsca, na którym siedzę, wygląda na to, że i bezpieczniejsi. Do wejścia traktatu w życie zostało jeszcze całe dwadzieścia lat, jeśli Chińczycy w ogóle to wymogą. Przy takim tempie to oni powinni się martwić o nas!

— Oliver uważa, że los naszego kraju jest przesądzony — wyjaśniła Guillamowi zaaferowana pani domu, jakby mu zdradzała sekret rodzinny, i posłała mężowi anielski uśmiech.

Lacon przyjął spokojniejszy ton, choć nadal trochę się ciskał, i Guillam domyślił się, że popisuje się przed swoją squaw.

— Zwrócisz także moją uwagę, jakby w ramach Ps. na tej pocztówce, że obecność wywiadu sowieckiego w Hongkongu stawiałaby w kłopotliwej sytuacji rząd Kolonii w jego stosunkach z Pekinem, mam rację?

— Zanim posunąłbym się do tego...

— Od którego wspaniałomyślności — ciągnął Lacon — zależy każda jej chwila, tak?

— Właśnie biorąc to pod uwagę...

— Och, Penny, jesteś całkiem голу tka! — wykrzyknęła pani Lacon z oburzeniem.

Dając wreszcie Guillamowi chwilę wytchnienia, rzuciła się w stronę nieposłusznej córeczki, która pojawiła się na progu. Tymczasem Lacon nabrał powietrza w płuca, szykując się do arii.

— Zatem nie tylko musimy chronić Hongkong przed Rosjanami — a to już jest niezły bigos, zapewniam cię, choć może nie dla niektórych z naszych ministrów — ale jeszcze musimy go chronić przed gniewem Pekinu, co już wszyscy uważają za nieszczęście, prawda, Guillam? Jednakowoż — powiedział Lacon, i by podkreślić *volte face* chwycił długą dłońią ramię Smiley'a, tak że ten musiał odstawić kieliszek — jednakowoż — ostrzegł, a jego wzburzony głos wznosił się i opadał — czy nasi na górze to kupią, to już zupełnie inna sprawa.

— Wolalbym z tym poczekać, aż uzyskamy potwierdzenie naszych informacji — powiedział ostro Smiley.

— Ale przecież nie masz jak ich potwierdzić! — zaproponował Lacon, zmieniając front. — Nie możesz wyjść w teren poza granicami kraju. Nie masz statutu.

— Ale bez sprawdzenia informacji...

— A co to oznacza, George?

— Wysłanie agenta.

Lacon uniósł brwi i odwrócił głowę, nieodparcie przypominając Guillamowi Molly Meakin.

— Metoda to nie moja sprawa, szczegóły też nie. Jasne jest, że nie możesz zrobić nic kompromitującego, bo nie masz pieniędzy ani środków. — Dolał wina, wylewając trochę. — Val! — ryknął. — Ścierka!

— Trochę pieniędzy mam.

— Ale nie na ten cel. — Obrus zabrudził się winem. Guillam posypał płamę solą, podczas gdy Lacon uniósł obrus i wcisnął pod spód swoją serwetkę, żeby uratować politykę.

Nastąpiła długa cisza, przerywana odgłosem powolnie skapującego na parkiet wina. W końcu odezwał się Lacon: — Do ciebie należy decyzja, co ci wolno w obecnej sytuacji.

— Czy mogę to mieć na piśmie?

— O nie, mój drogi panie.

— Czy mogę mieć od ciebie upoważnienie do podjęcia kroków, które są konieczne dla potwierdzenia moich informacji?

— Nie.

— Ale nie będziesz mnie powstrzymywał?

— Skoro nic nie wiem o metodach, i nie mam prawa wiedzieć, to nie do mnie należy mówić ci, co masz robić.

— Ale skoro zwracam się oficjalnie... — zaczął Smiley.

— Val, przynieśże ścierkę! Jak tylko zwrócisz się do mnie oficjalnie, całkowicie umyłam ręce. To Grupa Kierownicza Wywiadu, nie ja, określa zakres twego działania. Na razie sam wyznaczasz sobie boisko. Oni cię wysłuchają, a wtedy to już jest sprawa między nimi a tobą, ja tu jestem tylko położną. Val, przynieś ścierkę, wszystko się zaleje!

— Przecież to moja głowa leży na pieńku, nie twoja — powiedział Smiley, prawie do siebie. — Ty nie stoisz po żadnej stronie, wiem, jak to jest.

— Ależ OHver stoi po twojej stronie — wtrąciła się wesoło pani Lacon, wróciwszy z dziewczynką na rękę, uczesaną i w nocnej koszulce. — On jest ci strasznie życzliwy, prawda, Olly? — Podała Laconowi ścierkę, a ten zaczął wycierać. — Zrobił się z niego ostatnio prawdziwy jastrząb. Przebija nawet Amerykanów. No dobrze, powiedz wszystkim dobranoc, Penny, no już. — Podała im po kolei dziecko. — Najpierw pan Smiley... pan Guillam, a teraz tatuś. Jak się miewa Ann, George, nie wyjechała chyba znów na wieś?

— Och, znakomicie, dziękuję.

— Zmusz Olivera, żeby ci dał, czego chcesz, on się robi strasznie ważny. Mam rację, Olly?

Odeszła w płasach, nucąc malej własne formułki:

— Dołek, dołek, hop! Strumyk, strumyk, hop! Rzeka, rzeka, stop!

Lacon z dumą patrzył, jak wychodzi.

— A czy włączysz w to Amerykanów, George? — zapytał bez troskim tonem. — To duża przynęta, wiesz o tym. Skrzykniesz „kuzynów” i wszystkie twierdze zdobędziesz bez jednego strzału. Ministerstwo Spraw Zagranicznych będzie ci jeść z ręki.

— Wolałbym działać samodzielnie.

Zielony telefon, pomyślał Guillam, mógł zostać tam, skąd przybył.

Lacon się zastanawiał, obracając kieliszek.

— Szkoda — odezwał się w końcu. — Szkoda. Nie ma „kuzynów”, nie ma czynnika strachu... — Spojrzał na przysadzistą, niepozorną postać przed sobą: Smiley siedział ze splecionymi dłońmi, zamkniętymi oczyma, pozornie w półśnie. — Ani wiarygodności — dodał, jakby komentował teraz wygląd Smileya. — Obrona nie ruszy palcem, to ci powiem od razu. Ani Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Jeśli chodzi o Skarb, to ich stanowisko jest jak rzut monetą, a poparcie Ministerstwa Spraw Zagranicznych... zależy kogo wyślą na posiedzenie i co zjedzą na śniadanie. — Znów się zamyślił. — George.

— Tak?

— Dam ci „adwokata”. Kogoś, kto będzie dowodził twoich racji, opracuje twoją linię obrony, pójdzie na barykadę.

— Och nie, poradzę sobie, dziękuję bardzo!

— Dopilnuj, by się oszczędzał — polecił Guillamowi Lacon ogłuszającym szeptem w drodze do samochodu. — I namów go, by przestał nosić te czarne marynarki i podobne rzeczy. Wyszły z mody wraz z cylindrami. Do widzenia, George! Zadzwoń do mnie jutro, jeśli zmienisz zdanie i będziesz chciał pomocy. Guillam, jedź ostrożnie, pamiętaj, że piłeś.

Kiedy wyjeżdżali przez bramę, Guillam powiedział coś mocno wulgarnego, ale Smiley był okutany w koc i nie dosłyszał.

-i— A więc jednak Hongkong? — spytał, kiedy tak jechali.

Nie padło ani „tak”, ani „nie”.

— A kto będzie tym szczęśliwcem w terenie? — spytał Guillam trochę później, tak naprawdę nie oczekując odpowiedzi. — Czy też będziemy jednak polować z „kuzynami”?

— Wcale z nimi nie będziemy polować — odwarknął Smiley, dotknięty. — Jeśli ich wpuścimy, zaleją nas. Jeśli nie wpuścimy, nie będziemy mieć środków. To sprawa balansowania. — Zawinął się w koc.

Ale nazajutrz — macie pojęcie? — byli gotowi.

O dziesiątej Smiley zwołał grupę operacyjną. Mówił on, mówiła Connie, a di Salis się wiercił i drapał jak jakiś zawszony nauczyciel dworski z komedii okresu Restauracji, aż w końcu przyszła jego kolej i przemówił tym swoim skrzeczącym głosem spryciarza. Jeszcze tego samego wieczora Smiley wysłał do Włoch telegram: prawdziwy telegram, nie tylko sygnał, z hasłem „opiekun”; kopia włączona do szybko pęczniejącej teczki. Sam go napisał, Guillam dał go Fawnowi, a ten tryumfalnie pomknął do dyżurującej nocą poczty na Charing Cross. Po świątecznym nastroju, w jakim wyruszył, można by przypuścić, że żółtawy druczek był punktem kulminacyjnym jego mrocznego życia. Wcale nie. Przed „upadkiem” Fawn pracował pod rozkazami Guillama jako osiadły w Brbcton łowca skalpów. Jednak tak naprawdę z zawodu był skrytobójcą.

Rozdział 5

PRZECHADZKA PO PARKU

Słoneczny tydzień urlopu Jerry Westerby spędził w atmosferze pośpiechu i święta, która nie ulotniła się ani na chwilę. Jeśli Londyn opierał się jesieni, to samo, można by rzec, robił Jerry. Macochy, szczepionki, formalności przed podróżą, agenci literaccy i wydawcy z Fleet Street; mimo że Jerry nienawidził Londynu jak zarazy, ruszał ku nim wszystkim różnym, sprężystym krokiem. Miał nawet odpowiednią fasadę, do kompletu z butami z kozłej skóry: garnitur, może nie z Savile Row, ale niewątpliwie garnitur. Zwany przez sierotę strojem więziennym, był odpornym na wielokrotne prania, wyblakłym niebieskim ciuchem, dziełem domu krawieckiego o nazwie „Pontschak Happy House of Bangkok”, który gwarantował rozpromienionymi jedwabnymi literami na metce, że materiał jest „niegniejący”. W lekkich południowych porywach wiatru trzepotał na Jerryem jak sukienki na kobietach na molo w Brighton. Pożółkła jedwabna koszula tego samego pochodzenia przywodziła na myśl zatłoczone klubowe przebieralnie Wimbledonu albo Henley. Opalenizna, choć z Toskanii, była równie angielska co krykietowy krawat, powiewający na wszystkie strony u szyi niczym narodowa flaga. Jedynie w twarzy dawało się dostrzec, i to tylko jeśli się było bardzo spostrzegawczym, czujność, którą zauważyła też kierowniczka poczty i którą intuicyjnie określa

się jako „zawodową” i na tym sprawę zamyka. Czasem, kiedy Jerry przewidywał czekanie, taszczył ze sobą worek z książkami, przez co wyglądał trochę na biedaka: Dick Whittington przybył do miasta*. Jego domem było, jeśli w ogóle miał dom, malutkie, zagracone mieszkanko na Thurloe Square, należące do jego macochy, trzeciej lady Westerby, pełne olbrzymich antyków ocalonych z opuszczonych domów. Macocha — jak to bywa z przywykłymi pięknościami — była wymalowaną, zgryźliwą kwoką i często przeklinała go za prawdziwe i urojone przewinienia, takie jak wypalenie jej ostatniego papierosa albo naniesienie błota z wędrowek po parku. Jerry nie brał jej tego za złe. Czasami, wracając dopiero o trzeciej czy czwartej nad ranem, wciąż rześki, walił w drzwi, chcąc ją obudzić, choć najczęściej już wtedy nie spała i kiedy się umalowała, sadzał ją, ubraną w szeleszczącą koszulę nocną, trzymającą w dłoni ogromną szklankę likieru miętowego, na swoim łóżku, a sam zaczynał pełzać po czarodziejskiej górze śmieci usypanej na podłodze, zabierając się do tego, co nazywał pakowaniem swoich rzeczy. Czarodziejska góra składała się ze wszystkiego co bezużyteczne: starych wycinków prasowych, stert pożółkłych gazet, aktów prawnych powiązanych zieloną wstążką, a nawet z pary zrobionych na zamówienie butów do konnej jazdy, pozieleniałych od pleśni, ale z prawidłami w środku. Teoretycznie Jerry miał podjąć decyzję, co z tego przyda mu się w podróży, ale rzadko brał coś więcej niż jakąś pamiątkę, która łączyła potem ich dwoje łańcuchem wspomnień. Pewnej nocy, na przykład, wygrzebał tomik swoich najwcześniejszych historyjek.

— Hej, kotku, tu jest coś! No, tu Westerby zdiera maskę z twarzy! Aż serce szybciej bije, krew się burzy, no nie, kobito?

— Powinieneś iść w ślady swego wuja — odparowała, przewracając strony z wielkim zadowoleniem. Wuj, o którym mowa, był królem żwiru; wykorzystywała tę postać dla podkreślenia braku zapobiegliwości starego Sambo.

Innym razem znaleźli kopię ostatniej woli ojca Jerry'ego sprzed wielu lat: „Ja, Samuel, zwany również Sambo, Westerby”, wetkniętą w plik rachunków i listów od prawników, adresowanych do Jerry'ego jako wykonawcy testamentu, co do jednego poplamionych whisky i chininą, zaczynających się od: „Z przykrością...”

— A to ci dopiero — mruknął Jerry, zmieszany, kiedy już było za późno, by wcisnąć kopertę z powrotem w stos. — Chyba można by te papierzyska przeczytać, co, kobito?

* Bohater popularnych przypowieści, który przybył do Londynu jako nędzarnik i szczęśliwym zbiegiem okoliczności został burmistrzem (przyp. tłum.).

Jej paciorkowe oczy płonęły wściekle.

— Ale głośno — rozkazała wojowniczym, teatralnym tonem i w następnej chwili oboje przedzierali się przez zawilości w dokumentach: majątki oddane w zarząd wnukom, wykształconym bratankom i bratanicom, dochód dla tej żony na przeciąg jej całego życia, kapitał dla takiej to a takiej do dnia jej śmierci lub wyjścia za mąż, kodycyle, którymi Sambo wynagradzał przysługi, albo karał za przewinienia.

— Hej, wiesz, co to jest? To dla kuzyna Alfreda, tego, który poszedł do pudła! Jezu, dlaczego on chciał mu zostawić pieniądze, przecież przepuściłby je w jedną noc!

Były również kodycyle dotyczące przejęcia opieki nad końmi, które w innym wypadku trafiłyby pod nóż rzeźnicki: „Moja klacz Rozalia z Maison Laffitte, wraz z dwoma tysiącami funtów rocznie na jej utrzymanie, oraz mój koń Intruz, obecnie trenowany w Dublinie, są dla mego syna Geralda pod warunkiem, że będzie się nimi opiekować do ich naturalnej śmierci...”

Stary Sambo, podobnie jak Jerry, lubił koniki.

Także dla Jerry'ego: obligacje; tylko dla Jerry'ego: kapitał akcyjny koncernu wart miliony. Płaszcz gronostajowy, władza, odpowiedzialność; wielki świat w spadku dla igraszki — zapowiedziany, obiecany nawet, ale nigdy nie ofiarowany prezent: „Mój syn przejmie prowadzenie wszystkich tytułów gazetowych koncernu, zgodnie z metodami i regułami postępowania wypracowanymi za mego życia”. Nawet bękart coś dostał: sumę dwudziestu tysięcy funtów należy wypłacić, bez naliczenia podatku, pannie Mary Jakiejśtam z Cho-bham, matce Adama, uznanego przez Sambo za syna. Kłopot w tym, że kiesa była pusta. Liczby w księgach rachunkowych stale się zmniejszały, a kiedy imperium staruszka utonęło w długach, wtedy zaczęły rosnać, tyle że po stronie pasywów, pod postacią długich żarłocznych robaczek, które co roku przybierały na wadze o jedno zero.

— Dobra — rzekł Jerry w nieziemskiej ciszy brzasku, rzucając kopertę z powrotem na czarodziejską górę. — Przebolałaś już to, kobito? — Przewracając się na bok, chwycił stertę starych gazet — ostatnie numery papierowych dzieci ojca — i, jak to tylko potrafią robić dziennikarze, przeglądał wszystkie na raz.

— Tam, gdzie teraz jest, chyba już nie poluje na kociaki, co? — Głośny szelest papierów. — Bo samo chyba by mu nie minęło, nie chciałby nawet spróbować. — Obracając się, by spojrzeć na małą, nieruchomą lalkę siedzącą na skraju łóżka, ze stopami ledwo sięgającymi dywanu, dodał ciszej: — Byłaś zawsze jego *tai-tai*, kobitko, jego numero uno. Kruszyłby o ciebie kopie z każdym, powiedział mi to. „Kotku, to najpiękniejsza dziewczyna na świecie”. Tak mówił, to jego

słowa. Kiedyś ryknął do mnie stojąc po drugiej stronie Fleet Street: „Najlepsza żona, jaką miałem!”

— Cholerny drań — odrzekła nagłym potokiem czystego, miękiego północnoangielskiego akcentu, a wokół szwu jej czerwonych ust zebrały się zmarszczki podobne do szpil chirurgicznych. — Cholerny rozpustnik, nienawidzę go, jak nie wiem co. — Przez chwilę trwali oboje w milczeniu, Jerry grzebiąc na leżąco w śmieciach, szarpiąc za grzywkę, ona siedząc, złączeni swoistym rodzajem miłości do jego ojca.

— Powinieneś być sprzedawcą całego kramu wujowi Paulowi — westchnęła. Rada oszukanej przez życie kobiety.

Ostatniego wieczora Jerry zabrał ją na kolację, a potem, kiedy wrócili na Thurloe Square, zaparzyła kawę w tym, co zostało z jej serwisu z sewrskiej porcelany. Ten gest doprowadził do katastrofy. Wpychając bezrozumnie paluch w uszko filiżanki, Jerry ułamał je z cichutkim pyk!, co na szczęście uszło uwagi macochy. Manipulując zręcznie dłońmi, zdołał ukryć wandalizm przed jej oczyma aż do chwili, kiedy nadarzyła się okazja, by wpaść do kuchni i podmienić naczynko. Ale próżna jest ucieczka przed gniewem bożym: wylądowawszy w Taszkencie — wyłudził zgodę na lot przez Syberię — ku swemu zdumieniu zobaczył, że władze radzieckie otworzyły bar na końcu poczekalni — w jego mniemaniu było to świadectwo zdumiewającej liberalizacji. Szperając w kieszeni w poszukiwaniu twardej waluty, by kupić sobie dużą wódkę, nadział się na śliczny porcelanowy znak zapytania o ostrych brzegach. Zrezygnował z wódki.

W sprawach zawodowych okazywał podobną uległość, podobną ustępliwość. Jego agentem literackim był stary, grywający w krykieta znajomek, snob niewiadomego pochodzenia o nazwisku Mencken, zwany Ming, jeden z tych urodzonych głupców, dla których społeczeństwo angielskie, a świat wydawców w szczególności, jest zawsze gotowe zrobić trochę miejsca. Mencken był porywczym, szorstkim w obejściu facetem, który wyhodował sobie posiwiałą bródkę, pewnie po to, by myślano, że to on pisze książki, na które polował. Zjedli lunch w klubie Jerry'ego — okazałym, niechlujnym miejscu, które swoje przetrwanie zawdzięczało fuzji z bardziej skromnymi klubami i wysyłanym wielokrotnie odwołaniom do władz. Rozwaleni w do połowy zapełnionej sali jadalnej, pod marmurowym oknem budowniczych imperium, narzekali na brak szybkich serwujących w drużynie Lancashire. Jerry chciał, żeby Kentyjczycy „uderzali w tę cholerną piłkę, Ming, a nie ją dziobali”, z kolei Middlesex, uznali zgodnie, miał kilku niezłych nowicjuszy, ale „Boże święty, ten

ich system naboru to się nadaje". Ming kręcił głową, krojąc jedzenie na talerzu.

— Szkoda, że zabrakło ci pary! — wrzasnął do Jerry'ego i każdego, kto chciał posłuchać. — Według mnie, jakoś ostatnio jest nie najlepiej z powieściami o Wschodzie. Greene'owi nieźle szło, jeśli go trawisz, bo ja nie, za wiele w tym papizmu. No i Malraux, jeśli lubisz filozofię, bo ja nie. No może jeszcze Maugham, a przed nim to już tylko Conrad. Nasze kawalerskie. Nie obrazisz się, jak ci coś powiem? — Jerry napełnił Mingowi kieliszek. — Nie przejmuj się tak pisaniną Hemingwaya. Do diabła z tym czarem ciężkich czasów, z tą miłością z odstrzelonymi jajami. Według mnie to już nie idzie. Powiedziano już o tym wszystko.

Jerry odprowadził Minga do taksówki.

— Nie obrazisz się, jak ci coś powiem? Dłuższe zdania. Jak wy, gazeciarze, bierzecie się za powieści, to wszystko piszecie za krótkie. Za krótkie ustępy, za krótkie zdania, za krótkie rozdziały. Patrzycie na to w kategoriach długości kolumn, zamiast długości strony. Hemingway robił to samo. Zawsze usiłował pisać powieści na pudełku od zapalek. Weź się rozciągnij, mówię ci.

— Cześć, Ming, dzięki.

— Cześć, Westerby. Pozdrów ode mnie ojca, pamiętaj. Muszę lecieć. Wszyscy jesteśmy zaganiani, nie ma rady.

Nawet podczas spotkania ze Stubbssem Jerry zachował niemal równie pogodny nastrój, choć ze Stubbsa, jak wyraziłaby się Connie Sachs, było znane ropuszysko.

Dziennikarze, jak i inne obieżyświaty, wszędzie robią ten sam bałagan i Stubbs, redaktor naczelny grupy dzienników, nie był wyjątkiem. Na jego biurku wałały się korekty poplamione herbatą i kubki poplamione tuszem, a także resztki kanapki z szynką, dawno umarłej ze starości. Stubbs siedział w środku tego wszystkiego, patrząc chmurnie na Jerry'ego, jakby on zjawił się, by mu to zabrać.

— Stubbsio, duma naszej profesji — mruknął Jerry, otwierając z rozmachem drzwi i opierając się o ścianę z rękami założonymi do tyłu, jakby się bał, że nad nimi nie zapanuje.

Stubbs chciał powiedzieć coś mocno nieprzyjemnego, ale ugryzł się w język i powrócił do czytania teczki leżącej w chlewie na biurku. Dzięki Stubbsowi wszystkie znane dowcipy o redaktorach okazywały się prawdziwe. Był zawziętym stworzeniem o obwisłych, szarych policzkach i ciężkich powiekach, które wyglądały, jakby wtarto w nie sadzę. Zostanie w dzienniku, dopóki nie wykończą go wrzody, a wtedy góra przesunie go do wydania niedzielnego. Później skierują go do kobiecego pisemka, żeby załatwiał korespondencję, aż w końcu odsłuży swoje. Tymczasem był podstępny i przysłuchiwał się telefonom

korespondentów do redakcji, nie mających pojęcia, że na linii jest gumowe ucho.

— Sajgon — warknął i zaznaczył coś na marginesie nadgryzionym długopisem. Jego londyński akcent mąciła wymuszona ponura nosowość, pozostałość z czasów, kiedy językiem urzędowym na Fleet Street była kanadyjska angielszczyzna. — Boże Narodzenie trzy lata temu. Kojarzemy?

— Co kojarzemy, stary? — spytał Jerry, nadal przyklejony do ściany.

— Popijawę — odrzekł Stubbs z kacim uśmiechem. — Towarzystwo i ucztę, kiedy to koncert był jeszcze na tyle głupi, żeby trzymać kogoś w Sajgonie. Przyjęcie bożonarodzeniowe. Wydane przez ciebie. — Spojrzał do teczki. — „Poczęstunek z okazji Bożego Narodzenia, Hotel Continental w Sajgonie”. Potem przekazałeś listę gości, tak jak cię prosiłiśmy. Prasowi najemnicy, fotografowie, kierowcy, sekretarki, posłańcy, cholera jasna, Dobre siedemdziesiąt funtów zmieniło właściciela w służbie public relations i dla dobrej zabawy. Przypominamy sobie? — Przerwał, ale zaraz dodał: — Wymieniłeś wśród gości Smothie'ego Stallwooda. On tam był, tak? Kadził najbrzydszym paniąkom, rzucał odpowiednie teksty?

Czekając, znów zmełł w ustach jakieś przekleństwo, ale Jerry nadal podpierał ścianę, gotów sterczeć tam cały dzień.

— Nasz koncert jest lewicowy — rzekł Stubbs, rozpoczynając ulubioną mówkę — co oznacza, że nie pochwalamy arystokratycznych imprezek, a nasz żywot zależy od hojności pewnego milionera-analfabety. Według archiwów Stallwood był tego dnia w Phnom Penh i gościł u siebie ważniaków z kambodżańskiego rządu, niech Bóg go ma w opiece. Rozmawiałem z nim i wydaje mu się, że właśnie tam wtedy był, w Phnom Penh.

Jerry podszedł ociężale do okna i oparł się tyłkiem o stary czarny grzejnik. Na zewnątrz, nie dalej niż półtora metra od niego, wisiał nad zatłoczonym chodnikiem brudny zegar, prezent dla Fleet Street od założyciela koncertu. Był późny ranek, tymczasem wskazówki pokazywały za pięć szóstą. W drzwiach po drugiej stronie ulicy dwóch mężczyzn w kapeluszach czytało gazetę. Przesłaniała im twarz. Jerry'emu przyszło do głowy, jakże cudowne byłoby życie, gdyby wszyscy obserwatorzy tak wyglądali.

— Ludzie pieprzą ten komiks, Stubbs — powiedział z namysłem po długawym milczeniu. — Włącznie z tobą. Czepiasz się czegoś, co było trzy lata temu. Daj z tym spokój, kolego, oto moja rada. Wepchnij to do jakiejś głębokiej szuflady, to najlepsze miejsce.

— To nie jest żaden komiks, szmatławiec tak, ale nie komiks. Komiks to kolorowy dodatek.

— Dla mnie komiks. Zawsze był komiksem i zawsze będzie.

— Tak — westchnął Stubbs. — Oto, co prezes ma do zaoferowania. — Wziął wydrukowaną umowę. — Nazwisko: Westerby, imiona: Clive, Gerald — wydekłamał, udając, że czyta. — Zawód: arystokrata, syn starego Sambo. — Rzucił umowę na biurko. — Robisz dla obu, dziennika i niedzielki. Piszesz siedem dni w tygodniu, o wszystkim, od wojen po striptizy. Żadnego pełnego etatu ani emerytury. Tylko najskromniejsze wydatki, publiczna pralnia, najtańsze mydło. Dostaniesz kartę na łącza, ale jej nie używaj. Po prostu będziesz nadawał historyjkę pocztą lotniczą, a teleksem wysyłał numer listu przewozowego, my zaś weźmiemy ją na warsztat, jak nadejdzie. Dalsze honoraria w zależności od wyników. BBC jest wspaniałomyślnie zainteresowana braniem od ciebie nagrywanych wywiadów według tych śmiesznych stawek, co zwykle. Prezes mówi, że to zwiększa prestiż, cokolwiek to, cholera, znaczy. Jeśli chodzi o publikowanie w innych...

— Alleluja — rzekł Jerry na długim wydechu.

Podszedłszy leniwie do biurka, wziął do ręki nadgryziony długopis, wciąż mokry od śliny Stubbsa, i nie spojrzawszy ani na jego właściciela, ani na treść umowy, nabazgrał swoje nazwisko na dole strony powolnym zygzakowatym ruchem, uśmiechając się szeroko. W tej samej chwili, jakby celowo wezwana, by przerwać ten święty obrządek, jakaś dziewczyna w dzinsach otworzyła bezceremonialnie kopniakiem drzwi i rzuciła na biurko nowy stos wierszówek. Zaczęły dzwonić telefony — być może dzwoniły już od jakiegoś czasu — dziewczyna wyszła, łapiąc absurdalnie równowagę w swoich olbrzymich platformach, do pokoju zajrzała nieznaną twarz, krzycząc: „msza u starego, Stubbsio!”, i wszedł jakiś podwładny, który chwilę potem zaczął oprowadzać Jerry'ego po mrówczym szlaku: administracja, dział zagraniczny, dział redakcyjny, wypłata w kasie, księgowość, dział sportowy, podróże, upiorne pisma dla kobiet. Przewodnik miał dwadzieścia lat i brodę. Podczas odprawiania tego rytuału Jerry zwracał się do niego per „Cedric”.

Kiedy znalazł się na zewnątrz, zatrzymał się, bujając lekko na palcach i piętach, jakby był zamroczony — wódką albo uderzeniem pięści.

— Super — wymamrotał na tyle głośno, że obejrzało się kilka mijających go dziewczyn. — Znakomicie, cudownie, wspaniale, bosko. — To rzekłszy, wskoczył do najbliższego wodopoju, gdzie paru znanych mu dziennikarzy, głównie od polityki i gospodarki, podpierało bar, chwając się, jak to niewiele brakowało, by wyprzedzili konkurencję.

— Westerby! Jego lordowska mość we własnej osobie! I ten garnitur! Ten sam garnitur, a w nim nasz słodki lord, Jezu przenajświętszy!

Jerry został aż do zamknięcia. Pił jednak powściągliwie, bo chciał mieć jasną głowę podczas przechadzek z George'em Smileyem po parku.

Dla każdej zamkniętej społeczności istnieje „wewnątrz” i „zewnątrz” i Jerry pozostawał na zewnątrz. Spacer ze Smileyem po parku — czyli, dając spokój szpiegowskiemu żargonowi, tajne spotkanie z nim, lub też, jakby mógł powiedzieć sam Jerry, gdyby, od czego broń Panie Boże, chciał kiedykolwiek ubierać w słowa zmienne koleje swego losu, „danie nura w inne, lepsze życie” — oznaczał pieszą wędrówkę z podanego punktu wyjścia, zwykle w wyludnionej części miasta, tak jak dopiero co opustoszały Covent Garden, do miejsca przeznaczenia na tuż przed szóstą, dzięki czemu, jak przypuszczał, przerzedzony zespół „ogonów” Cyrku mógł przypilnować mu tyły i stwierdzić, że jest sam. Pierwszego wieczora celem była stacja metra na Charing Cross od strony Embankment — zatłoczone, obskurne miejsce, gdzie zawsze się wydaje, że coś dziwnego dzieje się z ruchem. Ostatniego wieczora był to zbiorczy przystanek autobusowy po południowej stronie Piccadilly, na granicy Green Park. Razem wszystkich spotkań było cztery, dwa w Londynie i dwa w Sarratt. W Sarratt tematem były działania operacyjne — obowiązkowa powtórka z fachu, którą zdają okresowo wszyscy „frontowcy” — i Jerry musiał wiele zapamiętać, na przykład numery telefonów, hasła kodowe i procedury kontaktowe albo wyrażenia puszczone otwartym tekstem w zwykłych teleksach do gazety, tudzież zasady odwrotu i działania w pewnych mało prawdopodobnych — miano nadzieję — okolicznościach. Jak wielu sportowców, miał chłonną, wyborną pamięć do faktów i przepytujący go inkwizytorzy byli usatysfakcjonowani. Sprawdzili go też w bitce; rezultat był taki, że upadł na zużyty materac o jeden raz za dużo i bolały go plecy.

Sesjami w Londynie było jedno bardzo prędkie spotkanie instruktażowe i jedno bardzo krótkie pożegnanie.

Z umówionych miejsc zabierano go w różny sposób. Na przystanku w Green Park trzymał jako znak rozpoznawczy reklamówkę Fortnum & Mason. Zdołał za pomocą uśmieszków i uników pozostać na końcu kolejki do autobusu, mimo że robiła się coraz dłuższa. Snując się po Embankment ścisłał stary numer „Time'a”, na którego okładce widniało przez przypadek dobrze odżywione oblicze przewodniczącego Mao, a czerwone litery i ramka na białym tle rzucały się w oczy w ukośnych promieniach zachodzącego słońca. Big Ben wybił szóstą i Jerry policzył uderzenia, ale etyka takich spotkań wymagała, by odbywały się nie punktualnie z wybiciem godziny czy

kwadrans, ale w bardziej niewyraźnych przedziałach, bo wtedy — uważano — nie wzbudzają niczyjej uwagi. Jesienią szósta była godziną czarów: zapachy wszystkich mokrych i pokrytych liśćmi boisk do krykieta w całej Anglii unosiły się w górę rzek wraz z wilgotnymi strzępami zmierzchu i Jerry spędził ten czas w miłym półtransie, wdychając je i z jakiegoś powodu zaciskając powiekę lewego oka. Furgonetka podjechała z warkotem. Był nią mocno wysłużony zielony bedford z drabiną na dachu i zamalowanym, ale wciąż czytelnym napisem „Harris Builder”: stary wóz inwigilacyjny, odstawiony już niegdyś na złom, ze stalowymi klapami na okienkach. Widząc podjeżdżający samochód, Jerry ruszył ku niemu w tej samej chwili, gdy kierowca, kwaśny chłopak z zajęczą wargą, wystawił przez otwartą szybę ostrzyżoną na jeża głowę.

— A gdzie Wilf? — spytał ostro. — Powiedzieli, że będzie z tobą.

— Będę musiał wam wystarczyć sam — odparował Jerry z animuszem. — Wilf ma robotę. — Ponieważ miejsce dla pasażera w kabinie było umyślnie zawalone sklejką, otworzył tylne drzwi i wgramolił się do środka, zatraskując je za sobą.

Nigdy nie zamienili więcej ani słowa.

W dawnych czasach, kiedy w Cyrku pracowali podoficerowie, Jerry mógłby liczyć na miłą pogawędkę. Teraz już nie.

Wycieczki do Sarratt wyglądały trochę inaczej: skakali po wybojach przez dwadzieścia kilometrów lub coś koło tego, i Jerry miał szczęście, jeśli chłopak wrzucił do środka poduszkę, by uchronić jego tyłek od siniaków.

Kabina kierowcy była oddzielona od tylnej części furgonetki; Jerry kuczał, chwytając się poręczy, i kiedy tak nim rzucało po drewnianej ławce, jedyną rzeczą, którą mógł dostrzec, była perforowana wersja świata, widziana przez pęknięcia w krawędziach stalowych kłapek u okienek, choć wystarczyło to, by zorientować się w terenie.

W drodze do Sarratt minął przygnębiające wycinki przestarzałych fabryk przypominających licho wybielone wapnem kina z lat dwudziestych, a także przydrożną ceglana gospodę opatrzoną czerwonym neonem: „Urządzamy przyjęcia weselne”. I pierwszego, i ostatniego wieczora, kiedy zawieźli go do Cyrku, nerwy miał napięte do ostatnich granic. Podczas pierwszej wizyty, gdy zbliżali się do znanych mu, osławionych wieżyczek — ta chwila nigdy mu nie umknęła — opanowało go uczucie swego rodzaju zmaconej świętości: „Na tym polega służba”. Po smudze czerwonej cegły pojawiły się poczerniałe pnie platanów, potem mieszanina kolorowych świateł, do tyłu przemknęła brama i naraz furgonetka zatrzymała się z łoskotem. Doszedł go odgłos zamykanej bramy. W tej samej chwili ktoś otworzył od ze-

wnątrz drzwi i rozległ się warkliwy głos: — No jazda, ruszać się tam, na miłość boską! — To Guillam stroił sobie żarty.

— Cześć, Peter, jak tam firma? Jezu, ale zimno!

Nie zaprzatając sobie głowy odpowiedzią, Guillam klepnął energicznie Jerry'ego w ramię, jakby dawał mu sygnał do biegu, wprowadził go do budynku, zamknął za sobą szybko drzwi na dolny i górny zamek, włożył klucze do kieszeni i rażnym krokiem poprowadził korytarzem, który najwyraźniej „fretki” porozrywały na strzępy w ataku furii: płyty rozkutego tynku, wyglądające spod nich cegły, powyrywane z zawiasów drzwi, wiszące luźno belki i listwy, folia, drabiny, wszędzie gruz.

— Ktoś wyprawił huczne urodziny, co? — zażartował Jerry. — Czy też doszło do dyskusji politycznych?

Jego pytanie zagłuszył stukot ich butów. Szli szybko na górę, na wyścigi, Guillam wyrывая się do przodu, Jerry opierając ciężar ciała na piętach, śmiejąc się zdyszany, obaj dudniąc i szurając stopami po gołych drewnianych schodach. Wtem powstrzymały ich drzwi i Jerry zaczekał, aż Guillam upora się z zamkami. Po chwili przystanął po drugiej stronie, żeby ten z powrotem je pozamykał.

— Witamy na pokładzie — rzekł Guillam, tym razem ciszej.

Weszli na piąte piętro. Szli teraz cicho, poważni — angielscy oficerowie przywołani do porządku. Korytarz skręcał na lewo, potem na prawo, następnie wznosił się w górę o kilka wąskich stopni. Pęknięte wypukłe lustro, znowu stopnie, dwa w górę, trzy w dół, aż doszli do samotnego biurka portiera. Na prawo znajdowała się bawialnia, pusta, z fotelami ustawionymi w nierówny krąg i ogniem płonącym przyjemnie w kominku. Następnie długi, wyłożony brązowym dywanem pokój, oznaczony wywieszka „sekretariat”, w rzeczywistości pokój przechodni, gdzie przy świetle lamp trzy „matki” w perłach i sweterkach do koloru w ciszy stukwały na maszynach do pisania. Na końcu pokoju znajdowały się jeszcze jedne drzwi, zamknięte, nie pomalowane i bardzo brudne wokół klamki. Żadnej płytki ochronnej przy zamku, żadnej tarczki. Jedyne dziury i aureolki po śrubach, zauważył Jerry. Bez pukania, pchnąwszy drzwi Guillam wsadził głowę do środka i coś cicho powiedział. Następnie cofnął się i wpuścił Jerry'ego: Jerry Westerby przed oblicze najjaśniejszego.

— Rany, super, George, cześć.

— I nie pytaj go o żonę — w ostatniej chwili ostrzegł Guillam przytłumionym półgłosem, który dobrą chwilę szumiał Jerry'emu w uszach.

Ojciec i syn, tego rodzaju związek? Mózg i ręka? Chyba raczej ojciec i adoptowany syn, a tę więź uważa się w szpiegowskim fachu za najsilniejszą ze wszystkich.

— Stary — mruknął Jerry i zaśmiał się ochryple.

W języku angielskim brak stosownego wyrażenia na powitanie przyjaciela, szczególnie gdy stoi on na przeciwległym krańcu długiego, ponurego gabinetu, w którym dla stworzenia nastroju nie ma nic lepszego od urzędniczego biurka. Na ułamek sekundy Jerry przystawił swoją grabę krykicisty do miękkiej, niezdecydowanej dłoni Smileya, po czym postąpił za nim ciężko, w sporej odległości, ku kominkowi, gdzie czekały na nich dwa fotele: stara skóra, popękana, mocno zapadła. Po raz drugi w tych narwanym dniach płonął ogień na wiktoriańskim palenisku, ale bardzo mały w porównaniu z tym w bawialni.

— Jak było w Lucce? — zapytał Smiley, nalewając z karafki do dwóch szklanek.

— Wspaniale.

— Ojej, w takim razie żal było wyjeżdżać?

— Rany, skąd. Super. Na zdrowie.

— Na zdrowie.

Usiedli.

— A dlaczego super, Jerry? — zapytał Smiley, jakby nie znał tego słowa. Na biurku nie leżały żadne dokumenty, a gabinet był pusty, jakby nie używany.

— Bo myślałem, że jestem już spisany na straty — wyjaśnił Jerry. — W odstawce na zawsze. Ten telegram to był wiatr w żagle. Cóż, Bill pognąbił mnie do szczętu. Właściwie wszystkich, więc dlaczego nie mnie?

— Tak — przytaknął Smiley, jakby podzielał wątpliwości Jer-ry'ego, przez chwilę przypatrując mu się otwarcie. — Tak, tak. Jednak w rezultacie wydaje się, że nie miał możliwości dobrać się na całego do was, sezonowców. Przeorałiśmy wszystkie archiwa, by odnaleźć jego ślady. Wasze akta przechowywane były pod wywieszka „zaprzyjaźnione kontakty” w dziale „rezerwy”, w osobnym archiwum, do którego nie miał oficjalnie dostępu. Nie znaczy to, że się z wami nie liczył — dodał pośpiesznie — po prostu inne sprawy były dla niego pilniejsze.

— Przeżyję to — odrzekł Jerry z uśmiechem.

— Cieszę się — powiedział Smiley, nie poznając się na żarcie. Podniósłszy się napełnił szklanki, po czym podszedł do kominka i wziął mosiężny pogrzebacz, którym zaczął w zadumie dźgać węgle. — Lucca, tak. Pojechaliśmy tam kiedyś z Ann. Musiało to być z jedenaście albo dwanaście lat temu. Padało wtedy. — Zaśmiał się. Jerry dostrzegł w przeciwległym rogu wciśnięte we wnękę wąskie, cherlawe łóżko polowe z rzędem telefonów u wezglowia. — Pamiętam, że zwiedziliśmy *bagno* — mówił dalej Smiley — modne wody

lecnicze. Bóg raczy wiedzieć, co chcieliśmy uleczyć. — Znów zaczął szturchać węgle i tym razem płomienie strzeliły żywo w górę, pokrywając zaokrąglone zarysy jego twarzy pomarańczowymi smugami i przeobrażając grube okulary w kałuże złota. — Czy wiesz, że poeta Heine przeżył tam wielką przygodę? Romans? Chyba w końcu to dlatego tam pojechaliliśmy. Myśleliśmy, że nawdychamy się atmosfery. Jerry mruknął coś, nie bardzo w tej chwili wiedząc, kim był Heine.

— Pojechał do *bagno*, pił wodę zdrojową i spotkał tam kobietę, której imię wywarło na nim takie wrażenie, że od tej pory kazał je używać swojej żonie. — Pozostał jeszcze chwilę przy ogniu. — I ty też miałeś przygodę, prawda?

— Przelotna sprawa, nie warto wspominać.

Beth Sanders, pomyślał machinalnie Jerry, a jego świat zachwiał się na ułamek sekundy, po czym wrócił do dawnej pozycji. Z Beth był naturszczyk. Ojciec emerytowany generał, szeryf hrabstwa, kobitka ma pewnie ciotkę w każdym biurze Whitehallu.

Pochyliwszy się ponownie, Smiley ustawił w kącie pogrzebacz, bardzo pieczołowicie, jakby kładł wieniec. — My niekoniecznie rywalizujemy z uczuciem. Chcemy tylko wiedzieć, jak głęboko ono sięga. — Jerry nic nie odpowiedział. Uśmiechnął się, kiedy Smiley spojrział na niego przez ramię. Nie chciał go zniechęcać. — Ukochana Heinego miała na imię *Irwin Mathilde* — podjął na nowo Smiley i uśmiech Jerry'ego przemienił się w sztuczny rechot. — Tak, przyznaję, że to imię brzmi lepiej po niemiecku. Jak ci poszło z powieścią? Z przykrością myślę o tym, że wystraszyliśmy twoją żonę. Nigdy sobie tego nie wybaczę.

— Nie ma problemu — odrzekł Jerry.

— Skończyłeś?

— Wiesz, jak to jest.

Przez chwilę nie było słyhać nic prócz stukania w maszyny do pisania za ścianą i pomruku ulicy pięć piętér niżej.

— W takim razie wynagrodzimy ci to, kiedy sprawa dobiegnie końca — rzekł Smiley. — Koniecznie. A jak poszło ze *Stubbsem*?

— Bez problemu — odparł Jerry.

— Czy możemy coś jeszcze zrobić, żeby ci utorować drogę?

— Chyba nie.

Zza pokoju przechodniego doszedł ich odgłos wielu kroków, wszystkie w jednym kierunku. Narada wojenna, pomyślał Jerry, zlot klanów.

— I jesteś pewien, że chcesz tego i tak dalej? — spytał Smiley. — Jesteś, hm, przygotowany, zdecydowany?

— Nie ma problemu. — „Dlaczego nie potrafię powiedzieć czegoś innego?” — zadał sobie pytanie. Nerwy, cholera.

— Bo dziś wielu ludzi nie jest. Nie jest zdecydowanych, zwłaszcza w Anglii. Wielu ludzi uważa wątpliwość za słuszne stanowisko filozoficzne. Myślą o sobie, że stoją pośrodku, a tak naprawdę nie stoją nigdzie. Jeszcze żadna bitwa nie została wygrana przez widzów, czy nie tak? My w tej służbie zdajemy sobie z tego sprawę. Mamy szczęście. Obecna wojna zaczęła się w 1917 roku wraz z rewolucją bolszewicką. I trwa do dziś.

Smiley przeszedł na drugą stronę pokoju, w pobliże łóżka. Za nim, w nowym blasku ognia, migotało stare, ziarniste zdjęcie. Jerry zauważył je wchodząc. I nagle, na przeciąg chwili, poczuł, że jest celem podwójnej obserwacji: Smileya i zamazanych oczu twarzy za szkłem, tańczącej w blasku ognia. Mnożyły się odgłosy przygotowań. Zza ściany dobiegały słowa, śmiechy, skrzyknięcie krzesel.

— Czytałem gdzieś — odezwał się Smiley — napisał to chyba jakiś historyk, Amerykanin w każdym razie, o pokoleniach dłużniaków, którzy rodzą się w więzieniach za długi i całe życie poświęcają na to, by kupić sobie wolność. Myślę, że my należymy do takiego pokolenia. Nie uważasz? Wciąż mocno czuję, że jestem winien, a ty? Zawsze czułem wdzięczność dla tej służby za to, że daje mi możliwość spłaty. Czy ty to czujesz? Uważam, że nie powinniśmy bać się... poświęcenia jakiejś sprawie. Czy jestem staroświecki?

Twarz Jerry'ego pozostawała nieruchoma. Będąc daleko, zawsze zapominał o tej przywarze Smileya i kiedy wracał, przypominał sobie o niej zbyt późno. Stary George miał coś z księdza-nieudacznika, i im był starszy, tym bardziej to coś dawało o sobie znać. Najwyraźniej zakładał, że cały przeklęty świat Zachodu dzieli z nim jego rozterki i że trzeba go nawracać słowami.

— I myślę, że w tym sensie możemy sobie szczerze pogratulować, że jesteśmy odrobinę staroświeccy...

Jerry miał dość.

— Stary — zaprotestował, śmiejąc się nieszczerze. Jego twarz nabrała kolorów. — ■ Boże święty. Dajesz rozkaz i ja ruszam, zgadza się? To ty jesteś od myślenia, nie ja. Ty wyznaczasz zadania, ja je wykonuję. Świat pęka w szwach od mdłych intelektualistów, targanych piętnastoma sprzecznymi racjami, gdy chcą się wysmarkać. I ty wśród nich? Chryste Panie.

Natarczywe pukanie do drzwi zapowiedziało Guillama.

— Fajki pokoju zapalone, wodzu.

Jerry'emu wydało się, ku jego zdziwieniu, że wśród powstałego na moment hałasu słyszy słowo „kobieciarz”, ale nie wiedział,

czy dotyczyło ono jego, czy Heinego, i nie obchodziło go to zbyt. Smiley się zawahał, zmarszczył brwi, następnie jakby przypomniał sobie, gdzie jest. Spojrzał na Guillama, potem jeszcze raz na Jerry'ego i w końcu utkwiał wzrok w przestrzeni pomiędzy nimi, co jest szczególną cechą angielskich akademików.

— Dobrze, a zatem czas nakręcić zegar — rzekł jakby do siebie.

Kiedy wychodzili, Jerry zatrzymał się, by popatrzeć na zdjęcie wiszące na ścianie. Stał z rękami w kieszeniach, szczerząc zęby do fotografii i mając nadzieję, że Guillam też przystanie. Nie omylił się.

— Wygląda, jakby miał się z pyszna — powiedział. — Kto to?

— Karla — odparł Guillam. — Zwerbował Haydona. Rosyjski bandzior.

— Brzmi jak imię dziewczyny. A jak ty się masz?

— Bo to kryptonim jego pierwszej siatki. Według jednej ze szkół filozoficznych jest to też imię jego jedynej miłości.

— Brawo — odrzekł niefrasobliwie Jerry i, wciąż uśmiechnięty, ruszył z Guillamem do bawialni. Smiley szedł przodem, znajdował się poza zasięgiem ich głosów, być może umyślnie. — Wciąż jesteś z tą pomyloną dziewczyną, tą flecistką?

— Już nie jest taka pomylona — odrzekł Guillam.

— Zmyła się? — spytał ze współczuciem Jerry po kilku krokach.

— Coś w tym stylu.

— Az nim wszystko w porządku? — zadał kolejne pytanie, jak najbardziej od niechcenia, wskazując ruchem głowy samotną postać przed nimi. — Ma apetyt, ciepłe palto i tak dalej?

— Nigdy nie miewał się lepiej. A co?

— Nic, tak pytam — odrzekł Jerry, zadowolony.

Z lotniska zadzwonił do swojej córki, Cat, co robił rzadko, ale tym razem musiał. Wiedział, że to błąd, zanim jeszcze wrzucił monetę, ale uparł się, i nie zniechęcił go nawet straszliwie znajomy głos byłej żony.

— Rany, cześć! To ja. Super. Jak tam Phillie?

Phillie był jej mężem, urzędnikiem państwowym z niemal pełną wysługą lat, choć od Jerry'ego młodszy o około trzydzieści burzliwych żywotów.

— Doskonale, dziękuję — odrzekła oziębłym tonem, którym dawne żony bronią nowych towarzyszy życia. — Dzwonisz, by o to spytać?

— Właściwie to pomyślałem sobie, że mógłbym pogadać z Cat. Jadę na Wschód, znowu jestem w trasie — odparł. Czuł, że powinien przeprosić. — Po prostu komiks potrzebuje tam jakiegoś wyrobnika — powiedział i usłyszał, jak słuchawka stuka o komódkę

w hallu. Dąb, przypomniał sobie, gięte nóżki. Jedna z pozostałości po starym Sambo.

— Tato?

— Cześć!—wrzasnął, jakby źle było słycać, jakby go zaskoczyła.

— Cat? Halo, słuchaj, kobitko, dostałaś moje pocztówki i resztę? — Wiedział, że tak, dziękowała mu regularnie w cotygodniowych listach.

Nie słysząc nic innego tylko kolejne „tato?”, jeny spytał pogodnie:

— Nadal kolekcjonujesz znaczki, co? Widzisz, wyjeżdżam teraz. Na Wschód.

Jedne samoloty odlatywały, inne przylatywały, całe światy zmieniały miejsce, tylko Jerry Westerby, rozmawiając ze swą córką, trwał nieruchomy w tej procesji.

— Miałaś bzika na punkcie znaczków — przypomniał jej.

— Mam już siedemnaście lat.

— Jasne, jasne. To co teraz kolekcjonujesz? Nie mów, chłopców!

— Wysilał się, jak mógł, sadził na dowcipy, sam się z nich śmiał, tańczęc na zmianę to na jednej, to na drugiej nodze. — Posłuchaj, posyłam ci trochę pieniędzy, Blatt and Rodney to załatwią, coś w rodzaju prezentu na urodziny i Boże Narodzenie razem. Lepiej porozmawiaj najpierw z mamą, na co je wydasz. A może z Phillie'em, co? Z niego jest trzeźwo myślący facet, no nie? Nie sprzeczasz się z nim. — Otworzył drzwi budki, żeby wpuścić trochę hałasu. — Cat, obawiam się, że zapowiadają mój lot — wrzasnął, przekrzykując zgiełk. — Patrz pod nogi, uważaj na siebie. I nie oddawaj się zbyt łatwo, wiesz, co mam na myśli?

Stanął w kolejce do baru, ale w ostatniej chwili obudził się w nim człowiek Wschodu, ruszył więc do kawiarenki. Może minąć sporo czasu, zanim będzie miał kolejną szansę wypić świeże krowie mleko. Stanąwszy w drugim ogonku, doznał uczucia, że jest obserwowany. Co tam, na lotnisku wszyscy wszystkich obserwują, więc niech to cholera. Pomyślał o sierocie i pożałował, że nie miał czasu podłapać jakiejś dziewczyny przed wyjazdem, choćby tylko po to, by odpędzić wspomnienie ich nieuniknionego rozstania.

Smiley szedł ulicą, samotny tęgawy mężczyzna w płaszczu przeciwdeszczowym. Dziennikarze zajmujący się życiem towarzyskim, z większą klasą niż Jerry, natychmiast rozpoznaliby ten typ: poszukiwacz przygód, stały bywalec eleganckich saun i nieprzyzwoitych księgarenek. Te długie włóczęgi weszły mu w krew. Odzyskawszy energię, potrafił przebyć połowę Londynu i nawet tego nie zauważyć. Znając okolice Cambridge Circus jak własną kieszeń, mógł ruszyć w dwadzieścia różnych tras i ani razu nie przeciąć tej samej drogi dwa razy. Wybrawszy kierunek pozwalają, by dalek wiódł go instynkt

i przypadek, podczas gdy umysł plądrował zakamarki duszy. Jednak tego wieczora krokami Smiley kierowała siła przyciągania, prowadząc go na południowy-zachód, i się nie opierał. Powietrze było wilgotne i zimne, nasączone szorstką mgłą, która nigdy nie widziała słońca. Wyruszając zabrał ze sobą swoją małą wyspę, a tłoczyły się na niej obrazy, nie ludzie. Niczym dodatkowe okrycie, białe mury spowity go w myślach. Przed drzwiami domu szeptali dwaj mordercy w skórzanych płaszczach, pod latarnią ciemnowłosey chłopiec gniewnie ścisnął futerał od skrzypiec. Przed teatrem, w blasku światel wiszącego nad głowami neonu, stał tłum oczekujących, a wokół nich niczym dym kłębiła się mgła. Nigdy jeszcze Smiley nie wyruszał do boju wiedząc tak mało i oczekując tak wiele. Czuł, że jest wabiony i tropiony, lecz kiedy opadało go zmęczenie i wycofywał się na moment, by rozważyć sens tego, co zamierza uczynić, to niemal mu on umykał. Spoglądał za siebie i widział czekające na niego szczęki porażki. Patrzy na wprost i przez wilgotne szkła dostrzega ledwie cienie wielkich nadziei, tańczące we mgle. Rozglądał się wokół i rozumiał, że w miejscu, w którym się znajduje, nie ma dla niego innej drogi. Szedł więc do przodu, ale bez niezachwianej pewności. Powrót po śladach, które go tu przywiodły — żyła rosyjskiego złota, odciski palców prywatnych żołnierzy Karli, ślady po gumce Haydona — nie dawały odpowiedzi. Daleko poza granicami tych obiektywnych racji Smiley dostrzegał w sobie istnienie ciemnego motywu, nieskończenie bardziej mrocznego, który jego racjonalny umysł z uporem odrzucał. Nazwał go Karłą i prawdą było, że gdzieś w nim, niczym echa dawnej legendy, płonęły węgle nienawiści do tego człowieka, który postanowił zniszczyć świątynię jego osobistej wiary czy też to, co z nich pozostało: służbę, którą ukochał, przyjaciół, ojczyznę, jego rozumienie rozsądnej równowagi w ludzkich poczynaniach. Prawdą było też to, że wieki temu obaj mężczyźni zetknęli się twarzą w twarz w skwarze hinduskiego więzienia, oddzieleni od siebie metalowym stołem, choć wówczas Smiley nie miał powodu przypuszczać, że spotkał swoje przeznaczenie. Los Karli wisiał wtedy w Moskwie na włosku i Smiley usiłował namówić go do ucieczki na Zachód, ale Karla milczał, wołając śmierć czy coś gorszego od łatwej zdrady. I prawdą było również to, że co jakiś czas wspomnienie tego spotkania, nie ogolonej twarzy i przenikliwych, zapadniętych oczu, nawiedzało Smiley'a jak oskarżycielski upiór, wypłoszony z mroków jego małego gabinetu, w niespokojnym śnie na łóżku połowym.

Ale nienawiść nie była uczuciem, które mógł żywić przez dłuższą chwilę, chyba że stanowiła odwrotną stronę miłości.

Zbliżał się do King's Road w Chelsea. Z powodu bliskości rzeki mgła zrobiła się gęstsza. Nad jego głową klosze lamp wisiały na na-

gich gałęziach drzew niczym chińskie latarnie. Samochodów było niewiele, jeżdżono ostrożnie. Przeszedłszy na drugą stronę, ruszył chodnikiem, aż dotarł do Bywater Street, ślepej uliczki ładnych domków szeregowych, i skręcił w nią. Szedł teraz uważnie, trzymając się zachodniej strony ulicy i cieniów zaparkowanych pojazdów. Była godzina siódma i w oknach widział gadające głowy i wrzeszczące, ciche usta. Rozpoznał niektóre twarze, niektóre nawet kiedyś ponazywał: Kot Feliks, Lady Makbet. Znajdował się teraz naprzeciwko swego domu. Z okazji ich powrotu kazała pomalować okiennice na niebiesko: wciąż miały ten kolor. Okno nie było zasłonięte, bo nie cierpiała czuć się jak w kokonie. Siedziała sama, przy sekretarzyku, jakby grała dla niego tę scenę: piękna i sumienna żona u schyłku dnia, spisująca domowe sprawy do załatwienia. Słuchała muzyki, złowił jej echo, niesione mgłą. Sibelius. Nie miał wielkiego pojęcia o muzyce, ale znał jej wszystkie płyty i kilkakrotnie wychwalał Sibeliusa przez grzeczność. Nie mógł dojrzeć gramofonu, ale wiedział, że stoi na podłodze, tam gdzie stał dla Billa Haydona, kiedy miała z nim romans. Zastanawiał się, czy obok leży też słownik do niemieckiego i jej antologia poezji niemieckiej. Kilka razy w ostatnich dziesięciu czy dwudziestu latach, zwłaszcza po kolejnym pojednaniu, popisywała się nauką niemieckiego, żeby Smiley mógł czytać jej na głos.

Nagle podniosła się, przeszła przez pokój, stanęła przed ślicznym połączonym lustrem i poprawiła włosy. Zapiski, zrobione dla siebie, wcisnęła w ramę. Co tym razem, zastanawiał się. Posprzątać garaż. Odwołać lunch z Madeleine. Zrugać rzeźnika. Czasami, kiedy stosunki między nimi były napięte, porozumiewała się z nim w ten sposób: zmusić George'a do uśmiechu, przeprosić nieszczerze za gafę. W bardzo złych okresach pisała do niego długie listy i zostawiała, by je odbierał.

Ku jego zaskoczeniu zgasiła światło. Usłyszał, jak zamyka zasuwkę u drzwi wejściowych. Zostaw ten łańcuch, pomyślał odruchowo, a zamknij podwójny zamek. Ile razy mam ci mówić, że zasuwka jest tak mocna jak śruby, które ją trzymają? Znowu to samo: przypuszczał, że nie zamknie zasuwki na wypadek, gdyby wrócił. Nagle zapaliło się światło w sypialni i zobaczył jej postać w oknie, gdy, niczym anioł, uniosła w górę ręce ku zasłonom. Zaciągnęła je gwałtownym ruchem, lecz nagle znieruchomiała, tak że się przestraszył, iż go spostrzegła, ale przypomniał sobie o jej słabym wzroku i niechęci do okularów. Wychodzi, pomyślał, będzie się stroić. Zobaczył, jak lekko odwraca głowę, jakby ktoś się do niej odezwał. Zobaczył, jak porusza ustami, jak układa je w psotny uśmiech, i znów podnosi ramiona, tym razem ku karkowi, by odpiąć górny guzik bluzki. W tej samej

chwili szpara między zasłonami została błyskawicznie unicestwiona przez inne, niecierpliwe dłonie.

Me, pomyślał Smiley, zrozpaczony, nie, proszę, zaczekajcie, aż pójdę!

Przez minutę, a może dłużej, stał na chodniku i patrzył w osłupieniu na zaciemnione okno, aż w końcu gniew, wstyd i odraza do samego siebie złamały go jak fizyczny ból i popędził na oślep w kierunku King's Road. Kto tym razem? Kolejny gładkolicy baletnik, odprawiający jakiś narcystyczny rytuał? Jej podły kuzyn Miles, polityk--karierowicz? Czy też Adonis, który zawitał na jedną noc z pobliskiego pubu?

Kiedy zadzwonił zewnętrzny telefon, Peter Guillam siedział sam w bawialni, trochę pijany, usychając z tęsknoty zarówno za ciałem Molly Meakin, jak i za Smileym. Natychmiast podniósł słuchawkę i usłyszał Fawna, bez tchu i wściekłego.

— Zgubiłem go — krzyknął Fawn. — Wykołował mnie!

— W takim razie jesteś skończonym kretynem — odrzekł Guillam z zadowoleniem.

— To by było jeszcze nic, ale słuchaj, co się stało! Idzie w kierunku domu, akcja jak zwykle. Zatrzymuję się więc, czekam na niego na King's Road, pełna dyskrecja, no i w końcu wraca. I co? Patrzy na mnie. A jak patrzy? Jak na śmiecia, po prostu jak na śmiecia. I za chwilę jestem sam, nie wiem, jak on to zrobił, gdzie się podział. W końcu jestem jego przyjacielem, nie? Za kogo, cholera, on się uważa? Gruby kurdupel, zabije go!

Guillam się śmiał, kiedy odkładał słuchawkę.

Rozdział 6

SZANTAŻOWANIE FROSTA

W Hongkongu znów była sobota, ale o tajfunach już nie pamiętano. Dzień dławił spiekotą, bezchmurny i bezwietrzny. W Klubie Hongkońskim pogodny chrześcijański zegar wybił jedenastą i kuranty dzwoniły w wyłożonej boazerią ciszy jak łyżeczki upuszczone z wysoka na kuchenną podłogę. Co lepsze krzesła były już zajęte przez czytelników czwartkowego numeru „Telegrapha”, w którym

przedstawiono ponury obraz moralnych i ekonomicznych nieszczęść ich ojczyzny.

— Funt znowu spadł na łeb na szyję — dobył się z fajki skrzekliwy głos. — Elektrycy strajkują, kolej strajkuje, piloci strajkują.

— A ktoś pracuje? To ważniejsza sprawa — odezwał się inny, równie skrzekliwy głos.

— Jeśli mieszkałbym na Kremlu, to powiedziałbym, że robimy pierwszorzędną robotę — powiedział pierwszy z dwóch rozmówców, wyszczekując ostatnie słowo, by nadać mu ton wojskowego oburzenia, i z westchnieniem zamówił kilka szklanek wytrawnego martini. Żaden nie miał więcej niż dwadzieścia pięć lat, ale patriotom liczącym na szybki uśmiech fortuny na obcej ziemi rychło przybywa lat.

W Klubie Zagranicznych Korespondentów był to jeden ze wzorowych dni, kiedy to mieszczanie znacznie przewyższali liczebnie pisaków. Pozbawieni Crawa, który był spoiwem, członkowie Klubu Szanghajskiego rozpierzchli się, kilku w ogóle wyjechało z Kolonii. Fotografów zwabiła do Phnom Penh perspektywa nowych wspaniałych walk, bo pora deszczowa dobiegła końca. Kowboj był w Bangkoku, spodziewając się nowej fali zamieszek studenckich, Lukę zaś w biurze, a jego szef, karzeł, ślęczał zły jak osa przy barze, otoczony mocnymi w gębie Brytyjczykami z przedmieścia, dyskutującymi o zeszłorocznym śniegu, ubranymi w ciemne spodnie i białe koszule.

— Ale tym razem przynieś zimne, słyszysz? Baaaardzo ziiiiimne i to raz, dwa.

Nawet Rocker stał się małowówny. Tego ranka towarzyszyła mu żona, była nauczycielka szkoły biblijnej z Borneo, wysuszona hetera w koku i skarpetkach do kostek, która potrafiła dostrzec grzech, zanim jeszcze go popełniono.

Parę zaś mil na wschód, na ulicy Cloudview Road, dystans przebywany za trzydzieści centów miejskim autobusem, w North Point, uważanym za najgęściej zaludniony zakątek naszej ziemi, dokładnie tam, gdzie miasto wyrzusza się w kierunku Peaku, na szesnastym piętrze wieżowca zwanego A7, leżał na materacu przebudzony po krótkim, acz błogim śnie Jerry Westerby, śpiewając własny tekst do „Miami Sunrise” i mając przed oczyma rozbierającą się piękną dziewczynę. Materac był długi na ponad dwa metry, przeznaczony — w poprzek —■ dla całej chińskiej rodziny, i chyba po raz pierwszy w życiu nogi Jerry'ego też się wysypiały. Był dłuższy od koi Pet o cały kilometr, dłuższy nawet od łóżka w Toskanii, choć w Toskanii to nie miało znaczenia, bo było się do kogo przytulić, a jak się jest do kogo przytulić, to człowiek nie leży wyciągnięty. Dziewczyna, na którą patrzył, stała w obramowaniu okna naprzeciwko, dziesięć

jardów, a może dziesięć mil od niego, nieważne, i tak poza zasięgiem, i kiedy budził się każdego ranka z tych dziewięciu, tak samo się rozbierała i myła, ku jego sporemu zadowoleniu, a nawet uciesze. Jeśli szczęście dopisało, oglądał cały rytuał, od momentu, kiedy przechylała głowę na boki, by długie czarne włosy opadły swobodnie po kibić, aż do chwili, gdy cnotliwie owijała się w prześcieradło i wracała do pokoju obok, gdzie mieszkała cała jej rodzina w sile dziesięciu osób. Znał tę rodzinę jak własną; ich łaźienkowe zwyczaje, gusta muzyczne, kuchnię i sposoby uprawiania miłości, ich święta, krzyki i niebezpieczne kłótnie. Jediną rzeczą, której nie był pewien, to czy podglądał jedną dziewczynę czy dwie.

Zniknęła, ale on śpiewał dalej. Czuł werwę, i tak działo się zawsze, bez względu na to, czy miał wniknąć jak duch w jakąś boczną praską uliczkę, by wymienić paczuszki z umierającym z przerażenia facetem czy — wiosłować trzy mile po Morzu Kaspijskim w pomalowanej na czarno dinghy, by zabrać z plaży radiotelegrafistę. Za każdym razem, kiedy gra nabierała rumieńców, Jerry odkrywał to zdumiewające panowanie nad sobą, tę samą radość, tę samą żwa-wość. I ten sam warczący strach, co niekonicznie przeczy tamtemu. To już dziś, pomyślał, zabawa się skończyła.

Trzy maleńkie pokoiki, wszystkie wyłożone klepką. To pierwsza rzecz, która rzucała mu się w oczy każdego ranka, bo nigdzie nie było żadnych mebli oprócz materaca, kuchennego krzesła, stolika, na którym spoczywała maszyna do pisania, jednego jedyne go talerza, który służył za popielniczkę, i kalendarza rocznik 1960, z rudą panienką, której wdzięki musiał już nadgryźć ząb czasu. Znał ten typ na wskroś: zielone oczy, temperament i skóra tak delikatna, że za każdym razem, kiedy się ją tknęło palcem, wyglądała jak pole bitewne. Dodać do tego należy aparat telefoniczny, antyczny adapter tylko na siedemdziesiątki ósemki i dwie najprawdziwsze fajki do palenia opium, zawieszzone na ścianie na solidnych gwoździach. I to już cała lista dobytku i zainteresowań Szwaba Śmiercioluba, obecnie przebywającego w Kambodży, od którego Jerry wynajął mieszkanie. No i obok materaca jego własny wór na książki.

Płyta się skończyła. Podniósł się rażno, zaciskając nędzny sarong wokół brzucha. Wtedy właśnie zadzwonił telefon, usiadł więc znów, i chwyciwszy za przewód, przyciągnął do siebie stojący na podłodze aparat. To był Luke, jak zwykle. Tym razem szukał kogoś do gry.

— Wybacz, kolego, piszę artykuł. Spróbuj solo.

Wykręciwszy zegarynkę, usłyszał najpierw jazgot chiński, potem dopiero angielski i wtedy ustawił zegarek co do sekundy. Następnie podszedł do gramofonu i jeszcze raz nastawił „Miami Sunrise”,

jak najgłośniejszą się dało. To była jedyna płyta, ale przynajmniej zagłuszyła bulgot bezużytecznego klimatyzatora. Wciąż nucąc, otworzył szarpnięciem jedyną szafę i z leżącej na dnie starej skórzanej walizki, wyjął poźółkłą raketę tenisową ojca, rocznik tysiąc dziewięćset trzydziesty któryś, z literami S.W. wypisanymi atramentem na podstawie rączki. Odkręciwszy rączkę wyłuskał z wgłębienia cztery miniaturowe filmy w kasetkach, zgniecioną szarą podkładkę i miniaturowy aparat fotograficzny na baterie z taśmą mierniczą. Konserwatywna natura Jerry'ego przedkładała to cacko nad świetniejszą modelem, które próbowali mu wcisnąć technicy z Sarratt. Włożywszy film do aparatu i namierzywszy biust rudej dziewczyny, nastawił prędkość i na próbę trzykrotnie zmierzył światło, po czym w sandałach poczłapał do kuchni, gdzie pobożnie opadł na kolana przed lodówką i rozluźnił krawat, który przytrzymywał zamknięte drzwi. Z dzikim, rozdzierającym dźwiękiem przejechał paznokciem prawego kciuka po sparciałym gumowym uszczelnieniu, następnie wyjął trzy jajka i zacisnął z powrotem krawat. Czekając, aż się zagotują, stanął przy oknie, z łokciami na parapecie, z czułością spoglądając przez druty kolczaste na ukochane dachy, które prowadziły w dół ku morzu niczym gigantyczne kamienne stopnie.

Dachy były osobnym światem, zapierającym dech w piersiach spektaklem walki o przetrwanie na przekór rozbuchanemu miastu. W ogrodzonych drutem kolczastym królestwach produkowano w pocie czoła skafandry, odprawiano religijne posługi, grano w mah-jong, palono kadzidła i wróżąc radzono się olbrzymich grubych tomów. Przed Jerryem leżał najzwyczajniejszy w świecie ogród z przesznułgło-wanej ziemi. Poniżej trzy kobiety tuczyły szczeniaki chow-chow na chińskie potrawy. Były też szkoły tańca, czytania, baletu, wypoczynku i walki, były szkoły kultury i cudów Mao, i tego ranka, podczas gdy gotowały się jajka Jerry'ego, pewien stary człowiek zakończył swoje bajdurzenie o gimnastyce rytmicznej, po czym rozłożył składane krzeselko, na którym zasiadł do codziennej lektury myśli Wielkiego Człowieka. Bogatsi biedni, jeśli nie mieli dachu, budowali dla siebie wronie gniazda, pół metra na dwa i pół, osadzone na wspornikach własnej roboty, wbitych w podłogi salonów, co przyprawiało o zawrót głowy. Śmierciolub utrzymywał, że wciąż dochodzi do samobójstw. Właśnie to tak go ciągnęło do tego miejsca. Kiedy nie cudzołożył, wisiał za oknem ze swoim nikonem, z nadzieją, że uchwyci chwilę samobójczej śmierci, ale nigdy mu się nie udało. Poniżej na prawo rozciągał się cmentarz, co, jak powiedział, przynosiło pecha i dlatego opuścił komorne o kilka dolarów.

Kiedy Jerry jadł, znów zadzwonił telefon.

— Jaki artykuł? — spytał Lukę.

— Kurwy z Wanchai porwały Szycę — odrzekł Jerry. — Zabrały go na wyspę Stunecutters i trzymają go tam dla okupu.

Jeśli to nie Lukę dzwonił, to kobiety Śmiercioluba, ale nie chciały Jerry'ego w zastępstwie. Prysznic nie miał zasłony, więc żeby nie zalać łazienki Jerry musiał kucnąć jak bokser w wyłożonym kafelkami rogu. Wrócił do sypialni, włożył garnitur, chwycił nóż kuchenny i odliczył dwanaście klepek od rogu pokoju. Wydłubał ostrzem trzynastą. W zagłębieniu wydrążonym w smółowatej warstwie poniżej leżała plastikowa torebka zawierająca zwitek amerykańskich banknotów w dużych i małych nominalach, jeden awaryjny paszport, prawo jazdy, lotniczą kartę podrózną na nazwisko Worrell — przedsiębiorca, oraz pistolet, wbrew wszelkim Cyrkowym przepisom wyproszony przez Jerry'ego od Śmiercioluba, który nie zabierał tego urzędzenia w podróże. Z tego skarbca Jerry wyciągnął pięć studolarowych banknotów i, zostawiając resztę na miejscu, wstawił z powrotem klepkę. Włożył aparat i dwie zapasowe kasety do kieszeni, po czym pogwizdując wyszedł na małe półpiętro. Drzwi wejściowe strzegła pomalowana na biało krata, która zatrzymałaby porządnego włamywacza na dziewięćdziesiąt sekund. Jerry, kiedy się nudził, otwierał zamek wytrychem, i tyle właśnie mu to zabierało. Przycisnął guzik i przyjechała winda wypełniona Chińczykami, którzy wysiedli. Za każdym razem tak się działo. Jerry był dla nich zbyt duży, zbyt brzydki, zbyt obcy.

Oto jak dzieci świętego Jerzego wyruszają w bój, by bronić Imperium, pomyślał z wymuszoną wesołością, zanurzwszy się w nieprzejrzanej ciemności jadącego do centrum autobusu.

Czas spędzony na przygotowaniach, nigdy nie jest stracony — brzmiała jedna z misternych sarrackich maksym na temat kontrinwigilacji.

Czasami Jerry stawał się w stu procentach człowiekiem z Sar-ratt. Naturalnym porządkiem rzeczy mógł pojechać prosto na miejsce: miał pełne prawo. Nie było najmniejszego powodu, zwłaszcza po hulankach ostatniej nocy, by nie podjechał taksówką pod same drzwi, by nie wpakował się rażno do środka, nie odnalazł swego nowego przyjaciela i nie miał tego z głowy. Ale to nie był naturalny porządek rzeczy i według filozofii Sarratt Jerry zbliżał się do operacyjnej chwili prawdy: chwili, kiedy tylne drzwi zamykały się za nim z hukiem i nie było już innej drogi jak tylko iść naprzód. Chwili, w której każde z dwudziestu lat spędzonych w tym fachu napinało się w nim i krzyczało: Uwaga! Jeśli zastawiono na niego pułapkę, to w tej chwili się zatrząskuje. Nawet jeśli z góry znalazłby cel jego wędrówki, i tak rozstawiliby po drodze obserwatorów, w samochodach i za oknami, oraz grupy inwigilacyjne na wypadek jakiegoś uniku. Jeśli w ogóle była możliwość, by sprawdzić wodę przed skokiem, to właśnie teraz.

Wielce prawdopodobne, że ostatniej nocy śledziły go po knajpach setki tutejszych aniołków, a on nie wiedział, że na niego polują. Teraz jednak mógł kluczyć i liczyć cienie: teraz, przynajmniej w teorii, miał szansę wiedzieć.

Spojrzał na zegarek. Zostało dokładnie dwadzieścia minut, a nawet idąc chińskim krokiem, nie angielskim, potrzebował ledwie siedem. Tak więc wólczył się trochę, ale nie beczynnienie. W innych krajach, niemal w każdym zakątku świata prócz Hongkongu, dałby sobie znacznie więcej czasu. Za Kurtyną, mówiło jedno z przykazań Sarratt, pół dnia, najlepiej cały. Napisałby do siebie list, żeby przejść ulicą, zatrzymać się nagle przy skrzynce i wrócić tą samą drogą, wypatrując znieruchomiałych w pół kroku nóg i odwracających się nagle twarży, szukając klasycznych formacji: dwóch po tej stronie, trzech po tamtej i czołowy „ogon” brykający z przodu.

Ale choć tego ranka wykonał gorliwie wszystkie sztuczki, to paradoksalnie coś mówiło mu, że traci czas: wiedział, że na Wschodzie okrągłooki może całe życie mieszkać w jednym bloku ze swoim aniołem stróżem i nie mieć zielonego pojęcia o podsłuchu pod drzwiami. Wszędzie były tłumy. Na każdym rogu stali ludzie: patrzyli i czekali — nie wiedzieć na co — trwając w mozolnej beczynności. Żebrak, który nagle wyciągnął dłoń i ziewnął, kaleki czyścibut, który dał nura pod umykające nogi Jerry'ego i spóźnwszy się, zebrał do kupy swoje szczotki, stara wiedźma sprzedająca dwurasową pornografię, z dłonią przy ustach wrzeszcząca jedno jedyne słowo w kierunku bambusowego rusztowania nad jej głową: choć Jerry przypominał sobie tych ludzi w myśli, ich obraz był tak zamazany, jak wtedy, gdy po raz pierwszy przyjechał na Wschód — dwadzieścia?, Boże, miej litość, dwadzieścia pięć lat temu. Alfonsi? Pedalki? Handlarze prochów, wciskający zwinięte papierki po cukierkach — „żółty dwa dolary, niebieski pięć, lubisz wejście smoka, chcesz mocny strzał”? A może śledzą go ci, którzy zamawiają miskę ryżu przy straganie po drugiej stronie ulicy? Na Wschodzie, kolego, przeżyć znaczy wiedzieć, że się nie wie.

Wykorzystywał odbicia w marmurowych wystrojach sklepów: półki z bursztynami, półki z jadem, nalepki kart kredytowych, elektryczne gadzety i piramidy czarnych walizek, których — jak się wydawało — nikt nie używa. U „Cartiera” piękna dziewczyna wyjmowała perły na aksamitną tackę, kładąc je do łóżka na przeciąg dnia. Wyczuwszy jego obecność, podniosła wzrok i w Jerry'ym, mimo że myśli miał zajęte czym innym, obudził się na moment odwieczny Adam. Ale jedno spojrzenie na rozlazły uśmiech, parszywy garnitur i buty z kozłej skóry wystarczyło, by dowiedziała się wszystkiego, co trzeba: Jerry Westerby nie był potencjalnym klientem. Są wieści o nowych walkach, zauważył, mijając kiosk z gazetami. Chińskojęzyczne

dzienniki prezentowały na pierwszych stronach zdjęcia pozabijanych dzieci, krzyczących matek oraz oddziałów w hełmach w amerykańskim stylu. Czy to był Wietnam, Kambodża, Korea, czy Filipiny, nie wiedział. Czerwone litery tytułów wyglądały jak bryzgi krwi. Może Śmierciolubowi dopisało szczęście.

Spragniony po popijawie ostatniej nocy, przeciął Mandarin i dał nura w półmrok baru „U Kapitana”, ale napił się tylko wody w ubikacji. Na korytarzu kupił „Time”, ale ponieważ nie podobały mu się spojrzenia wykidajłów, wyszedł. Znalazł się znów na zatłoczonej ulicy, zaczął iść niespiesznie w kierunku poczty, wybudowanej w 1911 roku, później rozebranej, będącej jednak rzadkim, szkaradnym zabytkiem, któremu piękna przydawały wzniesione wokół niezgrabne betonowe budynki. Następnie, przeszedłszy pod zielonym mostkiem z blachy falistej, gdzie niczym indyki na hakach wisiały na dźwigu worki z pocztą, wrócił pod arkadami wzdłuż Ped-der Street, po czym, żeby przerzedzić tyły, ruszył kładką na skos do Connaught Centre.

W świetlistym, stalowym hallu jakaś chłopka czyściła drucianą szczotą zęby stojących schodów ruchomych, a w galerii grupa chińskich studentów spoglądała z niemym szacunkiem na „Owal z punktami” Henry’ego Moore’a. Obejrawszy się, Jerry dostrzegł brązową kopułę starych sądów, skarłowaciałych przy stożkowatych murach „Hiltona”. Port tętnił życiem przeladunków, przeważnie małych. Za nim Nowe Terytoria, poznaczone kopalniami, wciskały się butnie w błotniste chmury smogu. U ich stóp widniały nowe hurtownie i kominy fabryk, wydmuchujące brązowy dym.

Kierując się z powrotem, minął budynki dużych szkockich firm, Jardines, Swire, i zauważył, że wejścia były zakratowane. Pewnie dziś jest jakieś święto, pomyślał. Nasze czy ich? Na Statute Square odbywał się leniwie jakiś festyn: fontanny, parasole plażowe, sprzedawcy coca-coli i około pół miliona Chińczyków. Stali w grupach albo wlekli się w przeciwnym kierunku niczym bosa armia, taksując wzrokiem jego postać. Głośniki, świdry, jękliwa muzyka. Minął Jackson Road i hałas przycichł. Przed nim, na kawałku idealnego angielskiego trawnika, poruszało się piętnaście ubranych na biało postaci. Właśnie rozpoczął się całodzienny mecz krykieta. Po stronie odbierających chuda, buńczuczna postać w niemodnej czapeczce bawiła się wywatowa-nymi rękawicami. Jerry przystanął, by popatrzeć, uśmiechając się na widok sportu milego jego sercu. Zaserwowano. Nie za szybka piłka, odrobinę podkrecona, prosto w cel. Odbierający zamachnął się elegancko, chybił i zaczął wolno biec. Jerry przewidział długą, nudną serię zagrywek. Zastanawiał się, kto gra przeciw komu, i doszedł do wniosku, że to mafia z Peaku gra sama ze sobą. Na wysokości nóg

graczy, za drogą, wznosił się Bank Chiński, olbrzymi żłobiony grobowiec, przystrojony karmazynowymi transparentami sławiącymi Mao. U jego stóp spoczywały dwa granitowe lwy, patrzące szklanym wzrokiem, podczas gdy stadka Chińczyków w białych koszulach robiły sobie nawzajem zdjęcia na tle ich boków.

Ale bank, na który Jerry miał oko, znajdował się tuż pod ramieniem serwującego. Na dachu tkwiła brytyjska flaga, a u wejścia, z większą pewnością siebie, furgonetka pancerna. Drzwi banku były otwarte na oścież, a ich wypolerowane powierzchnie błyszcząły niczym odpustowe złoto. Podczas gdy Jerry szedł dalej leniwie łukiem, z panującego wewnątrz mroku wyłoniło się kilku strażników w hełmach, eskortowanych przez wysokich Hindusów ze sztucerami. Znieśli po szerokich stopniach trzy skrzynie pieniędzy, z takim pietyzmem jakby to była hostia. Furgonetka odjechała i przez małą obrzydliwą chwilę Jerry wyobraził sobie, że drzwi banku się zamykają.

Nie była to ani chora wyobraźnia, ani nerwy. Po prostu na ułamek sekundy Jerry spodziewał się kiks, owładnięty przelotnie tym samym zahartowanym pesymizmem, który każe ogrodnikowi przewidzieć suszę, lekkoatlecie idiotyczne zwichnięcie kostki na dzień przed wielkimi zawodami, a „frontowcowi” z dwudziestoma latami w aktach jeszcze jedną, niespodziewaną przeszkodę. Ale drzwi pozostały otwarte i Jerry odbił trochę w lewo. Trzeba dać strażnikom czas, by się odprężyli, pomyślał. Załadunek mamony postawił ich na baczność, są teraz czujni, wszystko rejestrują.

Skręciwszy, ruszył powolnym, sennym krokiem w kierunku Klubu Hongkongskiego: niebieskawe portyki, prążkowane żaluzje, w wejściu zapach nieświeżego angielskiego jedzenia. Przykrywka to nie kłamstwo, mawiają. Przykrywka to coś, w co się wierzy. To, kim się jest. W sobotni poranek pan Gerald Westerby, niezbyt wybitny dziennikarz, kieruje się do swego ulubionego wodopoju... Na schodach do klubu Jerry nagle zatrzymał się, poklepał po kieszeniach, następnie obrócił na pięcie i ruszył zdecydowanie do celu, rozglądając się na boki po placu, po raz ostatni wypatrując umykających nóg i speszonych twarzy. Pan Gerald Westerby, uświadomiwszy sobie, że brak mu gotówki na weekend, postanawia zajrzeć do banku. Sztucery wisiały niedbale na ramionach, hinduscy strażnicy przypatrywali mu się obojętnie.

Akurat! Przeklinając swoją skończoną głupotę, Jerry przypomniał sobie, że przecież jest po dwunastej, a punkt dwunasta zamykano okienka. Potem można było już tylko załatwić coś w biurach, a on właśnie tam się wybierał!

„Spokojnie — pomyślał. — Za dużo kombinujesz. Nie myśl, działaj”. Na początku był czyn. Kto to powiedział? Stary George, mój

Boże, cytował Goethego. I to on ze wszystkich ludzi teraz mu się przypomniał!

Kiedy ruszył do wejścia, nagle uszło z niego powietrze. Wiedział, że to strach. Był głodny, zmęczony. „Dlaczego George zostawił mnie samemu sobie? Dlaczego muszę robić wszystko sam?” Gdyby to było przed „upadkiem”, ustawiliby mu wzdłuż trasy stróżów — jednego nawet w środku — wypatrujących czarnych chmur. Byłaby i grupa powitalna, by zabrać łup, zanim opuści bank, i samochód gotów do ucieczki na wypadek, gdyby musiał wymykać się w skarpetkach. A w Londynie, pomyślał z rozkoszą, uspokajając się myślami, siedziałby ukochany Bill Haydon — no nie? — nadając wszystko Rosjanom, niech Opatrzność ma go w swojej opiece. Jerry z wysiłkiem poddał się złudzeniu, krótkotrwałemu jak błysk flesza, lecz równie powoli przemijającemu: Bóg wysłuchał jego modlitw, pomyślał. Stare czasy wróciły i na ulicy tkwi ekipa wspomagająca. Za nim zaparkował błękitny peugeot, w którym siedzi dwóch okrągłookich stróżów; czytają pilnie program gonitw w Happy Valley. Antena radiowa, te sprawy. Z lewej strony mijają go niespiesznie starsze panie obciążone aparatami fotograficznymi i przewodnikami, uważne i czujne. A z banku, kiedy lekkim krokiem rusza w kierunku portalu, wyłania się kilku poważnych urzędasów, patrzących ponuro, tak jak czasem patrzają obserwatorzy, by zniechęcić ciekawskie oko.

Starość nie radość, powiedział do siebie Jerry. „Jesteś już po drugiej stronie wzgórza, kolego, to pewne. Zdziecinniałość i cykor rzuciły cię na kolana”. Ruszył po schodach, żwawy jak szczygieł w ciepły, wiosenny poranek.

Hall był wielki jak dworzec kolejowy, zduszona muzyka tak samo gwarna. Okienka już zamknięto i nie zobaczył żywej duszy, nawet cienia strażnika. Winda była złotą klatką ze spluwaczką wypełnioną piaskiem z myślą o palaczach. Do dziewiątego piętra przezstronność parteru zdążyła zniknąć bez śladu. Przestrzeń to pieniądź. Wąski kremowy korytarz prowadził do pustego stanowiska recepcjonistki. Jerry siedł rażnym krokiem, zauważając wyjście awaryjne i windę dla pracowników, które narysowali mu „treserzy” na wypadek, gdyby musiał dać dyla. Dziwne, że aż tyle wiedzieli, przy tak skromnych środkach. Musieli wytrzasnąć skądś plany architektoniczne. Na blacie tabliczka z drzewa tekowego: „Zarząd/Informacja”, obok niej wymemłana książka w miękkich okładkach o wrózeniu z gwiazd, otwarta i gęsto popisana na marginesach. Ale recepcjonistki nie było, bo soboty to co innego. W sobotę pójdzie ci najlepiej, powiedzieli. Spojrzał wesoło dokoła, było mu lekko na duszy. Drugi

korytarz biegł wzdłuż krótszego boku budynku: na lewo drzwi do biur, na prawo wilgotne, pokryte winylem ścianki działowe. Dochodził stamtąd stukot elektrycznej maszyny do pisania oraz powolny sobotni śpiew chińskich sekretarek, nie mających nic lepszego do roboty jak czekać na lunch i wolne popołudnie. Dalej były cztery oszklone drzwi z judaszami wielkości małej monety, służącymi do zerkania z pokoju na korytarz lub odwrotnie. Jerry szedł spokojnie, zaglądając do każdego pomieszczenia po kolei, jakby się zgrywał, z rękami w kieszeniach, z uśmiechem głupca na twarzy. Czwarte po lewej, powiedzieli, jedne drzwi, jedno okno. Minął go urzędnik, a za nim sekretarka w ślicznych, stukających szpilkach, ale żadne go nie zatrzymało, bo Jerry, choć wyglądał niezbyt schludnie, był Europejczykiem i miał na sobie garnitur.

— Cześć pracy — mruknął, a oni w zamian życzyli mu „dobrego dnia”.

Na końcu korytarza były żelazne kraty, na oknach też. Do sufitu przytwierdzono niebieską lampę, przypuszczał, że ze względów bezpieczeństwa, ale nie był pewien. Nie wiedział, czy to urządzenie przeciwpożarowe czy antywłamaniowe; „treserzy” nie wspomnieli o tym i teraz nie było sensu łamać sobie nad tym głowy. W pierwszym pokoju znajdowało się biuro, puste z wyjątkiem kilku sportowych trofeów na parapecie i zawieszzonego na perforowanej ścianie, wyszywanego herbu bankowego klubu lekkoatletycznego. Minął stos skrzynek z napisem „Zarząd”. Wyglądało na to, że są pełne aktów prawnych i testamentów. Najwyraźniej tradycyjne skrajne skąpstwo chińskich firm opornie odchodziło w przeszłość. Na ścianie wisiały dwie tabliczki: „Nieupoważnionym wstęp wzbroniony” i „Jedynie osoby umówione”.

Drugie drzwi wychodziły na korytarz i małe archiwum, które też było puste. Za trzecimi znajdowała się dyrektorska ubikacja, a obok czwartych wisiała tablica ogłoszeń, we framugę zaś wmontowana była czerwona lampka i ważna dla Jerry'ego tabliczka: „J. Frost, Wiceprzewodniczący Zarządu. Wyłącznie osoby umówione. Proszę NIE wchodzić, gdy PALI się lampka”. Ale lampka się nie PALIŁA, a judasz ukazywał tylko jednego człowieka, siedzącego samotnie przy biurku. Towarzystwa dotrzymywała mu sarta segregatorów i rulonów kosztownego papieru oprawionego w zielony jedwab w angielski wzór prawniczy, dwa ekrany telewizyjne z notowaniami z giełdy oraz widok portu, obowiązkowy w dyrektorskim image'u, obowiązkowo też pokrojony w ołowiane paski żaluzjami. Wypucowany, gru-bawy, kwitnący człowieczek w sportowym płóciennym garniturze koloru zieleni Robin Hooda, pracujący zbyt sumiennie jak na sobotę. Zroszone czoło, cienie pod pachami i — widoczna dla wścibskiego

oka Jerry'ego — ociężałość kogoś dochodzącego powoli do siebie po szaleństwach ostatniej nocy.

„Pokój narożny — pomyślał Jerry. — Tylko jedne drzwi, te drzwi. Jeden skok i już mnie nie ma”. Rozejrzał się po raz ostatni po pustym korytarzu. Jerry Westerby wstępuje na scenę. Jeśli się nie potrafi mówić, należy tańczyć. Drzwi ustąpiły natychmiast. Wszedł rażno do środka, przybierając na twarz najlepszy ze swoich nieśmiałych uśmiechów.

— Rany, Frościu, cześć. Super. Spóźniłem się czy jestem za wcześnie? Kolego — mówię ci — zupełnie niesamowita rzecz tam w korytarzu. Niemal wpadłem na nie, mnóstwo skrzynek pełnych bankowych papierów. „Kim są klienci Frościa?” — pytam samego siebie. „Cox's Orange Pippins, czy Piękność z Bath?”. Znając cię, piękność z Bath. Choć w porównaniu z wyczynami ostatniej nocy, to pestka.

Wszystko to, choć mogło brzmieć nieprzekonująco w uszach zdumionego Frosta, dało Jerry'emu czas, by wejść do pokoju, błyskawicznie zamknąć za sobą drzwi, zasłaniając judasza szerokimi plecami, i jednocześnie odmówić modlitwę dziękczynną do Sarratt za miękkie lądowanie i modlitwę do Stwórcy o zachowanie w opiece.

Wejście Jerry'ego wywołało komiczną reakcję. Frost uniósł powoli głowę, z przymkniętymi oczyma, jakby raziło go światło — pewnie tak było — i zauważywszy Jerry'ego, skrzywił się. Spojrzał w bok, po czym popatrzył na intruza jeszcze raz, by upewnić się, że to nie zjawa. Następnie wytarł czoło chusteczką.

— Chryste — powiedział. — To on. Co ty tu, cholera, robisz, wstrętny arystokrato?

Na te słowa Jerry, wciąż stojąc u drzwi, odpowiedział kolejnym uśmiechem i podniósł rękę w indiańskim pozdrowieniu, notując sobie starannie w głowie wszystkie zmartwienia: dwa telefony, szara skrzynka biurowego interkomu i duży sejf z dziurką od klucza, ale bez zamka szyfrowego.

— Jak ty się tu dostałeś? Pewnie obdarzyłeś ich uśmiechem wielkiego lorda, co? Po co tu przyszedłeś? — Frost, nawet w połowie nie tak niezadowolony, jakby sugerowały jego słowa, wstał od biurka i kaczym krokiem przeszedł przez pokój. — To nie burdel, wiesz przecież. To cieszący się zaufaniem bank. Mniej więcej.

Podszedłszy do Jerry'ego, położył ręce na biodra i spojrział na niego, z niedowierzaniem kręcąc głową. Następnie poklepał go po ramieniu i szturchnął w brzuch, wciąż kręcąc głową.

— Ty pijacki, rozpustny, świński...

— Pismaku — dopowiedział Jerry.

Frost był przed czterdziestką, ale natura zdążyła już odcisnąć na nim okrutne piętno małostkowości, takie jak godna szanującego się kupca pedanteria w utrzymywaniu czystości mankietów i paznokci oraz równoczesne oblizywanie i sznurowanie warg. Co go rozgrzeszało, to przejrzyste poczucie humoru, które niczym promienie słońca rozświetlało jego wilgotne policzki.

— Masz — rzekł Jerry, podając mu papierosa. — Potruj się trochę.

— Chryste — powiedział znowu Frost i kluczykiem na łańcuszku otworzył staroświecką szafkę z orzecha, wyłożoną lustrami, rzędami koktajlowych słomek ze sztucznymi wisienkami i kuflami z wizerunkami pańienek i różowych słoni.

— Krwawa Mary, tak?

— Krwawą Mary przełknij się z wdzięcznością, kolego — zapewnił Jerry.

Jeden kluczyk typu Chubb na łańcuszku. Sejf też był Chubba, bardzo ładny, z poobijanym złotym znakiem firmowym, ukazującym starą zieloną farbę.

— O was, szlachetnie urodzonych rozpusztnikach, na pewno można powiedzieć jedno — zagrział Frost, nalewając składniki i po trząsając nimi jak chemik. — Wiecie, gdzie są spelunki. Zrzucić was na środek pustyni i w ciągu pół minuty znajdziecie jakiś burdel. Ostatniej nocy moja dziewicza, wrażliwa natura doznała kolejnego straszliwego wstrząsu. Zatrzęsła się w swoich delikatnych posadach. Ale kiedy dojdę do siebie, wezmę od ciebie kilka adresów. Jeśli kiedykolwiek dojdę, w co wątpię.

Podszedłszy powoli do biurka Frosta, Jerry przerzucił od niechcenia jego korespondencję, po czym zaczął się bawić przyciskami interkomu, włączając je i wyłączając po kolei swoim olbrzymim palcem wskazującym, ale bez rezultatu. Osobny guzik oznaczony był napisem „zajęty”. Wcisnąwszy go, Jerry zobaczył w judaszu różowy poblask — w korytarzu zapaliła się lampka.

— Te dziewczyny — mówił Frost, wciąż odwrócony plecami do Jerry'ego, grzechocząc metalowym kubkiem — były zepsute do szpiku kości. Szokujące. — Roześmiawszy się zachwycony, przeszedł przez pokój, trzymając szeroko szklanki. — Jak miały na imię? Ale nocka, ale nocka!

— Siedem i dwadzieścia cztery — powiedział Jerry z roztargnieniem.

Mówił to pochylony, wypatrując przycisku alarmowego, który — jak wiedział — powinien być zamontowany gdzieś w biurku.

— Siedem i dwadzieścia cztery! — powtórzył za nim Frost z entuzjazmem. — Co za poezja! Co za pamięć!

Na wysokości kolana Jerry spostrzegł szarą skrzyneczkę przyśrubowaną do nogi przy szufladzie. Klucz był w pozycji pionowej, przekreślony. Wyciągnął go i wrzucił do kieszeni.

— Mówię, że masz fantastyczną pamięć — powtórzył Frost, cokolwiek zaintrygowany.

— Wiesz, jak to jest z pismakami, kolego — odrzekł Jerry, wyprostowując się. — Jeśli chodzi o pamięć, jesteśmy gorsi od żon.

— Masz. Odejdź stamtąd, to strefa zakazana.

Biorąc do ręki kalendarz Frosta, Jerry przeczytał umówione spotkania tego dnia.

— Jezu — rzekł. — To wszystko tylko zawracanie głowy, co? Kto to jest N? N od ósmej do dwunastej? Chyba nie twoja teściowa?

Przytknąwszy usta do szkła, Frost napił się chciwie, przełknął, komicznie się zakrztusił, targany kaszlem, i po chwili doszedł do siebie.

— Zostaw to, jeśli mogę cię prosić. Omal nie przyprawiłeś mnie o atak serca. No to lu.

— Co znaczy N? Nocka na boku? Napoleon? Kto to jest N?

— Natalie, moja sekretarka. Bardzo miła. Nogi od szyi do samej ziemi, jak mówią. Nigdy nie sprawdzałem, więc nie wiem. To moja jedyna zasada. Przypomnij mi, żebyś ją kiedyś złamał. No to lu — powiedział znowu.

— Jest w pracy?

— Chyba tak. Wydaje mi się, że słyszałem jej słodkie kroczi. Chcesz, żebyś ją zawołał? Słyszałem, że okazuje specjalne względy wyższym sferom.

— Nie, dzięki — odrzekł Jerry i położywszy kalendarz, spojrzal Frostowi prosto w oczy, choć walka była nierówna, bo przerastał go o głowę i był znacznie szerszy.

— Niesamowite — stwierdził Frost tonem szacunku, wciąż uśmiechając się szeroko. — To było po prostu niesamowite. — Zrobił się natarczywy, więcej: nachalny. — Niesamowite dziewczyny, niesamowite towarzystwo. Dlaczego taki facet jak ja powinien sobie za przątać głowę takim facetem jak ty? Bo jesteś wielmożnym lordem? Mój poziom to księżęta. Księżęta i dziwki. Powtórzmy to dziś wieczorem, dobra?

Jerry parsknął śmiechem.

— Mówię poważnie, słowo honoru. Ja wszystko funduję. — W korytarzu zadudniły ciężkie kroki, coraz głośniejsze. — Wiesz, co zrobić? Chcesz się przekonać? Wrócę z tobą do „Metaora”, zawołam madame Jak-Jej-Tam i uprę się, żeby... Co cię gryzie? — spytał, spostrzegłszy wyraz twarzy Jerry'ego.

Kroki zwolniły, po czym zapadła cisza. Czarny cień wypełnił judasza.

— Kto to jest? — spytał Jerry szeptem.

— Milky.

— Kto to jest Milky?

— Milky Way, mój szef — odrzekł Frost, kiedy kroki się oddaliły. Zamknawszy oczy, przeżegnał się pobożnie. — Idzie do domu do swojej kochanińskiej żony, znakomitej pani Way alias Moby Dick. Sześć stóp osiem cali wzrostu i wąsy kawalerzysty. Ona nie on — zachichotał Frost.

— Dlaczego nie wszedł?

— Pewnie myślał, że mam klienta — odrzekł lekko, ponownie zaintrygowany czujnością i cichością Jerry'ego. — Poza tym Moby Dick skrzyłaby mu kark, gdyby poczuła od niego najłżejszy powiew alkoholu o tej porze dnia. Rozchmurz się, jesteś u mnie w gościnie. Napij się jeszcze. Wyglądasz coś dziś marketnie, aż mi ciarki chodzą po plecach.

Kiedy już wejdiesz, ruszaj na całego, powiedzieli „treserzy”. Nie sonduj go zbyt długo, niech się za bardzo nie rozluźni.

— Słuchaj, Frościu — *zaczai jerry*, kiedy kroki zupełnie ucichły w oddali. — Jak tam twoja pani? — Frost wyciągnął rękę po szklanekę Jerry'ego. — Jak się miewa?

— Nadal leży sobie w łóżeczku, dziękuję — odpowiedział Frost niepewnie.

— Dzwoniłeś do szpitala?

— Dziś rano? Chyba zwariowałeś! Do jedenastej nie mogłem się zebrać do kupy. Albo i dłużej. Poczuliaby przez słuchawkę.

— A kiedy idziesz ją odwiedzić?

— Oj, zamknij się. Nie gadajmy o niej, dobrze?

Na oczach Frosta Jerry podszedł do sejfu. Szarpnął za dużą klamkę, ale drzwiczki były zamknięte na klucz. Na sejfie, pokryta kurzem, leżała ciężka pałka policyjna. Wziąwszy ją w obie dłonie wykonał kilka roztargnionych krykietowych uderzeń, po czym odłożył ją z powrotem, podczas gdy zaintrygowany Frost przez cały czas nie spuszczał z niego oka.

— Chcę otworzyć konto — rzekł, wciąż stojąc przy sejfie.

— Ty?

-Ja

— Z tego co mi powiedziałaś ostatniej nocy, nie masz nawet tyle, by włożyć coś do skarbonki. Chyba że twój wyjątkowy tatuś zostawił coś w materacu, w co jakoś nie chce mi się wierzyć. — Świat Frosta szybko się staczał po równi pochyłej, ale on desperacko nie chciał sobie tego uświadomić. — Słuchaj, walnij sobie szklaneczkę i prze stali odgrywać Borisa Karloffa w deszczowy poranek, dobra? Chodź, skoczmy na koniki, do Happy Yalley, no już. Postawię ci lunch.

— Nie chodzi o to, żebyśmy otworzyli moje konto, kolego, tylko konto kogoś innego — wyjaśnił Jerry.

W powolnej, smutnej komedii omyłek wesołość spłynęła z drobnej twarzy Frosta. — O nie, Jerry — mruknął pod nosem, jakby był świadkiem wypadku, w którym to Jerry, nie on, jest ofiarą. Po raz drugi z korytarza dobiegł odgłos nadchodzących kroków, krótkich i szybkich. Kobieta. I nagle rozległo się ostre puk-puk. Cisza.

— Natalie? — spytał szeptem Jerry. Frost skinął. — Gdybym był klientem, czy przedstawiłbyś mnie? — Frost pokręcił głową. — To wpuść ją.

Niczym przerażony różowy wąż, z ust Frosta wypełził język, rozejrzał się wokół i zniknął.

— Proszę! — krzyknął ochryple. Wysoka, szczupła Chinka z grubymi szklami zabrała parę listów z tacki.

— Życzę miłego weekendu, panie Frost — powiedziała, wychodząc.

— Do poniedziałku — odrzekł.

Drzwi się zamknęły.

Przeszedłszy pokój, Jerry objął Frosta ramieniem i podprowadził go, potulnego, do okna. — Chodzi mi o pewne konto powiernicze, Frościu. Powierzone twoim nieprzekupnym rękóm. Duże konto.

Na placu wciąż trwał festyn. Na krykietowym boisku mecz przerwano. Chudy gracz w staroświeckiej czapce siedział w kucki i cierpliwie łatał murawę, pozostali zawodnicy leżeli dokoła, rozmawiając.

— Podpuściłeś mnie — odrzekł zwyczajnie Frost, usiłując pogodzić się z nowiną. — Myślałem, że w końcu mam przyjaciela, a ty chcesz mnie wykorzystać. Ty, lord.

— Nie powinieneś się zadawać z pismakami, Frościu. Banda chamów. Za nic mają lojalność. Nie powinieneś być mleć jęzorem. Gdzie trzymasz dokumenty?

— Ale przecież przyjaciele mlą jęzorem — zaprotestował Frost. — Po to właśnie są! Żeby sobie mówić różne rzeczy!

— To mi powiedz.

Frost pokręcił głową.

— Jestem chrześcijaninem — powiedział głupio. — Chodzę do kościoła w każdą niedzielę, nigdy nie opuszczam mszy. Wolę raczej stracić moją pozycję w społeczeństwie, niż zawieść pokładane we mnie zaufanie. Chyba znany jestem z tego. Nie ma mowy, przykro mi.

Jerry przesunął się bliżej wzdłuż parapetu, aż ich ramiona niemal się stykały. Wielka okienna szyba drżała od ruchu ulicznego. Żaluzje były czerwone od miejskiego kurzu. Twarz Frosta wyglądała żałośnie, kiedy borykał się ze świadomością klęski.

— Oto układ, kolego — rzekł Jerry, bardzo cicho. — Posłuchaj uważnie, dobra? To robota na kij i marchewkę. Jeśli w to nie wejdziesz, to komiks weźmie cię na cel. Rozpiska na pierwszej stronie, na główkę na całą szpalte, dalszy ciąg w środku, sześć kolumn, wszystko. „Czy powierzylibyście własne pieniądze temu człowiekowi? Hong kong — gniazdo korupcji, Frościo — śliniący się potwór”. Coś w tym stylu. Napiszemy, jak w waszym klubie bankierów gracie z dziwkami w komórki do wynajęcia, tak jak mi o tym opowiedziałeś, i jak do niedawna utrzymywałeś sprośne gniazdko miłosne na Koulun, tyle że przestało ci się podobać, bo panienka chciała więcej chleba. Zanim to zrobimy, sprawdzą tę historyjkę u twojego szefa i może u twojej pani, jeśli już wydobrzeje.

Znienacka na twarz Frosta uderzyły siódme poty. W jednej chwili jego ziemiste oblicze przybrało kolor żółtawej wilgoci, w następnej je wytarł, ale niepowstrzymany pot dalej ciekł po jego pulchnym podbródku, kapiąc na zielony garnitur.

— To woda — powiedział głupio, usiłując powstrzymać poto-spad chusteczką. — Zawsze mam za swoje, kiedy piję. To ten cholerny klimat, nie powinienem tu mieszkać. Nikt nie powinien. Człowiek gnije, nienawidzę tego.

— To była zła wiadomość — mówił dalej Jerry. Wciąż stali przy oknie, obok siebie, jak dwaj ludzie podziwiający widok. — Dobra wiadomość to, że Frościo dostanie do tej swojej gorącej łapki pięćset zielonych, pozdrowienia z Grub Street i zostanie przewodniczącym zarządu. No co, rozluźnij się, kolego, masz się z czego cieszyć.

— A czy mogę spytać — odezwał się w końcu Frost, z groteskową szczyptą sarkazmu — w jakim celu chcesz przeczytać te dokumenty?

— Zbrodnia i korupcja, kolego. Hongkongska odnoga. Grub Street podaje nazwiska winnych. Numer konta: cztery cztery dwa. Czy masz to tutaj? — spytał Jerry, wskazując sejf.

Frost rozciągnął usta w „nie”, ale żaden dźwięk się z nich nie wydobył.

— Dwie czwórki i dwójka. Gdzie one są?

— Posłuchaj — mruknął Frost. Jego twarz była beznadziejnym bałaganem strachu i rozczarowania. — Wyświadczyć mi przysługę, dobrze? Wyłącz mnie z tego. Przekup jednego z naszych chińskich pracowników, dobra? To najlepszy sposób. Słuchaj, ja tu coś znacę.

— Znasz przecież to powiedzonko. W Hongkongu nawet kwiatki śpiewają. Chcę ciebie. Ty tu siedzisz, poza tym jesteś bardziej wykwalifikowany. Czy one są w skarbcu?

— A skąd mam wiedzieć?

Nie popuszczaj, powiedzieli, musisz cały czas przykręcać śrubę. Jeśli choć na chwilę stracisz inicjatywę, to stracisz ją bezpowrotnie.

Frost się trząsł, a Jerry udał, że traci cierpliwość. Potężną dłonią chwycił go za ramię, odwrócił i poprowadził tyłem, aż jego plecy rozpląszczyły się o sejf.

— Czy są w skarbcu?

— A skąd mam wiedzieć?

— Powiem ci skąd — obiecał mu Jerry i skinął głową gwałtownie, tak że lok podskoczył mu w górę. — Powiem ci, kolego — powtórzył, klepiąc lekko Frosta po ramieniu wolną ręką. — Bo w innym wypadku będzie źle: masz czterdziestkę na karku, czeka cię tobolek na drogę, a tu chora żona i małe bambino do wykarmienia i szkolne chesne do zapłacenia. Klops. Tak albo siak, musisz wybrać, i to teraz. Nie masz nawet pięciu minut, wóz albo przewóz. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz, ale nie możesz wzbudzić żadnych podejrzeń i trzymaj Natalie z dala od tego.

Jerry zaciągnął go z powrotem na środek pokoju, do biurka z telefonem. Są takie role w życiu, których nie można odegrać z godnością. Tego dnia Frostowi przypadła właśnie taka rola. Podniósłszy słuchawkę, wykręcił jedną cyfrę.

— Natalie? A jeszcze jesteś. Posłuchaj, zostaję jeszcze z godzinę, właśnie zadzwonił klient. Powiedz Sydowi, żeby zostawił klucz do skarbcza, pozamykam, kiedy będę wychodził, dobrze?

Opadł na krzesło.

— Przyglądź włosy — rzekł Jerry i powrócił do okna. Czekali.

— Zbrodnia i korupcja, gówno prawda — mruknął Frost. — Dobra. Pewnie, coś tam może i łyka na boku. Pokaż mi Chińczyka, który tego nie robi. Pokaż mi Angola, który tego nie robi. Myślisz, że dlatego Wyspa jest na kolanach?

— To Chińczyk, co?

Podszedłszy ponownie do biurka, Jerry sam wykręcił numer Natalie. Bez odpowiedzi. Postawiwszy Frosta delikatnie na nogi, podprowadził go do drzwi.

—7 I nie zamykaj skarbcza od razu — ostrzegł — bo będziesz to musiał przed wyjściem włożyć z powrotem.

Frost wrócił. Usiadł z posępną miną przy biurku, kładąc na bi-bularzu trzy teczki. Jerry nalał mu wódki i wyjaśnił zasady kolaboracji. Frost nic nie poczuje, powiedział. Musi tylko zostawić to, jak jest, wyjść na korytarz, zamykając za sobą dokładnie drzwi. Obok

drzwi jest tablica ogłoszeniowa: bez wątpienia widział ją nieraz. Powinien stanąć przed nią i przeczytać pilnie wszystkie informacje, aż usłyszy dwa puknięcia dochodzące z pokoju, i wtedy będzie mógł wrócić. Podczas czytania powinien pamiętać, by stać tak, żeby zasłaniać judasz, by Jerry wiedział, że wciąż tam jest, a przechodzący nie mogli zajrzeć do środka. Może się także pocieszyć myślą, że nie zdradzi żadnych poufnych spraw, wyjaśnił Jerry. Najgorsze, o co mogłyby go oskarżyć władze — albo klient — to, że wychodząc z pokoju naruszył przepisy.

— Ile jest dokumentów w skoroszytcie?

— Skąd mam wiedzieć? — spytał Frost, w lekkim przypiływie animuszu z racji poczucia niewinności.

— Policz je, dobrze, kolego? Zuch.

Było ich dokładnie pięćdziesiąt, znacznie więcej niż Jerry się spodziewał. Pozostawało ryzyko, że pomimo podjętych środków ostrożności, ktoś mu przeszkodzi.

— Będę potrzebował formularzy — powiedział.

— Jakich, cholera, formularzy? Nie mam tu żadnych formularzy — odwrękła Frost. — Do przynoszenia formularzy mam dziewczyny. Nie, już nie mam, poszły do domu.

— Formularzy, żeby otworzyć konto powiernicze w twoim szacownym banku, Frościu. Połóż je tu na biurku, z twoim złotym piórem wiecznym do dyspozycji klientów pod ręką. Zrobisz sobie przerwę, a ja je wypełnię. A to pierwsza wpłata — powiedział Jerry. Wyciągnąwszy zwitek amerykańskich banknotów z bocznej kieszeni, rzucił go na biurko z miłym pyk! Frost zerknął na pieniądze, ale ich nie wziął.

Zostawszy sam, Jerry nie marnował czasu. Odpiął dokumenty z klamry i rozłożył je parami, fotografując po dwie strony naraz. Trzymał swoje duże łokcie blisko ciała, by stać nieruchomo, a stopy lekko rozstawione dla utrzymania równowagi, podobnie jak łapacz w krykiecie, i ledwo dotykał tasiemką papierów dla zmierzenia odległości. Jeśli miał wątpliwości, powtarzał zdjęcie. Czasem korygował ekspozycję, często zaś odwracał głowę, by popatrzeć na kółeczko leśnej zieleni w judaszu i upewnić się, że Frost jest na stanowisku i nie woła strażników. Raz Frost stracił cierpliwość i zastukał do drzwi, ale Jerry warknął na niego, żeby był cicho. Od czasu do czasu dochodziły go odgłosy zbliżających się kroków, i wtedy zostawiał wszystko na biurku tak, jak leżało, chował aparat do kieszeni i podchodził do okna, by popatrzeć na port i poskubać się za włosy, jak człowiek wazący decyzję swego życia. Raz też zmienił film, co jest nie lada wyczynem, jeśli ma się wielkie palce i jest się zdenerwowanym. Modlił się, by stary aparat pracował o ton ciszej.

Kiedy zawołał Frosta, skoroszyty znajdowały się z powrotem na biurku, a obok nich leżały pieniądze. Było mu zimno i trochę nieswojo.

— Ale z ciebie cholerny głupek — odezwał się Frost, wpakowując pięćset dolarów do zapinanej kieszeni.

— Jasne — odrzekł Jerry. Rozglądał się wokół, zacierając za sobą ślady.

— Chyba straciłeś rozum — powiedział Frost. Miał dziwnie re-zolutną minę. — Myślisz, że możesz załatwić takiego gościa? Równie dobrze mógłbyś próbować zdobyć Fort Knox z łomem i paczką fajerwerków.

— Gruba ryba, podoba mi się to.

— Szybko przestanie ci się podobać. Jeszcze to znienawidzisz.

— Znasz go?

— Tak, tak, oczywiście, że znam. Jesteśmy papużki nierozłączki — odrzekł z ironią Frost. — Nie ma dnia, żebym u niego nie był na kolacji. Znasz przecież moją namiętność do możliwych tego świata.

— Kto otworzył mu konto?

— Mój poprzednik.

— Wpada tu?

— Za mojej kadencji go nie było.

— Widziałeś go kiedyś?

— W Canidrome w Makau.

— Cani co?

— To wyścigi psów w Makau. Robił zakłady, mieszał się z po-spółstwem. Byłem tam z moją chińską laleczką, przedostatnią. „Kto to? — pyta. — Ten? — odpowiadam — to mój klient”. Była pod wrażeniem. — Na pokonanej twarzy Frosta zamigotało jego poprzednie ja. — Jedno ci powiem, wcale nieźle się prezentował, miał ze sobą ostrą blondynkę. Okrągłooka. Wygląd gwiazdy filmowej, Szwedka. Duże doświadczenie i sumienność w łóżku. To...

— Streszczaj się, kolego. O co chodzi?

— Zapomnijmy o tym, dobra? Chodźmy w miasto. Wywalę te moje pięć stówek. Ty naprawdę nie jesteś taki, to tylko coś, czym się parasz, żeby zarobić na życie.

Zanurzywszy rękę w kieszeni, Jerry wyłuskał kluczyk do alarmu i rzucił go na bierną dłoń Frosta.

— Będziesz tego potrzebował.

Kiedy wychodził z banku, na stopniach stał szczupły, dobrze ubrany młody mężczyzna w spodniach z długimi nogawkami. Czytał poważnie wyglądającą książkę w twardych okładkach; Jerry nie dostrzegł tytułu. Nie zabrnął daleko, ale był bez reszty pochłonięty lekturą, jak ktoś zdecydowany poszerzyć swą wiedzę.

Znów był człowiekiem z Sarratt, wszystko inne prysło. Rób uniki, powiedzieli „treserzy”, klucz. Jeśli nie możesz ukryć zdobyczy, to przynajmniej musisz zmylić trop. Brał więc taksówki, ale zawsze w konkretne miejsce. Na Molo Królowej, gdzie przyglądał się załadunkowi promów spoza wyspy i przemykającym między liniowcami brązowym dżonkom; do Aberdeen, gdzie waleśał się wśród turystów przyglądającym się rodzinom żyjącym na łodziach i pływającym restauracjom; do Stanley Village, wzdłuż publicznej plaży, gdzie blade-skróży Chińczycy, odrobinę przygarbieni, jakby miasto wciąż ciążyło im na ramionach, przykładnie pluskali się ze swymi dziećmi. Chińczycy nigdy nie pływają po święcie księżycy, przyszło mu machinalnie do głowy, ale nie mógł sobie w tej chwili przypomnieć, kiedy wypada to święto. Myślał o tym, by zostawić aparat w szatni Hotelu Hilton. Pomyślał o sejfach i o wysłaniu do siebie paczki, o specjalnych posłańcach. Ale według niego, a zwłaszcza według „treserów”, żadna z tych ewentualności nie wchodziła w rachubę. To solówka, powiedzieli, albo zrobisz to sam, albo będzie kłapa. Kupił więc coś do niesienia: plastikową torbę i kilka bawełnianych koszulek, by ją czymś wypełnić. Kiedy pali ci się grunt pod nogami, głosiła doktryna, zadbaj o to, byś miał coś pod ręką dla odwrócenia uwagi. Nawet najstarsi obserwatorzy nabierają się na to. I jeśli cię osaczają, rzuć im to na pożarcie, i kto wie, może zajmą się tym na tyle długo, że zdołasz ująć w skarpetkach. Bał się każdego napotkanego człowieka, przeżywał męki polującego kieszonkowca. W wynajętym garażu na Koulun czekał już na niego samochód. Dotarłszy tam, Jerry się uspokoił — przecież najgorsze miał za sobą — ale ani na moment nie przestawał być czujny. Czuł się zwycięzcą i pozostałe uczucia nie miały znaczenia. Niekiedy zdarza się robota, przy której człowiek się utyła.

Siedząc za kierownicą, uważał szczególnie na hondy, które w Hongkongu są podstawowym środkiem lokocji „ogonów”. Zanim opuścił Koulun, krążył przez jakiś czas po bocznych uliczkach. Nic. Na Junction Road dołączył do świątecznego konwoju i przez godzinę jechał w kierunku Zatoki Czystej Wody, wdzięczny za okropny ścisk na ulicach, bo nie ma nic trudniejszego niż przejmowanie śledzenia przez trio hond złapanych w dwudziestomilowym korku. Pozostało tylko patrzeć w lusterka i jechać, dawać dyla. Popołudniowy skwar nie zelżał. Jerry nastawił klimatyzację do oporu, ale nie czuł różnicy. Mijał rośliny w donicach, firmowe znaki Seiko, stosy worków z ryżem, parcele gruntu z młodymi drzewkami rosnącymi na noworoczną sprzedaż. Widząc piaszczystą aleję po lewej stronie, skręcił w nią ostro, patrząc w lusterko. Zjechał na bok, zatrzymał się i otworzył tylną klapę, udając, że chłodzi silnik. Z tyłu przejechał groszkowy

mercedes z przyciemnionymi szybami, z kierowcą i jednym widocznym pasażerem. Samochód podążał za nim od dłuższej chwili, ale teraz przejechał dalej prosto główną ulicą. Jerry przebiegł na drugą stronę, wszedł do kawiarni, wykręcił numer telefonu, poczekał, aż zadzwoni cztery razy, po czym odwiesił słuchawkę. Wykręcił jeszcze raz, za szóstym dzwonkiem ktoś odebrał i wtedy Jerry znowu się rozłączył. Wrócił do samochodu i ruszył dalej, jadąc wśród pozostałości po wioskach rybackich w kierunku jeziora, gdzie tłok sięgał daleko w wodę, pomnożony jeszcze przez własne odbicie w jej lustrze. Żaby rechotały, a lekkie jachciki nikięły i ukazywały się w mgielce skwaru. Niebo było białe jak kość i dotykało samej wody. Wysiadł. Akurat wtedy drogą nadjechała, chybocząc się, stara furgonetka marki Citroen z kilkoma Chińczykami: czapki coca-coli, sprzęt wędkarski, dzieci, a z nimi sami mężczyźni, dwóch, żadnych kobiet. Nie zwrócili na niego uwagi. Ruszył w kierunku szeregu oszalowanych domków z balkonami, podniszczonych, z betonowymi frontowymi ścianami, podobnych do angielskich domów na wybrzeżu, tylko że bielszych od słońca. Ich nazwy wypisane były prymitywnie na kawałkach żeglarskiego drewna: „Driftwood”, „Susy Mary”, „Dunromin”. Na końcu plaży ciągnęła się nieczynna promenada i jachty przybijały teraz gdzieś indziej. Zbliżywszy się do domów, Jerry popatrzył od niechcienia na okna na piętrach. W drugim od lewej stał blady wazon z suszonymi kwiatami owiniętymi srebrnym papierem. Wszystko w porządku, mówiły, wejdz. Pchnąwszy na oścież furtkę, przycisnął dzwonek. Citroen zatrzymał się przy jeziorze. Równocześnie kiedy usłyszał trzask drzwi samochodu, z głośnika domofonu doszedł go pisk.

— Co za cholera dzwoni? — spytał ostro złowrogi głos, z soczystymi, grzmiącymi w powietrzu australijskimi tonami, ale w tej samej chwili odskoczył z trzask u drzwi. Wszedłszy do środka, Jerry zobaczył spasioną postać starego Crawa w kimonie. Crawl siedział na szczycie schodów, ogromnie zadowolony, i wołał, żeby „Monsignor” vel „złodziejski szpic” ruszył swój obrzydliwy arystokratyczny tylek i wszedł na górę pokrzepić się szklaneczką.

Wewnątrz śmierdziało kadzidłem. Z cienia drzwi parteru uśmiechnęła się do Jerry'ego bezzębna *amah*, ta sama dziwna mała istota, którą przepytał Lukę, kiedy Crawl był w Londynie. Duży pokój znajdował się na piętrze, ponura boazeria usiana pofalowanymi fotografiami starych kumpli Crawa, dziennikarzy, z którymi pracował całe pięćdziesiąt lat szalonej historii Wschodu. Na środku stał stół, a na nim wysłużony remington, na którym Crawl prawdopodobnie

pisal swoje pamietniki. Poza tym pokoj byl pusty. Crawl, podobnie jak Jerry, mial dzieci i zony, pozostalosci po pol tuzinie roznych zywtow, i po zaspokojeniu ich podstawowych potrzeb zyciowych, nie zostawalo mu wiele na meble.

W lazience nie bylo okna. Obok umywalki znajdowal sie bak do wywoływania, brązowe buteleczki z utrwalaczem i wywoływaczem oraz mala przegladarka do odczytywania negatywow. Crawl zgasil swiatlo i przez niezliczone lata swietlne pracowal w zupelnej ciemnosci, chrzajajac i klnajac, wzywajac papieza. Obok niego pocil sie Jerry, probujac po przekleństwach zorientowac sie w jego ruchach. Teraz, domyslal sie, Crawl naklada waziotka klisze na szpulke. Jerry wyobrazil sobie, ze trzyma ja w samych opuszkach, z obawy, ze zostawi odciski na emulsji. Za chwile nie bedzie wiedzial, czy w ogole ja trzyma, pomyslal Jerry. Bedzie musial zmusic palce do wysilku. Bylo mu niedobrze. W ciemnosci zlorzeczenia Crawa stawaly sie coraz glonsiejsze, jednak nie na tyle glodne, zeby zagluszyly krzyki ptakow wodnych dochodzace znad jeziora. Zreczny jest, pomyslal Jerry uspokojony. Zrobilby to z zamknietymi oczami. Uslyszal trzeszczenie bakelitu, gdy Crawl zakrecal pokrywe, mruczajac: „Do lozia, pogański skurwysynu”, a nastepnie dziwnie suchotniczy grzechot, kiedy uwasnie wytrzasnal babelki powietrza z wywoływacza. Potem zapalilo sie swiatełko, z trzaskiem tak glonsym, jak strzal pistoletu, i oto Jerry znow mial przed soba starego Crawa, czerwonego od blasku jak papuga, pochylonego nad zamknietym koreksem. Crawl szybko wlewal tiosiarczan sodu, po czym pewnym ruchem przewrocil ko-reks i postawil go w odpowiedniej pozycji, zerkajac jednoczesnie na stary kuchenny czasomierz z potykajaca sie co sekunde wskazowka.

Ledwo zywy ze zdenerwowania i upalu, Jerry wroutil sam do pokoju, nalal sobie piwa i opadl na wiklinowe krzeslo, nie patrzac nigdzie, wsluchujac sie za to w uparte kapanie z kranu. Zza okna dobiegal belkot chińskich glósów. Na brzegu jeziora dwaj wedkarze rozlozyli sprzet. Przygladaly im sie siedzace w kurzu dzieci. Z lazienki dallo sie slyszec skrzywienie wieczka i Jerry skoczyl na nogi, ale Crawl musial go uslyszec, bo warknal „zaczekaj” i zamknal drzwi.

Piloci, dziennikarze, szpiedzy, ostrzegala maksyima Sarratt, to jedna ekipa. Cholerna bezczynnosć przerywana okresami cholernej goraczkowej harowy.

Rzuca okiem, pomyslal Jerry, na wypadek gdyby byl kiks. W hierarchii to Crawl, nie Jerry, musial dojsc do ladu z Londynem i to on w najgorszym wypadku kazalby mu jeszcze raz dobrac sie do Frosta.

— Co tak dlugo, cholera? — wrzasnal Jerry. — Co sie dzieje?

Moze sie odlewa, pomyslal absurdalnie.

Drzwi powoli sie otworzily. Crawl mial przerazajaco powazna mine.

— Nie wyszły — rzekł Jerry.

Wydało mu się, że do Crawa nie dotarło. Już chciał powtórzyć, głośniej, już chciał się wściec, zrobić scenę, ale Craw w końcu się odezwał i to w samą porę.

— Wprost przeciwnie, synu. — Stary wyga zrobił krok do przodu i dopiero wtedy Jerry spostrzegł filmy, wiszące za nim na sznurku do prania jak czarne mokre robaki, przytrzymywane różowymi spina czami. — Wprost przeciwnie — odrzekł — każde ujęcie to śmiałe, sensacyjne arcydzieło.

Rozdział 7

JESZCZE O KONIACH

Pierwsze wieści o postępach Jerry'ego dotarły do Cyrku wczesnym rankiem, w martwej ciszy, i do góry nogami wywróciły porządek weekendu. Wiedząc, czego się spodziewać, Guillam położył się do łóżka już o dziesiątej i drzemał dręczony na przemian to niepokojem o Jerry'ego, to otwarcie lubieżnymi wizjami Molly Meakin w jej niewinnym kostiumie kąpielowym i bez. Jerry miał zjawić się u Frosta zaraz po czwartej rano czasu londyńskiego, więc o trzeciej trzydziści Guillam już jechał swoim starym porsche zamglonymi ulicami w kierunku Cambridge Circus. Równie dobrze mógł być zmierzch. W bawialni zastał Connie, kończącą krzyżówkę w „Timesie”, i di Salisa, czytającego medytacje Thomasa Traherne'a, jednocześnie ciągnącego się za ucho i tupiącego nogą, niczym człowiek-perkusja. Fawn, niespokojny jak zawsze, snuł się między nimi odkurzając i czyszcząc — kierownik sali czekający z niecierpliwością na drugą turę gości. Co jakiś czas ssał zęby i pod wpływem ledwo opanowywanej frustracji wydawał z siebie głębokie „ooch”. W pokoju wisiał, niczym chmura gradowa, całun dymu i jak zwykle czuć było zapach zwietrzałej herbaty z samowara. Drzwi do gabinetu Smileya były zamknięte i Guillam nie widział powodu, by niepokoić szefa. Otworzył egzemplarz „Country Life”. „Cholera, jakbyśmy czekali u dentysty” — pomyślał i usiadł patrząc tępo na zdjęcia wiejskich rezydencji. Nagle Connie odłożyła powoli krzyżówkę, usiadła wyprostowana i spytała: — Słyszycie? — Wtedy Guillam złowił uchem natrętny terkot zielonego telefonu od „kuzynów”, a sekundę później Smiley podniósł słuchawkę. Przez otwarte drzwi do własnego gabinetu Guillam spojrzał na rząd

elektronicznych skrzynek. Na jednej z nich do końca rozmowy paliła się zielona lampka. Gdy zgasła, w bawialni zadzwonił „budzik”

— w ich żargonie oznaczało to telefon wewnętrzny — i tym razem Guillam był szybszy od Fawna.

— Wszedł do banku — oznajmił lakonicznie Smiley.

Guillam powtórzył wiadomość zebranim. — Jest już w banku

— rzekł, ale równie dobrze mógł mówić do manekinów, bo nikt nie zareagował na jego słowa.

Jerry wyszedł o piątej. Napięty Guillam rozważał możliwości i czuł się okropnie. Szantaż był niebezpieczną grą i jak większość zawodowców Guillam jej nienawidził, choć nie ze względów moralnych. Ze zbyt wieloma rzeczami trzeba było się liczyć: ofiara, aniołki z безпеaki, no i sama groźba szantażu, a nie każdy reaguje racjonalnie na szantaż. Trafiają się bohaterowie, trafiają się kłamcy, trafiają się rozhisteryzowane dziewczęta, które opuszczają nagle spódnice i krzyczą „gwałcą!”, mimo że było im dobrze. Ale prawdziwie niebezpieczna gra zaczynała się dopiero teraz, kiedy już było po wszystkim i kiedy Jerry musiał się odwrócić plecami do tłącego się lontu i zwiewać. W którą stronę szarpnie się Frost? Zadzwoni na policję? Do matki? Do swojego szefa, do żony? „Kochanie, muszę ci coś wyznać, wybacz mi, rozpoczniemy nowe życie”. Nie można wykluczyć nawet tej zatrwającej ewentualności, że Frost pójdzie prosto do swego klienta: „Proszę pana, przyszedłem wytłumaczyć się ze zdrady tajemnicy bankowej”.

W stęchłej zgrozie wczesnego poranka Guillam wzdrygnął się i skupił myśli na Molly.

Kiedy następnym razem zadzwonił zielony telefon, Guillam go nie usłyszał — George musiał siedzieć z ręką na słuchawce. Po prostu nagle w gabinecie Guillama zapaliła się lampka i świeciła przez piętnaście minut. W końcu jednak zgasła i czekali, z oczami wbitymi w drzwi Smileya, w myślach przynaglając go do wyjścia. Fawn zamarł w pół kroku, trzymając talerz z kanapkami posmarowanymi brązową marmoladą, których nikt nie wzięłby do ust. Wreszcie klamka się poruszyła i Smiley wyszedł z blankietem „informacje o osobie” w ręku, wypełnionym jego starannym pismem i opatrzonym słowem „zaraz”, co oznaczało „pilne dla szefa”, a więc sprawa pierwszorzędnej wagi. Podał go Guillamowi i poprosił, by ten zaniósł go do „królowej matki” w rejestracji i poczekał, aż ona sprawdzi nazwisko. Biorąc blankiet do ręki, Guillam przypomniał sobie inną chwilę, kiedy dostał podobny druk na nazwisko Elizabeth Worthington alias Lizzie, kończący się słowami „luksusowa prostytutka”. Odchodząc, usłyszał, jak Smiley cicho zaprasza Connie i di Salisa do sali tronowej, a Fawna wysłała

do nie skatalogowanego zbioru książek w poszukiwaniu *Kto jest kim w Hongkongu*.

„Królowa matka” została umyślnie wezwana na ranną zmianę i jej nora wyglądała teraz jak obraz „Noc, kiedy spłonął Londyn”, do kompletu z żelaznym wyrkiem i małym prymusem, mimo że na korytarzu był automat do kawy. Brakuje jej tylko kotła i portretu Winstona Churchilla, pomyślał Guillam. Szczegóły na blankiecie były następujące: Ko, imię: Drake, inne imiona nie znane, data urodzenia: 1925, miejsce: Szanghaj, obecne miejsce zamieszkania: Siedem Bram, Headland Road, Hongkong, zawód: Przewodniczący Rady Nadzorczej i Dyrektor Naczelny China Airsea, Hongkong. „Królowa matka” ruszyła na szeroko zakrojone poszukiwania, ale jedynie udało się jej ustalić to, że Ko został w 1966 roku umieszczony na hongkońskiej liście kandydatów do Orderu Imperium Brytyjskiego za „działalność społeczną i charytatywną na rzecz Kolonii” i że zanim wybór ten został zatwierdzony, Cyrk odpowiedział na zapytanie z biura gubernatora, że nie ma w aktach „nic przeciwko”. Spiesząc na górę z radosną wieścią Guillam był na tyle przytomny, by przypomnieć sobie, że według słów Sama Collinsa China Airsea była rzeczywistym właścicielem miniaturowej linii lotniczej z Vientiane, która z kolei obdarowywała pieniędzmi Borysa Handlowca. To wydało się Guillamowi nad wyraz prostym powiązaniem. Zadowolony z siebie, wrócił do sali tronowej, gdzie powitała go śmiertelna cisza. Na podłodze leżało nie tylko aktualne wydanie *Kto jest kim*, ale również kilka starych egzemplarzy: Fawn, jak zwykle, wykazał nadgorliwość. Smiley siedział przy biurku, ze wzrokiem utkwionym w kartkę z notatkami napisanymi jego ręką. Connie i di Salis nie spuszczały z niego oka, a Fawna gdzieś poniosło, prawdopodobnie z kolejną sprawą. Guillam wręczył Smileyowi blankiet z informacjami „królowej matki” wykaligrafowanymi pośrodku. W tej samej chwili ponownie zaterkotał zielony telefon. Podniósłszy słuchawkę, Smiley zaczął notować na leżącej przed nim kartce.

— Tak, dzięki, to już mam. Mów dalej. Tak, to też już zapisałem. — I tak trwało przez dziesięć minut, aż w końcu powiedział: — Dobrze, a zatem do wieczora — i odłożył słuchawkę.

Na ulicy irlandzki mleczarz ogłaszał entuzjastycznie wszem i wobec, że już nigdy nie będzie włóczykiem.

— Westerby zdobył całą dokumentację — powiedział wreszcie Smiley. Oczywiście jak wszyscy używał jego kryptonimu. — Ma wszystkie dane. — Skinął, jakby zgadzał się sam ze sobą, wciąż wpatrzony w kartkę. — Zdjęcia będą tu nie wcześniej niż wieczorem, ale coś nie coś już wiadomo. Wszystko, co najpierw szło przez Vientiane, znalazło się na koncie w Hongkongu. Od samego początku Hongkong był

miejszem przeznaczenia całej żyły złota, wszystkiego, co do grosza. Żadnych potrąceń po drodze, choćby na opłaty bankowe. Na początku była to skromna suma, potem szybko poszła w górę, dlaczego, możemy się tylko domyślać. Wszystko tak, jak opisał to Collins. Aż w końcu zatrzymało się na sumie dwudziestu pięciu tysięcy miesięcznie i tak zostało. Kiedy skończył się układ z Vientiane, centrala nie straciła ani jednego miesiąca. Natychmiast przerwali się na inną trasę. Masz rację, Con, Karla nigdy nie robi niczego bez zabezpieczenia.

— Jest zawodowcem, kochanieńki — mruknęła Connie — tak jak ty.

— Nie tak jak ja. — Smiley cały czas czytał swoje zapiski. — To tajne konto — stwierdził tym samym, beznamytnym tonem. — Podane jest tylko jedno nazwisko, nazwisko założyciela. Ko. Beneficjent nieznan, mówią. Być może wieczorem dowiemy się, dlaczego. Nie pobrano dotąd ani jednego centa — dodał, wybierając sobie na słuchacza Connie Sachs. Powtórzył: — Odkąd ponad dwa lata temu rozpoczęły się wpłaty, z konta nie pobrano ani centa. Jest na nim teraz pół miliona amerykańskich dolarów. Naturalnie wraz z odsetkami kwota szybko rośnie.

Dla Guillauma ta ostatnia informacja była koszmarem w biały dzień. Jaki, do cholery, był sens przelewać pokątnie pół miliona dolarów na konto, skoro nie tknięto z tego ani grosza? Natomiast dla Connie i di Salisa miała ona najwyraźniej olbrzymie znaczenie. Twarz Connie rozciągnęła się powoli w krokodylim uśmiechu, a jej dziecięce oczy spoczęły na Smileyu w milczącej ekstazie.

— Och, George — westchnęła w końcu, kiedy już dojrzało w niej objawienie. — Kochanieńki, to jest tajne konto! No cóż, to całkiem inna para kaloszy. Właściwie musiało takie być, prawda? Wszystko na to wskazywało. Od pierwszego dnia. I jeśli głupia, gruba Connie nie byłaby tak ślepa, tak stara, tak zidiociąła i nieruchawa, wpadłaby na to dawno temu! Zostaw mnie w spokoju, Guillam, ty rozpustniku! — Podniosła się z trudem, zaciskając kalekie dłonie na poręczach fotela. — Ale kto może być tyle wart? Siatka? Nie, nie, nigdy w życiu nie zrobiliby czegoś takiego dla siatki. Bez precedensu. I b nie może być hurt, to byłoby niesłychane. A więc co? Co jest tyle warte? — Pokuśtykała do drzwi, naciągając szal na ramiona, wyśli zgując się już z ich świata w swój własny. — Karla nie płaci ot tak po prostu. — Jej pomrukiwania cichły w oddali. Minęła szpaler „matczy nych” maszyn do pisania w pokrowcach, zakutanych wartowników w mroku. — Karla to skąpa świnią, myśli że jego agenci powinni pracować za darmo! Tak myśli. Grosze, oto co im płaci, kieszonkowe. Fakt, jest inflacja, ale pół miliona dolarów dla jednego kreta? Nigdy o czymś takim nie słyszałam!

Na swój osobliwy sposób di Salis był nie mniej przejęty niż Connie. Siedział z górną połową swego pokręconego, nieproporcjonalnego ciała pochyloną do przodu i gorączkowo mieszał srebrnym nożykiem w główce fajki, jakby to był garnek z kipiącą zupą. Jego siwe włosy sterczały nad pokrytym łupieżem kołnierzykiem czarnej wygniecionej marynarki niczym kogucy grzebień.

— No, no, nic dziwnego, że Karla chciał zatrzeć wszystkie ślady — wyrwało mu się nagle, jakby słowa same się uwolniły. — Nic dziwnego.

Karla to też ekspert od Chin, tak się ocenia, wiem to od Connie.

— Wygramolił się z fotela, trzymając w rękach o jedną rzecz za dużo: fajkę, puszkę tytoniu, nożyk i Thomasa Traherne'a. — Naturalnie nie jest wyrafinowanym człowiekiem, tego nie należy się spodziewać. Nie jest uczonym, jest żołnierzem. Ale nie jest ślepy, o nie, tak mi powiedziała. Ko.

— Powtórzył nazwisko na kilka różnych sposobów.

— Ko. Ko. „Drakę” to oczywiście szkoła misyjna. Szanghajski chłopak z misji. No, no. To właśnie w Szanghaju wszystko się zaczęło, tam była pierwsza komórka partyjna. Po co ja to mówię? Drakę Ko. Ciekawe, jak się naprawdę nazywa. Dowiemy się wkrótce, to pewne. Tak, dobrze. Ja chyba też mogę już wrócić do mojej lektury. Smi-ley, czy mógłbym dostać piecyk do mojego pokoju? Gdy wyłączają ogrzewanie, to człowiek marznie na kość. Prosiłem administracyjnych z dziesięć razy, ale jedyną odpowiedzią na moje wysiłki były impertynencje. Starość nie radość, ale fakt faktem, że zima jest tuż-tuż, jak mi się zdaje. Ufam, że pokażesz nam materiały, jak tylko nadejdą? Człowiek nie lubi zbyt długo pracować w oparciu o hipotetyczne dane. Sporządzę curriculum vitae, to po pierwsze. A dziękuję ci, Guillam.

Upadł mu Thomas Traherne. Odbierając książkę, upuścił z kolei puszkę z tytoniem, i tę Guillam też podniósł. — Drakę Ko. Szanghaj nic tu nie oznacza, oczywiście, Szanghaj to był prawdziwy tygiel. Czuczoucycy, to jest odpowiedź, sądząc po tym, co wiemy. Ale bez falstartu. Baptysta. Tak, Czuczoucycy przeważnie są baptystami, nie mam racji? Szantoucycy, gdzie to mieliśmy? Aha, pośrednicząca firma z Bangkoku. No, to jakoś się trzyma kupy. Albo Hakka, jedni nie wykluczają drugich, w żadnym razie. — Podreptał sztywnym krokiem za Connie, zostawiając Guillama ze Smileyem, który podniósł się i podszedłszy do fotela opadł nań, patrząc w ogień szklanym wzrokiem.

— Dziwne — rzekł po długiej chwili milczenia. — Żadnego wstrząsu. Dlaczego, Peter? Znasz mnie przecież. Dlaczego?

Guillam był na tyle mądry, by siedzieć cicho.

— Gruba ryba w kieszeni Karli. Tajne konta, groźba istnienia rosyjskich szpiegów w samym sercu politycznego życia Kolonii, a ja nie czuję żadnego wstrząsu.

Zaterkotał zielony telefon. Tym razem odebrał Guillam. I wtedy właśnie ze zdumieniem spostrzegł na biurku otwartą nową teczkę raportów Sama Collinsa z Dalekiego Wschodu.

Był weekend. Connie i di Salis zniknęli bez śladu, Smiley zabrał się do pracy, przygotowując podanie, Guillam wygładził piórka, wezwał „matki” i wyznaczył im pisanie na zmiany. W poniedziałek, skrupulatnie poinstruowany przez Smileya, zadzwonił do osobistego sekretarza Lacona. Wykonał to doskonale.

— Żadnego bicia w bębny — ostrzegł go Smiley. — Jedź na wolnym biegu. — I Guillam pojechał.

— Gadaliśmy przy kolacji pewnego dnia — zaczął przez telefon — o zwołaniu Komisji Wywiadu, by zastanowić się *prima facie* nad pewnymi ustaleniami. Sprawa nieco się ruszyła, więc może warto by się umówić. Machnijcie nam rozkaz, a my od razu puścimy w obieg informację o spotkaniu.

— Machnijcie rozkaz, sprawa się ruszyła. Gdzie wyście się uczyli ludzkiej mowy?

Osobistym sekretarzem Lacona był facet o grubym głosie nazwiskiem Pym. Guillam nigdy go nie spotkał, ale czuł do niego irracjonalny wstręt.

— Mogę tylko przekazać mu prośbę — ostrzegł Pym. — Powiem mu, zobaczę, co on powie, i oddzwonię. Jego grafik jest bardzo napięty w tym miesiącu.

— Może da radę, to będzie króciutki walczyk — odrzekł Guillam i wściekły odłożył słuchawkę.

Poczekaj, cholera, a zobaczysz, co się szykuje, pomyślał.

Kiedy centrala w Londynie odbywa poród, głosi wieść, „frontowiec” może tylko przemierzać korytarz tam i z powrotem. Piloci, dziennikarze, szpiedzy: Jerry znów tkwił w bezczynności.

— Na razie bierzemy na wstrzymanie — oznajmił Craw. — Nadeszła odpowiedź: wykonałeś dobrą robotę i na razie masz się nie wychylać.

Dzwonili do siebie przynajmniej co drugi dzień — ulotne telefony z publicznych aparatów, najczęściej z jednego hallu hotelowego do drugiego. Szyfrowali rozmowę mieszaniną sarrackiego kodu i dziennikarskiego bełkotu.

— Twoją historię sprawdzają na wyżynach — powiedział Craw. — Kiedy naczelnemu coś zaświta, da nam znać. Do tej pory trzymaj ręce w kieszeniach, to rozkaz.

Jerry nie miał pojęcia, jak Craw porozumiewa się z Londynem i nie obchodziło go to, pod warunkiem, że procedura była bezpieczna. Przypuszczał, że jakiś dokoptowany oficjał z jednej z jawnych instytucji robi za łącznika, ale miał to gdzieś.

— Twoim zadaniem jest teraz ruszyć tyłek i popracować dla komiksu, byś miał coś w zanadrzu dla Stubbsa, kiedy nadejdzie kolejny kryzys — powiedział mu Craw. — Słyszysz, co mówię? Nic poza tym.

Opierając się na doświadczeniach z eskapad z Frostem, Jerry wysmażył artykuł o wpływie, jaki na nocne życie Wanchai miało wycofanie wojsk amerykańskich: „Co porabia Susie Wong, odkąd sterani wojną amerykańscy herosi z wypchanymi portfelami przestali ją tłumnie odwiedzać w poszukiwaniu rozrywek?” Zmyślił — lub raczej, jak wolą dziennikarze, wyssał z palca „wywiad o świcie” z niepokieszoną, fikcyjną panią, której zostali jedynie Japończycy, wysłał go pocztą lotniczą i załatwił przez redakcję Lukę’a przesłanie teleksem numeru przesyłki, wszystko jak sobie życzył Stubbs. Jerry w żadnym razie nie był złym dziennikarzem, ale tak jak presja wydobywała z niego to, co najlepsze, gnuśność — to, *co* najgorsze. Zdumiony błyskawicznym, wielkodusznym nawet przyjęciem artykułu przez Stubbsa — „błogosławieństwem”, jak nazwał to Lukę, gdy zadzwonił z redakcji — ruszył na poszukiwanie innych szczytów do zdobycia. Kilka procesów o korupcję, jak zwykle z niezrozumianymi przez nikogo policjantami w rolach głównych, odbiło się sporym echem, ale przyjrząwszy się im bliżej, Jerry doszedł do wniosku, że nie mają szans za granicą. Anglia przeżywała w tym czasie własne skandale. Ktoś z redakcji polecił mu zająć się sprawą domniemanej ciąży Miss Hongkongu, rozdmuchaną przez konkurencyjny komiks, ale wszystko pokrzyżował proces o zniesławienie. Jerry wybrał się więc na jałową konferencję rządową z udziałem Płytkiego Gardła, który sam był pozbawionym humoru odrzutkiem z irlandzkiego dziennika, następnie przebimbał cały ranek grzebiąc w starych historyjkach, które warto by może odgrzać, a usłyszawszy pogłoski o oszczędnościach w armii, spędził popołudnie w koszarach Gurkhów, oprowadzany przez wyglądającego na osiemnastolatka majora od kontaktów z prasą. Niestety, major nie potrafił odpowiedzieć na żartobliwe pytanie Jerry’ego, jak będzie wyglądało życie płciowe jego ludzi, kiedy ich rodziny zostaną odesłane z powrotem do Nepalu. Sądził, że będą jeździć w odwiedziny do swych wiosek raz na trzy lata, i najwyraźniej uważał, że to wszystkim wystarczy. Jerry nagiął fakty, aż w końcu brzmiało to tak, jakby Gurkhowie już byli komuną słomianych wdowców — „Zimny prysznic w gorącym klimacie na głowy najemników”. Z poczuciem tryumfu zakończył gorący tekst,

po czym wysmażył jeszcze kilka historyjek na deszczowe dni. Wieczory spędzał w klubie, czekając na poród Cyrku, obgryzając w duchu paznokcie.

— Jezu Chryste — zaoponował w rozmowie z Crawem — ten cholerny facet jest praktycznie własnością społeczną.

— Wszystko jedno — odrzekł twardo Craw

Jerry rzekł więc „tak jest” i kilka dni później z nudów rozpoczął własne, całkowicie nieformalne zgłębianie tajników życia i miłostek pana Drake'a Ko, kawalera Orderu Imperium Brytyjskiego, stewarda Królewskiego Klubu Jeździeckiego z Hongkongu, milionera i obywatela poza wszelkimi podejrzeniami. Według Jerry'ego nie było to nic wielkiego, dramatycznego, taki bowiem jeszcze się „frontowiec” nie narodził, który by prędzej czy później nie wyszedł poza zakres instrukcji. Zaczął ostrożnie, jak się podkrada zakazane konfitury. Tak się jakoś złożyło, że rozważał zaproponowanie Stubbsowi cyklu trzech artykułów na temat hongkongskich bogaczy. Szperając pewnego dnia przed lunchem wśród wydawnictw encyklopedycznych w Klubie Korespondentów, złamał bezwiednie przykazania Smileya i w aktualnym wydaniu *Kto jest kim w Hongkongu* odnalazł hasło: Ko, Drake: żonaty; jeden syn, zmarły w 1966 roku; w przeszłości student prawa w Gray's Inn w Londynie, ale najwyraźniej bez powodzenia, albowiem nic nie wiadomo o tym, by został przyjęty do palestry. Dalej była lista dwudziestu kilku firm, na których czele stał. Zainteresowania: wyścigi konne, podróże, kobiety. A kto ma inne? Dalej instytucje, które wspierał charytatywnie, między innymi kościół baptystów, czuczoucka Świątynia Ducha i Bezpłatny Szpital Dziecięcy imienia Drake'a Ko. Wspiera, co może, pomyślał Jerry ubawiony. Zdjęcie ukazywało zwykłego dwudziestoletniego młodzieńca, posiadającego mnóstwo cnót, jak i dóbr doczesnych, niczym się nie wyróżniającego. Zmarły syn miał na imię Nelson. Nelson i Drake, admirałowie brytyjscy, zauważył Jerry. Nie mógł pozbyć się myśli, że ojciec nosił imię po pierwszym brytyjskim żeglarzu, który wpłynął na Morze Południowo-wochińskie, a syn po bohaterze spod Trafalgaru.

Jerry nie miał takich jak Peter Guillam trudności z powiązaniem „China Airsea” z Hongkongu z „Indocharter SA” z Vientinae i z ubawieniem przeczytał w prospekcie „China Airsea”, że firma zajmuje się „działalnością handlowo-transportową na wielką skalę na obszarze Azji południowo-wschodniej” — w tym handlem ryżem, rybami, sprzętem elektronicznym, drzewem tekowym, nieruchomościami oraz transportem morskim.

Odwalając chałturę w redakcji Luke'a, wykonał śmielszy ruch, choć właściwie to czysty przypadek podsunął mu pod nos nazwisko Drake Ko. Prawda, sprawdził Ko w katalogu, ale sprawdził też

tuzin czy dwa nazwisk innych bogatych Chińczyków i w dobrej wierze, z myślą o pisaniu artykułu, spytał chińską sekretarkę, kto według niej należy do najbardziej ekscentrycznych chińskich milionerów. I choć być może Ko nie należał do ścisłej czołówki, Jerry nie musiał się wiele wysilać, by wyciągnąć od niej jego nazwisko, a w konsekwencji i materiały o nim. Rzeczywiście, tak jak Jerry powiedział Cra-wowi, było coś przynębiającego, by nie powiedzieć absurdalnego, w pokątnym zbieraniu informacji o tak znanym człowieku. Agenci sowieckiego wywiadu, według jego ograniczonej wiedzy o tej rasie ludzi, wchodzili na rynek w skromniejszym opakowaniu. Przy nich Ko wydawał się olbrzymem.

Przypomina mi starego Sambo, pomyślał Jerry. Po raz pierwszy uderzyło go to podobieństwo.

Najwięcej szczegółów zawierał lśniący periodyk „Golden Orient”, już nie wydawany. W jednym z ostatnich numerów był ośmiostroni-cowy ilustrowany artykuł zatytułowany „Czerwoni rycerze Naniang-gu”, który traktował o rosnącej liczbie chińskich emigrantów prowadzących zyskowne interesy z czerwonymi Chinami, zwanych powszechnie kocurami. Jerry wiedział, że Naniang to kraina na południe od Chin, która oznaczała dla Chińczyków rodzaj Eldorado pokoju i dobrobytu. Każdej wybranej osobistości poświęcono stronę tekstu opatrzoną zdjęciem, zwykle zrobionym na tle posiadłości. Bohaterem hongkongskiego wywiadu — znalazły się też i inne, z Bangkoku, Manilii i Singapuru — był „uwielbiany powszechnie miłośnik koni i steward Klubu Jeździeckiego”, pan Drakę Ko, w jednej osobie prezes, przewodniczący zarządu, dyrektor naczelny i główny udziałowiec „China Airsea Limited”, widoczny na zdjęciu wraz ze swym koniem Lucky Nelsonem u schyłku sezonu w dolinie Happy Valley. Imię konia natychmiast zwróciło uwagę Jerry'ego. Uznał za makabryczne, że ojciec ochrzcił konia imieniem zmarłego syna.

Zdjęcie ukazywało więcej niż mdła fotka w *Kto jest kim*. Ko prezentował się korzystnie, a nawet wyśmienicie. Mimo że na głowie miał beret, widać było, że jest łysy. Właśnie ów beret był najciekawszym szczegółem, o ile bowiem Jerry się orientował, nigdy jeszcze nie widziano Chińczyka w czymś podobnym. Noszony na bakier, upodabniał Ko do kogoś między brytyjskim komandosem a francuskim sprzedawcą cebuli. Jednak w tym obrazku nade wszystko uderzała niespotykana u Chińczyków cecha: autoironia. Ko miał na sobie wełniany płaszcz i wystające z rękawów ręce wyglądały jak witki. Najwyraźniej naprawdę lubił tego konia; jego ręka spoczywała swobodnie na grzbiecie zwierzęcia. Spytany, dlaczego nie pozbył się floty dżonek, przecież powszechnie uważa się je za niedochodowe, odpowiedział:

„Moi rodacy to Hakka z Czuczou. My oddychaliśmy wodą, uprawialiśmy wodę, spaliśmy na wodzie. Łodzie to mój żywioł”. Z chęcią opowiedział o swojej podróży z Szanghaju do Hongkongu w 1951 roku. W owym czasie granica wciąż była otwarta i faktycznie nie wprowadzono jeszcze restrykcji wobec imigrantów. Niemniej Ko zdecydował się na podróż dżonką rybacką, na przekór piratom, blokadom i złej pogodzie, co uznano za co najmniej ekscentryczne.

„Jestem bardzo leniwym stworzeniem” — powiedział podobno. „Jeśli wiem, że wiatr zawieje mnie za darmo, to po co miałbym iść na własnych nogach? Dziś mam jacht osiemnastometrowej długości, ale nadal Kocham wodę”.

Znany z poczucia humoru, donoszono dalej.

Dobry agent musi mieć walor rozrywkowy, mawiają nauczyciele z Sarratt: rozumiała to również centrala w Moskwie.

Ponieważ nikt nie patrzył, Jerry podszedł do katalogu i kilka minut później trzymał w rękach grubą teczkę wycinków prasowych, w większości dotyczących skandalu wśród akcjonariuszy w 1965 roku, w którym Ko i grupa szantouczyków odegrała nie wyjaśnioną rolę. Dochodzenie na giełdzie jak zwykle nic nie przyniosło i zostało umozone. Rok później Ko otrzymał Order Imperium. „Jeśli kupujesz ludzi” — mawiał stary Sambo — „kupuj ich do końca”.

W redakcji Luke'a zatrudniona była grupa chińskich konsultantów, wśród nich sympatyczny kantończyk imieniem Jimmy, który często pokazywał się w Klubie i był wyrocznią w chińskich sprawach, opłacaną według chińskich stawek. Jimmy powiedział, że szantouczycy są odrębnym narodem, „jak Szkoci lub Żydzi”, twardzi, solidarni i niesłuchanie przedsiębiorczy, żyją w bliskości morza, tak, by gdy tylko będą prześladowani, głodni czy ścigani za długi, mogli w każdej chwili uciec. Powiedział, że ich kobiety są poszukiwane ze względu na piękno, pracowitość, skromne wymagania i zmysłowość.

— Piszemy nową powieść, wasza lordowska mość? — spytał przymilnie karzeł, wychodząc ze swego gabinetu, żeby zobaczyć, co Jerry knuje. Jerry zamierzał spytać, dlaczego szantouczyk wychował się akurat w Szanghaju, ale uznał, że mądrzej będzie sprowadzić rozmowę na mniej drażliwy temat.

Nazajutrz pożyczył od Luke'a jego gruchota. Uzbrojony w zwyczajny aparat fotograficzny na trzydziestopięciomilimetrową kliszę, pojechał na Headland Road, do dzielnicy milionerów między zatoką Repulse a Stanley, gdzie przed willami odstawił ciekawskiego gapia, jednego z wielu próżnujących turystów. Wciąż przecież niby pisał artykuł dla Stubbsa o hongkongskich krezusach: nawet teraz, nawet przed samym sobą nie był skory przyznać się, że jest tam z powodu Ko.

międzynarodowe i ruszamy pełną parą do Amoj. Czerwoni nazywają nas braćmi, zysk sto procent. Po kilku kursach kupujemy sobie statek".

„Skąd pochodziły pierwsze pieniądze?" — padło pytanie.

„Z Ritz Ballroom" — brzmiała niepokojąca odpowiedź. „Ritz" był luksusowym domem schadzek na krańcu King's Road, nad samym morzem, głosił przypis. Większość dziewczyn pochodziła z Szanghaju. Ten sam przypis wyliczał członków gangu. Jednym z nich był Drakę Ko.

„Drakę Ko to twardy facet" — brzmiała wypowiedź jednego ze świadków, wydrukowana ślicznie w załączniku. „Drakę'owi nie wcisnąć żadna bajeczka. Nie lubi politycy za nic. Czang Kaj-szek, Mao, mówi, że oni wszyscy jedna banda. Mówi, że on popiera Czang Mao-szek. Kiedyś poprowadzi nasz gang".

Jeśli chodzi o zorganizowaną przestępczość, dochodzenie nic nie wykazało. Wypada dodać, że zanim w czterdziestym dziewiątym Szanghaj wpadł w ręce Mao, trzy czwarte jego podziemnego świata przeniosło się do Hongkongu, a Czerwony Gang i Zielony Gang stoczyły ze sobą tyle bitew o zbieranie haraczu w mieście, że Chicago lat dwudziestych wygląda przy tym jak dziecięcy plac zabaw. Nie znalazł się jednak żaden świadek, który wiedziałby cokolwiek o triadach czy innych grupach przestępczych.

Mimo to nadeszła sobota i gdy Jerry wybrał się na wyścigi do Happy Valley, miał już wyrobione zdanie o swojej ofercie.

Taksówkarz policzył za kurs podwójnie, był to bowiem czas wyścigów, i Jerry zapłacił, gdyż wiedział, że taki jest zwyczaj. Powiedział Crawlowi, gdzie się wybiera, i ten nie miał nic przeciwko temu. Zabrał ze sobą Luke'a, wiedząc, że dwóch jakoś mniej rzuca się w oczy niż jeden. Bał się, że napatoczy się na Frosta, Hongkong okrągło-okich bowiem to bardzo małe miasteczko. Przy wejściu głównym zadzwonił do dyrekcji, żeby mieć plecy, i wkrótce zjawił się niejaki kapitan Grant, młody oficjał, któremu Jerry wyjaśnił, że jest w pracy i że robi reportaż dla komiksu. Grant był dowcipnym, eleganckim mężczyzną, popalającym tureckie papierosy w cygarnicze i kwitującym wszystko, co Jerry mówił, pogodnym, choć nieco rozkojarzonym uśmiechem.

— Więc jest pan jego synem — rzekł w końcu.

— Znał go pan? — spytał Jerry, odsłaniając zęby w uśmiechu.

— Jedynie ze słyszenia — odpowiedział Grant, lecz najwyraźniej podobało mu się to, co słyszał.

Dał im plakietki i zaproponował później drinka. Właśnie zakończyła się druga gonitwa. Gdy rozmawiali, po trybunach przetoczył się

ryk: pomruk, eksplozja i wyciszenie, jak lawina. W oczekiwaniu na winę Jerry spojrzął na tablicę informacyjną, by zobaczyć, kto zajął prywatne łoże. Corocznymi gośćmi była mafia z Peaku: Bank — jak Bank Hongkongski i Szanghajski lubił się nazywać — Jardine Mathe-son, gubernator, dowództwo naczelne, kadra wojsk brytyjskich. Pana Drake'a Ko, kawalera Orderu, choć był przecież stewardem Klubu, nie było wśród nich.

— Westerby! Dobry Boże, człowieku, kto cię tu wpuścił? Ty, czy to prawda, że twój stary zbankrutował przed śmiercią?

Jerry zawahał się, uśmiechnięty, aż wreszcie otworzyła mu się klapka w pamięci: Clive Jakiśtam, nachalny Szkot, prawnik kuty na cztery nogi, fałszywie uprzejmy i cieszący się reputacją kanciarza, z domem nad zatoką Repulse. Jerry dostał kiedyś od niego cynk o szwindlu złotem w Makau i podejrzewał, że facet sam coś z tego miał.

— Rany, Clive, super, cześć.

Wymienili uprzejmości, wciąż czekając na winę.

— Dawaj zakłady, zrobisz dzięki mnie fortunę.

Porton, przypomniał sobie Jerry, Clive Porton. Wyrwawszy Jerry'emu blankiet z rąk, Porton poślinił wielki kciuk, otworzył zakłady na środku i zakreślił długopisem imię jakiegoś konia. — W trzeciej wygra numer siedem, na sto procent — szepnął. — Możesz postawić ostatnią koszulę. Powinieneś być wdzięczny, nie codziennie rozdają pieniądze.

— Co ten cham ci sprzedał? — spytał Lukę, kiedy już się go pozbyli.

— Koń nazywa się Open Space.

Rozdzielili się. Lukę poszedł zrobić zakłady i wkręcić się do Amerykańskiego Klubu na piętrze. Jerry postawił spontanicznie równowartość stu dolarów na Lucky Nelsona i ruszył pośpiesznie do sali Klubu Hongkongskiego. „Jeśli stracę, George będzie to musiał pokryć” — pomyślał z poważną miną. Podwójne drzwi były otwarte, wszedł więc zdecydowanym krokiem. Wewnątrz panowała atmosfera bezgustownego bogactwa: klub golfowy w deszczowy weekend, tyle że ci, którzy nie bali się kieszonkowców, nosili prawdziwą biżuterię. Na boku siedziało kilka żon — drogie, nie używane sprzęty — patrzących wilkiem w ekran telewizora, wyrzekających na służbę i bandytów. Pachniało cygarami, potem i nieświeżym jedzeniem. Widząc wchodzącego Jerry'ego, jego okropny garnitur, buty z kozłej skóry, plakietkę „prasa”, której dawał świadectwo całym sobą, połowice nachmurzyły się jeszcze bardziej. Kłopot z należeniem do elity Hongkongu, mówiły ich oblicza, polega na tym, że zbyt mało ludzi wyrzuca się za drzwi. Przy barze skupiła się wszechnica zawołanych

pijaczków, w większości przyjezdnych z komercyjnych banków Londynu, o tłustych karkach i rozdętych od piwiska brzuchach. Wraz z nimi stał drugi garnitur facetów z Jardine Matheson, na tyle jeszcze maluczkich, że nie mieli wstępu do łoża firmy: wymuszkane, niesympatyczne niewiniątka, dla których rajem są pieniądze i awans. Jerry z lękiem rozejrzał się wokół, wyglądając Frosta, ale albo koniki go dziś nie skusiły, albo był gdzie indziej. Skwitowawszy sytuację uśmiechem i nieokreślonym machnięciem ręki do wszystkich obecnych, pozdrowił kierownika sali jak starego przyjaciela, rzucił od niechcienia nazwisko „Grant”, wcisnął mu dwadzieścia zielonych i wbrew wszelkim instrukcjom dołączył do fety, z radością wychodząc na balkon na osiemnaście minut przed gonitwą: słońce, smród gnoju, dziki ryk tłumów Chińczyków i szybsze bicie jego własnego serca, szepczącego: „konie”.

Kręcił się tam przez chwilę uśmiechnięty, sycąc oczy tym, co zobaczył, ponieważ za każdym razem kiedy to widział, widział to po raz pierwszy.

Trawa na torze Happy Valley była chyba najcenniejszą uprawą na świecie. Nie rosło jej wiele. Wąski pas biegł dokoła czegoś, co wyglądało jak londyńskie błonia sportowe, przemienione przez słońce i ludzkie nogi w klepisko. Osiem tysiąch boisk piłkarskich, jedno boisko do rugby i jedno do hokeja dawały wrażenie miejskiego zaniedbania. Natomiast cienka zielona wstążka okalająca ten obskurny kompleks mogła spokojnie przyciągnąć sto tysięcy funtów legalnych zakładów i tyle samo na lewo. Okolica była nie tyle doliną, co raczej niecką: lśniąca biel stadionu z jednej strony, brąz wzgórz z drugiej, podczas gdy z przodu i na lewo czaił się drugi Hongkong: kartonowy Manhattan szarych drapaczy chmur, tak ściśniętych, że w upale zdawały się opierać o siebie. Z każdego maleńkiego balkonu sterczała bambusowa żerdź, jak szpilka trzymająca w kupie budowlę. Z każdej żerdzi z kolei zwieszały się niezliczone chorągwie czarnego prania, jakby o budynki otarł się jakiś olbrzym i zostawił za sobą strzępy odzieży. W przeważającej większości to właśnie dla mieszkańców tych domów dzisiejszy dzień w Happy Valley był szansą na ziszczenie najwspanialszego snu gracza.

Daleko z prawej strony lśniły nowsze, okazalsze budynki. Tam, pamiętał, założyli swoje kwatery nielegalni bukmacherzy i za pomocą różnych tajemnych metod — znaków rąk, krótkofalówek, migających świateł (ci z Sarratt byliby zachwyceni) — prowadzili dialog z „naganiaczami” na trybunach. Wyżej biegle grzbiety nagich wzgórz, po-

przecinane kamieniolomami i zaśmiecone elektronicznym żelastwem służącym do nasłuchu. Jerry'emu obilo się o uszy, że owe czasie ustawiono dla „kuzynów”, by mogli śledzić przeloty sponsorowanych tajwańskich U2. Nad wzgórzami unosiły się knedle białych chmur, których nie mógł przepędzić żaden wiatr, a nad nimi wybielone chińskie niebo, cierpiące od słońca, oraz samotny jastrząb, zataczający powolne kręgi. Wszystko to Jerry objął jednym spojrzeniem.

Dla tłumów był to czas nudy. Z braku lepszego zajęcia wszyscy skupili chwilowo uwagę na czterech grubych Chinkach w hak-kowskich kapeluszach z frędzlami i w czarnych pizamowych strojach, maszerujących z grabiami po torze — żywe symbole chińskiego chłopstwa. Wyglądały murawę naruszoną końskimi kopytami. Obojętność kobiet nadawała ich ruchom wyraz godności. Niespokojne zainteresowanie tłumu dosięgło je na moment i zaraz porzuciło.

W zakładach typowano Open Space jako trzeciego faworyta, natomiast Lucky Nelson Drake'a Ko obstawiony był czterdzieści do jednego, czyli zupełnie nic. Przeciskając się obok gromady rozradowanych Australijczyków, Jerry dotarł do rogu balkonu i wyciągając szyję spojrzał ponad rzędami głów na końskie boksy, oddzielone od tłumów zieloną bramą i strażnikami. Żałował, że nie zabrał lornetki. Oślaniając oczy dłonią, dostrzegł grubego mężczyznę o surowym obliczu, w garniturze i ciemnych okularach, w towarzystwie bardzo ładnej dziewczyny. Facet wyglądał na pół-Chińczyka, pół-Latynosa — Filipińczyk, uznał Jerry. Dziewczyna była najlepszym ciałem, jakie można kupić za pieniądze.

Musi być z koniem, pomyślał, przypominając sobie zwyczaje starego Sambo. Najprawdopodobniej na padoku, poucza trenera i dżokeja.

Wróciwszy z powrotem przez klub do głównego hallu, zszedł szerokimi schodami dwa piętra niżej i ruszył na taras widokowy, wypełniony olbrzymim, spokojnym tłumem Chińczyków, samych mężczyzn, patrzących w pobożnej ciszy na piaszczysty krąg poniżej, wzięty w posiadanie przez hałaśliwe wróble i trzy konie, wiedzione przez stajennych, zwanych mafu. Mafu nieudolnie trzymali swych podopiecznych, jakby zżerały ich nerwy. Przypatrywał się temu kapitan Grant oraz stary trener białogwardzista zwany Sasza, którego Jerry uwielbiał. Sasza siedział na niewielkim składanym krzeselku, pochylony lekko do przodu, jakby łowił ryby. Za czasów traktatu tresował mongolskie kuce w Szanghaju i Jerry mógł go słuchać całą noc: jak to Szanghaj miał trzy tory wyścigowe — brytyjski, międzynarodowy i chiński — jak to brytyjczy magnaci handlowi trzymali po sześćdziesiąt, nawet po sto koni każdy i pływali z nimi wzdłuż wybrzeża, od portu do portu, rywalizując ze sobą jak szaleńcy. Sasza był delikatnym, zamyślnym mężczyzną o nieobecnych błękitnych

oczach i szczęce zapaśnika. Trenował między innymi Lucky Nelsona. Siedział sam, przypatrując się czemuś, co najwyraźniej pozostawało niewidoczne dla oczu Jerry'ego.

Nagle zamieszanie na trybunach kazało Jerry'emu spojrzeć szybko pod słońce. Dobięły go wrzaski, a po nich pojedynczy wysoki, zduszony krzyk i tłum w jednym z sektorów zafalował, kiedy wbił się w niego klin szarych i czarnych mundurów. Chwilę potem rój policjantów pociągnął w tunel biednego kieszonkowca, kaszłącego i zakrwawionego, na dobrowolne złożenie zeznań. Oślepiony, Jerry z powrotem spojrzął na padok i powoli skupił wzrok na rozmazanej sylwetce pana Drake'a Ko.

Nie od razu go rozpoznał. Pierwszą osobą, którą zobaczył, nie był Ko, lecz chiński dżokej stojący teraz u boku Saszy, wysoki chłopak, chudy jak patyk. Kamzoł w barwach Ko („szachownica szafiru i morskiej szarości”, głosił artykuł w „Golden Orient”) wciśnięty miał w bryczesy. Klepał się batem po cholewie, jakby widział ten gest w angielskiej prasie sportowej, i podobnie jak Sasza patrzył na coś poza zasięgiem wzroku Jerry'ego. W następnej chwili spod tarasu wyszedł gniazdosz, prowadzony przez chichoczącego grubego mafu w powalonym kombinezonie. Numer konia zasłaniała derka, ale Jerry znał zwierzę ze zdjęcia, i to znał już na wylot. Są konie, które po prostu przebijają inne klasą, i na oko Jerry'ego takim koniem był właśnie Lucky Nelson. Pełna pierś, pomyślał, długie cugle, iskra w oku. Żaden kasztanek z lekką grzywą i ogonem, na którego w każdym wyścigu stawiają pieniądze kobiety: biorąc pod uwagę tutejsze standardy, mocno ograniczone przez klimat, Lucky Nelson był bardziej krzepki niż wszystko, co Jerry dotąd tu widział. To pewne. Jednak na ułamek sekundy zląkł się o konia: zwierzę było spocone, mokre na bokach i zadzie. Ale spojrzął ponownie na roziskrzone oko i lekko nienaturalny pot, i serce znów mu szybciej zabiło: spryciarz Ko kazał polać zwierzę szlauchem, żeby kiepsko wyglądało, pomyślał w radosnym uniesieniu, wspominając starego Sambo.

Dopiero wtedy przesunął spojrzenie z konia na jego właściciela.

Pan Drake Ko, kawaler Orderu Imperium, odbiorca jak dotąd dobrego pół miliona moskiewskich dolarów, zaprzysięgły zwolennik Czang Mao-szeka, stał z dala od wszystkich, w cieniu białej betonowej kolumny o trzymetrowej średnicy: brzydka, ale niewinna na pierwszy rzut oka postać, wysoka, lekko zgarbiona jakby w następstwie pracy zawodowej: dentysta albo szewc. Ubrany był na modłę angielską, w luźne flanelowe spodnie i czarny dwurzędowy blezer, zbyt długi w talii, tak że uwydatniał patykowość nóg i nadawał szczupłemu ciału kaleki wygląd. Jego twarz i kark świeciły się jak wypolerowana skóra, równie co ona bezwłose, a liczne zmarszczki

odznaczały się wyraźnie jak zaprasowane fałdy. Cerę miał ciemniejszą, niż Jerry się spodziewał, można by go niemal podejrzewać o domieszkę krwi arabskiej lub hinduskiej. Miał to samo niestosowne nakrycie głowy, co na zdjęciu, granatowy beret, spod którego sterczały uszy jak precle. Wąziutkie oczy były jeszcze bardziej rozciągnięte pod jego uciskiem. Brązowe włoskie buty, biała koszula, rozpięta u góry. Żadnych rekwizytów, nawet lornetki: za to cudowny uśmiech wart pół miliona dolarów, od ucha do ucha, częściowo złoty — okrasa fortuny właściciela i wszystkich dokoła.

Tyle że był pewien cień — niektórzy go mają, to jest jak napięte nerwy; kelnerzy, odźwierni, dziennikarze potrafią to dostrzec na pierwszy rzut oka; stary Sambo też to prawie miał — piętno środków będących do dyspozycji w każdej chwili. Jeśli coś byłoby potrzebne, tajemniczy ludzie szybciej to by przynieśli.

Scena nabrała życia. Przez głośniki spiker polecił dżokejom dosiąść koni. Chichoczący mafu ściągnął derkę i Jerry z przyjemnością spostrzegł, że Ko kazał wyszczołkować gniadego pod włos, by uwydatnić jego rzekomo kiepski stan. Chudy dżokej wspiął się powoli, niezdarnie na siodło i wesoło, acz nerwowo, zawołał do odchodzącego Ko. Ko szeknął coś przez ramię, jedną niewyraźną sylabę, nie patrząc, do kogo mówi ani kto go słyszy. Reprimenda? Zachęta? Polecenie? Wprawdzie jego uśmiech nie stracił nic ze swej promienności, ale głos był ostry jak trzask bata. Koń i jeździec ruszyli w swoją stronę, właściciel w swoją. Jerry popędził po schodach na górę, do sali klubowej i dalej na balkon, i precyzyjnie się do rogu spojrzął w dół.

Ko nie był już sam, był z żoną.

Jerry nie wiedział, czy weszli na trybunę razem, czy też ona przyszła w krok za nim. Była taka mała. Dostrzegł lśnienie czarnego jedwabiu i ruch dokoła, gdy mężczyźni robili jej przejście — trybuny już się wypełniały — ale początkowo patrzył zbyt wysoko i umknęła mu. Jej głowa znajdowała się na wysokości ich pleców. Po chwili dostrzegł ją u boku Ko — drobna, nieskazitelna chińska żona, mo-narchini posunięta w latach, blada, tak wymuskana, że nie chciało się wierzyć, by kiedykolwiek była w innym wieku lub nosiła inny strój niż te paryskie czarne jedwabie, wyfrancuzone i ozdobione brokatem jak u huzara. „Żonka jest kłopotliwa” — powiedział mu Craw, kiedy siedzieli zadumani przed małym rzutnikiem. „Podkrada w sklepach. Ludzie Ko muszą wyprzedzać jej kroki i obiecywać, że zapłacą za wszystko, co zakosi”.

Artykuł w „Golden Orient” mówił o niej jako o „jego dawnej partnerce w interesach”. Czytając między wierszami Jerry domyślił się, że była jedną z dziewczyn w „Ritz Ballroom”.

Krzyk wypełnił ludzkie gardła.

— Postawiłeś na niego, Westerby? Postawiłeś? — Jerry poczuł na sobie ciężar Portona, pocącego się obficie po wypitym drinku. — Open Space, mówilem ci! Nawet przy tej stawce zarobisz jeszcze dolara czy dwa! Mówię ci, to pewniak!

Komenda „start!” oszczędziła Jerry'emu odpowiedzi. Ryk się wzmógł, wypełnił cały stadion. Wokół wykrzykiwano liczby i imiona, konie skoczyły z boksów start-maszyny, gnane wrzawą. Zaczęło się pierwsze, leniwe dwieście metrów. Trzeba poczekać, za chwilę rozpocznie się gorączkowa harowa. O świcie, kiedy konie trenują, przypominał sobie Jerry, owija im się kopyta kocem, by nie zakłóciły snu okolicznym mieszkańcom. Uciekając czasem od pisania o wojnie, wstawał wcześniej i zjawiał się tu, żeby na nie popatrzeć, i jeśli miał fart, spotykał jakiegoś znajomka, i wtedy wracał z nimi do klimatyzowanych, wielopiętrowych stajni, gdzie mieszkały, by popatrzeć, jak się je oporządza i głaszcze. Za dnia zgiełk ruchu ulicznego całkowicie zagłuszał tętent i lśniąca grupka, zbliżająca się powoli, nie wydawała żadnego dźwięku, płynęła tylko po wąskiej szmaragdowej rzece.

— Open Space idzie dobrze — oznajmił niepewnie Ciive Porton, patrząc przez lornetkę. — Bardzo dobrze, wspaniale. Brawo Open Space, brawo. — Weszły w długi zakręt przed ostatnią prostą. — No dalej, Open Space, gazu, facet, gazu! Użyj bata, kretynie! — Porton wrzeszczał, bo już gołym okiem widać było, że na czoło przedzierają się szafirowo-szare barwy Lucky Nelsona i że rywale usłużnie robią mu przejście. Drugi koń odstawił numer z atakiem na pierwszą po zycję, ale zaraz oklapł, Open Space zaś został już o trzy długości — dżokej okładał wściekle batem powietrze tuż przy jego zadzie.

— Protestuję! — wrzeszczał wniebogłosy Porton. — Gdzie są sędziowie, na miłość boską! Ten wyścig był ukartowany! W życiu nie widziałem takiego kantu!

Kiedy Lucky Nelson minął z gracją celownik, Jerry szybko spojrzął na prawo, w dół. Ko wydawał się niewzruszony. Ale nie była to nieprzenikniona skrytość Azjaty: Jerry nigdy nie wierzył w ten mit. I z pewnością nie obojętność. Ten człowiek po prostu obserwował, jak ceremonia rozwija się zgodnie ze scenariuszem: Pan Drake Ko ogląda paradę swych wojsk. Za nim stała jego mała szalona żona o plecach pokerzysty, jakby po wszystkich potyczkach jej życia grali wreszcie jej hymn. Jerry'emu przyszła na myśl Pet za swoich najlepszych lat. Tak samo wyglądała, pomyślał, kiedy duma Sambo przybiegł dopiero osiemnasty. Tak samo stała, przetykając gorzką pigułkę porażki.

Wręczenie nagród wypadło świetnie.

Scenie brakowało wprawdzie straganu z ciastkami, ale za to słoneczny dzień przeszedłby najśmielsze oczekiwania organizatorów jarmarku w angielskiej wiosce. Srebrne puchary również były znacznie okazalsze niż miski wręczane w nagrodę zwycięzcom biegu w workach, sześćdziesięciu umundurowanych policjantów także prezentowało się pysznie. Tylko elegancka dama w turbanie w stylu z lat trzydziestych, siedząca za długim białym stołem, była tak kłiwa i arogancka zarazem, jakby sobie życzył najbardziej pedantyczny brytyjski patriota. Znała ceremoniał na wylot. Przewodniczący składu sędziów wręczył jej puchar, a ona szybko go odstawiła, jakby parzył jej dłonie. Drake'a Ko i jego żona, oboje uśmiechnięci szeroko, on nadal w berecie, wyłonili się z grupki rozradowanych kibiców i chwycili puchar. Przydreptali odgradzoną linami trawiastą ścieżką tak szybko, że fotograf nie zdążył zrobić zdjęcia i musiał ich poprosić, by jeszcze raz odegrali ów akt wieńczący wyścigi. To z kolei mocno rozsierdziło elegancką damę; wśród wrzawy Jerry złowił wycedzone słowa: „cholerna nuda”. Wreszcie Ko zabrał swój puchar, rozeźlona dama otrzymała gardenie za dobre sześćset dolarów, i tak Wschód i Zachód powróciły wdzięczne do osobnych kwater.

— O nim pan pisze? — spytał przyjaźnie kapitan Grant. Szli powoli w kierunku trybun.

— Właściwie tak — przyznał się Jerry z uśmiechem. — Niezły fuks, no nie?

— O tak, gonitwa należała wyłącznie do Drake'a — powiedział oziębło Grant. Przeszli się trochę. — Ma pan dobre oko, lepsze niż my. Chce pan z nim porozmawiać?

— Z kim?

— Z Ko. Dopóki jest jeszcze oszołomiony zwycięstwem. Może choć raz puści trochę farby — rzekł Grant z tym swoim pogodnym uśmiechem. — To co, idziemy? Przedstawię pana.

Jerry nie wahał się. Jako dziennikarz miał sto powodów, by powiedzieć „tak”. A jako szpieg? — no cóż, w Sarratt mawiają czasem, że nic nie jest groźne, dopóki się o tym w ten sposób nie myśli. Wrócili do tłumu. Towarzysze Ko uformowali krąg wokół pucharu; rozbrzmiewał głośny śmiech. W środku, najbliżej Ko, stał ów gruby Filipińczyk z piękną dziewczyną. Ko pajacował: pocałował dziewczynę w oba policzki, po chwili jeszcze raz. Wszyscy się śmiali, oprócz żony Ko, która umyślnie stanęła trochę z boku i rozmawiała z Chinką w swoim wieku.

— To Arpego — szepnął Jerry'emu Grant, wskazując na Filipińczyka. — Właściciel Manili i większości wysp.

Samara Arpego sterczała nad paskiem u spodni, jakby schował pod koszulę arbuza.

Grant nie podszedł do Ko, tylko wyłowił tęgawego czterdziestoletniego Chińczyka o łagodnym obliczu, w garniturze w kolorze indygo, który był najwyraźniej kimś w rodzaju sekretarza. Jerry czekał z boku. Chińczyk podszedł do niego wraz z Grantem.

— To jest pan Tiu — rzekł cicho Grant. — Panie Tiu, chciałbym, by poznał pan pana Westerby'ego, syna tego słynnego Westerby'ego.

— Chce pan mówić z panem Ko, panie Wessby?

— Jeśli to nie będzie niedogodne.

— Oczywiście, że nie — odrzekł Tiu w uniesieniu. Jego pulchne dłonie fruwały wokół brzucha. Na prawym ręku miał złoty zegarek, palce ściśnięte i zakrzywione, jakby zamierzał nabrać w dłonie wody. Był ulizany i wypucowany, równie dobrze mógł mieć trzydzieści co sześćdziesiąt lat. — Pan Ko wygrał gonitwę, nic nie jest niedogodne. Proszę tu zaczekać, zaraz go przyprowadzę. Jak na imię pańskiemu ojcu?

— Samuel — odrzekł Jerry.

— Lord Samuel — wtrącił stanowczo Grant.

— Kim on jest? — spytał cicho Jerry, kiedy Tiu ruszył w kierunku hałaśliwej grupy Chińczyków.

— Majordomusem Ko. Zarządcą, służącym, zausznikiem. Jest z nim od samego początku. Uciekli razem podczas wojny od Japończyków. I jego głównym gorylem, pomyślał Jerry, patrząc, jak Tiu wraca kaczkowatym krokiem wraz ze swym mocodawcą. Grant znowu zabrał się do przedstawiania.

— Proszę pana — powiedział — oto pan Westerby, którego ojciec, słynny lord, miał wiele koni. Był też właścicielem kilku torów wyścigowych.

— Jaka gazeta? — spytał Ko. Jego głos był chrapliwy, silny, głęboki. A jednak Jerry mógłby przysiąc, że — ku swemu zdumieniu — wyłowił w nim echo północnoangielskiego akcentu, przypominającego starą Pet.

Odpowiedział.

— Ach, ta z panienkami! — zawołał wesoło Ko. — Czytywałem ją, kiedy byłem w Londynie, podczas moich studiów prawniczych w słynnej Gray's Inn. Czy pan wie, panie Westerby, dlaczego czytywałem pana gazetę? Twierdzę z pełną stanowczością, że dziś im więcej gazeta pokazuje panienek kosztem pisania o polityce, tym większą mamy szansę lepszego świata — oznajmił Ko z zapałem, konferencyjnym angielskim z błędną frazeologią. — Proszę to powiedzieć swoim szefom. Niech to będzie darmowa rada ode mnie.

Jerry ze śmiechem otworzył notes.

— Postawiłem na pańskiego konia, panie Ko. Jak smakuje zwycięstwo?

— Lepiej niż porażka, jak mi się wydaje.

— Nie nudzi to pana powoli?

— Apetyt rośnie w miarę jedzenia.

— To samo dotyczy interesów?

— Naturalnie.

— Czy mogę porozmawiać z panią Ko?

— Jest zajęta.

Notując, Jerry poczuł znany nieprzyjemny zapach. Ostre francuskie mydło pizmowe, mieszanka migdałów i wody różanej, ulubione mydło jednej z jego żon, ale najwyraźniej także wypucowanego Tiu, przydającego sobie w ten sposób powabu.

— Jaka jest pańska recepta na zwycięstwo, panie Ko?

— Ciężka praca, żadnej polityki, dużo snu.

— Czy jest pan w tej chwili o wiele bogatszy, niż był pan dziesięć minut temu?

— Dziesięć minut temu byłem bardzo bogaty. Może pan również powiedzieć swoim szefom, że podziwiam brytyjski styl życia.

— Mimo że my nie pracujemy ciężko i nie możemy żyć bez polityki?

— Proszę tak powiedzieć — odparł Ko, patrząc Jerry'emu w oczy, i to było polecenie.

— Jaki jest sekret pańskiego powodzenia?

Wydawało się, że Ko nie usłyszał pytania, tyle że uśmiech powoli znikł z jego twarzy. Wpił się wzrokiem w Jerry'go, mierząc go swymi wąskimi oczami, a jego twarz stężała.

— Jaki jest sekret pańskiego powodzenia?

Zapadła długa chwila milczenia.

— Bez komentarza.

Pokusa, by wydobyć z niego odpowiedź, stała się nie do odparcia.

— Proszę grać fair, panie Ko — namawiał Jerry, uśmiechając się promiennie. — Świat jest pełen ludzi, którzy marzą, by być tak bogaci, jak pan. Nie da im pan żadnej rady? Gdzie leży sekret pańskiego powodzenia?

— Pilnuj swego nosa — odrzekł Ko. Bez słowa wyjaśnienia odwrócił się na pięcie i odszedł. W tej samej chwili Tiu zrobił niespiesznie pół kroku do przodu, stając na drodze Jerry'ego i kładąc mu miękka dłoń na ramię.

— Czy następnym razem też pan wygra? — zawołał Jerry ponad ramieniem Tiu do odchodzących pleców.

— Niech pan o to spyta konia, panie Wessby — poradził pucołowaty Tiu z uśmiechem, nadal trzymając dłoń na ramieniu Jerry'ego.

Nie pozostało nic innego, Ko dołączył bowiem już do swego przyjaciela Arpego, owego Filipińczyka; śmiali się i rozmawiali jak przedtem. Drake Ko to twardy facet, przypomniał sobie Jerry, Drake'owi Ko nie wcisnąć żadna bajeczka. Tiu też jest niczego sobie, pomyślał.

Grant śmiał się pod nosem, kiedy wracali do głównej trybuny.

— Ostatnim razem, kiedy Ko wygrał, nie pokazał się nawet po gonitwie z koniem na padoku — powiedział. — Machnął ręką.

— Cholera, dlaczego?

— Nie spodziewał się, że wygra, dlatego. Nie powiedział swoim przyjaciołom, czuczouczykom. Stracił twarz. Może to samo czuł teraz, kiedy spytał pan o sekret powodzenia.

— Jak to się stało, że został stewardem?

— Tiu na pewno kupił głosy. Jak zwykle. To na razie. Niech pan nie zapomni o wygranej.

I wtedy to się stało: nieprzewidziany fart dziennikarza Wester-by'ego.

Ostatnia gonitwa się zakończyła, Jerry był cztery tysiące dolarów do przodu, a Lukę gdzieś zniknął. Jerry zajął do Klubu Amerykańskiego, do Klubu Lusitano i jeszcze paru innych, ale albo go tam nie widziano, albo już wyrzucono. Ze stadionu było tylko jedno wyjście, więc dołączył do pochodu. Na ulicach panował bałagan. Mercedesy i rolls-royce'y walczyły o miejsce do wyjechania, a z tyłu nacierały tłumy. Jerry zdecydował się nie brać udziału w bitwie o taksówki i ruszył wąskim chodnikiem. Wtedy ku swemu zdumieniu ujrzał Drake'a Ko, samego, jak wychodzi przez furtkę po drugiej stronie ulicy. Po raz pierwszy się nie uśmiechał. Stanąwszy na krawężniku, zawahał się, czy przejść na drugą stronę, został jednak na miejscu, wpatrując się w strumień nadjeżdżających samochodów. Czeka na swojego rollsa, pomyślał Jerry, przypominając sobie park samochodów w garażu na Headland Road. Albo na merca, albo na chryslera. Nagle ujrzał, jak Ko zdarł z głowy beret i, wygłupiając się, wystawił rękę na ulicę, jakby był autostopowiczem. Wokół oczu i ust zawirowały zmarszczki, a złote zęby zaświeciły w powitalnym uśmiechu, i w następnej chwili zamiast rolls-royce'a, merca czy chryslera zatrzymał się przy nim z piskiem opon czerwony jaguar E ze złożonym dachem, niepomny na inne samochody. Ta scena w żadnym razie nie mogłaby umknąć uwagi Jerry'ego: na dźwięk ostrego hamowania odwróciły się wszystkie głowy. Jego oko przeczytało numer rejestracyjny, umysł go zapamiętał. Ko władował się do środka, podniecony jak ktoś, kto nigdy jeszcze nie jechał w otwartym samochodzie, i już

rozmawiał i śmiał się. Jaguar ruszył gwałtownie, Jerry zdążył jednak dostrzec kierowcę: jej powiewającą błękitną chustkę, ciemne okulary, długie blond włosy i wystarczająco dużą część ciała, gdy pochyliła się przez Drake'a, żeby zamknąć za nim drzwi, by uświadomić sobie, że to niezła sztuka. Drake położył jedną rękę na jej gołych plecach, palce na ciele, a drugą gestykulował, najwyraźniej relacjonując szczegółowo swoje zwycięstwo. Zaraz też złożył na jej policzku zupełnie niechiński pocałunek, a po chwili, dla pewności, jeszcze dwa, ale zrobił to z o wiele większą szczerością niż wtedy, gdy całował towarzyszkę pana Arpego.

Po drugiej stronie ulicy Jerry widział żelazną furtkę, z której Ko wyszedł, wciąż otwartą. Zaintrygowany, przemknął między samochodami i wszedł przez nią. Znalazł się na starym kolonialnym cmentarzu, zarośniętym, pachnącym kwiatami i ocienionym bujnymi gałęziami drzew. Nigdy tu nie był; poczuł wstrząs, znalazłszy się nagle w odosobnieniu. Cmentarz wznosił się na stoku po drugiej stronie wzgórza, wokół starej kaplicy popadającej w zapomnienie. Jej popękane ściany migotały w plamistym wieczornym świetle. Z ogrodzonego siatką wybiegu szczekał na niego wściekle wychudzony owczarek niemiecki.

Jerry rozejrzał się wokoło, nie wiedząc po co tu przyszedł i czego szuka. Groby należały do wszelkich czasów, ras i wyznań. Spozrzegł mogiły białogwardzistów, ich prawosławne nagrobki były czarne i ozdobione carską symboliką. Wyobrazil sobie na nich czapy śniegu, ich widoczne w bieli kształty. Jeden z nagrobków opisywał niespokojny pobyt rosyjskiej księżniczki. Jerry przystanął, by przeczytać: z Tallinu do Pekinu, data, z Pekinu do Szanghaju, znów data, i z Szanghaju do Hongkongu w czterdziestym dziewiątym, by tu umrzeć. „Właścicielka posiadłości w Swierdłowsku”, kończyła się wyzywająco inskrypcja. Czy Szanghaj był etapem pośrednim?

Wrócił do żywych: na ławce w cieniu siedziało w milczeniu trzech starych mężczyzn w niebieskich garniturach. Na gałęziach ponad głowami zawiesili klatki z ptakami — ale nisko, by słyszeć ich śpiew na przekór ruchowi ulicznemu i cykadom. Dwaj grabarze w stalowych kaskach zakopywali nowy grób. Żałobników nie było. Wciąż nie wiedząc, czego chce, Jerry wszedł po stopniach kaplicy. Zajrzał: wewnątrz panowała ciemność. Patrzyła na niego stara kobieta. Cofnął się. Pies ujadł coraz zajadlej, był bardzo młody. Tabliczka z napisem „zakrystia” wskazywała drogę i Jerry ruszył. Cykady dzwoniły piekielnie głośno, zagłuszały nawet ujadanie psa. Woń kwiatów była ciężka i trochę zgniła. Coś mu zaświtało w głowie, niemal objawienie. Postanowił sprawdzić.

Zakrystian był uprzejmym, powściągliwym mężczyzną. Nie mówił po angielsku. Księgi były bardzo stare, zapisy przypominały daw-

ne wykazy bankowe. Jerry usiadł przy biurku i przewracając ciężkie strony, czytał nazwiska, daty urodzenia, śmierci, pogrzebu; w końcu dotarł do planu cmentarza: kwater i numerów. Znalazłszy to, czego szukał, wyszedł z powrotem na powietrze i w chmurze motyli ruszył ścieżką pod górę, w kierunku urwiska. Obserwowała go grupka stojących na kładce uczennic. Chichotały. Zdjął marynarkę i przerzucił ją przez ramię. Przeszedł między wysokimi krzakami i znalazł się na pochyłej żółtej łączce, gdzie groby były bardzo małe — kopczyki długie na mniej więcej metr. Sunął bokiem, czytając numery, aż stanął naprzeciw niewielkiej żelaznej furtki z numerem 728. Furtka była częścią niskiego prostokątnego ogrodzenia i kiedy Jerry podniósł oczy, zobaczył naturalnej wielkości pomnik małego chłopca w wiktoriańskich spodenkach i etońskiej marynarce, o wijących się kamiennych kosmykach i kamiennych ustach jak pączek róży, czytającego lub śpiewającego z otwartej kamiennej książki, z głową otoczoną rojem prawdziwych motyli. Chłopiec był na wskroś angielskim dzieckiem. Inskrypcja głosiła: „Świętej pamięci ukochanego Nelsona Ko.” Dalej mnóstwo dat, których zrozumienie zabrało Jerry'emu chwilę: dziesięć kolejnych lat, bez żadnej przerwy, *zakończonych* rokiem 1968. *Zrozumiał*, że były to lata życia chłopca i że należało się nimi osobno rozkoszować. Na najniższym stopniu leżał bukiet storczyków w papierze.

Ko podziękował Nelsonowi za zwycięstwo. Teraz Jerry rozumiał, dlaczego nie chciał być zarzucany pytaniami o sekret swego powodzenia.

Czasami „frontowców” ogarnia pewien rodzaj zmęczenia, które znają tylko oni: pokusa spoczynku, która może być pocałunkiem śmierci. Jerry ociągał się, patrzył na storczyki i na kamiennego chłopca, kładąc ich sobie do głowy obok wszystkiego, czego się dotąd dowiedział o Ko. Owładnęło nim — na ułamek sekundy, ale zawsze niebezpieczne — przemożne uczucie pełni, jakby spotkał jakichś ludzi i odkrył, że są jego rodziną. Czuł się, jakby powracał do domu.

Oto żył sobie człowiek, który miał żonę, miał dom, o dążeniach i zagrywkach, które Jerry bez trudu rozumiał. Człowiek bez szczególnych właściwości, a jednak Jerry widział go w tej chwili wyraźniej, niż kiedykolwiek widział siebie samego. Czuczoucki biedaczyna, który zostaje stewardem Klubu Jeździeckiego z Orderem Imperium na piersi i przed gonitwą moczy konia szlauchem. Hakkowski cygan mórz, który grzebie syna według baptystycznego obrządku i stawia mu angielski pomnik. Kapitalista nienawidzący polityki. Niedoszły prawnik, szef gangu, budowniczy szpitali, właściciel linii lotniczej handlującej opium, obywatel wspierający świątynie, a zarazem grający w krykieta i jeżdżący rolls-royce'em. Amerykański barek w chińskim ogrodzie, rosyjskie pieniądze na koncie powierniczym. W tym

momencie owe powikłane i sprzeczne cechy w najmniejszym stopniu nie zaniepokoiły Jerry'ego; nie wróżyły nic złego, żadnych paradoksów. Widział je raczej zespolone uporczywymi wysiłkami Ko w obraz pojedynczego, lecz wielowymiarowego człowieka, nie tak znowu innego od starego Sambo. Jeszcze silniej — choć zaledwie na kilka sekund — ogarnęło go poczucie bycia w dobrym towarzystwie, co Jerry zawsze lubił. Ruszył do wyjścia w nastroju spokojnej wyrozumiałości, jakby to on, a nie Ko, wygrał gonitwę. Do rzeczywistości wrócił dopiero, gdy znalazł się na ulicy.

Ruch zelżał i Jerry bez trudu złapał taksówkę. Przejechawszy zaledwie ze sto metrów, zobaczył Luke'a, wykonującego samotnie piruety na krawężniku. Wciągnął go do taksówki, po czym wyrzucił przed Klubem Zagranicznych Korespondentów. Z hotelu „Furama” zadzwonił do Crawa i odczekawszy dwa sygnały odłożył słuchawkę. Wykręcił numer ponownie i usłyszał ostry głos: „Kto to, do cholery?”. Poprosił pana Savage'a, dowiedział się, że to pomyłka i dostał ordynarną odprawę. Dał Crawlowi pół godziny, żeby dotarł do innego telefonu, po czym poszedł do „Hiltona” i zaczął, aż zadzwoni.

— Nasz przyjaciel się pokazał — powiedział. — Publicznie, z racji wielkiego zwycięstwa. Kiedy już było po wszystkim, bardzo miła blondynka zabrała go sportowym samochodem. — Wyrecytował numery. — Parka najwyraźniej jest w przyjaźni — dodał. — Bardzo serdecznej przyjaźni, nie na chińską modłę. Co najmniej są przyjaciółmi.

— Okrąglooka?

— Jasne, cholera, że okrąglooka! Kto słyszał, żeby Chinki były blondy...

— Jezu — odrzekł cicho Crawl i odwiesił słuchawkę, zanim Jerry zdążył powiedzieć mu o grobie małego Nelsona.

Rozdział 8

NARADA BARONÓW

Hall budynku konferencyjnego Ministerstwa Spraw Zagranicznych przy Carlton Gardens powoli się wypełniał. Ludzie w parach i trójkach ignorowali się nawzajem, jak żałobnicy w oczekiwaniu na wyprowadzenie zwłok. Na ścianie wisiało wydrukowane ostrzeżenie: „Nie rozmawiać o sprawach poufnych”. Pod nim przysiedli na obitej łososiowym aksamitem ławeczce ponurzy Smiley i Guillam. Hall miał

owalny kształt, był w stylu rokoko Ministerstwa Robót Publicznych. Na malowanym suńcie Bachus ściagał nimfy, bardziej skłonne dać się złapać niż Molly Meakin. Pod ścianą stały puste wiaderka na węgiel, a pod drzwiami prowadzącymi w głąb — dwaj posłańcy rządowi. Za rzeźbionymi oknami jesienne światło wypełniało park, wysuszając liście na popiół. Wszedł Saul Enderby, wiodąc hufce Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Guillam znalazł go tylko ze słyszenia. Był kiedyś ambasadorem w Indonezji, a obecnie głównym ekspertem od Azji południowo-wschodniej, i mawiano, że także gorącym zwolennikiem twardej linii Amerykanów. W świetle podążał jeden posłuszny podsekretarz oraz promienna, wystrojona postać, która ruszyła na paluszkach ku Smileyowi, z rękami rozłożonymi jak do lotu.

— Czy to możliwe? — szepnęła wylewnie. — Możliwe? Ależ tak! George Smiley w całej okazałości! Mój drogi, schudłeś trochę. Kim jest twój koleżka? Nie mów, wiem! Peter Guillam. Słyszałem o nim. Nie załamałeś się klęską, jak słyszę.

— Boże, nie! — wyrwało się Smileyowi. — Roddy.

— Co znaczy: „Boże, nie!” — zapytał Martindale tym samym grzmiącym szeptem, zupełnie niezrażony. — Chciałeś chyba powiedzieć „Boże, tak!” „Boże, Roddy, jak bosko cię widzieć!” Chcę cię o coś zapytać, zanim zjawi się ta banda. Jak się miewa śliczna Ann, co? Tylko do mojej wiadomości. Czy mogę was dwoje zaprosić na kolację? Wy ustalicie gości. No co? Owszem, jestem w składzie Grupy Kierowniczej, jeśli to nad tym się głowisz, chłopaczku — zwrócił się do Guillama. — Jestem zweryfikowany, jestem cacy, nasi nowi wodzowie mnie uwielbiają. Powinni, skoro tyle im nadskakiwałem.

Drzwi otworzyły się z trzaskiem. Jeden z posłańców krzyknął „Proszę państwa!” i ci, którzy znali konwenanse, cofnęły się krok do tyłu, by przepuścić panie. Były dwie. Za nimi ruszyli mężczyźni, pochód zamykał Guillam. Przez chwilę równie dobrze mogli się znajdować w Cyrku: prowizoryczne zwężenie korytarza, gdzie każda twarz została sprawdzona przez strażników. Dalej korytarz prowadził do czegoś, co przypominało robotniczy barak na kółkach zaparkowany na środku wypalonej klatki schodowej, tyle że nie miał okienek i był unieruchomiony w miejscu cumami jak okręt. Guillam zupełnie stracił z oczu Smileya i kiedy wspiął się po stopniach z dytki i wszedł do środka, zobaczył tylko cienie unoszące się pod niebieską żarówką.

— No niechże ktoś coś zrobi — warknął Enderby tonem gościa wściekłego na obsługę w restauracji. — Światło, na miłość boską. Cholerny personel.

Drzwi za plecami Guillama zatrzęsły się, w zamku obrócił się klucz, elektroniczne urządzenie zagrało pełną skalę dźwięków i trzy

jarzeniówki z wahaniem ruszyły do pracy, prześwietlając wszystkich zebranych w obskurnym salonie.

— Hura — rzekł Enderby i usiadł. Później Guillam zastanawiał się, skąd miał pewność, że to Enderby odezwał się w ciemności, ale są takie głosy, które człowiek słyszy, zanim go dobiegną.

Stół konferencyjny okryty był podartym zielonym rypsem, jak stół bilardowy w klubie młodzieżowym. Ministerstwo Spraw Zagranicznych zasiadło przy jednym końcu, Ministerstwo Kolonii przy drugim, ale podział i tak był bardziej emocjonalny niż kompetencyjny. Przez sześć lat oba resorty były oficjalnie związane węzłem małżeńskim pod majestatycznymi sztandarami służby dyplomatycznej, ale nikt przy zdrowych zmysłach nie traktował tego związku poważnie. Guillam i Smiley siedzieli pośrodku, ramię przy ramieniu, obaj mając puste krzesło po boku. Przyglądając się obsadzie, Guillam absurdalnie porównywał kostiumy. Ministerstwo Spraw Zagranicznych zjawiało się wystrojone w grafitowe garnitury i piórka warstwy uprzywilejowanej: zarówno Enderby, jak i Martindale założyli etońskie krawaty. Kolonialisci mieli swojski wygląd ludzi z prowincji i szczytem ich możliwości w walce na krawaty był zaledwie jeden krawat w barwach Królewskiej Artylerii na szyi prostodusznego Wilbrahama, ich przywódcy, sprawnej fizycznie, szczupłej postaci o profesorskim zadęciu, z karmazynowymi żyłkami na ogorzałych policzkach. Wspomagała go cicha kobieta w brązie, a z drugiej strony pachnący miętą młodzieniec z piegami i czupryną rudych włosów. Reszta Grupy Kierowniczej siedziała naprzeciw Smileya i Guillama i przywodziła na myśl sekundantów, którzy nie aprobują pojedynku i którzy dla bezpieczeństwa zjawili się w parach: ciemny pretorianin z wywiadu z anonimową damulką do noszenia aktówek, dwaj bladzi wojownicy z Ministerstwa Obrony, dwaj bankierzy z Ministerstwa Skarbu, w tym Walińczyk Hammer. OHver Lacon zjawiał się sam i usiadł z dala od wszystkich, jako osoba najmniej zaangażowana. Przed każdą parą rąk leżało, niczym program teatralny, podanie Smileya w różowych i czerwonych okładkach, oznaczonych słowami „Ścisłe tajne, wyłączność”. Słowo „wyłączność” znaczyło, że o sprawie nie należy informować „kuzynów”. Podanie opracował Smiley, „matki” przepisały je na maszynie, Guillam osobiście doglądał, jak osiemnaście stronic wychodzi z kopiarek, i nadzorował ręczne zszycie dwudziestu czterech egzemplarzy. Teraz ich robótki ręczne leżały porozrzucane po wielkim stole, wśród szklanek z wodą i popielniczek. Podniósłszy jeden egzemplarz kilka cali nad blat, Enderby upuścił go z klapnięciem.

— Wszyscy czytali? — spytał. Wszyscy.

— A zatem zaczynamy — powiedział i popatrzył po zebranych podkrążonymi aroganckimi oczyma. — Kto serwuje? OHver? To przez ciebie tu jesteście. Twój ruch.

Guillam uświadomił sobie, że Martindale, dopust boży Cyrku i jego działań, był tego dnia dziwnie cichy. Oczy miał zwrócone z szacunkiem na Enderby'ego, wargi zwisały mu smutno.

Tymczasem Lacon wznosił fortyfikacje.

— Pozwólcie, że powiem najpierw, iż jestem tym równie zaskoczony jak wszyscy — powiedział. — To naprawdę zaskakujący cios w sam korpus, George. Byłoby lepiej, gdybyś dał nam trochę czasu na przygotowanie się do tego spotkania. Muszę powiedzieć, że czuję się trochę nieswojo jako ktoś, kto stanowi więź ze służbą, która ostatnio zerwała wszystkie więzi.

— Proszę, proszę — odezwał się Wilbraham. Smiley milczał jak zakłęty. Pretorianin z konkurencji najwyraźniej był po stronie Wilbrahama. Nachmurzył się.

— Chwila też nie jest najodpowiedniejsza — dodał Lacon zło-wieszczo. — Mam na myśli to, że sama twoja teza jest, hm, bardzo doniosła. Dużo do przemyślenia, dużo do zastanawiania się, George.

Zabezpieczywszy sobie w ten sposób odwrót, Lacon usiłował pokazać, że może w końcu nie taki diabeł straszny.

— Pozwólcie, że spróbuję podsumować podsumowanie. Mogę? A więc suche fakty: znany obywatel z Hongkongu podejrzany jest o bycie rosyjskim szpiegiem. Do tego sprowadza się sedno, prawda?

— Na razie wiadomo, że otrzymywał ogromne sumy od Rosjan — poprawił go Smiley, mówiąc do swych dłoni.

— Z tajnego funduszu przeznaczanego na finansowanie agentów penetrujących?

— Tak.

— Wyłącznie agentów? A może fundusz wykorzystywany jest też inaczej?

— Według naszych informacji nie jest wykorzystywany inaczej — odparł Smiley tak samo lapidarnie jak przed chwilą.

— Na przykład do prowadzenia propagandy, nieoficjalnej promocji handlu, korumpowania, tego rodzaju rzeczy? Nie?

— Według naszych informacji: nie — powtórzył Smiley.

— Taak, a na ile wiarygodne są wasze informacje? — zawołał Wilbraham z szarego końca. — Bo w przeszłości nie były, mam rację?

— Widzisz, do czego zmierzam? — spytał Lacon.

— Pragnęlibyśmy jakichś dowodów — odezwała się dama w brzoje, uśmiechając się krzepiaco.

— My też — odrzekł łagodnie Smiley. Jedna czy dwie głowy podniosły się zaskoczone. — To właśnie po to, by zdobyć dowody, ubiegamy się o określone zezwolenia i uprawnienia.

Lacon na nowo przejął inicjatywę.

— Przyjmijmy na razie twoją tezę. Jest tajny fundusz wywiadu dowczy, wszystko, jak mówisz.

Smiley skinął chłodno głową.

— Czy cokolwiek wskazuje, że to działalność przeciw Kolonii?

— Nie.

Lacon rzucił okiem na dokument. Guillam uświadomił sobie, że on starannie odrobił pracę domową.

— Facet nie domaga się, na przykład, wycofania hongkongskich rezerw finansowych z Londynu, przez co mielibyśmy kolejne dziewięćset milionów funtów do tyłu?

— O ile wiem: nie.

— Nie żąda, byśmy się wynieśli z Wyspy. Nie nawołuje do zamieszek, nie domaga się połączenia z Chinami kontynentalnymi, nie macha nam przed nosem tym nieszczęsnym traktatem?

— O ile wiemy: nie.

— Nie jest za równością społeczną. Nie domaga się skutecznie działających związków zawodowych, wolnych wyborów, gwarancji płacy minimalnej, powszechnego szkolnictwa, równości rasowej czy osobnego parlamentu dla Chińczyków w miejsce tych uległych zgromadzeń, jak tam się one nazywają?

— Legco i Exco — szczechnął Wilbraham. — I nie są wcale uległe.

— Nie — odparł Smiley.

— Więc co on robi? — wtrącił podekscytowany Wilbraham. — Nic, oto odpowiedź. Coś tu jest nie tak. To polowanie na cienie.

— Wydaje się — ciągnął Lacon, jakby nie słyszał jego słów — że robi równie dużo dla dobrobytu Kolonii, co każdy inny bogaty chiński biznesmen. Albo równie mało. Jada obiady z gubernatorem, ale jak mi się zdaje, nic nie wiadomo o tym, by przetrząsał zawartość jego sejfu. Facet wydaje się czymś w rodzaju symbolu Hongkongu: steward Klubu Jeździeckiego, darczyńca, podpora zintegrowanego społeczeństwa, powodzenie, hojność, bogactwa Krezusa i handlowa moralność kurwy.

— Zaraz, zaraz, OHver, to chyba przesada — zaprotestował Wilbraham. — Zagalopowałeś się. Nie zapominaj o nowych osiedlach.

Lacon ponownie go zignorował.

— Nie ma Krzyża Wiktorii, wojennej renty inwalidzkiej i baronostwa, a zatem trudno o gorszego kandydata na obiekt zainteresowania wywiadu brytyjskiego albo na agenta Rosjan.

- W naszym fachu nazywa się to dobry kamuflaż — rzekł Smiley.
- *Touche*, OÜber — powiedział Enderby z zadowoleniem.
- Och, dzisiaj wszystko jest kamuflażem — rzekł żalobnym tonem Wilbraham, ale nie zbiło to Lacona z tropu.

Pierwsza runda dla Smileya, pomyślał ucieszony Guillam, wspominając ową straszną kolację w Ascot: „Strumyk, strumyk hop! Rzeka, rzeka stop!” — zanucił w duszy, z należytych uznaniem dla gospodyni.

— Hammer? — odezwał się Enderby. Wtedy Ministerstwo Skarbu przypuściło krótki atak na Smileya za nadużycia finansowe, ale wydawało się, że nikt prócz Skarbu nie uważa tego za istotne.

— Tajne fundusze były na inne cele — upierał się Hammer, dając wyraz walijskiemu oburzeniu. — To były jedynie fundusze *post mortem*...

— No więc dobrze, George troszkę narozrabiał — wtrącił się wreszcie Enderby, zamykając mu usta. — Czy spuścił forszę z wodą, czy też odniósł mały sukces? To jest zasadnicze pytanie. Chris, czas żeby Imperium się wypowiedziało.

Wezwany po imieniu, Wilbraham przejął pałeczkę, wspomagany przez damę w brązie i rudego asystenta, którego młode oblicze wyrażało niezłomne postanowienie obrony pana profesora do ostatniego tchnienia.

Wilbraham był jednym z tych facetów, którzy są nieświadomi, ile czasu zabiera im myślenie. — Tak — zaczął, gdy minęła już cała wieczność. — Tak, tak. Chciałbym się zatrzymać na początek przy pieniądzech, jeśli można, tak samo jak Lacon. — Jasne już było, że uważa podanie Smileya za atak na własne terytorium. — Ponieważ pieniądze to jedyna rzecz, o której możemy coś powiedzieć — zauważył złośliwie, przewracając kartkę. — Tak. — Nastąpiła kolejna nie kończąca się przerwa. — Twierdzi pan, że najpierw pieniądze przyszły z Paryża przez Vientiane. — Przerwa. — Potem Rosjanie, że tak się wyrażę, przeczucili się na inny system i wówczas zaczęły napływać innym kanałem. Trasa Hamburg-Wiedeń-Hongkong. Mnóstwo zawilości, forteli i tak dalej, wierzymy na słowo. Te same kwoty, tylko w innym kapeluszu, że się tak wyrażę. Dobrze. A jak pan sądzi, po co to zrobili, że się tak wyrażę?

Pan „*Ze Się Tak Wyrażę*”, zauważył Guillam, jest bardzo wrażliwy na językowe tiki.

— Rozsądek nakazuje zmieniać system od czasu do czasu — odparł Smiley, powtarzając wyjaśnienie, które przedstawił już w podaniu.

— Przykazanie w tym fachu, Chris — wtrącił Enderby, który lubił znać parę żargonowych słów, a Martindale, wciąż grający *piano*, rzucił mu pełne podziwu spojrzenie.

Wilbraham znów powoli się nakręcał.

— Musimy się kierować tym, co Ko robi — stwierdził z zapałem i postukał kłykciami w stół — a nie tym, co dostaje. Tak twierdzą, w końcu, jasny gwint, to nie są wcale pieniądze Ko. Prawnie to on nie ma z nimi nic wspólnego. — Reakcją na te zaskakujące słowa była chwila ciszy. — Druga strona u góry. Pieniądze są na koncie powierniczym. — Ogólny szelest, gdy wszyscy z wyjątkiem Smileya i Guillama sięgnęli po dokumenty. — Chodzi o to, że nie tylko ani jeden grosz z tych pieniędzy nie został wydany, co samo w sobie jest strasznie dziwne — za chwilę do tego wrócę — ale jeszcze te pieniądze wcale nie należą do Ko. Pieniądze są na koncie powierniczym i kiedy zjawi się pretendent, a może nim być każdy, to będą jego pieniądze, że się tak wyrażę. A więc co Ko zrobił nie tak? Otworzył konto? Prawo tego nie zabrania, robi się to codziennie. Szczególnie w Hongkongu. Beneficjent konta — Boże, ten ktoś może być wszędzie! W Moskwie, w Timbuktu albo w... — Najwyraźniej nazwa żadnego trzeciego miejsca nie przychodziła mu do głowy, tak więc zamilkł, ku rozpaczy rudego asystenta, który spojrzał wilkiem na Guillama, jakby chciał rzucić mu wyzwanie i spytać: „Rzecz w tym, co wy macie na Ko?”

Enderby trzymał w ustach zapalną i obracał ją między przednimi zębami, świadom prawdopodobnie, że przeciwnik przedstawił przekonujące racje nieprzekonująco — podczas gdy jego specjalnością było coś odwrotnego. Wyjął zapalną, kontemplując ośliniony koniec.

— Co to za sprawa z tymi odciskami palców, George? — spytał, chcąc być może podważyć sukces Wilbrahama. — Zalutuje Phillipsem Oppenheimem.

Krasomówca, pomyślał Guillam: ostatnie stadium degradacji języka.

W odpowiedzi Smileya było tyle emocji co w słowach zegaryni.

— Wykorzystywanie odcisków kciuka to stara praktyka banków na chińskim wybrzeżu. Datuje się to od czasów, kiedy panował powszechny analfabetyzm. Wielu hongkongskich Chińczyków woli korzystać z brytyjskich banków niż ze swoich i obwarowania tego konta nie są bynajmniej wyjątkowe. Beneficjent pozostaje anonimowy, ujawnia się za pomocą środków wizualnych, takich jak połowa przedartego banknotu albo, jak w tym wypadku, odcisk lewego kciuka zgodnie z założeniem, że jego linie są mniej wytarte przez pracę niż prawego. Bank nie będzie miał żadnego ale, pod warunkiem, że ten, kto założył konto, zagwarantował powiernikom, że nie będą oskarżeni o przypadkowe czy błędne wypłaty pieniędzy.

— Dziękuję ci — rzekł Enderby i zabrał się ponownie do dłubania zapalką. — To może być odcisk kciuka Ko, jak mi się wydaje — zasugerował. — Może tak być, prawda? I wtedy to byłyby jego pieniądze. Jeśli jest powiernikiem i beneficjentem w jednej osobie, to rzecz jasna forsa jest jego.

— To czyste przypuszczenia — odezwał się Wilbraham jak zwykle po dwuminutowej ciszy. — A może Ko robi komuś przysługę? Możecie na chwilę to założyć? I ten ktoś wszedł w nielegalne transakcje albo robi ciche interesy z Rosjanami. Wasi Chińczycy uwielbiają konspiracje. Lubią różne sztuczki, nawet ci najporządniejsi. I Ko nie jest wyjątkiem, dają głowę.

Rudy młodzieniec pospieszył ze wsparciem, po raz pierwszy otwierając usta.

— Podanie opiera się na fałszywym rozumowaniu — stwierdził bez ogródek, zwracając się w tej chwili bardziej do Guillema niż do Smileya. Purytanin-ośmioklasista, pomyślał Guillema, uważa, że seks nadwątlą człowieka, a szpiegostwo jest niemoralne. — Mówicie, że Ko jest na garnuszku Rosjan. A my twierdzimy, że to wcale nie zo stało wykazane. Zgadząmy się, że na koncie mogą być radzieckie pieniądze, ale Ko i to konto to dwie różne rzeczy. — W swoim obu rzeniu trochę się zagalopował. — Wy mówicie o winie, podczas gdy my twierdzimy, że w świetle hongkongskiego prawa Ko nie zrobił nic złego i powinien cieszyć się pełnymi prawami poddanego Kolonii.

Zagrzmiało kilka głosów sprzeciwu, wygrał Lacon. — Nikt tu nie mówi o winie — zaoponował ostro. — Wina nie ma tu nic do rzeczy. Mówimy o bezpieczeństwie Kolonii. Wyłącznie. O bezpieczeństwie i stosowności lub niestosowności dochodzenia w sprawie zagrożenia tego bezpieczeństwa.

Kolegą Walińczyka Hammera był ponury Szkot, jak się okazało, o mowie twardej jak mowa rudego ośmioklasisty.

— Nikt nie zamierza ograniczać kolonialnych praw Ko — szczerk nął — bo on nie ma żadnych praw. W prawie obowiązującym w Hong kongu nie ma słowa, że gubernator nie może otwierać nad parą kore spondencji Ko, założyć podsłuchu w jego telefonie, przekupić służącej albo zapluskwić domu. Ani słowa. Poza tym jest jeszcze kilka innych rzeczy, które gubernator może zrobić, jeśli uzna za stosowne.

— To również nie ma nic do rzeczy — odparł Enderby, rzucając Smileyowi spojrzenie. — Cyrk nie ma tam środków na takie hece, a poza tym w obecnej sytuacji byłoby to niebezpieczne.

— Skandaliczne — rzekł niemądrze rudzielec. Enderby podniósł na niego swe oczy smakosza, zmęczone wiecznymi lunchami, i postanowił rozliczyć się z nim później.

Tak zakończyła się druga, nierozegrana potyczka. Cięli się w ten sposób aż do przerwy na kawę, bez zwycięzcy, bez trupów. Druga runda remis, doszedł do wniosku Guillam. Zastanawiał się przygnębiony, ile będzie tych rund.

— O co tu chodzi? — spytał Smileya wśród gwaru głosów. — Gadaniem nic się nie rozwiąże.

— Muszą to przyciąć na swój rozmiar — wyjaśnił Smiley bez tonu zniecierpliwienia, najwyraźniej zdecydowany po azjatycku usunąć się w cień. Naciski Guillama nic tu nie mogły zmienić. Enderby zażądał nowych popielniczek, podsekretarz rzekł, że powinni w końcu coś postanowić.

— Pomyślcie państwo, ile kosztuje podatnika to, że się tu razem zebraliśmy—napomniął z dumą. Do lunchu były j jeszcze dwie godziny.

Otwierając trzecią rundę, Enderby poruszył drażliwą kwestię, czy przekazać rządowi Hongkongu informacje o Ko. Według Guillama był to z jego strony wybieg, jako że Kolonialny Gabinet Cieni (jak Enderby nazywał swoich topornych kolegów) stał na stanowisku, że nie ma żadnego zagrożenia, a co za tym idzie niczego do przekazywania. Ale prostoduszny Wilbraham nie dostrzegł pułapki i wpadł w nią.

— Oczywiście, że powinniśmy poinformować Hongkong! W końcu rządzą się sami. Nie mamy innego wyjścia — powiedział.

— OHver? — spytał Enderby ze spokojem człowieka, który ma dobre karty. Lacon podniósł oczy, wyraźnie poirytowany, że został wezwany do wyrażenia opinii. — OHver? — powtórzył Enderby.

— Świerzbi mnie, by powiedzieć, że to sprawa Smileya i Kolonii, to znaczy Wilbrahama, a więc że oni powinni tu coś między sobą wytargować — odpowiedział Lacon, trzymając się kurczowo taktyki wyczekiwania.

A zatem pozostał Smiley.

— No cóż, gdyby chodziło tylko o gubernatora, chyba nie miał bym nic przeciwko temu — rzekł. — To znaczy, jeśli panowie uważają, że sobie z tym poradzi — dodał dwuznacznie, a Guillam spostrzegł, że rudzielec znów się natęża.

— Dlaczego, u diabła, gubernator miałby sobie z tym nie po radzić? — zapytał stanowczym tonem Wilbraham, naprawdę zbity z tropu. — Doświadczony urzędnik państwowy, sprytny polityk. Do tąd radził sobie ze wszystkim. Więc dlaczego?

Tym razem to Smiley się nie spieszył.

— Musiałby, rzecz jasna, szyfrować i odszyfrowywać własne te legramy — zadumał się, jakby nawet w tej chwili, zapomniawszy

o Bożym świecie, zastanawiał się nad każdym szczegółem. — Nie możemy przecież pozwolić, żeby ujawnił sprawę swemu personelowi. Wymagalibyśmy zbyt dużo od wszystkich. Jeśli chodzi o książki szyfrów dla niego, no, te moglibyśmy załatwić bez większego problemu. Podszkolić go w szyfrowaniu, jeśli trzeba. Ale jest jeden problem: uczynilibyśmy z niego swego rodzaju prowokatora, jeśli nadal utrzymywałyby stosunki towarzyskie z Ko, co oczywiście musiałby robić, bo nie możemy w tej chwili spłoszyć zwierzyny. Czy miałby coś przeciwko temu? Może nie, niektórzy ludzie mają do tego wrodzone zdolności. — Zerknął na Enderby'ego. Wilbraham już protestował.

— Ale, na Boga, człowieku, jeśli Ko jest rosyjskim szpiegiem, w co my wszakże mocno wątpimy, i jeśli gubernator przyjmie go na obiedzie i zupełnie zwyczajnie, w zaufaniu, popelni jakąś niedyskreccję? To jest cholernie nieuczciwe. Przecież to może przekreślić jego karierę. Nie mówiąc już o szkodzie wyrządzonej Kolonii! Koniecznie trzeba mu powiedzieć!

Smiley wyglądał senniejsz niż kiedykolwiek.

— No tak, oczywiście, jeśli ma skłonność do bycia niedyskretnym — mruknął potulnie. — Ale w takim razie można by chyba się spierać, czy on w ogóle jest odpowiednią osobą do posiadania takich informacji.

W lodowatej ciszy Enderby jeszcze raz ospale wyjął z ust zapalkę.

— Cholernie niezręcznie by było, co, Chris — zawołał wesoło do siedzącego po drugiej stronie Wilbrahama — gdyby Pekin pewnego ranka otrzymał radosne wieści, że gubernator Hongkongu, osoba reprezentująca królową, naczelny dowódca armii i tak dalej, nie omieszkał raz w miesiącu przyjmować u siebie na obiedzie moskiewskiego superszpiega. I że dał mu medal za jego wysiłki. Co on teraz ma? Chyba jeszcze nie szlachectwo?

— Order Imperium — odparł ktoś *sotto voce*.

— Biedak. Wciąż się pnie, jak mniemam. Będzie szedł w górę tak samo jak my.

Tak się składało, że Enderby miał już tytuł szlachecki, podczas gdy Wilbraham, z powodu rosnącego niedoboru Kolonii, znajdował się na długiej liście kandydatów.

— Nie ma sprawy — rzekł stanowczo Wilbraham i położył wło chatą dłoń na kolorowych okładkach przed sobą.

Nastąpiła wolna amerykanka — dla ucha Guillema istne *intermezzo*, w której za sprawą cichego porozumienia pozwolono rezerwowym wtrącić swoje trzy grosze, tak by wymienieni zostali w protokole

zebrania. Walijczyk Hammer pragnął ustalić tu i teraz, co się stanie z pół milionem moskiewskich dolarów, jeśli jakimś trafem wpadłyby w brytyjskie ręce. Nie ma mowy, by na forsie położył łapę Cyrk, ostrzegł. Skarb będzie miał wyłączne prawo. Czy to jasne?

Jasne, odrzekł Smiley.

Guillam powoli zaczynał dostrzegać przepaść. Jedni uznali już dochodzenie, choć niechętnie, za *fail accompli*, inni nadal zapierali się rękoma i nogami przed podjęciem jakichkolwiek działań. Hammer, zauważył zdumiony Guillam, zdawał się być pogodzony z rzeczywistością.

Ciąg pytań na temat „legalnych” i „nielegalnych” rezydentur posłużył do pogłębienia strachu przed czerwoną zarazą. Luff, podsekretarz, chciał, by wyjaśniono mu różnicę, więc Smiley cierpliwie wyjaśnił. „Legalny” czy też „jawny” rezydent, powiedział, to agent wywiadu pracujący pod oficjalną lub półoficjalną przykrywką. Jako że rząd Hongkongu, ulegając przewrażliwionemu na punkcie Rosji Pekinowi, uznał za stosowne zakazać działalności wszelkim instytucjom reprezentującym Związek Radziecki — takim jak ambasada, konsul, agencja Tass, Radio Moskwa, Nowosti, Aeroflot, Intourist i inne dogodnie bandery, pod którymi zwykle żeglowali „legalni” — to z definicji wynika, że wszelki wywiad sowiecki w Kolonii musi być realizowany przez „nielegalnych” czy też „niejawnych” agentów.

To właśnie założenie pozwoliło pracownikom Cyrku wpaść na ślad awaryjnej trasy przepływu gotówki, rzekł unikając żargonowego wyrażenia „żyła złota”.

— Aha, no proszę, więc samiśmy się o to prosili — rzekł Luff z zadowoleniem. — Możemy sobie pogratulować. Stosujemy represje wobec Rosjan, więc oni kásają. Co w tym dziwnego? Tego piwa nawarzył ostatni rząd, nie nasz. Jak się kása Ruskich, to się nie należy potem dziwić. Zbieramy burzę, jak zwykle.

— A jak dotychczas wyglądały działania Rosjan w Hongkongu? — zapytał łebski tajniak z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych.

Kolonialiści natychmiast się ożywili. Wilbraham gorączkowo przerzucał kartki dokumentów, ale widząc, że rudy asystent rwie się na smyczy, rzekł: — Ty John, dobrze? — i odchylił się do tyłu z wyrazem okrucieństwa na twarzy. Ubrana na brązowo dama uśmiechnęła się w zadumie do rozdartego rypsu, jakby pamiętała czasy, gdy był cały. Ośmioklasista przypuścił drugą katastrofalną szarżę:

— Precedensy w tej sprawie są według nas rzeczywiście olśnie wające — zaczął ostro. — Dotychczasowe wysiłki Moskwy, by zdobyć jakiś przyczółek w Kolonii, były co do jednego nieudane i na małą skalę. — Wyrecytował nudną listę przykładów. — Pięć lat temu —

powiedział — fałszywy rosyjski archimandryta przyleciał z Paryża z zamiarem nawiązania kontaktów z resztkami społeczności białogwardyjskiej. Ten dżentelmen usiłował wymóc na pewnym starszym restauratorze współpracę z centralą w Moskwie, ale został rychło aresztowany. Niedawno zdarzyło się kilka razy, że załogi okrętów, które zawinęły do Hongkongu pod pretekstem awarii, schodziły na ląd. Marynarze próbowali nieporadnie kupić robotników portowych, sądząc, że mają oni lewicowe sympatie. Zostali aresztowani, przesłuchani, ośmieszeni przez prasę i odstawieni na swoje jednostki z zakazem ich opuszczania. — Podał jeszcze kilka równie bezbarwnych przykładów i wszyscy zrobili się śpiący w oczekiwaniu na ostatnie okrażenie: — Za każdym razem nasza strategia pozostaje niezmienna. Jak tylko zostaną złapani, natychmiast informuje się opinię publiczną. Zdjęcia dla prasy? Ile tylko chcecie, panowie. Telewizja? Ustawcie sobie kamery. Rezultat? Pekin klepie nas przyjacielsko po plecach za powstrzymywanie sowieckiego imperializmu. — Niesiony falą euforii, znalazł w sobie dość odwagi, by zwrócić się bezpośrednio do Smileya: — Więc widzi pan, jeśli chodzi o siatki tych pana „nielegalnych”, to szczerze mówiąc, nie wierzymy w to. „Legalny”, „nielegalny”, „jawny”, „niejawny”, według nas Cyrk trochę przesadza, by znów poczuć się potrzebny!

Guillam już otworzył usta, by dać mu należytą odprawę, ale poczuł na łokciu uspokajający dotyk, więc je zamknął.

Zapadło długie milczenie, podczas którego Wilbraham wyglądał na bardziej zażenowanego niż ktokolwiek inny.

— Brzmi to trochę jak „dym”, Chris — powiedział chłodno Enderby.

— Co tym razem masz na myśli? — spytał nerwowo Wilbraham.

— Po prostu odpowiadam na argumenty, które przytoczył za ciebie twój as. Dym, kamuflaż. Rosjanie machają szablami tam, gdzie możecie ich dostrzec, i kiedy macie głowy odwrócone w tę stronę, robią wam za plecami krecią robotę, a mianowicie puszczają do akcji Ko. Zgadza się, George?

— Tak, takie jest nasze zdanie — przyznał Smiley. — Powinienem państwu także przypomnieć, jak sędzę — wspomniałem o tym w moim podaniu — że Haydon zawsze uparcie twierdził, że Rosjanie nie działają w Hongkongu.

— Lunch — oznajmił bez większego optymizmu Martindale. Zjedli na piętrze, w posepnych nastrojach, z plastikowych tacek, do starzonych furgonetką. Przegródki były zbyt płytkie i krem Guillama wylądował w mięsie.

Pokrzepiony, Smiley wykorzystał poposiłkowe odrętwienie na omówienie kwestii, którą Lacon nazywał „czynnikami strachu”. Mówiąc precyzyjniej, usiłował uświadomić zebranych całą logikę obecności Rosjan w Hongkongu, nawet jeśli, jak to ujął, Ko nie służy za przykład. Powiedział:

Że Hongkong, jako największy port Chin kontynentalnych, obsługuje czterdzieści procent ich handlu zagranicznego.

Że każdego roku szacunkowo jeden na pięciu mieszkańców Hongkongu podróżuje legalnie do Chin: bez wątplenia wielokrotne przekraczanie granicy znacznie podnosi tę przeciętną.

Że czerwone Chiny trzymają w Hongkongu, wprawdzie *sub rosa*, ale za przyzwoleniem władz, ekipy pierwszorzędnych negocjatorów, ekonomistów i techników, których zadaniem jest dbanie o handlowe interesy Pekinu; że każdy z nich, jak jeden mąż, stanowi potencjalny cel wywiadowczy, „obiekt różnych form nacisku”, jak to określił.

Że hongkongskie floty dżonek korzystają z podwójnego zarejestrowania, w Hongkongu i w Chinach, i swobodnie mogą wpływać na chińskie wody i opuszczać je...

Przerwał mu Enderby, cedząc pomocnicze pytanie:

— A Ko jest właścicielem takiej floty. Czy nie mówiłeś, że należy do ostatnich miłośników dżonek?

— Tak, zgadza się.

— Ale on sam nie jeździ do Chin?

— Nie, nigdy. Jego asystent jeździ. Ko, o ile wiemy, nie.

— Asystent?

— Ma zarządcę nazwiskiem Tiu. Są razem od dwudziestu lat. Nawet dłużej. To samo pochodzenie, Hakka z Szanghaju i tak dalej. Tiu jest figurantem w kilku firmach.

— I Tiu regularnie jeździ do Chin?

— Przynajmniej raz do roku.

— Wszędzie?

— Kanton, Pekin, Szanghaj, o tych miejscach wiemy. Ale możliwe, że są inne, o których nie wiemy.

— A Ko zostaje w domu. Dziwne.

Jako że nie było dalszych pytań ani komentarzy w tym względzie, Smiley podjął na nowo wyliczankę atrakcji, które w oczach szpiegów kryje w sobie Hongkong. Hongkong to wyjątek, stwierdził po prostu. Żadne inne miejsce na ziemi nie oferuje tylu udogodnień dla działań przeciw Chinom.

— Udogodnień! — wykrzyknął Wilbraham. — Raczej pokus. Smiley wzruszył ramionami: — Pokus, jeśli pan woli. Jak wia-
domo, wywiad radziecki nie bardzo potrafi im się oprzeć. — Wśród

śmiechu dobrze poinformowanych zaczął przedstawiać to, co wiadomo było o dotychczasowych zakusach moskiewskiej centrali przeciw Chinom: połączony referat di Salisa i Connie Sachs. Opisał moskiewskie próby masowego werbunku i infiltracji etnicznych Chińczyków w Związku Radzieckim w celu przypuszczenia ataku z północy. Nieudane, rzekł. Opowiedział o olbrzymiej sieci punktów nasłuchowych wzdłuż długiej na cztery i pół tysiąca mil radziecko-chińskiej granicy: bezproduktywne, rzekł, jako że zdobycze miały charakter czysto wojskowy, a zagrożenie — polityczny. Przytoczył pogłoski o radzieckich umizgach do Tajwanu, propozycjach wspólnego frontu przeciw Chinom w postaci wspólnych operacji i dzielenia się zyskami. Odrzucone, rzekł, i prawdopodobnie złożone jedynie dla picu, by na-psuć krwi Pekinowi. Podał przykłady wykorzystywania przez Rosjan łowców talentów w chińskich społecznościach w Londynie, Amsterdamie, Vancouver i San Francisco; wspomniał również o zawołanych ofertach centrali pod adresem „kuzynów” kilka lat temu, by założyć „źródła wywiadowcze”, dostępne dla wspólnych wrogów Chin. Bezowocne, powiedział, „kuzyni” nie chcieli w to grać. Na koniec napomknął o dokonywanych przez centralę i mających długą historię brutalnych próbach szantażu i przekupstwa chińskich oficjeli na zagranicznych placówkach: rezultat nie znany, rzekł.

Skończywszy, oparł się i ponownie przedstawił tezę, która wywołała całe zamieszanie.

— Wcześniej czy później — powtórzył — centrala w Moskwie dobierze się do Hongkongu.

To ponownie doprowadziło ich do Ko i do Roddy'ego Martin-dale'a, który pod orlim okiem Enderby'ego ruszył do kolejnej potyczki.

— No dobrze, a na co twoim zdaniem są te pieniądze, George? No bo usłyszeliśmy już i wiemy, na co nie są, usłyszeliśmy też, że nie są wydawane. Te informacje są nam na nic, prawda? Wydaje się, że niewiele wiemy. To samo pytanie, co zwykle: skąd się te pieniądze wzięły, na co są przeznaczone i co my powinniśmy zrobić?

— To trzy pytania — rzekł okrutnie Enderby pod nosem.

— Właśnie dlatego, że niewiele wiemy — odparł drętwo Smiley — prosimy o zezwolenie na działanie.

— Czy pół miliona to dużo? — odezwał się ktoś z ław Skarbu.

— W mojej dotychczasowej karierze to największa suma — odparł Smiley. — Centrala w Moskwie — starannie unikała słowa Karla

— nienawidzi kupowania serc bez względu na okoliczności. Jak na nich kupowanie za taką cenę to rzecz niesłychana.

— Ale czyje serca kupują? — spytał ktoś płacziwie.

Gładiator Martindale znów atakował: — Muszę powiedzieć, że skąpisz nam informacji, George. Przecież masz jakieś podejrzenia, jestem pewien, że masz. Uchyl rąbka, nie bądź taki skryty.

— Właśnie, nie mógłbyś nas trochę oświecić? — spytał Lacon równie błagalnym tonem.

— Przecież możesz puścić odrobinę farby — poprosił Hammer.

Nawet pod atakiem tego trójzęba Smiley się nie ugiął. Czynniki strachu wreszcie zaczynał przynosić efekty. Niczym wystraszeni pacjenci błagali go o diagnozę, a on ociągał się z postawieniem jej, tłumacząc się brakiem danych.

— Naprawdę, mogę tylko przedstawić suche fakty, nic więcej. Na tym etapie nie byłoby dla mnie korzystne, gdybym głośno spekulował.

Po raz drugi od rozpoczęcia spotkania usta otworzyła pani w brąz. — A więc ja na temat precedensów, dobrze, panie Smiley? — spytała. Miała melodyjny, inteligentny głos. Smiley skłonił lekko głowę w staroświeckim geście. — Czy zdarzało się, że tajne radzieckie pieniądze były wypłacane w ten sposób? W innych rejonach, na przykład?

Smiley nie od razu odpowiedział. Siedzący zaledwie kilka cali dalej Guillam przysięgłby, że wyczuł nagle napięcie, jakby ładunek energii, przenikające jego sąsiada. Ale kiedy zerknął na niewzruszony profil, ujrzał jedynie pogłębiającą się senność i lekkie opadanie znużonych powiek.

— Było kilka wypadków tego, co nazywamy „alimentami” — przyznał w końcu.

— „Alimentami”? — powtórzyła jak echo dama w brąz, a jej rudy towarzysz jeszcze bardziej się nachmurzył, jakby rozwód był czymś, czego nie aprobuje.

Smiley kroczył niezwykle ostrożnie.

— Są oczywiście agenci pracujący we wrogich krajach — wrogich z punktu widzenia Rosjan — którzy ze względów bezpieczeństwa nie mogą pobierać zapłaty, kiedy prowadzą współpracę. — Dama w brąz skinęła lekko głową w geście zrozumienia. — Zwykle wkłada się wtedy pieniądze do banku w Moskwie i przekazuje agentowi, kiedy już bez obaw może z nich skorzystać. Lub jego rodzinie, jeśli...

— Dostanie w czapę — wtrącił Martindale z satysfakcją.

— Ale Hongkong to nie Moskwa — przypomniała Smileyowi z uśmiechem dama w brąz.

Smiley spokojnie kontynuował.

— W rzadkich wypadkach, kiedy bodźcem są pieniądze, a agent nie ma ochoty na ewentualne osiedlenie się w Rosji, centrala w Moskwie, pod przymusem, załatwiała porównywalne wypłaty, na przykład, w Szwajcarii.

— Ale nie w Hongkongu? — pytała dalej uparcie dama.

— Nie, nie w Hongkongu. I w świetle dotychczasowych danych jest to wręcz niewyobrażalne, żeby Moskwa rozważyła wypłacenie „alimentów” w takiej kwocie. Pomijając wszystko inne, byłaby to zachęta dla agenta, żeby się w ogóle wycofał ze współpracy.

Rozległ się śmiech, a kiedy ucichł, dama w brązie miała już gotowe kolejne pytanie.

— Ale na początku wpłaty były skromne — nie dawała za wygraną.

— Duże sumy zaczęły się stosunkowo niedawno?

— Zgadza się.

Za bardzo, cholera, się zgadza, pomyślał Guillam, zaczynając się niepokoić nie na żarty.

— Panie Smiley, jeśli „towar” miałby odpowiednio wysoką wartość, czy sądzi pan, że Rosjanie byliby gotowi przełknąć pigułkę i za płacić taką cenę? W końcu są takie informacje, przy których nawet największe pieniądze nie mają żadnego znaczenia.

Smiley po prostu zamilkł. Nie wykonał żadnego ruchu. Nadal zachowywał się grzecznie, zdołał nawet lekko się uśmiechnąć, ale najwyraźniej miał dość domysłów. Pytanie musiał zdmuchnąć Enderby, tym swoim zblazowanym jazgotem.

— Słuchajcie, dzieci, możemy tu tak teoretyzować cały dzień

— wykrzyknął, spoglądając na zegarek. — Chris, czy wpuszczamy do gry Amerykanów? Skoro nie mówimy nic gubernatorowi, to co robimy z naszymi walecznymi sojusznikami?

George o włos uniknął śmierci, pomyślał Guillam.

Na wspomnienie „kuzynów” Wilbraham zareagował jak wściekły byk na czerwonej płachtę. Wyczuł, domyślił się Guillam, że kwestia ta zaraz się wyłoni i postanowił zabić bestię, jak tylko podniesie łeb.

— Weto, obawiam się — warknął, tym razem bez zwłoki. — Absolutnie nie. Z tysiąca powodów. Na przykład z powodu demarkacji. Hongkong to nasza działka, Amerykanie nie mają prawa tam łowić. Żadnego. Drugi powód jest taki, że Ko to brytyjski poddany i ma prawo do pewnej ochrony z naszej strony. Pewnie uważacie, że jestem staroświecki, ale szczerze mówiąc, nic mnie to nie obcho dzi. Amerykanie poszliby od razu na całego. Widziałem to już. Bóg wie, czym by się to skończyło. Po trzecie: drobna kwestia protokołu.

— Powiedział to z przekąsem, odwołując się do wrażliwości byłego ambasadora, usiłując zyskać poparcie. — Drobna sprawa, Enderby. Powiemy Amerykanom, a nie powiemy gubernatorowi? Jeśli ja był bym gubernatorem i postawiono by mnie w takiej sytuacji, oddałbym odznakę. To wszystko, co mam do powiedzenia. Ty też byś tak zrobił, wiem o tym. Ty wiesz, ja wiem.

— Pod warunkiem, że byś się dowiedział — zaznaczył Enderby.

— Nie martw się, dowiedziałbym się. Na początek oblepiliby jego dom mikrofonami. Tak jak w kilku miejscach w Afryce, gdzieśmy ich wpuścili. Klęska. Całkowita. — Uderzywszy rękoma o blat, wbił w nie wściekły wzrok.

Gwałtowny klekot, podobny do odgłosu silnika motorówki, zapowiedział chwilową awarię jednego z elektronicznych deflektorów. Urządzenie zakrzusilo się, ocknęło i burzeniem przeszło w ciszę.

— Odważny facet, który ci wcisnął ten złom, Chris — mruknął Enderby w pełnej napięcia ciszy, uśmiechając się z uznaniem.

— Zgoda — wypalił zniechęca Lacon.

Oni wiedzą, pomyślał Guillam zwyczajnie. George ich urobił. Wiedzą, że wszedł w układ z Martellem, wiedzą, że nie powie o tym głośno, bo jest zdecydowany siedzieć jak trusia. Ale tego dnia Guillam wszystko widział opacznie. Podczas gdy frakcje Skarbu i Obrony były zgodne w, jak się wydawało, prostej sprawie — „by trzymać z dala Amerykanów” — Smiley zdawał się tajemniczo niechętny położyć uszy po sobie.

— Pozostaje problem, co zrobić z surowymi informacjami — powiedział. — To znaczy, gdybyście państwo zdecydowali, że moja służba nie może podjąć dalszych kroków — dodał niepewnie, wywołując powszechne zamieszanie.

Guillam z ulgą spostrzegł, że Enderby jest równie zdezorientowany co inni.

— A co to, cholera, ma znaczyć? — spytał ostro.

— Ko prowadzi interesy w całej Azji południowo-wschodniej — przypomniał im Smiley. — Strona pierwsza mojego podania. — Małe zamieszanie, szelest papierów. — Mamy na przykład informacje, że kontroluje przez rozmaite filie i figurantów takie różności jak sieć klubów nocnych w Saj gonie, przedsiębiorstwo lotnicze z siedzibą w Vientiane, kawałek floty tankowców w Tajlandii... w kilku z tych przedsiębiorstw można by dostrzec powiązania polityczne, które sięgają daleko w amerykańską strefę wpływów. Musiałbym rzecz jasna mieć pisemne polecenie, jeśli miałbym zignorować nasze zobowiązania wynikające z obustronnych umów.

— Mów dalej — polecił Enderby i wyciągnął z pudełka nową zapalną.

— Dziękuję, właśnie skończyłem — odpowiedział Smiley uprzejmie. — Naprawdę, to bardzo proste. Przyjmijmy, że nie będzie mi wolno nic dalej przedsięwziąć, co, jak mówi mi Lacon, może być bilansem dzisiejszego spotkania, co mam w takim razie robić? Wyrzucić informacje do kosza? Czy przekazać je naszym sojusznikom zgodnie z istniejącą umową o wymianie informacji?

— Sojusznikom? — wykrzyknął gorzko Wilbraham. — Sojusz nikom? Człowieku, przykładasz nam pistolet do skroni!

Twarda odpowiedź Smileya była o tyle bardziej zdumiewająca, że poprzedziła ją długa pasywność.

— Mam wyraźne polecenie od tego gremium, by naprawić stosunki z Amerykanami. W moim statucie jest napisane czarno na białym, waszą ręką, panie i panowie, że mam zrobić wszystko, co możliwe, by zacieśnić ów szczególnie związek, wskrziesić ducha wzajemnego zaufania, który istniał przed... Haydonem. „Musisz nam z powrotem znaleźć miejsce przy stoliku”, powiedzieliście mi... — Patrzył na Enderby'ego.

— Stoliku — powtórzył ktoś, jakiś nowy głos. — Raczej przy ołtarzu ofiarnym, jeśli o mnie chodzi. Spaliliśmy już na nim cały Bliski Wschód i połowę Afryki. Wszystko ze względu na ten szczególnie związek.

Ale wydawało się, że Smiley nie słyszy. Ponownie biła od niego posępna niechęć. Czasem, mówił wyraz jego twarzy, ów urząd jest dla niego brzemieniem nie do udźwignięcia.

Znów zapanowała atmosfera poposiłkowego nadąsania. Ktoś poskarżył się na dym z papierosów. Wezwano posłańca.

— Co jest z wentylatorami, cholera jasna? — spytał gniewnie Lacon. — Dusimy się tu.

— To części, proszę pana — odpowiedział posłaniec. — Złożyliśmy reklamację miesiąc temu, jeszcze przed Bożym Narodzeniem, a więc będzie prawie rok. No, ale i tak to nie taka duża zwłoka, prawda?

— Jezu — jęknął Enderby.

Posłali po herbatę. Dostarczono ją w papierowych kubkach, z których ciekło na ryps. Guillam uciekł myślą ku niezrównanej figurze Molly Meakin.

Była już niemal czwarta, kiedy Lacon wyzywająco przejechał na koniu przed szeregami stojących armii i poprosił Smileya, by ten określił „wyraźnie, o co praktycznie prosi, wywalił kawę na ławę, to może spróbują wytargować jakąś odpowiedź”.

Pośpiech byłby fatalnym błędem. Smiley najwyraźniej to rozumiał.

— Po pierwsze, potrzebujemy zezwolenia na prowadzenie działań w rejonie Azji południowo-wschodniej. Tak, żeby gubernator nie musiał się tym zajmować — spojrzenie w kierunku podsekretarza — a także nasi władcy tutaj. Po drugie, zezwolenie na pewne działania śledcze na terenie kraju.

Głowy poderwały się do góry. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych natychmiast zrobiło się niespokojne. Po co? Kto? Jak? Jakie dzia-

łania śledcze? Krajem powinna się zająć konkurencja. Pretorianin ze służby bezpieczeństwa był jak w gorączce.

— Ko studiował prawo w Londynie — upierał się Smiley. — Ma tu kontakty, interesy. Przecież to oczywiste, że powinniśmy je zbadać. — Spojrzał na pretorianina. — Udostępnimy konkurencji wszystkie nasze ustalenia — obiecał. Licytował dalej.

— Jeśli chodzi o pieniądze, moje podanie zawiera pełne kalkulacje wszystkiego, co potrzebne jest nam niezwłocznie, oraz pewne szacunkowe obliczenia różnych wydatków ubocznych. Na koniec prosimy o zezwolenie, na szczeblu tej Grupy, a także na szczeblu White-hallu, na otwarcie naszej rezydentury w Hongkongu jako bazy wypadowej dla naszych operacji. ^L

Odpowiedzią na ostatnie żądanie było grobowe milczenie zebranych, w tym osłupiałego Guillama. Nigdy, czy to podczas narad w Cyrku czy we wstępnych rozmowach z Laconem, nikt — jeśli wiedział Guillam — nawet Smiley, słówkiem nie wspomniał o ponownym otwarciu High Haven lub powołaniu do życia czegoś w zamian.

Podniosła się nowa wrzawa.

— Jeśli nie — mówił dalej Smiley, przekrzykując głosy protestu — jeśli nie wolno nam otworzyć rezydentury, żądamy — jako absolutnego minimum — zezwolenia *in blanco* na prowadzenie „nie legalnych” agentów w Kolonii. Tam mają niczego nie wiedzieć, za to Londyn aprobeuje i ochrania. Wszelkie istniejące już działania mają być uprawnocnione wstecz. Na piśmie — dokończył, posyłając Laconowi ciężkie spojrzenie, i wstał.

W grobowych nastrojach Guillam i Smiley ponownie usiedli w hallu na tej samej obitej łososiowym aksamitem ławeczce, ramię w ramię, jak pasażerowie podróżujący w jednym kierunku.

— Dlaczego? — od razu spytał cicho Guillam, ale tego dnia zadawanie pytań George'owi Smileyowi było nie tylko w złym guście: było rozrywką, której kategorycznie zabraniała wisząca nad ich głowami tabliczka.

Cholera, przeciwnaś strunę, pomyślał Guillam posępnie. Przebrzyłeś. Biedny, stary skurwielu, już po tobie. I po operacji, dzięki której mogliśmy wrócić do wielkiej gry. To chciwość, nic innego. Chciwość starego szpiega w pośpiechu. Zostanę z nim, pomyślał Guillam. Pójdę na dno razem z okrętem. Otworzymy wspólnie kurzą fermę. Molly będzie prowadzić księgi rachunkowe, a Ann przeżywać sielankowe romanse z pracownikami.

— Jak się czujesz? — spytał.

— To nie jest kwestia samopoczucia.

Bardzo dziękuję, pomyślał Guillam.

Mijało już dwadzieścia minut. Smiley nawet się nie poruszył: brodę opuścił na klatkę piersiową, oczy miał zamknięte, równie dobrze mógłby się modlić.

— Może wzięłbyś wolny wieczór? — zasugerował Guillam.

Smiley tylko się nachmurzył.

Pojawił się posłaniec, zapraszając ich z powrotem. Lacon siedział teraz u szczytu stołu i zachowywał się jak prefekt. Enderby zasiadł dwa krzesła dalej, rozmawiając półszepem z Walińczykiem Hammerem. Pretorianin wyglądał jak chmura gradowa, a jego anonimowa towarzysząca ściągnęła usta w nieświadomym pocałunku dezaprobaty. Lacon zaszeleścił dokumentami, by wszystkich uciszyć, i, jak złośliwy sędzia, przed podaniem wyroku odczytał listę ustaleń Grupy Kierowniczej. Skarb złożył oficjalny protest, zaprotokołowany, z racji nieprawidłowego wykorzystania funduszy operacyjnych. Smiley powinien również mieć na uwadze, że wszelkie żądania w sprawie prowadzenia działań operacyjnych na terenie kraju winny być poprzedzone ustaleniami ze służbą bezpieczeństwa, a nie „wyciągane znieacka w toku obrad Grupy jak królik z kapelusza”. Nie ma mowy o ponownym otwarciu rezydentury w Hongkongu. Jest to niemożliwe choćby z braku czasu. To było naprawdę bezwstydne żądanie, dał do zrozumienia Lacon. Chodzi przecież o zasady, trzeba by tę sprawę skonsultować na najwyższym szczeblu, a ponieważ Smiley wyraźnie opowiedział się przeciwko informowaniu gubernatora o swych ustaleniach — ukłon Lacona w stronę Wilbrahama — niełatwo będzie podnieść w najbliższej przyszłości kwestię ponownego otwarcia rezydentury, szczególnie gdy się weźmie pod uwagę niefortunny rozgłos towarzyszący ewakuacji High Haven.

— Przyjmuję tę decyzję z najwyższą niechęcią — rzekł Smiley. Na Boga, pomyślał Guillam, jeśli iść na dno, to chociaż z pod niesionym czołem.

— Możesz ją przyjąć, jak ci się żywnie podoba — odparł Enderby i Guillam mógłby przysiąc, że dostrzegł w jego oczach i w oczach Hammera błyski zwycięstwa.

Skurwiele, pomyślał zwyczajnie. Dla was żadnych kurczaków za darmo. W myślach już strzepywał kurz z butów i wynosił się stąd.

— Wszystko inne — rzekł Lacon, kładąc na stole jedną kartkę, a podnosząc inną — wraz z pewnymi obwarowaniami i ograniczeniami dotyczącymi pieniędzy i czasu obowiązywania upoważnienia, zostaje przyznane.

Park był pustawy. Przypadkowi spacerowicze ustąpili pola profesjonalom. Kilkoro zakochanych leżało na wilgotnej trawie, jak żół-

nierze po bitwie. Flamingi drzemały. U boku szczęśliwego Guillama, stąpającego śladem swego szefa, dreptał Roddy Martindale, śpiewający pieśni pochwalne na cześć Smileya:

— Według mnie George jest cudowny. Niezniszczalny. A jego panowanie nad sytuacją. Uwielbiam to. Według mnie to najważniejsza cecha człowieka, panowanie nad sytuacją. George ma tego co niemiara. Muszę przyznać, że człowiek zupełnie inaczej patrzy, kiedy widzi to od środka. Zaczyna rozumieć skalę tych spraw. Twój ojciec był arabistą, jeśli dobrze pamiętam?

— Tak — odparł Guillam, mając myśli zajęte Molly Meakin i zastanawiając się, czy jest jeszcze szansa na kolację z nią.

— Czy on był n.e., czy p.n.e.?

Guillam już miał na języku wulgarną odpowiedź, lecz w porę uświadomił sobie, że Martindale nie pyta o nic innego, jak tylko o naukowe preferencje ojca.

— Ach, p.n.e., wyłącznie p.n.e.! — odparł. — Wróciłby do Raju, gdyby tylko mógł.

— Wpadnij kiedyś na kolację.

— Dzięki.

— Umówimy się. Kto jest tym razem obiektem twego zainteresowania?

Z przodu niósł się w przesiąkniętym rosą powietrzu skrzekliwy głos Enderby'ego, chwającego zwycięstwo Smileya.

— Przyjemne spotkanie. Duża wygrana, żadnych strat. Przyjemnie rozegrane. Według mnie to, co zyskałeś, szybko pozwoli ci rozpostrzeć skrzydła. „Kuzyni” z nami zagrają, co nie? — gardłował, jakby nadal siedzieli w salce obrad. — Sprawdziłeś wodę? Mam nadzieję, że przybliżą nas trochę do celu i nie przegną pały? Muszę przyznać, że było trochę nerwowo, no, ale ty chyba jesteś do tego przyzwyczajony. Powiedz Martellowi, żeby tym razem stąpał cichutko, jeśli potrafi, bo jeśli nie, to rychło będziemy mieli kłopoty z kolonialistami. Szkoda tego Wilbrahama. Dobrze by zawiadywał Indiami.

Z kolei przed nimi, prawie niewidoczny pośród drzew, Walińczyk Hammer wykonywał energiczne gesty w rozmowie z Laconem, który nachylał się ku niemu, łowiąc słowa.

Przyjemna konspiracyjka, pomyślał Guillam. Obejrzał się i ze zdumieniem zobaczył śpieszącego ku nim Fawna. W pierwszej chwili totumfacki zdawał się być dość daleko. Kłęby mgły całkowicie zasłaniały jego nogi, tylko tułów wystawał ponad fale. I nagle pojawił się znacznie bliżej i Guillam usłyszał znajome płaczliwe wołanie: — Szefie, szefie! — Fawn próbował zwrócić na siebie uwagę Smileya.

Zostawiwszy Martindale'a, Guillam podszedł pośpiesznie do niego.

— Co ty tu, cholera, robisz? Co tak ryczysz?

— Znaleźli dziewczynę! Panna Sachs wysłała mnie specjalnie, żebym o tym powiedział. — Oczy mu płonęły, trochę dziko. — „Powiedz szefowi, że znaleźli dziewczynę”. Jej własne słowa, osobiście dla szefa.

— Ona cię tu przysłała?

— Niezwłocznie do osobistej wiadomości szefa — odparł Fawn wymijająco.

— Pytałem, czy to ona cię tu przysłała? — kipiał Guillam. — Odpowiedz: „Nie, proszę pana”. Ty cholerna nadwrażliwa królowo, wrzeszczysz i pędzisz przez cały Londyn w tych twoich kamazkach! Pomieszało ci się we łbie. — Wyrwawszy Fawnowi z ręki pognicioną kartkę, przeczytał ją błyskawicznie. — To nawet nie to samo nazwisko. Co za jakiś cholerny historyczny bezsens. Wracaj prosto do swojej nory, słyszysz? Szef zajmie się tą sprawą, gdy wróci. Nie waz się robić takich sensacji.

— A któż to był? — spytał Martindale, ledwo mogąc złapać dech z zaferowania, kiedy Guillam dołączył. — Co za wspaniałe stworzonko.' Czy wszyscy szpiedzy są tacy *gładkolicy*? *Jakże to do głębi weneckie*. Zgłaszam się na ochotnika.

Jeszcze tego samego wieczora w bawialni odbyła się chaotyczna narada. Euforia — w wypadku Connie alkoholowa — wywołana zwycięstwem Smileya podczas obrad komisji, nie wpłynęła korzystnie na jej porządek. Po skrępowaniu i spięciu ostatnich miesięcy Connie szarżowała we wszystkich kierunkach, przełamała wszelkie intelektualne zahamowania. Dziewczyna! Dziewczyna jest śladem! Wysłać Toby'ego Esterhase'a do Hongkongu, znaleźć jej mieszkanie, sfotografować ją, wysledzić, przeszukać pokój! Włączyć Sama Collinsa, natychmiast! Di Salis wiercił się, uśmiechał głupkowato, pykał fajeczkę i szurał nogami, ale tego wieczora znajdował się całkowicie pod urokiem Connie. Raz nawet powiedział coś o „naturalnej kolei rzeczy, prowadzącej do sedna sprawy” — co znów miało oznaczać nieuchwytną dziewczynę. Nic dziwnego, że Fawn zaraził się tym zapałem. Guillam niemal żałował swego wybuchu w parku. W rzeczy samej, bez Smileya i Guillama — pary tłumików — tego wieczora łatwo mogłoby dojść do aktu zbiorowej głupoty, i Bóg raczy wiedzieć, do czego by to doprowadziło. Świat tajnych służb zna wiele precedensów, gdy ludziom przy zdrowych zmysłach podobnie mieszało się we łbach, ale Guillam po raz pierwszy widział tę chorobę na własne oczy.

Nastąpiła więc dziesiąta albo i później, kiedy doszło w końcu do opracowania instrukcji dla Crawa, a w pół do jedenastej, kiedy senny

Guillam wpadł na Molly Meakin w drodze do windy. W rezultacie tego szczęśliwego przypadku — a może Molly to ukartowała? Nigdy się nie dowiedział — w jego życiu zapaliła się latarnia morska i odtąd roztaczała rześiste światło. Uległa jak zwykle, Molly zgodziła się zostać zawieszona do domu, choć mieszkała na Highgate, kilometry nie po drodze, i kiedy stanęli na progu jej mieszkania, jak zawsze zaprosiła go na szybką kawę. Spodziewając się znanych już zawodów — „och, nie, Peter, proszę, nie, nie, przepraszam cię” — Guillam już miał się wycofać do samochodu, kiedy coś w jej oku — jak mu się zdawało rodzaj spokojnego postanowienia — kazało mu zmienić zamiar. Gdy tylko znaleźli się w środku, zamknęła drzwi i założyła łańcuch. Następnie zaprowadziła go, śmiertelnie poważna, do sypialni, gdzie zaskoczyła go radosną i wyrafinowaną cielesnością.

Rozdział 9

STATECZEK CRAWA

W Hongkongu było już czterdzieści osiem godzin później, niedziela wieczorem. Craw szedł ostrożnie alejką. Zmierzch nadciągnął wcześniej wraz z mgłą, ale domy stały zbyt ciasno, by go wpuścić na ulice, tak więc zawisł kilka pięter wyżej, wśród sznurów prania i przewodów, plując ciepłymi, brudnymi kroplami deszczu, które wskrzeszały zapach pomarańczy leżących na straganach z jedzeniem i stukały w rondo słomkowego kapelusza Crawa. Tu, na poziomie morza, stary wyga czuł, że naprawdę jest w Chinach, w tych Chinach, które ukochał najbardziej, które budziły się do festiwalu nocy: śpiewy, klaksony, melodyjki odgrywane na dwudziestu różnych instrumentach blaszanych, zawodzenie, walenie w gongi, targowanie się, pitrasze-nie. Albo też warta w drzwiach i patrzenie, z jaką to rozwągą ów cudzoziemiec przedziera się przez tłum. Craw kochał to wszystko, ale najczulszą miłość żywił do swych „stateczków”, jak Chińczycy nazywają tajnych informatorów, których panna Phoebe Wayfarer, cel jego wędrówki, była klasycznym, choć może skromnym przedstawicielem. Wciągnął powietrze, rozkoszując się znajomymi woniami. Wschód nigdy nie sprawiał mu zawodu. „Kolonizujemy ich, Wasze Łaskawości, demoralizujemy, wykorzystujemy, zrzucamy na nich bomby, plądrujemy miasta, pogardzamy ich kulturą i mącimy im w duszach sekciarskimi wierzeniami. Budzimy w nich odrazę nie tylko naszym

wyglądem, ale także zapachem — smród okrągłookiego jest nie do zniesienia — tyle że jesteście zbyt głupi, by to zauważyć. A jednak mimo że wyrządzamy im największe zło, jakie potrafimy, a nawet większe, ledwo mącimy azjatycki uśmiech".

Inni biali długo by się zastanawiali nad wycieczką do tej dzielnicy. Mafia z Peaku nie chciałaby nic wiedzieć o jej istnieniu. Brytyjskie żony, okopane w rządowych gettach osiedli Happy Valley, znalazłyby w niej wszystko to, czego nienawidzą w kraju swego zesłania. Nie była to najgorsza część miasta, ale i nie Europa, a już z pewnością nie oddalona o niecałą milę Europa Pedder Street — enklawa elektronicznych drzwi, które szumią przy wpuszczaniu gości do klimatyzowanych pomieszczeń. Inni biali, wskutek obaw, rzucaliby mimo woli nieostrożne spojrzenia, a to byłoby niebezpieczne. Craw znał kiedyś w Szanghaju kilku ludzi, którzy ścignęli na siebie śmierć jednym nieopatrzonym spojrzeniem. On sam spoglądał przyjaźnie, ustępował z drogi i w ogóle zachowywał się taktownie, a kiedy zatrzymywał się, by coś kupić, z szacunkiem pozdrowiał straganiarza kiepskim, ale płynnym kantońskim. Gdy wyczerpywało mu się ograniczone słownictwo, przeskakiwał na własną, ozdobną angielszczyznę. I płacił bez szemrania wygórowane ceny, ustalone specjalnie dla niższej rasy, której był przedstawicielem.

Kupił orchidee i baranią wątróbkę. Kupował je co niedziela, sprawiedliwie dzieląc swój zwyczaj między rywalizujące stragany.

Nacisnął dzwonek. Phoebe, jak i on, miała domofon. Centrala wydała rozporządzenie, że ma być to standardowa wersja. W skrzynkę na listy wetknięta była dla zapachu gałązka wrzosu. Znak, że wszystko w porządku.

— Cześć — odezwał się dziewczęcy głos, po czym padło pytanie: — Słucham? — Równie dobrze mogła to być Amerykanka albo kantonka.

— Larry nazywa mnie Pete — rzekł Craw.

— Włącz na górę, Larry akurat tu jest.

Na klatce schodowej panowała ciemność choć oko wykol i śmierdziało wymiotami. Obcasy Crawa szczykały o kamienne stopnie niczym blacha. Wcisnął przełącznik, ale światło się nie zapaliło, musiał więc po omacku pokonać trzy piętra. Próbowano kiedyś znaleźć Phoebe lepsze lokum, ale wraz z wyjazdem Thesingera sprawa upadła i teraz już nie było nadziei ani w pewnym sensie nie było też samej dziewczyny.

— Bill — szepnęła, zamykając za nim drzwi. Pocałowała go w pstrokate policzki, na modłę ładnych dziewczyn dających buziaka miłym wujkom, tyle że nie była ładna. Craw wręczył jej orchidee. Zachowywał się czule i troskliwie.

— Moja droga — rzekł. — Moja droga.

Drżała. Mieszkanie składało się z pokoju z kuchenką i umywalką oraz ubikacji wyposażonej w prysznic. To wszystko. Craw podszedł za Phoebe do umywalki, odwinął wątróbkę i dał ją kotu.

— Rozpieszczasz go, Bill—powiedziała, uśmiechając się do kwiatów. W milczeniu położył na łóżku brązową kopertę. Nic nie rzekła.

— Jak się miewa William? — spytała, bawiąc się brzmieniem jego imienia.

Powiesiwszy laskę i kapelusz na drzwiach, nalał szkockiej: czystej dla niej, z wodą sodową dla siebie.

— A jak się miewa Pheeb? To ważniejsze. Jak minął ten cały chłodny tydzień?

Łóżko było w nieładzie, a na podłodze leżały plisowane koszule nocne. Tego wymagał kamuflaż: dla sąsiadów Phoebe była półangiel-skim bękartem, który kurwił się co tydzień z australijskim grubasem. Nad pogniecionymi poduszkami wisiała panorama Alp Szwajcarskich, która — jak się wydawało — zdobiła pokój każdej młodej Chinki, a na nocnym stolczku stało zdjęcie ojca — Anglika — jedyne, jakie miała: urzędnik z Dorking w Surrey, sfotografowany zaraz po przybyciu na Wyspę; zaokrąglony kołnierzyk, wąs i wytrzeszczone, lekko szalone oczy. Craw zastanawiał się czasami, czy zdjęcie nie zostało zrobione, gdy faceta postrzelono.

— Już wszystko w porządku — odparła. — Już dobrze.

Stała tuż za nim, nalewając wodę do wazonu. Ręce drżały jej okropnie, jak to zwykle w niedzielę. Miała na sobie szarą mundurową sukienkę na cześć Pekinu i złoty naszyjnik podarowany jej z okazji pierwszego dziesięciolecia w służbie Cyrku. W niedorzecznym przypiływie hojności centrala zdecydowała, żeby zrobiono tę biżuterię w „Asprey's”, po czym wysłała ją w torbie wraz z listem od samego Percy Alleline'a — pechowego poprzednika Smileya — który pozwolono jej przeczytać, ale nie zachować. Nalawszy wody do wazonu, omal go nie upuściła, więc Craw wziął go od niej i zaniósł na stół.

— Hej, spokojnie, dobrze?

Przystanęła, wciąż uśmiechnięta, po czym opadła na krzesło i zaniósła się szlochem. Czasem płakała, innym razem kichała albo gadała jak najęta i śmiała się bez przerwy, zawsze jednak zachowywała chwilę ożywienia na przybycie Crawa, niezależnie od tego, jaki nastrój ją ogarniał.

— Bill, czasami tak się boję.

— Wiem, moja droga, wiem. — Usiadł przy niej i wziął ją za rękę.

— Ten nowy chłopak przy straganie. Ciągłe na mnie patrzy, obserwuje każdy mój ruch. Jestem pewna, że dla kogoś pracuje. Bill, dla kogo on pracuje?

— Może wpadłaś mu w oko — odparł Craw, najczulej jak po trafił, głaszcząc ją uspokajająco po ramieniu. — Jesteś atrakcyjną kobietą, nie zapominaj o tym. Robisz wrażenie, nie zdając sobie z tego sprawy. — Nagle odezwał się tonem surowego ojca: — A może już z nim flirtowałaś? I jeszcze jedno: kobieta taka jak ty może zachęcać nieświadomie. Światowiec widzi takie rzeczy. Zna się na tym.

Tydzień temu chodziło o dozorcę z parteru. Powiedziała, że on zapisuje, o której przychodzi i wychodzi. Jeszcze wcześniej o samochód, który za nią jeździł, opel, zawsze ten sam, zielony. Sztuka polegała na tym, by rozproszyć jej lęki, nie usypiając czujności, ponieważ pewnego dnia — o czym Craw nigdy nie zapomniał — okaże się, że to nie przywidzenia.

Wyjąwszy spod materaca plik odręcznie napisanych notatek, rozpoczęła składanie raportu tak nagle, że się nie połapał. Miała bladą, dużą twarz, której umknęło piękno i jednej, i drugiej rasy, długi tułów, krótkie nogi, saksońskie dłonie — brzydkie i silne. Siedząc na brzegu łóżka, wyglądała jak matrona. Do czytania włożyła grube szkła. Oznajmiła, że Kanton przysłała we wtorek na wykłady komisarza do spraw studenckich, więc odwołano czwartkowe spotkanie i Ellen Tuo po raz kolejny straciła szansę zostania sekretarzem...

— Zaraz, wolniej — zaprotestował Craw ze śmiechem. — Pali się, czy co?

Otworzywszy notes na kolanie, próbował nadązać, ale tę dziewczynę trudno było przyhamować, nawet jemu, choć przecież powiedziano jej, że ma wysoką rangę, co najmniej pułkownika. Chciała mieć już za sobą całą tę spowiedź. Jednym z jej stałych obiektów zainteresowania była lewicująca grupka studentów i komunistyczni dziennikarze, którzy przyjęli ją do swego grona. Donosiła na nich co tydzień, ale jak dotąd bez większych rewelacji. Teraz jednak, bez wyraźnego powodu, grupę opanowała aktywność. Billy Chan został wezwany do Kuala Lumpur na specjalną konferencję, a Johnny'ego i Belinę Fongów poproszono o znalezienie bezpiecznego miejsca na prasę drukarską. Szybko zbliżał się wieczór. Podczas gdy Phoebe gorączkowo relacjonowała, Craw podniósł się dyskretnie i włączył lampę, tak by elektryczne światło nie wytrąciło jej z transu, kiedy już dzień zgaśnie na dobre.

Rozprawiano na temat połączenia się z fukieńczykami w North Point, ale towarzysze na uniwersytecie byli przeciwni, jak zwykle.

— Oni są zawsze na „nie” — rzekła rozeźlona. — Snoby. A ta dziwka Belinda zalega już kilka miesięcy z należnościami i możemy ją wychrzanić z partii, jeśli nie skończy z hazardem.

— I całkiem słusznie, moja droga — odparł Craw ugodowo.

— Johnny Fong mówi, że Belinda jest w ciąży i to nie z nim. Oby. Może ją to wreszcie uciszy...

No cóż, pomyślał Crawl, zdaje się, że kilka razy mieliśmy podobny kłopot z tobą, moja droga, i jakoś cię to nie uciszyło. Pisał jednak dalej sumiennie, mimo iż wiedział, że ani Londyn, ani nikt inny nie przeczyta słowa z tego wszystkiego. W czasach swej świetności Cyrk spenetrował dziesiątki takich grup z nadzieją, że pewnego dnia włączy się do gry, która została idiotycznie nazwana pekińsko--hongkongskim ping-pongiem, i w ten sposób zdobędzie przyczółek w Chinach. Ale owe plany się rozchwiały i obecnie nie miał mandatu, by działać jako stróż bezpieczeństwa Kolonii — rolę tę zazdrośnie strzegła dla siebie Sekcja Specjalna. Tyle że „stateczki” — jak dobrze wiedział Crawl — nie zmieniają kursu tak łatwo jak wiatr, który je popycha. Podkreślał dziewczynę, wtrącając pytania, zagadując o źródła informacji. Czy to tylko pogłoska? A skąd Billy Lee to wie? A może, że trochę fantazjował — dla zachowania twarzy — może to przekłamanie? Crawl użył terminu dziennikarskiego, bo Pheobe była z zawodu, a raczej drugiego zawodu, podobnie jak Jerry i on sam, pismakiem, wolnym strzelcem karmiącym anglojęzyczne dzienniki w Hongkongu smaczными ploteczkami z życia tutejszej chińskiej arystokracji.

Słuchając, czekając, bałamucąc, jak mówią aktorzy, Crawl opowiedział sobie historię jej życia, tak jak to pięć lat wcześniej uczynił na kursie przygotowawczym w Sarratt, tyle że tym razem dokonał tego w myśli, robiąc powtórkę z czarnej magii. Przebój miesiąca, powiedziano później o jego wykładzie. Spodziewając się wydarzenia, zrobiono z tego sesję plenarną. Nawet kierownictwo się zjawilo, by go posłuchać. Ci, którzy nie mieli akurat służby, poprosili o specjalną furgonetkę, która przywiozła ich na czas z osiedli w Watford. Tylko po to, by posłuchać, jak stary Crawl, „wschodniak”, siedząc pod jelenimi rogami w sali przemienionej w bibliotekę, przeprowadza rachunek swego żywota, spędzonego w Wielkiej Grze. „Agenci, którzy sami się werbują”, tak brzmiał tytuł. Na podwyższeniu stała mównica, ale Crawl z niej nie skorzystał. Zamiast tego zdjawszy marynarkę, usiadł na zwykłym krzeselku, z obwisłym brzuchem między szeroko rozstawionymi nogami, z cieniami potu plamiącymi koszulę, i opowiedział im wszystko w ten sam sposób, w jaki opowiedziałby Kręglarzom w huraganową sobotę w Hongkongu, gdyby tylko okoliczności na to pozwalały.

Agenci, którzy sami się werbują, Wasze Łaskawości.

Nikt nie zna się na tym lepiej. Tak mu powiedzieli i on im uwierzył. Jeśli Wschód był domem Crawa, to „stateczki” były jego rodziną — obsypywał je czułościami, dla których zewnętrzny świat jakoś nigdy nie dał mu ujścia. Wychowywał je i szkolił z miłością,

która przyniosłaby zaszczyt każdemu ojcu; i kiedy Tufty Thesinger czmychnął do domu bez uprzedzenia, dla starego wygi nadeszła najcięższa chwila jego życia, albowiem pozostawiono go na lodzie.

Niektórzy ludzie są agentami od urodzenia, panowie — powiedział im — wyznaczeni do tej roboty przez czas i miejsce narodzin lub też przez naturalne predyspozycje. W takim wypadku pozostaje tylko kwestia, kto pierwszy położy na nich łapę.

„My, przeciwnik czy cholerni misjonarze”.

Śmiech.

Następnie podał z życia wzięte przykłady agentów, zmieniając oczywiście ich nazwiska i miejsca działania. Wśród nich wymienił kogoś o pseudonimie Susan, „stateczek” rodzaju żeńskiego, pływający w basenie Azji południowo-wschodniej, urodzony w burzliwym roku 1941, mieszanej krwi. Mówił o Phoebe Wayfarer.

„Ojciec — urzędnik z Dorking bez grosza przy duszy, Wasze Łaskawości. Przybył na Wschód, by dołączyć do jednej ze szkockich firm, która pładrowała wybrzeże sześć dni w tygodniu, a siódmego modliła się do Kalwina. Za biedny by wziąć za żonę Europejkę, więc bierze sobie Chinę i za kilka pensów wije jej gniazdko, no i pseudonim Susan jest tego owocem. W tym samym roku na scenę wkraczą Japończycy. Singapur, Hongkong, Malaje, co chcecie, panowie, historia wszędzie się powtarza. Biorą wszystko w jedną noc. I zostają. W wynikłym zamieszaniu ojciec Susan postępuje bardzo szlachetnie: Do diabła z ostrożnością, Wasze Eminencje — mówi. — Nadszedł czas, by porządni ludzie wystąpili odważnie z szeregu. — ■ Żeni się zatem z chińską damą — czyn, który bym odradzał — chrzci córkę pseudonim Susan i przyłącza się do ochotników, którzy tworzyli śliczną armię bohaterskich głupców, pospolite ruszenie przeciw hordom Nip-ponu. Nazajutrz najeżdźcy odstrzeliwują mu dupę — nie był przecież urodzonym wojownikiem — więc stosownie przenosi się na tamten świat. Amen. Niech urzędnik z miasta Dorking spoczywa w pokoju”.

Kiedy Craw zegna się znakiem krzyża, po sali przetacza się śmiech. Ale on się nie śmieje, gra naturszczyka. W pierwszych dwóch rzędach widzi nowe twarze, gładkie, młode, jak z telewizji; domyśla się, że to świeży narybek spędzony na odczyt mistrza. Ich obecność skłania go do podszlifowania występu. Odtąd ma oko na pierwsze rzędy.

„Pseudonim Susan wciąż jeszcze nosi koszulę w zębach, kiedy jej ojca spotyka *quietus*, ale całe życie będzie pamiętać, że gdy nadchodzi chmura gradowa, Brytyjczycy spełniają swój obowiązek. Z każdym rokiem kocha zmarłego bohatera coraz bardziej. Po wojnie firma handlowa ojca pamięta o niej przez rok czy dwa, po czym dogodnie zapomina. Nieważne. W wieku piętnastu lat jest już wycieńczona

z powodu opieki nad schorowaną matką i pracy w lokalach, by sfinansować własną edukację. Nieważne. Zaprzyjaźnia się z nią pracownik opieki społecznej, jeden z naszych szlachetnych braci; kieruje ją w naszą stronę. — Craw wyciera czoło. — W życiu pseudonimu Su-san rozpoczyna się okres pomyślności i pobożności — stwierdza. — Wprowadzamy ją do gry pod przykrywką dziennikarki, dajemy jej chińskie gazety do tłumaczenia, wysyłamy na małe zlecenia, angażujemy w naszą pracę, pomagamy skończyć szkołę i przyuczamy do nocnej roboty. Odrobina pieniędzy, odrobina opieki, odrobina miłości, odrobina cierpliwości i wkrótce nasza Susan może się już poszczycić kilkoma legalnymi wyjazdami do czerwonych Chin, w tym jedną dość niebezpieczną robotą. Umiejętnie wykonaną, Wasze Łaskawości. Robiła za kurierkę i odważnie zbliżyła się do wuja w Pekinie, co przyniosło efekty. I wszystko mimo tego, moje zuchy, że jest w połowie *kwailo* i Chińczycy niezbyt jej ufają.

A kim przez cały ten czas jest dla niej Cyrk?! — ryknął Craw na oczarowaną publiczność. — Kim dla niej jesteśmy, moje zuchy? — Stary magik cichnie i podnosi tłusty palec wskazujący. — Ojcem. — Cisza jak makiem zasiał. — Jesteśmy zmarłym urzędnikiem z Do-rking. Świętym Jerzym, oto, kim jesteśmy. Oczyszczającym chińskie społeczności ze szkodliwych elementów, kimkolwiek, cholera, one są. Likwidującym triady i kartele ryżowe, gangi handlarzy opium i dziecięcą prostytutkę. Kiedy trzeba było, miała nas nawet za cichego sprzymierzeńca Pekinu, ponieważ nam, Cyrkowi, leżało na sercu dobro dobrych Chińczyków". Craw przetoczył ognistym spojrzeniem po rzędach dziecięcych twarzy, z trudem zachowujących poważne miny.

„Czyżby ktoś z Waszych Łaskawości się uśmiechał?“ — zapytał głosem jak grom. Nikt.

„Pamiętajcie — zakończył — że pewna jej częśćka zawsze wiedziała, że to wszystko bzdury. I tu wkraczacie wy. To właśnie tu »frontowiec« musi być zawsze gotów. O tak, jesteśmy strażnikami wiary, moje zuchy. Kiedy ona się chwieje, my ją podtrzymujemy. Kiedy upada, my chwytamy ją w nasze ramiona. — Sięgnął szczytu. W kontrapunkcie pozwolił głosowi opaść do aksamitnego pomruku.

— Choć ta wiara jest zwariowana, nigdy nią nie pogardzajcie. W dzisiejszych czasach nie mamy im chyba nic cenniejszego do za oferowania. Amen".

Na swój bezwstydnie emocjonalny sposób stary Craw pamiętał tamte oklaski do końca zycia.

Phoebe skończyła składanie raportu i pochyliła się do przodu, z łokciami na kolanach, z kłykciami wielkich dłoni wspartymi o siebie

niczym zmęczeni kochankowie. Craw podniósł się uroczyście, wziął jej notatki ze stołu i spalił je na kuchence.

— Brawo, moja droga — rzekł cicho. — Złoty tydzień, jeśli mogę tak powiedzieć. Coś jeszcze?

Pokręciła głową.

— To znaczy do spalenia?

Znów pokręciła głową.

Przyglądał się jej bacznie.

— Słuchaj, Pheeb — rzekł, jakby właśnie podjął ważną decyzję. — Rusz tyłek, pora, żebym cię zabrał na kolację.

Obejrzała się na niego, zaskoczona. Alkohol uderzył jej do głowy, jak zawsze.

— Ośmielam się stwierdzić, że przyjemna kolacyjka kolegi i ko leżanki po piórze co jakiś czas nie niweczy kamuflażu — dodał. — No co?

Kazała mu patrzeć w ścianę, a sama włożyła ładną sukienkę. Miała kiedyś śpiewającego ptaszka, ale zdechł. Kupił jej wówczas drugiego, ale ten też zdechł, doszli więc do wniosku, że to mieszkanie nie sprzyja hodowli śpiewających ptaszków i dali spokój.

— Jednego dnia zabiorę cię na narty — rzekł, gdy zamykała za nimi frontowe drzwi. To był stary żart dotyczący owego zdjęcia Alp nad jej łóżkiem.

— A drugiego gdzie? — spytała, i to też pochodziło z ich wspólnego repertuaru dowcipów.

Tego burzliwego roku, jak powiedziałby Craw, wciąż opłacało się jadać na sampanach w Zatoce Causeway. Pierwsi obywatele miasta jak dotąd nie odkryli owego zacisza i jedzenie było tam tanie jak nigdzie indziej. Craw zaryzykował mimo złej pogody i nim dotarli do nabrzeża, mgła się podniosła, a nocne niebo przejaśniło. Wybrał najbardziej wysuniętą w morze łódkę, unieruchomioną wśród gromady małych dżonek. Kucharz kucnął przy kociołku na węgiel drzewny, a jego żona serwowała potrawy. Kadłuby dżonek majaczyły powyżej, zasłaniając gwiazdy, a żyjące na łodziach dzieci przewalały się z pokładu na pokład niczym kraby, podczas gdy ich rodzice nucili zabawne modlitwy, niesione echem nad czarną zatoką. Craw i Phoebe przysiedli na drewnianych zydelkach pod zwiniętym baldachimem, pół metra nad powierzchnią wody, i zaczęli jeść kielby przy blasku lampy. W dali, za falochronami, przepływały stateczki — rozświetlone budynki w drodze — a dżonki bujały się na wzbitych przez nie falach. Po drugiej stronie tętniła życiem, jęcząc i szemrząc, Wyspa. Slumsy migwały jak szkatułki biżuterii, otwarte złudną pięknnością nocy. Nad tym wszystkim czuwał, dostrzegany przelotnie między salutującymi

palcami masztów, czarny Peak Victorii z przemokłą twarzą, zawoalowaną księżycową poświatą — bogini, wolność, pokusa dzikiego zgiełku w dolinie.

Rozmawiali o sztuce. Phoebe rozpoczęła gadkę, którą Caw nazywał w myśli „numerem z kultury”. Bardzo nudne. Pewnego dnia, powiedziała ospale, wyreżyseruje film, może dwa, o prawdziwych Chinach, o tych, które istnieją naprawdę. Ostatnio widziała romans historyczny o intrygach pałacowych zrobiony przez Run Run Shawa. Uważała, że film jest znakomity, tylko trochę, hm, zbyt... heroiczny. A teraz teatr. Czy Caw słyszał wspaniałą nowinę, że być może Cambridge Players przyjadą w grudniu z nowym spektaklem? Na razie to tylko pogłoski, ale miała nadzieję, że się potwierdzą w następnym tygodniu.

— Byłoby zabawnie — rzekł Caw serdecznie.

— Wcale nie byłoby zabawnie — odparła srogim tonem. — Cambridge Players specjalizują się w ciętej satyrze społecznej.

Uśmiechnął się w mroku i dołał jej piwa. Człowiek uczy się całe życie, powiedział sobie. Całe życie, Wasze Łaskawości.

Wtem, bez żadnych podchodów z jego strony, zaczęła mówić o chińskich milionerach, a właśnie na to czekał cały wieczór. W świecie Phoebe hongkongscy bogacze byli rodziną królewską. O ich słabostkach i wybrykach opowiadano sobie do znudzenia, jak w innych krajach o życiu aktorek czy piłkarzy. Miała wszystko w małym palcu.

— A kto tym razem został łotrem tygodnia, Pheeb? — spytał Caw jowialnie.

— Kogo by tu wybrać? — zastanawiała się kokieteryjnie, udając, że nie może się zdecydować. Był oczywiście ten świntuch PK; w czwartek miał sześćdziesiąte ósme urodziny. Trzecia żona, dwa razy młodsza. No i jak PK obchodzi swoje święto? Jedzie do miasta z dwudziestoletnią zdziwą.

Obrzydliwe, zgodził się Caw.

— PK — powtórzył. — PK to ten facet od bram, zgadza się?

Stu tysięcy hongkongskich bram, poprawiła go Phoebe. Prawie trzymetrowe słupy w kształcie smoków, odlane z włókna szklanego i pleksiglasu, tak że rozświetlają się od środka. Albo może raczej ta świnka YY, zmieniła nagle zdanie. Z pewnością może pretendować. YY ożenił się dokładnie miesiąc temu z tą miłą córką }] Hawa, z Ha-wów i Chanów, królów tankowców. Tysiąc homarów na stole weselnym. Przedwczoraj wieczorem pojawił się w hotelu z nową kochanką, nabytą za pieniądze żony, zupełne zero, tyle że ubrał ją u Saint-Lau-renta i wystroił w kołnierz z poczwórnie złożonego sznura pereł firmy Mikimoto, oczywiście wypożyczonego. Phoebe opowiadała z odrazą, ale jednocześnie z przejęciem.

— Och, Bill — westchnęła — ta dziewczynka wyglądała wprost fantastycznie u boku tej ropuchy. Żałuj, że nie widziałeś.

Albo może Harold Tan, przemyśliwała sennie. Ten jest wyjątkowo ohydny osobnikiem. Przywiózł samolotem dzieci na święta z prywatnego liceum w Szwajcarii, pierwszą klasą z Genewy. O czwartej nad ranem wszyscy pieścili się nadzy wokół basenu, jego dzieciaki i ich koledzy, wylewając szampana do basenu, a on ich fotografował.

Craw czekał; trzymał w głowie dla Phoebe szeroko otwarte drzwi, ale ona nie wchodziła, a on był zbyt szczwanym lisem, by ją poganiać. Czuczouczyicy są najlepsi, powiedział figlarnie.

— Czuczouczykom nie przyszłyby do głowy takie głupstwa, prawda? Mają długie kieszenie, ale bardzo krótkie ręce — rzekł, na prowadzając ją na kurs. — Przy nich nawet Szkot jest hojny.

Phoebe ani w głowie było pokpiwać.

— Nie wierz w to — odparła śmiertelnie poważna. — Wielu Czuczouczyków ma szczerą rękę i szlachetny umysł.

Narzucal jej telepatycznie konkretne nazwisko, tak jak prestidigitator narzuca jednemu z widzów konkretną kartę, ale ona wciąż się wahała, krążyła, myślała o innych. Wymieniła takie i owakie, w końcu urwała i poprosiła o więcej piwa. Nagle, kiedy już stracił nadzieję, powiedziała sennie:

— Jeśli chodzi o Drake'a Ko, to on jest bez skazy. Nie życzę sobie złego słowa o Drake'u Ko.

Teraz z kolei trzeba było ją nieco odciągnąć. A co sądzi o rozwodzie starego Andrew Kwoka, spytał. Jezu, to dopiero musiało kosztować! Mówią, że już dawno by go zostawiła, tylko że czekała, aż on uzbiera sporą kupkę mamony i będzie wart rozwodu. Prawda to, Pheeb? Dopytywał się dalej — trzy, pięć nazwisk — i dopiero po chwili połknęła przynętę.

— Czy słyszałaś, żeby Drake Ko miał okrągłooką utrzymankę? Jeden facet mówił coś na ten temat w klubie. Blondynka, podobno niezła sztuka.

Phoebe lubiła myśleć o Crawie jako o byłym walcu Klubu Hongkongskiego. To kołło jej kolonialne tęsknoty.

— Och, przecież wszyscy o tym wiedzą — odrzekła znudzona, jakby Craw znów, jak zawsze, pozostawał lata świetlne za aktualnościami. — Był czas, że wszyscy chłopcy mieli takie dziewczyny, nie wiedziałeś? PK miał dwie, rzecz jasna. Harold Tan też miał taką, aż w końcu ukradł mu ją Eustachy Chow, a Charlie Wu chciał wziąć kiedyś swoją na kolację z gubernatorem, ale jego *tai-tai* nie pozwoliła szoferowi jej zabrać.

— Skąd, cholera, oni je biorą? — spytał Craw ze śmiechem. — Z zakonów żeńskich?

— Z linii lotniczych, a skąd? — odparła Phoebe z przyganą w głosie. — To stewardesy. Dorabiają podczas postojów samolotów, i to nieźle. Pięćset amerykańskich dolarów za jedną noc dla białej kurwy. Zdarzają się również panie z angielskich linii, nie oszukuj się. Szczerze mówiąc, to Angielki są w tym niezrównane. Harold Tan lubił swoją tak bardzo, że uwił jej stałe gniazdko. Wkrótce wszystkie miały tu swoje mieszkanie i przechadzały się po sklepach jak księżniczki za każdym razem, gdy przylatywały na cztery dni do Hongkongu. Cztery dni, wystarczająco długo, by człowiekowi zrobiło się niedobrze. Ale chcę ci powiedzieć, że Liese to zupełnie inny typ kobiety. Liese ma klasę. To prawdziwa arystokratka, wystarczy spojrzeć na jej kościec, by to wiedzieć. Jej rodzice są właścicielami wspaniałych ziem na południu Francji i jakiejś wysepki na Bahamach. Nie przyjmuje od nich pieniędzy tylko dlatego, że chce być całkowicie niezależna.

— Liese? — powtórzył Craw. — To Szwabka, co? Nie zadaję się ze Szwabami. Nie mam żadnych uprzedzeń do Niemców, po prostu ich nie lubię. Jestem ciekaw, na co takiemu porządnemu czuczouc-kiemu chłopakowi jak Drake Ko Szwabka na konkubinę? Ty powinnaś to wiedzieć, Pheeb, ty jesteś ekspertem, to twoja działka. Jak to jest?

Przeszli na tył sampana i położyli się obok siebie na poduszkach.

— Nie bądź śmieszny — warknęła Phoebe. — Liese to rodowita Angielka, w dodatku w jej żyłach płynie błękitna krew.

— Tralala—odparł Craw i przez chwilę wpatrywał się w gwiazdy.

— Ma na niego jak najbardziej pozytywny i wysubtelniający wpływ.

— Kto? — spytał nagle Craw, jakby stracił wątek.

— Liese — odpowiedziała Phoebe przez zaciśnięte zęby. — Liese ma jak najbardziej wysubtelniający wpływ na Drake'a Ko. Bill, słyszysz? Co ty, śpisz? Chyba powinieneś mnie odwieźć do domu. Proszę cię, odwieź mnie do domu.

Craw westchnął głęboko. Te sprzeczki godne kochanków zdarzały im się przynajmniej raz na pół roku i miały oczyszczający wpływ na ich związek.

— Moja droga Phoebe. Wysłuchaj mnie przez chwilę, dobrze? Żadna Angielka, nieważne czy szlachetnie urodzona, czy o subtelnym kościcu czy o iksach, nie ma na imię Liese. Ona jest Szwabką, to jasne jak słońce. I pewnie na nazwisko ma Muller.

— Nie, Worth.

— Przepraszam, żartowałem. Worth? Aha, więc prawdopodobnie na imię ma Elizabeth. Skrócone do Lizzie albo Liza. Źle usłyszałaś. Dobrze, jeśli tak bardzo ci zależy, przynajmniej, że panna Elizabeth Worth ma w żyłach błękitną krew. Rzeczywiście, teraz już widzę ten kościec. Nie Liese, moja droga, tylko Lizzie.

Phoebe szlag trafił.

— Nie waż się mi mówić, jak mam coś wymawiać! — wrzasnęła.

— Ona ma na imię Liese, wymawia się „Lisa”, a pisze się L-I-E-S-E! Wiem, bo ją pytałam i zapisałam to, a potem wydrukowałam w... Och, Bill, zawieź mnie do domu.

Rozplakała się. Craw przytulił ją do siebie, głaszcząc po ramieniu.

— No już, rozchmurz się, to moja wina, nie twoja. Powinienem był się domyślić, że to twoja przyjaciółka. Liese, piękna i bogata ko bieta z socjety, którą łączy romantyczny związek z przedstawicielem nowej magnaterii. Jak taka ostra dziennikarka jak Phoebe mogłaby się z nią nie zaprzyjaźnić? Byłem niemądry. Proszę, wybac mi. — Po zwolił sobie na porządną przerwę. — Co się stało? — spytał łagodnie.

— Zrobiłaś z nią wywiad, tak?

Po raz drugi tego wieczora Phoebe wytarła łzy chusteczką Crawa,

— Błagała mnie. Ona nie jest moją przyjaciółką. Zbyt wysoko stoi, by nią być. Jak mogłaby? Błagała, bym nie drukowała jej nazwiska. Jest tu incognito. To stawka życia lub śmierci. Gdyby jej rodzice dowiedzieli się, że jest tutaj, zaraz by po nią kogoś przysłali. Są niewiarygodnie wpływowi. Mają własne samoloty, wszystko. Jak tylko by się dowiedzieli, że żyje z Chińczykiem, zaczęliby wywierać niewiarygodną presję, by ją odzyskać. „Phoebe — powiedziała do mnie — ze wszystkich ludzi w Hongkongu ty najlepiej zrozumiesz, co znaczy żyć w cieniu nietolerancji”. Błagała mnie. Obiecałam, że nie wydrukuję jej nazwiska.

— Całkiem słusznie — odparł stanowczo Craw. — I nigdy nie złam tej obietnicy. Jesteś nią związana. — Westchnął z podziwem.

— Zawsze to powtarzam: bezdroża żywota są jeszcze bardziej kręte niż jego drogi. Gdybyś to napisała, twój naczelny powiedziałby, że coś masz nierówno pod sufitem, a jednak to prawda. Olsniewający, wspaniały przykład bezinteresownej szlachetności. — Zamknęła oczy, więc szturchnął ją, by je otworzyła. — Zadaję sobie pytanie, gdzie taki związek ma swój początek? Jakaż to gwiazda, jakież szczęśliwy traf połączył te dwie, tak potrzebne sobie duszyczki? I gdzie byłoby to możliwe? Tylko w Hongkongu, rzecz jasna.

— To przeznaczenie. Ona wcale tu nie mieszkała. Porzuciła świat po przeżyciu nieszczęśliwej miłości i postanowiła spędzić resztę życia na robieniu wspaniałej biżuterii, tak aby wśród tylu cierpień ludzie mieli coś pięknego. Przyleciała tu na dzień czy dwa, żeby kupić trochę złota, i zupełnie przypadkowo, na jednym ze słynnych przyjęć u Sally Cale, poznała Drake'a Ko. I tyle.

— I odtąd żyją ze sobą długo i szczęśliwie?

— Oczywiście, że nie. Poznała go i pokochała. Ale była zdecydowana nie angażować się w nic nowego i wróciła do domu.

— Do domu? — powtórzył zaintrygowany Craw. — A gdzie jest dom kobiety o tak szlachetnym sercu?

Pheobe się roześmiała.

— Na pewno nie na południu Francji, niemądry. W Vientiane. W mieście, do którego nikt nie przyjeżdża. W mieście bez śmietanki towarzyskiej, bez żadnych luksusów, do których przywykła od urodzenia. Wybrała to miasto na swoją wyspę. Miała tam przyjaciół, interesowała się buddyzmem, sztuką i starożytnością.

— A gdzie teraz przebywa? Wciąż w jakimś skromnym miejscu, nadal wierna swym zasadom wstrzeźliwości? Czy też brat Ko pozyskał ją dla mniej surowej filozofii życia?

— Nie bądź sarkastyczny. Oczywiście Drake podarował jej przepiękny apartament.

Osiągnęli punkt krytyczny, Craw od razu to zrozumiał i nakrył kartę innymi — zaczął opowiadać Phoebe historyjki o Szanghaju. Nie zrobił kolejnego kroku ku Liese Worth, choć Phoebe mogłaby mu zaoszczędzić sporo łażenia.

„Za każdym »frontowcem« — mawiał — tak jak za każdym malarzem, moje zuchy, powinien stać kumpel z młotkiem, gotów uderzyć go w głowę w chwili, gdy ten chce się posunąć za daleko”.

Uspokoiła się, gdy wracali do domu taksówką, choć nadal drżała. Zachował się z klasą, wybaczył jej całkowicie. Odprowadził pod same drzwi i chciał pocałować w progę, ale się odsunęła.

— Bill, posłuchaj. Czy ze mnie jest jakiś pożytek? Powiedz mi. Jeśli nie ma, to mnie zwolnij, koniecznie. Dziś nic nie miałam. Je steś słodki, udajesz, a ja przecież nic nie miałam. Jeśli jest dla mnie jakiś inna robota, to ją wezmę. W przeciwnym razie powinieneś mnie zwolnić, bez skrupułów.

— Będą jeszcze inne wieczory — zapewnił ją i dopiero wtedy pozwoliła się pocałować.

— Dziękuję ci — odparła.

— No i macie, Wasze Łaskawości — rzekł do siebie szczęśliwy w taksówce jadącej do hotelu Hilton. — Pseudonim Susan harowała dla nas jak wół, a mimo to każdego dnia była warta coraz mniej, ponieważ agenci warci są dokładnie tyle, ile przeciwnik, na którego się ich posyła. Taka jest prawda. A tego razu, gdy dała nam złoto, najczystsze złoto, panowie — w myśli wzniosł ten sam gruby palec, adresując przesłanie do grzecznie siedzących w pierwszych rzędach żółtodziobów — zupełnie o tym nie wiedziała i nigdy nie miała się dowiedzieć!

Nawet z najlepszych dowcipów, które Craw kiedyś napisał, ludzie rzadko się śmieją, albowiem są one zbyt poważne. Tamtego roku, na przykład, zbudowano w nie dokończonym wieżowcu pub w stylu Tudorów, gdzie wydekoltowane zgodnie z duchem epoki angielskie dziewoje podawały z kwaśnymi minami angielskie piwo o dwadzieścia stopni zimniejsze od jego przepisowej angielskiej temperatury, podczas gdy w korytarzu spoceni Kitajce w żółtych kaskach uwijali się jak w ukropie przez całą dobę, żeby wykończyć windy. Można też było zajść do włoskiej tawerny, w której odlane w żelazie kręte schodki wiodły jakoby na balkon Julii, a tak naprawdę kończyły się nieoczekiwanie na pustym gipsowym suficie. Była też szkocka gospoda z Chińczykami w spódniczkach, którzy wszczykali czasem burdy albo z upału, albo z powodu podniesienia opłat za przejazd promem „Star Ferry”. Craw odwiedził nawet palarnię opium wyposażoną w klimatyzację i szafę grającą, odtwarzającą bez przerwy „Greensleeves”*. Ale najosobliwszy ze wszystkiego i najbardziej niezwykly portfelowi Crawa był ów bar na ostatnim piętrze wieżowca, z panoramą na port, z czteroosobową chińską kapelą grającą Noela Cowarda, ze śmiertelnie poważnymi chińskimi barmanami w perukach i frakach, wyłaniającymi się z mroku i pytającymi dobrą amerykańską angielszczyzną: „Czego pan się z przyjemnością napije?”

— Piwa — warknął gość Crawa, częstując się garścią solonych migdałów. — Ale musi być zimne. Słyszysz? Baaaardzo ziiiiimne. I to raz, dwa.

— Czy fortuna uśmiechnęła się do Waszej Eminencji? — zapytał Craw.

— Opuść tę gadkę, co? Wkurza mnie.

Na ufortyfikowanym obliczu inspektora gościł niepodzielnie wyraz bezdenne go cynizmu. Jeśli człowiek może wybrać między dobrem a złem, wyrażało jego nieszczęsne spojrzenie spode łba, zawsze wybiera zło, a ludzkość dzieli się na tych, którzy są tego świadomi i akceptują to, oraz na długowłosych pedałów z Whitehallu, którzy wierzą w świętego Mikołaja.

— Masz już jej teczkę?

— Nie.

— Nazywa się teraz Worth. Ucięła sobie dwie sylaby.

— Cholera, wiem, jak się nazywa. Może się nawet nazwać Mata Hari, i tak nic z tego. Nie ma jej teczki.

— Ale była?

— Racja, stary, była. — Rocker uśmiechnął się wściekle, naśladowując akcent Crawa. — Była, ale się zmyła. Czy wyrażam się jasno, czy

* Popularna szesnastowieczna ballada angielska (przyj. tłum.).

też mam to dla ciebie napisać sympatycznym atramentem na dupie gołębia pocztowego, cholerny kangurze?

Craw siedział przez chwilę cicho, pijąc drinka jednostajnymi, równymi łykami.

— Czy to sprawka Ko?

— Co jest sprawką Ko? — Rocker udawał tępego.

— Brak teczki.

— Możliwe.

— Epidemia znikania teczek najwyraźniej się rozszerza — skomentował Craw po kolejnej przerwie na zwilżenie gardła. — W Londynie się kicha, a w Hongkongu zaraz łapią grypę. Proszę przyjąć wyrazy ubolewania kolegi po fachu, wyrazy braterskiego współczucia. — Zniżył głos do monotonnego pomruku. — Czy nazwisko Sally Cale wzbudza jakieś skojarzenia w szlachetnej głowie Waszej Łaskawości?

— Nigdy o kimś takim nie słyszałem — odparł Rocker przekornie.

— W czym ona robi? — zapytał Craw.

— Chichi Antiquities, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością na Koulunie. Grabież starożytnych dzieł sztuki, dobre podróbki, wizerunki Buddy.

— Skąd?

— Prawdziwe cacka przychodzą z Birmy, przez Vientiane. Podroby robią na miejscu. Sześćdziesięcioletnia lesbijka — dodał kwaśno, zaznajamiając się ostrożnie z kolejnym piwem. — Trzyma owczarki niemieckie i szympansy. Twój gust.

— Ważna figura?

— Coś ty.

— Sugerowano mi, że to Cale poznała dziewczynę z Ko.

— No to co z tego? Ona po prostu naraja białą kurewkę. Czuczuczycy lubią ją za to i ja też. Prosiłem ją kiedyś, żeby mi jedną wystawiła, ale bezczelna locha powiedziała, że żadna nie jest wystarczająco młoda.

— Nasza wątpa piękność przyjechała tu podobno kupić trochę złota. Czy to pasuje?

Rocker zerknął na Crawa ze świeżą dawką nienawiści, a Craw na niego i doszło do kolizji dwóch nieruchomych spojrzeń.

— Jasne, cholera, że pasuje — odparł pogardliwie. — Cale miała przecież udziały w złocie z Makau.

— A gdzie tu pasuje łóżko Ko?

— O rany, daj już spokój, dzielisz włos na czworo. Cale to figurantka. W tym od samego początku Ko pociągał za sznurki. Ten jego tłusty buldog pojechał z nią jako współnik.

— Tiu?

Rocker znów pogrążył się w piwnej melancholii, ale Crawa nie można było zniechęcić. Australijczyk przysunął pstrokatą głowę do bezkształtnego ucha Rockera.

— Wujek George będzie wielce zobowiązany za wszelkie informacje o wyżej wspomnianej Cale. Rozumiemy się? Odwdzięczy się z nawiązką. Jest szczególnie zainteresowany tym, co robiła od feralnego dnia, kiedy to przedstawiła naszą dziewczynkę wielkiemu protektorowi Czuczouczyków, aż do dzisiaj. Nazwiska, daty, wszystko, co tylko masz w spizarni. Jasne?

— Ty powiedz swemu wujkowi, że przez niego mogę dostać pięć lat w pierdlu w Stanley!

— A przecież nie chciałbyś się tam znaleźć nawet dla towarzystwa, co chłopie? — spytał Caw uszczypliwie.

Była to niemiła aluzja do ostatnich wydarzeń w świecie Rockera. Dwaj z jego wyższych rangą kolegów zostali skazani na kilka lat, a byli jeszcze inni skruszeni, których czekał podobny los.

— Korupcja — mruknął wściekły Rocker. — Wielkie mi odkrycie. Pewnie po tym odkryją Amerykę. Od tych harcerzyków chce mi się rzygać.

Craw znał już tę gadkę, ale wysłuchał jej i teraz, bo miał wspaniały dar słuchania, który cenią w Sarratt znacznie bardziej niż zdolność komunikacji.

— Trzydzieści tysięcy Europejczyków i cztery miliony skończyłych, dwie różne kultury i dwie moralności plus parę z najlepiej zorganizowanych syndykatów zbrodni na świecie. Co, według nich, mam robić? Nie możemy powstrzymać zbrodni, więc jakie jest inne wyjście, by ją kontrolować? Wyłuskujemy bonzów i wchodzimy z nimi w układ, co innego możemy zrobić? „Dobra chłopaki, żadnych przy padkowych ofiar, żadnych wojen terytorialnych, wszystko spokojnie i cacy, tak żeby moja córka mogła bez strachu wyjść o każdej porze na ulicę. Chcę mieć dużo aresztantów, żeby sędziowie mieli co robić i żebym zasłużył na moją żalną emeryturę, i niech Bóg ma w opiece tego, kto złamie te reguły albo nie będzie szanował władz”. Jasne, że płacą niewielkie „placowe”. Pokaż mi choć jedną osobę na tej Wyście, która nigdy nie płaciła. A jeśli są ludzie, którzy dają w łapę, to są i tacy, którzy biorą. To chyba jasne. A jeśli są ludzie, którzy biorą... Poza tym — dodał Rocker, znudzony nagle własnymi dywagacjami — wujaszek George i tak już to wszystko wie.

Craw uniósł powoli lwią głowę, a jego badawcze spojrzenie spoczęło na odchylonej twarzy Rockera.

— Co wie, jeśli wolno spytać?

— O cholerniej Sally Cale. Rozpracowaliśmy ją dla was wieki temu. Planowała podkopać funta szterlinga czy coś takiego. Wyprze-

dawała złoto na rynkach w Zurychu. Spartaczone jak zwykle, jeśli chcesz znać moje zdanie.

Minęło bite pół godziny, nim stary Australijczyk z trudem podniósł się od baru, życząc Rokerowi wielu lat życia i pomyślności.

— A ty nie noś dupy zbyt wysoko — warknął inspektor.

Tej nocy Craw nie poszedł do siebie, lecz do domu swych przyjaciół, prawnika po Yale i jego żony, którzy byli właścicielami jednej z ponad dwustu prywatnych willi w Hongkongu — wiekowej, pośpiesznie wzniesionej rezydencji na Pollock Path, na samym szczycie Peaku. Miał klucz. Na podjeździe stał konsularny samochód, i nic dziwnego, albowiem przyjaciele Crawa znani byli ze słabości do sfer dyplomatycznych. Wszedłszy do pokoju, Craw zobaczył młodego Amerykanina siedzącego w wiklinowym bujaku i czytającego grubą książkę. Widok schludnego blondyna w garniturze dyplomaty najwyraźniej go nie zdziwił, albowiem słowem nie odezwał się do mężczyzny, tylko usadowił się za biurkiem i zaczął kreślić na pojedynczej kartce papieru wielkimi literami wiadomość przeznaczoną wyłącznie dla Jego Świątobliwości Smileya, z daleka od rąk heretyków. Potem na drugiej kartce rozrysował dobrany klucz. Gdy skończył, wręczył obie kartki Amerykaninowi, który z pietyzmem włożył je do kieszeni i wyszedł bez słowa. Zostawszy sam, Craw zaczął na warkot odjeżdżającej limuzyny, po czym otworzył i przeczytał pozostawione dla niego przez gościa instrukcje. Następnie je spalił, splukał popiół w zlewie i dopiero wtedy wyciągnął się z wdzięcznością na łóżku.

Dzień Merkurego, pomyślał. Mam ich czym zaskoczyć. Był zmęczony. Jezu, i to jak bardzo. Ujrzał zwarte szeregi sarrackich dzieci. A jednak idziemy do przodu, Wasze Łaskawości, nieubłagane idziemy do przodu. Wprawdzie krokiem ślepcy, po omacku, w ciemności, ale jednak. Czas zakurzyć trochę opium. Czas znaleźć miłe dziewczę, które by człowieka rozweseliło. Jezu, ale był zmęczony.

Smiley pewnie nie mniej, ale gdy godzinę później otrzymał wiadomość od Crawa, natychmiast się ożywił, o tyle bardziej, że tym razem teczka, o którą chodziło — teczka panny Sally Cale, ostatnio parającej się rozprowadzaniem heroiny — była cała i zdrowa, leżała nietknięta w archiwach Cyrku. To nie wszystko. Na jej okładce pysznił się, niczym chorągiew wzniesiona ku chwale długo oczekiwanego zwycięstwa, kryptonim tajnego rezydenta Cyrku w Vientiane, Sama Collinsa.

HERBATKA I WSPÓŁCZUCIE

Odkąd kurtyna podniosła się nad sprawą Delfina, niejedną raz obwiniano Smileya o to, że niepotrzebnie zwleka z przyciśnięciem do muru Sama Collinsa. George mógłby w ten sposób wielokrotnie pójść na skróty, twierdzili wtajemniczeni. Mógłby zaoszczędzić dużo cennego czasu.

Gadali wierutne głupstwa.

Po pierwsze, czas nie miał znaczenia. Rosyjska żyła złota i operacja, którą dzięki niej finansowano, miały już wiele lat i pozostawione w spokoju prawdopodobnie trwałyby nadal. Jedynymi, którzy domagali się czynów, byli baronowie z Whitehallu, pracownicy Cyrku i, pośrednio, Jerry Westerby, który przez kolejne kilka tygodni nie miał nic innego do roboty jak obgryzać z nudów paznokcie i czekać, aż Smiley skrupulatnie zaplanuje jego następne posunięcie. Poza tym zbliżało się Boże Narodzenie, a wtedy wszyscy stają się niecierpliwi. Nie było ani nowych śladów Ko, ani sygnałów o rozwoju operacji, którą prowadził. „Ko i jego radzieckie pieniądze stały przed nami nieruchomo jak góra” — napisał później Smiley w raporcie kończącym sprawę Delfina. „Mogliśmy się zjawić na miejscu, kiedy tylko chcieliśmy, ale nie mogliśmy tej góry poruszyć. Problemem miało być nie to, jaki my powinniśmy wykonać ruch, ale jak zmusić do ruchu Ko, tak byśmy mogli przejrzeć jego zamiary”.

Przesłanie tej lekcji jest jasne: Smiley na długo przed innymi z wyjątkiem może Connie Sachs — dostrzegł w dziewczynie inicjatorkę wypadków i w tym sensie najważniejszą postać w całej obsadzie, znacznie ważniejszą niż na przykład Jerry Westerby, którego w każdej chwili mógł kimś zastąpić. To był właśnie jeden z istotnych powodów, dla których uznał za najważniejsze zbliżyć się do niej na tyle, na ile tylko pozwalały względy bezpieczeństwa. Drugim był wciąż niejasny charakter stosunków łączących ją z Samem Collinsem. Dziś łatwo wzruszyć ramionami i rzec: „to przecież oczywiste”, ale wtedy kwestia ta pozostawała nie rozwiązana i zamrożona. Wskazówka znajdowała się w teczce Cale. Intuicja Smileya pozwoliła zapełnić kilka luk w agenturalnej przeszłości Sama; pośpieszne badania dokonane w rejestracji zaowocowały kolejnymi informacjami oraz całą serią przykładów z analogicznych spraw, antologia zaś raportów Collinsa z terenu okazała się oświeceniem. Fakt pozostaje faktem: im dłużej Smiley trzymał Sama z dala od aktualnych wydarzeń,

tym bliżej mu było do niezależnego zrozumienia związku między nim a dziewczyną oraz między nią a Ko. Tym silniejsza miała być również jego karta przetargowa, gdy już usiądą razem z Samem do nowej rozgrywki.

Poza tym kto może mieć pewność, jak Sam by się zachował pod presją? Prawda, inkwizytorzy mieli sukcesy na swoim koncie, ale zdarzały się im również porażki. Sam był twardym orzechem do zgryzienia.

Smiley miał na względzie jeszcze jedno, choć okazał się zbyt wielkim dżentelmenem, by wspomnieć o tym w końcowym raporcie. Bezpośrednio po „upadku” krążyło po Cyrku wiele duchów i demonów, a jednym z nich była przemożna obawa, że gdzieś w mroku czai się zakonspirowany następca Billa Haydona, zwerbowany, wyszkolony i wprowadzony przez niego do gry z myślą o dniu, gdy on sam, w taki czy inny sposób, zejdzie ze sceny. Początkowo Haydon promował Sama. Późniejsza niełaska mogła być tylko mydleniem oczu. Kto byłby w stanie stwierdzić z całkowitym przekonaniem w panującym wówczas nastroju niepewności, że starający się o powtórne przyjęcie Sam Collins nie jest spadkobiercą zdrady Haydona?

Z tych oto względów George Smiley włożył płaszcz przeciwdeszczowy i wyszedł, by się z kimś spotkać. Zrobił to z ochotą, nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości, albowiem w głębi duszy wciąż był oficerem wywiadowczym, a nie urzędnikiem. Przyznawali to nawet jego krytycy.

Gdy pojawił się dyskretnie w starej dzielnicy Barnsbury, w londyńskiej gminie Islington, deszcz zrobił sobie akurat przerwę na drugie śniadanie. Ociekające wodą nasady kominowe na dachach wiktoriańskich domów niczym przemoknięte gołębie stroszyły się wśród anten telewizyjnych. Za nimi, podtrzymywane rusztowaniem, widniały zarisy nowego osiedla, nie dokończonego z braku funduszy.

— Pan... ?

— Standfast — odpowiedział uprzejmie Smiley spod parasola. Prawi ludzie rozpoznają się instynktownie. Gdy tylko Peter Worthington otworzył drzwi i objął spojrzeniem stojącą w progu zmokniętą, grubawą postać — wypchana czarna urzędowa teczka z wytłoczonymi na plastikowej klapce literami Ej/R, widoczne u gościa nieśmiałość i sfatygowanie — jego życzliwe oblicze rozjaśnił przyjazny uśmiech.

— Proszę, miło, że pan wpadł. Ministerstwo Spraw Zagranicznych jest teraz chyba na Downing Street, co? Ale pan przemókł, pewnie jechał pan metrem z Charing Cross? Niech pan wejdzie, zrobię herbatę.

Uczył niegdyś w prywatnej szkole, ale zdradził ją dla oświaty państwowej, ponieważ dawała więcej satysfakcji. Miał powściągliwy, miły dla ucha, wierny mu głos. Nawet jego ubranie charakteryzowało się swego rodzaju lojalnością. Peter Worthington liczył zaledwie trzydzieści cztery lata, ale jego gruby tweedowy garnitur miał się nosić — choć może nie w tym sensie, w jakim tego wyrażenia używają kreatorzy mody — tak długo, jak długo jego właściciel będzie go potrzebował. Ogrodu nie było. Okna gabinetu wychodziły prosto na betonowe boisko. Szyby chroniła mocna krata, a boisko podzielone było na dwie części wysoką siatką. Dalej znajdowała się szkoła, skulony edwardiański budynek, podobny do Cyrku, tyle że o otwartych podwojach. Smiley zauważył na ścianach dziecięce rysunki, a nad nimi próbówki w drewnianych stojakach. Była akurat długa przerwa i na połowie boiska biegały za piłką dziewczynki w kostiumach gimnastycznych. Po drugiej stronie siatki stali w cichych grupkach chłopcy, niczym pikietujący robotnicy u bram fabryki, osobno czarni, osobno biali. Podłoga gabinetu była do kolan zasłana zeszytami. Na gzymsie kominka wisiała tablica z rycinami władców Anglii. Niebo przesłaniały ciemne chmury, co nadawało szkole zaniedbany wygląd.

— Mam nadzieję, że hałas panu nie przeszkadza! — zawołał z kuchni Peter Worthington. — Ja już go nie słyszę! Z cukrem?!

— Nie, nie, bez, dziękuję — odparł Smiley ze szczerym uśmiechem.

— Pilnujemy kalorii?!

— Tak, trochę. — Smiley grał siebie, tyle że wyraźniej, jak mawiają w Sarratt. Odrobinę bardziej tuzinkowy, odrobinę bardziej znękany osobnik niż w rzeczywistości. Dyskretny, porządny urzędnik państwowy, który w wieku czterdziestu lat osiągnął wszystko, na co go stać.

— Jest cytryna, jeśli pan chce! — krzyknął z kuchni Worthington, pobrząkując niezgrabnie naczyniami.

— Och nie, dziękuję! Tylko mleko.

Na wytartym dywanie leżał dowód bytności jeszcze jednego, małego dziecka: klocki i zeszyt do wprawek z setkami nabazgranych liter „a” i „d”. Z lampy zwisała bożonarodzeniowa gwiazdka z tektury. Szarobure ściany przystrojone były obrazkami Trzech Króli i sani oraz śnieżynkami z waty. Wszedł Peter Worthington z tacą. Był duży i nieporadny, miał sztywne brązowe włosy, przedwcześnie siwiejące. Mimo że przygotowanie zastawy zabrało mu dużo czasu, filiżanki nadal nie były najczystsze.

— Dobrze, że trafił pan na mój wolny dzień, jeśli można go nazwać wolnym, gdy mam tyle do poprawiania — rzekł, wskazując zeszyty ruchem głowy.

— Uważam, że wy, nauczyciele, jesteście niedoceniani — powiedział Smiley. — Kilku moich przyjaciół też uczy. Siedzą po nocach i sprawdzają prace, więc wiem coś o tym.

— To są ci sumienni.

— Ufam, że i pana można zaliczyć do tej kategorii. Peter Worthington uśmiechnął się, mile polechtany.

— Niestety, chyba tak. Jeśli coś się robi, trzeba to robić dobrze — rzekł, odbierając od Smileya jego płaszcz.

— Szczerze mówiąc, życzyłbym sobie, by ten pogląd miał więcej zwolenników.

— Więc powinien był pan zostać nauczycielem — odparł Worthington i obaj się roześmiali.

— A jak pan sobie radzi z synem? — zapytał Smiley, siadając.

— Z Ianem?

— Zaprowadzam go do babci. Mojej matki, nie jej — dodał, nalewając herbatę. Podał Smileyowi filiżankę. — Jest pan żonaty?

— Tak, jestem, i to szczęśliwie, jak mi się wydaje.

— Ma pan dzieci?

Smiley pokręcił głową, pozwalając sobie na mały grymas rozczarowania.

— Niestety — rzekł.

— One to właśnie największy problem — powiedział Worthington zwyczajnie.

— Pewnie ma pan rację — odparł Smiley. — Mimo to żałujemy, że jesteśmy bezdzietni. Wie pan, w moim wieku...

— Powiedział pan przez telefon, że są jakieś wieści o Elizabeth. Bardzo chętnie bym je usłyszał.

— No cóż, to żadna rewelacja — odrzekł Smiley ostrożnie.

— Ale pewnie daje nadzieję. Trzeba mieć nadzieję.

Smiley pochylił się nad tanią urzędową teczką i otworzył zatrask.

— Tak, najpierw jednak chciałbym, żeby mi pan wyświadczył pewną grzeczność — zaczął. — Proszę nie myśleć, że się ociągam, my po prostu lubimy mieć pewność. U mnie musi być wszystko w idealnym porządku, nie waham się tego przyznać. To samo się tyczy zmarłych za granicą. Nie udzielamy informacji, dopóki nie jesteśmy pewni, absolutnie pewni, że trafiliśmy pod właściwy adres. Imię, nazwisko, miejsce zamieszkania, data urodzenia, jeśli to mamy, nie stwarzamy kłopotów. Wszystko po to, by uniknąć nieporozumień. O powody oczywiście nie pytamy, to zostawiamy władzom lokalnym.

— Niech pan wali — rzekł Peter Worthington ochoczo.

Łowiąc fałszywy ton w jego głosie, Smiley podniósł wzrok, ale uczciwe oblicze nauczyciela zwrócone było w bok, ku leżącym w rogu pokoju stojakom do nut.

Pośliniwszy kciuk, Smiley otworzył na kolanach tekturową teczkę i przerzucił kilka stron. Były to dokumenty z Ministerstwa Spraw Zagranicznych oznaczone nagłówkiem „Osoba zaginiona”, które La-con pod jakimś pretekstem uzyskał od Enderby'ego.

— Czy nie miałby pan nic przeciwko temu, żebyśmy sprawdzili jeszcze raz pewne szczegóły? Oczywiście tylko te, które są ważne i o których zechce pan mówić, tego chyba nie muszą dodawać. Widzi pan, problem polega na tym, że ja nie jestem od tej roboty. Mój kolega, którego pan zna, Wendover, jest chory i... no cóż, nie zawsze się wszystko zapisuje w dokumentach, pan rozumie? Wen-dover to wspaniały pracownik, ale jeśli chodzi o sporządzanie raportów, to według mnie jest trochę zbyt lapidarny. Nie zarzucam mu niesumienności, broń Boże, brak mu tylko odrobiny wyczucia w delikatnych sprawach.

— Zawsze rozmawiałem szczerze z urzędnikami, zawsze — odparł nieco zniecierpliwiony Peter Worthington, zwracając się do stojaków. — To moja zasada.

— Zapewniam pana, że my w ministerstwie bardzo sobie cenimy zaufanie, którym się nas obdarza.

Nagle zrobiło się cicho. Dopiero w tej chwili Smiley uświadomił sobie, że dziecięce wrzaski mogą człowieka uspokajać; kiedy ucichły, a boisko opustoszało, ogarnęło go uczucie zagubienia, z którym musiał walczyć przez dłuższą chwilę.

— Koniec przerwy — rzekł z uśmiechem Peter Worthington.

— Słucham?

— Koniec przerwy na mleko i bułeczki. Na to właśnie płaci pan podatki.

— A więc według tego, co pisze mój kolega Wendover, jeszcze raz pragnę dodać, że świetny z niego pracownik, nie ma żadnej wątpliwości, że pani Worthington opuściła pana z własnej i nieprzymuszonej woli... Chwileczkę, niech pan mi pozwoli wyjaśnić, co przez to *rozumieć*. Opuściła pana z własnej woli, sama. Nie została do tego zmuszona, namówiona czy zachęcona, nie zrobiła tego pod żadną presją czy przymusem. Presją, która, na przykład, mogłaby w swoim czasie skłonić pana czy inną osobę do wszczęcia kroków sądowych przeciw komuś, kto jak dotąd pozostaje nieznanym?

Rozwlekłe gadanie, o czym Smiley wiedział, budzi w tych, którzy muszą słuchać, przemożne pragnienie wypowiedzi. Ponieważ nie mogą przerwać, kontrują ze zdwojoną energią. Nauczyciel Peter Worthington w żadnym razie nie miał daru cierpliwego słuchania.

— Wyjechała sama, zupełnie sama. Wolno jej było tak postąpić. Takie jest moje stanowisko, takie było i zawsze takie będzie. Ale nawet

gdyby nie wyjechała sama, gdyby był jakiś mężczyzna, Boże, jesteście przecież tylko ludźmi. Moje stanowisko w tej sprawie byłoby podobne. Nie potępiłbym jej. Czy ta odpowiedź pana satysfakcjonuje? Dzieci mają prawo do obojga rodziców — zakończył sentencją. Smiley pisał pracowicie, ale powoli. Peter Worthington bębnił przez chwilę dłonią po kolanie, po czym zaczął wyciągać palce. Ciszę przerwała szybka, niecierpliwa seria trzasków.

— Proszę mi powiedzieć, czy złożony został wniosek o przekazanie praw rodzicielskich...

— Zawsze wiedziałem, że kiedyś odejdzie. Rozumieliśmy to oboje. Byłem jej kotwicą. Tak mnie nazywała: kotwicą. Albo kotwicą albo panem nauczycielem. Nie przeszkadzało mi to, bo nie kryło się w tym nic złego. Po prostu nie potrafiła zwracać się do mnie po imieniu. Kochała mnie jako pojęcie. Nie jako człowieka, ciało, umysł, osobę, nawet nie jako partnera, lecz jako pojęcie, konieczny dodatek do jej własnego pełnego człowieczeństwa. Miała wewnętrzną potrzebę podobania się ludziom i ja to rozumiałem. To wypływało z braku poczucia bezpieczeństwa; pragnęła być podziwiana. Jeśli prawda komuś komplement, to tylko dlatego, że chciała, by go odwzajemniono.

— Rozumiem — rzekł Smiley i znów coś zanotował, jakby się fizycznie podpisywał pod tą opinią.

— Chodzi mi o to, iż nikt nie mógłby oczekiwać, że będzie miał taką żonę jak Elizabeth wyłącznie dla siebie. To nie byłoby naturalne. Pogodziłem się z tym teraz. Nawet Ian musiał jej mówić po imieniu. To też rozumiem. Nie mogła znieść zaszufładowania kryjącego się w słowie „mama”, tego, że dziecko biegałoby za nią, krzycząc „mamusiu!” To byłoby dla niej zbyt wiele. W porządku, ja to rozumiem. Wyobrażam sobie, że panu, który nie ma dzieci, trudno jest pojąć, jak kobieta, matka, która jest kochana, o którą mąż się troszczy, może tak po prostu wyjść z domu i zostawić własne dziecko, nie dać przez lata znaku życia. Pewnie dla pana jest to niezrozumiałe, a nawet obrzydliwe. No cóż, ja patrzę na to inaczej. Przyznaję, że na początku było mi ciężko. — Rzucił okiem w kierunku boiska. Mówił spokojnie, bez uzalania się nad sobą. Równie dobrze mógłby się zwracać do ucznia w klasie. — Próbuje w tej szkole nauczyć ich wolności. Wolności w ramach poczucia obywatelskiego. Pomóc im w rozwoju własnej osobowości. Jakże ja mógłbym jej powiedzieć, kim jest? Chciałem być przy niej, tak. Chciałem być jej przyjacielem, długim przystankiem w jej życiu. To moje kolejne przezwisko: przystanek. Chodzi o to, że wcale nie musiała wyjeżdżać. Mogła to wszystko mieć tutaj, u mego boku. Wie pan, kobiety potrzebują ostoi. Bez...

— I nie otrzymał pan od niej żadnej wiadomości? — spytał nieśmiało Smiley. — Żadnego listu, żadnej pocztówki do pana, nie?

— Ani słowa.

Smiley pisał dalej.

— Czy wie pan coś o tym, by pana żona używała innego nazwiska?

Wydawało się, że z jakiegoś powodu pytanie mocno rozzłościło Worthingtona. Naciął się, jakby dotknęła go impertynencja ucznia, i wzniosł palec wskazujący, by uciszyć klasę. Ale Smiley czym prędzej dokończył:

— Panińskiego nazwiska, na przykład? Albo pańskiego w skróconej formie, bo za granicą jego pełne brzmienie mogłoby nastęrczać kłopoty?

— Niemożliwe. Absolutnie niemożliwe. Musi pan zrozumieć podstawowe motywy jej postępowania. Ona była żywym przykładem z podręcznika. Nie mogła się doczekać, kiedy zmieni panińskie nazwisko. Jednym z najważniejszych powodów, dla których wyszła za mnie, było to, że chciała mieć nowego opiekuna i nowe nazwisko. Po co więc miałaby je potem zmieniać? To samo z tym jej zmyślaniem, z tymi niedorzecznymi historyjkami. To była ucieczka od otoczenia. W końcu udało się jej uciec na dobre, bo znalazła mnie, a wraz ze mną stabilność, i wtedy nie potrzebowała już dłużej być kimś innym. Bo przecież już kimś innym była. Zrealizowała się. Więc dlaczego miałaby teraz zmieniać nazwisko?

Smiley nadal się nie śpieszył. Spojrzał na Worthingtona, jakby trochę niepewnie, potem na teczkę z dokumentami, skupił się na ostatniej rubryce i poprawiwszy okulary, zaczął czytać, wyraźnie nie po raz pierwszy:

— Panie Worthington, jeśli nasze informacje są rzetelne, a mamy powody, by uważać, że są — powiedziałbym, że ostrożnie szacując, na osiemdziesiąt procent — pańska żona używa obecnie nazwiska Worth. Używa też, o dziwo, swego imienia w pisowni niemieckiej: L-I-E-S-E. Co się wymawia, jak mi powiedziano, „Lisa”. Ciekawi mnie, czy pan mógłby potwierdzić lub zaprzeczyć tym doniesieniom oraz innym jeszcze, a mianowicie, że jest podobno ściśle związana z pewną dalekowschodnią firmą jubilerską, której obszar działania sięga Hongkongu i innych ważnych metropolii. Wydaje się, że prowadzi dostatnie, salonowe życie, obraca się w wyższych sferach.

Najwyraźniej niewiele z tego dotarło do Petera Worthingtona. Siedział zniecierpliwiony na podłodze i wbiwszy spojrzenie w stojaki do nut, stłoczone w rogu pokoju niczym szkielety, znów strzelał palcami, usiłując przerwać Smileyowi.

— Proszę posłuchać — rzekł. — Oto, czego oczekuję. Ktokolwiek się do niej zbliży, powinien jej wyraźnie powiedzieć, o co cho-

dzi. Nie chcę żadnych wzruszających apeli do jej uczuć czy sumienia. To wykluczone. Chcę tylko, by wyraźnie jej powiedziano, że może wrócić. To wszystko.

Smiley schronił się wśród swoich papierów.

— Tak, ale zanim do tego dojdziemy, powinniśmy ustalić kilka faktów...

— Nie ma faktów — przerwał mu Peter Worthington, rozeźlony. — Jest tylko dwoje ludzi, z łanem troje. W takiej sprawie jak ta nie ma faktów. W żadnym małżeństwie, proszę pana, nie ma faktów. Tego właśnie uczy nas życie. Związek dwojga ludzi jest całkowicie subiektywny. Siedzę na podłodze, to jest fakt. Pan coś pisze, to też jest fakt. Jej matka się za tym kryła, to także fakt. Pan mnie rozumie? Jej ojciec to niebezpieczny maniak, to też fakt. Elizabeth nie jest córką królowej Saby ani nieślubną wnuczką Lloyda George'a*. Cokolwiek by mówiła. Nie doktoryzowała się z sanskrytu, jak powiedziała dyrektorze szkoły, która wierzy w to do dziś. „Kiedy znów ujrzemy naszą miłośniczkę Orientu?” Nie wie więcej o bizuterii niż ja. To też fakt.

— Daty i miejsca — mruknął Smiley w teczkę. — Jeśli moglibyśmy wpiery sprawdzić daty i miejsca.

— Ależ oczywiście — odrzekł kurtuazyjnie Peter Worthington i ponownie dolał Smileyowi herbaty z zielonego blaszanego czajniczka. W duże opuszki jego palców wtarta była kreda. Przypominała siwiznę jego włosów. — To matka przewróciła jej w głowie — mówił dalej tym samym, spokojnym tonem. — Całe to gadanie o talencie, o karierze aktorskiej, potem o balecie, w końcu o pracy w telewizji. Teściowa chciała, żeby Elizabeth podziwiano. Widziała w niej siebie, rzecz jasna. To zupełnie naturalne z punktu widzenia psychologii. Niech pan poczyta Benre'a, kogokolwiek. Dla niej był to sposób określenia własnej tożsamości. Poprzez córkę. Trzeba to uszanować, takie rzeczy się zdarzają. Teraz to rozumiem. Wszystko jest w porządku, ona jest w porządku, ja jestem w porządku, łan jest w porządku, cały świat jest w porządku i nagle ona znika.

— Wie pan może, czy utrzymuje jakiegokolwiek kontakty z matką?

Peter Worthington pokręcił głową.

— Obawiam się, że żadnych. Przejrzała ją już wtedy, gdy wyjeżdżała. Zerwała z nią zupełnie. Ten płotek sam pomogłem jej przeskoczyć. Oto mój wkład w jej szczęście...

— Widzę, że nie mamy tu adresu jej rodziców — rzekł Smiley, wertując kartki. — Czy pan...

* Brytyjski mąż stanu, wielokrotny minister, a od 1916 do 1922 roku premier rządu Wielkiej Brytanii (przyp. tłum.).

Peter Worthington szybko wyrecytował adres gromkim głosem, jakby dyktował sekretarce.

— A teraz daty i miejsca — powtórzył Smiley. — Bardzo proszę.

Opuściła go dwa lata temu. Peter Worthington podał nie tylko dzień, ale i godzinę. Nie było żadnych scen. On nie znosił scen, Elizabeth miała ich wystarczająco dużo z matką. Spędzili razem bardzo miły wieczór, wyjątkowo miły. Wybrali się do greckiej restauracji.

— Może ją pan zauważył, idąc tutaj? Nazywa się „Knossos”, tuż obok nabiałowego?

Urządzili sobie ucztę z winem. Zaproсили na nią Andrew Wilt-shire'a, nowego nauczyciela języka angielskiego. Kilka tygodni wcześniej Elizabeth wprowadziła go w jogę. Przyjaźnili się, chodzili razem na zajęcia do Sobell Centre.

— Ona naprawdę interesowała się jogą — rzekł Worthington, kiwając pochwalnie siwiejącą głową. — Miała obsesję na tym punkcie. Najbardziej lubiła wychodzić gdzieś właśnie z Andrew. Ekstrawertyk, konkretny, energiczny, w sam raz dla niej — dodał stanowczo.

Wrócili w trójkę do domu o dziesiątej, bo opiekunka nie mogła dłużej zostać — on, Andrew i Elizabeth. Zaparzył kawę, posłuchali trochę muzyki; około jedenastej Elizabeth pocałowała obydwu na dobranoc i powiedziała, że jedzie do matki, by zobaczyć, jak ona się czuje.

— Mówił pan, że zerwała kontakty z matką — zaproponował delikatnie Smiley, ale Peter Worthington puścił uwagę mimo uszu.

— Rzecz jasna pocałunki nic dla niej nie znaczą — wyjaśnił gwoli jasności. — Ona całowała wszystkich: uczniów, przyjaciółki, pocałowałyby nawet śmieciarza, każdego. Jest bardzo wylewna. Nikogo nie może zostawić w spokoju. Każda znajomość musi się skończyć podbiciem serca. Tak samo serca własnego dziecka, jak i kelnera w restauracji... A gdy już odniesie zwycięstwo, czuje się znudzona. To oczywiste. Poszła na górę, zajrzała do łana i pewnie wykorzystwała tę chwilę, by zabrać z sypialni paszport i pieniądze przeznaczone na wydatki domowe. Napisała na kartce „przepraszam” i odtąd jej nie widziałem, łan też nie — zakończył Peter Worthington.

— Hm, a może Andrew miał od niej jakieś wieści? — zapytał Smiley, poprawiając szkła.

— A niby czemu akurat on?

— Powiedział pan, że byli przyjaciółmi. Czasami osoby trzecie stają się pośrednikami w takich sprawach.

Przy słowie „sprawy” podniósł wzrok i nadział się na strapione, uczciwe oczy Petera Worthingtona. Na ułamek sekundy opadła maska tak z jednej, jak i z drugiej twarzy. Kto tu w końcu jest pod

lupą? Nie, to pewnie tylko moja rozbudzona wyobraźnia, pomyślał Smiley. A może jednak rzeczywiście poczuł, jak w nich obu — w nim i w tym słabym chłopcu — drgnęło wstydlive pokrewieństwo? „Powinno istnieć Towarzystwo Oszukanych Mężów, gdzie tacy jak ty mogliby się wspólnie nad sobą uzalać! Wszyscy jesteście pełni tego samego, okropnie nudnego miłosierdzia!” — wykrzyczyła kiedyś do niego Ann. „Nigdy tak naprawdę nie znalazłeś swojej Elizabeth — pomyślał Smiley, wciąż patrząc na Worthingtona — a ja nigdy nie znalazłem mojej Ann”.

— To wszystko, co pamiętam, proszę mi wierzyć — rzekł Worthington. — Nic więcej, potem już tylko pustka.

— Tak — odparł Smiley, mimowolnie chwytając się tego zapewnienia. — Tak, rozumiem.

Podniósł się do wyjścia i wtedy zobaczył w drzwiach chłopca. Mały miał nachmurzoną, wrogą minę. Przy nim stała łagodna, ociężała kobieta, która trzymała go za nadgarstki uniesionych nad głową rąk, tak że wydawał się wisieć u jej boku, choć w rzeczywistości stał.

— No, jest tata — powiedziała, spoglądając na Worthingtona brązowymi, przykuwającymi wzrok oczyma.

— Cześć, Jenny. To pan Standfast z Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

— Dzień dobry — rzekł uprzejmie Smiley. Po kilkuminutowej zdawkowej pogawędce oraz obietnicy przekazania kolejnych informacji, gdyby jakieś uzyskano, zebrał się cicho do wyjścia.

— Aha, wesołych świąt! — krzyknął za nim ze szczytu schodów Peter Worthington.

— Ach, rzeczywiście, dziękuję. Panu życzę tego samego. Wam wszystkim życzę jeszcze wielu szczęśliwych świąt.

W kawiarence dla kierowców bez pytania wsypywali cukier do filiżanek, chyba że się poprosiło, by tego nie robili. Ilekroć obsługująca Hinduska nalewała kawę, maluténka kuchnia wypełniała się parą. Milczący mężczyźni, siedzący dwójkami i trójkami, jedli śniadanie, lunch lub kolację w zależności od swego rozkładu dnia. Tu również zbliżało się Boże Narodzenie. Nad ladą wisiało dla świątecznego nastroju sześć wytłuszczonych babek, a pończocha apelowała o pomoc dla dzieci z porażeniem mózgowym. Smiley wlepił wzrok w gazetę wieczorną, choć jej nie czytał. W rogu, niecałe cztery kroki od niego, mały Fawn przyjął klasyczną pozycję anioła stróża. Jego ciemne oczy uśmiechały się mile do klientów i do drzwi. Podniósł filiżankę lewą ręką, podczas gdy prawa spoczywała beczynninie przy klatce piersiowej. „Czy Karla też tak siada?” — zastanawiał się Smiley.

Czy Karla również szuka schronienia wśród nie wtajemniczonych? Bo Kontrola szukał. Stworzył sobie całkowicie inne życie, drugie, trzecie, a może czwarte, w dwupokojowym mieszkanku niedaleko zachodniej obwodnicy, pod pospolitym nazwiskiem Matthews, nie skatalogowanym u administracyjnych jako „alias”. No, „całkowicie inne” to lekka przesada. Ale trzymał tam ubrania, kobietę — panią Matthews — a nawet kota. I w czwartkowe poranki brał lekcje gry w golfa w klubie rzemieślniczym, podczas gdy siedząc za swoim biurkiem w Cyrku nie krył pogardy dla tego sportu, dla plebejuszy, miłości i wielu innych drobnych ludzkich dążeń, którym tak naprawdę nie mógł się oprzeć. Wynajął również działkę ogrodniczą przy bocznicy kolejowej, przypomniał sobie Smiley. Gdy Smiley przyjechał do pani Matthews ze smutną wiadomością, uparła się, żeby go tam zawieźć swoim wypucowanym morrisem. Na miejscu panował taki sam bałagan, jak na wszystkich działkach: typowe róże, jesienne warzywa, których nie jedli, zawałona szlauchami i skrzynkami komórka na narzędzia.

Pani Matthews była wdową, kobietą o słabej woli, ale zaradną.

— Panie Standfast, chcę tylko — rzekła, przeczytawszy sumę na czeku — by pan mi powiedział, czy on naprawdę nie żyje, czy też wrócił do żony?

— Naprawdę nie żyje — zapewnił ją Smiley, a ona z wdzięcznością mu uwierzyła. Powstrzymał się od dodania, że żona Kontroli zesła z tego świata jedenaście lat temu, do końca przekonana, że jej mąż był wysokim urzędnikiem w Zarządzie Węglowym.

Czy Karla też musi przechytrzać komisje? Czy aby wykonywać swą robotę, też musi walczyć z intrygami, oszukiwać głupców, schlebiać mądrym i przeglądać się w krzywych zwierciadłach pokroju Petera Worthingtona?

Telefon znajdował się obok toalety. Smiley zerknął na zegarek, potem na Fawna. Gdy poprosił właściciela o rozmiennienie pieniędzy, ten wymówił się nawalem pracy.

— Dawaj drobne, pokracyjny skurwielu! — wrzasnął ubrany w skórę kierowca TIR-a.

Właściciel pospiesznie usłuchał.

— I jak poszło? — spytał Guillam, odebrawszy na bezpośredniej linii.

— Mamy trochę tła — odparł Smiley.

— Hura.

Kolejnym zarzutem stawianym później Smileyowi było to, że marnował czas na drugorzędne sprawy, zamiast zlecać je podwładnym.

Na peryferiach północnego Londynu, w pobliżu Town i tamtejszych pól golfowych, znajdują się bloki mieszkalne, które wyglądają jak nadbudowa tonących okrętów. Stoją na krańcach długich trawników, gdzie kwiaty nigdy nie rozkwitają. O siódmej trzydzieści rano mężczyźni w pośpiechu wsiadają do szalup, natomiast kobiety i dzieci spędzają cały dzień w kajutach czekając, aż powrócą głowy rodzin, zbyt zmęczone, by dokądkolwiek jeszcze pozełgować. Wieżowce te zbudowano w latach trzydziestych i odtąd na zawsze pozostały brud-nobiałe. Ich prostokątne, obramowane stalowymi listwami okna wychodzą na wezbrane fale pól golfowych, gdzie umalowane kobiety błakają się niczym zagubione dusze. Jeden z tych bloków nazywa się Arcady Mansion. Pellingowie mieszkali pod siódmką, z ograniczonym widokiem na jedno z pól, który zniknął, gdy buki pokrywały się listowiem. Kiedy Smiley nacisnął dzwonek, usłyszał tylko cienki elektryczny jazgot: żadnych kroków, szczekania psa, muzyki. Drzwi się otworzyły i z ciemności doleciał go skrzekliwy męski głos, który należał jednak do kobiety:

— Kto to? — Była wysoka i lekko zgarbiona. Między palcami jej dłoni tkwił papieros.

— Nawiedzam się Oates — powiedział Smiley, wręczając jej dużą zieloną wizytówkę zamkniętą w celofanowej okładce. Inny kamuflaż, inne nazwisko.

— Ach, to pan, proszę wejść. Śmiało, proszę bardzo. Przez telefon wydawał się pan młodszy — grzmiał jej chropawy, modulowany teraz do miłszych tonów głos. — On jest tam. Uważa, że pan jest szpiegiem — powiedziała, zerkając z ukosa na wizytówkę. — Ale pan nim nie jest, co?

— Nie — odparł Smiley. — Niestety nie. Jestem tylko wścibskim urzędnikiem.

Mieszkanie składało się z samych przedpokojów. Kobieta szła pierwsza, zostawiając za sobą aromat dżinu. Posuwała jedną nogą, a prawe ramię miała sztywne. Smiley domyślił się, że jest po wylewie. Ubrana była tak, jakby nikt nigdy nie podziwiał jej wzrostu ani kobiecości. Jakby jej nie zależało. Miała na sobie płaskie buty i męski pulower w poziome paski, który ją poszerzał w ramionach.

— Mówi, że nigdy o panu nie słyszał, że sprawdził w książce telefonicznej i że pan w ogóle nie istnieje.

— Lubimy działać dyskretnie — odparł Smiley.

Pchnęła na oścież drzwi.

— A jednak on istnieje — stwierdziła głośno, wchodząc do środka. — I nie jest szpiegiem, tylko wścibskim urzędnikiem.

Pod ścianą siedział na krześle mężczyzna czytający „Daily Telegraph”. Gazetę trzymał wprost przed sobą, tak że Smiley widział jedy-

nie łysy czerep i szlafrok oraz krótkie, skrzyżowane nogi zakończone stopami w skórzanych kapciach. Mimo to od razu poznał, że pan Pelling jest jednym z tych niskich mężczyzn, którzy żenią się z wysokimi kobietami. W pokoju znajdowało się wszystko, czego potrzeba do samotnej egzystencji: telewizor, łóżko, grzejnik gazowy, stół i sztaluga do amatorskich malunków. Na ścianie wisiał przekoloryzowany portret fotograficzny bardzo pięknej dziewczyny, z dedykacją w jednym z rogów, nabazgraną ukośnie na modłę gwiazd filmowych życzących szczęścia szaraczkom. Smiley rozpoznał Elizabeth Worthington. Widział już wiele jej zdjęć.

— Pan Oates, a to Nunc — powiedziała kobieta, niemal kłaniając się w pas.

„Daily Telegraph” osunął się powoli niczym spuszczana z masztu flaga, ukazując agresywną, połyskliwą, małą twarz o grubych brwiach, uzbrojoną w dyrektorskie okulary.

— Ach tak. Kim pan właściwie jest? — przemówił pan Pelling.

— Jest pan z tajnych służb czy nie? Bez żadnych wykrętów mi tu, prosto z mostu, no? Bo widzi pan, ja nie znoszę wścibskich ludzi. Co to? — spytał ostrym tonem.

— Jego wizytówka — odparła pani Pelling, podając mu kartonik.

— Zielona.

— Aha, wymieniamy wizytówki, tak? To ja też muszę mieć jakąś, co nie, Cess? Skocz no gdzieś, niech nam wydrukują, może najlepiej do Smitha?

— Czy napije się pan herbaty? — spytała pani Pelling, zerkając z góry na Smileya przekrzywiwszy głowę.

— A po co chcesz mu zrobić herbatę? — spytał ostro jej mąż, patrząc, jak ona podłącza do gniazdka elektryczny czajnik. — Nie musi pić herbaty, nie jest tu gościem. Nie jest nawet z wywiadu. Ja go tu nie zapraszałem. Zostań pan na tydzień — zwrócił się ironicznie do Smileya. — Wprowadź się pan, jeśli chcesz. Weź pan jej łóżko. „Doradztwo Bullion Universal”, akurat.

— On chce porozmawiać o Lizzie, kochanie — rzekła pani Pelling, ustawiając tacę dla męża. — Choć przez chwilę bądź ojcem.

— Bo musisz pan wiedzieć, że jej łóżko jest diablo wygodne — rzekł pan Pelling, znów biorąc do rąk gazetę.

— Ale jesteś miły — powiedziała pani Pelling i roześmiała się. Jej śmiech składał się z dwóch nut, niczym ptasi trel, i nie był radosny. Zapadło niezręczne milczenie.

Wręczyła gościowi filiżankę herbaty. Biorąc ją do rąk, Smiley zwrócił się do gazety:

— Proszę pana, pewna poważna zagraniczna korporacja rozważa zatrudnienie pańskiej córki Elizabeth na odpowiedzialnym sta-

nowisku. Moja firma została poproszona w zaufaniu, by zasięgnąć informacji u rodziny i znajomych w celu dopełnienia charakterystyki kandydatki. To w dzisiejszych czasach rutynowa, ale konieczna formalność.

— To my, mój drogi — wyjaśniła mężowi pani Pelling, na wypadek gdyby nie zrozumiał.

Gazeta opadła z szelestem.

— Czy pan sugeruje, że moja córka ma zły charakter? Czy to pan sugeruje, siedząc w moim domu i pijąc moją herbatę?

— Nie, proszę pana.

— Nie, nie to — dodała pani Pelling niepotrzebnie.

Zapadła długa cisza, której Smiley nie miał ochoty przerywać.

— Proszę pana — odezwał się w końcu stanowczym i cierpliwym głosem — o ile wiem, był pan przez wiele lat pracownikiem poczty i doszedł pan do wysokich stanowisk.

— Przez wiele, wiele lat — zgodziła się pani Pelling.

— Tak, byłem — odparł zza gazety jej mąż. — Ludzie za wiele gadają, a za mało pracują.

— Czy przyjmował pan do pracy przestępców?

Gazeta zaszeleściła, po czym znieruchomiała na posterunku.

— Albo komunistów?

— Jeśli nawet, to szybko się ich pozbywaliśmy. — Tym razem gazeta opadła na dobre.

Gospodyni pstryknęła palcami.

— O tak — powiedziała.

— Proszę pana — ciągnął Smiley tym samym, boleściwym tonem — pańska córka może otrzymać stanowisko w jednej z największych firm dalekowschodnich. Będzie się specjalizować w transporcie lotniczym i dysponować poufną wiedzą na temat dużych dostaw złota, jak również na temat podróży kurierów dyplomatycznych i tajnej poczty. Będzie mieć bardzo wysokie uposażenie. Nie sądzę — i mam nadzieję, że pan też nie — iż to niesłuszne, że pańska córka poddana została takim samym procedurom co każdy inny kandydat na to odpowiedzialne... i wymarzone stanowisko.

— A kto pana zatrudnia? — spytał pan Pelling. — Mnie o to chodzi. Skąd wiadomo, czy pan jest odpowiedzialny?

— Nunc — upomniała go żona. — A czy to w ogóle o kimś można powiedzieć?

— Nie mów do mnie Nunc! Dolej mu herbaty. Jesteś gospodynią czy nie jesteś? No to się zachowuj jak gospodyni. Najwyższy czas, żeby się odwzajemnili naszej Lizzie i szczerze mówiąc, jestem bardzo niezadowolony, że dzieje się to dopiero teraz, biorąc pod uwagę, ile jej zawdzięczają.

Pan Pelling podjął na nowo lekturę imponującej zielonej wizytówki Smileya.

— „Korespondenci w Azji, Stanach Zjednoczonych i na Bli skim Wschodzie.” Pewnie listowni przyjaciele. Biuro na South Molton Street. Telefon bla, bla, bla. No i z kim się połączyć? Pewnie z takim samym lewusem jak pan.

— Jeśli są z South Molton Street, to on musi być w porządku — wtrąciła pani Pelling.

— Władza bez odpowiedzialności — rzekł jej mąż, wykręcając numer. Miał taki głos, jakby ktoś ścisnął mu nozdrza. — Ja niestety tego nie pochwałam.

— Ależ z odpowiedzialnością — poprawił go Smiley. — Gwarantujemy naszym klientom, że rekomendowani przez nas pracownicy są nieskazatelnie uczciwi. W ten sposób sami również się zabezpieczamy.

Centrala w Cyrku odebrała dopiero za szóstym sygnałem. Smiley modlił się w duszy, żeby nie zdarzył się jakiś kiks.

— Z dyrektorem naczelnym — zażądał pan Pelling. — Nie obchodzi mnie, że jest na zebraniu! Czy on ma jakieś nazwisko? A jakie? Więc niech pani powie panu Andrew Forbes-Lisle, że pan Humph-rey Pelling pragnie zamienić z nim słowo. Tak, teraz. — Długo czekał. Nieźle zagrane, pomyślał Smiley. Przetrzył go.

— Mówi Pelling. Przyszedł do mnie człowiek, który mówi, że nazywa się Oates. Niski, gruby i zasepiony. Co mam z nim zrobić?

Smiley złowił donośny, oficcerski głos Petera Guillama, który niemalże poinstruował Pellinga, że powinien stanąć na baczność, kiedy do niego mówi. Pellingowi zmięknęła rura. Rozłączył się.

— Czy Lizzie wie, że pan do nas przyszedł?

— Uśmiełaby się, gdyby wiedziała — odparła jego żona.

— Ona prawdopodobnie nawet nie wie, że jest kandydatką na to stanowisko — odrzekł Smiley. — Obecnie coraz częściej najpierw dokonuje się wywiadu środowiskowego, a dopiero potem rozmawia bezpośrednio z wybraną osobą.

— To dla naszej Lizzie, Nunc — upomniała męża pani Pelling. — Przecież ją kochasz, mimo że od roku nie mamy od niej wieści.

— Nie korespondujecie państwo z córką? — spytał życzliwie Smiley.

— Ona nie chce — odparła, zerkając na męża.

Z ust Smileya dobyło się ledwie słyszalne westchnienie. Można by je uznać za wyraz żalu, ale tak naprawdę było wyrazem ulgi.

— Dolej mu herbaty — polecił żonie pan Pelling. — Wypił już całą filiżankę. — Nadal jednak patrzył krzywo na Smileya. — Wcale nie jestem taki pewien, że pan nie pracujesz w tajnych służbach. Wprawdzie nie prezentuje się pan okazale, ale to może celowo.

Smiley wyjął formularze. Zostały wydrukowane nocą w Cyrku i to na szczęście na żółtawym papierze, albowiem — jak się okazało — w świecie Pellinga druczki stanowiły legitymizację wszystkiego, a żółty był kolorem zasługującym na szacunek. Obaj mężczyźni wzięli się zatem pospołu do pracy, podobni do dwóch przyjaciół rozwiązujących krzyżówkę. Smiley przysiadł koło pana Pellinga, który złapał za ołówek, a pani Pelling spoczęła obok. Wciąż paliła, spoglądając przez zszarzałe firanki i obracając na palcu obrączkę. W sekundę mieli za sobą datę i miejsce urodzenia — „w tej lecznicy Alexandra Nursing Home, tam dalej, na naszej ulicy. Zlikwidowali ją, co, Cess? Przemienili w jeden z tych obskurnych bloków”. Przyszła kolej na wykształcenie. Pan Pelling nie omieszkiał wypowiedzieć się w tej kwestii.

— Nigdy nie pozwalałem, żeby zbyt długo chodziła do jednej szkoły, co, Cess? To dlatego, żeby miała czujny umysł, żeby nie popadła w rutynę. Zmiana jest warta tyle co wakacje, mawiałem. Pamiętasz?

— Nunc czytał książki na temat oświaty i wychowania — wyjaśniła pani Pelling.

— Późno się pobraliśmy — rzekł jej mąż, jakby pragnął wyjaśnić swoją nadopiekuńczość.

— Pragnęliśmy, żeby została artystką. A Nunc chciał być jej menadżerem.

Pelling wypisywał kolejne daty. Była i szkoła aktorska, i kurs dla sekretarek.

— Przygotowanie do życia — powiedział — a nie żadna tam edukacja, oto, w co wierzę. Lizzie musiała spróbować wszystkiego po trochu, chciałem, żeby była światową kobietą, żeby nabrała manier.

— Och, maniery to ona ma — zgodziła się pani Pelling i cmoknąwszy, wypuściła chmurę dymu. — I światowa też jest.

— Ale nie skończyła studium stenotypii? — spytał Smiley, wskazując rubrykę. — Ani szkoły aktorskiej?

— Nie musiała — odparł pan Pelling.

Przeszli do dotychczasowych miejsc pracy. Pan Pelling wypisał z pół tuzina londyńskich firm; we wszystkich razem jego córka pracowała zaledwie półtora roku.

— To wszystko było nic — powiedziała pani Pelling uprzejmie.

— Rozglądała się — rzekł jej mąż lekkim tonem. — Zamierzała się dobrze zorientować, zanim podpisze cyrograf. To moja robota, co, Cess? Wszyscy ją chcieli na stałe, ale ja na to nie pozwoliłem. — Gwałtownym ruchem wyciągnął ku niej rękę. — I nie mów mi, że to się nie opłaciło! — wrzasnął. — Nawet jeśli nie możemy o tym mówić!

— Najbardziej lubiła balet — powiedziała pani Pelling. — I ucze nie dzieci. Uwielbia dzieci, po prostu uwielbia.

Ostatnie zdanie rozzłościło pana Pellinga.

— Kobieto, ona robi karierę! — krzyknął, uderzając formularzem w kolano. — Dobry Boże, czy ty, kretynko, chcesz, żeby do niego wróciła?

— Tak, a czym ona właściwie się zajmowała na Bliskim Wschodzie? — spytał Smiley.

— Chodziła na kursy do szkoły handlowej. Uczyła się arabskiego — odparł pan Pelling. Ku zdumieniu Smileya wstał i gestykułując monarszo, ruszył w obchód po pokoju. — Po pierwsze, nie zamierzam tego ukrywać, powodem wyjazdu było nieudane małżeństwo.

— Jezu — jęknęła pani Pelling.

Gdy stał wyprostowany, biła od niego niespożyta żywotność, co przydawało mu grozy.

— Ale wróci do nas, oj tak — zapewnił. — Jej pokój czeka o każdej porze. Tuż obok mojego. Zawsze może do mnie przyjść. Tak, tak. Pomogliśmy jej przeskokować ten płotek, co, Cess? I wtedy pewnego dnia powiedziałem jej...

— Przyszła tu z jakimś nauczycielem — przerwała mu żona. — Kręcone włosy. Chyba matematyk albo anglista. Andrew miał na imię.

— To był Szkot — poprawił ją bezmyślnie pan Pelling.

— Miły facet, ale Nuncowi nie bardzo przypadł do gustu, co, kochanie?

— Nie był jej wart. Taki miś Yogi, tak go nazywam. Ciągłe się kręcił koło jej pupy. I wtedy powiedziałem jej: „Lizzie, Arabowie. Wśród nich jest twoja przyszłość”. — Pstryknął palcami, wskazując wyimaginowaną córkę. — „Ropa, pieniądze, władza. Ruszaj, pakuj walizkę. Kupuj bilet i już cię nie ma”.

— Koszty podróży pokrył jakiś nocny klub — dodała pani Pelling. — Wystrychnęli ją na dudka.

— Bzdury! — zaprotestował pan Pelling, wznosząc ramiona, by huknąć na żonę, ale ona mówiła dalej, jakby go w ogóle nie było.

— Odpowiedziała na ogłoszenie, proszę pana. To była jakaś kobieta z Bradford, bardzo wyszukana w słowie. Burdelmama. „Potrzebne hostessy, ale nie do tego, o czym pani myśli”. Tak mi powiedziała. Zapłacili za jej przelot, a kiedy wylądowała w Bahrajnie, kazali jej podpisać kontrakt, według którego cała jej pensja szła na opłacenie apartamentu. No i od tej pory mieli ją w garści, przyzna pan? Nie było dokąd uciekać. Ambasada nie chciała jej pomóc, nikt nie chciał jej pomóc. Widzi pan, ona jest bardzo piękna.

— Ty głupia stara więdźmo! To jest kariera! Ty jej chyba nie kochasz! Własnej córki nie kochasz, ty wyrodna matko! Mój Boże!

— Tak, kariera — rzekła pani Pelling, zadowolona z siebie. — Najlepsza, jaką można sobie wymarzyć.

Zdesperowany, pan Pelling zwrócił się do Smileya.

— Zapisz pan: „Praca recepcjonistki i nauka języków”. I jeszcze...

— Może mógłbym się dowiedzieć — wtrącił Smiley delikatnie, śliniąc palec i przekreślając stronę — czy ona ma jakieś doświadczenie w dziedzinie transportu?

— I zapisz pan jeszcze... — Pan Pelling zacisnął pięści, spoglądając najpierw na żonę, potem na Smileya, najwyraźniej niezdecydowany, czy mówić dalej. — Zapisz pan: „Odpowiedzialna praca dla brytyjskich służb specjalnych”. Tajna robota. No, pisz pan! Dobra, wreszcie mamy to z głowy. — Obrócił się gwałtownie ku żonie. — On też robi w bezpieczeństwie, sam mówił. Ma prawo wiedzieć, a ona ma prawo, żeby inni wiedzieli. Moja córka nie będzie nie opiewaną bohaterką. Ani źle opłacaną! Jeszcze dostanie order króla Jerzego, zapamiętaj moje słowa!

— Bzdury — rzekła znudzonym głosem pani Pelling. — To jedna z tych jej historyjek i ty o tym wiesz.

— Czy moglibyśmy robić to po kolei? — spytał Smiley tonem lekkiej perswazji. — O ile pamiętam, mówiliśmy o doświadczeniu córki w dziedzinie transportu.

Pan Pelling niczym mędrzec chwycił się za podbródek kciukiem i palcem wskazującym.

— Jej pierwszym doświadczeniem handlowym — zaczął powoli — ale mówię o jej własnym przedsięwzięciu, pan rozumie, gdy już zebrała wszystko do kupy, stanęła na nogi, gdy to zaczęło przynosić zyski, gdy już zatrudniała pracowników, obracała dużymi pieniędzmi i pełniła odpowiedzialne stanowisko na miarę jej możliwości, była firma w tym, no, jak to się wymawia?

— W Vi-ent-iane — mruknęła jego żona, doskonale anglicyzując dźwięki.

— Stolica Laosu — dodał pan Pelling, o mało nie myląc nazwy kraju z „chaosem”.

— A jak się nazywała firma? — spytał Smiley, wznosząc ołówek nad odpowiednią rubryczką.

— To była destylarnia — odparł pan Pelling wyniośle. — Moja córka miała i prowadziła jedną z największych destylarni w tym rozdartym wojną kraju.

— Nazwa?

— Sprzedawała amerykańskim nierobom beczki nie firmowanej whisky — powiedziała jego żona, zwracając się do okna. — Była na prowizji, dwadzieścia procent. Kupowali od niej te beczki i składali je do lezakowania w Szkocji, inwestując w ten sposób na przyszłość.

— Oni, to znaczy... ? — Smiley zawiesił głos.

— Potem jej kochanek zwędził pieniądze — dodała. — To był kant, i to dość duży.

— Co ty za bzdury pleciesz! — wrzasnął pan Pelling. — To wariatka, niech pan na nią nie zwraca uwagi.

— Dokładny adres firmy? — poprosił Smiley.

— Niech pan zapisze, że była przedstawicielem handlowym — rzekł pan Pelling, kręcąc głową, jakby sprawy zupełnie wymknęły się spod kontroli. — Przedstawicielką destylarni i tajną agentką.

— Żyła z pewnym pilotem — ciągnęła pani Pelling. — Nazywała go Tyci. Gdyby nie on, umarłaby z głodu. Był wspaniały, ale wojna zupełnie go odmieniła. To jasne! A z naszymi chłopcami było inaczej? Dzień w dzień jakieś misje. — Odchyliwszy do tyłu głowę, wrzasnęła głośno: — Alarm!

— Odbiło jej — wyjaśnił pan Pelling.

— Strzępy nerwów w wieku osiemnastu lat. Prawie wszyscy. Ale się trzymali, bo widzi pan, kochali Churchilla, kochali go za odwagę.

— Zupełnie zwariowała — powtórzył pan Pelling. — Bredzi, majaczy.

— Przepraszam — wtrącił Smiley, zajęty pisaniem. — Tyci kto? Ten pilot, jak on się nazywał?

— Ricardo. Tyci Ricardo. Święty człowiek. Niestety zginął. — Tym razem pani Pelling zwróciła się do męża: — Lizzie miała złamane serce, prawda, Nunc? A jednak może to i lepiej.

■ — Ty stara małpo, ona nie była z żadnym pilotem! To był kamuflaż, cała ta sprawa! Pracowała dla brytyjskiego wywiadu!

— Jezu drogi — westchnęła pani Pelling.

— Nie żaden Jezus, tylko Mellon. Zapisz pan to, Oates. No, pisz pan: Mellon. Jej przełożony w wywiadzie nazywał się M-E-L-L-O-N. Tak jak owoc, tylko dwa „l”. Mellon. Udawał zwykłego handlowca. I całkiem nieźle na tym zarabiał. No, w końcu był inteligentnym człowiekiem, to nie ma się co dziwić. Ale pod przykrywką — pan Pelling uderzył pięścią w otwartą dłoń, wydając zdumiewająco głośny trzask — pod miłą i ładną przykrywką brytyjskiego biznesmena ten Mellon przez dwa „l” prowadził tajną i samotną walkę z wrogami jej Królewskiej Mości, a moja Lizzie mu w tym pomagała. Handlarze narkotyków, Chińczycy, homoseksualiści, wszystkie te zagraniczne męty sprzysięgły się przeciw naszej ojczyźnie. Moja wspaniała córka i pułkownik Mellon, osamotnieni wśród wrogów, walczyli, żeby powstrzymać podstępne działania! To najprawdziwsza prawda!

— Teraz pan wie, po kim ona ma wyobraźnię — powiedziała pani Pelling i podreptała do przedpokoju, zostawiając za sobą otwarte

drzwi, mamrocząc coś pod nosem. Smiley zobaczył, że przystanęła w półmroku i przekrzywiwszy głowę, kiwa na niego. Po chwili doszedł go trzask drzwi w głębi mieszkania.

— ■ To wszystko prawda — powiedział stanowczo, lecz nieco ciszej pan Pelling. — Święta prawda. Moja córka piastowała wysokie stanowisko w brytyjskim wywiadzie.

Smiley nie od razu odpowiedział, zbyt był zajęty pisaniem, tak więc przez chwilę ciszę mąciło jedynie powolne skrzypienie ołówka po papierze oraz szelest przewracanych stronic.

— Dobrze. Zatem te informacje też zapiszę, jeśli można. Wyłącznie do naszej wiadomości, rzecz jasna. Muszę przyznać, że w naszej pracy spotykamy się z takimi sytuacjami dość często.

— Niech będzie — rzekł pan Pelling. Usadowiwszy się z wigorem na obitym plastikiem pufie, wyciągnął z portfela kartkę papieru i wcisnął ją Smileyowi w dłoń. Okazało się, że jest to list, napisany odręcznie, długi na półtorej strony. Pismo było jednocześnie zamasytne i dziecinne, z długim, zakręconym „m” w zaimkach dzierżawczych pierwszej osoby liczby pojedynczej, gdy tymczasem inne litery prezentowały się nieco skromniej. Tekst rozpoczynał się słowami: „Moi Najukochańsi Rodzice”, a kończył: „Wasza jedyna córka Elizabeth”. Między nimi widniało następujące przesłanie, którego sporą część Smiley powierzył swojej pamięci: „Jestem już w Vientiane. To bezbarwne miasto, trochę francuskie, a trochę dzikie, ale się nie martwicie. Mam dla was pilne wieści. Możliwe, że przez dłuższy okres nie dam znaku życia, ale nie martwicie się, nawet jeśli usłyszycie o mnie coś złego. Jestem cała i zdrowa, i działam w dobrej sprawie. Bylibyście z tego dumni. Zaraz po przyjeździe skontaktowałam się z radcą handlowym w konsulacie brytyjskim, panem Mackervoorem, Brytyjczykiem, a on skierował mnie w poszukiwaniu pracy do Mellona. Nie wolno mi nic więcej powiedzieć, więc będziecie mi musieli uwierzyć, że on nazywa się Mellon. Jest zamożnym handlowcem z Anglii, ale to tylko połowa prawdy. Mellon wysłała mnie z pewną misją do Hongkongu, gdzie będę mieć na oku handel złotem i narkotykami, udając kogoś innego. On ma wszędzie ludzi, którzy mnie strzegą, i tak naprawdę nie nazywa się Mellon. Mackervoor też w tym siedzi. Nawet jeśli coś by mi się przytrafiło, to i tak sprawa jest tego warta, bo i ja, i wy wiecie, ile znaczy Ojczyzna, a ile jedno życie ludzkie, szczególnie tu, w Azji. To jest dobra praca, tato, coś, o czym oboje marzyliśmy, zwłaszcza ty, kiedy byłeś na wojnie, walcząc w obronie swoich bliskich. Módl się za mną i opiekuj mamą. Zawsze będę was kochała, nawet w więzieniu”.

Smiley oddał list.

— Nie ma daty — zauważył beznamiętnie. — Czy może pan mi podać datę? Choćby w przybliżeniu?

Pelling podał, i to dokładną. Nie na darmo spędził życie jako pracownik Poczty Królewskiej.

— Od tamtej pory nie napisała do mnie nic — rzekł z dumą, wkładając złożony list z powrotem do portfela. — Od tamtego dnia nie miałem od niej ani słowa, nie dała znaku życia. Bo to niepotrzebne. Bo my stanowimy jedno. To zostało raz powiedziane i ja już nigdy więcej o tym nie napomknąłem, ona też nie. To było jak mrugnięcie okiem. Ja rozumiałem i ona wiedziała, że rozumiałem. Nie ma głębszego porozumienia między ojcem a córką niż nasze. Wszystko, co nastąpiło później... Ricardo, czy jak tam on się nazywał, żywy, martwy, kogo to obchodzi? Jakiś Kitajec, z którym ona coś kręci, no i co z tego? Przyjaciele, przyjaciółki, interesy, nic sobie z tego nie robię. To tylko przykrywka. Mają ją, kontrolują ją całkowicie. Pracuje dla Mellona i kocha swojego ojca. I tyle, koniec.

— Był pan bardzo uprzejmy — rzekł Smiley, zbierając swoje papiery. — Proszę się nie trudzić, trafię do drzwi.

— Traf pan, gdzie chcesz — odparł pan Pelling z przebłyskiem niedawnego dowcipu.

W ciemnym przedpokoju czuć było alkohol. Smiley naliczył dziewięć kroków, zanim drzwi za panią Pelling się zatrzasnęły, a więc to musiałyby być ostatnie na lewo, jak najdalej od pokoju jej męża. Można by je wziąć za drzwi do ubikacji gdyby nie to, że ubikację znaczyła wywieszka: „Pałac Buckingham, tylne wejście”. Smiley zawołał cicho i usłyszał głośne „wynocha!” Mimo to wszedł ostrożnie do środka i znalazł się w sypialni. Pani Pelling leżała swobodnie na łóżku, z kieliszkiem w dłoni, grzebiąc w stercie pocztówek. Pokój, podobnie jak królestwo jej męża, wyposażony był we wszystko co potrzebne, by żyć samotnie: w kuchenkę, zlew, a także w stos brudnych talerzy. Ściany pooblepiane były zdjęciami wysokiej, pięknej dziewczyny, czasem w towarzystwie chłopców, a czasem samej, najczęściej na orientalnym tle. Śmierdziało dżinem i kotem.

— On nie da jej spokoju — powiedziała pani Pelling. — Nunc. Nigdy nie da jej spokoju. Próbował, ale mu się nie udało. Bo widzi pan, ona jest piękna — wyjaśniła po raz drugi i przekreśliła się na plecy, trzymając nad głową czytaną pocztówkę.

— Czy tu przyjdzie?

— Kochanieńki, nie zaciągnąłbyś go tu końmi.

Smiley zamknął drzwi, usiadł na krześle i kolejny raz wyciągnął notes.

— Ona ma jakiegoś ukochanego Chińczyka — zaczęła pani Pelling, wciąż wpatrując się w trzymaną nad głową kartkę. — Poszła do

niego, żeby ratować Ricarda, i zakochała się w nim. Jest dla niej jak prawdziwy ojciec, którego nigdy nie miała. Wszystko w końcu dobrze się ułożyło. Wszystko, co złe, minęło. On nazywa ją Liese — powiedziała. — Uważa, że to ładniejsze i bardziej do niej pasuje. Śmieszne. My nie lubimy Niemców, jesteśmy patriotami. No i to pewnie on jej teraz załatwia tę fajną pracę, co?

— O ile wiem, pani córka woli obecnie używać nazwiska Worth zamiast Worthington. Czy jest po temu jakiś powód?

— Pewnie by odciąć się do reszty od tego nudziarza, mężusia.

— Kiedy powiedziała pani, że to zrobiła, by ratować Ricarda, miała pani na myśli...

Z gardła pani Pelling dobył się teatralny jęk bólu.

— Och wy, mężczyźni. Kiedy, kto, gdzie? W krzakach, kochanieńki, w budce telefonicznej. Kupiła Ricardowi jego życie za jedyną walutę, jaką ma. Zrobiła mu zaszczyt, po czym go rzuciła. A co, do cholery, przecież to obibok. — Wzięła do ręki drugą pocztówkę i zaczęła się przyglądać palmom i pustej plaży. — Moja Lizzie poszła w krzaki z połową Azji, zanim znalazła swojego Drake'a. Ale w końcu go znalazła. — Nagle usiadła wyprostowana, jakby usłyszała jakiś hałas, i wbiła w Smileya uważne spojrzenie, poprawiając jednocześnie włosy. — Lepiej już idź, kochanieńki — powiedziała tym samym, niskim głosem, obracając się do lustra. — Ciarki mnie przechodzą na twój widok. Nie mogę znieść wokół siebie uczciwych twarzy. Przepraszam, kochanieńki, mam nadzieję, że mnie rozumiesz?

Po powrocie do Cyrku potwierdzenie zdobytych informacji zabrało Smileyowi zaledwie kilka minut. Nazwisko „Mellon” — z dwoma „l”, dokładnie tak jak twierdził pan Pelling — było zarejestrowanym pseudonimem Sama Collinsa.

Rozdział 11

PODRÓŻ DO SZANGHAJU

Jeśli spojrzeć na sprawy ze złudnej perspektywy czasu, na tym etapie nastąpiło spiętrzenie zdarzeń. Wtedy właśnie w życiu Jerry'ego nadeszło i zaraz minęło kolejne Boże Narodzenie, odmierzone okresem bezcelowych pijackich nasiadówek w Klubie Zagranicznych Kore-

spodentów oraz serią wysyłanych w ostatniej chwili do Cat paczek, niezręcznie zawijanych o różnych porach nocy w ozdobny papier. Zwrócono się wówczas do „kuzynów” z oficjalną prośbą o wznowienie poszukiwań Ricarda, którą Smiley osobiście zaniósł do Aneksu, żeby przy sposobności wytłumaczyć się w pełni przed Martellem. Ale dokument utknął gdzieś z powodu bożonarodzeniowej gorączki — nie wspominając już o zbliżającym się upadku Wietnamu i Kambodży — i gdy wreszcie zakończył swoją wędrówkę po wszystkich amerykańskich wydziałach, było już dobrze po Nowym Roku, jak dowodzą tego daty w teczce Delfina. Tak naprawdę do przełomowego spotkania z Martellem i jego kolegami od narkotyków doszło dopiero w początkach lutego. W Cyrku wprawdzie rozumiano, że owo opóźnienie odbija się niekorzystnie na nerwach Jerry'ego, ale z racji panującej atmosfery kryzysu ani mu nie współczuto, ani temu nie zaradzono. I znów, zależnie od miejsca siedzenia, można by za to winić Smileya, ale w rzeczywistości trudno powiedzieć, co więcej mógłby zrobić poza wezwaniem Jerry'ego do powrotu; a należy dodać, że Craw donosił w gorących słowach o jego wspaniałej formie. Na piątym piętrze harowano bez ustanku i ledwo zauważono Boże Narodzenie; tradycji stało się zadość jedynie poprzez nieudany poczęstunek zakrapiany sherry w południe dwudziestego piątego oraz późniejszą przerwę w pracy wykorzystaną przez Connie i „matki” do wysłuchania orędzia królowej ku zawstydzeniu takich heretyków jak Guillam i Molly Meakin, którzy uznali przemówienie za prześmieszne i przedrzeźniali na korytarzu matkę narodu.

Oficjalne przyjęcie Sama Collinsa w przerzedzone szeregi Cyrku nastąpiło mroźnego dnia w połowie stycznia i miało zarówno komiczny, jak i tragiczny wymiar. Komicznym było uwięzienie Sama. Zjawił się w poniedziałek dokładnie o dziesiątej rano, nie w smokingu, ale w wytwornym szarym palcie z różą w butonierce, prezentując się cudownie młodo w taki ziać. Ale Smileya i Guillama nie było, siedzieli bowiem zamknięci z „kuzynami”, natomiast ani strażnicy, ani administracyjni nie mieli polecenia, by wpuścić Sama, tak więc zamknęli go w piwnicy, gdzie przez trzy godziny dygotał z zimna i kurzył, aż w końcu wrócił Smiley i go uwolnił. To jednak nie koniec farsy. Smiley przydzielił Samowi pokój na czwartym piętrze, obok Connie i di Salisa, ale jemu ani się śniło tam pracować, chciał piąte. Uważał, że to odpowiedniejsza kondygnacja dla człowieka pełniącego funkcję koordynatora. Biedni strażnicy, niczym żółtku z firmy przewozowej, musieli cierpliwie taszczyć meble po schodach.

Z przedstawieniem tragicznego wymiaru jest nieco kłopotu, choć parę osób próbowało tego dokonać. Connie stwierdziła, że Sam jest

lodowaty; cóż za niepokojący dobór słów. Według Guillaama był pożądlivy, według „matek” niewyraźny, a według „dłubaczy” o wiele za układny. Dla tych, którzy nie znali jego przeszłości, najdziwniejsza była jego samowystarczalność. Nie wyciągał teczek, nie czynił żadnych prób poszerzenia swej władzy, niemal nie używał telefonu, chyba żeby postawić na wyścigach lub dopilnować prowadzenia klubu. Ale za to wszędzie zabierał ze sobą swój uśmiech. Maszynistki stwierdziły, że z nim sypia, a w weekendy pierze go w balii. Smiley wprawdzie rozmawiał z Samem za zamkniętymi drzwiami, ale owoce tych rozmów były po trosze przekazywane zespołowi.

Tak, dziewczyna zjawiła się w Vientiane z kilkoma hipisami, którzy pokonali katmandzki szlak. Zgadza się, gdy dostała od nich kopniaka, poprosiła Mackervoore’a, by znalazł jej pracę. Zgadza się też, że on przekazał dziewczynę Samowi, albowiem uważał, że da się ją wykorzystać choćby tylko z racji jej urody. A zatem, czytając między wierszami, wszystko tak, jak to opisała w swoim liście do rodziców. W owym czasie poza kilkoma drobnymi narkotykowymi sprawami Sam — dzięki Haydonowi — nie miał nic na warsztacie, więc postanowił przydzielić ją do pilotów i zobaczyć, co z tego wyjdzie. Nie poinformował o tym Londynu, bo w tym czasie Londyn wszystko uziemiał. Po prostu wziął dziewczynę na próbę i płacił jej ze swojego funduszu operacyjnego. No i wyszedł z tego Ricardo. Sam pozwolił jej też ruszyć śladem starego hongkongskiego szwindlu złotem. Potem jednak zrozumiał, że dziewczyna zupełnie się nie nadaje do tej roboty. Ulżyło mu niezgorzej, jak sam się wyraził, gdy Ricardo zdjął mu ją z barków i załatwił jej robotę w „Indocharter”.

— A co on jeszcze wie? — spytał z oburzeniem Guillaam. — To chyba niewielkie wkupne za przeskoczenie tyłu szczebli awansu i wściubianie nosa w nasze sprawy.

— Wie sporo o niej — odparł cierpliwie Smiley i wrócił do czytania teczki Westerby’ego, która stała się ostatnio jego podstawową lekturą. — Sami czasami nie brzydzimy się szantażem — dodał z odbierającą rozsądek wyrozumiałością. — To całkiem zrozumiałe, że uciekamy się niekiedy do tej metody.

Tymczasem Connie wprawiła wszystkich w osłupienie rzadką u niej frywolnością, cytując — jak się zdaje — wypowiedź prezydenta Johnsona na temat J. Edgara Hoovera:

— George woli, by Sam Collins siedział w namiocie i szczał na zewnątrz niż odwrotnie — stwierdziła i zachichotała jak uczennica, rozbawiona własną śmiałością.

Najważniejsze wydarzenie nastąpiło jednak dopiero w połowie stycznia, kiedy to di Salis, w trakcie swych niezmordowanych wędrówek po krętych ścieżkach przeszłości Drake’a Ko, dokonał zdumie-

wającego odkrycia, którym było istnienie niejakiego pana Hibberta, baptystycznego misjonarza z Chin, wymienionego przez Ko jako połączyciel w podaniu o przyjęcie na studia prawnicze w Londynie.

Tak więc wszystko było o wiele bardziej rozproszone, niż to się jawi z perspektywy czasu: a tym samym o wiele bardziej uciążliwe dla Jerry'ego.

— Istnieje szansa na tytuł szlachecki — rzekła Connie Sachs. Powiedzieli mu to już wcześniej przez telefon.

Rozgrywała się poważna scena. Ostrzyżona na pazia Connie ubrana była w ciemnobrązowy kapelusik i ciemnobrązowy kostium, a w rękę trzymała ciemnobrązową torebkę z ukrytym w środku mikrofonem. W małej, ulicznej zatoczce nie opodal stała niebieska taksówka z włączonym silnikiem i ogrzewaniem, w której siedział w czapce z daszkiem spec od deptania po piętach, Węgier Toby Esterhase, udając, że drzemie, podczas gdy naprawdę nagrywał rozmowę na umieszczonym pod jego siedzeniem magnetofonie. Ekstrawagancka powierzchowność Connie została poddana sztywnej dyscyplinie. W ar-tretycznych palcach trzymała biurowy notes i długopis. Jeśli chodzi o siedzącego z boku di Salisa, sztuka polegała na tym, by go odrobinę unowocześnić. Zmuszono go do włożenia jednej z pasiastych koszul Guillama oraz dobranego pod kolor ciemnego krawata. Dało to, o dziwo, całkiem przekonujący efekt.

— To niebywale poufna sprawa — zwróciła się Connie głośno i wyraźnie do pana Hibberta. To też już mu powiedziała przez telefon.

— Ogromnie — potwierdził mruknięciem di Salis. Przez chwilę ręce mu latały, aż w końcu jeden łokieć usadowił się nieporadnie na guzowatym kolanie, a niespokojna dłoń zamknęła się na podbródku, po czym go podrapała.

Gubernator go zarekomendował, powiedziała Connie, i teraz reszta zależy już od Rady. Albo prześlą rekomendację do Pałacu, albo nie. Przy słowie „pałac” rzuciła ukradkowe spojrzenie di Sali-sowi, który natychmiast uśmiechnął się promiennie, ale skromnie, jak gwiazdor podczas poświęconego mu programu telewizyjnego. Kosmyki jego siwych włosów zostały okiełznane balsamem i wyglądały, (późniejsza wypowiedź Connie) jakby je polano tłuszczem w drodze do piekarnika.

— Zatem pan rozumie — rzekła Connie, akcentując słowa do kładnie niczym spikerka — że aby uchronić nasze najświętsze instytucje przed blamażem, musimy dokonać bardzo dokładnego wywiadu środowiskowego.

— Pałac — powtórzył za nią pan Hibbert, mrugnawszy w kierunku di Salisa. — A niech mnie, słyszysz, Doris? — Był bardzo stary. Akta mówiły wprawdzie, że ma osiemdziesiąt jeden lat, ale jego twarz osiągnęła już ten wiek, w którym rysy na powrót stają się delikatne. Miał na sobie koloratkę i brązową kamizelkę ze skórzanymi łatami na łokciach, a na ramionach szal. Tło szarego morza tworzyło aureolę wokół jego białych włosów. — Sir Drake Ko — rzekł na próbę. — Powiem państwu, że o tym akurat bym nie pomyślał. — Jego północny akcent był tak czysty, że, podobnie jak białe włosy, można by go uznać za sztuczny. — Sir Drake — powtórzył. — A niech mnie. Co ty na to, Doris?

Pytanie skierowane było do córki, blondynki między trzydziestką a czterdziestką, ubranej w żółtą sukienkę. Odkąd stała się dziewczyną, nic się nie zmieniło w jej lekko upudrowanej, lecz nie znającej makijażu twarzy poza powolnym obumieraniem nadziei. Gdy się odzywała, a czyniła to rzadko, oblewała się rumieńcem. Przygotowała na ich przyjście paszteciki, cienkie niczym kartka papieru kanapki oraz makowiec. Do odsączania fusów z herbaty używała kawałka muszliny z paciorkami, dzięki którym materiał pozostawał na filiżance naprężony. Z sufitu zwieszała się lampa z podziurawionym papirusowym kloszem w kształcie gwiazdy. Pod jedną ze ścian stało wysokie pianino z otwartymi na półeczce nutami hymnu *Lead Kindly Light*. Nad kratą pustego kominka wisiała makatka z sentencją z Kip-lingowskiej ballady, a welwetowe zasłony po obu stronach wypełnionego morzem okna były dość ciężkie, by zakryć nie uprawiane połacie życia. Brakowało książek, także Biblii. Był za to duży telewizor kolorowy. Na sznurku wisiały w długim szeregu skrzydłami do dołu, niczym ustrzelone ptaki, znieruchomiałe w połowie drogi na ziemię, rozkładane bożonarodzeniowe pocztówki. Nic nie przywodziło na myśl nadmorskich Chin, chyba tylko cień zimowego morza. W ogrodzie kaktusy i krzewy grzecznie czekały na zmianę pogody. Promenadą przemykali spacerowicze.

— Chcielibyśmy robić notatki — oznajmiła Connie.

Tradycja Cyrku głosiła bowiem, że gdy kradnie się dźwięk, powinno się również spisywać słowa, zarówno po to, by mieć zabezpieczenie, jak i przykrywkę.

— Ależ proszę bardzo — odparł zachęcająco pan Hibbert. — Nie wszyscy mamy niezawodną pamięć, prawda, Doris? Doris ma pamięć doskonałą, tak jak jej matka.

— Zatem najpierw — rzekła Connie, uważając by nie popęczać starego człowieka — chcielibyśmy zrobić to, co zawsze robimy ze świadkami kandydata, jak nazywamy takie osoby, a więc ustalić, jak długo zna pana Ko i na czym polega wasza znajomość.

Opisz swoje kontakty z Delfinem, oto, co właściwie powiedziała, tyle że bardziej zrozumiałym językiem.

Mówiąc o innych, starzy ludzie mówią o sobie, przeglądając się w zapomnianych zwierciadłach.

— Urodziłem się powołany do tego — zaczął pan Hibbert. — Mój dziad był powołany, mój ojciec, o ten to miał dużą parafię w Macclesfield. Wuj umarł, gdy miał dwanaście lat, ale i tak złożył śluby, prawda, Doris? Ja w wieku dwudziestu lat byłem w szkole dla misjo narzy. Cztery lata później wyruszyłem do Szanghaju, by przyłączyć się do Misji Żywota Pana Naszego. „Królowa Imperium”, tak się nazywał statek. O ile mnie pamięć nie zawodzi, było tam więcej kelnerów niż pasażerów. Coś podobnego.

Miał zamiar spędzić kilka lat w Szanghaju, ucząc się jednego języka i nauczając drugiego, a potem przenieść się do Misji Chińskiej i ruszyć w głąb kraju.

— Podobało mi się to, podobało mi się wyzwanie. Zawsze lubiłem Chińczyków. Misja Żywota Pana Naszego nie była bogata, ale robiła, co należało. Nie to, co te rzymskie szkoły, te to bardziej przypominały zakony, ze wszystkim co za tym idzie — powiedział pan Hibbert.

Di Salis, dawny jezuita, uśmiechnął się słabo.

— Myśmy brali nasze dzieci prosto z ulicy — rzekł. — Szanghaj był wtedy jednym wielkim siedliskiem grzechu, to państwu powiem. Wszystko tam było: przekupstwo, prostytutka, gangi, polityka, pieniądze, chciwość i cierpienie. Słowem, ludzki żywot, prawda, Doris? Nie, ty tego nie pamiętasz. Wróciliśmy tam po wojnie, ale nas szybko wyrzucili. Ona nie miała wtedy więcej niż jedenaście lat. Tak, Doris? Nie było już na świecie takich miejsc, takich jak Szanghaj, więc wróciliśmy tutaj. Nam się tam podobało, prawda, Doris? — spytał pan Hibbert, świadom, że mówi za dwoje. — Podobała nam się atmosfera. Otóż to.

— I to bardzo — dodała córka i odchrząknęła w swoją dużą pięść.

— Tak więc zaopatrywaliśmy się, w co się dało, do tego doszło — podjął na nowo opowieść pan Hibbert. — Była u nas panna Fong. Doris, pamiętasz starą Daisy Fong? Oczywiście, że pamiętasz Daisy i jej dzwoneczek, co? Nie, nie pamięta. Jak ten czas leci, a niech mnie. Grajek Pied*, oto kim była stara Daisy, tyle że to był dzwoneczek, a ona była kobietą, nie mężczyzną, i czyniła to na chwałę

* Bohater niemieckiej legendy, który grą na fujarce wyprowadził z miasta Hamelin wszystkie dzieci i powiódł je do pieczary, gdzie zniknęły (przyp. tłum.).

Pana, nawet jeśli później nisko upadła. Najlepsza ze wszystkich, których nawróciłem, aż do chwili, gdy przyszli Japonce. Daisy chodziła po ulicach, wydzwaniając wesoło tym dzwoneczkiem. Czasami szedł z nią stary Charlie Wan, innym razem ja. Wybieraliśmy doki albo kluby nocne. Aleja Krwi, tak nazywaliśmy tę ulicę, pamiętasz, Doris? Nie, nie pamiętasz. I tam Daisy dzwoniła dzwoneczkiem, dzyń! dzyń! — Wybuchnął śmiechem na to wspomnienie; wyraźnie widział przed sobą dziewczynę, bo nieświadomie poruszał energicznie ręką, jakby machał dzwoneczkiem. Di Salis i Connie przez uprzejmość dorzucili swoje ha, ha, ha, natomiast Doris się nachmurzyła. — Rue de Jaffe, to było najgorsze miejsce. W dzielnicy francuskiej i nic dziwnego, bo tam były domy grzechu. Tak właściwie, to one były wszędzie, w Szanghaju się od nich roiło. Nazywali Szanghaj Miastem Grzechu i mieli rację. Zbierała się grupka dzieci i Daisy pytała: „Czy ktoś z was stracił matkę?” I zawsze znalazło się parę takich. Nie wszyscy, nie, ale tu jedno, tam drugie. Niektóre próbowały nas nabierać, żeby dostać garść ryżu na kolację, więc je potem besztaliśmy i odsyłaliśmy do domu. Ale zawsze znalazło się kilkoro prawdziwych sierot, co Doris? I powoli, powoli założyliśmy szkołę. Najwięcej było czterdzieścioro czworo dzieci, dobrze mówię? Niektóre u nas sypiały, ale nie wszystkie. Lekcje Biblii, czytanie, pisanie i arytmetyka, trochę geografii i historii. To wszystko, na co nas było stać.

Walcząc ze zniecierpliwieniem, di Salis wlepił spojrzenie w szare morze. Connie natomiast ułożyła usta w trwałą uśmiech podziwu i nie spuszczała wzroku ze staruszka.

— Tak właśnie Daisy znalazła braci Ko — ciągnął pan Hibbert, nieświadom, że miesza kolejność wypadków. — W dokach, gdzie szukali matki, prawda, Doris? Przyjechali z Szantou. Kiedy to było? W 1936, jak mi się zdaje. Młody Drake miał dziesięć, może jedenaście lat, a jego brat Nelson osiem. Chudzi jak szczapy, od tygodni nie mieli nic porządnego w ustach. To państwu powiem, że w ciągu jednej nocy stali się ryżowymi chrześcijanami! Proszę pamiętać, że nie mieli wtedy imion, angielskich, rzecz jasna. Należeli do ludu łodzi, Czuczou. Nigdy nie poznaliśmy losu ich matki, co, Doris? Zabiły ją armaty, powiedzieli, armaty. Mogły to być armaty Japończyków albo Kuomintangu. Nigdy się nie dowiedzieliśmy do końca, bo i po co? Pan ją powołał do siebie i tyle. Lepiej było przestać pytać i zabrać się do roboty. Mały Nelson miał okropnie poharatane ramię. Szokujące, wierzcie mi, państwo. Złamana kość wystawała przez rękaw, to pewnie też zrobiły te armaty. Drake trzymał go za zdrową rękę i na początku za nic nie chciał puścić, nawet gdy jadł. Mówiliśmy wtedy, że mają obaj jedną władną rękę, pamiętasz to, Doris? Drake siadywał przy stole, trzymając kureczowo Nelsona, i ładował mu ryż do

buzi, ile tylko mógł. Mieliśmy u nas lekarza, ale on też nie mógł ich rozdzielić. Musieliśmy się z tym pogodzić. „Ty będziesz miał na imię Drake — powiedziałem im — a ty Nelson, ponieważ obaj jesteście dzielnymi żeglarzami, dobrze?” To był pomysł twojej matki, prawda Doris? Zawsze chciała mieć chłopca.

Córka spojrzała na ojca i już otworzyła usta, by coś odpowiedzieć, ale się rozmyśliła.

— Głaskali ją po włosach — rzekł staruszek lekko zaaferowanym tonem. — Głaskali po włosach matkę Doris i dzwonił dzwonkiem starej Daisy; lubili to. Nigdy przedtem nie widzieli jasnych włosów. Doris, a może byś przyniosła jeszcze trochę *saw*? Moja już wystygła, więc państwa pewno też. *Saw* znaczy po szanghajsku „herbata” — wyjaśnił. — Po kantońsku *cza*. Jakoś tak zapamiętał człowiek trochę słów, nie wiedzieć czemu.

Westchnąwszy z irytacją, Doris wyszła z pokoju, a Connie natychmiast skorzystała ze sposobności, by wtrącić pytanie.

— Ciekawe, proszę pana, jak dotąd nie mamy żadnej wzmianki o bracie — zauważyła tonem lekkiego wyrzutu. — Powiedział pan, że był młodszy. Dwa lata? Trzy?

— Żadnej wzmianki o Nelsonie? — Staruszek nie mógł wyjść ze zdumienia. — Jak to, przecież oni tak się kochali, byli nierozłączni. Drake dałby się za niego pokrajać. Ani słowa o Nelsonie? Doris, słyszysz?

Ale córka nie słyszała, albowiem przygotowywała w kuchni *saw*.

Spoglądając w swoje notatki, Connie uśmiechnęła się cierpko.

— Niestety, to chyba wyłącznie nasza wina, proszę pana. Widzę, że ci z biura rządowego zostawili w rubryce „rodzeństwo” puste miejsce. Zdaje się, że ktoś tam w Hongkongu będzie się gęsto tłumaczył. Pewnie nie pamięta pan daty urodzenia Nelsona? Zaoszczędziłoby to nam trochę czasu.

— Nie, skąd! Daisy Fong to by pamiętała, ale jej już nie ma. Ona zapisywała ich daty urodzenia, wszystkich, nawet jeśli któreś samo jej nie znało.

Di Salis szarpał się za ucho, wciągając głowę w ramiona.

— A może pamięta pan jego chińskie imię? — wtrącił wysokim głosem. — Mogłoby się przydać, gdyby ktoś dalej sprawdzał.

Pan Hibbert uparcie kręcił głową.

— Ale żeby nie było słowa o Nelsonie? Boże święty! Trudno w ogóle wyobrazić sobie Drake'a bez małego Nelsona u boku. Byli zawsze razem, papużki nierozłączki, jak mawialiśmy. Sieroty, to i nic dziwnego.

Z przedpokojem dobiegło ich dzwonienie telefonu, a po chwili — ku sekretnemu zdumieniu Connie i di Salisa — wyrażne: „A niech

to cholera" z ust Doris, która wypadła z kuchni, by odebrać. Następnie usłyszeli urywki burzliwej rozmowy na tle nasilającego się gwizdu czajnika:

— No więc co to jest? Skoro to cholerne hamulce, to po co pan mówił, że to sprzęgło? Nie, nie chcemy nowego samochodu. Boże przenajświętszy, chcemy stary, ale zreperowany. — Z głośnym „Jezu” Doris odłożyła słuchawkę i wróciła do kuchni i piszczącego wniebogłosy czajnika.

— Chińskie imię Nelsona — rzuciła delikatnie uśmiechnięta Connie, ale starszerek pokręcił głową.

— O to trzeba by spytać starą Daisy — odparł. — A ona od dawna jest w niebie. Panie Boże, świeć nad jej duszą.

Di Salis najwyraźniej miał zamiar zakwestionować ową niepamięć, ale Connie powstrzymała go spojrzeniem. Niech gada, mówiły jej oczy. Jak go zaczniesz cisnąć, urwie mu się wątek i koniec.

Starszerek siedział na krzeselku obrotowym. Nieświadomie kręcił się powoli zgodnie z ruchem wskazówek zegara i w tej właśnie chwili zwrócił się do morza.

— Papużki nierozłączki, tacy byli. Nigdy nie widziałem dwóch tak różnych i tak wiernych sobie braci, to fakt.

— „Różnych” w jakim sensie? — spytała zachęcająco Connie.

— No, mały Nelson bał się karaluchów. To po pierwsze. Oczywiście nie mieliśmy nowoczesnych sanitariatów. Musieli chodzić do wychodka i tam były karaluchy. Mój Boże, śmigają dokoła jak kule! Nelson nawet nie chciał się tam zbliżyć. Ramię mu się goiło należycie, jadł za dwóch, ale trzymał to w sobie przez całe dni, bo bał się iść do wychodka. Twoja matka, Doris, obiecywała mu gwiazdki z nieba, żeby tylko poszedł. Daisy Fong nawet złapała kija i do dziś widzę te jego oczy. Patrzył tak czasami i zaciskał pięść zdrowej ręki, aż człowiek się bał, że obróci się w kamień od tego spojrzenia. Buntownik, od urodzenia. Pewnego dnia wyglądamy przez okno i co widzimy? Drakę idzie, obejmując Nelsona za ramię, prowadzi go do wychodka. Siedział z nim tam, gdy on się załatwiał. Widzieliście państwo, jak one dziwnie chodzą, dzieci ludu łodzi? — spytał nagle bardzo przytomnym głosem, jakby zobaczył przed sobą braci. — Nogi na beczce prostowane.

Drzwi otworzyły się gwałtownie i weszła Doris ze świeżą herbatą na tacy, stukając zastawą.

— Ze śpiewaniem było tak samo — rzekł pan Hibbert i ponownie zamilkł, spoglądając w morze.

— Psalmów? — wtrąciła Connie rażno pytanie, zerkając na wypolerowane pianino z pustymi świecznikami.

— Drake to śpiewał dziarsko wszystko, pod warunkiem, że akompaniowała twoja matka, Doris. Kolędy i pieśni. Wskoczyłby za nią w ogień. Taki był Drake. A Nelson nie, nigdy nie słyszałem, żeby zaśpiewał choć jedną nutę.

— Za to później usłyszałeś od niego coś innego — przypomniała mu bez ogródek córka, ale nie zwrócił na nią uwagi.

— Można mu było nie dać obiadu, kolacji, a on i tak nie chciał się modlić. Od początku kłócił się z Bogiem. — Pan Hibbert roześmiał się z nagłym przyplływem energii. — Ale tacy są właśnie prawdziwie wierzący. Pozostali wierzą przez grzeczność. Bez kłótni nie ma szczerego nawrócenia.

— Cholerni mechanicy — mruknęła córka, krojąc makowiec, wciąż wzburzona rozmową telefoniczną.

— Zaraz, a wasz kierowca?! — wykrzyknął pan Hibbert. — Może Doris mu coś zanieś? Pewnie zamarza tam na śmierć! Przyprawdźcie go państwo, dalej! — Ale zanim Connie lub di Salis zdążyli zareagować, zaczął opowiadać o wojnie. Nie o wojnie Drake'a ani Nelsona, ale o swojej własnej, zachowanej w luźnych obrazach zaćmionej pamięci. — Śmieszne, bo wielu uważało, że Japonce zrobią, co należy. Że dadzą nauczkę podnoszącym głowę chińskim nacjonalistom. Nie wspominając o komunistach, rzecz jasna. Niektórzy potrzebowali dużo czasu, żeby przejrzeć na oczy, to państwu powiem. Nawet po bombardowaniach jeszcze się łudzili. Europejczycy pozamykali swoje sklepy, kupcy powyjeżdżali z rodzinami, Klub Angielski przemieniono w szpital, ale wciąż byli tacy, którzy mówili, żeby się nie przejmować. No i pewnego dnia, trach!, zamknęli naszą misję, prawda, Doris? I jakby jeszcze było im mało, zabili twoją matkę. Biedaczka nie miała już sił po gruźlicy. A tymczasem bracia Ko wylądowali lepiej niż inni.

— Och, a to czemu? — spytała Connie, zaintrygowana.

— Bo przecież wierzyli w Jezusa, który był ich przewodnikiem i pocieszycielem, prawda?

— Oczywiście — odparła.

— Naturalnie — dostroił się di Salis, splatając palce i szarpiąc dłońmi. — Naturalnie, że tak — powtórzył obłudnie.

Zatem po nadejściu Japońców, jak nazywał najeźdźców pan Hibbert, misja została zamknięta i Daisy Fong z nieodłącznym dzwoneczkiem wyprowadziła dzieci na drogę, by dołączyć do rzeszy uciekinierów, którzy wozami, autobusami, pociągami, a najczęściej piechotą, ciągnęli do Szangrao, a później do Czungcingu, gdzie nacjonałiści Czang Kaj-szeka założyli tymczasową stolicę.

— Nie będzie mógł długo mówić — ostrzegła w pewnej chwili szeptem Doris. — Jest zramolały.

— Ależ owszem, będę mógł — zaprzeczył ojciec z miłym uśmiechem. — Przeżyłem już swoje i mogę robić, co mi się podoba.

Popijając herbatę, rozmawiali o ogrodzie, z którym Hibbertowie mieli problemy od dnia, gdy się tu osiedlili.

— Mówili nam, żebyśmy wzięli te ze srebrnymi liśćmi, że są wytrzymałe na sól. Nie wiem, a ty jak sądzisz, Doris? Jakoś nie bardzo się przyjęły, co?

Wraz ze śmiercią żony, powiedział pan Hibbert, jego życie również dobiegło końca — od tej chwili odliczał czas w oczekiwaniu na dzień, gdy znów się z nią połączy. Kiedyś przez krótki okres mieszkał na północy Anglii. Potem pracował trochę w Londynie, propagując Biblię.

— No i wreszcie przyjechaliśmy na południe, co, Doris? Sam nie wiem po co.

— Ze względu na powietrze — odparła córka.

— W Pałacu pewnie będzie przyjęcie, co? Może Drake zgłosi nas nawet jako swych gości? Wyobraź to sobie, Doris. Podobałoby ci się. Gala w królewskich ogrodach, kapelusze.

— Ale jednak wróciliście do Szanghaju — przypomniała mu w końcu Connie, szeleszcząc dokumentami, by naprowadzić go na właściwy wątek. — Japończycy zostali pobici, Szanghaj stał otworem, więc przyjechał tam pan ponownie. Już bez żony, ale jednak.

— O tak, przyjechaliśmy.

— I widział się pan z braćmi Ko. Spotkaliście się i pewnie wspominaliście stare dzieje, czy tak?

Przez chwilę wydawało się, że pytanie nie dotarło do pana Hibberta, ale nagle wybuchnął spóźnionym śmiechem.

— Na Jowisza, a jak wyrosli! Sprytnie chłopaki, jak malowane. Uganiali się za dziewczynami, z przeproszeniem. Zawsze mówiłem, że Drake by się z tobą ożenił, Doris, gdybyś mu dała nadzieję.

— ■ No nie, tato, proszę — mruknęła córka i spuściwszy głowę, zmarszczyła czoło.

— A Nelson! Ale się z niego zrobiło ładaco! — Pan Hibbert na bierał łyżeczką herbatę tak uważnie, jakby karmił ptaszka. — „Gdzie pani?” To było jego pierwsze pytanie. Drake'a, nie Nelsona. Pytał o twoją matkę, Doris. „Gdzie pani?” Zapomniał angielskiego, Nelson też. Później dawałem im lekcje. No i mu powiedziałem. Zdążył się już w swoim życiu napatrzeć na śmierć, to pewna. Zrozumiał od razu. „Pani nie żyje” — odparłem. Co więcej było do powiedzenia? „Nie żyje, Drake, i jest z Panem Bogiem”. Nigdy przedtem ani potem nie widziałem, żeby płakał, tylko wtedy i pokochałem go za to. „Ja stracił dwa matka” — powiedział do mnie. „Mama nie żyje, teraz pani nie

żyje". Modliliśmy się za jej duszę, co więcej mogliśmy zrobić? A Nelson nie, ani nie płakał, ani się nie modlił. On nie. Nigdy nie znaczyła dla niego tyle co dla Drake'a. Nie z powodów osobistych, nie, ona po prostu była dla niego wrogiem jak my wszyscy.

— „My” to znaczy kto? — spytał di Salis przymilnie.

— Europejczycy, kapitaliści, misjonarze, my wszyscy, obcy, którzy zjawialiśmy się po ich dusze, ich wysiłek albo ich srebro. My wszyscy — powtórzył pan Hibbert bez cienia goryczy. — Wyzyskiwacze. Takimi nas widział. I w pewnym sensie słusznie.

Rozmowa urwała się niezręcznie. Po chwili Connie uważnie podjęła ją na nowo.

— A zatem otworzył pan misję jeszcze raz i, o ile wiemy, mieszkał tam aż do komunistycznego przewrotu w czterdziestym dziewiątym. Przez cztery lata Drake i Nelson byli pod pańskim ojcowskim okiem. Czy tak, proszę pana? — spytała z długopisem wzniesionym nad kartką papieru.

— Tak, tak, znowu zawiesiliśmy latarnię na drzwiach. W czterdziestym piątym skakaliśmy z radości jak wszyscy. Walki ustały, Japonec zostali pobici, uchodźcy mogli powrócić do domów. Ludzie ściskali się na ulicach ze szczęścia. Nic dziwnego. Dostaliśmy pieniądze, chyba odszkodowanie wojenne, jakąś dotację. Wróciła Daisy Fong, ale nie na długo. Przez pierwszy rok czy dwa pozory jeszcze myliły, choć też nie bardzo. Mogliśmy tam być tak długo, jak długo rządził Czang Kaj-szek, no ale on nigdy nie był w tym za dobry, co? W czterdziestym siódmym na ulicach zagościł już komunizm, a dwa lata później zakorzenił się w mieście na dobre. Po dzielnicy międzynarodowej nie zostało śladu, po koncesjach także nie, no i dobrze. Reszta następowała powoli. Znów oczywiście znaleźli się ślepcy, którzy twierdzili, że stary Szanghaj pozostanie nie zmieniony na zawsze. Szanghaj skorumpował Mandżurów, mówili, chińskich generałów, Kuomintang, Japończyków, Brytyjczyków. Teraz skorumpuje i komunistów. Oczywiście mylili się. My, Doris i ja, nie wierzyliśmy w korupcję jako rozwiązanie problemów Chin, twoja matka też nie. Więc wróciliśmy do domu.

— A Ko? — przypomniała mu Connie, podczas gdy Doris wyjmowała hałaśliwie z papierowej torby robótki na drutach.

Staruszek się zawahał, i tym razem nie było to spowodowane podeszłym wiekiem, który spowalniał dotąd jego opowieść, ale wątpliwością.

— No tak — odparł po niezręcznej chwili milczenia. — Tak, ci dwaj mieli niebywałe przygody, to państwu powiem.

— Przygody — powtórzyła gniewnie Doris, stukając drutami. — Raczej rozboje.

Światło słoneczne przylgnęło do morza, blednąc powoli wewnątrz mieszkania; piecyk gazowy buczał niczym jakiś samochód w oddali.

Staruszek powiedział, że podczas ucieczki przed Japończykami z Szanghaju Drake i Nelson kilkakrotnie zostali rozdzieleni. Usychali z tęsknoty, gdy nie mogli się odnaleźć. Nelson dotarł zdrów i cały aż do Czungcingu mimo głodu, wyczerpania i piekielnych nalotów bombowych, w których ginęły tysiące cywilów. Natomiast Drake, jako że był starszy, został wcielony do armii Kaj-szeka, choć właściwie to Kaj-szek nie walczył, tylko się wycofywał z nadzieją, że Japończycy i komuniści wykończą się nawzajem.

— Drake miotał się, był wszędzie, próbując odnaleźć linię frontu i zamartwiając się na śmierć o los Nelsona. No a ten oczywiście zbijał baki w Czungcingu, nabierając ideologicznego kręgosłupa. Mieli tam nawet gazetę, „New China Daily”, tak mi potem powiedział, wyda wali za pozwoleniem Kaj-szeka. Proszę to sobie wyobrazić! Znalazło się tam kilku o podobnych poglądach co jego i postanowili razem odbudować świat, gdy już ta wojna się skończy. No i pewnego dnia, dzięki Bogu, się skończyła.

W tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym cudownym zrządzeniem losu rozłąka braci dobiegła końca.

— Jedna szansa na tysiąc, jedna na milion. Droga powrotna za walona była ciężarówkami, wozami, oddziałami, armatami, wszystko to ciągnęło na wybrzeże, a wśród nich Drake, biegający wzdłuż ko lumn jak szalony. „Widziałeś mojego brata?” — pytał każdego napo tkanego człowieka.

Dramatyzm tej chwili nieoczekiwanie poraził misjonarza, bo zaczął mówić drżącym głosem.

— Jakiś brudny mężczyzna położył Drake'owi dłoń na ramieniu i rzekł: „Ej, ty, Ko”. Jakby prosił o ogień. „Twój brat jest w drugiej ciężarówce od tyłu, poucza komunistów Hakka”. Chwilę potem bracia padli sobie w ramiona i Drake nie spuścił oka z Nelsona aż do samego Szanghaju. Później zresztą też nie!

— Następnie przyszli się z panem zobaczyć — zasugerowała uprzejmie Connie.

— Kiedy Drake wrócił do Szanghaju, miał tylko jedno w głowie. Żeby jego brat skończył szkołę. Nic na świecie nie miało wówczas dla niego znaczenia tylko edukacja Nelsona. Nic. Nelson musiał iść do szkoły. — Ręka starego człowieka klapnęła na poręcz krzesła. — Przynajmniej jeden z nich będzie miał wykształcenie. Ależ on był uparty! No i dopiął swego, postawił na swoim. A tak. Był już wtedy mechanikiem jak się patrzy. Kiedy wrócił z wojny, miał dziewiętnaście lat, skończone, Nelson zaś niepełne siedemnaście i też harował

dniami i nocami, ucząc się, rzecz jasna. Robił to samo, co Drake, tyle że Drake pracował rękoma.

— Był zwykłym bandziorem — powiedziała Doris pod nosem. — Został członkiem gangu i kradł. W chwilach, gdy nie podwalał się do mnie.

Trudno było stwierdzić, czy pan Hibbert usłyszał córkę, czy też z marszu rozwiewał jej typowe, znane mu obiekcje.

— Doris, musisz spojrzeć na te triady z odpowiedniego punktu widzenia — rzekł. — Szanghaj był miastem-państwem. Władala nim klika bogatych kupców, szefowie szajek i paru innych, jeszcze gorzszych ludzi. Brak było związków zawodowych, prawa, porządku, a życie było ciężkie i niewiele warte. Wątpię, czy dzisiejszy Hong kong tak bardzo się od tego różni, gdyby zajrzeć pod podszewkę. W porównaniu z tamtejszą tak zwaną angielską dżentelmenerią największy sknera jest dobroczyńcą pełnym chrześcijańskiego miłosierdzia. — Upomniawszy łagodnie córkę, powrócił do Connie i swej opowieści. Connie nie była dla niego nikim nowym — stanowiła archetyp pani w pierwszej ławie kościoła: duża, uważna, w kapeluszu, spragniona jego słów.

— Zjawiali się na podwieczorek o piątej. Przygotowywałem wszystko na ich przyjęcie: jedzenie na stole, ich ulubioną lemoniadę, którą nazywali cytronetą. Drake przychodził z doków, a Nelson odrywał się od książek. Jedli niemal bez słowa i z powrotem wracali do pracy, prawda, Doris? Dowiedzieli się o pewnym legendarnym uczonym, mędrцу Cze Jinie. Cze Jin był tak biedny, że musiał się uczyć pisać i czytać przy blasku robaczków świętojańskich. Rozprawiali o tym, jak to Nelson mu dorówna. „No, Cze Jin — mawiałem — zjedz jeszcze jedną babeczkę, żebyś miał siłę”. Pośmieli się trochę i wracali do swoich zajęć. „Cześć, Cze Jin, zmykaj”. Czasami Nelson, gdy nie miał pełnych ust, atakował mnie w kwestiach polityki. Ależ on miał poglądy! Wszystko teraz wiedział lepiej od nas, to państwu powiem. Pieniądze były źródłem wszelkiego zła. No cóż, nigdy temu nie zaprzeczałem! Sam głosiłem coś podobnego przez lata! Miłość braterska, partyjna przyjaźń, i owszem, ale religia to opium dla mas. No cóż, na to nie mogłem przystać, ale klerykalizm, kościelna pompa, papizm, bałwochwalstwo — tu według mnie nie był daleko od prawdy. Nam Brytyjczykom też się dostało, i śmiem twierdzić, że zasłużyliśmy sobie na to.

— Ale jakoś nie przeszkodziło mu to jadać u ciebie — wtrąciła znów cicho Doris. — Ani wyrzec się religii. Ani zdemolować misji.

Staruszek uśmiechnął się cierpliwie.

— Moja droga, już ci mówiłem i powiem jeszcze raz. Pan objawia się na wiele sposobów. Jeśli dobrzy ludzie wyruszają na poszuki-

wanie prawdy, sprawiedliwości i braterskiej miłości, On jest między nimi i trzeba Go wpuścić do środka.

Poczerwieniawszy, Doris zagrzebała się w swej robótce.

— Ma rację, rzecz jasna — zwrócił się pan Hibbert z powrotem do Connie. — Nelson rzeczywiście zdemolował misję. I wyrzekł się religii. — Przez chwilę na starczej twarzy zagościł cień smutku, ale zaraz przegonił go śmiech. — A niech mnie, ale go Drake za to zbeształ! Ale mu skórę wygarbował! Aj, aj, aj. „Polityka — powiedział. — Nie najesz się nią, nie da się jej sprzedać i — za przeproszeniem, Doris — do łóżka z nią też nie pójdziesz! Nadaje się tylko do burzenia świątyń i zabijania niewinnych!” Nigdy przedtem nie widziałem go tak rozgniewanego. Sprawił mu takie manto, że ho, ho! Drake nauczył się tego i owego, pracując w dokach, to państwu powiem.

— Musi pan nam powiedzieć wszystko — syknął w półmroku di Salis niczym wąż. — Wszystko. To pana obowiązek.

— Zwykła studencka demonstracja — podjął opowieść pan Hibbert. — Grupa komunistów. Wyszli z pochodniami na ulicę po godzinie policyjnej w poszukiwaniu awantury. To było w czterdziestym dziewiątym, chyba wiosną, sprawy przybierały coraz gorszy obrót.

— W porównaniu z wcześniejszym gaworzeniem jego narracja stała się nad wyraz spójna. — Siedzieliśmy przy kominku, co, Doris? Ile miałaś lat, czternaście, piętnaście? Lubiliśmy rozpalać ogień, nawet jeśli nie było potrzeby, przypominało nam to rodzinny Macclesfield. No i słyszymy nagle gwar i śpiewy na zewnątrz. Czynele, gwizdki, gongi, dzwonki, bębenki, och, uszy puchły. Spodziewałem się, że może dojść do rozróby. Mały Nelson wciąż mnie ostrzegał na lekcjach angielskiego. „Niech pan wraca do domu, pan jest dobrym człowiekiem”

— mawiał. Niech Bóg ma go w swojej opiece. „Pan jest dobrym człowiekiem, ale kiedy słuza pięknie, powódź potopi dobrych i złych bez różnicy”. Potrafił zgrabnie ująć istotę rzeczy, kiedy chciał. To brało się z jego wiary, nie było wymuszone. Czuł to. „Posłuchaj — powiedziałem wtedy do Daisy Fong. Siedziała koło nas, kiedy zadzwoniono do drzwi. — Zabierz Doris do ogrodu na tyłach, będziemy chyba mieli towarzystwo”. W tej samej chwili — trach! — ktoś cisnął kamieniem w okno. Rozległy się wrzaski, okrzyki i usłyszałem Nelsona, poznałem jego głos. Władał oczywiście zarówno czuczouckim, jak i szanghajskim, ale do swoich kolegów zwracał się rzecz jasna po szanghajsku. „Hańba imperialistycznym psom!” — ryczał. — „Precz z religijnymi hienami!” Och, jakież oni hasła wymyślali! Po chińsku brzmią dobrze, ale gdy je przełożyć na angielski, to wychodzi chała. No i wtedy drzwi puściły i wpadli do środka.

— Zniszczyli krzyż — rzekła Doris, przerywając dzierganie, by spojrzeć na robótkę.

Tym razem to Hibbert, a nie ona, zaskoczył słuchaczy dosadnym słownictwem.

— Cholera, oni zniszczyli wszystko, co się dało, nie tylko krzyż! — wykrzyknął radośnie. — Ławy, Stół Pański, fortepian, krzesła, lampy, księgi psalmów, Biblię. Ulżyli sobie niezgorzej, to państwu powiem. Prawdziwe dzikusy. „Proszę bardzo — powiedziałem. — Nie krępujcie się. Dzieło człowieka może obrócić się w proch, ale słowa Bożego nie zniszczycie, nawet gdybyście porabali wszystko na zapalki”. Nelson, biedak, nie śmiał spojrzeć mi w oczy. Chciało mi się płakać nad nim. Kiedy już sobie poszli, rozejrzałem się dokoła i zobaczyłem Daisy Fong. Stała w drzwiach, a za nią Doris. Przyglądała się wszystkiemu. Zadowolona. Widziałem to w jej oczach. W głębi serca była jedną z nich. Szczęśliwa. „Daisy — rzekłem — spakuj swoje rzeczy i idź. W życiu doczesnym możesz ofiarować siebie lub nie, ale nigdy się nie zaprzędawaj. Bo w ten sposób będziesz gorsza od szpiega”.

Podczas gdy Connie promiennym spojrzeniem wyrażała swoją aprobatę, di Salis sapnął piskliwie, obrażony. Staruszek jednak najwyraźniej był w transie.

— Tak więc usiedliśmy sobie razem, Doris i ja, i zapłakaliśmy nad tym, co się stało, prawda? Nie wypieram się tego. Nie wstydzę się łez, nigdy się nie wstydzilem. Tęskniliśmy okrutnie za twoją matką. Uklękliśmy i zmówiliśmy pacierz. Potem zaczęliśmy sprzątać, choć nie bardzo wiedzieliśmy od czego zacząć. I nagle wszedł Drake! Po kręcił głową, zdumiony. „Dobry wieczór panu” — rzekł tym swoim niskim głosem z lekką domieszką mojego północnoangielskiego akcentu, który nas zawsze u niego rozśmieszał. A za nim stał mały Nelson, ze zmiotką i szufelką w dłoni. Wciąż miał krzywe ramię, i pewnie ma takie do dziś, zranione odłamkiem pocisku, kiedy był mały, ale powiem państwu, że mimo to zamiatął, aż się kurzyło! No i wtedy Drake wskoczył na niego. Zaczął kłać jak szewc, nigdy przedtem nie słyszałem, by tak się wyrażał. Jak szewc, że tak powiem, co, Doris? — Uśmiechnął się pogodnie do córki. — Na szczęście mówił po czuczoucku. Zrozumiałem tylko z połowę, nie więcej, ale mi wystarczyło! Kłął na czym świat stoi.

Urwał i zamknął na chwilę oczy, by się pomodlić lub odpocząć.

— Rzecz jasna, nie należało winić Nelsona. Wiedzieliśmy to od samego początku. Był przywódcą, musiał zachować twarz. Maszero wali bez celu i nagle ktoś krzyknął: „Ej, chłopaku z misji! Pokaż nam, po czyjej jesteś stronie!” No i pokazał. Nie miał wyjścia. Mimo to Drake dał mu popalić. Sprzątnęli i poszliśmy spać. Oni spali na podłodze w kaplicy na wypadek, gdyby awanturnicy wrócili. Zszedłem

na dół rankiem i zobaczyłem, że wszystkie księgi psalmów, które ocalały, były skrupulatnie ułożone, tak samo Biblię. Zrobili też inny krzyż, ustawili go po swojemu. Połatali nawet fortepian, choć oczywiście go nie nastroili.

Zawiązując się w nowy supeł, di Salis zadał pytanie. Podobnie jak Connie, trzymał otwarty notes, ale nie napisał w nim dotąd ani słowa.

— Dyscyplina Nelsona? — wypalił na swój sposób oburzonym, nosowym głosem, gotując się do pisania.

Zaskoczony, pan Hibbert zmarszczył czoło.

— No jakżeż, komunistyczna, rzecz jasna.

— Tato —■ szepnęła Doris w swoją robótkę, a tymczasem Connie pospiesznie przełożyła pytanie:

— Co on studiował i gdzie?

— Ach, taka dyscyplina! — odparł pan Hibbert przytomniej-szym głosem.

Odpowiedź miał w małym palcu. O czym innym mógłby rozmawiać z Nelsonem na lekcjach angielskiego — wyłączając komunistyczną wiarę — jeśli nie o jego zamierzeniach? Namiętnością Nelsona była inżynieria. Wierzył, że to technika, a nie Biblia, wyprowadzi Chiny z epoki feudalizmu.

— Budownictwo okrętowe, drogi, kolej, fabryki: to był cały Nelson. Archanioł Gabriel z suwakiem logarytmicznym, w białej koszuli i ze stopniem naukowym. Oto kim był w swojej wyobraźni.

Pan Hibbert nie pozostał w Szanghaju na tyle długo, by przekonać się, czy Nelson zrealizował swoje marzenia, ponieważ — jak sam powiedział — chłopak ukończył studia dopiero w pięćdziesiątym pierwszym...

Pióro di Salisa skrobało wściekle po papierze.

— ... ale Drake, który odejmował sobie przez te pięć lat od ust — ciągnął misjonarz, zagłuszając kolejne pomstowanie Doris na triady — wytrzymał do końca i zostało mu to wynagrodzone, tak samo jak Nelsonowi. Zobaczył, jak młodszy brat dostaje ów ważny dokument od ręki, wiedział, że spełnił swoje zadanie i może się wycofać, co zawsze planował.

Podniecony di Salis miał coraz większy apetyt. Kręcił się niespokojnie na krześle, a na jego brzydkiej twarzy pojawiły się plamy rumieńców.

— A po skończeniu studiów co? — spytał natarczywie. — Co robił potem? Co się z nim stało? No proszę, niech pan mówi, niech pan nie przerywa.

Ubawiony ową zapalczywością, pan Hibbert pozwolił sobie na uśmiech. Cóż, rzekł, podług relacji Drake'a Nelson najpierw zatrudnił się w stoczni jako rysownik. Opracowywał plany i projekty statków, ucząc się chciwie od rosyjskich inżynierów, którzy po zwycięstwie Mao napływali do Chin setkami. Następnie, w pięćdziesiątym trzecim, jeśli pamięć nie zawodziła pana Hibberta, uzyskał wielkie wyróżnienie, a mianowicie wysłano go na dalsze studia do Związku Radzieckiego, na Uniwersytet Leningradzki, gdzie przebywał chyba do późnych lat pięćdziesiątych.

Di Salis pochylił się nagle do przodu i pomimo ostrzegawczych spojrzeń Connie obcesowo wskazał staruszką piórem.

— A potem, po Leningradzie, co potem się z nim działo?

— No jakżeż, wrócił do Szanghaju, rzecz jasna — odparł ze śmiechem pan Hibbert. — I awansował, z tą wiedzą, którą nabył, ze swoją pozycją. Został stoczniovcem z radzieckim wykształceniem, technologiem i administratorem! Był zakochany w Rosjanach! Zwłaszcza po Korei. Mieli maszyny, siłę, pomysły, filozofię. To była jego ziemia obiecana, ten Związek Radziecki. Patrzył na nich jak... — głos misjonarza osłabł, podobnie jak jego zapal. — Dobry Boże — mruknął i zamilkł, po raz drugi niepewny swych wspomnień. — Ale to przecież nie mogło trwać wiecznie. Jak długo owo podziwianie Sowietów było w modzie w nowym rajku przewodniczącego Mao? Doris, kochanie, przynieś mi szal.

— Przecież masz go na sobie — odparła córka.

Di Salis bez zahamowań i taktu naciskał dalej. Nic go teraz nie obchodziło prócz odpowiedzi, nawet otwarty notes na kolanach.

— No dobrze, wrócił — pisał. — Piął się w górę. Był wyuczony w Rosji i prosyjski. Dobrze. Co działo się później?

Pan Hibbert patrzył na niego dłuższą chwilę. Jego twarz i oczy szczerze wyrażały uczucia. Spoglądał tak, jak mogłoby spoglądać inteligentne dziecko, bez fałszu dyktowanego wyrachowaniem. I wtem stało się jasne, że wcale nie ufa di Salisowi i że go nie lubi.

— On nie żyje, młody człowieku — odparł wreszcie i okręciwszy się na krześle, wbił spojrzenie w morski pejzaż. W pokoju panował już głęboki półmrok; większość skąpego światła dawał piecyk gazowy. Szara plaża była wyludniona. Na furtce przysiadła samotna mewa, olbrzymia i czarna na tle ostatnich pasem wieczornego słońca.

— Przecież powiedział pan, że nadal ma krzywe ramie — warknął do niego di Salis. — Że do dziś ma takie. Powiedział pan to o terazniejszości, dobrze słyszałem!

— Wystarczy. Myślę, że nie będziemy dłużej nadużywać uprzejmości pana Hibberta — rzekła rażno Connie i, rzuciwszy di Salisowi wymowne spojrzenie, pochyliła się, by wziąć torebkę. Ale di Salis nie zamierzał odstępować.

— Nie wierzę mu! — krzyknął piskliwym głosem. — Jak i kiedy umarł Nelson? Proszę nam podać datę!

Staruszek tylko szczerzej otulił się szalem, wciąż wpatrzony w morze.

— Mieszkaliśmy w Durham — odezwała się Doris, nie spuszczać wzroku z robótki, choć trudno już było dziergać w niemal zupełnych ciemnościach. — Drake przyjechał wielkim samochodem z szoferem. Wszedł z tym swoim podnóżkiem, którego nazywa Tiu. W Szanghaju razem kradli i rabowali. Chciał się popisać. Przywiózł mi platynową zapalniczkę, a dla taty tysiąc funtów w gotówce na jego kościół. Pokazał nam Order Imperium w etui, a potem pociągnął mnie na stronę i poprosił, żebym wyjechała z nim do Hongkongu i została jego kochanką. Coś takiego pod nosem taty. Bezczelny typ! Chciał, żeby tata coś podpisał. Jakies referencje. Powiedział, że ma zamiar studiować prawo w Gray's Inn. W jego wieku, proszę to sobie wyobrazić! Czterdziestodwuletni mężczyzna! Oto, co znaczy być dojrzałym studentem. On nim jednak nigdy nie został, rzecz jasna. To była tylko gadka i pozory, jak zwykle. Tata zapytał go o Nelsona i...

— Jedną chwileczkę — di Salis po raz kolejny przerwał w najmniej odpowiedniej chwili. — Kiedy to było? Poproszę datę, ja muszę mieć daty!

— W sześćdziesiątym siódmym. Tata już powoli odchodził na emeryturę, zgadza się, tato?

Staruszek ani drgnął.

— Dobrze, rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty siódmy. A mie siąc? Dokładnie!

Omów nie powiedział „Dokładnie, kobieto!” Connie zaczynała się poważnie niepokoić. Gdy po raz kolejny próbowała go przywołać do porządku, w ogóle nie zwrócił na nią uwagi.

— Kwiecień — odparła Doris po chwili namysłu. — To było niedługo po urodzinach taty. Dlatego właśnie przywiózł tysiąc funtów na kościół. Wiedział, że tata nie wzięby pieniędzy dla siebie, ponieważ nie pochwał sposobu, w jaki on je zarabiał.

— Dobrze, w porządku. Kwiecień. A zatem Nelson zmarł przed kwietniem sześćdziesiątego siódmego roku. Czy Drake podał jakies szczegóły dotyczące śmierci brata? Czy pani coś pamięta?

— Nic, żadnych szczegółów. Już mówiłam. Tata się go spytał, a on po prostu odparł, że Nelson nie żyje, jakby mówił o psie. Oto

jego braterska miłość. Tata nie wiedział, gdzie podziąć oczy. Omal mu serce nie pękło, ale on nic sobie z tego nie robił. „Nie mam już brata, Nelson umarł”. A tata modlił się za Nelsona, prawda, tato?

Tym razem starszy zareagował. Wraz z zapadającym zmierzchem jego głos nabral siły.

— Tak, modliłem się wtedy za Nelsona i nadal to robię — powiedział zwyczajnie. — Gdy żył, modliłem się, żeby w taki czy inny sposób czynił Boże dzieło na ziemi. Wierzyłem, że jest powołany do wielkich spraw. Drake, ten to sobie zawsze i wszędzie poradzi. Jest twardy. Ale światło u wejścia do Misji Żywota Pana Naszego nie paliło się na próżno, myślałem sobie, jeśli Nelson Ko przyczyni się do położenia fundamentów pod sprawiedliwe chińskie społeczeństwo. Niech sobie to nazywa „komunizmem”. Niech sobie to nazywa, jak chce. Ale przez trzy długie lata twoja matka i ja obdarzaliśmy go chrześcijańską miłością i nie pozwolę na to, byś ty, Doris, czy ktokolwiek inny mówił, że światło Bożej miłości może zostać zgaszone na zawsze. Nie może, ani polityką, ani mieczem. — Westchnął głęboko. — A teraz on nie żyje i modłę się za jego duszę, tak samo jak za duszę twojej matki — dodał osobliwie nieprzekonująco. — Może nazwiecie to papizmem, ale mało mnie to obchodzi.

Connie podniosła się do wyjścia. Wiedziała, co można, a czego nie, miała dobre oko i była przerażona sposobem, w jaki di Salis napierał. Lecz on nie znał umiaru.

— A więc umarł gwałtowną śmiercią, zgadza się? Polityka i miecz, tak pan powiedział. Jaka polityka? Czy Drake to panu wyjaśnił? Przecież zabójstwa zdarzały się wtedy stosunkowo rzadko. Pan nam czegoś nie mówi!

Wstał, podobnie jak Connie, tyle że zamiast skierować się do drzwi, postąpił w kierunku Hibberta, wykrzykując pytania nad jego siwą głową, jakby prowadził w Sarratt zajęcia praktyczne z przesłuchiwania.

— Byli nam państwo bardzo pomocni — rzekła Connie wylewnie. — Dowiedzieliśmy się wszystkiego, o co nam chodziło, a nawet więcej. Jestem pewna, że dostanie mu się ten tytuł. Już sobie idziemy i stokrotnie dziękujemy za informacje — dodała z naciskiem, próbując dać di Salisowi do zrozumienia, by się opanował.

Tym razem to stary pan Hibbert niemile ją zaskoczył.

— A rok później stracił drugiego Nelsona, niech Bóg ma w opiece tego małego chłopca — odezwał się. — Na zawsze już będzie samotny, nasz Drake. To był jego ostatni list do nas, prawda Doris? „Niech pan się modli za mojego małego Nelsona” — napisał. No i się modliliśmy. Chciał, żebyśmy przyleciał do niego i odprawił pogrzeb, ale

jakoś nie mogłem tego zrobić. Szczerze mówiąc, nigdy nie pochwalałem wydawania pieniędzy na pogrzeby.

Na te słowa di Salis omal nie runął z góry na staruszka niczym orzeł, rozradowany i podniecony nieprzyjemnie. Pochylił się i chwycił misjonarza drżącą dłonią za szal.

— Aha, otóż to! A czy kiedykolwiek prosił pana, żeby się pan modlił za dorosłego Nelsona? Proszę mi odpowiedzieć!

— Nie — odparł krótko staruszek — nigdy.

— Dlaczego nie? Może dlatego, że on jednak żyje, co? W Chinach umiera się na wiele sposobów i nie wszystkie z nich są śmiertelne! Może Drake po prostu się go wyrzekł?

Piskliwe słowa di Salisa fruwały po skąpo oświetlonym pokoju niczym szkaradne duszki.

— Doris, oni już idą — zwrócił się staruszek spokojnie do córki, ze wzrokiem przykutym do morza. — Zajrzyj do kierowcy, dobrze, moja droga? Powinniśmy mu byli coś wynieść do przegryzienia, no, ale trudno.

Przystanęli we trójkę w przedpokoju, by się pożegnać. Pan Hibbert pozostał na swoim miejscu, za zamkniętymi drzwiami. Czasem szósty zmysł Connie przyprawiał o przerażenie.

— Czy imię „Liese” nic pani nie mówi? — spytała milcząca Doris, zapinając swój obszerny plastikowy płaszcz. — Mamy informację o jakiejś Liese w życiu pana Ko.

Nie tkniętą makijażem twarz wykrzywił brzydki grymas.

— Tak miała na imię mama — padła odpowiedź. — Była nie miecką luteranką. Ta świnia i to nam ukradła, prawda?

Pożegnawszy się, Connie i di Salis pospieszyli ze zdumiewającymi nowinami do Smileya, wzięni przez Toby'ego Esterhase'a. Po drodze doszło do sprzeczki z powodu braku opanowania u di Salisa. Szczególnie wstrząśnięty był Esterhase, natomiast Connie poważnie się lękała, że Hibbert napisze do Ko o ich wizycie. Rychło jednak waga dokonanych odkryć odsunęła na dalszy plan owe obawy. Tryumfalnie zajechali przed bramę tajnego grodu.

Bezpieczni wewnątrz murów, ruszyli do pracy. Nadeszła godzina chwały di Salisa. Wezwawszy ponownie swoją ekipę „żółtków”, wysłał ich pospiesznie na szeroko zakrojone poszukiwania po Londynie i Cambridge, gdzie pod takim czy innym pozorem pukali do różnych drzwi. W głębi serca di Salis był samotnikiem. Nikt tak naprawdę go nie znał, może z wyjątkiem Connie, ale ona niewiele się o niego troszczyła, a inni też go nie lubili. W zespole zachowywał

się krnąbrnie, często absurdalnie. Niemniej jednak nikomu nie przy-szłoby do głowy podawanie w wątpliwość jego myśliwskiej intuicji.

Przetrząsnął dawne rejestry Wydziału Komunikacji Uniwersytetu Szanghaj skiego — po chińsku Cziao Tung — który po drugiej wojnie światowej zasłynął z wojowniczego komunizmu. Skoncentrował się na Instytucie Morskim, w którego obręb wchodziła i katedra administracji, i katedra budownictwa okrętowego. Wyciągnął listy członków partii zarówno sprzed roku czterdziestego dziewiątego, jak i późniejsze, i zagłębił się w skąpe szczegóły na temat tych z nich, którzy posiadali wiedzę techniczną i którym ufano na tyle, że pozwolono im przejąć w zarządzanie wielkie przedsiębiorstwa, zwłaszcza stocznię Kiangnan, potężny kompleks przemysłowy, kilkakrotnie oczyszczany z elementów kuomintangowskich. Wydobywszy listy kilku tysięcy nazwisk, otworzył teczki tych osób, o których było wiadomo, że kontynuowały studia na Uniwersytecie Leningradzkim, a potem pracowały w stoczni na wysokich stanowiskach. Nauka budownictwa okrętowego trwała w Leningradzie trzy lata. Według obliczeń di Salisa Nelson przebywał tam zatem od pięćdziesiątego trzeciego do pięćdziesiątego szóstego roku, po czym oficjalnie związał się z departamentem inżynierii morskiej miasta Szanghaju, co by oznaczało, że wrócił do Kiangnanu. Przyjąwszy, że Nelson miał nie tylko chińskie, nadal nie znane imiona, ale w dodatku prawdopodobnie zmienił nazwisko, di Salis ostrzegł swych pomocników, że biografia Chińczyka może się składać z dwóch części sygnowanych różnymi nazwiskami. Należało mieć oko na podobieństwa. Wyzebrał od kolegów po fachu listy absolwentów i studentów Cziao Tung oraz Uniwersytetu Lenin-gradzkiego i poukładał je obok siebie. Obserwatorzy Chin tworzą odrębne bractwo i wspólne im zainteresowania zacierają dzielące ich społeczne i narodowe różnice. Di Salis miał kontakty nie tylko w Cambridge i każdym archiwum studiów orientalnych, ale także w Rzymie, Tokio i Monachium. Napisał do wszystkich znajomych, ukrywając prawdziwy powód korespondencji w gąszczu różnych pytań. Jak się później okazało, nawet „kuzyni” nieopatrznie udostępnił mu swoje zbiory. Dokonywał jeszcze bardziej tajemnych poszukiwań. Wysłał „dłubaczy” do baptystów, aby przejrzeeli spisy dawnych uczniów różnych szkół misyjnych, mając nadzieję, że być może jakimś zrządzeniem losu chińskie imiona Nelsona zostały gdzieś zapisane i przechowane. Sprawdził też wszelkie informacje o śmierci ważniejszych pracowników przemysłu stocznioowego, na które udało mu się natrafić.

To był jeden tor jego poszukiwań. Drugi rozpoczynał się od tego, co Connie nazwała „bestialską rewolucją kulturalną połowy lat sześćdziesiątych”, oraz od nazwisk tych szanghajskich urzędników,

którzy z racji przestępczych proradzieckich sympatii zostali oficjalnie zwolnieni, poniżeni lub wysłani do szkół 7 maja, aby na nowo odkryć cnoty chłopskiego trudu. Di Salis sięgnął również po listy tych, których skazano na obozy pracy, ale bez powodzenia. W przemowach Czerwonej Gwardii szukał najmniejszej wzmianki o nikczemnym wpływie baptystycznego wychowania na tego lub owego pohańbionego pracownika oraz układał skomplikowane łamigłówki z nazwiska „Ko”. Nie dawała mu spokoju myśl, że zmieniając nazwisko, Nelson mógł znaleźć inną literę w chińskim alfabecie, która zachowywała wewnątrznie podobieństwo do oryginału — albo ho-mofoniczne, albo symfonetyczne. Lecz kiedy spróbował wyjaśnić to Connie, ona zupełnie się przed nim zamknęła.

Connie podążała w zupełnie inną stronę. Jej uwaga skupiła się na działaniach znanych łowców talentów wyszkolonych przez Karłę, którzy w latach pięćdziesiątych pracowali wśród zagranicznych studentów Uniwersytetu Leningradzkiego, oraz na nie sprawdzonych pogłoskach, że jako młody agent Kominternu Karła został po wojnie wypożyczony Szanghaj skiemu podziemi komunistycznemu, aby dopomóc w utworzeniu tajnych służb.

W samym środku tego wielotorowego dochodzenia wybuchła mała bomba przysłana z Grosvenor Square. Jeszcze nie minęło wrażenie wywołane informacjami od pana Hibberta, a „dłubacze” obu ekip wciąż pracowali w pocie czoła, gdy do gabinetu Smileya wpadł Peter Guillam z pilną wiadomością. Smiley jak zwykle siedział pogrążony w lekturze i zobaczywszy otwierające się drzwi, wsunął czytaną teczkę do szuflady.

— Chodzi o „kuzynów” — rzekł spokojnie Guillam. — A właściwie o Ricarda, twojego ulubionego pilota. Chcą się z tobą spotkać jak najszybciej w jego sprawie. Mam się z nimi zdzwonić jeszcze dziś.

— Co masz zrobić?

— Zdzwonić, tak powiedzieli.

— Zdzwonić? Naprawdę? Dobry Boże. To chyba wpływ niemieckiego. A może to archaizm? Zdzwonić się, no, no. — To rzekłszy, ruszył ociężale do łazienki, by się ogolić.

Gdy Guillam wrócił do swojego pokoju, zobaczył siedzącego na miękkim krześle Sama Collinsa, z jednym z tych wstrętnych brązowych papierosów w ustach, z twarzą rozpromienioną praniem w weekendy uśmiechem.

— Coś się dzieje? — spytał leniwie Sam.

— Wynoś mi się stąd — syknął Guillam.

Sam za bardzo węszył dokoła jak na jego gust, ale tego dnia pojawił się ważniejszy powód, by mu nie ufać. Zawitawszy bowiem

w biurach rządu, żeby przedłożyć Laconowi do kontroli comiesięczne zestawienie wydatków służby, Guillam zobaczył ku swemu zdumieniu Sama, jak wychodzi z gabinetu Lacona, dowcipkując swobodnie z nim i z Saulem Enderbyem z Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Rozdział 12

ZMARTWYCHWSTANIE RICARDA

Do jesieni uparcie nieformalne spotkania bratnich służb odbywały się raz w miesiącu, po czym nastąpiło to, co poprzednik Smileya, Alleline, z upodobaniem nazwałby „zgrzytem”. Gdy gospodarzami byli Amerykanie, wtedy Alleline'a i jego kohortę, w której znajdował się znany już wszystkim Bill Haydon, wprowadzano do obszernego baru na samym szczycie budynku, znanego wśród pracowników Cyrku jako „planetarium”, gdzie podejmowano ich wytrawnym martini i panoramą zachodniego Londynu, na którą w żadnym razie sami nie mogliby sobie pozwolić. Gdy przychodziła kolej na Brytyjczyków, wówczas do bawialni wstawiano duży stół, przykrywano go pocerowanym obrusem z adamaszku, po czym proszono amerykańskich delegatów o wzniesienie toastu na cześć ostatniego bastionu dżentelmeńskiego szpiegowania, a przy sposobności również na cześć miejsca narodzin ich własnej służby. Sączono południowoafrykańską sherry ukrytą w karafkach ze rżniętego szkła, aby goście nie poznali się na lichym trunku. Nie przygotowywano żadnych porządków obrad i nie robiono notatek. Wśród starych przyjaciół taka zapobiegliwość była zbyt duża, zwłaszcza że ukryte mikrofony pozostawały trzeźwe i potrafiły znacznie lepiej wywiązać się z zadania upamiętnienia przebiegu spotkania.

Z nadejściem jesieni owe kurtuazyjne wizyty dobiegły końca. Martello otrzymał rozkaz z centrali, mieszczącej się w Langley w stanie Wirginia, aby „brytyjskie łącze”, jak nazywano Cyrk, zostało umieszczone na liście z nagłówkiem „Dystans”, w towarzystwie Jugosławii i Libanu, i przez pewien czas obie służby chodziły przeciwległymi stronami ulicy, ledwo podnosząc oczy na powitanie. Były jak zobojętniali na siebie małżonkowie w trakcie sprawy rozwodowej. Ale zanim zima opuściła Londyn na dobre, Smiley z Guillamem pojawili się pewnego ranka nieco spieszenie przed wejściem do Aneksu Rady Prawnego na Grosvenor Square. Wszędzie dawała się już zauważyć

odwilż, nawet na srogich obliczach dwóch żołnierzy amerykańskiej piechoty morskiej, którzy ich obszukali.

Drzwi wejściowe były podwójne — czarne sztaby żelaza wzmocnione czarną kratą z połączanymi pionami. Ich koszt pozwoliłby całemu Cyrkowi bytować co najmniej przez kilka dni. Kiedy Smiley i Guillam znaleźli się za nimi, doznali wrażenia, że przekroczyli magiczną granicę dzielącą wioskę od metropolii.

Pokój Martella przypominał rozmiarami boisko piłkarskie. Nie było w nim okien, więc o każdej porze wyglądał tak samo. Połowę przeciwległej ściany zasłaniała amerykańska flaga, zawieszona nad pustym biurkiem, pofałdowana, jakby rozwinął ją podmuch wiatru. Na środku pokoju znajdował się stół z palisandru, a wokół stały plastikowe krzesła. Na jednym z nich spoczywał Martello, krzepki, pogodny absolwent Yale ubrany w sportowy garnitur, który bez względu na porę roku zawsze wydawał się nieodpowiedni. Po jego bokach siedzieli dwaj mężczyźni, jeden bledszy i bardziej naiwny od drugiego.

— George, jak miło z twojej strony — odezwał się Martello ciepłym, ufnym, pełnym serdeczności głosem, podchodząc szybkim krokiem do Smileya, by się przywitać. — Nie muszę chyba mówić, jak jestem ci wdzięczny, że przyszedłeś. Wiem, ile masz teraz pracy. Sol — zwrócił się do jednego z dwóch nieznanym, którzy siedzieli dotąd nie zauważeni pod ścianą. Młodszy przypominał dwóch milczków Martella, tyle że był mniej ukladny, starszy — krępawy i żyłasty — miał ogorzałą twarz i krótko przycięte włosy; najwyraźniej jakiś we teran. — Sol — powtórzył Martello — poznaj legendę naszej profesji, pana George'a Smileya. George, to jest Sol Eckland, pracownik wysokiego szczebla Urzędu do Zwalczenia Narkotyków, niegdyś Biura d/s Narkotyków, które tak właśnie zostało przemianowane. Zgadza się, Sol? Sol, to Peter Guillam.

Starszy z dwóch nieznanym wyciągnął rękę. Smiley i Guillam uścisnęli ją po kolei; mieli wrażenie, że dotykają suchej kory.

— No dobra — rzekł Martello, spoglądając po nich niczym za dowolona swatka. — George, przypominasz sobie Eda Ristowa, też od narkotyków? Zjawił się tam u was z wizytą kilka miesięcy temu. No więc Sol przejął schedę po Ristowie. Teraz on zajmuje się Azją południowo-wschodnią. A to Cy, który mu pomaga.

Nikt nie ma takiej pamięci do nazwisk jak Amerykanie, pomyślał Guillam.

Cy był drugim z pary nieznanym. Miał baki oraz złoty zegarek i wyglądał niczym misjonarz mormoński — biła od niego zarówno gorliwość, jak i asekuranctwo. Uśmiechnął się tak, jakby przerabiał to na szkoleniu. Guillam odwzajemnił uśmiech.

— A co się stało z Ristowem? — spytał Smiley, gdy już usiedli.

— Choroba wieńcowa — warknął weteran Sol głosem tak suchym jak jego dłoń. Miał stalowoszare włosy, które przypominały pofałdowany druciak do mycia garnków. Kiedy się drapał po głowie, a robił to co chwila, rozlegał się zgrzyt.

— Przykro mi — odparł Smiley.

— Może być trwale niezdolny — rzekł Sol, nie patrząc na niego, i zaciągnął się papierosem.

Dopiero w tej chwili Guillam uświadomił sobie, że coś wisi w powietrzu. Miał wrażenie, że między dwiema grupami Amerykanów toczy się napięta gra. Jeśli znał amerykańskie zwyczaje, nieoczekiwane dymisje rzadko były powodowane czymś tak banalnym jak choroba. Zaczął się nawet zastanawiać, czym poprzednik Sola zламаł sobie karierę.

— George, hm, Urząd do Zwalczenia Narkotyków z natury rzeczy głęboko interesuje się naszym wspólnym przedsięwzięciem — zagał Martello i tą nieśmiałą fanfarą ogłoszono, że na warsztacie znalazła się sprawa Ricarda, choć Guillam dostrzegł, że Amerykanie, nie wiedząc czemu, udają, iż spotkanie dotyczy czegoś innego. Najlepszym dowodem było próżne gadanie Martella.

— Nasi ludzie w Langley lubią ściśle współpracować z kolegami od narkotyków — stwierdził wylewnie, tonem dyplomatycznego *notę verbale*.

— To działa w obie strony — burknął weteran Sol i wydmuchał nowe kłęby dymu, skrobiąc się po głowie. Guillam podejrzewał, że w głębi serca facet jest nieśmiały i czuje się nieswojo. Cy, jego młody pomocnik, wyglądał na znacznie bardziej rozluźnionego.

— Chodzi o zmienne, panie Smiley — rzekł. — W tego rodzaju sprawie jest wiele pól działania, które się nakładają. — Głos miał odrobinę zbyt wysoki w stosunku do postury.

— Cy i Sol polowali już dla nas w przeszłości — wyjaśnił Smileyowi Martello, usilnie starając się go uspokoić. — Są jednymi z nas, wierz mi. Langley włącza Urząd, Urząd włącza Langley. Tak to się odbywa. Zgadza się, Sol?

— Zgadza.

Jeśli ci dwaj szybko nie pójną razem do łóżka, pomyślał Guillam, to gotowi wydrapać sobie oczy. Zerknął na Smileya i zobaczył, że on też jest świadom napiętej atmosfery. Smiley wyglądał jak własna podobizna. Z rękoma na kolanach, z na w pół przymkniętymi oczami, sprawiał wrażenie, że siłą swej woli chce się stać niewidzialny na czas cedzenia wyjaśnień.

— Może w pierw powinniśmy zapoznać się z najświeższymi szczegółami — zaproponował Martello, jakby prosił wszystkich, by się umyli.

Wpierw? A co później? — zastanawiał się Guillam.

Jeden z milczków Martella używał nazwiska Murphy. Miał tak jasną karnację, że był niemal albinosem. Wziąwszy teczkę ze stołu, zaczął czytać głośno z wielkim respektem. Każdą stronicę chwycił dwoma czystymi palcami.

— Proszę panów, w poniedziałek obiekt poleciał do Bangkoku liniami „Cathay Pacific”, szczegóły lotu podane, i został odebrany na lotnisku przez Tana Lee, dane zamieszczone, który przyjechał limuzyną. Udali się prosto do apartamentów firmy „Airsea” w hotelu „Erewan”. — Zerknął na Sola. — Tan jest dyrektorem „Asian Rice and General”, proszę pana, a to jest filia „Airsea” w Bangkoku, dane załączone. Spędzili w apartamentach trzy godziny, nastę...

— Murphy — przerwał mu Martello.

— Tak?

— Opuść te wszystkie „szczegóły zamieszczone”, „dane załączone”, dobra? Dobrze wiemy, że są teczki na tych facetów.

— Tak jest, proszę pana.

— Ko był sam? — zapytał Sol.

— Nie, wziął ze sobą doradcę, Tiu. Tiu prawie wszędzie z nim jeździ.

Zerkając ponownie na Smileya, Guillam dostrzegł jego pytające spojrzenie rzucone Martellowi. Odniosł wrażenie, że chodzi mu o dziewczynę — czy ona też poleciała? — ale przychylny uśmiech Martella ani drgnął i po chwili Smiley najwyraźniej się tym zadowolił, albowiem ponownie przyjął pozę skupienia.

Tymczasem Sol obrócił się do swego pomocnika i odbył z nim krótką rozmowę.

— Cy, dlaczego, do cholery, nikt nie założył podsłuchu w tych apartamentach? Co tak wszystkich wstrzymuje?

— Poradziliśmy to Bangkokowi, ale mieli problemy ze ścianami, nie było tam odpowiednich szczelin czy czegoś takiego.

— Pajace. Za często się pieprzą i zrobili się przez to leniwi. Czy to ten sam Tan, którego próbowaliśmy przygwoździć w zeszłym roku za heroinę?

— Nie, tamten to był Tan Ha, Sol. A ten nazywa się Tan Lee. Tam co drugi ma na imię Tan. Tan Lee to zwykły figurant. Jest łącznikiem tłustego Honga w Cziang Maj. To Hong ma powiązania z plantatorami i hurtownikami.

— Ktoś powinien wziąć spluwę i kropnąć skurwiela — podsumował Sol. Pozostało tajemnicą, którego skurwiela miał na myśli.

Martello skinął głową na bladego Murphy'ego, by kontynuował.

— Następnie wszyscy trzej — to znaczy Ko, Tan Lee i Tiu — po jechali do portu obejrzeć ponad dwadzieścia statków przybrzeżnych.

Potem wrócili na lotnisko i obiekt poleciał na Filipiny, do Manili, na konferencję producentów cementu w hotelu „Eden and Bali”.

— Tiu z nim nie poleciał? — spytał Martello, grając na zwłokę.

— Nie, proszę pana. Wrócił do domu — odparł Murphy. Smiley ponownie zerknął na Martella.

— Producenci cementu, takiego wała! — wykrzyknął Sol. — Murphy, czy to te statki, które kursują do Hongkongu?

— Tak.

— Znamy je dobrze — utyskiwał. — Polujemy na nie od lat. Zgadza się, Cy?

— Zgadza.

Zwrócił się do Martella, jakby to on za wszystko ponosił odpowiedzialność.

— Z portu wypływają czyściutki. Narkotyki biorą na pokład dopiero na otwartym morzu. Nikt nie wie, który statek będzie wiózł, nawet kapitan wybranej łajby. Po prostu nagle pod pływa szalupa i dają im towar. Kiedy wpływają na wody Hongkongu, wrzucają go do morza i zaznaczają miejsce, a potem wszystko przejmują dżonki.

— Cedził powoli słowa, jakby mówienie sprawiało mu ból. — Od lat próbujemy namówić Brytonów, żeby przetrzaśnęli te dżonki, ale skurwiele biorą w łapę.

— To wszystko, co mamy, panowie — rzekł Murphy i odłożył teczkę.

Znów zapadła niezręczna cisza. Chwilowe wytchnienie przyniosła im ładna dziewczyna, uzbrojona w tacę z kawą i herbatnikami, ale gdy wyszła, milczenie stało się zupełnie nie do zniesienia.

— Dlaczego mu nie powiesz? — syknął wreszcie Sol do Martella.

— Bo ja to zrobię.

Wówczas — jak by się wyraził Martello — przeszli w końcu do sedna sprawy.

Martello przyoblekł się w nastrój powagi i ubolewania: adwokat rodziny odczytujący testament spadkobiercom.

— Hm, a więc, George, na naszą prośbę Urząd ponownie przyrządził się wszystkim danym na temat pilota Ricarda i, tak jak przy puszczaliśmy, odgrzebał mnóstwo nowych materiałów, które do tej pory z różnych względów nie ujrzały światła dziennego, mimo że powinny były. Według mnie nie ma sensu wskazywać winnych, poza tym Ed Ristow jest ciężko chory. Zgódźmy się po prostu, że sprawa Ricarda wpadła w szczelinę na złączach między Urzędem a nami.

Szczelina została już zlikwidowana i chcielibyśmy teraz przekazać ci uaktualnione informacje.

— Dziękuję, Marty — odparł cierpliwie Smiley.

— Zdaje się, że Ricardo jednak żyje — stwierdził Sol. — I że wyszła gruba popelina.

— Gruba co? — spytał natychmiast Smiley, jeszcze zanim znaczenie tych słów w pełni do niego dotarło.

— Gruby błąd, George — przetłumaczył szybko Martello. — Ludzka rzecz. Popelina. Zdarza się to wszystkim, nawet tobie.

Guillam przyglądał się butom Cy'a, które miały matowy połysk i grubą podeszwę. Smiley uniósł oczy wysoko ku bocznej ścianie, skąd prezydent Nixon spoglądał zachęcająco na trójstronne posiedzenie. Nixon zrezygnował dobre pół roku wcześniej, ale Martello najwyraźniej postanowił przedłużyć u siebie jego rządy. Wzruszające. Murphy i drugi milczek siedzieli nieruchomo niczym konfirmanci w obecności biskupa. Jedyne Sol się poruszał i to nieustannie; na zmianę to drapał się w głowę, to zaciągał papierosem niczym atletyczna wersja di Salisa. On się nigdy nie uśmiecha, pomyślał zniechęca Guillam. Zapomniał, jak to się robi.

— W naszych aktach — ciągnął Martello — śmierć Ricarda datowana jest na dwudziestego pierwszego sierpnia albo coś koło tego. Zgadza się, George?

— Tak.

Westchnął i przechylił głowę w drugą stronę, po czym zaczął czytać swoje notatki:

— Tymczasem, hm, drugiego września, a więc ze dwa tygodnie po swojej śmierci, Ricardo, hm, skontaktował się osobiście z pracownikiem jednego z azjatyckich biur Urzędu. Sal, hm, wolałby nie mówić, które to biuro, i ja muszę uszanować jego decyzję. — Guillam doszedł do wniosku, że maniera ciągłego „hm” pozwala Martellowi mówić i jednocześnie zastanawiać się nad doborem słów. — Ricardo zaoferował swoje usługi, hm, chciał sprzedać informacje i transport opium, z którym, jak twierdził, miał polecieć przez granicę, do komunistycznych Chin.

W tej chwili Guillam doznał wrażenia, jakby zimna dłoń ścisnęła mocno jego żołądek. Poczucie przełomu było o tyle głębokie, że zostało poprzedzone żmudnym badaniem tak wielu nie związanych ze sprawą szczegółów. Powiedział później Molly, że stało się tak, „jakby wszystkie wątki splotły się nagle w jedną całość”. Ale to była jedynie złudna perspektywa czasu, poza tym odrobinę koloryzował. Niemniej po wielomiesięcznych podchodach, domysłach i szperaniu

wśród tysięcy dokumentów wstrząs wywołany niemal fizycznym doznaniem przeniesienia akcji do Chin był jak najbardziej rzeczywisty i Guillam nie miał tu czego wyolbrzymiać.

Martello ponownie zaczął grać zacnego adwokata.

— George, hm, teraz muszę cię zapoznać co nieco z przeszłością naszych służb. Podczas awantury w Laosie, nasza firma wykorzystywała plemiona górskie z północy do realizacji różnych zadań wojskowych, może o tym wiesz. Chodzi o Birmę, o plemię Szanów. Znasz te tereny? To byli ochotnicy, kapujesz? Wiele z tych plemion uprawiało narkotyki, opium i, hm, ze względu na losy wojny, nasza firma zmuszona była, hm, no cóż, zmuszona była przymknąć oko na to, czemu i tak nie mogliśmy zaradzić. Kapujesz? Ci dobrzy ludzie musieli z czegoś żyć, a wielu nie znało innego sposobu i nie widziało nic złego w uprawie narkotyków. Kapujesz?

— Jezu Chryste — mruknął Sol pod nosem. — Słyszysz, Cy?

— Słyszę, Sol.

Smiley odparł, że kapuje.

— Tego rodzaju polityka wywołała krótkotrwały, hm, spór między naszą Agencją a Urzędem, zwanym wtedy Biurem d/s Narkotyków. No bo kiedy ludzie Sola starali się, hm, zdławić handel narkotykami, i całkiem słusznie zresztą, oraz przechwytywać transporty, bo na tym polegała ich praca i obowiązek, w naszym interesie — w najlepiej rozumianym interesie politycznym i wojskowym w owym czasie — było przymknąć oko. Kapujesz, George?

— Agencja była dla tych plemion ojcem chrzestnym — warknął Sol. — Mężczyźni walczyli na wojnie, a tymczasem nasi latali do wiosek, brali słomę makową, pieprzyli ich kobiety i odlatywali z towarem.

Martello nie dał się łatwo zbić z pantafyku.

— Cóż, my uważamy, że tak drastyczny obraz nie do końca odpowiada prawdzie, Sol, ale rzeczywiście spór istniał i to jest najważniejsze, jeśli chodzi o naszego angielskiego przyjaciela. Cóż, Ricardo to twardy gość. Odbył dla nas kilka lotów w Laosie, a kiedy wojna się skończyła, przrzuciliśmy go i zwolniliśmy z roboty. Został na lodzie. Nikt nie chce się zadawać z takimi facetami, gdy wojny już nie ma. Tak więc, hm, prawdopodobnie przedzierzgnął się wtedy z gajowego w kłusownika, jeśli rozumiesz, co mam na...

— Niezupełnie — przyznał łagodnie Smiley.

Solowi bez kłopotu przechodziła przez gardło nawet najbardziej gorzka prawda.

— Dopóki trwała wojna, Ricardo woził dla Agencji towar na handel, żeby ci w górach mieli co włożyć do gęby — wyjaśnił. — Gdy się skończyła, zaczął wozić dla siebie. Miał kontakty, wiedział co i jak. Uniezależnił się, ot co.

— Dziękuję — odparł Smiley i Sol powrócił do drapania się w głowę.

Martello po raz drugi rozpoczął opowieść o kłopotliwym zmarłychwstaniu Ricarda.

Pewnie się umówili, że on ma gadać, pomyślał Guillam. „Smiley to nasz kontakt, zagramy z nim po swojemu”. Tak pewnie Martello powiedział Solowi.

Drugiego września tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego roku anonimowy agent Biura d/s Narkotyków, jak określił Martello wspomnianego już wcześniej pracownika, „młody chłopak, Geo-rge, całkiem nowy w terenie”, odebrał w nocy telefon od samozwańczego kapitana Ricarda, uważanego dotąd za zmarłego, uprzednio la-otańskiego najemnika służącego pod rozkazami kapitana Rocky'ego. Ricardo zaproponował pokaźną ilość surowego opium po standardowych cenach skupu. Dodatkowo zaferował informacje po — jak się wyraził — okazujnej cenie, ponieważ mu się spieszyło. Miał na myśli pięćdziesiąt tysięcy dolarów w małych nominałach oraz zachodnio-niemiecki paszport na podróż w jedną stronę. Ów anonimowy agent spotkał się z Ricardem jeszcze tej samej nocy na pewnym parkingu i szybko doszedł z nim do porozumienia w sprawie opium.

— To znaczy, że agent je od niego kupił? — spytał Smiley, szczerze zdziwiony.

— Sol mówi, że obowiązuje, hm, ustalona stawka w tego rodzaju transakcjach, zgadza się, Sol? Jakiś procent od wartości detalicznej towaru. Wszyscy zainteresowani o tym wiedzą. Tak? — Sol warknął potwierdzająco. — Anonimowy agent był upoważniony do kupowania według tej stawki. Tak więc kupił. Żadnych przeciwwskazań. Wyraził również gotowość dostarczenia dokumentów — miał na myśli, jak się później okazało, zachodnioniemiecki paszport mający zaledwie kilka dni ważności — pod warunkiem, że góra się zgodzi, — co jeszcze nie było wcale takie pewne, kapujesz, George? — że informacje Ricarda rzeczywiście okażą się cenne, albowiem obowiązuje zasada zachęcania informatorów bez względu na koszty. Stwierdził jednak stanowczo — agent, rzecz jasna — że paszport i pieniądze za informacje wymagają zgody przełożonych, to znaczy ludzi Sola w centrali. Kupił więc opium, ale wstrzymał się z kupnem informacji. Zgadza się, Sol?

— Co do joty.

— Sol, może lepiej ty opowiedz resztę — rzekł Martello. Mówiąc, Sol wreszcie znieruchomiał. Poruszały się tylko jego usta.

— Nasz agent poprosił Ricarda o próbkę informacji, żeby centrala mogła ocenić ich wartość. Żeby, jak to mówimy, baza się zo rientowała. Oto historyjka Ricarda: kazano mu lecieć z towarem do

Chin i przywieźć w zamian nieokreślony ładunek. Tak powiedział. To była jego próbka. Powiedział, że wie, kto się za tym kryje, że zna największą fiszę ze wszystkich fisz, ale tak mówią wszyscy. Że ma wszystko rozpracowane, ale tak zawsze się mówi. Powiedział, że wyruszył do Chin, ale spietrał się i poleciał do domu przez Laos, tuż nad ziemią w obawie przed radarami. To wszystko. Nie zdradził, skąd wystartował. Powiedział, że ma dług wdzięczności wobec tych, którzy go wysłali, a jeśli kiedykolwiek by go odnaleźli, wkopaliby mu zęby do gardła. Tak jest w raporcie, słowo w słowo. Wkopaliby mu zęby do gardła. Spieszyło mu się, dlatego chciał tylko pięćdziesiąt patyków. Nie powiedział, co to za ludzie, oprócz opium nie pokazał żadnego dodatkowego dowodu. Dodał tylko, że ma ukryty samolot, beechcraft, i zaproponował, że go pokaże agentowi przy następnym spotkaniu pod warunkiem, że góra wyrazi poważne zainteresowanie ofertą. To wszystko. Opium było kilkaset kilogramów. Dobry towar — zakończył Sol i zajął się swoim papierosem. Martello zrećnie przejął piłkę:

— Tak więc anonimowy agent napisał raport. I zrobił to, *co* zrobiłby każdy z nas. Przesłał próbkę informacji do centrali, naka zując jednocześnie Ricardowi, by się przyczaił, dopóki nie nadejdzie decyzja. Dziesięć dni, do dwóch tygodni. „Oto szmal za opium, ale na szmal za informacje musisz trochę poczekać. Takie są przepisy”. Kapujesz, George?

Smiley skinął głową ze zrozumieniem. Martello odwzajemnił skinienie i relacjonował dalej:

— No i tak. Tu właśnie zdarzył się ten gruby błąd. Mogło być gorzej, choć niewiele gorzej. W naszym fachu są dwa poglądy na historię świata: że to spisek albo że to partactwo. Otóż to było partactwo, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Poprzednik Sola, Ed — poznałeś go, George, Ed Ristow, ten chory facet — ocenił sprawę na podstawie dostępnych mu materiałów i postanowił, co było zrozu miałe, ale błędne, nie podejmować dalszych kroków. Ricardo chciał pięćdziesiąt tysięcy. Z tego co wiem, za duży transport to darmo cha. Tyle że Ricardo chciał wszystko od razu, na rączkę. Raz, dwa i po sprawie. A Ed — no cóż, Ed musiał się liczyć z odpowiedzial nością, miał kłopoty rodzinne i nie widział powodu, by wkładać tyle pieniędzy amerykańskich podatników do kieszeni kogoś takiego jak Ricardo, kto robi różne machlojki, ma ciemną przeszłość i może chce po prostu zrobić wała z niedoświadczonego agenta, tym bardziej że połów wcale nie był gwarantowany. Tak więc Ed zastopował sprawę. Żadnych dalszych kroków. Szuflada i szlus; nie ma o czym gadać. Opium tak, reszta nie.

A może to jednak naprawdę choroba wieńcowa, zastanawiał się Guillam w rozterce. Ale głęboko w duszy przyznawał, że to samo mogłoby się przytrafić i jemu, a nawet się przytrafiło: handlarz z cennym towarem, którego wypuścił z rąk.

Zamiast marnować czas na szukanie winnych, Smiley cicho przeszedł do konkretów.

— Marty, gdzie jest teraz Ricardo?

— Nie wiemy.

Następne pytanie padło po dłuższej chwili i było właściwie wypowiedzianą na głos myślą:

— Przywieźć w zamian nieokreślony ładunek — powtórzył Smiley.

— Jakież hipotezy, co to mogło być?

— My sądzimy, że złoto. Nic innego nie przychodzi nam do głowy, podobnie jak tobie — odparł szorstko Sol.

W tej chwili Smiley zwyczajnie przestał brać udział w zebraniu. Jego twarz zastygła w wyrazie niepokoju oraz, co wiedzieli ci, którzy go znali, zamyślenia. Rolę rozgrywającego musiał przejąć Guillam.

— Czy Ricardo nie powiedział czegoś, co wskazywałoby na miejsce przeznaczenia ładunku? — zwrócił się z pytaniem do Martella, podobnie jak to robił Smiley.

— Mówiłem, Pete, to wszystko, co wiemy.

Smiley nadal pozostawał wyłączony. Siedział wpatrzony pośepnie we własne dłonie. Guillam wydumał kolejne pytanie:

— I nie macie pojęcia, ile ten ładunek miał ważyć?

— Jezu Chryste — powiedział Sol i, opacznie rozumiejąc zachowanie Smileya, pokręcił z niedowierzaniem głową, zdegustowany tym, że przyszło mu przebywać w tak niemrawym towarzystwie.

— Ale jesteście pewni, że to Ricardo skontaktował się z waszym agentem? ■ — spytał Guillam, strzelając za Smileya.

— Na sto procent — odparł Sol.

— Sol — rzekł Martello, nachylając się ku niemu — a może dasz George'owi kopię raportu, co? W ten sposób będzie wiedział tyle co my.

Sol się zawahał. Zerknął na swojego pomocnika, po czym wzruszył ramionami i z leżącej na stole teczki wyciągnął niechętnie cienką kartkę papieru, od której uważnie oderwał część z podpisem.

— Nieoficjalnie — burknął i w tej samej chwili Smiley zniecka się ożywił. Wziąwszy raport, uważnie przeczytał w milczeniu obie strony.

— A gdzie, jeśli można wiedzieć, jest anonimowy agent, który napisał ten dokument? — spytał po dłuższej chwili, spoglądając wpierw na Martella, potem na Sola.

Sol podrapał się w czerep. Cy pokręcił głową z dezaprobatą. Natomiast miłkliwi pracownicy Martella w ogóle nie okazywali zainteresowania. Blady Murphy wciąż czytał swoje notatki, a jego kolega wpatrywał się tępo w byłego prezydenta Stanów Zjednoczonych.

— Dołączył do komuny hipisów niedaleko Katmandu — warknął Sol w kłębach dymu. — Skurwiel przeszedł na stronę wroga.

Błyskotliwa konkluzja Martella padła ni w pięć, ni w dziewięć:

— George, hm, to właśnie dlatego według naszego komputera Ricardo spoczywa w grobie, podczas gdy zdaniem kolegów z Urzędu główne akta nie dają podstaw do takiego stwierdzenia.

Dotąd Guillam sądził, że to Martello ma w całej sprawie najwięcej do powiedzenia. Chłopcy Sola się ośmieszili, ale „kuzyni” byli najwspaniałomyślniejszymi ludźmi na świecie, chcieli więc przeprosić i naprawić szkody. W pokopulacyjnym odrętwieniu, jakie zapanowało po rewelacjach Martella, owo mylne wrażenie ostało się jeszcze przez dłuższą chwilę.

— Hm, George, tak więc odtąd możemy liczyć — ty, my i Sol — na ściśle współdziałanie naszych służb. Powiedziałbym, że to za powiada wiele dobrego. Jak myślisz? To konstruktywne.

Ale pogrążony na nowo w odrętwieniu Smiley tylko uniósł powieki i zacisnął usta.

— Coś cię trapi? — spytał go Martello. — Coś cię trapi, George?

— Och, przepraszam. Beechcraft — odparł Smiley. — Czy to jednosilnikowy samolot?

— Jezu — jęknął Sol pod nosem.

— Nie, dwusilnikowy — odrzekł Martello. — Taki model dla dyrektorów.

— W raporcie jest napisane, że było czterysta kilogramów opium.

— Prawie pół tony — sprecyzował Martello, mocno zatroskany.

— Metrycznej tony — dodał niepewnie, patrząc na ocienioną twarz Smileya. — Nie waszej angielskiej tony, tylko metrycznej.

— I gdzie byłoby ulokowane to opium?

— W kabinie — odparł Sol. — Najprawdopodobniej na miejscu wyjętych foteli. Beechcrafty wychodzą w różnych wersjach. Nie wiemy, jaki to był, bośmy go nie zobaczyli.

Smiley ponownie zerknął na trzymany w pulchnej dłoni raport.

— Tak — mruknął. — Pewnie tak właśnie było. — Złotym ołówkiem napisał jakiś hieroglif na marginesie stronicy, po czym znów popadł w zadumę.

— No cóż — rzekł rażno Martello — my, pszczoły-robotnice, powinniśmy chyba wrócić do uli i zobaczyć na czym stoimy, co, Pete?

Guillam właśnie się podnosił, gdy przemówił Sol. Sol miał wrodzony — rzadki i raczej wstrętny — dar chamstwa. Nie stracił panowania nad sobą, po prostu był człowiekiem takiego a nie innego usposobienia. W ten sposób przemawiał, w ten sposób załatwiał sprawy; formy najwyraźniej go nużyły.

— Jezu Chryste, Martello — warknął. — W co my tu gramy? Przecież to gruba ryba, nie? Wpadł nam w oko być może największy narkotykowy baron w całej południowo-wschodniej Azji. Przecież doszliśmy do porozumienia, nie? Agencja wreszcie poszła do łóżka z Urzędem, ponieważ musi nam zrekompensować grandę z Szanami. Nie myśl, że mi staje na myśl o tym. Prawda, mamy z Brytyjczykami układ o wyłączności w kwestii Hongkongu, ale Tajlandia jest nasza, Filipiny są nasze, Tajwan jest nasz, tak jak i ten cały cholerny rejon, tak jak ta wojna. Tym bardziej, że Brytyjczycy siedzą na tyłkach. Weszli do gry cztery miesiące temu i mogli to rozegrać po swojemu. Podaliśmy im piłkę. I co przez ten czas zrobili? Wcierali krem w swoje przystojne twarzyczki. Ale kiedy się wreszcie ogolą, to Bóg raczy wiedzieć. Tu chodzi o straszne pieniądze. Postawiliśmy na nogi cały aparat, jesteśmy gotowi do przechwycenia wszystkich kontaktów Ko na tej półkuli. Długie lata czekaliśmy na faceta tego formatu. I teraz możemy go przyskrzynieć. Mamy na niego tyle paragrafów — Jezu, z setkę! — że dostanie trzydzieści lat z okładem! Handel narkotykami, bronią, towarami objętymi embargiem. Mamy na oku największą ilość czerwonego złota, jaką Moskwa kiedykolwiek przez kazała jednemu facetowi, a przede wszystkim mamy dowód — jeśli ten Ricardo mówi prawdę — że Rosjanie przyszykowali wielką kampanię narkotykową, która ma wywrócić do góry nogami czerwone Chiny, w nadziei, że zrobią tam to samo, co zrobili u nas.

Tyrada otrzeźwiła Smileya niczym zimny prysznic. Siedział pochylony do przodu na krawędzi krzesła, z pogniecionym raportem w dłoni, i patrzył z niedowierzaniem to na Sola, to na Martella.

— Marty — wyszeptał. — Mój Boże, tylko nie to.

Guillam okazał większą przytomność umysłu. Przynajmniej zgłosił wyraźny sprzeciw.

—• Wiesz, Sol, musiałbyś te pół tony strasznie skąpo rozdzielać, żeby wpędzić w nałóg osiemset milionów Chińczyków — zażartował.

Lecz Amerykanin nie życzył sobie żadnych dowcipów ani sprzeciwów, zwłaszcza z ust przystojnego Brytyjczyka.

— I co my robimy? — ciągnął. — Skaczemy mu do gradła? Aku rat. Chodzimy na paluszkach. Stoimy z boku. „Trzeba grać ostrożnie, to sprawa Brytyjczyków. Ich terytorium, ich facet, ich zabawa”. No więc kluczymy, płasamy. Latamy jak motylki i żądlimy jak motylki. Jezu, gdybyśmy my się tym zajmowali, facet byłby zapuszkowany

sto lat temu! — Wałąc dłonią w stół, zastosował chwyt retoryczny polegający na powtórzeniu tego samego innymi słowami. — Po raz pierwszy od początku świata nawinał nam się szabłozęby sowiecki wywrotowiec, który handluje narkotykami, rozpieprza społeczny porządek w całym rejonie i bierze ruskie pieniądze, a my możemy to udowodnić! — Cały atak został skierowany na Martella; Smiley i Gu-illam równie dobrze mogliby być nieobecni. — I pamiętaj jeszcze jedno — poradził Martellowi na zakończenie. — Paru ważniaków domaga się postępów w tej sprawie. Niecierpliwych ważniaków, którzy są bardzo niezadowoleni z roli, jaką ty i twoja Agencja odegraliście w dostarczaniu narkotyków naszym chłopcom w Wietnamie. Właśnie z tego względu włączyliście nas do sprawy. Więc lepiej powiedz tym swoim liberałom z Langley, wożącym tyłki w limuzynach, że najwyższy czas, aby wykonali jakiś ruch, w przeciwnym razie czeka ich trawka. W podstawowym znaczeniu tego słowa — zakończył śmiertelnie poważnie grą słów.

Smiley zrobił się tak błydy, że Guillam przestraszył się nie na żarty. Obawiał się, że szef zemdleje albo dostanie ataku serca. Ze swego miejsca widział, jak jego policzki i cera nabrały nagle wiekowego wyglądu, a w oczach, gdy zwrócił się do Martella, zapłonął starczy żar.

— Ale przecież mamy umowę — rzekł. — I ufam, że będziecie się jej trzymać tak długo, jak długo będzie obowiązywała. Mamy waszą oficjalną deklarację, że powstrzymacie się od wszelkich działań na naszym terenie, chyba że wam na nie zezwolimy. Mamy również wyraźną obietnicę, że poza inwigilacją i łącznością pozostawicie tę sprawę całkowicie do naszego uznania bez względu na to, dokąd jej wątki prowadzą. Taka była umowa. Całkowita wyłączność w zamian za przekazanie rezultatów. Ja rozumiem to następująco: żadnych działań Langley ani innych amerykańskich służb. Dostaliśmy na to słowo honoru. Uważam, że to słowo wciąż obowiązuje i nasza umowa pozostaje nie zmieniona.

— Powiedz mu — rzekł Sol i ruszył do drzwi, a w ślad za nim jego mormoński pomocnik o ziemistej cerze. Obrócił się w progu i wskazał palcem Smileya.

— Jedzcie z nami na tym samym, naszym wózku, więc to my wam mówimy, kiedy macie wysiąść, a kiedy możecie jechać dalej — stwierdził.

Mormon przytaknął.

— Jasna sprawa — rzucił i uśmiechnął się zachęcająco do Guillama. Martello skinął głową na Murphy'ego oraz jego milczącego ko legę i oni również wyszli z pokoju.

Martello nalewał drinki. Ściany udawały, że też są z palisandru — imitacja z laminatu, jak zauważył Guillam, nie prawdziwe drewno. Martello pociągnął za rączkę i maszynka do lodu pełnęła jednostajnym strumieniem jajowatych kulek. Nalał whisky do trzech szklanek, nie zapytawszy nawet, czego się napiją. Smiley wyglądał na przybi tego. Jego pulchne dłonie nadal tkwiły stulone na poręczach plastikowego krzesła, ale siedział teraz odchyłony do tyłu niczym skonany bokser w narożniku, wpatrzony w sufit naszpikowany migoczącymi lampkami. Martello postawił szklanki na stole.

— Dziękuję panu — rzekł Guillam. Amerykanin lubił, gdy się do niego zwracano per pan.

— A proszę.

— Kogo jeszcze poinformowali twoi szefowie? — spytał Smiley gwiazdy. — Urząd podatkowy? Urząd celny? Burmistrza Chicago? Dwunastu najlepszych przyjaciół? Czy ty masz świadomość, że nawet moi przełożeni nie wiedzą o naszej współpracy? Boże przenajświętszy.

— Daj spokój, George. Mamy polityczne dyrektywy, tak samo jak wy. Mamy obietnice, których musimy dotrzymywać. Poparcie, które musimy kupować. Urząd do Zwalczenia Narkotyków jest żądny naszej krwi. Ta historia z Birmą wywołała spore zamieszanie na Wzgórzu Waszyngtońskim. Senatorowie, podkomisje senackie, cały ten bajzel. Jakiś dzieciak wraca z wojny jako rozdygotany nałogowiec i pierwsze, co jego tatuś robi, to wysyła list do swojego kongresmena. Agencja nie zaprzęta sobie głowy tymi plotkami, ale lubi mieć mocnych przyjaciół po swojej stronie. To świat interesów, George.

— Czy mógłbym się dowiedzieć, jak wygląda teraz nasz układ?

— zapytał Smiley. — Czy możesz mi to wyłożyć kawę na łąwę?

— O rany, nie ma żadnego układu. Langley nie może się układać w kwestiach, które do niego nie należą. To przecież twoja sprawa, twoja własność, twoja... Polujemy na niego — a raczej ty polujesz z naszą niewielką pomocą — robimy, co możemy, a jeśli, hm, nie będziemy mieli wyników, wtedy Urząd lekko się włączy, w bardzo ograniczonym i uzgodnionym zakresie, i spróbuje własnych metod.

— To oznacza otwarty sezon na Ko — skwitował Smiley. — Mój Boże, jak można w takich okolicznościach prowadzić sprawę?

Jeśli chodzi o łagodzenie konfliktów, Martello był starym wygą.

— George, George. Załóżmy, że przygwoźdzą Ko. Załóżmy, że wskoczą mu na plecy, gdy tylko opuści Kolonię. Co się przejmujesz, że będzie gnił w Sing-Sing z wyrokiem trzydziestu lat na karku, skoro będziemy go mogli w każdej chwili wziąć na warsztat i rozpracować? Czy to taka tragedia?

Żebyś wiedział, cholera jasna, pomyślał Guillam. Wtem, z nieco złośliwą radością, zdał sobie sprawę, że Martello nie ma pojęcia o istnieniu Nelsona i że George trzyma najlepszą kartę blisko piersi.

Smiley wciąż siedział pochylony do przodu. Z powodu kulek lodu zewnętrzną stronę jego szklanki pokryła wilgotna mgiełka, na którą patrzył przez chwilę, obserwując, jak bezpieczne łyżki spływają na blat stołu.

— Więc jak długo możemy działać sami? — spytał. — Ile mamy czasu, zanim ci od narkotyków się wtrąca?

— Tu nie ma sztywnych terminów, George. To nie tak! Pamiętasz, co powiedział Cy? To są zmienne.

— Trzy miesiące?

— Troszkę przydługo.

— Mniej niż trzy miesiące?

— Bo ja wiem? W granicach trzech miesięcy. Dziesięć, dwanaście tygodni — w tym obrębie. Wszystko jest płynne, to sprawa między przyjaciółmi. Według mnie najwyżej trzy miesiące.

Smiley westchnął przeciągle.

— Wczoraj mieliśmy całą wieczność.

Martello opuścił zasłonę o cal.

— Sol nie jest do końca zorientowany — powiedział, celowo używając żargonu Cyrku, a nie swojej Agencji. — Ma luki — dodał, na poły jako wyznanie. — Nie rzuciliśmy mu całej padliny. Wiesz, co mam na myśli? — Urwał. — Pierwszy stopień wtajemniczenia, możesz mi wierzyć.

— A co to oznacza?

— Wie, że Ko dostaje wypłaty z Moskwy. Wie, że handluje opium. To wszystko.

— Czy wie o dziewczynie?

— Właśnie o nią tu chodzi. Dziewczyna. Poleciała z nim do Bangkoku. Byli razem w hotelu, a potem polecili do Manili. Widziałem, że się domyśliłeś, gdy Murphy czytał raport, spostrzegłem twoje spojrzenie. Kazałem mu usunąć tę część, właśnie ze względu na Sola.

— Smiley ożywił się odrobinę. — Umowa stoi tak, jak stała, George — zapewnił go Martello serdecznie. — Nic ujęte, nic dodane. Ty łowisz rybkę, a my ci pomożemy ją wypatroszyć. Jeśli potrzebujesz po drodze pomocy, łapiesz za zielony telefon i wołasz. — Posunął się nawet do tego, że w geście pocieszenia położył Smileyowi dłoń na ramieniu, ale wyczuwając niechęć, szybko cofnął rękę. — Jednakowoż gdybyście w jakimś momencie chcieli nam przekazać wędkę, to po prostu odwrócimy rolę i...

— Podkradniecie nam połów, a na dodatek wylecicie z Kolonii — dokończył Smiley. — Chcę wyjaśnić jeszcze jedno. Chcę, żeby to zostało spisane. Chcę, żeby stało się to przedmiotem wymiany listów między nami.

— Ty tu jesteś stroną zaangażowaną, ty określasz warunki — rzekł Martello wylewnie.

— To moja służba łowi rybę — upierał się Smiley stanowczym tonem. — My również ją podbierzemy, jeśli to dobre wyrażenie. Nie wiem, nie jestem wędkarzem.

— Ty zapuszczasz wędkę, łapiesz na haczyk, chwytasz w sieć, jasna sprawa.

W oczach podejrzliwego Guillauma dobra wola Martella zaczynała się powoli wycierać na zagięciach.

— Domagam się, by była to nasza operacja — ciągnął Smiley. — Ko jest nasz. Domagam się prawa pierwszeństwa. Ja go złapię i będę trzymał, dopóki nie uznamy za stosowne go wam przekazać.

— Nie ma problemu, George. Żadnego. Bierz go, jest twój. Ale jak tylko będziesz się chciał z nim podzielić, zadzwoń do nas. Proste jak drut.

— Rano przyślę pisemne potwierdzenie naszych ustaleń.

— Och, nie kłopotz się. Mamy ludzi, wiesz przecież. Ktoś z naszych to od was odbierze.

— Nie, wolę przysłać — odparł Smiley.

Martello wstał.

— No to masz z nami umowę, George.

— Ja już miałem jedną umowę — odrzekł Smiley. — Tyle że Langley ją złamało.

Uścisnęli sobie dłonie.

W całej sprawie Delfina nie było drugiej takiej chwili. Fachowcy nadali jej wiele trafnych określeń, a jedno z nich brzmi: „dzień, w którym George dał kontrparę”, choć w rzeczywistości trwało to dobry tydzień, i o tyle właśnie przybliżył się nieprzekraczalny termin Martella. Ale dla Guillauma ów proces miał w sobie nieporównanie więcej majestatu i piękna, niż kryje się w zwykłym przestawieniu dźwigni. Coraz lepiej rozumiejąc zamiary Smileya, patrzył zafascynowany, jak ten skrupulatnie układa każdą nić, przyzywa tego czy owego współpracownika, w jednym miejscu zakłada haczyk, z innego usuwa klin, i odnosił wrażenie, że śledzi obrót jakiegoś wielkiego oceanicznego statku, który, ugłaskiwany i nakłaniany cierpliwie przez zręcznego kapitana, zmienia kurs o sto osiemdziesiąt stopni.

Co oznacza oczywiście, że cała sprawa została wywrócona do góry nogami, czyli że dano kontrparę.

Wrócili do Cyrku bez słowa. Ostatnie schody Smiley pokonał w tak wolnym tempie, że na nowo obudził w Guillamie poważne obawy o swój stan, więc gdy tylko Guillam znalazł wolną chwilę, zadzwonił do etatowego lekarza Cyrku i opisał mu objawy tak, jak je widział, po czym dowiedział się, że Smiley zawitał w lekarskim gabinecie kilka dni wcześniej w zupełnie innej sprawie i zaprezentował się jako okaz zdrowia.

Drzwi do sali tronowej zamknęły się i opiekuńczy Fawn ponownie miał swego ukochanego szefa tylko dla siebie. Potrzeby Smileya, gdy przekazał je podwładnym, miały w sobie posmak inicjacji. Samoloty firmy Beechcraft: chciał mieć ich plany i katalogi, a także — pod warunkiem, że można je było zdobyć dyskretnie — szczegółowy na temat właścicieli, sprzedawców i nabywców w rejonie Azji południowo-wschodniej. Toby Esterhase posłusznie zniknął w mrocznym gąszczu przemysłu lotniczego, a zaraz potem Fawn wręczył Molly Meakin odstrasający rozmiarami plik starych numerów czasopisma „Świat Skrzydeł” wraz z poleceniem od Smileya — tradycyjnie już napisanym zielonym atramentem — aby zaznaczyła wszystkie reklamy beechcraftów, które mogłyby wpaść w oko potencjalnemu nabywcy w ciągu sześciu miesięcy poprzedzających nieudaną misję pilota Ricarda do Chin.

Także z rozkazu Smileya, Guillam złożył dyskretną wizytę kilku „dłubaczom” di Salisa i ustalił — za plecami ich gwałtownego szefa — że daleko im jeszcze do namierzenia Nelsona Ko. Jeden z nich stwierdził nawet, że Drakę Ko mówił szczerą prawdę podczas ostatniego spotkania ze starym Hibbertem, kiedy to powiedział, że jego brat umarł. Lecz gdy Guillam przekazał tę opinię Smileyowi, ten pokręcił niecierpliwie głową i wręczył mu sygnał transmisyjny do Crawa z rozkazem zdobycia z policyjnego źródła w Hongkongu — najlepiej pod jakimś pretekstem — informacji o wszystkich wyjazdach pana Tiu do Chin i z powrotem.

Długa odpowiedź Crawa znalazła się na biurku Smileya czterdzieści osiem godzin później i najwyraźniej sprawiła mu rzadką przyjemność. Wezwał dyżurującego kierowcę i kazał się zawieźć do Hampstead, gdzie w samotności spacerował przez godzinę na mrozie po nasłonecznionych błoniach i — według Fawna — gapił się na wiewiórki, po czym wrócił do sali tronowej.

— Czy ty nie widzisz? — wytknął Guillamowi tego samego wieczora w nieczęstym u niego przyplýwie emocji. — Peter, czy nie rozumiesz? — spytał po raz drugi, podsuwając Guillamowi pod nos zdobyte przez Crawa daty i stukając palcem w jeden z zapisów. —

Tiu pojechał do Szanghaju na półtora tygodnia przed misją Ricarda. Jak długo tam został? Czterdzieści osiem godzin. Jesteś oślem, jeśli nie rozumiesz!

— Wcale nie jestem. Nie mam po prostu bezpośredniego połączenia z wszechwiedzącym Panem Bogiem, to wszystko — odparował Guillam.

Zamknięty w piwnicy z szefową transkrypcji Millie McCraig, Smiley przesiadywał z taśmą z monologami Hibberta, co i raz marszcząc czoło — jak powiedziała Millie — z powodu chamskich nacisków di Salisa. Poza tym czytał i węszył oraz odbywał krótkie, treściwe rozmowy z Samem Collinsem. Owe spotkania, jak zauważył Guillam, kosztowały go sporo energii, a napady złego humoru — nadzwyczaj rzadkie jak na kogoś pozostającego pod takim brzemieniem — zdarzały mu się zawsze po wyjściu Sama. I nawet gdy już minęły, Smiley zdawał się bardziej wypalony i osamotniony niż kiedykolwiek indziej, aż do chwili, gdy wyruszał na jeden ze swych nocnych spacerów.

I oto nagle czwartego dnia po konferencji z Amerykanami, kiedy to nie wiedzieć czemu w życiu Guillama nastąpił kryzys — prawdopodobnie z powodu kłótni z Ministerstwem Skarbu, które ociągało się z wypłaceniem Crawowi premii — Toby'emu Esterhase'owi udało się prześlizgnąć przez zaporę Fawna i zawitać nie zauważonym w sali tronowej, gdzie przedłożył Smileyowi plik kopii umów dotyczących sprzedaży nowiuteńkiego czteroosobowego beechcrafta firmie o nazwie „Aerosuis i Spółka” z Bangkoku, zarejestrowanej w Zurychu, szczegóły w drodze. Smileya uradowała zwłaszcza informacja, że samolot był wyposażony w cztery fotele: dwa tylne wyjmowane, natomiast fotele pilotów umocowane na stałe. Zakupu dokonano dwudziestego lipca, a zatem niespełna miesiąc przed tym, jak szalony Ricardo wyruszył w drogę, by pogwałcić przestrzeń powietrzną Chin, po czym się rozmyślił.

— Peter, nawet ty to potrafisz skojarzyć — orzekł Smiley z ciężkim sarkazmem. — Powiąż jedno z drugim, no dalej!

— Samolot kupiono dwa tygodnie po powrocie Tiu z Szanghaju — odparł niechętnie Guillam.

— No i? — dopytywał się Smiley. — No i co z tego? Jaki jest nasz kolejny krok?

— Zadajemy sobie pytanie, kto jest właścicielem firmy „Aerosuis” — warknął Guillam, rozeźlony do żywego.

— Właśnie. Dziękuję ci — rzekł Smiley z ironiczną ulgą. — Na powrót w ciebie uwierzyłem, Peter. No dobrze. A jak myślisz, kto zawiaduje „Aerosuis”? Ktoś z Bangkoku, wyobraź sobie.

Guillam zerknął na leżące na biurku notatki, ale Smiley zdążył zakryć je dłonią.

— Tiu — odparł, czerwieniąc się.

— Hura! Tak, Tiu. Brawo, Peter.

Ale jeszcze tego samego wieczora, nim zdążono posłać po Sama Collinsa, cienie powróciły na twarz Smileya.

Mimo to łowiono dalej. Po udanym spenetrowaniu rynku lotniczego Toby Esterhase otrzymał zadanie wniknąć w przemysł spirytusowy i w przebraniu inspektora podatku od wartości dodanej poleciał na Hebrydy, gdzie spędził trzy dni na sprawdzaniu ksiąg pewnej destylarni, która specjalizowała się w sprzedawaniu młodej whisky. Powrócił — cytując Connie — łypiąc ślepiami jak mający wzięcie bigamista.

Złożoną konkluzją tych wszystkich działań była nadzwyczaj długa wiadomość dla Crawa, opracowana po uroczystej naradzie kierownictwa operacyjnego — Złotych Staruszków, by zacytować jeszcze raz Connie — i Sama Collinsa na doczepkę. Owa narada odbyła się po burzliwej konferencji z „kuzynami”, na której Smiley nie podzielił się wiedzą o istnieniu tajemniczego Nelsona Ko, zażądał natomiast dodatkowych środków inwigilacji i łączności w terenie. Współpracownikom wyjaśnił swoje plany następująco: Jak dotąd cała operacja sprowadzała się do zdobywania informacji o Ko oraz badania rozpiętości sowieckiej żyły złota. Starano się przy tym usilnie, by Ko nie odkrył, że Cyrk się nim interesuje.

Następnie Smiley podsumował plony dotychczasowych badań: Nelson, Ricardo, Tiu, beechcraft, daty, wnioski, zarej estrowana w Szwajcarii firma lotnicza, która — jak się okazało — nie ma żadnych nieruchomości ani samolotów. Stwierdził, że wolałby zaczekać na odnalezienie Nelsona, ale każda operacja to kompromis, czas zaś, częściowo dzięki „kuzynom”, szybko umyka.

Podczas tej przemowy słowem nie wspomniał o dziewczynie i ani razu nie spojrzął na Sama Collinsa.

Potem przeszedł do czegoś, co skromnie nazwał „następną fazą”.

— Nasz problem to przełamanie pata. Są operacje, które idą lepiej, gdy nie ma gwałtownych wstrząsów. Są też inne, które nie są nic warte, dopóki nie uderzy się pięścią w stół i sprawa Delfina jest jedną z nich. — Zmarszczył wyszukanie czoło, po czym zerwał z twarzy okulary i — ku ukrytemu zachwytowi wszystkich obecnych — wytarł je grubym końcem krawata, nieświadomie udowadniając prawdziwość krążącej o nim legendy. — Proponuję to zrobić przez odwrócenie naszej taktyki. Innymi słowy, Ko powinien się zorientować, że mamy go na oku.

Jak zwykle to Connie przerwała ciszę. Pierwsza się również uśmiechnęła — szeroko i domyślnie.

— Chce go wykurzyć z nory — szepnęła w uniesieniu do pozostałych. — Tak samo, jak zrobił z Billem, cwany wyżeł! Rozpalisz mu ogień na progu, kochanieńki, i będziesz patrzył, którędy umyka? George, jesteś uroczy, uroczy, najlepszy ze wszystkich moich chłopców, słowo honoru!

W wysłanej do Crawa instrukcji powzięty plan zobrazowano za pomocą innej metafory, stosowanej z upodobaniem przez pracowników operacyjnych. Użyto mianowicie określenia „potrząsanie drzewem” i z reszty tekstu wynikało jasno, że Smiley — mimo poważnych niebezpieczeństw — proponuje, by użyć do tego krzepkich dłoni Jerry'ego Westerby'ego.

Jako przypis do powyższego należy dodać, że parę dni później zniknął Sam Collins. Przestał przychodzić do Cyrku, a Smiley w ogóle o nim nie wspominał. Prócz kilku opieczętowanych talii kart i kolorowych, reklamujących nocny klub na West Endzie zapalek książeczkowych nie zostawił w swoim gabinecie żadnych rzeczy osobistych, o czym przekonał się Guillam, gdy wślizgnął się tam na przeszpiegi. Guillam postanowił wybać administracyjnych i ci po raz pierwszy okazali się skorzy do wyjaśnień. Powiedzieli, że ceną Sama za odejście było wypłacenie odprawy i obietnica ponownego rozpatrzenia jego praw do emerytury. Nie wyszedł mu powrót do służby. Żaden z niego pożytek, dodali. Nigdy już się nie pojawił; nie ma po kim płakać.

Niemniej Guillam nie mógł przestać myśleć o Samie, z czego w następnych tygodniach często zwierzał się Molly Meakin. Nie chodziło tylko o to, że natknął się na niego w biurze Lacona. Niepokoiliła go sprawa wymiany listów między Smileyem a Martellem. Aby uniknąć wizyty „kuzynów” w tym celu, bo oznaczałoby to paradę limuzyny w asyście motocyklisty na Cambridge Circus, Smiley kazał Guillamowi popędzić pod opieką Fawna na Grosvenor Square. Ale tak się złożyło, że Guillam był zavalony pracą, Sam natomiast jak zwykle zbijał baki. Zatem gdy Sam zaproponował Guillamowi, że go wyręczy, ten dał mu list. Wkrótce zaczął tego żałować i długo pluł sobie w brodę.

Albowiem zamiast przekazać pismo Murphy'emu lub jego koledze o pospolitej twarzy, Sam uparł się, że wręczy je osobiście Martellemu. No i spędził z nim ponad godzinę tete-a-tete.

Część II

POTRZĄSANIE DRZEWEM

Rozdział 13

LIESE

Star Heights był najwyższym i najnowszym wieżowcem na Middlevels, zbudowanym na planie koła, wbijającym się nocą w aksamitną ciemność Peaku niczym olbrzymi rozświetlony ołówek. Wiodła do niego kręta jezdnia, wzdłuż której miast chodnika ciągnął się szeroki jedynie na sześć cali krawężnik, oddzielający ją od stromego urwiska. W Star Heights piesi byli w złym guście. Nastął wczesny wieczór; towarzyska godzina szczytu osiągała swoje apogeum. Kiedy Jerry szedł mozolnie krawężnikiem pod górę, ocierały się o niego mercedesy i rolls-royce'y, spieszące, by kogoś odwieźć lub przywieźć. Niósł zawinięty w papier bukiet orchidei — większy niż bukiet подарowany Phoebe przez Crawa, mniejszy niż ten, który Drake Ko zostawił zmarłemu Nelsonowi. Kwiaty nie były dla nikogo konkretnego.

„Kiedy jest się mej postury, kolego, cokolwiek się robi, trzeba mieć ku temu cholernie dobry powód”.

Akcja na bezczelnego, Wasza Łaskawość, powiedział mu Craw na przewlekłej odprawie poprzedniego dnia. *Włóż tam na chama i drybluj, aż znajdziesz się po drugiej stronie.*

Jedną nogą, pomyślał Jerry.

Nad głównym wejściem wisiała pasiasta markiza, a powietrze przesycone było kobiecymi perfumami — przedsmak czekającego zadania. *I pamiętaj, że to Ko jest właścicielem budynku*, dorzucił kwaśno Craw na pożegnanie. Wnętrze nie zostało jeszcze wykończzone. Wokół skrzynek na listy brakowało marmurowych płytek z nazwiskami. Wykonana z włókna szklanego ryba czekała cierpliwie, by rzygnąć wodą w tarasową fontannę, albowiem dotąd nie podłączono rur, a obok leżały na kupie worki cementu. Ruszył do wind. Ze środka szklanej kabiny, oznaczonej napisem „Recepcja”, obserwował go chiński portier. Jerry widział go niewyraźnie. Mężczyzna czytał, kiedy Jerry wszedł, ale teraz przestał i patrzył na niego, niezdecydowany, czy go zagaić, uspokojony nieco widokiem kwiatów. Wtem weszło kilka amerykańskich matron w pełnym rynsztunku. Zająły pozycję tuż za Jerrym.

— Wspaniale — rzekły, wskazując bukiet.

— Super, nie? Proszę, panie sobie wezmą. To podarunek! No, proszę! Piękne kobiety są nagie bez kwiatów.

Śmiech. Anglicy to szczególna rasa. Portier powrócił do swej lektury — pobyt Jerry'ego w wieżowcu został zalegalizowany. Nadjechała winda, z której wytloczyło się stado dyplomatów, biznesmenów i ich żon, markotnych, wystrojonych w biżuterię. Jerry wpuścił Amerykanki przed sobą. Dym z cygar mieszał się z wonią perfum. Z głośników płynęła blaszana muzyka przypominająca zapomniane melodie. Matrony wcisnęły guzik dwunastego piętra.

— Pan też do Hammersteinów? — zapytały, wciąż patrząc na orchidee.

Jerry wysiadł na piętnastym i ruszył w kierunku schodów. Śmierdziało na nich kotami i śmieciami z zyspów. W drodze na dół spotkał *amah* niosącą kubek z pieluszkami. Spojrzała na niego wilkiem, ale gdy ją pozdrowił, roześmiała się donośnie. Zbiegał dalej, aż dotarł na ósme piętro. Znalazł się na końcu wyłożonego miękkim dywanem korytarza. Mała rotunda wychodziła na złote drzwi dwóch wind. Były tu cztery mieszkania, każde zajmowało ćwiartkę kolistego piętra, każde z osobnym holem. Stał przy holu B, uzbrojony jedynie w kwiaty. Obserwował rotundę, zwłaszcza drzwi oznaczone literą C. Papier przemókł w miejscach, gdzie Jerry zbyt kurczowo ścisnął bukiet.

— To cotygodniowy rytuał — zapewnił go Craw. — W każdy poniedziałek dostawa kwiatów z Klubu Amerykańskiego. Jak w zegarku. Ona spotyka się tam z przyjaciółką, Nellie Tan, która pracuje w „Airsea”. Przyjmują kwiaty i potem zostają na kolację.

— A gdzie w tym czasie będzie Ko?

— W Bangkoku. W interesach.

— Miejmy, cholera, nadzieję, że nie wróci zniecka.

— Amen, chłopcze, amen.

Z piskliwym zgrzytem nowych, nie naoliwionych zawiasów otwarły się gwałtownie drzwi po prawej stronie i na korytarz wyszedł młody Amerykanin w smokingu. Stał jak wryty, wpatrzony w Jerry'ego i orchidee. Miał niebieskie, nieruchome oczy. W rękę trzymał nesesor.

— Pan z tym do mnie? — zapytał z bostońskim akcentem wyższych sfer. Wyglądał na zamożnego i pewnego siebie obywatela. Jerry postawił na dyplomację lub bankierstwo.

— Raczej nie — wyznał, udając angielskiego tępaka. — Cavendish — rzekł. Nad ramieniem Amerykanina dostrzegł zastawioną książkami półkę, niknąca za zamykającymi się cicho drzwiami. — Przyjaciel prosił mnie, żebym dał kwiaty pani Cavendish. Numer 9D. Zemknął do Manili i zostawił mnie z kłopotem.

— Nie to piętro — odparł Amerykanin, idąc do wind. — O jedno wyżej. I nie ten hol. D są po drugiej stronie, o tam.

Jerry stanął obok niego, udając, że czeka na windę. Pierwsza zjawiła się winda jadąca na dół. Amerykanin wsiadł do niej rażno, a Jerry natychmiast wrócił na swoje stanowisko. Wówczas otworzyły się drzwi oznaczone literą C i zobaczył, jak ona wychodzi, odwraca się i zamyka je na podwójną zasuwkę. Długie platynowe blond włosy związane były na karku w koński ogon. Miała na sobie powszedni strój — niebieską sukienkę z odkrytymi ramionami i sandały. Choć nie dostrzegał jej twarzy, wiedział, że jest piękna. Dziewczyna skierowała się do wind, nie spostrzegłszy go. Jerry miał wrażenie, że przez szybę wystawową patrzy na nią z ulicy.

W jego świecie trafiały się kobiety, które obnosiły się ze swym ciałem, jakby było cytadelą do zdobycia jedynie przez najodważniejszych. Ożenił się z kilkoma z nich. A może stały się takie pod jego wpływem? Były i inne, które zdawały się nienawidzić siebie — ściągały ramiona, chowały biodra. Oraz takie, którym wystarczyło postąpić ku niemu krok lub dwa i już czuł się obdarowany. Te należały do rzadkości i w owej chwili ona dzierżyła wśród nich laur pierwszeństwa. Zatrzymała się przed złotymi drzwiami i obserwowała zapalające się cyfry. Gdy nadjechała winda, przystanął obok, ale ona wciąż go nie dostrzegała. Miał nadzieję, że w windzie będzie tłoczno, i nie pomylił się. Wcisnął się rakiem, uważając na kwiaty, przepaszając, rozdając uśmiechy, ostentacyjnie trzymając bukiet w górze. Dziewczyna stała tuż obok, odwrócona plecami. Zerkał na jej ramię. Silne, nagie ramię, na którym dostrzegał drobne pieprzyki oraz kaskadę cienkich złotawych włosów, niknących w dole pleców. Widział z profilu jej twarz. Patrzył.

— Lizzie? — zapytał niepewnie. — Ej, Lizzie, to ja, Jerry.

Odwróciła się gwałtownie i spojrzała na niego. Żałował, że nie może się cofnąć o krok, ponieważ wiedział, że jej pierwszą reakcją będzie strach wywołany jego wzrostem. Nie omylił się. Zanim jej szare oczy na dobre skupiły się na jego twarzy, dostrzegł w nich lekkie iskierki lęku.

— Lizzie Worthington! — rzekł bardziej stanowczo. — Jak tam whisky? Pamiętasz mnie? Jestem jednym z twoich dumnych kontrahentów. Jerry. Kumpel Tyciego Ricarda. Jedna pięćdziesięciogalonna baryłka z moim nazwiskiem na etykiecie. Zapłacone i gotowe do transportu.

Zagadał stłumionym głosem z obawy, że być może wspomina przeszłość, o której ona chciałaby zapomnieć. Mówił na tyle cicho, że współpasażerowie słyszeli albo płynące z głośników „Raindrops

keep falling on my head", albo utyskiwania leciwego Greka, który stał ścieśniony w kącie.

— Ależ tak — odparła i uśmiechnęła się promiennie niczym stewardesa. — Jerry! — Zawiesiła głos, udając, że ma jego nazwisko na końcu języka. — Jerry... — Zmarszczyła czoło i zerknęła w sufit niby uczennica szkoły aktorskiej grająca Zapominalską. Winda zatrzymała się na szóstym piętrze.

— Westerby — dopowiedział szybko, przychodząc jej z pomocą.

— Pismak. Zastawiłaś na mnie pułapkę w barze „Pod Gwiazdozbiorem”. Miałem ochotę na wieczór z piękną kobietą, a w zamian dostałem baryłkę whisky.

Ktoś obok parsknął śmiechem.

— Oczywiście! Kochany Jerry! Jak mogłam zapomnieć... A co ty robisz w Hongkongu? Mój Boże!

— Zwykła robota. Katastrofy, epidemie, klęski głodu. A ty? Chyba prowadzisz dostatnie życie, co, z twoimi metodami sprzedaży? Nikt mi nigdy tak nie wykręcił ręki — zażartował.

Roześmiała się cudownie. Drzwi windy otworzyły się na trzecim piętrze. Do środka wsunęła się starsza kobieta o kulach.

Lizzie Worthington sprzedała wszystkiego pięćdziesiąt pięć baryłek niebiańskiego trunku, powiedział stary Craw. Każda poszła w ręce mężczyzny, a niemało z nich, jak twierdzą moi informatorzy, okraszono dodatkową usługą. To się nazywa wkładać całe serce w pracę.

Zjechali na parter. Wysiadła pierwsza, on siedł obok. Dostrzegł przez szklane drzwi wejściowe jej sportowy wóz ze złożonym dachem, oczekujący w zatoczce, ściśnięty wśród błyszczących limuzyn. Pewnie zadzwoniła na portiernię i kazała go podstawić; pomyślał: jeśli Ko jest właścicielem budynku, to z pewnością dopilnował, żeby dziewczynę należycie traktowano. Ruszyła w kierunku recepcji. Bez przerwy coś mówiła, odwracając się ku niemu, gestykulując ręką. Widocznie spytał ją, jak jej się podoba Hongkong, choć nie pamiętał, by to zrobił.

— Uwielbiam to miasto, Jerry, po prostu uwielbiam. Vientiane wydaje się takie... Och, to było wieki temu. Wiesz, że Ric zginął?

— Powiedziała to bohatercko, jakby ona i śmierć były starymi przyjaciółkami. — Myślałam wtedy, że już nigdy na niczym nie będzie mi zależało. Myliłam się okropnie, Jerry. Hongkong to najwspanialsze miasto na całym świecie. Lawrence, kochany, odpływam już moją czerwoną łodzią podwodną. W klubie jest dziś bal samiczek.

Lawrence był portierem. Kluczyki do samochodu wisiały na breloczku w kształcie srebrnej podkowy, która przypomniała Jerry'emu gonitwy w Happy Valley.

— Dziękuję ci, mój drogi — rzekła do portiera i obdarowała go uśmiechem, który najprawdopodobniej śnił mu się potem przez całą noc. — Tutejsi ludzie są cudowni, Jerry — wyznała teatralnym szeptem w drodze do wyjścia. — I pomyśleć, co mówiliśmy o Chińczykach w Laosie! Ale tutaj to są najcudowniejsi, najbardziej towarzyscy i pomysłowi ludzie na ziemi. — Zauważył, że jej akcent nabrał nieokreślonych obcych tonów. Pewnie przejęła od Ricarda i stosowała dla pozy. — Ludzie sobie myślą, że Hongkong to tylko wspaniałe zakupy, wolne od cła aparaty fotograficzne, restauracje, ale tak prawdę mówiąc, jeśli się spojrzy głębiej i pozna prawdziwy Hongkong i jego mieszkańców, to znajdzie się tu wszystko, czego można oczekiwać od życia. Podoba ci się mój nowy samochód?

— Więc na to poszła forsa z handlu whisky?

Wyciągnął otwartą dłoń. Upuściła na nią kluczyki, żeby otworzył jej drzwi. Nadal grając idiotyczne przedstawienie, podał jej kwiaty do potrzymania. Za Peakiem zarzył się niczym luna pożaru wschodzący dopiero księżyc. Wsiadła do auta, a on oddał jej kluczyki i tym razem ich dłonie się zetknęły. Znowu przypomniał sobie Happy Valley i pocałunek Ko, gdy para odjeżdżała samochodem.

— Czy mógłbym jechać z tyłu? — spytał.

Roześmiała się i nachyliła oparcie fotela, by się precisnąć.

— A tak w ogóle to gdzie się wybierasz z tymi pięknymi kwiatami? — zapytała.

Włączyła zapłon, ale Jerry wyciągnął rękę i go zgasił. Spojrzała na niego zdumiona.

— Słuchaj, kobitko — rzekł cicho. — Nie potrafię kłamać. Zakra dłem się tu jak wąż i zanim dokądkolwiek pojedziemy, lepiej zapnij pasy i usłysz niemiłą prawdę.

Wybrał ten moment rozmyślnie, albowiem nie chciał, żeby ogarnął ją strach. Siedziała za kierownicą własnego samochodu pod oświetlonym wejściem do bloku, w którym mieszkała, w odległości zaledwie dwudziestu kroków od portiera. W dodatku Jerry grał rolę pokornego grzesznika, by jeszcze bardziej zwiększyć jej poczucie bezpieczeństwa.

— Nasze przypadkowe spotkanie nie było takie przypadkowe. To po pierwsze. Po drugie, już nie owijając w bawełnę, moja gazeta kazała mi złapać cię w ogień krzyżowych pytań na temat twego zmarłego kolegi, Ricarda.

Wciąż na niego patrzyła. Wciąż czekała. Na środku podbródka miała dwie małe równoległe blizny podobne do głębokich zadrapań pazurów. Był ciekaw, kto je zrobił i czym.

— Ale przecież Ricardo nie żyje — odparła zbyt szybko.

— Jasne — rzekł Jerry ugodowym tonem. — Bez wątplenia. Tyle że ci w gazecie mają coś, co z upodobaniem nazywają gorącym

materiałem, i z czego wynika, że on jednak żyje> a moją rolą jest im przytakiwać.

— Ale to czysty absurd!

— Całkowicie się z tobą zgadzam. Odbiło im. Nagrodą pocieszenia są dwa tuziny dobranych orchidei i kolacja w najlepszym lokalu w mieście.

Odwróciwszy głowę, spojrzała przez przednią szybę. Jej twarz znalazła się w pełnym blasku zawieszonych u wejścia lamp i Jerry zadał sobie pytanie, jak to jest, gdy zamieszkuje się tak piękne ciało, gdy trzeba się do niego dostosowywać dwadzieścia cztery godziny na dobę. Otworzyła szerzej oczy. Zakielkowało w nim podejrzenie, że ona chce, by zauważył nabiegłe łzy i sposób, w jaki przytrzymała się kierownicy.

— Wybacz mi — szepnęła. — To tylko... Jak się kocha mężczyzną. .. rezygnuje ze wszystkiego... I on umiera, a potem pewnego dnia, zniecka...

— Rozumiem — odparł Jerry. — Przepraszam.

Włączyła silnik.

— Za co? Jeśli on żyje, to nieoczekiwany prezent od losu. Jeśli zaś nie żyje, nic się nie zmieniło. Tak czy owak, żadna strata. — Roześmiała się. — Ric zawsze mówił o sobie, że jest niezniszczalny.

Jakbym kradł pieniądze ślepemu żebrakowi, pomyślał Jerry. Nie powinno się jej zostawiać bez nadzoru.

Prowadziła niezłe, choć nieco sztywno. Jerry domyślił się — albowiem skłaniała do domysłów — że dopiero niedawno zdała egzamin na prawo jazdy i że auto było nagrodą. Zapadła najspokojniejsza noc na świecie. Miasto powoli ich wysało. Port leżał pośrodku niczym gładkie lustro w szkatule pełnej klejnotów. Namawiali się, dokąd jechać. Jerry zaproponował cypel, ale ona pokręciła głową.

— No dobra, to najpierw jedźmy się czegoś napić — rzekł. — Zaszalejemy!

Był zaskoczony, gdy wyciągnęła rękę i uściśnęła j ego dłoń. I wtedy przypomniał sobie, co mówił Craw: że ona postępuje tak ze wszystkimi.

Miał przemożne wrażenie, że tego wieczora była panią siebie. Pamiętał, jak zabierał swoją córkę Cat ze szkoły, kiedy była jeszcze dzieckiem, i jak musieli robić mnóstwo różnych rzeczy, by przedłużyć popołudnie. W zaciemnionej dyskoteczce po stronie Koulonu wypili kieliszek remy martin z lodem i wodą sodową. Domyślił się, że to trunek Ko i że nabrała zwyczaju picia go dla dotrzymania mu towarzystwa. Było jeszcze wcześniej i w środku znajdowało się zaledwie z dziesięć osób, nie więcej. Muzyka grało głośno i musieli

wrzeszczeć sobie do uszu, by się dosłyszeć. Słowem nie wspomniała o Ricardzie. Od rozmowy wolała muzykę, której słuchała odchylona do tyłu. Niekiedy chwyciła jego dłoń, raz nawet oparła mu głowę na ramieniu, później przesłała mu całusa i odpłynęła na parkiet, by z zamkniętymi oczyma i lekkim uśmiechem na twarzy wykonać powolny samotny taniec. Mężczyźni zapomnieli o swych towarzyszkach i rozbierali ją spojrzzeniami, a chińscy kelnerzy co trzy minuty przynosili czyste popielniczki, by móc zajrzeć jej za dekolt. Po dwóch drinkach i półgodzinnej rozmowie przyznała się do namiętności do Ellingtona i brzmienia dużej orkiestry, zatem pojechali z powrotem na wyspę do lokalu, gdzie — o czym wiedział Jerry — zespół Filipińczyków grał na żywo pod Duke'a. Cat Anderson to najlepszy wynalazek od czasów pokrojonego chleba, powiedziała. Czy słyszał Armstronga i Ellingtona grających razem? Czyż oni nie są po prostu najlepsi? Połało się więcej remy martin, gdy zaśpiewała mu „Mood Indigo”.

— Czy Ricardo tańczył? — zapytał Jerry.

— Czy tańczył? — powtórzyła cicho, tupiąc stopą i strzelając palcami do taktu. — Jeszcze jak!

— Podobno był kulawy.

— To go nigdy nie powstrzymywało — odparła, wciąż pochłonięta muzyką. — Nie wróć do niego, rozumiesz przecież. Nigdy. Ten rozdział jest już zamknięty. I to jak.

— A jak to się stało?

— Że zaczął tańczyć?

— Że okulał.

Z palcem zagiętym na cynglu, wypaliła w powietrze z wymaganego pistoletu.

— Albo wojna, albo jakiś zazdrosny mąż — odrzekła. Musiała powtórzyć z ustami tuż przy uchu Jerry'ego.

Znała nową japońską restaurację, gdzie serwowali bajeczną wólowinę *kobe*.

— Powiedz mi, skąd masz te blizny — poprosił Jerry po drodze. Dotknął swojego podbródka. — Te z prawej i z lewej strony. Od czego to?

— Och, polowałam na biedne lisy — odparła z lekkim uśmiechem.

— Mój kochany tatuś miał bzika na punkcie koni. Obawiam się, że wciąż go ma.

— Gdzie mieszka?

— Tata? W podupadłej posiadłości w Shropshire. O wiele za dużej, ale za nic nie chce się przeprowadzić. Ani służby, ani pieniędzy, zimno jak w psiarni przez trzy czwarte roku. Mama nie umie nawet ugotować jajka.

Zanim dojechali na miejsce, przypomniała sobie, że zna pewien bar, gdzie podają niebiańskie *canapes* z curry, więc zmienili plany

i w poszukiwaniu tego lokalu zaczęli kluczyć po ulicach. W barze pocałowała barmana na powitanie. Tu nie grała muzyka. Jerry uzmysłowił sobie nagle, że z jakiegoś powodu opowiada Lizzie o sierocie. Gdy dotarł do przyczyn rozłąki, celowo zamotał się w relacji.

— Ależ, Jerry, kochany — rzekła refleksyjnie. — Czego mógł byś się spodziewać z dwudziestoma pięcioma latami różnicy między wami?

A z dziewiętnastoma latami oraz chińską żoną między tobą a Ko czego ty się, do cholery, możesz spodziewać? — pomyślał, lekko rozdrażniony.

Ruszyli do wyjścia — nowe pocałunki dla barmana, tym razem na pożegnanie. Jerry nie był na tyle odurzony jej towarzystwem ani koniakiem, by nie zauważyć, że poszła zadzwonić. Rzekomo, by odwołać spotkanie, ale trwało to dość długo, i kiedy wróciła, nie była już tak wesoła. Gdy znaleźli się z powrotem w samochodzie, ich spojrzenia się spotkały i wydawało mu się, że w jej oczach dostrzega nieufność.

— Jerry?

— Tak?

Pokręciła głową i roześmiała się. Pogłaskała go po policzku i pocałowała.

— Zabawnie jest z tobą — rzekła.

Odgadł, iż zastanawia się, czy to możliwe, że zupełnie go nie pamięta, jeśli rzeczywiście sprzedała mu tę baryłkę whisky. I czy aby zachęcić go do kupna, zaoferowała drugą usługę, o której tak obcesowo wspomniał Caw. To jej problem, doszedł do wniosku. Był jej od samego początku.

Dzięki uśmiechowi i innym przymiotom Lizzie w japońskiej restauracji wskazano im przytulny stolik w rogu. Usiadła przodem do sali, a on przodem do niej, co jemu akurat nie przeszkadzało, ale tych z Sarratt wprawiloby w złość. W blasku świec widział dokładnie jej twarz i po raz pierwszy dostrzegł na niej oznaki fady: oprócz blizn na podbródku lekkie zmarszczki po podróżach i napięciu, które w jego oczach miały konkretną wartość, niby przynoszące zaszczyt rany odniesione w potyczkach z parszywym szczęściem i błędnymi osądami. Miała na rękę złotą bransoletę, nową, oraz wysłużony blaszany zegarek z cyferblatem Walta Disneya i obdrapaną dłońią zamiast wskazówki. Wierność temu przedmiotowi wywarła na nim wrażenie; był ciekaw, od kogo go dostała.

— Od taty — odparła z roztargnieniem.

W sufit ponad nimi wmontowane było lustro i pomiędzy czerepami gości Jerry widział jej złote włosy, wzniesienie piersi oraz woalkę kosmyków na plecach. Ilekroć zagajał o Ricarda, natychmiast miała się na baczności. Jego uwagi umknął fakt, że od chwili, gdy poszła do telefonu, zachowywała się inaczej.

— Jaką mam gwarancję, że nie zamieścisz mojego nazwiska w gazecie? — zapytała.

— Moją obietnicę.

— Ale jeśli twój naczelny wie, że to ja byłam dziewczyną Ricarda, to co go powstrzyma?

— Ricardo miał dziewczyn na pęczki. Wiesz przecież. Grube, chude, wysokie, niskie, po kolei i naraz.

— Ale ja byłam tylko jedna — odrzekła stanowczo. Jerry spostrzegł, że zerka w kierunku drzwi. Taki miała zwyczaj, gdziekolwiek była, bez przerwy rozglądała się dokoła, jakby kogoś szukała. Pozwolił jej zachować inicjatywę.

— Powiedziałeś, że twoja gazeta ma jakiś gorący materiał. Co miałeś na myśli?

Odpowiedź na to pytanie przygotował razem z Crawem. Nawet ją przeciwczyli. Odparł zatem jeśli nie z całkowitym przekonaniem, to z mocą:

— Katastrofa Rica zdarzyła się półtora roku temu w górach w pobliżu Pailin na granicy tajlandzko-kambodżańskiej. To oficjalna wersja. Nikt nie odnalazł ciała, nikt nie odnalazł wraku, a ludziska gadają, że wiozł opium. Firma ubezpieczeniowa nie wypłaciła odszkodowania, a „Indocharter” nie podał jej za to do sądu. Dlaczego? Ponieważ Ricardo miał z nimi wyłączność na latanie. W takim razie dlaczego ktoś nie poda do sądu „Indocharter”? Ty, na przykład. Byłaś jego kobietą. Dlaczego nie domagasz się odszkodowania?

— To bardzo obcesowe pytanie — odparła tonem królowej.

— Poza tym krążą pogłoski, że kręcił się ostatnio w paru spelunkach. Zapuścił brodę, ale nie może pozbyć się kulawizny ani — jak mówią — nawyku wlewania w siebie butelki dziennie, ani — wybac mi te słowa — latania za każdą spódnicą w promieniu pięciu mil od miejsca, w którym akurat się znajduje.

Szykowała się do riposty, ale Jerry szybko wyłożył resztę.

— Starszy portier w hotelu „Rincome” w Cziang Maj potwierdził tożsamość, gdy mu pokazano fotografię, mimo brody. Fakt, że my, okrągłocy, wyglądamy dla nich jednakowo. Niemniej facet dałby sobie głowę uciąć, że to był Ricardo. A nie dalej jak miesiąc temu pewna piętnastolatka przy nadziei z Bangkoku, której dane znamy, wzięła tobolek, poszła do meksykańskiego konsulatu i wskazała Ricarda jako

szczęśliwego ojca. Nie wierzę w osiemnastomiesięczne ciąży, i mam nadzieję, że ty też nie. I nie patrz tak na mnie, kobieto. To nie mój pomysł, wiesz przecież.

To pomysł Londynu, mógłby dodać. Najzgrabniejsza mieszanka faktów i fikcji, jaka kiedykolwiek potrafiła drzewem.

Ale ona spoglądała za jego plecy, w kierunku drzwi.

— Chciałbym cię zapytać o jeszcze jedno, a mianowicie o ten kant z whisky — rzekł.

— To nie był kant, Jerry. To było całkowicie legalne przedsięwzięcie handlowe!

— Kobieto, posłuchaj. Ty byłaś czysta jak łza, nawet plamki na honorze i tak dalej. Ale załóżmy, że Ric poszedł na skróty o kilka razy za dużo, czyż nie byłby to powód, by wykonać stary numer ze śmiercią?

— To nie w jego stylu — odparła bez przekonania. — Lubił być ważniakiem. Nie potrafiłby uciec.

Jerry szczerze jej współczuł. Uczucie sprzeczne do tego, które chciałby dla niej żywić w innych okolicznościach. Patrzył na nią i wiedział, że argument w dyskusji to coś, co zawsze jej umyka; owa niemożność dowodzenia własnych racji zasiewała w niej uczucie beznadziejności, rezygnacji z walki.

— Gdybyśmy, na przykład — ciągnął Jerry, gdy głowa opadła jej nieco w wyrazie zwątpienia — założyli, nie mając żadnych dowodów, jako czystą hipotezę, że Ric, upłynniwszy baryłki, zatrzymał sobie forszę, zamiast przekazać ją destylarni, to w takim wypadku...

— Zanim nasza współpraca dobiegła końca, każdy nabywca miał kontrakt zapewniający mu oprocentowanie z dniem zakupu whisky. Wyliczaliśmy się w terminie z każdego pożyczonego przez nas grosza.

Dotąd Jerry jedynie szykował grunt. Teraz jednak dostrzegł cel i ruszył ku niemu na całego.

— Wcale nie w terminie, kobieto — poprawił ją, podczas gdy wciąż wpatrywała się w nie tknięte jedzenie. — Wcale nie. Spłat do konano z półrocznym opóźnieniem. A więc nie w terminie, delikatnie mówiąc. A teraz moje pytanie: kto zapłacił kaucję za Rica? Bowiem według naszych informacji cały świat chciał jego głowy. Destylarnie, kredytodawcy, władze, tubylcy. Wszyscy ostrzyli na niego noże. I na gle pewnego dnia: pstryk! Nakazy sądowe cofnięte, kraty więzienia się rozstępują. Jak? Ric wisiał już na haku. Kto jest tym tajemniczym zbawcą? Kto wykupił jego długi?

W tej chwili uniosła głowę i, ku jego zdumieniu, jej twarz rozjaśnił promienny uśmiech, i zanim się obejrzał, zaczęła machać ręką do kogoś, kogo zobaczył dopiero, gdy spojrział w sufitowe lustro. Dojrzał

błysk lśniącego błękitnego garnituru i czerep pokryty dobrze wytłuszczoną czupryną czarnych włosów, a pośrodku, w perspektywicznym skrócie, pucułową twarz Chińczyka, poniżej zaś prężne ramiona i dwie ręce wyciągnięte w geście powitania. Lizzie szczebiotała:

— Pan Tiu! Co za cudowne spotkanie! To pan Tiu! Proszę do nas! Niech pan spróbuje wołowiny, jest przesmaczna. Panie Tiu, to Jerry z Fleet Street. Jerry, oto mój dobry przyjaciel, który się mną trochę opiekuje. Panie Tiu, Jerry przeprowadza ze mną wywiad! Ze mną! To naprawdę ekscytujące. Pyta o Vientiane i o biednego pilota, któremu pomagałam ze sto lat temu. Jerry wszystko o mnie wie. Jest cudowny!

— Poznaliśmy się już — rzekł Jerry z szerokim uśmiechem.

— Pewnie, że tak — odparł pan Tiu, równie szczęśliwy ze spotkania. Jerry ponownie uchwycił znajomy zapach migdałów i wody różanej, który tak bardzo lubiła niegdyś jedna z jego żon. — Pewnie — powtórzył Chińczyk. — Koński dziennikarz, co?

— Ehe — odrzekł Jerry, aż do bólu rozciągając w uśmiechu policzki.

Należało, rzecz jasna, dokonać kilku radykalnych przewartościowań, w dodatku miał pełne ręce roboty: musiał sprawiać wrażenie równie ucieszonego niewiarygodnym spotkaniem jak oni, ucisnąć Tiu dłoń, co było niczym wzajemna obietnica przyszłych rozstrzygnięć, przysunąć dodatkowe krzesło oraz zamówić drinki, wołowinę, pałeczki i resztę. Ale drobnostka, która nim owładnęła, gdy robił to wszystko — wspomnienie, które miało zapaść mu w pamięć tak głęboko, jak tylko pozwoliły na to późniejsze wypadki — nie dotyczyła Tiu ani jego pospiesznego przybycia, ale wyrazu twarzy Lizzie, gdy go spostrzegła, owej milisekundy, której potrzebowała, by ułożyć rysy twarzy w jasny uśmiech. Ten ułamek czasu lepiej niż cokolwiek innego wyjaśnił Jerry'emu paradoksy, z których się składała: jej więzienne marzenia, przywdziewane doraźnie osobowości, dzięki którym — niczym przebraniom — mogła w każdej chwili uciec przed swym przeznaczeniem. Było oczywiste, że to ona wezwała Tiu. Nie miała wyboru. Jerry'ego zdumiało, że ani Cyrk, ani on sam tego nie przewidział. Sprawa Ricarda, cokolwiek się za nią kryło, była zbyt trefna, by dziewczyna sama się nią zajmowała. Lecz gdy Tiu wszedł do restauracji, w jej szarych oczach nie było ulgi, ale rezygnacja: drzwi ponownie zatrzasnęły się jej przed nosem, zabawa dobiegła końca. „Jesteśmy jak te robaczki świętojańskie — szepnęła do niego kiedyś sierota, utyskując na swe dzieciństwo. — Nosimy cholerny ogień na plecach”.

Rzecz jasna w kategoriach operacyjnych — ó Jerry uświadomił sobie od razu — pojawienie się Tiu było darem niebios. Jeśli wiadomość miała dotrzeć do Ko, to Tiu był znacznie bardziej przekonującym kanałem informacyjnym, niż Lizzie Worthington mogłaby być w najśmielszych marzeniach.

Skończyła obcałowywanie Chińczyka i przekazała go Jerry'emu.

— Panie Tiu, będzie pan moim świadkiem — stwierdziła zaferowanym, konspiracyjnym tonem. — Musi pan zapamiętać każde moje słowo. Jerry, kontynuuj, jakby go tu nie było. Pan Tiu będzie milczał jak grób, prawda? Kochany pan Tiu. — Znów go ucałowała. — To takie ekscytujące — powtórzyła, kiedy wreszcie zasiedli we troje do przyjacielskiej pogawędki.

— Więc czego chce się pan dowiedzieć? — zapytał Chińczyk całkowicie swobodnie, napoczynając wołowinę. — Pan jest koniarz, to dlaczego pan zaczepia piękne dziewczyny?

— Racja, kolego! Święta racja! Z końmi znacznie bezpieczniej, nie? Wszyscy troje uśmieli się serdecznie, unikając swych spojrzeń. Kelner postawił przed nimi butelkę wybornej whisky. Tiu od kręcił ją, powąchał krytycznie i dopiero wtedy nalał do kieliszków.

— On szuka Ricarda, panie Tiu — wyjaśniła Lizzie. — Nie rozumie pan? On uważa, że Ricardo żyje. Czy to nie cudowne? Naturalnie w moim sercu nie ma już dla niego miejsca, ale byłoby wspaniale, gdyby znalazł się z powrotem z nami. Ale przyjęcie byśmy urządzili!

— Liese to panu powiedziała? — zapytał Tiu, nalewając sobie do kieliszka dwa cale whisky. — Ona panu powiedziała, że on żyje?

— Kto, kolego? Kto, bo nie zrozumiałem?

Chińczyk wskazał Lizzie pałeczką.

— Ona. Ona panu powiedziała? O tym pilocie? O Ricardzie? Liese powiedziała?

— Nigdy nie wyjawiam źródeł informacji, proszę pana — odparł Jerry, równie swobodnie. — W ten sposób dziennikarz ukrywa fakt, że sam wszystko zmyślił — dodał.

— Koński dziennikarz, co?

— No właśnie, no właśnie!

Tiu znów wybuchnął śmiechem, Lizzie też, jeszcze głośniejszym niż przedtem. Ponownie traciła grunt pod nogami. Może to alkohol, pomyślał Jerry, albo może zwykle pije mocniejsze trunki i whisky jedynie dołala oliwy do ognia. Jeśli on jeszcze raz nazwie mnie końskim dziennikarzem, być może zacznie się bronić.

Lizzie na nowo zaczęła szczebiotać:

— Panie Tiu, Ricardo miał wielkie szczęście! Niech pan pomyśli, co on miał: „Indocharter”, mnie, wszystko. Pracowałam dla tej małej linii, dla kochanych Chińczyków, których znał mój tata, ale Ricardo, jak wszyscy piloci, był takim biznesmenem, że pożał się Boże. Szybko popadł w okropne długi — machnięciem ręki wprowadziła do gry Jerry'ego — i, Boże, próbował nawet wciągnąć mnie w jakieś swoje plany, możecie to sobie wyobrazić?! W sprzedawanie whisky. Pewnego dnia moi kochani, zbikowani chińscy przyjaciele uznali, że potrzebują jeszcze jednego czarterowego pilota. Spłacili jego długi, wyznaczyli mu pensję i dali starą maszynę, żeby lata...

W tej chwili Jerry zrobił pierwszy nieodwracalny krok.

— Kobieto, kiedy Ricardo rzekomo zginął, nie leciał starą maszyną. Leciał nowiuteńkim beechcraftem — rzekł dobitnie. — „Indocharter” nigdy nie miał na stanie beechcrafta. Teraz też nie ma. Mój naczelny sprawdził wszystko dokładnie, nie pytaj mnie jak. „Indocharter” nigdy nie wypożyczył, nie wydzierżawił ani nie rozbił takiego samolotu.

Tiu znowu wybuchnął radosnym śmiechem.

Tiu to wytrawny biskup, Wasza Eminencjo, ostrzegł Jerry'ego Caw. Przez pięć lat z przykładną wprawą zawiadywał diecezją wielebnego Ko w San Francisco i najgorsze, co spece od narkotyków mogli mu przypisać, to umycie rolls-royce'a w dzień święta religijnego.

— Ej, panie Wessby, może Liese ukradła dla nich jednego! — wykrzyknął Chińczyk lekko amerykańskim akcentem. — Może nocami kradnie samoloty innym liniom!

— A fe, nieładnie, panie Tiu! — obruszyła się Lizzie.

— Jak to się panu podoba, koniarzu? Podoba?

Wesoła biesiada przy ich stoliku stała się na tyle hałaśliwa, że kilkoro gości odwróciło ku nim głowy. Jerry zobaczył to w lustrze, w którym podświadomie spodziewał się też ujrzeć samego Ko, jak wchodzi w wiklinowe drzwi i rusza w ich kierunku kołyszącym krokiem ludu łodzi. Lizzie parła dziko dalej:

— Och, to po prostu historia jak z bajki! Jednego dnia Ric nie ma co włożyć do garnka i jest nam wszystkim winien pieniądze, Charlieemu jego oszczędności, mnie pensję od taty... Praktycznie wszystkich nas zrujnował. Oczywiście on uważał, że nasze pieniądze w naturalny sposób należą do niego. A już następnego dnia, szast-prast, miał czyste konto, życie znowu stało się piękne. Pozostali piloci byli bez roboty, a Ric i Charlie latali jak...

— Muchy końskie — dopowiedział Jerry, na co Chińczyka opowiadała tak wielka wesołość, że zgiął się wpół ze śmiechu i chwycił go za ramię, by nie spaść z krzesła. Jerry miał nieprzyjemne uczucie, że jest obszukiwany.

— Ej, to świetne! Muchy końskie! To mi się podoba! Z pana dowcipny facet, koniarzu!

Właśnie w tej chwili, pod presją radosnych obelg Tiu, Jerry wykonał znakomite podejście. Craw powiedział później, że najlepsze. Przestał zupełnie zwracać uwagę na Chińczyka i uchwycił się drugiego imienia, które Lizzie nieopatrznie wymówiła.

— A przy okazji, co się stało ze starym Charliem? — zapytał, nie mając zielonego pojęcia, o kim mówi. — Gdzie się podział, gdy Ric wykonał swój numer ze zniknięciem? Nie mów mi, że spadł razem z nim?

Dziewczynę po raz kolejny poniosła fala gawędziarstwa, a Tiu z udawaną uciechą przysłuchiwał się temu, chichocząc i kiwając głową podczas jedzenia.

Przyszedł tu wywąchać pismo nosem, pomyślał Jerry. Gdyby chciał ją tylko przyhamować, nie grałby tak ostro. To ja mu spędzam sen z powiek, nie ona.

— Charlie jest niezniszczalny, po prostu nieśmiertelny — stwierdziła Lizzie i ponownie wybrała Tiu na swego słuchacza. — Chodzi o Charliego Marshalla, panie Tiu — wyjaśniła. — Powinien pan go poznać, to fantastyczny pół-Chińczyk, sama skóra i kości, i opium, ale za to znakomity pilot. Jego ojciec jest starym kuomintangowcem, uroczy zbój, żyje wśród Szanów. Jego matką była jakaś biedna dziewczyna z Korsyki... Pan wie, że Korsykanie tłumnie emigrowali do Indochin, ale naprawdę, to fantastyczny człowiek. Wie pan, dlaczego nazywa siebie Marshall? Ojciec nie chciał mu dać własnego nazwiska, więc co Charlie zrobił? Przybrał nazwisko, które oznacza najwyższy stopień w armii brytyjskiej. „Mój ojciec jest generałem, a ja jestem marszałkiem” — mawiał. Zmyślne, przyzna pan? No i o wiele lepiej brzmi niż admirał.

— Super — zgodził się Jerry. — Cudowne. Charlie to niezły numer.

— Liese też fantastyczna, no nie, panie Wessby? — zauważył kurtuazyjnie Tiu. Na żądanie Jerry'ego wypili — za to, że jest fantastyczna.

— Ej, a właściwie o co chodzi z tą Liese? — zapytał Jerry, odstawiając kieliszek. — Przecież masz na imię Lizzie. Dlaczego Liese? Panie Tiu, nie znam żadnej Liese. Nie łapię dowcipu.

Wówczas dziewczyna jawnie obróciła się ku Tiu po pomoc, ale on był całkowicie pochłonięty jedzeniem surowej ryby, którą zamówił kilka minut wcześniej.

— Koniarz zadaje cholernie wścibskie pytania — rzekł z pełnymi ustami.

— Nowe miasto, nowe życie, nowe imię — odparła w końcu Lizzie z mało przekonującym uśmiechem. — Chciałam zmiany, więc wybrałam sobie inne imię. Niektóre dziewczyny mają nową fryzurę, ja mam nowe imię.

— A masz do kompletu nowego faceta? — zapytał Jerry.

Spuściwszy oczy, pokręciła głową, a tymczasem Tiu znów ryknął śmiechem.

— Panie Tiu, co się stało z tym miastem? — zagadnął go Jerry, instynktownie osłaniając dziewczynę. — Faceci oślepli czy co? Cholera, ja bym przemierzył za nią kontynenty, a pan nie? Bez względu na imię, prawda?

— Ja tylko ruszam z Koulunu na hongkońską stronę, nie dalej! — odparł Tiu, niezmiernie rad ze swego dowcipu. — Albo nawet lepiej zostaną na Koulunie, zadzwonię po nią i powiem, żeby wpadła na godzinę!

Lizzie siedziała ze spuszczoną głową, Jerry zaś pomyślał, że byłoby całkiem miło, gdyby przy innej okazji miał dość czasu, by złamać Tiu ten gruby kark w kilku miejscach.

Niestety to nie figurowało u Crawa na liście sprawunków.

Pieniądze, powiedział Craw. Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, trąć żyłę złota i to już będzie tuiój wielki finał.

Zatem Jerry zaczął nagabywać dziewczynę o „Indocharter”. Kim byli, jak jej się u nich pracowało. Odpowiadała tak chętnie, że zaczynał się zastanawiać, czy aby nie lubiła owego życia na krawędzi bardziej, niż mu się zdawało.

— To była bajeczna przygoda, Jerry! Nawet sobie nie wyobrażasz, zapewniam cię — ćwierkała, ponownie z międzynarodowym akcentem w stylu Ricarda. — Samolot! Już samo to słowo brzmi aburdalnie! Tylko niech ci na myśl nie przyjdą wymuskane nowe maszyny, czarujące stewardesy, szampan, kawior czy coś takiego! Nic z tych rzeczy. To była ciężka praca. Pionierska robota i to właśnie mnie skusiło. Mogłabym spokojnie żyć z pensji od tatusia albo moich ciotek, dzięki Bogu byłam i jestem całkowicie niezależna, ale kto by się oparł takiemu wyzwaniu? Na początku mieliśmy tylko parę strasznych DC3, dosłownie związanych do kupy sznurkiem i sklejoną gumą do żucia. Musieliśmy nawet kupić na czarnym rynku certyfikat bezpieczeństwa, bo nikt nie chciał go nam wydać. No i potem woziliśmy dosłownie wszystko. Hondy, warzywa, świny — chłopaki opowiadali historię o świniach! Uwolniły się z klatek w samolocie, wyobrażasz to sobie, Jerry?! Wpadły do pierwszej klasy, a nawet do kabiny pilota!

— Jak pasażerowie — rzekł Tiu z pełnymi ustami. — Liese wozila świnie pierwszej klasy, no nie, panie Wessby?

— Na jakich trasach? — spytał Jerry, kiedy już minął im atak śmiechu.

— Widzi pan, jak on mnie przepytuje? Nie wiedziałam, że jestem tak ważna! Tak tajemnicza! Lataliśmy wszędzie, Jerry. Bangkok, Kambodża, Battambang, Phnom Penh, Kampong Czam, kiedy był otwarty. Wszędzie, w różne okropne miejsca.

— A kim byli klienci? Handlowcy, przewoźnicy? Kim byli stali klienci?

— Braliśmy każdego, kto się nawinał. Każdego, kto mógł zapłacić, oczywiście najlepiej z góry.

Tiu oderwał się na chwilę od swoich potraw, natchniony myślą, by uciąć sobie z Jerrym towarzyską pogawędkę.

— Pański ojciec to jakiś wielki lord, co, panie Wessby?

— Mniej więcej.

— Lordowie to bogaci faceci. Dlaczego musi pan pisać o koniach?

Puściwszy te słowa mimo uszu, Jerry rzucił na stół atutową kartę i czekał, aż sufitowe lustro zwali się im na głowy.

— Krążą pogłoski, że mieliście kontakty z radziecką ambasadą w Vientiane — powiedział lekko, prosto do Lizzie. — Kojarzysz coś, kobieto? Byli jacyś czerwoni pod twym łóżkiem, jeśli wolno spytać?

Tiu znów pochłonęło jedzenie: trzymał miseczkę tuż przy brodzie i ładował sobie do ust duże porcje ryżu. Tym razem Lizzie nie zerknęła na niego.

— Z Rosjanami? — spytała, zbita z tropu. — Dlaczego niby mie libyśmy wozić Rosjan? Przecież były stałe cotygodniowe loty „Aeroflotu” z Vientiane.

Przysięgłby — wtedy i później — że mówiła prawdę. Udawał jednak, że nie jest przekonany.

— Żadnych lotów? Choćby na krótkich trasach? — dopytywał się. — Może jakieś małe zlecenia, robota kurierska, coś takiego?

— Nigdy. Jak moglibyśmy? Poza tym Chińczycy nienawidzą Rosjan, prawda, panie Tiu?

— Rosjanie to źli ludzie, panie Wessby — przyznał Tiu. — Nawet źle pachną.

Tak jak ty, pomyślał Jerry, łowiąc nosem znajomą woń pierwszej żony.

— Dla mnie mój naczelny to jak dla innych ludzi ból brzucha — rzekł. — Jest przekonany, że pod łóżkiem Lizzie znajdziemy jakiegoś komunistę — ciągnął, śmiejąc się z niedorzeczności własnych słów. — „Sowiecki mocodawca Ricarda”. „Czy Ricardo latał dla Kremla?” i tak dalej, i tak dalej.

— Mocodawca? — powtórzyła Lizzie, szczerze zdumiona. — Ric nie dostał nigdy grosza od Rosjan. O czym ty mówisz?

— Ale „Indocharter” dostał, prawda? — upierał się przy swoim Jerry. — Chyba że moi przełożeni i pracodawcy kupili od kogoś bujdę, co — jak przypuszczam — jest bardzo prawdopodobne, jak zwykle zresztą. Podobno ci z „Indocharter” ciągnęli pieniądze z radzieckiej ambasady i w amerykańskiej walucie pompowali je do Hongkongu. Tak wygląda ta afera i Londyn przy niej ob staje.

— Oni oszaleli — rzekła Lizzie oburzona. — W życiu nie słyszałam większej bzdury!

Jerry'emu wydawało się, że nawet odczuła ulgę, iż rozmowa zesłała na nieprawdopodobieństwa. Ricardo żywy — tu kroczyła przez pole minowe. Ko jako jej kochanek — tę tajemnicę mógłby wyjawić sam Ko albo Tiu, ale nie ona. Natomiast historia o radzieckich pieniądzech została wyssana z palca. Na tyle, na ile śmiał, Jerry był pewien, że ona nic o nich nie wie i ma w tej sprawie czyste sumienie.

Zaproponował, że wróci z nią do Star Heights, ale odparła, że Tiu będzie jej towarzyszył, bo mieszka po drodze.

— Do zobaczenia wkrótce, panie Wessby — rzekł z przekonaniem Chińczyk.

— Czekam na to z niecierpliwością, kolego — odparł Jerry.

— Pan lepiej pisz dalej o koniach, co? W mojej opinii lepiej pan zarobi na tym, no nie? — W jego głosie nie było groźby, podobnie w geście, gdy poklepał przyjaźnie Jerry'ego po ramieniu. Spo sób, w jaki wypowiedział te słowa, świadczył, że nie oczekuje na wet, iż jego rada zostanie potraktowana jako coś więcej niż poufałość między znajomymi.

Nagle wszystko dobiegło końca. Lizzie pocałowała kierownika sali, ale nie Jerry'ego. Za to wysłała go po swój płaszcz, albowiem nie chciała zostać z nim sam na sam. Ledwo na niego spojrzała, gdy się żegnali.

Mieć do czynienia z piękną kobietą, Wasza Łaskawość, ostrzegł go Craw, to jak mieć do czynienia ze znanym przestępcą. Panią, o której względu masz się ubiegać, bez wątplenia można zaliczyć do jednej i drugiej kategorii.

Wracając do domu piechotą ulicami skąpanymi w poświacie księżycy — mimo długiej marszruty, natrętnych żebraków i oczu w drzwiach — Jerry poddał sentencję Crawa głębszej analizie. Co do słowa „przestępca” nie mógł się zdecydować: w najlepszym razie określenie to było zmiennym kryterium, ani zaś Cyrk, ani agenci tej szacownej instytucji nie istnieli po to, by podtrzymywać staroświeckie pojmowanie prawa. Craw powiedział mu, że w chudych okresach Ricardo kazał jej prznosić małe paczki przez granicę. Wielkie rzeczy.

Niech pogranicznicy się o to martwią. Znany przestępca to jednak zupełnie co innego. Na słowo „znany” Jerry przystałby bez oporu. Na wspomnienie zastraszonego spojrzenia, które Elizabeth Worthington posłała Tiu, ogarniała go pewność, że zna tę twarz, ten wyraz oczu i ów brak wolności, ukryte w takim czy innym przebraniu, od wielu lat życia na jawie.

Niektórzy mało wybredni krytycy George'a Smileya szeptali pokątnie, że na tym etapie powinien był w jakiś sposób wyczuć pismo nosem i wycofać Jerry'ego z terenu. W końcu go prowadził. Trzymał u siebie jego teczkę, otaczał go opieką i instruował. Gdyby Smiley był u szczytu formy, a nie u schyłku, mówili, wyczytałby sygnały ostrzegawcze między wierszami raportów Crawa i w porę wycofał Jerry'ego. Równie dobrze mogliby mieć pretensje, że kiepski z niego jasnowidz. Fakty, tak jak widział je Smiley, przedstawiały się następująco:

Nazajutrz po zbliżeniu się Jerry'ego do Lizzie Worth alias Worthington — w żargonie szpiegowskim określenie to nie zawiera konotacji seksualnych — Craw przez ponad trzy godziny instruował go w pikapie, w swoich raportach zaś poinformował, że — co zrozumiałe — znajduje się on w „poszczytowym przygnębieniu”. Jerry najwyraźniej obawiał się, donosił Craw, że Tiu albo nawet Ko mogą winić dziewczynę za jej „niebezpieczną wiedzę” i położyć na niej łapę. Kilkakrotnie wspominał o jawnej pogardzie Tiu dla dziewczyny i dla niego — prawdopodobnie dla wszystkich Europejczyków — i powtórzył jego zdanie o przejechaniu dla niej przez rzekę, ale nie dalej. Craw skontrolował, wskazując, że przecież Chińczyk mógł jej zamknąć usta w każdej chwili i że jej wiedza, o czym świadczą słowa samego Jerry'ego, nie sięga tak daleko jak żyła złota, nie wspominając już o Nelsonie.

Jerry, krótko mówiąc, wykazywał typowe dla agenta oznaki pooperacyjnego zmęczenia. Nieczyste sumienie do pary ze złymi przeczuciami, mimowolne poczucie wspólnoty z obiektem: wszystko tak łatwe do przewidzenia jak zdrętwienie nóg po długim biegu.

Podczas następnego kontaktu — przedłużonej rozmowy telefonicznej drugiego dnia, kiedy to Craw, by podnieść Jerry'ego na duchu, przekazał mu najszczerze gratulacje od Smileya, zanim jeszcze otrzymał je z Cyrku — Jerry, ogólnie rzecz biorąc, zdawał się być w lepszym nastroju, ale martwił się o swoją córkę Cat. Zapomniał o jej urodzinach — powiedział, że są nazajutrz — i chciał, by Cyrk wysłał jej japoński magnetofon i zbiór kaset jako zaczątek kolekcji. Depesza od Crawa do Smileya zawierała listę tytułów, prośbę

o natychmiastową reakcję ze strony administracyjnych i polecenie, by sekcja szewska — innymi słowy fałszerze Cyrku — sfabrykowała do kompletu kartkę z życzeniami napisanymi ręką Jerry'ego w brzmieniu: „Najdroższa Cat. Poprosiłem kolegę, by nadał to w Londynie. Uważaj na siebie, moja kochana. Twój teraz i na zawsze. Tata”. Smiley zatwierdził zakup, polecając administracyjnym potrącić koszty z podstawowego wynagrodzenia Jerry'ego. Osobiście przejrzał paczkę, zanim ją wysłano, i zaaprobował podrobioną kartkę. Sprawdził również coś, czego się on i Crawl domyślali: nie było urodzin Cat, ani w tym dniu ani w pobliskich. Jerry po prostu odczuwał silną potrzebę uczynienia gestu miłości: kolejna oznaka chwilowego wyczerpania. Smiley polecił Crawlowi trzymać się blisko niego, ale inicjatywa należała do Jerry'ego, a on odezwał się dopiero wieczorem dnia piątego, kiedy to w ciągu godziny wymusił pospieszne spotkanie. Odbłyło się ono w stałym miejscu ich nocnych schadzek — w czynnej całą dobę kafejce dla kierowców na Nowych Terytoriach — pod pozorem przypadkowego spotkania dwóch dawnych kolegów. List Crawa, opatrzony słowami „do rąk własnych Smileya”, przybył po jego depeszy. Do Cyrku dotarł za pośrednictwem kuriera od „kuzynów” dwa dni po wydarzeniu, które opisywał, a zatem dnia siódmego. Pisząc z przekonaniem, że Amerykanie zadadzą sobie trud przeczytania korespondencji mimo pieczęci i innych zabezpieczeń, Crawl usiał tekst mnóstwem niedomówień, pseudonimów i kryptonimów, którym niżej przywrócono prawdziwe znaczenie:

Westerby był wściekły. Chciał kategorycznie wiedzieć, co, do jasnej cholery, Sam Collins robi w Hongkongu i w jaki sposób jest zamieszany iv sprawę Ko. Jeszcze nigdy nie widziałem go tak poruszonego. Spytałem, skąd wie, że Collins jest w terenie. Odparł, że widział go tego zoieczora — dokładnie o jedenastej piętnaście — siedzącego w samochodzie zaparkowanym tuż pod Star Heights, pod latarnią, czytającego gazetę. Podobno z tego miejsca miał piękny widok na okna mieszkania Lizzie Worthington na ósmym piętrze, więc Westerby uznał, że prowadzi inwigilację. Westerby był piechotą i, jak twierdzi, omal nie podszedł do Sama i nie zagadał go otwarcie. Ale dyscyplina wzięła górę: ruszył dalej drugą stroną ulicy. Utrzymuje, że Collins gdy tylko go zobaczył, włączył silnik i szybko odjechał. Westerby ma numer rejestracyjny, oczywiście numer się zgadza. Collins potwierdził resztę.

Stosownie do naszych ustaleń na wypadek nieprzewidzianych okoliczności (twój sygnał z 15 lutego) odpowiedziałem Westerby'emu następująco:

1. Nawet jeśli to był Collins, Cyrk nie kontroluje jego poczynañ. Collins opuścił Cyrk na jesieni, okryty niesławą, był znanym hazardzistą, wolnym strzelcem, kombinatorem itd., a Wschód jest jego naturalnym terenem polowań. Powiedziałem mu, że jest skończonym idiotą, jeśli myśli, że Collins jest nadal w drużynie albo, co gorsza, odgrywa jakąś rolę w sprawie Ko.

2. *Collins ma pospolitą twarz, odparłem: regularne rysy, wąsy itd., wygląda jak połowa alfonsów w Londynie. Wyraziłem wątpliwość, czy stojąc po drugiej stronie ulicy piętnaście po jedenastej wieczorem Westerby mógł być pewien, kogo widzi. Westerby odpowiedział, że miał dobry widok i że Collins czytał serwis o gonitwach.*

3. *Zapytałem Westerby'ego, co on tam robił, dlaczego pałętał się o jedenastej wieczorem pod Star Heights. Odpowiedź: wracał z popijawy z bandą z UPI i polował na taksówkę. Wtedy udałem wściekłość i odparłem, że ktoś, kto poszedł pić z ochlapusami z UPI, nie dostrzeże nawet słonia z odległości trzech kroków, a co dopiero Sama Collinsa z dwudziestu pięciu i to w środku nocy. Na tym koniec, kropka — mam nadzieję.*

Że Smiley był poważnie zaniepokojony tym incydentem, rozumie się samo przez się. Jedynie czworo ludzi wiedziało o ekspedycji Collinsa: Smiley, Connie Sachs, Craw i sam zainteresowany. Fakt, że Jerry natknął się na niego, dodawał grozy operacji, w której i tak już roilo się od imponderabiliów. Ale Craw miał łeb na karku i święcie wierzył, że rozproszył obawy Jerry'ego. A Crawowi należało ufać, bo był na miejscu. Być może, gdyby świat został urządzony doskonale, Craw zadałby sobie trud sprawdzenia, czy rzeczywiście owego wieczora odbyła się w okolicy popijawa braci z UPI, a dowiedziawszy się, że nie, prawdopodobnie poleciłby Jerry'emu ponownie wyjaśnić swą obecność pod Star Heights, ale wówczas Jerry wpadłby w rozdrażnienie i sprzedał mu kolejną bajeczkę, której nie dałoby się sprawdzić — na przykład, że spędził wieczór z kobietą — po czym kazałby Crawowi pilnować własnego nosa. Rezultat — jeszcze więcej napsutej krwi i tak samo niejednoznaczna sytuacja.

Niektórych korciłoby, choć byłoby to nierozsądne, oczekiwać od Smileya, który miał przecież tyle innych spraw na głowie — nieustające poszukiwania Nelsona, codzienne posiedzenia z „kuzynami”, polityczne targi na korytarzach Whitehallu — że dostrzeże w tej sprawie podobieństwo do własnych samotnych doświadczeń: a mianowicie, że Jerry, nie mając tego wieczora ochoty ani na sen, ani na towarzystwo, błąkał się nocą po ulicach, aż stanął przed budynkiem, w którym mieszkała Lizzie, i tkwił tam, podobnie jak Smiley podczas swoich nocnych wędrówek pod domem Annę, nie wiedząc dokładnie, czego chce poza dostrzeżeniem jej na mgnienie oka.

Rozwój wypadków, którymi żył Smiley, był zbyt gwałtowny, by pozwolić mu na dokonywanie tak wydumanych porównań. Tak oto nie tylko dzień ósmy, gdy wreszcie nastał, postawił Cyrk w gotowości bojowej, ale również ów wybaczalny przejaw próżności u samotnych ludzi jak świat długi i szeroki, którym jest przeświadczenie, że nie mają sobie podobnych.

DZIEŃ ÓSMY

Wesoły nastrój, który zapanował na piątym piętrze, stanowił sporą ulgę po przygnębieniu, w którym toczyło się ostatnie zebranie. Guillam nazwał ten okres miodowym miesiącem dębaczy, a ów dzień — punktem szczytowym, supernową spełnienia. W chronologii, w którą historycy ubrali opisywane wydarzenia, działo się to osiem dni po tym, jak Jerry, Lizzie i Tiu — ku zachwytowi strategów Cyrku — odbyli długą i szczerą wymianę poglądów na temat Tyciego Ricarda i radzieckiej żyły złota. Guillam zabrał ze sobą Molly. Dębacze — „bol-szoje” i „żółtki” — owe tajemnicze zwierzęta nocy, które dotąd biegały we wszystkich kierunkach, nowymi szlakami, starymi, przecierając na powrót zarosłe, teraz wreszcie, cała dwunastka, ściśnięci w sali tronowej pod portretem Karli za nierozłączną parą przelożonych, Connie Sachs alias Matką Rosją i zamglonym di Salisem alias Doktorem, zasiedli posłusznie półkolem wokół szefa — George'a Smileya. A zatem nastąpiła sesja plenarna, a dla ludzi przywykłych do wielkich słów — historyczna chwila. Molly siedzi sztywno u boku Guillauma, z włosami zaczesanymi na kark, by ukryć ślady pogryzienia.

Przeważnie mówi di Salis. Podwładni uważają, że tak jest stosownie. W końcu Nelson Ko to wyłącznie jego działka: chińszczyzna aż po mankiety rękawów mundurka. Wziąwszy się w karby — mokre stojące włosy, kolana, stopy i rozkapryszone palce choć ten raz pozostają nieruchome — di Salis mówi cicho i niemal niechętnie, dzięki czemu nadchodzący punkt kulminacyjny staje się bardziej frapujący. Ów punkt kulminacyjny ma nawet swoje miano — nazywa się Ko Szeng-hsiu alias Nelson Ko, znany później jako Jao Kai-szeng i pod tym nazwiskiem pohańbiony przez Rewolucję Kulturalną.

— Ale wśród tych ścian, panowie — ciągnie Doktor, który zapomina niekiedy o istnieniu kobiet — będziemy go nadal nazywać Nelsonem.

Urodzony — według oficjalnych źródeł, mówi di Salis — w 1928 roku w biednej robotniczej rodzinie w Szantou, skąd wkrótce przenosi się do Szanghaju. Żadnego słowa, ani w oficjalnych, ani nieoficjalnych zapiskach, o Misji Żywota Pana Naszego prowadzonej przez Hibberta, ale za to smutna wzmianka o „wyzysku zaznanym w dzieciństwie z rąk zachodnich imperialistów”, którzy zatruli jego umysł religią. Kiedy Japończycy dotarli do Szanghaju, Nelson dołączył do pochodu uchodźców do Czungcingu, wszystko tak, jak opowiedział

pan Hibbert. Dalej według oficjalnych źródeł, rzecze Doktor, Nelson od wczesnych lat w sekrecie oddawał się brzemiennej w skutki lekturze tekstów rewolucyjnych oraz brał czynny udział w działalności podziemnych grup komunistycznych mimo prześladowań ohydnej bandy Czang Kai-szeka. Podczas wędrówki z uchodźcami „wielokrotnie chciał umknąć do Mao, ale powstrzymał się ze względu na swój nadzwyczaj młody wiek”. Po powrocie do Szanghaju, już jako student, stał się czołowym przedstawicielem nielegalnego ruchu komunistycznego i wykonywał zadania specjalne na terenie stoczni Kiangnan, by powstrzymać zgubny wpływ faszystowskich elementów z Kuomintangu. Na Wyższej Szkole Komunikacji wzywał publicznie do wspólnego frontu studentów i chłopów. W 1951 roku, jako absolwent ze wzorowym świadectwem...

Di Salis przerywa i w nagłym przypiływie energii wyrzuca w górę ramię, by przygłodzić włosy na potylicy.

— Szefie, to typowy, obłudny portret bohaterskiego studenta, który dostrzega światło prawdy przed historycznym przełomem — stwierdza śpiewnie.

— A Leningrad? — pyta Smiley zza biurka, co i raz coś zapisując.

— Był tam od pięćdziesiątego trzeciego do pięćdziesiątego szóstego.

— Tak, Connie?

Connie znów jest na wózku inwalidzkim. Wini za to po równo mroźną zimę i ropuchę Karłę.

— Mamy tu, kochanieńki — wtrąca — niejakiego brata Bretlewa, Iwana Iwanowicza Bretlewa. Akademik z leningradzkiego Instytutu Budownictwa Morskiego, znawca Chin, bruździł w Szanghaju na rzecz centrali. Weteran rewolucji, późniejszy łowca talentów ze stajni Karli, przemierzający zagraniczne ośrodki akademickie w poszukiwaniu odpowiednich chłopców i dziewcząt.

Dla „dłubaczy” chińszczyzny — to jest dla „żółtków” — podana informacja jest nowa i frapująca, wywołuje więc małe zamieszanie: podekscytowane szuranie krzesłami i szelest papierów, aż wreszcie, na skinienie Smileya, di Salis zapomina o swej głowie i powraca do opowieści:

— W 1957 znalazł się znów w Szanghaju i został kierownikiem warsztatu kolejowego...

— Zaraz, "przecież pobyt w Leningradzie wypadł między pięćdziesiątym trzecim a pięćdziesiątym szóstym, tak? — przerywa mu Smiley.

— Zgadza się.

— W takim razie gdzie się zapodział jeden rok.

Tym razem ani szurania krzesłami, ani szelestów.

— Oficjalnym wytłumaczeniem jest podróż po sowieckich stoczniach — wyjaśnia di Salis z uśmiechem posłanym Connie i tajemniczym, znaczącym skretem szyi.

— Dziękuję — powiada Smiley i ponownie coś zapisuje. — Pięćdziesiąty siódmy — powtarza. — Czy to było przed czy po rozłamie chińsko-radzieckim?

— Przed. Rozłam zaczął się na dobre w pięćdziesiątym dziewiątym.

Następnie Smiley zadaje pytanie, czy natrafiono gdzieś na wzmiankę o bracie Nelsona, czy też Drake tak samo nie istnieje w Chinach Nelsona, jak Nelson w Chinach Drake'a.

— W jednym z wczesnych życiorysów jest o nim słowo, ale bez nazwiska. W późniejszych mówi się, że brat Nelsona zginął podczas przejścia władzy przez komunistów w czterdziestym dziewiątym.

Wówczas Smiley zdobywa się na rzadki u niego dowcip, który wywołuje gromki śmiech i ulgę:

— Ta sprawa obfituje w ludzi, którzy udają, że zginęli — żali się. — Z wielką chęcią natknąłbym się w końcu na prawdziwego trupa.

Zaledwie kilka godzin później na wspomnienie owego *bon mot* niektórym przebiegną ciarki po plecach.

— Mamy również informację, że Nelson był wzorowym studentem w Leningradzie ■— kontynuuje di Salis. — Przynajmniej w oczach Rosjan. Wrócił z najlepszymi referencjami.

Siedząca na żelaznym wózku Connie pozwala sobie na kolejny wtęret. Przyprowadziła ze sobą Trota, owego wynędzniałego brązowego kundelka. Zwierzak leży nieskładnie na jej olbrzymich kolanach, śmierdzi i wzdycha od czasu do czasu, ale nawet Guillam, który nienawidzi psów, nie ma na tyle odwagi, by wykluczyć go z zebrania.

— A jakże by inaczej?! — wykrzykuje Connie. — Rosjanie na pewno wychwalali Nelsona pod niebiosa, zwłaszcza jeśli brat Iwan Iwanowicz Bretlew skaptował go na uniwersytecie, a milusińscy Karli po cichu ugościli w jakimś ośrodku szkolenia! Taki bystry mały krecik jak Nelson, niechże ma z górki, gdy wróci do ojczyzny! Tyle że póź niej owe referencje nie bardzo mu się przydały, co, Doktorze? Wręcz przeciwnie. Mocno zaszkodziły, gdy bestialska Rewolucja Kulturalna chwyciła go za kark! Hojnie okazywane uwielbienie sowieckich imperialistów nie było wówczas w modzie.

Niewiele wiadomo o upadku Nelsona, stwierdza di Salis, przemawiając nieco głośniejszą w reakcji na wybuch Connie.

— Należy przypuszczać, że dokonało się to w gwałtowny sposób i, jak wskazała już Connie, ci, którzy cieszyli się dużym poważaniem Rosjan, spadali z najwyższego konia. — Zerka na kartkę papieru, którą trzyma krzywo tuż przed krostowatą twarzą. — Nie będę

podawał wszystkich jego funkcji przed Rewolucją, szefie, albowiem i tak utracił je co do jednej. Nie ma jednak wątpliwości, że zarządzał większością stoczni w Kiangnanie i w rezultacie miał wpływ na losy dużej części chińskiej floty.

— Rozumiem — rzecze cicho Smiley. Notując, wydyma usta, jakby wyrażał dezaprobatę, a brwi ma wygięte w wysokie łuki.

— Stanowisko zajmowane w Kiangnanie pociągało za sobą członkostwo w wielu komitetach budownictwa morskiego, a także komunikacji i planowania gospodarczego. Około sześćdziesiątego trzeciego jego nazwisko zaczyna się pojawiać regularnie u „kuzynów” w ich raportach szpiegowskich na temat Pekinu.

— Niezła robota, Karla — mówi cicho Guillam ze swego miejsca u boku Smileya, a ten, nadal coś pisząc, najzwyczajniej w świecie kwituje pochwałą wyraźnym: „Tak”.

— Jedyny w swoim rodzaju, Peter! — wrzeszczy Connie, tracąc nagle panowanie nad sobą. — Jedyny ze wszystkich tych obmierzłych ropuch, który wiedział, co się szykuje. Głos wołającego na puszczy, prawda, Trot? „Uważajcie na żółtków”, powiedział im. „Pewnego dnia zrobią zwrot i pokąsają rękę, która ich karmi, to jasne jak słońce. A kiedy to się stanie, będziemy mieć osiemset milionów nowych wrogów włączających tylnymi drzwiami. A nasze działa będą wycelowane w przeciwną stronę. Zapamiętajcie moje słowa”. Tak powiedział — powtarza, w podekscytowaniu ciągnąc kundla za ucho. — „Zapiszcie to w dokumencie”. „Zagrożenie ze strony powstającego socjalistycznego państwa”. Puścił to w obieg wśród wszystkich bydlaków z kolegium moskiewskiej centrali. Ułożył to sobie słowo po słowie w tej swojej sprytniej łepetynie podczas odsiadki wyroku na Syberii za wybryki Józia Stalina, niech mu ziemia lekką będzie. „Szpiegujcie swych przyjaciół dzisiaj, bo jutro z pewnością staną się waszymi wrogami”, mawiał. Najstarsza maksyma tego fachu, jego ulubiona. Kiedy wrócił na stanowisko, przybił to zdanie na drzwiach w swoim biurze na placu Dzierżyńskiego. Nikt nie zwracał najmniejszej uwagi. Najmniejszej. Ziarno padło na jałową ziemię. Pięć lat później okazało się, że miał rację, a kolegium mu za to wcale nie podziękowało, to wam powiem! Coś za często miał rację jak na ich gust, co, Trot?! Ty wiesz, o czym stara kobieta plecie, co? — To rzekłszy, Connie podnosi psa odrobinę za przednie łapy, po czym opuszcza go z powrotem na kolana.

Wszyscy po cichu uznają, że nie może znieść, iż stary Doktor jest w centrum uwagi. Wprawdzie dostrzega słusność przypadłego mu zaszczytu, ale jej kobieca natura nie potrafi się z tym pogodzić.

— A więc dobrze, Nelson przeszedł czystkę — mówi cicho Smiley, zaprowadzając spokój. — Wróćmy zatem do roku sześćdziesią-

tego siódmego, dobrze, Doktorze? — Znowu podpira dłonią podbródek.

W półmroku Karla patrzy ciężko z portretu, gdy di Salis na nowo podejmuje opowieść:

— No cóż, szefie, typowa ponura historia, jak się zdaje. Wyrosły mu ośle uszy. Opluwano go na ulicy. Żona i dzieci kopane i bite. Obozy indoktrynacyjne, wychowanie przez pracę „na skalę współmierną do zbrodni”. Zmuszony do przyjęcia chłopskich wartości. Według jednego z raportów został wysłany do komuny wiejskiej, gdzie poddano go próbie. A kiedy wrócił na kolanach do Szanghaju, kazali mu zacząć od samego dna, wbijać sworznie w szyny czy coś takiego. Jeśli chodzi o Rosjan, bo w tym rzecz — dodaje szybko di Salis, by Connie nie zdążyła mu znowu przerwać — to dla nich jego wartość spadła do zera. Żadnych dojsć, żadnej władzy ani przyjaciół.

— Ile czasu zabrał mu ponowny awans? — zapytuje Smiley z charakterystycznym opuszczeniem brwi.

— Mniej więcej po trzech latach zaczął na nowo funkcjonować w aparacie. W końcu miał to, co Chinom było najbardziej potrzebne: rozum, wiedzę techniczną, doświadczenie. Ale oficjalna rehabilitacja nastąpiła dopiero na początku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego trzeciego.

Podczas gdy di Salis relacjonuje poszczególne fazy rytualnego powrotu Nelsona do władzy, Smiley przysuwa sobie leżącą na biurku teczkę i sprawdza jakieś daty, które z nie wyjaśnionego powodu stały się nagle dla niego istotne.

— Wpłaty na rzecz Drake'a zaczęły się w połowie siedemdziesiątego drugiego — mruczy. — Sumy skoczyły w górę w połowie siedemdziesiątego trzeciego.

— Wraz z dojściem Nelsona do władzy — szepcze Connie niczym sufler zza kulis. — Im więcej wie, tym więcej mówi, a im więcej mówi, tym więcej dostaje. Karla płaci jedynie za dobry towar, a i wtedy się krzywi.

— W siedemdziesiątym trzecim — informuje di Salis — oczyściwszy się ze wszystkich win, Nelson został włączony do miejskiego komitetu rewolucyjnego w Szanghaju i otrzymał odpowiedzialne stanowisko w jakiejś morskiej jednostce Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Sześć miesięcy później...

— Data? — przerywa Smiley.

— Lipiec siedemdziesiątego trzeciego.

— Zatem kiedy Nelson został oficjalnie zrehabilitowany?

— Procedura rozpoczęła się w styczniu siedemdziesiątego trzeciego.

— Dziękuję.

Sześć miesięcy później, kontynuuje di Salis, Nelson działał w niejasnym charakterze w Komitecie centralnym chińskiej partii komunistycznej.

— Jasny gwint — rzecze cicho Guillam, a Molly Meakin po kryjomu ściska jego dłoń.

— A według raportu „kuzynów” — mówi di Salis — jak zwykle nie datowanego, ale poświadczonego jak należy, Nelson był nieformalnym doradcą Komitetu Zaopatrzenia i Artylerii Ministerstwa Obrony.

Zamiast okraszać ową rewelację typową dla niego gestykulacją, di Salisowi ponownie udaje się utrzymać ciało w ryzach, dzięki czemu słowa wywierają na zebranych większe wrażenie.

— Szeffie, w kategoriach posiadanych kwalifikacji oraz z operacyjnego punktu widzenia my z żółtego skrzydła tej instytucji uznalibyśmy owo nieformalne doradztwo za jedną z kluczowych funkcji w całej chińskiej administracji. Jeśli mielibyśmy sobie wybrać agenta na dowolnym stanowisku, prawdopodobnie byłby to Nelson.

— Powody? — zapytuje Smiley, wciąż dzieląc uwagę między di Salisa, notowanie a dokumenty z datami.

— Flota Chin wciąż jest w epoce kamienia łupanego. Wprawdzie interesujemy się chińską myślą techniczną, ale nasze prawdziwe priorytety, bez wątpienia podobnie jak Moskwy, mają przede wszystkim charakter strategiczny i polityczny. Poza tym Nelson mógłby nam dostarczyć informacji o całkowitej wydajności chińskich stocznii. A oprócz tego mógłby nam opowiedzieć o flocie łodzi podwodnych, która od lat spędza „kuzynom” sen z powiek. I nam też, jeśli mogą być szczerzy, co noc.

— Pomyślcie więc, co to dopiero oznacza dla Moskwy — wtrąca stary dłubacz.

— Chińczycy przypuszczalnie opracowują własną wersję ra dzieckich łodzi podwodnych klasy G-2 — wyjaśnia di Salis. — Nie wiele o tym wiadomo. Czy mają własny projekt? Czy łodzie są wypo sażone w dwie czy cztery wyrzutnie? Uzbrojone w pociski woda-po- wietrze czy woda-woda? Jakie są finansowe koszty budowy? Mówi się o klasie, która nazywa się Han. W siedemdziesiątym pierwszym jedna z tych łodzi rzekomo zatонуła, ale nigdy nie było potwierdze nia. W sześćdziesiątym czwartym wybudowali podobno jedną w Da- irenie, uzbrojoną w pociski balistyczne, ale oficjalnie nikt jej nie wi dział. I tak dalej, i tak dalej — stwierdza di Salis z dezaprobatą, ponie waż podobnie jak większość pracowników Cyrku ma głęboko zako rzoną awersję do kwestii wojskowych i wolałby zajmować się bar dziej finyzyjnymi sprawami. — Za gruntowne i szybko dostarczone

szczegóły „kuzyni” zapłaciliby fortunę. Za kilka lat Langley pewnie wyda setki milionów dolarów na badania, przeloty, satelity, podsłuchy i Bóg wie co jeszcze, a mimo to nie dowiedzą się pewnie nawet połowy tego co z jednego dobrego zdjęcia. A więc jeśli Nelson... — celowo zawiesza zdanie, które dzięki temu zapada w świadomość słuchaczy głębiej, niż gdyby zostało wypowiedziane. Connie szepcze: — Dobra robota, Doktorze — ale poza tym przez dłuższą chwilę nikt nic nie mówi. Wszystkich wstrzymuje widok notującego Smileya i jego ciągle sprawdzanie dat.

— Dobry niczym Haydon — mruczy Guillam. — Lepszy. Chiny to przecież ostatnie rubieże. Najtwardszy orzech do zgryzienia.

Smiley odchyła się do tyłu w fotelu, najwyraźniej skończywszy obliczenia.

— Ricardo wyruszył kilka miesięcy po oficjalnej rehabilitacji Nelsona — rzece.

Nikt nie uważa za stosowne kwestionować jego stwierdzenia.

— Tiu jedzie do Szanghaju, a półtora miesiąca później Ricardo...

Z oddali Guillama dobiega terkot telefonu „kuzynów”, połączonego z jego pokojem, i nagle — jak zarzekął się później, choć nie wiadomo, czy to prawda czy złuda perspektywy czasu — z jego podświadomości, niczym dżin z lampy, wyłania się wstrętne widmo Sama Collinsa, po czym znów nachodzą go wyrzuty sumienia, jak mógł okazać tak wielką bezmyślność, by pozwolić mu zanieść Martellowi ów ważny list.

— Nelson ma jeszcze jedną strzałę w kołczanie, szefie — odzywa się ponownie di Salis, gdy wszyscy już myślą, że skończył. — Waham się, czy omówić to szeroko, ale w obecnych okolicznościach nie mam odwagi zupełnie pominąć tej kwestii. Chodzi o pewien raport Niemców, sprzed kilku tygodni. Według ich źródeł Nelson jest od niedawna członkiem tego, co z braku informacji my nazwaliśmy Pekijskim Klubem Herbacyanym, a więc zespołu w stadium zarodkowym, który — jak uważamy — został powołany do koordynowania chińskiej działalności wywiadowczej. Wszedł do niego najpierw jako doradca do spraw elektronicznej inwigilacji, ale wkrótce został pełnoprawnym członkiem. Ów zespół funkcjonuje — tak sobie przynajmniej wyobrażamy — podobnie jak nasza Grupa Kierownicza. Ale muszę podkreślić, że jest to strzał na chybił trafił. Nie wiemy absolutnie nic o chińskich służbach, podobnie jak „kuzyni”.

Smileyowi po raz pierwszy brak słów. Patrzy na di Salisa, otwiera usta, zamyka, następnie ściąga z twarzy okulary i zaczyna je czyścić.

— Strzał na chybił trafił. A motyw Nelsona? — pyta, wciąż nie świadomy upartego terkotu telefonu. — Doktorze, jak ty to widzisz?

Di Salis wzrusza potężnie ramionami, aż jego tłuste włosy rozsypują się niczym sznurki postawionej na sztorc szczotki z pakuł.

— Wiem tyle co nic — odpowiada zły jak osa. — Kto w dzisiejszych czasach wierzy w motywy? Zupełnie naturalne by było, gdyby złapał się na ich zagrywki werbunkowe w Leningradzie, zakładając oczywiście, że zostały odpowiednio obmyślane. Nie może być nawet mowy o nielojalności. Przynajmniej nie w sensie doktrynalnym. Rosja była starszym bratem Chin. Nelsonowi należało jedynie powiedzieć, że został wybrany na jednego z członków awangardy rewolucyjnej. Nie widzę w tym żadnych nadzwyczajnych majstersztyków.

Za drzwiami nadal terkocze zielony telefon, co jest zastanawiające. Martello zwykle nie przejawia tak wielkiego uporu. Jedyne Smi-leyowi i Guillamowi wolno podnieść słuchawkę, ale pierwszy nie słyszy sygnału, a drugi za żadne skarby nie chce wyjść w chwili, gdy di Salis wypowiada się szczerze na temat powodów, dla których Nelson został kretem Karli.

— Kiedy nastąpiła Rewolucja Kulturalna, wielu ludzi z pozycją Nelsona sądziło, że Mao postradał zmysły — tłumaczy di Salis, wciąż niechętny spekulacjom. — Nawet kilku z jego generałów tak myślało. Poniżenie, które Nelson musiał znieść, pozornie go złamało, ale w głębi duszy być może pozostał nieugięty, a może nawet — kto wie? — pała chęcią zemsty.

— Wypłaty dla Drake'a zaczęły się w czasie, gdy rehabilitacji Nelsona daleko było do końca — oponuje delikatnie Smiley. — Jak to dopasować, Doktorze?

Tego jest już za wiele dla Connie. Nie może usiedzieć w spokoju.

— Och, George, jak możesz być tak naiwny? Przecież potrafisz znaleźć związek, kochanieńki, oczywiście, że potrafisz! Biedni Chińczycy nie mogą sobie pozwolić na to, by czołowego technologa trzymać w szafie przez połowę życia! Karla przewidział powrót Nelsona, prawda, Doktorze? Wyczuł, w którą stronę zawieje wiatr i postąpił odpowiednio. Trzymał biedaka na postronku, a kiedy ten znowu wyszedł z mroku, kazał swoim ludziom zbliżyć się do niego: „Pamiętasz nas? To my, twoi przyjaciele! My cię nie zawiedzimy! My nie będziemy na ciebie pluć na ulicy! No, bierzmy się do roboty!” Sam byś podobnie to rozegrał, przecież wiesz!

— A pieniądze? — zapytuje Smiley. — Owo pół miliona?

— Kij i marchewka! Delikatna groźba szantażu i ogromne wy nagrodzenie. Nelson jest w kropce.

Niemniej to do di Salisa, a nie popędliwej Connie, należy ostatnie słowo:

— Jest Chińczykiem. Myśli pragmatycznie. No i jest bratem Drake'a. Nie może wyjechać z Chin...

— Jeszcze nie — wtrąca cicho Smiley, zerkając ponownie na teczkę.

— ... i dobrze wie, jaką ma wartość rynkową dla radzieckich służb. „Polityką się nie najesz, do łóżka z nią też nie pójdziesz”, lubił mawiać Drake, w takim razie trzeba na niej zarobić pieniądze...

— Z myślą o dniu, kiedy wyjedzie się z Chin i będzie je można wydać — konkluduje Smiley i w chwili gdy Guillam wychodzi na palcach z pokoju, zamyka teczkę, po czym bierze do ręki kartkę z notatkami. — Drake już raz próbował go wydostać z kraju, ale mu się nie udało, więc Nelson będzie brał radzieckie pieniądze aż do... Aż do kiedy? Do chwili, gdy być może Drake'owi lepiej się powiedzie.

W oddali nareszcie cichnie natarczywy terkot telefonu.

— Nelson jest kretem Karli — stwierdza w końcu Smiley, do siedzący do siebie. — Trzyma w zanadrzu bezcenne informacje o Chinach. Już to by wystarczyło. Wykonuje rozkazy Karli. Same rozkazy mają dla nas nieoszacowaną wartość. Dzięki nim poznalibyśmy do kładnie, co Rosjanie wiedzą o wrogich im Chinach, a nawet jakie mają zamierzenia wobec Nelsona. Mielibyśmy w bród śladów po gumce. Zgadza się, Peter?

W chwili przekazania hiobowej wieści nie ma przejścia ze stanu do stanu. W jednej sekundzie idea istnieje, w następnej leży już w gruzach, a dla dotkniętych tragedią świat zmienia się nieodwracalnie. By złagodzić wstrząs, Guillam użył oficjalnego formularza Cyrku i słowa pisanego. Zanotował wiadomość w formie sygnału z nadzieją, że widok dokumentu przygotowuje Smileya. Podeszłszy cicho do biurka, położył formularz na pokrytym szkłem blacie i czekał.

— Aha, chodzi jeszcze o tego drugiego pilota, Charliego Marshalla — odezwał się Smiley do zebranych, wciąż nieświadom niczego. — Czy „kuzyni” już go namierzili, Molly?

— Jego życiorys jest bardzo podobny do życiorysu Ricarda — odparła Molly Meakin, zerkając zaintrygowana na Guillama. Stojąc u boku Smileya, zrobił się nagle szary, stary i schorowany. — Podobnie jak Ricardo, latał dla „kuzynów” w wojnie laotańskiej. Byli rówieśnikami w tajnej szkole lotnictwa CIA w Oklahomie. Pozostawili go samego sobie, gdy wojna się skończyła, i odtąd nie mają o nim informacji. Ludzie z Urzędu do Zwalczenia Narkotyków twierdzą, że sznu-glował opium, ale oni mówią tak o wszystkich pilotach „kuzynów”.

— Chyba powinieneś to przeczytać — rzekł Guillam do Smileya, wskazując stanowczo formularz.

— Kolejnym krokiem Westerby'ego musi być Marshall. Nie wolno nam zmniejszać parcia — powiedział Smiley.

Spostrzegłszy wreszcie dokument, ujął go krytycznie w dłoń i przesunął w lewo, gdzie było najlepsze światło. Czytał, unioślszy brwi i spuściwszy powieki. Jak zwykle przeczytał dwa razy. Wyraz jego twarzy nie zmienił się, ale ci, którzy siedzieli najbliżej, utrzymywali, że uciekło z niej życie.

— Dziękuję, Peter — powiedział cicho, kładąc formularz z powrotem na biurku. — I wam wszystkim też dziękuję. Connie i Doktor, czy moglibyście zostać na chwilę? Spodziewam się, że pozostali zdążą się jeszcze dobrze wyspać.

Wśród młodszych wesółków owa nadzieja została skwitowana pogodnym śmiechem, albowiem było już dobrze po północy.

Dziewczyna z wyższego piętra spała — schludna brązowa lalka leżąca wzdłuż nogi Jerry'ego, pulchna i nieskalana w pomarańczowym świetle nasiąkłego deszczem nocnego Hongkongu. Chrapała niczym smok, a Jerry patrzył przez okno myśląc o Lizzie Worthington. Przypomniały mu się blizny na jej podbródku. Był ciekaw, kto je zrobił. Pomyślał o Tiu, jej dozorczy, i tyle razy powtórzył w głowie słowo „koniarz”, że rozeźliło go do żywego. Zastanawiał się, jak długo musi jeszcze czekać i czy na samym końcu będzie miał szansę z nią spróbować, a o to jedynie prosił: o szansę. Dziewczyna się poruszyła, ale tylko po to, by podrapać się w zadek. Zza ściany Jerry dosłyszał rytualne pobrzękiwanie — to gracze w mah-jong myli kostki przed partią.

Początkowo dziewczyna nie była szczególnie ujęta awansami Jerry'ego — potokami namiętnych słów na kartkach wciskanych od kilku dni o różnych porach do jej skrzynki pocztowej — ale musiała zapłacić rachunek za gaz. Oficjalnie była własnością pewnego biznesmena, lecz jego wizyty stawały się coraz radsze, a ostatnio w ogóle ustały, stąd nie mogła sobie pozwolić ani na wróżbitę, ani na mah--jong, ani na stylową garderobę, w której zasmakowała w dniu, gdy dostała się do filmów o kung-fu. Zatem uległa, ale jedynie na zasadzie jasnej umowy finansowej. Obawiała się przede wszystkim, że inni dowiedzą się, iż przestaje z ohydny *kwailo*, i z tego powodu, by zejść piętro niżej, wkładała na siebie ubranie do wyjścia: brązowy płaszcz przeciwdeszczowy z mosiężnymi klamrami na pagonach, żółte plastikowe buty, a do tego plastikowa parasolka w czerwone róże. Teraz akcesoria leżały porozrzucane po podłodze niczym zbroja na polu bitewnym, a ona spała szlachetnym snem utrudzonego rycerza. Tak więc kiedy zadzwonił telefon, jej jedyną reakcją było sennie przekleństwo po kantońsku.

Jerry podniósł słuchawkę z idiotyczną nadzieją, że to może Lizzie. Nie.

— Rusz tu szybko dupę. Obiecuję, że Stubbsio cię za to pokocha — rzekł Lukę jednym tchem. — Jazda. Robię ci największą przysługę w naszej karierze.

— A gdzie jest to „tu”? — zapytał Jerry.

— Na parterze, małpisonie.

Jerry zrzucił z siebie dziewczynę, a ona i wtedy się nie przebudziła.

Ulice migotały niespodziewanym deszczem, a księżyc otaczała gruba aureola. Lukę kierował, jakby jechali jeepem, na wysokim biegu, gwałtownie szarpiąc dźwignią na zakrętach. Wnętrze samochodu wypełniały opary whisky.

— Powiedz, co masz, na miłość boską — naciskał Jerry. — Co się dzieje?

— Jest mięcho. A teraz się zamknij.

— Nie chcę miecha. Nie jestem głodny.

— To akurat będziesz chciał. Oj, człowieku, mówię ci, że będziesz.

Jechali w stronę tunelu portowego. Z bocznej ulicy wyskoczyło stado motocykli bez świateł i Lukę musiał odbić na środkowy pas, by je wyminąć. Wypatruj ogromnego placu budowy, powiedział. Wtem wyprzedził ich samochód policyjny na sygnale. Sądząc, że są ścigani, Lukę odkręcił szybę w oknie.

— Jesteśmy z prasy, idioci! — wrzasnął. — Jesteśmy ważniakami, słyszycie?!

W mijającym ich radiowozie dostrzegli przelotnie chińskiego sierżanta i kierowcę oraz dostojnie wyglądającego Europejczyka, który siedział z tyłu niczym sędzia. W oddali, po prawej stronie arterii, wyskoczył ku nim obiecany plac budowy — klatka jasnych dźwigarów i bambusowych rusztowań, żywych od spoconych robotników. Błyszczące w deszczu dźwigi wisiały nad nimi niczym baty. Powódź świateł dochodziła z dołu i przeciekała marnotrawnie w mgłę.

— Szukaj niskiego budynku, gdzieś blisko — poleciał Lukę, zmniejszając prędkość do sześćdziesięciu mil na godzinę. — Białego. Wypatruj białego budynku.

Jerry pokazał palcem dwupiętrowy kompleks ozdobiony ciekącym stiukiem, ani nowy, ani stary, wraz z wysoką na dwadzieścia stóp bambusową platformą oraz ambulansem zaparkowanym przy wejściu. W otwartych drzwiach szoferki widać było palących kierowców, wpatrzonych w policjantów, którzy łazili po placu, jakby mieli do czynienia z demonstracją uliczną.

— Dał nam godzinę przewagi nad resztą.

— Kto?

— Rocker. Rocker, a kto według ciebie?

— Dlaczego?

— Chyba dlatego, że mnie uderzył. Kocha mnie. Ciebie też kocha. Powiedział, żebym przede wszystkim zabrał ciebie.

— Dlaczego?

— Dlaczego, dlaczego — powtórzył wściekły Lukę. — Pospiesz się! Bambusy były niezmiernie duże, wyższe od ściany. Schroniło się pod nimi dwóch ubranych na pomarańczowo kapłanów, bijących w czynele. Trzeci trzymał parasol. Były stragany z kwiatami, głównie nagietkami, oraz karawany, a z oddali dochodziły dźwięki leniwych zakłęb. Korytarz za drzwiami wejściowymi był bagniskiem cuchnącym formaldehydem.

— Przysłała mnie Wielka Szycha — rzekł Lukę.

— Prasa — powiedział Jerry.

Policjanci przepuszczali ich skinieniem głowy, nie patrząc na wizytówki.

— Gdzie jest inspektor? — spytał Lukę.

Woń formaldehydu była straszna. Prowadził ich młody sierżant. Pchnęli na oścież szklane drzwi, za którymi starzy mężczyźni i kobiety, może trzydzieścioro, niczym podróżni na spóźniony pociąg czekali sennie pod jaskrawymi jarzeniówkami i elektrycznym wiatrakiem. Jeden z mężczyzn charczał, plując na zielone kafelki podłogi. Nie kapaly łzy, tylko mokry tynk. Chińczycy patrzyli na ogromnych *kwailo* z przychylnym zdumieniem. Pokój patologa był żółty. Żółte ściany, żółte żaluzje, opuszczone. Do tego zepsuty klimatyzator. I te same zielone kafelki na podłodze, łatwe do umycia.

— Wspaniały zapach — powiedział Lukę.

— Czuć domem — przyznał Jerry.

Żałował, że to nie bitwa. Bitwę łatwiej znieść. Sierżant kazał im zaczekać, a sam poszedł dalej. Usłyszeli skrzypienie wózków, niskie głosy, trzask zamykanych drzwi chłodni, ciche piski gumowych podeszew. Przy aparacie telefonicznym leżał tom *Anatomii* Graya. Jerry przewracał strony, oglądając ilustracje. Lukę przysiadł na krześle. Asystent w krótkich gumowych butach i kombinezonie przyniósł kawę. Białe filiżanki o zielonych brzegach, ozdobione herbem Hongkongu z koroną.

— Czy mógłby pan powiedzieć sierżantowi, żeby się pospieszył? — poprosił Lukę. — Za chwilę będziecie mieli tu całe miasto.

— Dlaczego my? — dopytywał się Jerry.

Lukę umyślnie wylał trochę herbaty na zieloną podłogę i podczas gdy ciecz ściekała do kanaliku, dopełnił filiżankę wódką z piersiówki. Sierżant wrócił i kiwnął na nich szybko szczupłą dłonią. Ruszyli za nim z powrotem przez poczekalnię. Tam nie było żadnych drzwi, tylko

korytarz, a potem zakręcił i wnęka niczym toaleta publiczna i nagle znaleźli się na miejscu. Pierwsze, co Jerry zobaczył, to wózek rozbity w drobny mak. Nie ma nic bardziej przygnębiającego i samotnego niż wysłużony szpitalny sprzęt, pomyślał. Ściany były obłożone zieloną krążyną, z sufitu zwisały się zielone stalaktyty, a potłuczoną spluwaczkę wypełniała zużyta lignina. Zanim zsunął prześcieradło, by pokazać twarz, czyszczą im najpierw nosy, przypomniał sobie Jerry. To przez grzeczność, by oszczędzić patrzącemu wstrząsu. Od oparów formaldehydu łzawiły mu oczy. Chiński patolog siedział przy oknie, zapisując coś na bloczku papieru. Wokół kręciło się kilku pomocników i wielu policjantów. Wydawało się, że panuje ogólne poczucie skruchy. Nie mógł tego rozgryźć. Rocker nie zwracał na nich uwagi. Tkwił w kącie pomieszczenia, mrużąc coś do dostojnie wyglądającego mężczyzny, którego widzieli w policyjnym radiowozie. Jerry stał niedaleko i usłyszał słowa „plama na naszej reputacji” dwukrotnie wypowiedziane przez nieznanego z oburzeniem, nerwowo. Zwłoki zakrywało białe prześcieradło z równoramiennym niebieskim krzyżem. Chyba po to, żeby można było kłaść płachtę w każdą stronę, pomyślał Jerry. Leżały na jedynym wózku na całej sali. I pod jedynym prześcieradłem. Reszta eksponatów znajdowała się wewnątrz dwóch dużych chłodni o drewnianych drzwiach, ogromnych niczym sklep mięsny. Lukę dostawał szalu ze zniecierpliwienia.

— Jezu, Rocker! — krzyknął spod przeciwległej ściany. — Jak długo jeszcze będziesz trzymał na tym łapę? Robota nas pili.

Nikt nie zwracał na niego uwagi. Zmęczony czekaniem, Lukę zsunął prześcieradło. Jerry spojrzał i natychmiast odwrócił wzrok. Izba sekcji zwłok znajdowała się tuż obok; wyraźnie słyszał dźwięk piłowania, przypominający warczenie psa.

Nic dziwnego, że mają takie skruszone miny, pomyślał głupio. Przywieźć zwłoki okrągłookiego w takie miejsce.

— Jezu Chryste — mówił Lukę. — Święty Jezu. Kto mu to zrobił? Jak w ogóle robi się coś takiego? To robota triady. Jezu najmilszy.

Zawilgotniałe okno wychodziło na dziedziniec. Jerry widział bujające się w deszczu bambusy i płynne cienie ambulansu dostarczającego kolejnego klienta, ale wątpił, by którykolwiek z nowych wyglądał podobnie jak ten. Pojawił się fotograf policyjny i rozbłysł flesz. Na ścianie wisiał telefon. Rocker mówił do słuchawki. Jak dotąd nawet nie spojrzał na Luke'a ani Jerry'ego.

— Chcę, żeby go stąd zabrano — powiedział dostojny mężczyzna.

— Kiedy tylko pan sobie życzy — odparł Rocker. Znów prze mówił do telefonu: — W centrum... Tak, proszę pana...W alejce. Rozebrany. Mnóstwo wypił... Facet z medycyny sądowej natych miast go rozpoznał. Tak, proszę pana, przedstawiciel banku już tu

jest. — Odwiesił słuchawkę. — Tak proszę pana, nie proszę pana, trzy pełne worki, proszę pana — gderał. Złapał za słuchawkę i zaczął wykręcać numer. Lukę pisał.

— Jezu — powtarzał przerażony — Jezu. Potrzebowali chyba tygodni, żeby go tak oprawić. Miesiący.

W rzeczywistości zabili go dwukrotnie, doszedł do wniosku Jerry. Raz, by zmusić do mówienia, a drugi raz, by go uciszyć. To, co mu zrobili najpierw, widać było na całym ciele, w formie dużych i małych łat. Podobnie ogień spada na dywan i wypala dziurę, po czym nagle gaśnie. Potem było to, co widniało wokół szyi — inna, znacznie szybsza śmierć. Zadana na końcu, gdy już go nie potrzebowali.

— Przekręć go pan! — zawołał Lukę do patologa. — Proszę pana, mógłby go pan przewrócić na plecy?

Inspektor odwiesił słuchawkę.

— Jakie są hipotezy? — odezwał się Jerry wprost do niego. — Kim on jest?

— Nazywa się Frost — odparł Rocker, patrząc na niego zmrużonym okiem. — Wysoki urzędnik Banku Południowoazjatyckiego. Departament powierniczy.

— Kto go zabił? — zapytał Jerry.

— No właśnie, kto? — włączył się Lukę, pisząc zapamiętane.

— Myszy — odparł Rocker.

— W Hongkongu nie ma triad, nie ma komunistów, nie ma kuomintangowców. Zgadza się, Rocker?

— I kurew też nie ma — warknął inspektor.

Dostojny mężczyzna oszczędził mu kolejnego pytania.

— To był po prostu ohydny napad uliczny — stwierdził ponad jego ramieniem. — Przerażający, ohydny napad dowodzący potrzeby zachowania ostrożności przez społeczeństwo o każdej porze dnia i nocy. Ten człowiek był lojalnym pracownikiem banku.

— To nie był napad — zaoponował Lukę, zerkając ponownie na Frosta — tylko egzekucja.

— Wiemy, że miał cholernie dziwnych przyjaciół — stwierdził Rocker, wpatrzony w Jerry'ego.

— A co to niby znaczy? — spytał ten.

— Co już wiadomo? — dopytywał się Lukę.

— Był w mieście do północy. Bawił się w towarzystwie paru Chińczyków. Jeden burdelik po drugim. Potem ślad się urywa. Aż do dzisiaj.

— Bank zaferował nagrodę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów — powiedział dostojny mężczyzna.

— Hongkongskich czy amerykańskich? — zapytał Lukę, cały czas zajęty pisaniem.

— Hongkongskich — padła krótka odpowiedź.

— Radzę wam, chłopcy, żebyście nie szaleli — ostrzegł Roker. — W szpitalu leży jego chora żona i są dzieci...

— No i w grę wchodzi też dobra opinia banku — wtrącił dostoyny mężczyzna.

— To przede wszystkim będziemy mieli na względzie — odparł Lukę.

Pół godziny później wyszli, wciąż mając przewagę nad konkurencją.

— Dzięki — rzekł Lukę do inspektora.

— Nie ma za co — odparł Roker. Jerry zauważył, że jego przyknięte oko łzawiło, gdy był zmęczony.

No to potrzęsaliśmy drzewem, pomyślał w powrotnej drodze. Rany boskie, aleśmy potrzęsnęli.

Siedzieli tak samo jak przedtem: Smiley za biurkiem, Connie na wózku inwalidzkim, a di Salis obok, wpatrzony w ocieżałą spiralę dymu ze swej fajki. Guillam stał koło Smileya, wciąż mając w uszach trzeszczący głos Martella. Powolnym, kolistym ruchem kciuka Smiley czyścił okulary końcem krawata.

Najpierw przemówił jezuita di Salis. Być może miał najwięcej powodów, by zaprzeczać prawdzie.

— Logicznie nic nas nie wiąże z tym incydem. Frost był libertynem. Miał utrzymanki. Był skorumpowany. Wziął naszą łapówkę bez zmruczenia oka. Bóg wie, jakie łapówki brał w przeszłości. Nie zamierzam z tego powodu cierpieć na bezsenność.

— O rany — mruknęła Connie. Twarz miała bez wyrazu, a na jej kolanach spał pies. W poszukiwaniu ciepła kalekie dłonie spoczywały na brązowym grzbiecie. W tle śniady Fawn nalewał herbatę.

Smiley mówił do formularza. Odkąd pochylał się, by go przeczytać, nikt nie widział jego twarzy.

— Connie, chcę mieć jasność — powiedział.

— Tak, kochanieńki.

— Kto poza tymi czterema ścianami wie, że wykorzystaliśmy Frosta?

— Craw. Westerby. Policjant Crawa. I „kuzyni” się domyślają, jeśli mają odrobinę oleju w głowie.

— Ale nie Lacon, nie Whitehall?

— I nie Karla — dodała Connie, spoglądając wrogo na ponury portret.

— Nie, nie Karla. W to wierzę. — Głos Smileya zdradzał zacie-
kłość konfliktu między emocjami a usiłującym narzucić im swą wolę
intelektem. — Jak na Karłę byłaby to wielce przesadna reakcja. W ra-
zie gdyby jego konto wyszło na jaw, musiałby tylko otworzyć gdzieś
inne. Nie potrzebowałby robić aż takich rzeczy. — Opuszkami palców
posunął formularz o cal w górę blatu. — Wyprawa do Frosta poto-
czyła się zgodnie z planem. Z kolei reakcja była... — Urwał i zaczął
inaczej. — Reakcja była silniejsza, niż się spodziewaliśmy. Z opera-
cyjnego punktu widzenia nic się nie stało. Z operacyjnego punktu
widzenia pchnęliśmy sprawę do przodu.

— Zbudziłem ich, kochanieńki — stwierdziła stanowczo Connie.

Di Salis całkowicie stracił panowanie nad sobą.

— Domagam się, byście przestali mówić tak, jakbyśmy tu wszy-
scy byli sprawcami tej zbrodni. Nie ma żadnego udowodnionego
związku między naszymi działaniami a śmiercią Frosta i uważam wa-
sze sugestie, że takowy istnieje, za rażący błąd.

Smiley nadal miał spuszczoną głowę.

— Ja z kolei za rażący błąd uznałbym wszelkie inne sugestie
— odparł. — To ja poleciłem przejść inicjatywę. Nie mogę zamykać
oczu na konsekwencje tylko dlatego, że są niemiłe. Muszę to wziąć
na swoje barki. Nie oszukujmy się.

— Biedak nie wiedział dostatecznie dużo, prawda? — powie-
działa w zadumie Connie, pozornie do siebie. W pierwszej chwili
nikt jej nie zrozumiał. Co ona chce przez to powiedzieć? Następnie
Guillam się połapał.

— Frost nie miał im czego zdradzić — wyjaśniła. — To najgorsze,
co się może komuś przytrafić. Co mógł im dać? Jednego napalonego
dziennikarza nazwiskiem Westerby? To już mieli, kochanieńcy. A więc
go przyciskali. Przyciskali i przyciskali. — Odwróciła się w stronę Smi-
leya. Był jedynym, który dzielił z nią dawną przeszłość. — Pamiętasz,
George, kiedyś to była reguła. Zawsze dawaliśmy chłopcom i dziew-
czętom coś, czym mogliby się wykupić w razie wpadki.

Opiekuńczy Fawn postawił przed Smileyem herbatę w papiero-
wym kubku z plasterkiem cytryny pływającym na powierzchni. Jego
trupi uśmiech wywołał w Guillamie zduszoną wściekłość.

— Kiedy już skończysz podawać, wynoś się — warknął Guillam
totumfackiemu do ucha. Fawn wyszedł uśmiechnięty.

— Jak teraz rozumuje Ko? — zapytał Smiley, wciąż zwracając
się do formularza. Splótłszy palce pod podbródkiem, wyglądał, jakby
się modlił.

— Poznaje, co to nerwy i dezorientacja — odparła Connie z cał-
kowitym przekonaniem. — Fleet Street na łowach, Frost nie żyje, a on
utknął w miejscu.

— Tak, tak, będzie się zagryzał. „Czy powstrzymam pęknięcie tamy? Czy potrafię uszczelnić przecieki? I gdzie one są?” Przecież tego chcieliśmy i to mamy — mówił Smiley. Poruszył nieznacznie zwieszoną głową w kierunku Guillama. — Peter, czy mógłbyś poprosić „kuzynów”, by objęli Tiu inwigilacją? Jedyne statyczne punkty, tak im powiedz. Żadnego deptania po piętach, żadnego straszenia zwierzyny ani bzdur tego rodzaju. Telefon, poczta, same proste rzeczy. Doktorze, kiedy Tiu ostatni raz był w Chinach?

Di Salis niechętnie podał datę.

— Ustal trasę i miejsce zakupu biletu. Na wypadek, gdyby wybierał się jeszcze raz.

— Już to mamy w aktach — odparł di Salis nadąsany. Parsknął szyderczo, spoglądając ku niebiosom, zwiesiwszy ramiona i usta.

— Zatem bądź tak miły i zrób mi osobną notatkę na ten temat — rzekł Smiley cierpliwie. — Westerby — ciągnął tym samym beznamyślnym tonem i przez chwilę Guillam miał ohydne wrażenie, że jego szef ma jakieś halucynacje i myśli, że Jerry jest obecny, by wraz z innymi odebrać rozkazy. — Wycofuję go, to mogę zrobić. Jego gazeta go odwoła, czemu nie? I co wtedy się stanie? Ko będzie czekał. Będzie nadstawiał ucha. Ale nic nie usłyszy, więc się odpręży.

— I włączą się bohaterowie od narkotyków — rzekł Guillam, zerkając na kalendarz. — Wparaduje Sol Eckland.

— Albo ja wyciągnę Westerby'ego i zastąpię go innym agentem, który podejmie trop. Ale czy on będzie mniej ryzykował, niż teraz ryzykuje Westerby?

— To nigdy nie odnosi skutku — mruknęła Connie. — Zmiana koni nic nie daje. Nigdy. Przecież wiesz o tym, George. Trzeba by go wprowadzić, wyszkolić, ustawić w sytuacji, dać nowe kontakty. W żadnym razie.

— Ja w ogóle nie widzę, żeby Westerby ryzykował! — wykrzyknął piskliwie di Salis.

Obróciwszy się z wściekłością, Guillam chciał go palnąć, ale wpiersz odezwał się Smiley:

— Dlaczego nie?

— Nawet jeśli przyjmiemy twoją hipotezę — z którą się nie zgadzam — to trzeba przyznać, że Ko nie jest człowiekiem stosującym przemoc. Jest poważnym biznesmenem i jego zasady to dobry wizerunek, praktycyzm, wartości społeczne i ciężka praca. Nie pozwolę, byście mówili o nim jak o pospolitym zbirze. Jasne, przyznaję, że ma ludzi, którzy pewnie nie są tak mili jak on, gdy dochodzi co do czego. Podobnie jak my jesteśmy ludźmi Whitehallu, a to nie czyni tych z Whitehallu łotrami spod ciemnej gwiazdy.

Na miłość boską, kończcie z tym, pomyślał Guillam.

— Westerby to nie Frost — pouczał dalej di Salis nosowo i jazgotliwie. — Westerby nie jest nieuczciwym urzędnikiem. Nie zdradził sekretów Ko, jego interesów ani jego brata. W oczach Ko Westerby jest przedstawicielem wielkonakładowego pisma. A Westerby dał do zrozumienia — o ile wiem zarówno Frostowi, jak i Tiu — że gazeta jest w posiadaniu znacznie ważniejszych informacji w tej sprawie niż on sam. Ko rozumie świat. Likwidując jednego dziennikarza, nie zlikwiduje ryzyka. Wprost przeciwnie, na zwolnione miejsce zjawi się cała sfera.

— Zatem co mu siedzi w głowie? — spytał Smiley.

— Niepewność. Tak jak mówiła Connie. Nie zna rozmiarów zagrożenia. Chińczycy nie zostawiają wiele miejsca na abstrakcyjne pojęcia, jeszcze mniej na abstrakcyjne sytuacje. Będzie chciał, żeby zagrożenie się spełniło, a jeśli nic konkretnego się nie wydarzy, przyjmie, że to już się stało. Nie tylko na Zachodzie myśli się w ten sposób. Rozwijam twoją hipotezę. — Wstał. — Ale nie podpisuję się pod nią. Odmawiam tego. Odcinam się od niej całkowicie.

Wymaszerował. Na skinienie Smileya Guillam pospieszył za nim. Została jedynie Connie.

Smiley zamknął oczy, a jego brwi połączyły się nad nosem w zwarty supeł. Przez dłuższą chwilę Connie milczała. Trot leżał jak martwy na jej kolanach, a ona ze zwieszoną głową głaskała go po brzuchu.

— Karłę nic by to nie obeszło, prawda, kochanieńki? — mruknęła. — Martwy Frost obchodzi go tyle co zeszłoroczny śnieg, a nawet mniej. I na tym polega cała różnica. Nie potrafimy ująć tego precyzyjniej, prawda? Przynajmniej nie w dzisiejszych czasach. Kto to mógł wił, że „walczymy w służbie rozumu”? Steed-Asprey? Czy Kontrola? Uwielbiałam to. W tych słowach zawiera się wszystko. Hitler. Nowy porządek. Oto kim jesteśmy: ludźmi w służbie rozumu. Prawda, Trot? Nie jesteśmy tylko Anglikami, jesteśmy ludźmi w służbie rozumu. — Głos opadł jej odrobinę. — A co z Samem, kochany? Czy myślałeś już o tym?

Minęła długa chwila, zanim Smiley odpowiedział, głosem tak chrapliwym, jakby chciał utrzymać Connie z dala od siebie.

— Musi stać z boku. Nie wolno mu nic robić, dopóki nie dostanie zielonego światła. Ma czekać. — Wciągnął głęboko powietrze i wypuścił. — Być może w ogóle nie będzie potrzebny, być może poradzimy sobie bez niego. Wszystko zależy od tego, jak zagra Ko.

— George, kochany George.

Spełniając niemy rytuał, podjechała do kominka, wzięła do ręki pogrzebacz i z olbrzymim wysiłkiem poruszyła węgle, trzymając drugą dłoń na pogrążonym we śnie psie.

Jerry stał przy oknie w kuchni i patrzył, jak żółty świt tnie nocną mgłą nad portem. Pamiętał, że poprzedniej nocy była burza. Nadeszła z godzinę przed telefonem Luke'a. Z materaca śledził jej narastanie, podczas gdy dziewczyna chrapała przy jego nodze. Najpierw był zapach roślinności, potem niespokojny szelest wiatru w liściach palm: zacierane suche dłonie. Następnie szum deszczu — tony stopionego śrutu wytrąsane do morza. Wreszcie błyskawice targające portem w długich powolnych oddechach, podczas gdy salwy grzmotów huczały nad tańczącymi dachami. To ja go zabiłem, pomyślał. Tak czy siak, to ja się do niego dobrałem. „Każdy człowiek nosi broń, nie tylko generałowie”. Oto źródło cytatu i kontekst.

Dzwonił telefon. A niech dzwoni, pomyślał. To pewnie Craw, leje w gacie ze strachu. Podniósł słuchawkę: Lukę, jego paplanina jeszcze bardziej amerykańska niż zwykle.

— Ej, człowieku, ale kino! Właśnie nadeszła depeza od Stubb-sia! Osobiście do Westerby'ego. Chcesz usłyszeć?

— Nie.

— Przejazdka po strefach wojny. Linie lotnicze w Kambodży i gospodarka oblężonego miasta. Nasz człowiek wśród kul i pocisków! Masz szczęście, żeglarzu! Chcą, żeby ci dupę odstrzelili!

I żebym zostawił Lizzie panu Tiu, pomyślał, odkładając słuchawkę.

I, o ile znam życie, także temu skurwielowi Collinsowi, który czai się za jej plecami jak handlarz niewolników.

Jerry pracował dla Sama kilkakrotnie, gdy ten był panem Mel-lonem w Vientiane, nad wyraz obrotnym handlowcem, przywódcą tamtejszych okrągłookich oszustów. Uważał go za jednego z najbardziej antypatycznych agentów, jakich znał.

Wrócił do okna, myśląc o Lizzie śpiącej pod dachem wysokiego wieżowca. O biednym Proście i jego umiłowaniu życia. O zapachu, który go powitał, gdy wrócił do mieszkania.

Zapach był wszędzie. Pokonał odór dezodorantu dziewczyny, stęchły dym papierosowy oraz woń gazu i oleju do smażenia dochodzący zza ściany od graczy w mah-jong. Złowiwszy go, Jerry wykreślił sobie w wyobraźni trasę, którą szedł Tiu podczas swej wizyty: gdzie przystanął, gdzie pozostawił ślady po szperaniu w ubraniach, spiżarni i niewielkim dobytku. Zapach wody różanej i migdałów, ulubiony zapach byłej żony.

W OBŁĘŻONYM MIEŚCIE

Gdy wyjeżdża się z Hongkongu, przestaje on istnieć. Gdy minie się ostatniego chińskiego policjanta w brytyjskich butach wojskowych i owijaczach i wstrzyma oddech, frunąc ledwie sześćdziesiąt stóp ponad dachami szarych slumsów, gdy sąsiednie wysepki rozplną się w niebieskiej mgle, wówczas wie się, że kurtyna opadła, rekwizyty uprzątnięto, a żywot, który się wiodło, był iluzją. Ale tego dnia, po raz pierwszy, Jerry nie potrafił odnaleźć w sobie owego uczucia. Towarzystwo mu wspomnienie martwego Frosta i żywej dziewczyny; oboje byli z nim, gdy doleciał do Bangkoku. Natrafienie na ślad zabrało mu jak zwykle cały dzień; jak zwykle też miał kilkakrotnie szczerą ochotę dać za wygraną. Wedle Jerry'ego w Bangkoku coś takiego przytrafiało się wszystkim: turyście szukającemu *wat**, dziennikarzowi w pogoni za tematem i jemu, tym razem podążającemu tropem Charliego Marshalla, przyjaciela i wspólnika Ricarda. Odpowiedź zawsze znajduje się na odległym krańcu jakiejś cholerniej alejki, wciśnięta między zamulony *klong*** a stertę betonowego gruzu, i kosztuje pięć amerykańskich dolarów drożej, niż człowiek się spodziewał. Ponadto, choć nastąpiła pora sucha, Jerry moknął w deszczu — jak zwykle w Bangkoku — który lał się z zanieczyszczonego nieba nagłymi strugami. Oczywiście potem ludzie mu powiedzą, że trafił akurat na jeden jedyny dżdżysty dzień.

Rozpoczął od lotniska, ponieważ na nim był i ponieważ zgodnie z jego rozumowaniem nikt nie może długo latać po Azji południowo-wschodniej bez zawitania do Bangkoku. Charlie już się tu nie pokazuje, odpowiedziano mu. Ktoś go zapewnił, że Marshall porzucił fruwanie po śmierci Ricarda. Ktoś inny rzekł, że siedzi w więzieniu. Kolejna osoba, że najprawdopodobniej zadekował się w „jednej z nor”. Czarująca stewardesa „Air Vietnam” poinformowała z chichotem, że Marshall wykonuje loty towarowe do Sajgonu. Widywała go tylko tam.

— Skąd lata? — zapytał Jerry.

— Może z Phnom Penh, może z Vientiane — odparła, ale, powtórzyła z uporem, jego celem zawsze jest Sajgon, nigdy zaś Bangkok. Jerry sprawdził „Indocharter” w książce telefonicznej, ale nic

* Wat (syjam.) — buddyjska świątynia lub monaster w Tajlandii (przyp. tłum.).

** Klong (syjam.) — kanał wodny w Tajlandii (przyp. tłum.).

nie było. Zerknął też pod „M” z nadzieją, że fuksem może na coś trafi, i rzeczywiście trafił na jednego Marshalla, w dodatku Marshalla K, jak kapitan. Zadzwoił, ale połączył się nie z synem kuomintangowskiego generała, ale z zaskoczonym szkockim handlowcem, który powtarzał: „Ależ niech pan do mnie wpadnie”. Następnie udał się do więzienia, gdzie trzymano *farangów*, którzy nie mogli się wypłacić albo okazali nieuprzejmość jakiemuś wojskowemu, i sprawdził rejestr. Przeszedł się po korytarzu, zaglądając do cel, i zagadnął kilkoro zwariowanych hipisów. Mieli mnóstwo do powiedzenia na temat powodów swego uwięzienia, nic zaś na temat Charliego Marshalla, albowiem go nie widzieli, a nawet o nim nie słyszeli i — ujmując rzecz delikatnie — niewiele ich obchodził. W podłym nastroju Jerry pojechał do tak zwanego sanatorium, gdzie narkomani pozostawali odcięci od pokus. Panowało tam spore ożywienie, albowiem mężczyzna w kaftanie bezpieczeństwa zdołał wyjąć sobie palcami oczy, ale nie był to Charlie Marshall i, niestety, nie mieli tam żadnych pilotów, ani korsykańskich Chińczyków, a już na pewno nie syna kuomintangowskiego generała.

Jerry zaczął zatem sprawdzać hotele, w których przebywali piloci będący przejazdem w mieście. Robił to niechętnie, dlatego że jazda po mieście otępiała go, a zwłaszcza dlatego, że wiedział, iż Ko ma tu swoje włości. Nie żywił większych wątpliwości, że Frost go wydał; wiedział, że większość bogatych Chińczyków posiada legalnie kilka paszportów, szantouczycy nawet więcej niż kilka; wiedział, że Ko ma w kieszeni tajlandzki paszport, a do tego pewnie paru tajlandzkich generałów. Wiedział również, że Tajowie, gdy są w złym humorze, zabijają o wiele szybciej i dokładniej niż ktokolwiek inny, choć gdy skażą człowieka na rozstrzelanie, egzekucję wykonuje się przez rozpięte prześcieradło, by nie obrazić Buddy. Z tego też powodu, i kilku innych, Jerry czuł się nieswojo rozgłaszając po dużych hotelach nazwisko Marshalla.

Spróbował w „Erewaniu”, „Hyacie”, „Miramarze”, „Orientalu” i około trzydziestu innych, a w pierwszym z nich stąpał szczególnie ostrożnie, pamiętając, że „China Airsea” ma tam apartamenty i wedle Crawa Ko często z nich korzysta. Wyobraził sobie Lizzie z jej jasnymi włosami, jak umiła Chińczykowi czas albo leży wyciągnięta na brzegu basenu, opalając swe długie ciało, podczas gdy nababowie sączą whiskey i zastanawiają się, ile kosztowałaby godzina z nią sam na sam. W czasie objazdu po hotelach nagle burza sypnęła grubymi kroplami deszczu, tak brudnymi od sadzy, że poczerniało złoto ulicznych świątyń. Taksówkarz żeglował po zalanych ulicach, ocierając się o indyjskie bawoły; jaskrawo pomalowane autobusy dzwoniły i szarżowały na

nich, tryskające krwią plakaty kung-fu krzyczały, ale nazwisko „Marshall, Charlie Marshall, kapitan Marshall” nikomu nic nie mówiło, choć Jerry hojnie obdzielał drobnymi. Ma dziewczynę, pomyślał. Ma dziewczynę i mieszka u niej, ja bym zrobił tak samo. W „Orientalu” dał napiwek portierowi i umówił się z nim, że tam będzie miał swą skrzynkę kontaktową, a ponadto, co najważniejsze, dostał rachunek za dwudniowy pobyt, którym mógł dopiec Stubbsowi. Jednak wycieczka po hotelach wzbudzała w nim lęk; czuł, że ryzykuje, że wystawia się na niebezpieczeństwo. By się przespać, wynajął pokój za dolara za noc w bezimiennej spelunie w ciemnej ulicy, gdzie obywano się bez formalności meldunkowych: był tam rząd domków plażowych z drzwiami od pokoi wychodzącymi prosto na ulicę, by ułatwić cudzołożenie, oraz otwarte garaże z plastikowymi kotarami, które zasłaniały tablice rejestracyjne aut. Wieczorem Jerry’emu pozostało tylko zaglądać do agencji przewozowych, gdzie pytał o „Indocharter”, choć to też mu się nie uśmiechało. Poważnie się już zastanawiał, czy nie uwierzyć stewardesie z „Air Vietnam” i nie podjąć tropu do Sajgonu, gdy Chinka w jednej z agencji rzekła:

— „Indocharter”? To linia kapitana Marshalla.

Skierowała go do księgarni, gdzie Marshall kupował książki i skąd odbierał adresowaną do niego korespondencję, gdy tylko był w mieście. Księgarnię również prowadzili Chińczycy i gdy Jerry wymienił nazwisko Marshalla, stary właściciel wybuchł śmiechem i odparł, że Charlie nie pokazuje się od miesięcy. Staruszek był bardzo mały i miał sztuczne zęby, od których wykrzywiła mu się twarz.

— Winien panu pieniądze? Winien panu pieniądze, rozbił samolot?

— Ponownie gruchnął śmiechem i Jerry poszedł w jego ślady.

— Super, świetne. A co pan robi z pocztą, gdy on się długo nie pokazuje? Przesyła pan dalej?

Charlie Marshall nie dostaje poczty, odparł starzec.

— O rany, kolego, ale gdyby jutro przyszedł do niego list, to gdzie byś go wysłał?

Do Phnom Penh, odrzekł Chińczyk, wkładając do kieszeni zaofertowane pięć dolarów, następnie wyluskał z biurka skrawek papieru, żeby Jerry mógł przepisać adres.

— Może powinienem mu kupić książkę? — zapytał Jerry, rozglądając się dokoła. — Co on czyta?

— Francuski — odpowiedział machinalnie starzec i poprowadziwszy Jerry’ego na górę, pokazał mu sanktuarium kultury okrągło-okich. Dla Anglików pornografia drukowana w Brukseli. Dla Francuzów rządy klasyki z oślimi uszami: Wolter, Monteskiusz, Hugo. Jerry kupił egzemplarz *Kandyda* i wsunął książkę do kieszeni. By-

walcy tego pomieszczenia byli najwyraźniej *ex officio* gośćmi honorowymi, albowiem starzec wy dobył księgę wpisów i Jerry nabazgrał: „J. Westerby, pismak”. Komentarze były żartobliwe, więc dopisał: „Wyjątkowo świetnie zaopatrzony dom książki”. Następnie przewertował strony i spytał:

— Charlie Marshall też jest?

Starzec kilkakrotnie wskazał palcem wpis Marshalla. Wykaligrafowano: „Adres: tutaj”.

— A jego przyjaciel?

— Jaki przyjaciel?

— Kapitan Ricardo?

Na te słowa Chińczyk spoważniał i delikatnie odebrał księgę.

Jerry udał się do Klubu Zagranicznych Korespondentów w hotelu „Oriental”. W lokalu nie było nikogo z wyjątkiem oddziału japońskich dziennikarzy, którzy dopiero co powrócili z Kambodży. Przedstawili mu stan rzeczy, jaki panował w Phnom Penh do poprzedniego dnia, a on lekko się upił. Kiedy wychodził, ku swemu przerażeniu ujrzał karła, który zjawił się w mieście na kolegium redakcyjne w tutejszej siedzibie swej gazety. Za nim stał tajski chłopiec, co szczególnie potęgowało tupet małego.

— Rany, Westerby! Jak się mają tajne służby? — Wprawdzie wi tał tym dowcipem każdego, ale Jerry jeszcze bardziej spochmurniał.

Wieczorem w wynajętym pokoju wypił znacznie więcej whisky niż w klubie, ale wyczyny sąsiadów nie dawały mu spać. W końcu, w akcie samoobrony, wyszedł na dwór, znalazł sobie dziewczynę, łagodne małe stworzenie z baru w głębi ulicy, tyle że gdy potem został sam, jego myśli ponownie skupiły się na Lizzie. Cokolwiek by robił, to z nią dzielił łóżko. Na ile świadomie się z nimi związała? — zastanawiał się. Czy wiedziała, w co gra, gdy wystawiała mnie Tiu? Czy wie, co chłopcy Drake'a zrobili Frostowi? Czy wie, że to samo mogą zrobić mnie? Przyszło mu nawet do głowy, że była przy tym obecna i ta myśl go przerażyła. Nie ma kwestii: w jego pamięci ciało Frosta wciąż było ciepłe. Gorzej już być nie mogło.

Około drugiej w nocy doszedł do wniosku, że ma atak gorączki, tak był spocony i niespokojny. Kiedy usłyszał nadchodzące ciche kroki, rzucił się w kąt pokoju, ściskając w rękę drewnianą lampkę, wyrwaną z gniazdka w ścianie. O czwartej obudziła go owa zdumiewająca azjatycka wrzawa: odgłosy podobne do świńskiego chrząkania, dzwonki, pokrzykiwania starych mężczyzn *in extremis*, pianie tysiąca kogutów, odbijające się echem po betonowych i wyłożonych kafelkami korytarzach. Walcząc z zepsutą kanalizacją, rozpoczął żmudny

proces mycia się cienką strużką zimnej wody. O piątej ktoś włączył radio na cały regulator i jazgot azjatyckiej muzyki oznajmił wszem i wobec, że dzień rozpoczął się na dobre. Jerry był już wtedy ogolony tak dokładnie, jakby wybierał się na własny ślub. O ósmej wysłał do Stubbsa depeszę, żeby Cyrk ją przechwycił i dowiedział się o jego planach. O jedenastej wsiadł do samolotu lecącego do Phnom Penh. Kiedy wchodził na pokład caravelle „Air Cambodge”, funkcjonariuszka obsługi naziemnej obróciła ku niemu śliczną twarz, by śpiewną angielszczyzną życzyć mu „przyjemnego potu”.

— Dzięki. Super, świetnie — odparł i wybrał sobie miejsce nad skrzydłem, gdzie ma się największą szansę przeżycia. Kiedy rozpędzali się powoli, zobaczył grupkę Tajów grających w parszywego golfa na nieskazitelnym trawniku tuż obok pasa startowego.

Gdy Jerry przeczytał listę pasażerów przy stanowisku odprawy, było na niej osiem nazwisk, mimo to oprócz niego wsiadła tylko jedna osoba: ubrany na czarno młody Amerykanin z neseserem. Resztę stanowiły towary: ułożone w tyle kadłuba brązowawe worki jutowe i plecione pudła. Samolot dla obłożonych, pomyślał Jerry machinalnie. Leci z ładunkiem, wraca ze szczęściami. Stewardesa zaproponowała mu stare „Jours de France” i cukierki w kształcie pałeczek. Wziął „Jours de France”, żeby odświeżyć francuski, po czym przypomniał sobie o *Kandydzie*, wyjął więc książkę i zaczął ją czytać. Miał również ze sobą Conrada, albowiem w Phnom Penh zawsze czytywał Conrada; ekscytowało go, gdy lektura przypominała mu, że siedzi w ostatnim z prawdziwych Conradowskich portów rzecznych.

Łądowanie rozpoczęli z dużej wysokości, schodząc przez środek chmury w zwartej, niepewnej spirali, by uniknąć przypadkowego ognia z małej broni od strony dżungli. Stewardesa nie miała pojęcia, jak blisko miasta są Czerwoni Khmerowie, z kolei Japończycy mówili mu, że w odległości piętnastu kilometrów na wszystkich frontach, a tam gdzie nie ma dróg, nawet bliżej. Powiedzieli, że lotnisko znajduje się wprawdzie pod ostrzałem, ale jedynie rakiet i to sporadycznym. Sto piątek jeszcze nie ma, pomyślał Jerry, ale zawsze kiedyś jest pierwszy raz. Chmura nadal wszystko przesłaniała, modlił się więc, by wysokościomierz pilota był dokładny. Oliwkowa ziemia skoczyła ku nim i wtedy zobaczył kratery po bombach, rozpryskane jak plamy po jajku, oraz żółte linie po oponach ciężarówek z konwojów. Kiedy wylądowali łagodnie na podziurawionym pasie, ujrzał, że w wypełnionym błotem kraterze z lubością taplają się wszechobecne nagie dzieci.

Słońce przedarło się przez chmury i mimo pomruku samolotów Jerry miał wrażenie, że wkracza w spokojny, letni dzień. W Phnom

Penh, jak w żadnym innym miejscu, w którym bywał, wojna trwała w atmosferze pokoju. Pamiętał swój ostatni pobyt w mieście, zanim doszło do zaprzestania bombardowań. Kilkoro ciekawskich pasażerów „Air France” kręciło się wokół hangarów, nieświadomych, że wylądowali w środku bitwy. Nikt im nie powiedział, by się kryli, nikogo z nimi nie było. Teraz nad lotniskiem dudniły F-4 i S-III*, z obrzeży pasów startowych dochodziły strzały, śmigłowce „Air America” zwoziły trupy w siatkach, niby kutry z przerażającym połowem z innego Morza Czerwonego, a chcący wystartować Boeing 707 musiał się przedzierać przez całą płytę, sunąc w ślimaczym tempie drogą przez mękę. Urzeczony, Jerry patrzył, jak maszyna podrywa się i umyka wreszcie poza zasięg ognia z ziemi, i nadal czekał na trzask celnego trafienia w ogon. Ale ona wlatywała dalej, jakby niewinność oznaczała nietykalność, niktąc słodko za spokojnym horyzontem.

Zauważył, że — jak na ironię — teraz, gdy zbliżał się koniec, pierwszeństwo mają towary niezbędne miastu do przetrwania. Po drugiej stronie płyty lądowały i startowały w chaotycznej, niebezpiecznej zamianie miejsc olbrzymie wycarterowane amerykańskie samoloty transportowe, 707-emki i czterosilnikowe turbośmigłowce C-130 oznaczone napisami *Transworld* i *Bird Airways* albo nie oznaczone wcale. Przywoziły amunicję, ryż i olej z Tajlandii oraz amunicję i ryż z Sajgonu. Podczas swego pospiesznego marszu do terminalu Jerry zobaczył dwa lądowania i za każdym razem wstrzymywał oddech w oczekiwaniu na spóźniony wybuch maszyn, gdy zastygały z drzeniem wewnątrz *revetement* z wypełnionych ziemią skrzyń po amunicji, ustawionych na miękkim końcu pasa startowego. Zanim jeszcze stanęły na dobre, obsługa w kamizelkach kuloodpornych i hełmach zbiegała się wokół nich niczym gromada wygłodniałych ludzi, którzy chcą wyrwać z ładowni cenne torby.

A jednak nawet wszystkie te oznaki katastrofy nie zdusiły w Jerry’ym radości z powrotu.

— *Vous reslez combien de temps, monsieur?* — zapytał go oficer odprawy paszportowej.

— *Toujours*, kolego — odparł Jerry. — Tak długo, jak będziecie mnie chcieli, a nawet dłużej.

Przyszło mu do głowy, by zagadnąć tu i ówdzie o Charliego Marshalla, ale na lotnisku roiło się od policji i agentów wszelkiej maści, dopóki zaś nie wiedział, co go czeka, lepiej było nie wyjawiać swych zainteresowań. Zobaczył kolorowy szereg starych samolotów z nowymi godłami, ale żaden z nich nie należał do „Indocharter”,

* Typy amerykańskich samolotów myśliwsko-bojowych (przyp. tłum.).

którego zarejestrowanymi znakami, jak powiedział mu Craw podczas pożegnalnej odprawy przed odlotem z Hongkongu, były barwy koni wyścigowych Ko: szarość i błękit.

Wziął taksówkę. Jechał z przodu, uprzejmie odrzucając kurtuazyjne oferty taksówkarza: dziewczynki, pokazy, kluby, chłopcy. Domy w stylu francuskiego gotyku tworzyły soczystą arkadę pomarańczowej barwy na tle ciemnoszarego, monsunowego nieba. Zatrzymał się przy pasmanterii, by wymienić pieniądze *au cours flexible* — określenie, które uwielbiał. Pamiętał, że właścicielami kantorów byli Chińczycy. Ten był Hindusem. Chińczycy wcześniej się wynoszą, Hindusi zaś zostają, by zgarnąć resztki. Na prawo i lewo ciągnęły się osiedla skleconych chat. Wszędzie siedzieli w kucki uchodźcy, gotując lub drzemiąc w cichych grupach. Dzieci podawały sobie papierosa.

— *Nous sommes un village avec une population des millions* — po wiedział taksówkarz szkolną francuszczyznę.

Nadciągnął ku nim konwój wojskowy z zapalonymi reflektorami, trzymając się środka drogi. Taksówkarz zjechał posłusznie na zakurzone pobocze. Kolumnę zamykał ambulans z otwartymi drzwiami. Ciała rzucono głowami do środka, nogi przypominały świńskie gi-cze, były pożyłkowane i posiniaczone. Żywi czy martwi, to niemal wszystko jedno. Minęli zbiorowisko domów na palach, zniszczonych przez rakiety, i wjechali na prowincjonalny francuski plac: restauracja, sklep kolonialny, wędliniarnia, reklamy Byrrh i Coca-Coli. Na krawężniku przycupnęły dzieci, pilnujące litrowych butelek po winie wypełnionych kradzioną benzyną. Jerry przypomniał sobie, co się działo podczas bombardowań. Wystarczyło, że pocisk otarł się o benzynę, a rezultatem była krwawa łaźnia. Tym razem stanie się to samo. Nikt się niczego nie uczył, nic się nie zmieniało, tylko wnętrze sprzątano regularnie nad ranem.

— Stój! — rozkazał Jerry i działając pod wpływem impulsu, wręczył taksówkarzowi kawałek papieru, na którym zapisał w Bangkoku adres Marshalla. Wcześniej wyobrażał sobie, że powinien wpełznąć tam w środku nocy, ale teraz, w słońcu, wydawało się, że nie ma ku temu powodu.

— *Yaller?* — zapytał taksówkarz, obracając się ku Jerry'emu zdumiony.

— Tak jest, kolego.

— *Vous connaissez cette maison?*

— Tam mieszka mój kumpel.

— *A vous? Un amis a vous?*

— Jestem z prasy — odparł Jerry, co tłumaczyło każde wariactwo.

Taksówkarz wzruszył ramionami i skierował samochód w dół długiego bulwaru, za francuską katedrę, ku błotnistej drodze mię-

dzy willami, które w miarę zbliżania się do rogatek miasta stawały się coraz obskurniejsze. Jerry dwa razy zagadywał taksówkarza, co jest dziwnego w tym adresie, ale ten stracił już swój urok i kwitował pytania wzruszeniem ramion. Kiedy tylko przyjechali na miejsce, kazał sobie zapłacić, po czym odjechał prędko, urągliwie zmieniając biegi. Stała tam willa, której dolną część skrywał mur przedzielony bramą z kutego żelaza. Jerry wcisnął dzwonek, ale nic nie usłyszał. Spróbował pchnąć furkę, lecz ani drgnęła. Usłyszał trzask zamykanego okna i gdy spojrzął do góry, zdało mu się, że zobaczył brązową twarz, która usunęła się za drucianą moskitierę. Następnie rozległo się bzyczenie i furta ustąpiła. Jerry wszedł po kilku stopniach na wyłożoną kafelkami werandę, pod drzwiami z solidnego drzewa tekowego, z niewielką, osłoniętą kratką, przez którą można było jedynie wyglądać na zewnątrz. Odczekał chwilę, następnie uderzył mocno kołatką i usłyszał, jak odgłos odbija się echem po całym domu. Drzwi miały dwa skrzydła, z przerwą pośrodku. Przysunąwszy twarz do szczeliny, Jerry ujrzał pas pokrytej kafelkami podłogi i dwa stopnie, prawdopodobnie pierwsze dwa z rzędu schodów. Na niższym z nich stały dwie gładkie brązowe stopy, bose, przechodzące w nagie golenie. Widok kończył się na kolanach.

— Halo! — krzyknął Jerry z okiem przy szparze. — *Bonjour! Halo!*
— Ponieważ stopy się nie poruszyły, dodał: — *Je suis un amie de Chanie Marshall! Madame, Monsieur, je suis un amie anglais de Chanie Marshall! Je veux lui parler!*

Wyjął banknot pięciodolarowy i wsunął go w otwór, ale nic nie podjęło przynęty, więc wyciągnął pieniądze z powrotem i wydarł z notesu kawałek papieru. Wiadomość zatytułował „Do kapitana Marshalla”. Przedstawił się na piśmie jako „brytyjski dziennikarz z interesującą obie strony ofertą”, po czym dopisał adres swojego hotelu. Przepchnąwszy karteczkę przez szparę, spojrzął w kierunku brązowych stóp, ale znikły, więc odszedł. Maszerował drogą na piechotę, aż znalazł *cyclo*, następnie pedałowal, aż znalazł taksówkę. I znowu: nie, dziękuję, nie chcę dziewczynki — tyle że jak zwykle chciał, tylko inną.

Kiedyś hotel zwał się „Royal”, teraz — „Phnom”. Na maszcie powiewała flaga, ale jej majestat już poczynął wyglądać żałośnie. Wpisując się do książki gości, Jerry zauważył żywe ciała wygrzewające się w słońcu wokół basenu na dworze i znowu pomyślał o Lizzie. Dla dziewczyn to była twarda szkoła, więc jeśli ona wozila paczuski dla Ricarda, to stawał dziesięć do jednego, że musiała niejedno przejść. Najładniejsze należały do najbogatszych, a najbogatsi w Phnom Penh byli rotariańscy kanciarze: przemytnicy złota i kauczuku, szefowie policji, wpływowi Korsykańczycy, którzy nawet w trakcie bitwy potrafili dobić targu z Czerwonymi Khmerami. Czekał na niego list w nie

zaklejonej kopercie. Recepcjonista przeczytał go wcześniej, teraz zaś czekał grzecznie, aż Jerry zrobi to samo. Na karcie o złożonych brzegach z herbem ambasady brytyjskiej zapraszano Jerry'ego na kolację. Gospodarzem był ktoś, o kim w życiu nie słyszał. Zaintrygowany, odwrócił kartkę. Z tyłu widniały napisane odręcznie słowa: „Znałem twego przyjaciela, George'a z »Guardiana«". Ostatnie słowo było hasłem. Kolacja i listy w nie zaklejonych kopertach, pomyślał Jerry: oto, co w Sarratt nazywają pogardliwie konkubinatem z Ministerstwem Spraw Zagranicznych.

— *Telephone?* — zapytał recepcjonistę.

— *U est foutu, monsieur.*

— *Electricite?*

— *Aussi foutu, monsieur, mais nous avons beaucoup de l'eau.*

— A Keller? — rzekł z uśmiechem.

— *Dans la cour, monsieur.*

Poszedł do ogrodów. Wśród pięknych ciał siedziała grupka korespondentów wojennych z dużych gazet z Fleet Street, pijących whisky i opowiadających sobie pikantne historyjki. Wyglądali jak nieletni piloci w Bitwie o Anglię, walczący w przywłaszczonej sobie wojnie. Wszyscy patrzyli na niego z pogardą z powodu jego arystokratycznego pochodzenia. Jeden z nich miał białą chustę i rzadkie włosy, zaczesane odważnie do tyłu.

— Chryste, to hrabia — powiedział. — Jak się tu znalazłeś? Przyszedłeś Mekongiem?

Ale Jerry nie szukał żadnego z nich, szukał Kellera. Keller był nieśmiertelny. Depeszowiec, Amerykanin. Jerry znał go z innych wojen. Ponadto żaden *uitlander* nie przybywał do miasta bez wyłożenia Kellerowi swej sprawy i jeśli chciało się zdobyć wiarygodność, to trzeba było dostać od niego stempel, wiarygodność zaś stawała się dla Jerry'ego coraz cenniejsza. Znalazł go na parkingu. Szerokie bary, siwe włosy, jeden rękaw koszuli opuszczony, dłoń w kieszeni. Keller stał i patrzył, jak szofer polewa szlauchem wnętrze mercedesa.

— Max. Super, cześć.

— Tak, wdechowo — rzekł Keller. Obejrzał się przez ramię, po czym wrócił do oglądania ablucji. Obok niego stało dwóch szczupłych khmerskich chłopców, którzy — ubrani w buciory na grubych podeszwach i rozszerzane u dołu spodnie, obwieszeni aparatami fotograficznymi na błyszczących, rozpiętych koszulach — przypominali fotografów mody. Jerry też patrzył. Szofer przestał lać wodę i zaczął szorować tapicerkę wojskowymi szarpkami, które szybko zbrązowiały.

Do grupki podszedł inny Amerykanin i Jerry domyślił się, że to nowy stringer* Kellera. Keller zmieniał stringerów jak rękawiczki.

— Co się stało? — zapytał Jerry, gdy szofer ponownie chlusnął wodą.

— Tani bohater złapał kulę, która go drogo kosztowała — odparł stringer. — To się stało. — Był bladym południowcem o rozbawionej minie i Jerry od razu poczuł do niego niechęć.

— To prawda, Keller?

— Mój fotograf — odparł Amerykanin.

Agencja Kellera miała całą stajnię fotografów. Wszystkie agencje miały; Kambodżańscy, jak ci, którzy stali obok. Płacono im dwa dolary za pobyt na linii frontu i dwadzieścia za każde wydrukowane zdjęcie. Jerry słyszał, że Keller tracił ich z prędkością jednego na tydzień.

— Dostał czysto w sam środek, gdy biegł pochylony — powiedział stringer. — Wyszła mu nisko przez plecy. Przeleciała przez niego jak piwo przez nerki. — Najwyraźniej był pod wrażeniem.

— Gdzie on jest? — zapytał Jerry, żeby coś powiedzieć, podczas gdy szofer wciąż lał wodę, wycierał i szorował.

— Leży umierający przy szosie. Widzisz, kilka tygodni temu skurwiele z Nowego Jorku zaparli się w sprawie pomocy medycznej. Wcześniej przywoziliśmy leki do Bangkoku. Teraz już nie, ani jednej tabletki. I wiesz co, człowieku? Leżą tam w kurzu na drodze i muszą przekupywać sanitariuszki, żeby przyniosły im wody. Zgadza się, chłopaki?

Dwaj Kambodżańscy uśmiechnęli się grzecznie.

— Chcesz czegoś, Westerby? — odezwał się Keller.

Miał szarą, zapadniętą twarz. Jerry poznał go dobrze w latach sześćdziesiątych w Kongo, gdzie poparzył sobie rękę wyciągając dziecko z płonącej ciężarówki. Teraz palce miał sklezione razem niczym płetwa, ale poza tym wyglądał tak samo. Jerry dobrze pamiętał ten wypadek, ponieważ trzymał dzieciaka z drugiej strony.

— Mój brukowiec chce, żebym się tu trochę rozejrzał — odparł.

— Stać cię jeszcze na to?

Jerry roześmiał się, Keller również. W oczekiwaniu na umycie samochodu wypili w barze whisky, rozmawiając o dawnych czasach. Przy głównym wyjściu zabrali ze sobą dziewczynę, tylko dla Kellera, wysoką Kalifornijkę o długich, niespokojnych nogach, która cały dzień wyczekiwała okazji, obwieszona zbyt wieloma aparatami. Po-

* Dziennikarz zamieszkały w danym kraju i zatrudniany przez zagraniczną gazetę lub agencję prasową (przyp. tłum.).

nieważ telefony nie działały, Jerry uparł się, by przystanąli przy brytyjskiej ambasadzie, albowiem chciał potwierdzić przyjęcie zaproszenia. Keller nie okazał wyrozumiałości.

— Co ty, Westerby, jesteś teraz jakimś szpiegiem czy co? Pisziesz pod dyktando, włazisz w dupę, żeby mieć lepsze informacje i pensjkę na boku?

Trafiali się ludzie, którzy mówili, że tym właśnie zajmuje się Keller, ale ludzie trafiają się zawsze.

— Jasne — odrzekł Jerry zgodnie. — Robię tak od lat.

Przy wejściu leżały świeże worki z piaskiem, a w błędnym słońcu błyszcząły nowe zasięki przeciwgranatne. W korytarzu, z dru-zgoczącą niestosownością, na którą stać jedynie dyplomatów, duży plakat zachwalał „brytyjskie samochody wysokiej klasy” (w mieście pozbawionym benzyny) i ukazywał radośnie zdjęcia kilku niedostępnych modeli.

— Powiem konsulowi, że przyjął pan zaproszenie — odparła grobowym głosem recepcjonistka.

W mercedesie wciąż było duszno od zapachu krwi, ale szofer włączył klimatyzację.

— Co oni tu jeszcze robią? — zapytał Keller. — Swetry na drutach czy co?

— Raczej to drugie — odparł Jerry z uśmiechem przeznaczonym dla Kalifornij ki.

Siedział z przodu, Keller i dziewczyna z tyłu.

— No dobra, teraz słuchaj — rzekł Keller.

— Jasna sprawa.

Jerry otworzył notes i pisał, a Amerykanin relacjonował. Dziewczyna miała na sobie krótką spódniczkę; Jerry i szofer widzieli w lusterku ładne uda. Keller trzymał zdrową dłoń na jej kolanie. O dziwo miała na imię Lotta i podobnie jak Jerry wybrała się na wycieczkę po strefach wojny — w imieniu grupy dzienników ze Środkowego Zachodu. Wkrótce byli jedynym samochodem w zasięgu wzroku. Zaraz też poznikały motorowery, ustępując miejsca chłopom, rowerom i bawołom oraz kwietnym krzewom wiejskiej okolicy.

— Ciężkie walki na wszystkich głównych drogach — zaintonował Keller z szybkością dyktanda. — Ataki raketowe nocą, plastik za dnia, Lon Nol wciąż uważa się za Boga, a amerykańska ambasada wspiera go wstydliwie zamiast przepędzić. — Podał dane statystyczne: artyleria, ofiary, skala amerykańskiej pomocy. Wymienił na zwiska generałów, o których było wiadomo, że sprzedają Czerwonym Khmerom amerykańską broń, następnie tych, którzy dowodzą armiami widm, by domagać się żołdu, oraz tych, którzy robią i jedno,

i drugie. — Typowa popelina. Źli faceci są za słabi, by wziąć miasto, dobrzy zbyt przegnili, by opanować kraj, i nikt nie chce walczyć z wyjątkiem komuchów. Studenci są gotowi do podpalenia miasta, jak tylko zaczną ich brać do wojska, do tego zamieszki z braku żywności i korupcja taka, jakby jutra miało nie być. Nikt nie potrafi wyżyć z pensji, majątki powstają w jedną noc, a miasto jest wykrwawione do ostatniej kropli. Pałac to kraina baśni, ambasada dom wariatów, więcej tam agentów niż normalnych facetów i wszyscy udają, że znają jakieś tajemnice. Chcesz więcej?

— Ile dajesz miastu czasu?

— Tydzień. Albo dziesięć lat.

— A linie lotnicze?

— Linie to wszystko, co nam zostało. Mekongiem za nic się nie da, tak samo drogami. Samoloty to teraz główne pole rozgrywki. Napisaliśmy o tym artykuł. Widzisz tam? Rozerwani na kawałki. Jezu — rzekł do dziewczyny — dlaczego ja muszę przez jakiegoś arystokratę to oglądać?

— Dawaj więcej — rzekł Jerry, pisząc.

— Pół roku temu w tym mieście było sześć zarejestrowanych linii lotniczych. Trzy miesiące temu wydano trzydzieści cztery nowe licencje i w kolejce czeka jeszcze z tuzin nowych. Obecna stawka to trzy miliony rielów dla ministra i dwa miliony do podziału dla jego ludzi. Wychodzi taniej, jeśli płacisz złotem, jeszcze taniej, gdy płacisz za granicą. Jedziemy szosą numer trzynaście — zwrócił się do dziewczyny. — Pomyślałem, że chętnie się rozejrzysz.

— Wspaniale — odrzekła i zwarła kolana, unieruchamiając rękę Kellera.

Minęli pomnik z odstrzelonymi ramionami i dalej droga biegła wzdłuż płynącej zakolami rzeki.

— To znaczy, jeśli Westerby potrafi to znieść — dodał Keller, jakby po namyśle.

— Och, wydaje mi się, że jestem w całkiem dobrej formie — odparł Jerry i dziewczyna roześmiała się, szybko zmieniając sojuszników.

— Czerwoni Khmerzy zajęli nową pozycję tam na drugim brzegu — wyjaśniał Keller, mówiąc przede wszystkim do dziewczyny. Za brązową, rwącą wodą Jerry ujrzał kilka T-28, rozglądających się, szukających czegoś do zbombardowania. Coś się paliło i to obficie, kolumna dymu wznosiła się wysoko w niebo niczym obłok z cnotliwej ofiary.

— Jak się do tego mają Chińczycy z Hongkongu? — zapytał Jerry. — Tam rzekomo nikt nie słyszał o Phnom Penh.

— Chińczycy kontrolują osiemdziesiąt procent tutejszego handlu, w tym linie lotnicze. Stare i nowe. Kambodżańczycy są leniwi, kapujesz, Helga? Zadowalają się uszczknięciem działki z amerykańskiej

pomocy. Chińczycy są inni. Tak, proszę pana. Chińczycy są pracowici, lubią obracać forsą. Ustabilizowali rynek pieniądza, zmonopolizowali transport, stopę inflacji. Całą gospodarkę obłożonego miasta. Ta wojna zaczyna być filią rekinów z Hongkongu. Ej, Westerby, wciąż jesteś z tą żoną, o której mi opowiadałeś, tą ze ślicznymi oczami?

— Wzięła inny kurs — odpowiedział Jerry.

— Szkoda, zdaje się, że to była wspaniała kobieta. Miał świetną żonę — zwrócił się Keller do Kalifornijki.

— A ty? — rzekł Jerry.

Amerykanin pokręcił głową i uśmiechnął się do dziewczyny.

— Nie będzie ci przeszkadzało, jak zapalę, Helga? — zapytał ją z ufnością.

W okaleczonej dłoni Kellera była szczelina o brązowawych od nikotyny brzegach, która została prawdopodobnie wycięta do trzymania papierosów. Ponownie położył zdrową rękę na udzie Kalifornijki. Szosa przeszła w wiejską drogę, pooraną głębokimi koleinami po konwojach. Wjechali w krótki tunel z drzew i wówczas po prawej stronie rozległy się grzmoty ognia artyleryjskiego, a ulistnione korony zafalowały jak podczas tajfunu.

— Rany! — wykrzyknęła dziewczyna. — Możemy trochę zwolnić? — Zaczęła szykować aparaty fotograficzne.

— Proszę bardzo. Średnia artyleria — rzekł Keller. — Nasza — dodał żartem. Kalifornijka odkręciła szybę w oknie i zaczęła pstrykać. Ogień zaporowy trwał, drzewa tańczyły, lecz chłopci pracujący na polach ryżowych nawet nie unieśli głów. Kiedy ostrzał umilkł, niby echo rozdzwoniły się dzwonki u szyi indyjskich bawołów. Toczyli się dalej. Po ich stronie rzeki dwoje dzieci jeździło na zmianę na starym rowrze. W wodzie mała grupka maluchów o lśniącej brązowej skórze nurkowała przez dętkę. Dziewczyna je sfotografowała.

— Nadal gadasz po francusku, Westerby? — zapytał Keller. — Ja i Westerby pracowaliśmy kiedyś razem w Kongo — wyjaśnił Kalifornijce.

— Słyszałam — powiedziała jak weteran.

— Wiesz, Helga, arystokraci mają wykształcenie — tłumaczył. Jerry nigdy nie widział go tak gadatliwego. — Mają wychowanie. Zgadza się, Westerby? Zwłaszcza lordowie, co? Bo on jest jakimś tam lordem.

— Tak, to my, koleżanko. Lordowie, uczeni co do jednego. Nie tak jak wy, kmiotki.

— Będziesz gadał do kierowcy, dobra? Jak będzie mu trzeba coś powiedzieć, to przetłumaczysz. Nie miał czasu nauczyć się angielskiego. W lewo.

— *A gauche* — powiedział Jerry.

Szofer był chłopcem, ale już przejawiał obojętność charakterystyczną dla przewodników.

Jerry zauważył w lusterku, że poparzona dłoń Kellera drży, gdy podnosi on rękę, by zaciągnąć się papierosem. Zastanawiał się, czy zawsze tak było. Przejechali przez kilka wiosek. Panował niczym nie zmacony spokój. Jerry pomyślał o Lizzie i śladach na jej podbródku. Pragnął zrobić z nią coś zwykłego, choćby pójść na spacer po angielskich polach. Craw powiedział, że ona jest parweniuszką z przedmieścia. Jerry'ego roztkliwiało, że miała słabość do koni.

— Westerby.

— Co, kolego?

— Palce. Bębnisz nimi. Mógłbyś przestać? Denerwuje mnie to. To jakieś ogłupiające. — Keller obrócił się do dziewczyny. — Bębnia w ten kraj od lat — rzekł wylewnie. — Od lat. — Wypuścił z ust kłąb dymu.

— Może teraz o liniach lotniczych — zaproponował Jerry, gotów do pisania. — Jakież liczby?

— Większość firm dzierżawi sprzęt w Vientiane. To obejmuje konserwację, pilotów, amortyzację, ale nie paliwo. Może wiesz o tym. Najlepiej mieć własny samolot. W ten sposób masz załatwione dwie sprawy: wyciskasz grosz z obłożonych i zabierasz dupę w troki, gdy nadchodzi koniec. Wypatruj dzieci, Helga — powiedział Keller do dziewczyny, zaciągając się papierosem. — Jak dzieciaki są w pobliżu, to nie ma strachu. A jak znikną, to znaczy, że nadchodzi niebezpieczeństwo. Bez przerwy wypatruj dzieci.

Lotta znów szperała przy aparacie. Dojechali do niewielkiego punktu kontrolnego. Kilku wartowników zajrzało przez szyby, kiedy mercedes ich mijał, ale szofer nawet nie zwolnił. Zatrzymał się dopiero, gdy dojechali do rozwidlenia drogi.

— Jedziemy z rzeką — polecił Keller. — Powiedz mu, żeby trzy mał się rzeki.

Jerry przetłumaczył. Chłopak sprawiał wrażenie zdziwionego: wygładało nawet, że chce zaoponować, ale się rozmyślił.

— Dzieciaki w wioskach — ciągnął Keller — dzieciaki na froncie. Żadnej różnicy. Tak czy siak, to one zawsze wskazują, skąd wiatr wieje. Czerwoni Khmerowie zabierają ze sobą na wojnę rodziny, to naturalne. Jeśli ojciec polegnie, rodzina i tak nic nie będzie miała, więc równie dobrze mogą iść z wojskiem, bo przy wojsku jest jedzenie. Poza tym, Helga, wdowy muszą być w pobliżu, żeby potwierdzić śmierć męża, nie? W tym jest czysto ludzki element zysku, prawda, Westerby? Jeśli nie potwierdzą, oficer zaprzeczy i ukradnie żołąd po ległego. Pisz, pisz — rzekł do notującej dziewczyny — ale nie ludź

się, że ktoś ci to wydrukuje. Ta wojna już się skończyła. Zgadza się, Westerby?

— *Finito* — potwierdził Jerry.

Doszedł do wniosku, że Kalifornijka jest zabawna. Gdyby Lizzie tu była, z pewnością dostrzegłaby w opowieści Kellera coś komicznego i uśmiełaby się. Przypuszczał, że gdzieś wśród jej wszystkich imitacji żyje zagubiony oryginał, i zdecydowany był go odnaleźć. Szofer podjechał do jakiejś staruszki i zagaił po khmersku, ale kobieta zakryła twarz rękoma i odwróciła głowę.

— Dlaczego ona się tak zachowuje, na miłość boską?! — krzyknęła Lotta. — Jezu, przecież nie chcieliśmy jej zrobić nic złego!

— Jest nieśmiała — odparł Keller głucho.

Za nimi bateria artyleryjska oddała kolejną salwę, która zabrzmiała jak zatraskiwane drzwi, odcinające powrót. Minęli *wat* i wjechali na rynek otoczony drewnianymi domami. Patrzyli na nich odziani w szafranowe szaty mnisi, natomiast dziewczęta zajęte były doglądaniem straganów, a dzieci zabawą z kogutami.

— Więc po co był ten punkt kontrolny? — zapytała Lotta, robiąc zdjęcia. — Czy tu jest już niebezpiecznie?

— Zbliżamy się, zbliżamy, Helga. A teraz bądź cicho.

Z przodu dochodziły odgłosy ognia z broni maszynowej, pomieszane M-16 i AK-47. Z drzew wypadł ku nim jeep. W ostatniej chwili odbił w bok, podskakując z łoskotem na wybojach. W tej samej chwili zgasło słońce. Dotąd brali je za swą własność w formie płynnego, przejrzystego światła, przemytego na wskroś ulewnymi deszczami. Był marzec, pora sucha; Kambodża, gdzie wojna, podobnie jak mecz krykieta, toczy się tylko przy znośnej pogodzie. Teraz jednak nadpłynęły czarne chmury, drzewa zamknęły się wokół mercedesa niczym zima, a drewniane domy odpłynęły w półmrok.

— Jak są ubrani Czerwoni Khmerowie? — zapytała Lotta nieco ciszej. — Mają mundury?

— Pióra i przepaski biodrowe! — ryknął Keller. — Niektórzy paradują z gołym tyłkiem. — W jego śmiechu Jerry posłyszał napiętą nutę, w lusterku zaś ujrzał przelotnie roztrzęsioną dłoń z papierosem. — Ubierają się jak chłopci, cholera jasna. Noszą te czarne piżamy.

— Czy ty zawsze jest tak pusto?

— Różnie bywa.

— No i jeszcze sandały w stylu Ho Szi Mina — dorzucił Jerry z roztargnieniem.

Nad drogą przeleciała para zielonych ptaków wodnych. Odgłosy walki brzmiały jednostajnie.

— Czy ty nie miałaś aby córki? — zapytał Keller. — Co się z nią dzieje?

— Ma się dobrze.

— Jak się zwie?

— Catherine.

— Wygląda na to, że się oddalamy — powiedziała rozczarowana Lotta. Minęli stare zwłoki bez rąk. Muchy obsiadły czarną lawą rany na twarzy.

— Czy oni zawsze to robią? — zapytała Lotta ciekawie.

— Co?

— Zdejmują im buty?

— Czasem zdejmują buty i czasem te buty mają niedobry numer — odparł Keller w kolejnym osobliwym przypiływie złości. — Niektóre krowy mają rogi, inne nie, a jeszcze inne to w rzeczywistości konie. A teraz zamknij się wreszcie, dobra? Skąd jesteś?

— Z Santa Barbara — odparła.

Nagle skończyły się drzewa. Pokonali zakręt i znów znaleźli się na otwartym terenie, z brązową rzeką płynącą po prawej stronie. Szofer samowolnie zatrzymał samochód, po czym cofnął go uważnie między drzewa.

— Dokąd on jedzie? — zapytała dziewczyna. — Kto mu kazał?

■ — Chyba się boi o opony — zazartował Jerry.

— Gdy dostaje trzydzieści dolców dziennie? — dorzucił Keller również dla kawału.

Natrafili na małą potyczkę. Z przodu, dominując nad zakolem rzeki, stała na wysokiej piaszczystej skarpie zburzona wioska bez jednego żywego drzewa w pobliżu. Poharatane ściany były białe, a krawędzie gruzu żółte. Z braku roślinności zabudowania wyglądały na ruiny fortu Legii Cudzoziemskiej i być może tym właśnie były. Wewnątrz murów skupiły się brązowe ciężarówki, niczym wywrotki na placu budowy. Usłyszeli kilka strzałów, lekką kanonadę. Równie dobrze mogliby to być myśliwi podczas wieczornego polowania na ptactwo. Zablysnęła pocisk smugowy, trzasnęła tercet pocisków moździerzowych, ziemia zadrżała, samochód zatrząsł się, a szofer pospiesznie odkręcił szybę w oknie. Jerry zrobił to samo. Lotta natomiast otworzyła drzwi i właśnie wysiadała, jedna klasyczna noga, druga. Przetrzęsawszy czarną torbę, wydobyła obiektyw teleskopowy, przykręciła go do aparatu i wpatrzyła się w powiększony obraz w wizjerze.

— To wszystko, nic więcej? — zapytała zniechęcona. — Może moglibyśmy zobaczyć nieprzyjaciela? Nic nie widzę prócz naszych i dymu.

— Oni są tam, po drugiej stronie — odparł Keller.

— Nie możemy ich zobaczyć?

Zapadło milczenie, podczas którego dwaj mężczyźni porozumieli się wzrokiem.

— Posłuchaj — zaczął Keller. — To tylko mała przejażdżka, rozumiesz? Szczegóły często się zmieniają. Zgoda?

— Ja po prostu myślę, że wspaniale byłoby zobaczyć nieprzyjaciela. Chcę konfrontacji, Max, naprawdę mi na niej zależy. Lubię konfrontację.

Ruszyli na piechotę.

Czasami robi się to, by nie stracić twarzy, pomyślał Jerry, innym razem dlatego, że człowiek ma poczucie, iż nie spełnił do końca swego obowiązku, skoro nie doświadczył śmiertelnego lęku. Kiedy indziej, by sobie przypomnieć, że przetrwanie to uśmiech losu. Ale najczęściej idzie się, bo inni idą: skutek *machismo* albo dlatego, że przynależć oznacza dzielić los z innymi. Być może dawniej Jerry ryzykował z subtelniej szych powodów. By lepiej siebie poznać — wedle reguł Hemingwayowskiej gry. By podnieść swój próg strachu. I jeszcze dlatego, że w bitwie, podobnie jak w miłości, pragnienie się potęguje. Człowiekowi, do którego przed chwilą prażono z broni maszynowej, pojedyncze strzały zdają się śmieszne. Gdy zaś na głowę spada grad bomb, to z kolei ogień z karabinu maszynowego jawi się dziecinną igraszką, choćby dlatego, że uderzenie kuli zostawia mózg na swoim miejscu, podczas gdy eksplozja bomby wyciska go uszami. Jest też spokój: pamiętał i to. W złych okresach swego życia — kłopoty z pieniędzmi, dziećmi, kobietami — zawsze miał poczucie spokoju, którego źródłem była świadomość, że jego jedynym obowiązkiem jest pozostanie przy życiu. Ale tym razem, pomyślał, tym razem robię to z tak głupiego powodu, jak nigdy dotąd: tylko dlatego, że szukam jakiegoś pilota, kolegi człowieka, którego kochanką była Lizzie Worthington. Szli powoli, ponieważ ubrana w kusą spódniczkę Lotta z trudnością stawiała kroki w śliskich koleinach.

— Niezła ptaszyna — mruknął Keller.

— Stworzona do tego — zgodził się posłusznie Jerry.

Z uczuciem wstydłu przypomniał sobie, jak w Kongo zwierzali się sobie, przyznając do słabostek i upodobań. By utrzymać równowagę na pooranej ziemi, dziewczyna wymachiwała rękoma.

Nie trzep łapami, pomyślał Jerry, na miłość boską, przestań trzepać. Tak właśnie fotografowie dostają kulkę.

— Nie zatrzymuj się, Helga — powiedział Keller piskliwie. — Nie myśl o niczym, tylko idź. Westerby, chcesz wracać?

Stanęli dokoła małego chłopca, który bawił się samotnie w kurzu kamykami. Jerry był ciekaw, czy mały ogłuchł od wybuchów. Zerknął przez ramię: mercedes wciąż tkwił pośród drzew. Daleko w przodzie dostrzegał ukrytych w ruinach mężczyzn w pozycjach strzeleckich; było ich więcej, niż sobie uświadamiał. Nagle hałas się wzmógł. Na

przeciwległym brzegu, w środku ostrzału artyleryjskiego, wybuchło kilka bomb. T-28 usiłowały rozprzestrzenić płomienie. Pocisk lecący rykoszetem wbił się w nasyp pod Jerry, wyrzucając w górę mokry szlam i kurz. Minął ich wieśniak pedałujący wesoło na rowerze. Wjechał do wioski, po czym wyłonił się u drugiego końca, powoli oddalając od ruin i niknąc wśród dalekich drzew. Nikt do niego nie strzelał, nikt go nie zatrzymał. On może być nasz lub ich, pomyślał Jerry. Może przyjechał wczoraj do miasta, wrzucił plastik do kina i teraz wraca do swoich.

— Jezu! — wykrzyknęła Lotta ze śmiechem. — Dlaczegośmy nie pomyśleli o rowerach?

Wraz z łoskotem spadających cegieł rozległ się terkot broni maszynowej. Dokoła zaczął padać grad kul. Zrządzeniem Opatrzności poniżej, nad samą rzeką, ciągnęły się puste jamy, płytkie stanowiska strzeleckie wykopane w błocie. Chwyciwszy Lotę, Jerry zepchnął ją w dół. Keller już leżał plackiem na ziemi. Padając obok dziewczyny, Jerry poczuł obojętność. Lepsza kula albo nawet dwie od tego, co stało się udziałem Frosta. Pociski wzbijały tumany kurzu i z jękiem przelatywały przez drogę. Leżeli płasko, czekając, aż strzały umilkną. Podekscytowana Lotta spoglądała z uśmiechem na przeciwległy brzeg rzeki. Miała niebieskie oczy i płowe włosy; Aryjka. Na skraju drogi za ich plecami wybuchnął szrapnel i Jerry błyskawicznie przycisnął dziewczynę do ziemi. Podmuch przetoczył się nad nimi, a kiedy minął, kłęby rozpylonego piachu opadły niczym smugi dymu z całopalenia. Ale Lotta znów się uniosła, z uśmiechem. Gdy Pentagon myśli „cywilizacja”, rzekł do siebie w duchu Jerry, myśli o niej. W forcie bitwa przybierała na sile. Ciężarówki zniknęły, zebrał się gęsty dym, błyski i dudnienie mózdzierzy stały się nieprzerwane, lekka broń maszynowa terkotała coraz raptowniej. Nad krawędzią dołu ukazała się dziobata twarz Kellera, biała jak prześcieradło.

— Czerwoni dobrali się im do dupy! — wrzasnął. — Zza rzeki i z flanki też. Powinniśmy byli jechać drugą odnogą!

Chryste, pomyślał Jerry pod natłokiem wspomnień, przecież ja walczyłem kiedyś z Kellerem o dziewczynę. Usiłował przypomnieć sobie, kim ona była i kto wygrał.

Zaczekali, aż walka ustanie, po czym wrócili do samochodu i dojechali z powrotem do rozwidlenia akurat w chwili, gdy przejeżdżał tamtędy wycofujący się konwój. Wzdłuż drogi leżeli zabici i ranni, wśród których klęczały kobiety, wachlując zdumione twarze palmowymi liśćmi. Znowu wysiedli. Uchodźcy ciągnęli bawoły, wózki i siebie nawzajem, pokrzykując na świnię i dzieci. Jakaś staruszka wrzasnęła na widok aparatu Kalifornijki, biorąc obiektyw za lufę. Dochodziły odgłosy, których źródła Jerry nie mógł odgadnąć, jak

choćby brzęczenie dzwonekó w rowerowych i melodyjne zawrođenje, oraz takie, które umiejscawiał z łatwością: płaczące jęki konających i dudnienie zbliżającego się ostrzału z moździerzy. Keller biegł przy jednej z ciężarówek, usiłując znaleźć oficera, który znałby angielski, Jerry zaś truchtał obok, wykrzykując jego pytania po francusku.

— Niech to cholera weźmie — rzekł Amerykanin, zrezygnowany. — Jedźmy do domu. — Następnie dodał jak paniątko: — Ach ci ludzie i ten hałas.

Wrócili do mercedesa.

Na jakiś czas utknęli w kolumnie, spychani przez ciężarówki na pobocze, zaczepiani uprzejmym stukaniem w szyby przez uchodźców proszących o podwiezienie. W pewnej chwili Jerry'emu zdało się, że widzi Szwaba Śmiercioluba jadącego na wojskowym motorowerze. Przy następnym rozwidleniu Keller kazał szoferowi skrócić w lewo.

— Spokojniej tu — wyjaśnił i z powrotem położył zdrową dłoń na kolanie dziewczyny. Jerry natomiast myślał o leżącym w kostnicy Froście, o bieli jego rozwrzeszczanej twarzy.

— Moja stara matka — oznajmił Keller wiejskim zaśpiewem — zawsze mawiała tak: synu, nigdy nie wracaj przez dżunglę tą samą drogą, którą przyszedłeś. Helga?

— Co?

— Właśnie straciłaś dziewictwo, moje uniozone gratulacje. — Dłoń posunęła się nieco wyżej.

Nagle spadł deszcz i ze wszystkich stron nadszedł odgłos lejącej się wody, jakby pękło tysiąc rur wodociągowych. Minęli osiedle pełne biegających w ulewie kurczaków. Nie opodał stał pusty fotel fryzjerski. Kiedy już ochłonęli, Jerry obrócił się ku Kellerowi.

— Teraz trochę o gospodarce obłożonego miasta — podjął na nowo temat. — Kto rządzi rynkiem i tak dalej. Sądzisz, że mi to wydrukują?

— Może — odparł beztrasko Keller. — Parę razy już o tym pisano, ale temat wciąż na czasie.

— Kto gra pierwsze skrzypce?

Keller wymienił kilka nazw.

— A „Indocharter”?

— „Indocharter” też.

Jerry postanowił zagrać *va banque*.

— Jest taki błazen, Charlie Marshall, lata dla nich, pół-Chińczyk. Ktoś mi mówił, że on chętnie gada. Znasz go?

— Nie.

Uznał, że tyle wystarczy.

— Na czym oni latają?

— Na czym popadnie. DC-4, co chcesz. Ale jedna maszyna nie starcza. Potrzeba co najmniej dwóch, jedną latasz, drugą rozbierasz na części. Taniej rozłożyć grata, niż sprowadzać części zamienne i przepukrywać celników.

— Jaki jest zysk?

— To nie nadaje się do druku.

— Dużo tu opium?

— Rany, tam, na Bassac jest cała rafineria. Wygląda jak z czasów prohibicji. Mogę ci załatwić zwiedzanie, jeśli jesteś zainteresowany.

Lotta siedziała przy szybie, patrząc na deszcz.

— Max, nie ma dzieci — powiedziała. — Kazałeś mi wypatrywać dzieci. Nie ma ich, poznikaly. — Szofer zatrzymał samochód. — Pada, a ja gdzieś czytałam, że w Azji dzieci wychodzą w deszcz, żeby się bawić. No gdzie one są?

Jerry nie słuchał, o czym czytała. Wtuliwszy głowę w ramiona, wyrzwał przez szybę i zobaczył to, co chwilę wcześniej dostrzegł szofer. Poczul suchość w gardle.

— Ty tu rządzisz, kolego — rzekł cicho do Kellera. — Twój wóz, twoja wojna i twoja dziewczyna.

Z bólem zobaczył w lusterku twarz Kellera, rozdartą między doświadczeniem a niemocą.

— Jedź ku nim powoli — mruknął do szofera, gdy już nie mógł dłużej czekać. — *Lenlement*.

— Tak, racja — odezwał się Keller. — Zrób to.

Pięćdziesiąt jardów przed nimi, osłonięta obfitym deszczem, stała w poprzek drogi ciężarówka, całkowicie blokując przejazd. W lusterku widać było drugą, która odcinała odwrót.

— Lepiej pokażmy im ręce — powiedział Keller chrapliwym głosem. Odkręcił okno. Jerry i dziewczyna zrobili to samo. Jerry wytarł przednią szybę z mgiełki i położył dłonie na desce rozdzielczej. Szofer trzymał kierownicę u samej góry.

— Nie uśmiechajcie się i nic do nich nie mówcie — rozkazał Jerry.

— Jezu Chryste — mruknął Keller. — Święty Boże.

Każdy pismak w Azji miał swoje ulubione opowieści o tym, co Czerwoni Khmerowie potrafią zrobić z człowiekiem, i Jerry wiedział, że większość z tych historyjek jest prawdziwa. W tej chwili nawet Frost byłby wdzięczny za stosunkowo bezbolesny koniec. Jerry znał dziennikarzy, którzy nosili ze sobą truciznę albo ukrytą broń, by uwolnić się od chwili, która właśnie nadeszła. Pamiętał, że w razie niewoli tylko pierwszej nocy można liczyć na ucieczkę, zanim pozbawią jeńca butów, zdrowia i Bóg wie czego jeszcze. Pierwsza noc

to jedyna szansa, tak mawiano. Zastanawiał się, czy nie powinien tego powiedzieć dziewczynie, ale nie chciał ranić uczuć Kellera. Sunęli z mozołem do przodu na pierwszym biegu, a silnik rzeził. Deszcz zalewał samochód, dudnił o dach, siekał maskę, kłuł w twarz przez otwarte okna. Jeśli ugrzęzniemy, po nas, pomyślał Jerry. Znajdująca się z przodu ciężarówka — lśniące w ulewie monstrum — wciąż tarasowała drogę, a dzieliło ich od niej ledwie piętnaście jardów. W półmroku szoferki widzieli obserwujące ich chude twarze. W ostatniej chwili szarpnęła się do tyłu w roślinność, zostawiając dość miejsca na przejazd. Mercedes zachybotał się. Jerry musiał przytrzymać się rączki u drzwi, by nie runąć na szofera. Lewe koła zabuksowały z jękiem, maska zakołysała się na wszystkie strony i przechyliła ku zderzakowi ciężarówki.

— Nie mają tablic rejestracyjnych — szepnął Keller. — Święty Jezu.

— Bez pośpiechu — ostrzegł szofera Jerry. — *Toujours lentement*. I nie włączaj świateł. — Patrzył w lusterko.

— To były te czarne pizamy? — zapytała podekscytowana Lotta. — I nie pozwoliliście mi zrobić zdjęcia?

Nikt nie rzekł słowa.

— Czego chcieli? Na kogo zastawili zasadzkę? — dopytywała się.

— Nie na nas — odparł Jerry.

— Na niedobitki, które pewnie jadą za nami — rzekł Keller. — Co cię to obchodzi?

— Nie powinniśmy ich ostrzec?

— Nie mamy możliwości — odrzekł.

Z tyłu dobiegły strzały; jechali dalej.

— Jebany deszcz — westchnął Keller, raczej do siebie. — Dla czego nagle spadł deszcz?

Ulewa niemal ustała.

— Chryste, Max — dziewczyna nie mogła wyjść ze zdumienia — mieli nas jak na talerzu i nie wykończyli?

Zanim Keller zdołał odpowiedzieć, szofer zrobił to za niego po francusku, łagodnie i uprzejmie, choć i tak tylko Jerry rozumiał.

— Jeśli będą chcieli przyjść, przyjdą — powiedział, uśmiechając się do Lotty w lusterku. — W złą pogodę. W czasie gdy Amerykanie będą wylewać następne pięć metrów betonu na dach ambasady, żołnierze siedzieć skuleni w pałatkach pod drzewami, dziennikarze pić whisky, a generałowie zabawiać się w *fumerie*, Czerwoni Khmerowie wyjdą z dżungli i poderzną nam gardła.

— Co on mówi? — zapytał Keller Jerry'ego. — Przetłumacz, Westerby.

— No właśnie, co on gada? — chciała wiedzieć Lotta. — Brzmiało wspaniale. Jak oświadczyły albo coś takiego.

— Nie całkiem zrozumiałem, koleżanko. Trochę przyszybka seria. Wszyscy gruchnęli śmiechem, zbyt głośno, szofer również.

Jerry uświadomił sobie, że przez cały czas myślał tylko o Lizzie. Nie wbrew niebezpieczeństwu — wręcz przeciwnie. Podobnie jak wspaniałe słońce, które ich teraz zalało światłem, była nagrodą za przetrwanie.

W Phnom Penh to samo słońce ogrzewało wesoło brzegi basenu. Na miasto nie spadł deszcz, tylko rakietą, w pobliżu szkoły żeńskiej, zabijając ośmioro lub dziewięcioro dzieci. Stringer akurat wrócił z liczenia ofiar.

— No i jak się Maxie sprawił podczas pukaniny? — zapytał Jerry'ego, gdy mijali się w holu. — Coś mi się wydaje, że ostatnio nerwy mu puszczają.

— Zabierz swoją wyszczerzoną gębę z moich oczu — poradził mu Jerry — bo inaczej cię w nią wyrznię.

Wciąż uśmiechnięty, południowiec odszedł.

— Moglibyśmy się spotkać jutro — powiedziała Lotta do Jerry'ego. — Jutro jest dzień wolny.

Za jej plecami Keller wspinał się powoli po schodach — zgarbiona postać w koszuli z jednym rękawem — podciągając się przy poręczy.

— Albo nawet dzisiaj wieczorem, jeśli masz ochotę — dodała.

Jerry zamknął się na parę minut w swoim pokoju, by napisać pocztówki do Cat. Następnie udał się do redakcji Kellera. Chciał zadać mu jeszcze kilka pytań na temat Charliego Marshalla. Ponadto miał wrażenie, że stary Max będzie mu wdzięczny za towarzystwo. Potem, spełniwszy swój obowiązek, wziął motorower i pojechał do domu Marshalla, ale choć walił w drzwi i wrzeszczał, znowu zobaczył tylko parę nieruchomych stóp u dołu schodów, tym razem w blasku świecy. Jednak wydarta z notesu kartka zniknęła. Wrócił do miasta i mając wolną godzinę, usiadł na ulicy w kawiarni, pośród pustych krzeseł i stolików, by wypić dużego pernoda i wspomnieć, jak niegdyś dziewczyny z miasta mijaly go na wozach z wikliny, szepcząc śpiewną francuszczyzną miłosne frazesy. Ale tego wieczora jedynym przejawem czułości, na który drżenie przeszywało mrok, był sporadyczny terkot karabinów maszynowych, miasto tymczasem czekało skulone na ostateczny cios.

Kiedy dyplomata chce porozmawiać, pierwsze, co przychodzi mu na myśl, to jedzenie, w dyplomatycznych kręgach zaś Phnom Penh kolację jadano wcześniej ze względu na godzinę policyjną. Nie znaczy to, że dyplomaci podlegali tak drakońskim ograniczeniom wolności. Czarująca arogancja ludzi tego pokroju polega na przekonaniu, że ich rolą jest dawanie dobrego przykładu — czego i komu, tego sam diabeł nigdy nie będzie wiedział. Dom konsula znajdował się w płaskiej, zdrzewionej enklawie graniczącej z terenem pałacu Lon Nola. Na podjeździe, w chwili gdy zajechał tam Jerry, z urzędowej limuzyny wyłaniali się goście, strzeżeni przez jeep obładowany milicjantami. Królewskie pochodzenie albo religia, pomyślał Jerry, wysiadając z taksówki, ale to był tylko amerykański dyplomata z żoną; oni też przybyli na kolację.

— Ach, pewnie pan Westerby — powiedziała do niego gospodyni.

Była wysoka, sztywnie ubrana i najwyraźniej ubawiona istnieniem dziennikarza, podobnie jak istnieniem każdego, kto nie był dyplomata i to przynajmniej w randze konsula.

— John nie mógł się pana doczekać — wyznała ochoczo. Jerry przypuścił, że stara się go ośmielić. Ruszył za nią na piętro. U góry schodów stał gospodarz, żyłasty mężczyzna z wąsem, lekko zgarbiony, o manierze chłopca, która kojarzyła się Jerry'emu z duchownymi.

— Brawo! Świetnie. Pan jest tym krykiecistą. Brawo. Mamy wspólnych przyjaciół, co? Niestety, nie wolno nam dziś korzystać z balkonu — rzekł z łobuzerskim spojrzeniem w kierunku Amerykanów. — Dobrzy ludzie to rzadkość, jak się wydaje, więc nie mogą się narażać. Widział pan, gdzie pan siedzi? — Wskazał władczo palcem oprawiony w skórę *placement* ukazujący rozmieszczenie gości przy stole. — Proszę dalej, musi pan poznać kilka osób. Ale jedną chwileczkę. — Odciągnął lekko Jerry'ego na bok, ale tylko o krok. — Wszystko ma iść przeze mnie, rozumiemy się? Wyraźnie to zaznaczyłem. Nie pozwól pan zapędzić się w kozi róg, jasne? Jest sporo zamieszania, jeśli pan rozumie, co mam na myśli. Tutejsza sprawa, nie pański problem.

Wyższy rangą Amerykanin, śniady i schludny, na pierwszy rzut oka wydawał się niski, ale gdy wstał, by uścisnąć Jerry'emu dłoń, okazało się, że są niemal równi wzrostem. Był ubrany w kraciatą marynarkę z surowego jedwabiu, a w lewej dłoni trzymał krótkofalówkę w czarnej plastikowej obudowie. Miał brązowe, inteligentne oczy, wyrażające zbytni szacunek, i kiedy się witali, wewnętrzny głos podpowiedział Jerry'emu, że to „kuzyn”.

— Cieszę się, że się poznaliśmy, panie Westerby. O ile wiem, przyjechał pan z Hongkongu. Wasz gubernator jest moim serdecznym przyjacielem. Beckie, to pan Westerby, znajomy gubernatora z Hongkongu i dobry przyjaciel Johna, naszego gospodarza.

Wskazał Jerry'ego postawnej kobiecie obwieszanej nudnym, ręcznie obrabianym srebrem z bazaru. Jej jaskrawy strój raził azjatycką pstrokacizną.

— Ach, pan Westerby z Hongkongu — powiedziała. — Serwus!

Pozostałymi gośćmi była mieszanina miejscowych handlowców. Ich kobiety były Euroazjatkami, Francuzkami lub Korsykankami. Młody posługacz uderzył w srebrny gong. Sufit sali jadalnej był z betonu. Gdy wtłoczono się do środka, Jerry zauważył, że kilka par oczu zerka do góry dla pewności. Ze srebrnej karty dowiedział się, że jest „Czcigodnym G. Westerbym”, srebrne menu obiecywało mu *le roast beef a l'anglaise*, na srebrnych świecznikach pyszniły się długie świece o liturgicznej sylwetce, zaś kambodżańscy chłopcy nadbiegali przygarbieni z tacami potraw przygotowanych rankiem, gdy nie brakło prądu. Po prawej stronie Jerry'ego siedziała znająca obce kraje francuska piękność z koronkową chusteczką między pierśiami. Drugą chusteczkę trzymała w dłoni i za każdym razem, gdy wypła łyk lub wzięła kęs, ocierała drobne usta. Karta tytułowała ją hrabiną Sylvią.

— *Je suis tres, tres diplomee* — szepnęła do Jerry'ego, skubiąc jedzenie i osuszając wargi. — *J'ai fait la science politique, mécanique et l'électncite generale*. W styczniu miałam kłopoty z sercem. Teraz się kuruję.

— Hm, tak, no ja nie mam zbyt wielu kwalifikacji — wyznał Jerry. — Param się wszystkim, nie znam na niczym, oto cały ja — stroił sobie nadmierne żarty. Przetłumaczenie tych słów na francuski zajęło mu dłuższą chwilę i wciąż się mozolił, gdy nagle rozległ się w pobliżu terkot karabinu maszynowego, o wiele za długi jak na ćwiczenie sprawności bojowej. Odpowiedź nie padła.

Rozmowy się urwały.

— Jakiś idiota praży do gekonów, jak mi się zdaje — rzekł konsul, a siedząca nieco dalej jego żona roześmiała się czule, jakby wojna była małą atrakcją, którą przygotowali wspólnie z myślą o gościach. Znów zapadła cisza, głębsza i bardziej znacząca niż przedtem. Mała hrabina odłożyła widelec na talerz, który brzęknął jak tramwaj w nocy.

— *Dieu* — wyszeptała.

Naraz wszyscy zaczęli mówić. Żona Amerykanina zapytała Jerry'ego, gdzie się wychował, a gdy już przez to przebrnęli, chciała wiedzieć, gdzie jest jego dom, więc odpowiedział, że na Thurloe Square, w owym starym mieszkaniu Pet, albowiem nie miał ochoty mówić o Toskanii.

— My mamy ziemię w Vermont — powiedziała dobitnie. — Ale jeszcześmy się tam nie pobudowali.

Dwie rakiety spadły jednocześnie, wedle rozeznania Jerry'ego we wschodniej części miasta, w odległości jakiejś pół mili. Rozglądając się, czy okna są pozamykane, nadzieją się na spojrzenie Amerykanina, wbite w niego z tajemniczą natarczywością.

— Ma pan jakieś plany na jutro, panie Westerby?

— Nic szczególnego.

— Jeśli możemy jakoś pomóc, proszę dać znać.

— Dzięki — odparł Jerry, choć odniósł wrażenie, że sedno pytania kryło się w czymś innym.

Szwajcarski handlowiec miał w zanadru śmieszna historię. Wykorzystał obecność Jerry'ego, by ją opowiedzieć.

— Nie tak dawno temu całe miasto rozbrzmiewało strzelaniną, proszę pana — rzekł. — Wiedzieliśmy, że przyszedł na nas koniec. Och, zdecydowanie. Leciało wszystko: szrapnele, pociski smugowe, prosto w niebo, amunicja za milion dolarów, jak się potem okazało. I tak godzinami, bez końca. Niektórzy z moich przyjaciół już się żegnali na zawsze. — Spod stolika wyłonił się oddział mrówek, który uformowawszy pojedynczą kolumnę, rozpoczął marsz po idealnie wyprasowanym obrusie z adamaszku, ostrożnie obchodząc stojące na drodze srebrne świeczniki i wazon przepelniony hibiskusem. — Amerykanie nadawali przez radiostacje, miotali się tu i tam, wszyscy sprawdzaliśmy uważnie nasze nazwiska na listach ewakuacyjnych, ale zabawna rzecz, wie pan, telefony działały i nawet był prąd. I do czego strzelano? — zapytał, gdy goście śmieli się histerycznie od dłuższej chwili. — Do żab! Do jakichś żarłocznych żab!

— Ropuch — poprawił go ktoś, ale to nie przerwało wybuchu wesołości.

Amerykański dyplomata, wzór rycerskiego samokrytycyzmu, dopowiedział epilog zabawnej anegdoty.

— Kambodżańczycy hołdują pewnemu przesądowi, panie Westerby — rzekł. — Kiedy jest zaćmienie Księżyca, należy hałasować jak najgłośniej. Trzeba puszczać fajerwerki, walić w blaszane puszki, albo jeszcze lepiej, wystrzelać amunicję za milion dolarów. Bo jeśli nie, to żaby pożrą Księżyc. Powinniśmy byli o tym wiedzieć, ale nie wiedzieliśmy i w konsekwencji mieliśmy bardzo głupie miny — zakończył z dumą.

— Tak, obawiam się, że daliście plamę, chłopie — rzekł konsul z satysfakcją.

Uśmiech Amerykanina pozostał spokojny i szczery, ale jego oczy, skupione na Jerry'm, wciąż wyrażały jakieś pilne przesłanie — jakby jeden profesjonalista przekazywał informację drugiemu.

Ktoś mówił o służących i ich zdumiewającym fatalizmie. Wtem oddzielna detonacja, głośna i pozornie bliska, położyła kres przedsta-

wieniu. W chwili gdy hrabina Sylvia chwyciła dłoń Jerry' ego, gospodyni uśmiechnęła się pytająco do swego męża, siedzącego u dołu stołu.

— John, najdroższy — spytała najśłodziej, jak potrafiła — czy to od nas strzelają czy do nas?

— Od nas — odparł ze śmiechem. — Zdecydowanie od nas. Spytaj naszego dziennikarza, jeśli mi nie wierzysz. Ma na koncie kilka wojen, prawda, Westerby?

Ponownie dopadła ich cisza, niczym zakazany temat rozmów. Amerykanka uczepiła się kawałka ziemi w Vermont. Być może należałoby się jednak pobudować. Może czas to zrobić.

— Chyba powinniśmy po prostu napisać do tego architekta — rzekła.

— Chyba tak — zgodził się jej mąż i w tej samej chwili towarzystwo znalazło się w środku walnej bitwy. Dochodząca z bliska długa salwa z działka szybkostrzelnego oświetliła suszące się na podwórzu pranie, zaś gniazdo karabinów maszynowych, aż dwudziestu, terkotało w namolnym, desperackim wysiłku. W błyskach dostrzegli przemykających do domu służących, na grzechot strzelaniny zaś nakładały się głosy, wydawane rozkazy i odzewy, krzyki oraz obłąkańcze dzwonienie gongów. W sali jadalnej nikt się nie poruszył z wyjątkiem amerykańskiego dyplomaty, który podniósł do ust krótkofalówkę, wyciągnął antenę i mruknął coś do mikrofonu, następnie przyłożył aparat do ucha. Jerry spuścił oczy i zobaczył dłoń hrabiny przyłgniętą z ufnością do swojej. Kobieta otarła się policzkiem o jego ramię. Strzelanina cichła. Usłyszał trzask eksplodujących opodał bomb. Nie poczuł podmuchu, tylko płomyki świec oddały ukłonem honory wojskowe, a z gzymsu nad kominkiem klapnęło na podłogę kilka zaproszeń; natychmiast znieruchomiały, jedyne widziane ofiary. Wówczas, na zakończenie, usłyszeli pomruk odlatującego samolotu jednosilnikowego przypominający odległą skargę dziecka. Zagłuszył go swobodny śmiech konsula, który zwrócił się do żony:

— No tak, obawiam się, że to chyba nie było zaćmienie, co, Hills? Oto korzyść z mieszkania po sąsiedzku z Lon Nolem. Jego piloci co jakiś czas mają dość czekania na żołąd, więc wsiadają do samolotu i dla postrachu ostrzeliwiają pałac. Kochanie, może wy, panie, chciałabyście przypudrować sobie nosy i co tam jeszcze innego zrobić?

To gniew, doszedł do wniosku Jerry, uchwyciwszy ponownie spojrzenie Amerykanina. Zachowuje się jak misjonarz, którego zatrzymali bogacze w drodze do biednych.

Jerry, konsul i Amerykanin stali w milczeniu w gabinecie na parterze. Konsul nabrał wilczej nieśmiałości.

— No tak — rzekł. — Skoro już was wyswatałem, to chyba powinienem teraz zejść ze sceny. Whisky jest w karafce, Westerby.

— W porządku, John — odparł Amerykanin, ale konsul zdawał się nie słyszeć jego słów i dalej mówił do Jerry'ego.

— Pamiętaj tylko, że to my mamy mandat, tak? To my trzymamy ster. Zgadza się? — Pokiwawszy domyślnie palcem, wyszedł.

Gabinet rozświetlały świece; było to małe, męskie pomieszczenie bez luster i obrazów, o żebrowanym suficie z drzewa tekowego, z zielonym metalowym biurkiem, wypełnione atmosferą śmiertelnej ciszy dochodzącej z ciemności na zewnątrz, choć gekony i żaby wprawiłyby w zakłopotanie najnowocześniejszy mikrofon.

— Proszę mi pozwolić — rzekł Amerykanin, powstrzymując Jerry'ego w drodze do kredensu. Zaczął celebrować nalewanie trunków. — Zwykła woda czy mineralna? I niech pan pilnuje, żebym nie przesadził. Sporo ceregieli, by doprowadzić do spotkania dwóch przyjaciół, co? — dodał gawędziarsko spiętym głosem.

— Raczej tak.

— John to wspaniały facet, ale jest pedantem w sprawach protokołu. Wasi ludzie nie mają tu w tej chwili żadnych środków, mają zaś pewne prawa, więc John lubi się upewniać, że piłka nie opuściła na dobre jego pola gry. Rozumiem ten punkt widzenia. Tyle że czasem sprawy nieco się przez to przeciągają.

Wręczył Jerry'emu długą brązową kopertę wyjętą z wewnętrznej kieszeni kraciatej marynarki i z tą samą baczną uwagą co przedtem przyglądał się mu, gdy on łamał pieczęć. Papier miał nieco rozmazany druk i gładką powierzchnię fotografii.

Gdzieś zakwiliło dziecko i zaraz ktoś je uciszył. W garażu, pomyślał Jerry: służący wpuścili tam uchodźców w tajemnicy przed konsulem.

SŁUŻBY W SAJGONIE donoszą Charlie MARSHALL powt. MARSHALL ma wylot do Battambang, przewidywany czas przylotu 19.30 jutro przez Pailin... przerobiony DC-4 Carvair, znaki „Indocharter”, w manifeście wymieniony różnorodny ładunek... przewidziany dalszy lot do Phnom Penh.

Przeczytał godzinę oraz dzień transmisji i gniew targnął nim jak podmuch wiatru. Przypomniał sobie niedawną wędrowkę po Bangkoku i lekkomyślną przejażdżkę z Kellerem i dziewczyną sprzed kilku godzin. Szepnąwszy „Jezu Chryste”, cisnął kartkę na biurko oddzielające go od Amerykanina.

— Jak długo pan to nosi? To nie jutro, to dziś!

— Niestety, nasz gospodarz nie mógł doprowadzić do ślubu wcześniej. Ma niesłychanie napięty grafik. Powodzenia.

Równie rozgniewany co Jerry, Amerykanin bez słowa odebrał sygnał, włożył go na powrót do kieszeni i ruszył schodami na górę do swej żony, zajętej podziwianiem pokazywanej przez gospodynię kolekcji kradzionych figurek beznamiętnego Buddy.

Został sam. Spadła rakieta, tym razem naprawdę blisko. Świece pogasły, a nocne niebo rozdarł napięty błysk tej iluzorycznej, dziwacznej wojny. Karabiny maszynowe bezmyślnie dołączyły terkotem do wybuchów. Pusty pokój o podłodze wyłożonej kafelkami grzechotał i dzwonił niczym człowiek-orkiestra.

By naraz przestać, pozostawiając miasto na pastwę ciszy.

— Coś nie tak, chłopie? — zapytał jowialnie konsul z progu. — Jankes czesze pod włos, co? Oni chcą teraz rządzić światem jedną ręką.

— Będę potrzebował kontaktu o szóstce — rzekł Jerry. Konsul nie bardzo zrozumiał. Wyjaśnwszy mu sposób swej pracy, Jerry pośpiesznie wyszedł w mrok.

— Masz chyba transport, co, chłopie? Tylko tak dasz radę, inaczej cię zastrzelą. I patrz pod nogi.

Maszerował szybko, gnany uczuciem irytacji i obrzydzenia. Od dawna trwała godzina policyjna. Nie było latarni ulicznych, nie było gwiazd. Księżyc zaszedł, a skrzywienie jego własnych gumowych podszew ciągnęło się za Jerryem niczym nie chciany, niewidzialny towarzysz. Jedyne światło padało z terenu pałacu po drugiej stronie ulicy, ale nie docierało do niego. Wysoki mur, zwieńczony drutem kolczastym, zasłaniał budynek, lufy działek przeciwlotniczych błyszcząły brązem na tle czarnego, bezgłośnego nieba. Młodzi żołnierze drzemali w grupach, a kiedy Jerry ich minął, w ciszy przetoczyła się seria uderzeń w gong: dowódca straży nie dawał spać wartownikom. Na ulicach nie było ruchu, jedynie za posterunkami ciągnął się długi rząd obozowisk uchodźców. Niektórzy z nich byli odziani w pasy brązowego brezentu, inni mieli łóżka z desek, jeszcze inni pitrasili coś przy nikłych płomykach, choć Bog jeden wie, co udało im się zdobyć do jedzenia. Pozostali siedzieli w foremnych towarzyskich kręgach, twarzami do środka. Na wozie leżała dziewczyna z chłopcem, dzieci w wieku Cat, kiedy ostatni raz widział ją na jawie. Spośród tych setek ludzi nie wydobył się ani jeden dźwięk i kiedy Jerry odszedł już na sporą odległość, zerknął za siebie, by się upewnić, że naprawdę tam są. Jeśli byli, wchłonęły ich ciemność i cisza. Przypomniawszy sobie

kolację. Odbывała się w innym kraju, w całkiem innym świecie. Był tu nie na miejscu, ale w jakiś sposób przyczynił się do tragedii.

Pamiętaj tylko, że to my mamy mandat tak? To my trzymamy ster.

Ni stąd, ni zowąd, bez powodu, pot zaczął łać się z niego strumieniami, chłód nocy zaś wcale nie przynosił ukojenia. W mroku było tak samo gorąco jak za dnia. Daleko przed nim zabląkana rakietka spadła niedbale na domy, następnie jeszcze dwie. Czołgając się polami ryżowymi do miasta, aż są dostatecznie blisko, pomyślał. Celują, ściskając swoje rury i pociski, po czym odpalają i biegną ile sił w nogach do dżungli. Pałac został z tyłu. Bateria oddała salwę i przez kilka sekund Jerry widział drogę przy błyskach wystrzałów. Ulica była szeroka — bulwar właściwie — i trzymał się środka jezdni. Od czasu do czasu dostrzegał wyloty przecznic, mijanych z geometryczną regularnością. Gdy wyteżał wzrok, rozpoznawał korony drzew złane w jedno z błędnym niebem. Naraz nie opodał zawarzał motorower, chybocząc się nerwowo na zakręcie, uderzając o krawężnik, odzyskując równowagę. Jerry'emu przyszło do głowy, by zawołać, ale wołał dalej iść piechotą. Z ciemności dobiegł go męski głos — szeptał właściwie, dyskretnie powitanie.

— *Bon soir? Monsieur? Bon soir?*

Wartownicy stali co sto metrów, pojedynczo lub parami, trzymając karabiny w obu dłoniach. Ich pomrukiwania dochodziły do Jerry'ego niczym zaproszenia, ale mimo to cały czas zachowywał ostrożność i trzymał ręce z daleka od ciała, by można je było bez trudu zauważyć. Na widok zlanego potem okrągłookiego olbrzyma niektórzy śmiali się i machali, by szedł dalej. Inni zatrzymywali go lufą pistoletu i przyglądając mu się bacznie w świetle lampek rowerowych, zadawali pytania, by podszkolić francuski. Jeszcze inni prosili o papierosy i Jerry dawał. Zdarł z siebie przeпоconą marynarkę i rozchełstał koszulę na piersi aż do pasa, ale powietrze nadal nie przynosiło ochłody i w końcu przyszło mu do głowy, że może ma gorączkę i że, podobnie jak ostatniej nocy w Bangkoku, obudzi się skulony w ciemności, z lampą w dłoni, gotów roztrzaskać komuś czaszkę.

Pojawił się księżyc, otulony pianą z chmur. W jego poświęcie hotel wyglądał jak zamknięta forteca. Jerry doszedł do muru ogrodowego i zboczył w lewo wzdłuż szeregu drzew aż do następnego zakrętu. Tam przerzucił marynarkę przez mur i z trudem wspiął się za nią. Zeskoczywszy po drugiej stronie, ruszył trawnikiem do wejścia, pchnął na oścież drzwi do holu i nagle cofnął się z gradowym okrzykiem obrzydzenia. Wewnątrz było ciemno jak w grobie, z wyjątkiem pojedynczej nitki księżycowej poświaty padającej, niby snop scenicznego reflektora, na olbrzymią, świetlistą poczwarkę okręconą wokół nagiej brązowej larwy ludzkiego ciała.

— *Vous desirez, monsieur?* — zapytał cicho jakiś głos.

Był to młody nocny portier, śpiący w hamaku pod moskitierą.

Wręczył Jerry'emu klucz oraz jakąś wiadomość i w milczeniu przyjął napiwek. Jerry zapalił zapalniczkę i przeczytał: „Kochanie, jestem w pokoju 28, walczę z samotnością. Przyjdź. L.”

A co tam, cholera, pomyślał, może sklei mnie to z powrotem. Ruszył schodami na drugie piętro, zapominając o straszliwej pospolitości owej dziewczyny, pamiętając tylko jej długie nogi i podrygujące pośladki, gdy brnęła z trudem koleinami wzdłuż rzeki, jej chabrowe oczy i charakterystyczną amerykańską godność, z jaką leżała w jamie. Myślał jedynie o swej tęsknocie za dotykiem drugiego człowieka. Co tam Keller. Trzymać kogoś w objęciach znaczy istnieć. Być może ona też się boi. Zapukał do drzwi, odczekał i pchnął je.

— Lotta? To ja, Westerby.

Nic. Postąpił w kierunku łóżka, świadom braku jakiegokolwiek kobiecego zapachu, choćby woni pudru czy dezodorantu. Po drodze ujrzał w blasku księżyca przerażająco znajomy widok: dzinsy, ciężkie buciory i wysłużoną maszynę do pisania marki Olwetii, bardzo podobną do jego własnej.

— jeszcze krok i oskarżę cię o gwałt — powiedział Lukę, odkorkowując butelkę na stoliku przy łóżku.

Rozdział 16

PRZYJACIELE CHARLIEEGO MARSHALLA

Wypełzył przed świtem, po nocy spędzonej na podłodze u Luke'a. Wziął ze sobą maszynę do pisania i worek, choć nie wierzył, by mu się przydały. Zostawił wiadomość dla Kellera, by wysłał depeszę do Stubbsa, że rusza na prowincję dla uzupełnienia artykułu o oblężeniu. Od podłogi bolały go plecy, od wódki głowa.

Lukę powiedział, że zjawił się z powodu wojenki, że redakcja dała mu odpocząć od Wielkiej Szychy. Ponadto Jake Chiu, ów rozgniewany gospodarz domu, wyrzucił go w końcu z mieszkania.

— Westerby, jestem bez środków do życia! — krzyczał i zawodził, aż Jerry, by zaznać trochę snu i powstrzymać sąsiadów od walenia w ściany, sięgnął zapasowy klucz z kółeczka i rzucił mu go.

— Do mojego powrotu — zastrzegł. — Potem wynocha. Zrozumiano?

Zapytał o historię z Frostem. Luke'owi uleciała ona z pamięci i trzeba mu było przypomnieć. A ten, rzekł. Ten. Tak, krążą jakieś pogłoski, że zadarł z triadami, i może za sto lat będą prawdziwe, ale tymczasem wszyscy mają to gdzieś.

Lecz sen nie przyszedł łatwo, nawet wtedy. Przedyskutowali plany na następny dzień. Lukę zaproponował, żeby razem zrobili to, co Jerry zamierza. Śmierć w samotności to nuda, powtarzał. Lepiej się upić i znaleźć jakieś kurwy. Jerry odparł, że będzie musiał trochę poczekać, zanim pójdą razem na spacer o zachodzie słońca, albowiem wybiera się na połów, i to sam.

— Połów czego, psiakrew? Jeśli coś masz, podziel się. Kto ci dał Frosta za darmo? Gdzie na świecie jest piękniej bez Lucia?

Wszędzie, odrzekł Jerry obcesowo. Udało mu się wyjść nie obudzony.

Najpierw poszedł na bazar i zjadł *soupe chinoise*, przyglądając się straganom i frontonom sklepów. Wybrał młodego Hindusa, który sprzedawał tylko plastikowe wiadra, bidony i szczotki, a mimo to interes kwitł.

— Co jeszcze sprzedajesz, kolego? — zapytał.

— Dżentelmenom wszystko, proszę pana.

Zaczął się lawirowanie. Nie, odparł Jerry, nie chcę nic do palenia, nic do połknięcia, do wążania ani do żył. Ach nie, z całym szacunkiem dla licznych pięknych siostr, kuzynek i młodych mężczyzn z twego kręgu, kolego, te potrzeby również zaspokoilem.

— Zatem, proszę pana, jest pan najszczęśliwszym z ludzi.

— Poszukuję pewnej rzeczy z myślą o przyjacielu — powiedział Jerry.

Hindus rozejrzał się niespokojnie na boki i przeszedł do sedna.

— O przyjaznym przyjacielu?

— Nie bardzo.

Pojechali motorowerem. Hindus miał wuja, który sprzedawał figurki Buddy, wuj zaś miał pakamerę z tyłu sklepu, z zasuwami i zamkami w drzwiach. Za trzydzieści amerykańskich dolarów Jerry kupił zgrabny automatyczny pistolet marki Walther i dwadzieścia nabojów. Wsiadając z powrotem na motorower doszedł do wniosku, że nauczyciele z Sarratt padliby trupem. Po pierwsze z powodu nieodpowiedniego ubrania, przestępstwa wszystkich przestępstw. Po drugie dlatego, że bez żenady rozpowszechniali brednie, iż mała broń przynosi więcej szkody niż pożytku. Ale jeszcze bardziej by się pienili, gdyby Jerry taszczył webleya z Hongkongu przez odprawy celne

w Bangkoku i Phnom Penh, więc jego zdaniem powinni się uważać za szczęśliwców, albowiem nie wchodził do akcji goły, bez względu na to, jaka w tym tygodniu obowiązywała doktryna.

Na lotnisku nie było żadnego samolotu do Battambangu, ale na tym lotnisku nigdy nie było żadnego samolotu. Na pasie startowym mijały się z wyciem lądujące i wzlatujące srebrne transportowce z ryżem. Budowano też nowe *revetements* po atakach rakiet ostatniej nocy. Jerry patrzył, jak ciężarówki zwożą ziemię i jak robotnicy gorliwie napelniają nią skrzynie po amunicji. Postanowił, że w innym wcieleniu zostanie handlarzem piachu i będzie go sprzedawał oblężonym miastom.

W poczekalni znalazł grupę roześmianych stewardes pijących kawę i przyłączył się do nich. Zagadnął na swój ujmujący sposób. Wysoka dziewczyna, która mówiła po angielsku, zrobiła powątpiewającą minę, po czym zniknęła z jego paszportem i pięcioma dolarami.

— *C'est impossible* — zapewniły go pozostałe w oczekiwaniu na koleżankę. — *C'est tout occupé*.

Wróciła uśmiechnięta.

— Pilot jest bardzo podejrzliwy — powiedziała. — Jeśli mu się pan nie spodoba, nie zabierze pana. Ale pokazałam mu zdjęcie w paszporcie i zgodził się *surcharger*. Wolno mu zabrać tylko trzydzieści jeden *personnes*, ale weźmie pana, ma to gdzieś, zrobi to z przyjaźni, jeśli da mu pan tysiąc pięćset rielów.

Samolot był w dwóch trzecich pusty, a z podziurawionych pociskami skrzydeł ciekło niczym z nie opatrzonych ran.

W owym czasie Battambang był najbezpieczniejszym miastem w kurczącym się poszarpanym imperium Lon Nola i ostatnią farmą Phnom Penh. Przez godzinę lecieli ociężałe nad terytorium zachwaszczonym Czerwonymi Khmerami, nie widząc poniżej żywej duszy. Kiedy zaczęli kołować nad lotniskiem, ktoś wystrzelił leniwie z pól ryżowych i pilot wykonał kilka pozorowanych zwrotów, by uniknąć trafienia. Tymczasem zdaniem Jerry'ego znacznie pilniejsze było dokładne odczytanie topografii przed lądowaniem: zorientowanie się, gdzie znajdują się stanowiska postojowe, które pasy są dla cywilów, które dla wojska, dostrzeżenie ogrodzonego drutem terenu, na którym stały budynki przeładunkowe. Wylądowali pośród wiejskiej obfitości. Wokół stanowisk ogniowych rosły kwiaty, w kraterach po szrapnelach kryły się brązowe kurczaki. Wody i elektryczności było pod dostatkiem, choć depesza do Phnom Penh szła tydzień.

Jerry musiał teraz kroczyć bardzo ostrożnie. Jego instynktowna potrzeba kamuflażu była silniejsza niż dotąd. Wybitny dziennikarz, wielmożny Gerald Westerby, przyjechał pisać o gospodarce wojny.

Kiedy jest się mej postury, kolego, cokolwiek się robi, trzeba mieć ku temu cholernie dobry powód. Zatem położył zaslonę dymną, mówiąc żargonem. Podczas odprawy, obserwowany przez kilku milczących mężczyzn, zapytał o najlepsze hotele w mieście i zapisał kilka nazw, przyglądając się ukradkiem gromadom samolotów i budynków. Błąkając się od jednego biura do drugiego, zagadywał o możliwość przesłania informacji prasowych pocztą lotniczą do Phnom Penh, ale nikt nie miał o tym najmniejszego pojęcia. Kontynuując dyskretny rekonesans, wymachiwał kartą depeszową i dopytywał się, jak dotrzeć do pałacu gubernatora, dając do zrozumienia, że być może ma coś do załatwienia z nim samym. Wkrótce stał się najwybitniejszym dziennikarzem, jaki kiedykolwiek postawił stopę w Battambang. Zauważył drzwi oznaczone napisem „załoga” oraz drugie, z wywieszką „nie upoważnionym wstęp wzbroniony”, zapamiętał usytuowanie męskich toalet, tak by później, kiedy już będzie po wszystkim, mógł zrobić plan sytuacyjny całej hali z zaznaczeniem wyjść na ogrodzoną drutem część lotniska. Wreszcie zapytał, którzy z pilotów są w mieście. Znam się z kilkoma, rzekł, więc najprościej chyba będzie — gdyby nie było innej możliwości — poprosić kogoś, by zabrał ze sobą tekst do Phnom Penh. Kiedy stewardesa zaczęła recytować nazwiska z listy, Jerry przekreślił delikatnie kartkę i doczytał sobie resztę. Wymieniono lot „Indocharter”, ale nie podano nazwiska pilota.

— Czy kapitan Andreas wciąż lata w „Indocharter”? — zapytał.

— *Le capitaine qui, monsieur?*

— Andreas. Nazywaliśmy go Andre. Niski facet, zawsze nosił ciemne okulary. Latał do Kampong Czam.

Pokręciła głową. W „Indocharter” latali tylko kapitan Marshall i kapitan Ricardo, odparła, ale *le capitaine Ric* poległ w wypadku. Jerry nie okazał zainteresowania, wydobył z niej jednak sprytnie, że „Carvair” kapitana Marshalla ma wylot po południu, jak podano w rozkładzie z ostatniej nocy, lecz nie było już miejsca, wszystko zajęte, albowiem „Indocharter” zawsze ma pełne ładownie.

— Wie pani, gdzie można go znaleźć?

— Nie, ale kapitan Marshall nigdy nie lata rano, *monsieur*.

Wziął taksówkę do miasta. Najlepszy hotel okazał się parszywą norą na głównej ulicy. Sama ulica była wąska, śmierdząca i wypełniona ogłuszającym hałasem — typowa ulica azjatyckiego miasta podczas bumu, rozdarta jazgotem hond i zapchana rozczarowanymi mercedesami nuworyszów. Utrzymując kamuflaż, Jerry wynajął pokój i zapłacił za niego z góry, włącznie z „usługą specjalną”, która nie oznaczała nic bardziej wyrafinowanego jak czystą pościel na miejsce noszącej ślady po innych ciałach. Kazał swemu taksówkarzowi wrócić za godzinę. Z nawyku załatwił sobie duży rachunek. Wziął prysznic, prze-

brał się i wysłuchał grzecznie wskazówek boya, któredy się wspinać do hotelu po nastaniu godziny policyjnej, po czym wyszedł na śniadanie, albowiem była dopiero dziewiąta rano.

Taszczył ze sobą maszynę do pisania i worek. Nie dostrzegł innych okrągłookich. Widział zaś wyplataczy koszów, sprzedawców skórek i owoców, oraz wszechobecne butelki z kradzioną benzyną, ustawione wzdłuż chodnika w oczekiwaniu na atak. W lustrze zawieszonym na drzewie przyglądał się dentyście, jak wrywa ząb pacjentowi przywiązanemu do wysokiego krzesła i nawleka z namaszczeniem skrwawioną zdobycz na nitkę, która prezentowała dzienny dorobek. Wszystko to ostentacyjnie zapisywał w notesie jak przystało na gorliwego obserwatora życia społecznego. Z kawiarnianego krzeselka na chodniku, pokrzepiając się zimnym piwem i świeżą rybą, obserwował obskurne, na poły oszklone biuro po drugiej stronie ulicy oznaczone szyldem „Indocharter”, czekając, aż ktoś się zjawi i rozpocznie urzędowanie. Nikt nie przyszedł. „Kapitan Marshall nigdy nie lata rano, *monsieur*”. W aptece, która specjalizowała się w sprzedaży dziecięcych rowerów, kupił przyklepiec i wróciwszy z powrotem do hotelu, przykleił sobie plastrem pistolet do boku, by nie trzymać go luźno za paskiem. Tak uzbrojony, wyruszył, by wzmocnić swój kamuflaż, co dla agenta w terenie oznacza niekiedy niczym nie uzasadniony akt uwiarygodnienia samego siebie, gdy wokół robi się gorąco.

Gubernator mieszkał na skraju miasta, za werandą i francuskim kolonialnym portalem oraz sekretariatem w sile siedemdziesięciu ludzi. Obszerny betonowy korytarz prowadził do poczekalni, której brakowało wykończenia, oraz dalej do znacznie mniejszych gabinetów, i w jednym z nich, po pięćdziesięciu pięciu minutach oczekiwania, nieustraszony dziennikarz Westerby stanął przed drobnym obliczem niewielkiego, leciwego Kambodżańczyka, przyslanego przez Phnom Penh, by zajmował się kłopotliwymi korespondentami. Mówiono, że ów wysokiej rangi urzędnik jest synem generała i zawiaduje battambańską filią rodzinnego imperium opiumowego. Biurko było dla niego o wiele za duże. Wokół zasiadło kilku asystentów i wszyscy mieli surowe miny. Jeden nosił mundur z dużą liczbą barettek. Jerry poprosił o wyczerpujące wprowadzenie w sytuację, po czym wyczytał listę marzeń ściętej głowy: że kłęska komunistów jest blisko, że toczy się poważna dyskusja nad otwarciem dróg w całym kraju, że turystyka podźwignie przemysł prowincji. Syn generała przemawiał niespiesznie piękną francuszczyzną. Najwyraźniej odczuwał dużą przyjemność ze słuchania siebie, albowiem gdy zabierał głos, przymykał oczy i uśmiechał się, jakby słyszał dźwięki ukochanej muzyki.

— Zakończyłbym, *monsieur*, słowem ostrzeżenia pod adresem pańskiego kraju. Jest pan Amerykaninem?

— Anglikiem.

— To żadna różnica. Proszę powiedzieć swemu rządowi, że jeśli nie pomożecie nam kontynuować wojny przeciw komunistom, pójdziemy po pomoc do Rosjan i poprosimy ich, by was zastąpili w naszej walce.

O matko, pomyślał Jerry. O rany, o Boże.

— Przekażę — obiecał i zebrał się do wyjścia.

— *Un instant, monsieur* — powiedział urzędnik ostrym tonem. Wśród drzemiących dworzan nastąpiło poruszenie. Otworzył szufladę i wyjął imponujących rozmiarów skoroszyt. Testament Frosta, pomyślał Jerry. Albo mój wyrok śmierci. Znaczkę dla Cat.

— Jest pan pisarzem?

— Tak.

Ko mnie dopadł. Dziś wyląduję w więzieniu, a jutro obudzę się z podciętym gardłem.

— Studiował pan na Sorbonie?

— W Oksfordzie.

— W Oksfordzie w Anglii?

— Tak.

— W takim razie czytał pan wielkich francuskich poetów, *monsieur*?

— Z najwyższą przyjemnością — odparł Jerry gorączkowo. Dworzanie mieli wyjątkowo grobowe miny.

— W takim razie może *monsieur* wyświadczy mi przysługę i wyrazi swoje zdanie na temat kilku wersów. — Swą pełną godności francuszczyzną Kambodżańczyk zaczął czytać głośno, powoli przesuwając dłoń po kartce: — *Deux amants assis sur la terre, regardaient la mer.* — Wyrecytował z dwadzieścia rozdzierająco lirycznych linijek, Jerry zaś słuchał zbity z tropu. — *Voilà* — zakończył i odłożył skoroszyt na bok. — *Vous aimez?* — zapytał, utkwivszy spojrzenie w ścianie.

— *Superbe* — odparł Jerry w przyływie entuzjazmu. — *Marveilleux.* Co za wrażliwość.

— Komu by pan je przypisał?

Rzucił pierwsze lepsze nazwisko: — Lamartine? Urzędnik pokręcił głową. Dworzanie obserwowali Jerry'ego z napięciem.

— Victor Hugo?

— To strofy mego autorstwa — odparł urzędnik i z westchnieniem włożył wiersze z powrotem do szuflady. Dworzanie odprężyli się. — Proszę dopilnować, by tego znawcy literatury nie spotkały żadne trudności — polecił.

Wróciwszy na lotnisko, Jerry zastał tam nieopisane zamieszanie. Mercedesy przemykały w tę i z powrotem po podejździe, jakby ktoś wypłoszył je z gniazda, na placu zaś panował piekielny zgielk: motocykle jazgotały, błyskały lampy, wyły syreny. Gdy przedostał się przez kordon do hali, zobaczył w środku tłum przerażonych ludzi przepychających się do tablic świetlnych, pokrzykujących na siebie i wsłuchanych we wrzeszczące megafony. Przepchnął się do stanowiska informacji, ale było zamknięte. Wskoczył na ladę i przez dziurę w umocnieniach zobaczył płytę lotniska. Pustym pasem w kierunku białych masztów, na których wisiały flagi państwowe, bezwładnie z powodu bezwietrznej pogody, biegł oddział uzbrojonych żołnierzy. Opuścili dwie do połowy, a tymczasem w hali megafony przerwały nadawanie informacji, by odegrać kilka taktów hymnu państwowego. Ponad morzem głów Jerry szukał kogoś, z kim mógłby porozmawiać. Wybrał szczupłego misjonarza o przyciętych krótko żółtych włosach, w okularach, ze srebrnym krzyżykiem przypiętym do kieszeni brązowej koszuli. Obok niego stała przygnębiona para Kambodżańczyków w koloratkach.

— *Vous parlez francais?*

— Tak, ale po angielsku też mówię!

Rytmiczny, poprawny ton. Jerry domyślił się, że ma do czynienia z Duńczykiem.

— Jestem z prasy. O co ten zgielk?! — krzyknął na całe gardło.

— Zamknęli Phnom Penh! — ryknął misjonarz w odpowiedzi. — Żadne samoloty nie startują ani nie lądują.

— Dlaczego?

— Czerwoni Khmerowie trafili w skład amunicji na lotnisku. Miasto zamknięto co najmniej do jutra rana.

Megafony znów zaszczeakały. Dwaj księża słuchali. Misjonarz zgiął się niemal wpół, by usłyszeć ich mamrotane tłumaczenie.

— Wywołali wiele szkód i zniszczyli z pół tuzina samolotów. O tak! Nie nadają się do użytku. Władze podejrzewają też sabotaż. Prawdopodobnie nawet kogoś aresztowano. Proszę posłuchać, dlaczego oni w ogóle trzymali amunicję na lotnisku? To przecież bardzo niebezpieczne. Z jakiego powodu to robili?

— Dobre pytanie — odparł Jerry.

Przedzierał się przez halę. Jego mistrzowski plan legł w gruzach, jak wszystkie jego mistrzowskie plany. Drzwi oznaczone napisem „załoga” pilnowała para srogich wartowników i Jerry nie dostrzegł żadnej szansy, by przejść tamtędy. Tłum parł w stronę wyjścia dla pasażerów, gdzie nękana obsługa naziemna odmawiała przyjmowania kart pokładowych, policjantów zaś oblegali prominenci z listami

laissez passer, by uzyskać coś „w drodze wyjątku”. Pozwolił nieść się ludzkiej fali. Z brzegu grupa Francuzów domagała się zwrotu pieniędzy, a starsze osoby przygotowywały się już do spędzenia nocy w hali. Natomiast w środku nadal popychano się, rozglądano i wymieniano najświeższe plotki, a napór uparcie niósł Jerry'ego w kierunku płyty lotniska. Dotarliśmy do policyjnego kordonu, Jerry wyjął dyskretnie kartę depeszową i przeskoczył prowizoryczną barierkę. Oficer był ulizany i strzeżony przez podwładnych. Patrzył pogardliwie na Jerry'ego, podczas gdy jego ludzie powstrzymywali tłum. Jerry podszedł prosto do niego, z workiem zwisającym w dłoni, i podsunął mu kartę pod nos.

— *Securite americainel* — ryknął fatalną francuszczyzną i burknąwszy na dwóch funkcjonariuszy przy drzwiach wahadłowych, przepchnął się na zewnątrz. Ruszył asfalterem, podczas gdy jego spięte plecy czekały na komendę „stój!” albo ostrzegawczy strzał lub też, o co nietrudno w atmosferze ogólnego podniecenia, taki, który nie byłby ostrzeżeniem. Szedł gniewnie, z szorstką pewnością siebie, machając workiem, po sarracku, by odwrócić od siebie uwagę. Przed nim, w odległości sześćdziesięciu jardów, już prawie pięćdziesięciu, stał rząd jednosilnikowych samolotów wojskowych bez oznakowań. Za nimi ciągnął się ogrodzony drutem teren oraz chaty przeladunkowe, ponumerowane od dziewięciu do osiemnastu, a jeszcze dalej Jerry dostrzegł gromadkę hangarów i stanowiska postojowe, oznaczone napisami „wstęp wzbroniony” chyba w każdym języku prócz chińskiego. Dotarłszy do samolotów, ruszył wielkopańskim krokiem wzdłuż nich, jakby dokonywał inspekcji. Były zakotwiczone cegłami na drutach. Nie przerywając marszu, trącił gniewnie butem jedną z cegieł, pociągnął za lotkę i pokręcił głową. Z obłożonego workami z piaskiem stanowiska po lewej stronie obserwowała go obojętnie załoga baterii przeciwlotniczej.

— *Qu'est-ce que vous faites?*

Wykonawszy półobrót, Jerry przyłożył dłonie do ust.

— Pilnujcie lepiej nieba, na rany boskie! — ryknął dobrą amerykańszczyzną, wskazując gniewnie przestworza, i ruszył dalej, aż doszedł do ogrodzenia z drutu. Wejście było otwarte, dalej stały chaty. Kiedy je minie, będzie poza zasięgiem wzroku zarówno z terminalu, jak i z wieży kontrolnej. Szedł po spękanych betonach z perzem w szczelinach. Nikogo wokół. Chaty były z desek, długie na trzy dziesięć stóp, wysokie na dziesięć, przykryte dachami z palmowych liści. Dotarł do pierwszej. Listwy na oknach głośiły: „Bomby rozpryskowe bez zapalników”. Do znajdujących się dalej hangarów wiodła piaszczysta ścieżka. Za chatami Jerry ujrzał przelotnie papuzie kolory zaparkowanych transportowców.

— Mam cię — mruknął bezpieczny, wyłoniwszy się po drugiej stronie chat, albowiem przed nim, wyraźnie jak na dłoni, niby wróg widziany po raz pierwszy po miesiącach samotnego marszu, przycupnął na kruszącym się asfalcie gruby niczym żaba, niebiesko-szary samolot „Carvail” z otwartym lukiem w nosie. Olej ciekł obficie czarnym deszczem z obu prawych silników, a chudy jak szczapa Chińczyk w marynarskiej czapce obciążonej wojskowymi insygniami stał z papierosem pod ładownią, sprawdzając spis towarów. Dwaj tragarze uwijali się z workami, a trzeci obsługiwał antyczny dźwиг załadunkowy. Przy jego nogach grzebały wściekle pazurami kurczaki. Na kadłubie zaś, napisane na karmazynowo na tle wyblakłych barw Drake'a Ko, biegly litery: OCHART. Pozostałe zniknęły z powodu napraw.

Och, Chanie jest niezniszczalny, po prostu nieśmiertelny! Chanie Marshall, panie Tiu, fantastyczny pół-Chińczyk, sama skóra i kości, i opium, ale za to znakomity pilot...

Lepiej, cholera, żeby to była prawda, pomyślał Jerry z drżeniem, podczas gdy tragarze ładowali worek za workiem przez otwarty nos do poobijanego brzucha maszyny.

Wierny Sancho Pansa wielbego Ricarda, Wasza Łaskawość, powiedział Crawl, uzupełniając opis Lizzie. Pół czuczouczyk, jak poinformowała nas szlachetna dama, weteran wielu daremnych wojen.

Jerry stał spokojnie, nie próbując się kryć, z workiem zwisającym z dłoni, z przepraszającym uśmiechem na swej twarzy zabląkanego Anglika. Tragarze zbiegali się do samolotu ze wszystkich stron; było ich teraz znacznie więcej niż dwóch. Odwróciwszy się do nich plecami, ponownie rozpoczął marsz wzdłuż rzędu chat, jakby dokonywał przeglądu samolotów szkolnych albo szedł korytarzem do gabinetu Frosta. Zaglądał przez szczeliny w deskach, nie widząc nic prócz pękniętej skrzyni tu i ówdzie. Keller powiedział, że koncesja na działanie poza Battambangiem kosztuje pół miliona dolarów. Przy takich cenach kto jeszcze ma ochotę na renowację? Nagle rząd chat się skończył i Jerry wyszedł wprost na cztery wojskowe ciężarówki załadowane po brzegi owocami, warzywami i workami jutowymi. Stały tyłem do samolotu i nosiły oznaczenia wojskowe. Na każdej tkwiło dwóch żołnierzy, którzy podawali worki tragarzom. Rozsądek nakazywałby podjechać bliżej do transportowca, ale górę wzięła dyskrekcja. Keller powiedział, że wojskowi też chcą działkę. Marynarka zarabia miliony na jednym konwoju po Mekongu, lotnictwo też się ustawiło: bombowce latają z owocami, a zamiast rannych śmigłowce wywożą / obłożonego miasta bogatych Chińczyków. Tylko piloci myśliwców

chodzą trochę goli, bo muszą lądować tam, skąd startują. Natomiast wojska lądowe nieźle się napocą, by wyżyć.

Jerry znów znalazł się w pobliżu samolotu i słyszał skrzeczenie Charliego Marshalla, który wydawał tragarzom polecenia.

Na nowo zaczęły się chaty. Numer osiemnaście miał podwójne drzwi i nazwę „Indocharter” nabazgraną na zielono z góry do dołu, tak iż nawet z bliska wydawała się napisana po chińsku. Wewnątrz w półmroku siedział na podłodze w kucki stary chiński chłop z żoną. Spętana świnia leżała obok z łbem na stopach starca. Pozostały majątek stanowiła wyplatana długa paczka skrupulatnie zawiązana sznurkiem. Mogłyby się w niej znajdować ludzkie zwłoki. W rogu stał dzban na wodę, a przy nim dwie miseczki na ryż. Niczego więcej nie było. Witamy w poczekalni firmy „Indocharter”, pomyślał Jerry. Z potem ściekającym po zebrach stanął w kolejce tragarzy, aż zbliżył się do Charliego Marshalla, który wciąż zlorzczył na całe gardło po khmersku, długopisem w drżącej dłoni zaznaczając pozycje w spisie towarów.

Miał na sobie powalaną smarem białą koszulę z krótkimi rękawami, z tyłoma złotymi wężykami na pagonach, że zostałby generałem w lotnictwie każdej armii świata. Do koszuli, pośród zdumiewającej kolekcji baretek i pięcioramiennych czerwonych gwiazd, miał przyszyte dwie amerykańskie odznaki bojowe. Na jednej widniał napis: „Zabij komucha dla Chrystusa”, na drugiej: „Chrystus był w duszy kapitalistą”. Głowę trzymał schyloną, z twarzą w cieniu daszka olbrzymiej marynarskiej czapki, która opadała mu na uszy. Jerry czekał, aż podniesie wzrok. Tragarze pokrzykiwali już na niego, by ruszył dalej, ale Charlie Marshall uparcie stał przygarbiony, odznaczając coś w spisie i zlorzcząc wściekle.

— Kapitanie Marshall, piszę dla londyńskiej gazety artykuł o Ricardzie — powiedział Jerry cicho. — Chcę z panem polecieć do Phnom Penh i zadać panu kilka pytań.

Mówiąc to, położył mu delikatnie na podkładce egzemplarz *Kandyda*, z dyskretnym wachlarzem trzech studolarowych banknotów wystającym z kartek. Kiedy nie chcesz, by ktoś patrzył w pewną stronę, twierdzili iluzjoniści z Sarratt, wskaż mu ją, a on z ludzkiej przekory spojrzy w przeciwną.

— Mówiono mi, że pan lubi Woltera — dodał.

— Nie lubię nikogo — odwarknął Charlie Marshall chrapliwym fałsetem prosto w spis, a czapka jeszcze głębiej opadła mu na oczy. — Nienawidzę całej rasy ludzkiej, słyszysz? — Jego zlorzeczenia mimo chińskiej kadencji, miały wyraźnie francusko-amerykańską manierę. — Jezu Chryste, nienawidzę ludzkości tak bardzo, że gdy się nie pospieszy i sama siebie nie załatwi z kretesem, to kupię parę bomb i osobiście polecę za nią to zrobić!

Stracił widownię. Kiedy Jerry był już w połowie stalowej drabinki, Marshall uzupełnił swoją doktrynę.

— Wolter gównie wiedział! — wrzasnął do pierwszego tragarza w kolejce. — Walczył w złej wojnie, słyszy ta? Połóż to tam, leniwy smoluchu, i łap się za coś innego! *Depeche-toi, cretin, ou il*

Niemniej jednak wcisnął Woltera do tylnej kieszeni workowatych spodni.

We wnętrzu samolotu było ciemno, przestronnie i chłodno niczym w katedrze. Fotele wyjęto, a na ścianach zamontowano perforowane zielone półki. Z dachu zwisały ubite świnie i drób. Reszta towaru została ułożona w przejściu, począwszy od ogona, co według Jerry'ego nie wróżyło dobrze startowi, a składała się głównie z owoców, warzyw i worków jutowych, które widział na wojskowych ciężarówkach. Te ostatnie były oznaczone słowami „ziarno”, „ryż” i „mąka”, na tyle dużymi, żeby nawet najbardziej niepiśmienny agent od narkotyków mógł je przeczytać. Jednak mdły zapach drożdży i melasy, który zdążył wypełnić ładownię, nie wymagał żadnej etykiety. Parę worków ułożono w krąg, by stworzyć miejsca do siedzenia dla pasażerów. Najważniejszymi z nich byli dwaj skromni Chińczycy ubrani w liche szare mundurki i z ich podobieństwa do siebie oraz nieśmiałej wyższości Jerry od razu wywnioskował znawstwo jakiejś dziedziny. Pamiętał geniuszów materiałów wybuchowych — „pianistów” — których czasem prowadził na akcję lub z powrotem. Obok, nieco na stronie, co było podyktowane szacunkiem, siedziało czterech uzbrojonych po zęby górali, którzy palili papierosy i zajadali ryż z miseczek. Jerry domyślił się, że są Miao albo Szanami z północy, gdzie ojciec Charliego Marshalla dowodził armią, i z ich swobodnego zachowania wnosił, że są zatrudnieni na stałe. Całkiem osobno ulokowali się notable: pułkownik artylerii, który zatroszczył się o wojskowy transport i eskortę, oraz jego towarzysz, wysokiej rangi celnik, bez którego nic by się nie powiodło. Siedzieli w przejściu rozparci królewsko na specjalnie dla nich wniesionych krzesłach, patrząc z dumą na trwający załadunek. Ubrali się w swe najlepsze mundury, jak wymagała ceremonia.

Był jeszcze jeden podróżny, który ulokował się całkowicie na osobności, na stosie skrzyń pod samym dachem. Niepodobna było dostrzec niemal żadnych szczegółów jego fizjonomii. Siedział w towarzystwie butelki whisky i szklanki. Miał czapkę w stylu Fidela Castro i gęstą brodę. Na jego ciemnych ramionach błyszczały złote łańcuszki, uważane wówczas (przez wszystkich prócz tych, którzy je nosili) za bransoletki CIA, wydawane z optymistycznym założeniem, że

człowiek pozostawiony własnemu losowi we wrogim kraju, będzie mógł łańcuszek po łańcuszku kupić sobie drogę do wolności. Jego oczy, gdy obserwował Jerry'ego na przedłużeniu dobrze naoliwionej lufy AK-47, charakteryzowały się skupioną bystrością. Namierzył mnie z nosa maszyny, pomyślał Jerry. Wziął mnie na muszkę, jak tylko wyszedłem zza chat.

Dwaj Chińczycy to „kucharze”, doszedł do wniosku w chwili natchnienia; w podziemnym świetle słowo „kucharze” oznaczało chemików. Keller powiedział, że samoloty „Air Opium” wożą tylko surowiec, który rafinuje się w Phnom Penh, ale mają cholerne kłopoty z namówieniem „kucharzy”, by przyjeżdżali i pracowali w warunkach oblężenia.

— Ej ty! Wolter!

Jerry pospieszył do luku ładowni. Wyjrząwszy, zobaczył w dole chłopca z żoną oraz Charliego Marshalla próbującego odebrać im prosiaka i wypychającego staruszkę na drabinkę.

— Jak ona wlezie na górę, złap ją, słyszysz? — zawołał, trzymając prosię w ramionach. — Bo jak spddnie i rozbije dupę, to będziemy mieli cholernie dużo problemów ze smoluchami. Tyś jaki zwiariowany tropiciel narkotyków?

— Nie — odparł Jerry.

— Tylko dobrze ją schwyć, słyszysz?

Kobieta ruszyła. Pokonała ledwie kilka szczebli i zaraz jęła krakać, więc Charlie Marshall, zdoławszy przytrzymać prosiaka jedną ręką pod pachą, drugą dał jej siarczystego klapsa w zadek i wrzasnął na nią po chińsku. Mąż wdrapał się jej śladem i Jerry wciągnął oboje bezpiecznie do środka. Wreszcie błazeńska głowa Charliego Marshalla pojawiła się w luku nosa i choć niknęła w czapce, Jerry po raz pierwszy ujrzał jego twarz: wychudłą i brązową, o sennych chińskich oczach i dużych francuskich ustach, które gdy skrzeczał, wykrzywiały się na wszystkie strony. Marshall wcisnął prosiaka przez otwór, Jerry chwycił zwierzę i, kwiczące i wierzgające, zaniósł chłopom. Następnie Charlie wciągnął na pokład własny bezcielesny tułów i nogi, niczym pajak wypelzający z rury. Pułkownik artylerii i celnik natychmiast wstali, otrzepali siedzenia i ruszyli dziarsko przejściem w kierunku siedzącego w cieniu na skrzyniach mężczyzny w czapce Castro. Doszedłszy na miejsce, stanęli z szacunkiem jak ministranci przy ołtarzu.

Błysnęły bransolety, pojawiła się wyciągnięta ręka, raz, dwa razy, i zapadła pobożna cisza, gdy dwaj mężczyźni uważnie przeliczali pliki banknotów, a pozostali patrzyli. W nierównym zestrojeniu notable podeszli do drabinki, gdzie Charlie Marshall czekał z manifestem lotu.

Celnik podpisał dokument, pułkownik rzucił aprobujące spojrzenie i obaj, zasalutowawszy, zniknęli na zewnątrz. Nos targnął się niemal do pozycji pełnego zamknięcia, Charlie Marshall dał mu kopniaka, rzucił jakąś matę na szczelinę i przedarł się szybko przez skrzynie ku wewnętrznym schodkom prowadzącym do kabiny pilota. Jerry wgramolił się za nim i usadowił się w fotelu drugiego pilota, w milczeniu podsumował swoje obawy.

„Mamy z pięćset ton przeciążenia. Z silników cieknie olej. Na pokładzie trzyma wartę uzbrojony strażnik. Jest zakaz startów, a na płycie lotniska w Phnom Penh zieje pewnie dziura wielkości pałacu Buckingham. Od ocalenia dzieli nas półtorej godziny lotu nad Czerwonymi Khmerami, a jeśli ktoś w stolicy się na nas skwasi, arcyszpieg Westerby zostanie złapany z gaciami wokół kostek i około dwustu workami opium pod siedzeniem”.

— Wiesz, jak się tym lata?! — wrzasnął Charlie Marshall, wciskając rząd nadpleśniałych przycisków. — Z ciebie jakiś as lotnictwa, Wolter?

— Nienawidzę tego.

— Ja też.

Chwyciwszy packę na muchy, Marshall rzucił się na potężnego gza, który bzycał przy szybie, następnie włączył po kolei silniki, aż skrzydlaty wrak drżał i grzechotał niczym wysłużony londyński autobus podczas swej ostatniej jazdy pod górę do Clapham Hill. Radio zaskrzeczało i Marshall znalazł dość czasu, by przekazać wieży kontrolnej wulgarne instrukcje, najpierw po khmersku, a potem, siłą najlepszej tradycji lotnictwa międzynarodowego, po angielsku. Zmierzając ku odległemu końcowi pasa, minęli kilka stanowisk strzeleckich i przez ułamek sekundy Jerry lękał się, że nadgorliwi żołnierze po-szatkują kadłub, aż z uczuciem ulgi przypomniał sobie pułkownika artylerii, jego ciężarówkę i wypłacone honorarium. Przyleciał drugi giez i tym razem to Jerry chwycił packę. Miał wrażenie, że samolot w ogóle nie nabiera szybkości, ale ponieważ połowa zegarów wskazywała zero, nie mógł mieć pewności. Hałas toczących się po pasie kół zdawał się większy od wycia silników. Jerry przypomniał sobie szofera starego Sambo, który zawoził go do szkoły: powolna, nieunikniona jazda zachodnią obwodnicą w kierunku Slough i dalej do Eton.

Dwaj górale przeszli na przód, by zobaczyć przedstawienie, i śmiali się do rozpuku. Kępa palm wyskoczyła z oddali, ale samolot trzymał się mocno ziemi. Charlie Marshall w roztargnieniu odciągnął wajchę i kadłub połknął podwozie. Niepewny, czy nos maszyny rzeczywiście się uniośł, Jerry znów pomyślał o szkole i rywalizacji

w skoku w dal, przypominając sobie podobne uczucie spętania grawitacją, a jednocześnie żegnania się z ziemią. Poczul szarpnięcie i usłyszał szelest, gdy samolot otarł się brzuchem o korony palm. Charlie Marshall wrzeszczał na sapiącą maszynę, by uniosła się w cholerne niebo, ale mimo to przez wieki całe nie nabierali wysokości, tylko wisieli nieruchomo ledwie kilka stóp ponad krętą drogą, która wiodła nieubłaganie prosto ku pasmu wzgórz. Marshall przypalał sobie papierosa, więc Jerry chwycił za stery, czując w drażku żywą pulsację. Przejawszy na powrót kontrolę nad samolotem, Marshall skierował go ku płaskiemu terenowi u stóp wzgórz. Wytrzymał zwrot, wznosił się ponad grań i począł zataczać pełne koło. Spojrzawszy z góry na brązowe dachy, rzekę oraz lotnisko, Jerry ocenił, że wzlecieli około tysiąca stóp nad ziemię. Dla Charliego była to najwyraźniej zadowolająca wysokość do lotu, albowiem wreszcie zdjął czapkę i gestem człowieka, który dobrze się spisał, uraczył się dużą szklanką szkockiej z flaszki leżącej u jego stóp. Poniżej zbierał się mrok i brązowa ziemia niknęła powoli w kolorze purpury.

— Dzięki — rzekł Jerry, przyjmując butelkę. — Chyba sobie golnę.

Jerry zagaił rozmowę — jeśli rozmową można nazwać wrzaski na cały głos.

— Czerwoni Khmerowie wysadzili skład amunicji na lotnisku! — ryknął. — Nie wolno lądować ani startować!

— Naprawdę to zrobili? — Po raz pierwszy Jerry zobaczył, że Marshall jest ucieszony i pod wrażeniem.

— Mówią, że ty i Ricardo byliście dobrymi kumplami.

— Bombardowaliśmy wszystko. Zabiliśmy połowę ludzkości. Widzieliśmy więcej trupów niż żywych. Płaskowyże, Danang, jesteśmy takie bohaterzy, że kiedy umrzemy, Jezus Chrystus osobiście zleci helikopterem i wygarnie nas z dżungli.

— Podobno z Rickiem świetnie się robiło interesy?

— Jasne. Był najlepszy. Wiesz, ile firm zagranicznych mieliśmy, on i ja? Sześć. Filie w Liechtensteinie, korporacje w Genewie, własnego bankiera na Antylach Holenderskich, adwokatów, Jezu. Wiesz, ile mam pieniędzy? — Klepnął się po tylnej kieszeni spodni. — Dokładnie trzysta dolców. Charlie Marshall i Ricardo zabili razem połowę ludzkości, ale nikt nie dał nam forsy. Mój ojciec zabił drugą połowę i dostał kupę, kupę pieniędzy. Ricardo to miał zawsze szalone pomysły. Łuski po pociskach. Jezu. Będziemy płacić żółtkom, żeby zbierali dla nas łuski w całej Azji, i sprzedamy je na następną wojnę!

— Nos maszyny opadł nieco i Marshall podniósł go, zakławszy treściwie po francusku. — Lateks! Wykradniemy cały lateks z Kampong Czam! Polecimy tam dużymi helikopterami z czerwonymi krzyżami. I co zrobiliśmy? Zabraliśmy rannych, psiakrew, a nie lateks. Nie fikaj, cholerniku, słyszysz mnie? — zwrócił się znowu do samolotu. W poszyciu nosa Jerry zauważył długi szereg otworów po kulach, które niezbyt dobrze załatano. Dziurki w nosie, pomyślał absurdalnie. — Ludzkie włosy — ciągnął Marshall. — Dorobimy się milionów na ludzkich włosach. Wszystkie góralki we wsiach zapuszczą długie włosy, my je ostrzyżemy i zawieziemy kłaki do Bangkoku na peruki.

— Kto spłacił długi Ricarda, żeby mógł latać dla „Indocharter”?

— Nikt!

— Ktoś mi powiedział, że to Drake Ko.

— Nigdy nie słyszałem o Drake'u Ko. Na łożu śmierci powiem to samo matce, ojcu: bękart Charlie, syn generała, nigdy w życiu nie słyszał o Drake'u Ko.

— Co Ricardo takiego zrobił, że Ko spłacił jego długi?

Charlie Marshall łyknął z butelki, następnie podał ją Jerry'emu.

Jego suche dłonie drżały niepohamowanie, gdy zdejmował je ze steru, i cały czas ciekło mu z nosa. Jerry był ciekaw, ile fajek dziennie mu potrzeba, by utrzymać się w formie. Znał kiedyś *pied-noir** hotelarza pochodzenia korsykańskiego w Luag Prabang, który potrzebował sześćdziesięciu, by stanąć rano na nogi. *Kapitan Marshall nigdy nie lata rano*, przypomniawszy sobie.

— Amerykanom zawsze spieszno — uskarżał się Marshall, kręcąc głową. — Wiesz, dlaczego wozimy to teraz do Phnom Penh? Bo wszyscy niecierpliwi. Dzisiaj wszyscy chcą szybkiej działki. Nikt nie ma czasu zapalić. Każdy musi się szybko nagrzać. Jak się chce zabić ludzkość, to nie wolno popędzać, słyszysz?

Jerry spróbował jeszcze raz. Jeden z czterech silników przestał pracować, za to drugi zaczął wyć, jakby miał popsuty tłumik, więc musieli krzyczeć jeszcze głośniejszą niż przed chwilą.

— Co Ricardo zrobił za te pieniądze? — powtórzył Jerry.

— Wolter, posłuchaj. Nie lubię polityki. Jestem tylko zwykłym przemytnikiem opium, jasne? Jak lubisz politykę, to zjedź do kadłuba i pogadaj z tymi kopniętymi Szanami. Polityką się nie najesz. Nie pójdziesz z nią do łóżka. Nie można nią nawet przepalić. Tak powiedział mojemu ojcu.

— Kto?

* *Pieds noirs* (fr.) — czarne stopy; określenie francuskich kolonizatorów (przyp. tłum.).

— Drake Ko. Drake Ko powiedział to mojemu ojcu, ojciec mnie, a ja całej ludzkości! Drake Ko to wielki filozof, wiesz?

Z sobie tylko znanego powodu samolot obniżał jednostajnie lot, aż znalazł się na wysokości kilkuset stóp nad polami ryżowymi. Zobaczyli wioskę, płonące ogniska i postacie biegnące ile sił w nogach w kierunku drzew. Jerry zastanawiał się poważnie, czy Charlie Marshall to widzi. W ostatniej chwili, niczym cierpliwy dżokej, zebrał się w sobie, pochylił i podciągnął koniowi łeb do góry i obaj z Jerryem znów poczęstowali się szkocką.

— Dobrze go znasz? — spytał Jerry.

— Kogo?

— Ko.

— W życiu go nie spotkałem, Wolter. Jak chcesz gadać o Drake'u Ko, to idź do mojego ojca. Poderżnię ci gardło.

— A Tiu? Ej, powiedz mi, co to za para z tym prosiakiem?! — wrzasnął Jerry, by podtrzymać rozmowę, gdy tymczasem Charlie odebrał od niego butelkę i pociągnął jeszcze raz.

— Aj, tacy z Chiang Maj. Martwią się o swojego wszawego synka w Phnom Penh. Myślą, że głodny, to wzięli dla niego świnię.

— No a Tiu?

— Nigdy nie słyszałem o panie Tiu, słyszysz?

— Ricarda widziano w Chiang Maj trzy miesiące temu! — wrzasnął Jerry.

— Bo Ric to skończony głupiec — odparł Charlie poruszony. — Musi trzymać tyłek z dala od Chiang Maj, bo inaczej ktoś mu go odstrzeli. Każdy, kto udaje trupa, musi siedzieć cicho, tak? Mówię mu: „Ric, jesteś moim współnikiem. Trzymaj mordę na kłódkę, a dupę zdejź z widoku, bo inaczej pewni ludzie osobiście się na ciebie wkurzą”.

Samolot wpadł w chmurę i od razu zaczął gwałtownie tracić wysokość. Deszcz lał na żelazny dach i dalej przez szyby do środka. Charlie Marshall pstryknął parę wyłączników, z deski rozdzielczej dobył się pisk i zapaliło się kilka lampek, których nie zdołało zgasić żadne przekleństwo. Ku zdumieniu Jerry'ego, znów poczęli nabierać wysokości, choć w pędzącej chmurze trudno mu było ocenić kąt wznoszenia i by się zorientować, zerknął przez ramię akurat w chwili, gdy po schodkach wycofywała się z kabiny brodata postać śniadoskórego mocodawcy w czapce Fidela Castro, trzymająca swój karabin za lufę. Wciąż wzlatywali, deszcz ustał i otoczyła ich ciemność niczym inny kraj. Nagle w górze rozbłysły gwiazdy, samolot targnął się ponad kłębamii oświetlonych księżycem obłoków, znów się nieco poderwali, chmury zniknęły na dobre, i Charlie Marshall włożył czapkę, po czym oznajmił, że oba prawe silniki przestały

brać udział w zabawie. W owej chwili wytchnienia Jerry zadał swoje prajśmielsze pytanie.

— No to gdzie jest teraz Ricardo, kolego? Muszę go znaleźć, rozumiesz? Obiecałem gazecie, że zamienię z nim słówko. Nie mogę przecież zawieść naczelnego, nie?

Charlie Marshall niemal całkowicie zamknął swe senne oczy. Siedział w półtransie z głową przyciśniętą do fotela i z czapką nasuniętą na czoło.

— Co jest, Wolter? Mówiłeś coś?

— Gdzie jest teraz Ricardo?

— Ric? — powtórzył Marshall, zerkając na Jerry'ego z lekkim zdumieniem. — Pytasz, gdzie jest Ricardo?

— Właśnie, kolego. Gdzie? Chciałbym z nim wymienić poglądy. Na to poszły te trzy setki, które ci dałem. Dostaniesz jeszcze pięćset, gdy znajdziesz czas, by nas sobie przedstawić.

Powróciwszy nagle do życia, Marshall sięgnął do kieszeni po *Kandyda* i rzucił książkę Jerry'emu na kolana.

— Nie wiem, gdzie on jest w ogóle, słyszysz?! — wybuchnął wściekły. — Nie chcę żadnych przyjaciół w życiu. Jak zobaczę tego wariata, to mu odstrzelę jaja na środku ulicy, słyszysz? On nie żyje. I niech tak zostanie do jego śmierci. Rozповіда wszystkim, że zginął. To może raz w życiu uwierzę temu skurwielowi!

Skierowawszy gniewnie samolot w chmurę, pozwolił mu opaść ku powolnym błyskom baterii przeciwlotniczych Phnom Penh, by wykonać lądowanie na trzy punkty w nieprzeniknionej — dla oczu Jer-ry'ego — ciemności. Gdy zanurkowali w mroczną czeluść, Jerry czekał na serię z karabinów maszynowych, na owo przyprawiające o mdłości bezwładne opadanie, ale zobaczył tylko, całkiem nagle, nowe *rcvete-ments* ze znanych mu, wypełnionych ziemią skrzyń po amunicji — blado oświetlone, otwarte w geście powitania ramiona. Kiedy pędzili ku nim, z przodu wyłonił się brązowy jeep z zieloną lampą błyskającą na tyle niczym włączana i wyłączana ręką latarka. Samolot mknął po trawie. Tuż obok *revetement* Jerry dostrzegł dwie ciężarówki i zbitą gromadkę oczekujących, którzy patrzyli z niepokojem na lądowanie, a dalej ciemny cień dwusilnikowego beechcrafta. Stanęli i Jerry natychmiast usłyszał poniżej kabiny dochodzące z ładowni skrzypienie otwieranego luku, a zaraz potem tupot stóp na metalowej drabince i pospieszne wołanie oraz odpowiedzi. Szybkość, z jaką wysiadano, zaskoczyła go. Ale usłyszał coś jeszcze, co ścięło mu krew w żyłach i kazało rzucić się w dół schodków do brzucha maszyny.

— Ricardo! — wrzasnął. — Ricardo, stój!

Jedynymi, którzy pozostali w środku maszyny, był chłop z żoną, ściskający prosiaka i paczkę. Chwyciwszy się drabinki, Jerry sko-

czył, nadwerężając kręgosłup, i spadł na asfalt. Jeep właśnie odjeżdżał z chińskimi „kucharzami” i uzbrojonymi Szanami. Rzuciwszy się biegiem, Jerry widział, że samochód pędzi w kierunku otwartego wyjazdu na skraju lotniska. Przejechał, dwaj wartownicy zatrzasnęli skrzydła bramy i zajęli swoje pozycje. Z tyłu obsługa naziemna w hełmach już tłoczyła się do samolotu. Przyglądali się temu policjanci na dwóch ciężarówkach i przez chwilę naiwny Europejczyk Jerry We-sterby skłonny był sądzić, że oni przyjechali na jakąś akcję, póki nie uświadomił sobie, że są gwardią honorową dla trzech ton opium. Lecz głównie patrzył na jednego człowieka: wysokiego brodatego mężczyznę w czapce Fidela Castro, z karabinem AK-47, ciężko utykającego, którego kroki brzmiały jak akcentowana na przemian gra na bębnie, gdy w butach o gumowych podeszwach schodził przed chwilą po metalowej drabince. Jerry zobaczył go dokładnie. Drzwi małego beechcrafta czekały otwarte, a obok stali wyprężeni dwaj ludzie z obsługi naziemnej, by pomóc brodaczkowi wsiąść. Kiedy się zbliżył, wyciągnęli ręce po jego karabin, ale powstrzymał ich machnięciem ręki. Odwrócił się i popatrzył na Jerry'ego. Przez sekundę mierzyli się wzrokiem. W następnej chwili Jerry padał, a Ricardo unosił karabin i przez kolejne dwadzieścia sekund Jerry oglądał swoje życie od narodzin po teraźniejszość, podczas gdy coraz więcej kul ze świstem raniło rozprutą pociskami płytę lotniska. Gdy Jerry spojrział do góry, ostrzał ustał, Ricardo znajdował się już wewnątrz samolotu, a jego pomocnicy odciągali klocki od kół. Kiedy mały samolot wyłonił się ku światłu, Jerry pobiegł ile sił w nogach do najciemniejszego miejsca na skraju lotniska, zanim ktokolwiek uznał, że jego obecność nie sprzyja prowadzeniu handlu.

Zwykła sprzeczka kochanków, powiedział sobie, siedząc w taksówce, z głową w dłoniach, usiłując opanować świszczący oddech. Oto, co cię czeka, gdy starasz się obchodzić w rękawiczkach z dawnym lubym Lizzie Worthington. W okolicy spadła rakietą, ale miał to gdzieś.

Dał Charliemu Marshallowi dwie godziny, choć uważał, że jedna będzie aż nadto. Nastąpiła już godzina policyjna, ale krytyczny dzień jeszcze nie dobiegł końca; po drodze do miasta co krok były kontrole samochodów, pistolety maszynowe trzymano w gotowości do strzału. Na placu, przed zbiegowiskiem, dwaj mężczyźni wrzeszczeli na siebie w blasku pochodni. W głębi bulwaru oddziały wojskowe otaczały zalany światłem dom, żołnierze stali oparci o ściany, z palcami na spustach. Taksówkarz powiedział, że tajna policja dokonała

w nim aresztowań. Pułkownik i jego ludzie wciąż byli w środku z podejrzaniem o agitowanie. Na dziedzińcu przed hotelem stały czołgi, a w swym pokoju Jerry zastał Luke'a leżącego na łóżku, pijącego z ukontentowaniem.

— Jest woda? — zapytał Jerry.

— Tak.

Odkręcił kran w łazience, wrócił do pokoju i zaczął się rozbierać, gdy nagle przypomniał sobie o pistolecie.

— Złożyłeś? — zapytał.

— Tak — powtórzył Luke. — I ty też złożyłeś.

— Cha, cha.

— Kazałem Kellerowi przesłać Stubbsowi stronicę pod twoim nazwiskiem.

— Artykuł o lotnisku?

Luke podał mu kopię.

— Okraśliem to prawdziwym Westerby'owskim kolorytem. Że na cmentarzach kwitną pąki. Stubbsio cię uwielbia.

— Wielkie dzięki.

W łazience Jerry odkleił pistolet od ciała i wsunął do kieszeni marynarki, skąd mógł go łatwo wyjąć.

— Dokąd się dzisiaj wybieramy? — zawołał Luke z drugiej strony drzwi.

— Donikąd.

— Co to, cholera, znaczy?

— Mam spotkanie.

— Kobieta?

— Tak.

— Weź Lucia. We troje w łóżku.

Jerry zanurzył się z ulgą w letniej wodzie.

— Nie — odparł.

— To zadzwoń do niej. Powiedz jej, żeby skaptowała dla mnie kurewkę. Posłuchaj, tam na dole jest ta dziwka z Santa Barbara. Co tam, nie jestem wybredny, przyprowadzę ją.

— Nie.

— Na miłość boską! — wrzasnął Luke, rozeźlony. — Dlaczego nie, do cholery? — Podszedł pod same drzwi, żeby wyrazić swój sprzeciw.

— Kolego, musisz zejść ze mnie — poradził mu Jerry. — Kocham cię, ale nie jesteś dla mnie wszystkim, jasne? Więc trzymaj się z boku.

— Kula u nogi ze mnie, ee? — Zapadło długie milczenie. — Nie daj sobie odstrzelić tyłka, współniku, dziś jest niespokojnie na mieście.

Gdy lerry wyszedł z łazienki, Lukę leżał na łóżku w pozycji płodu, wpatrzony w ścianę, i pociągał metodycznie z butelki.

— Wiesz co, jesteś gorszy niż najgorsza baba — powiedział Jerry, zatrzymawszy się przy drzwiach, by spojrzeć na niego.

Nie poświęciłby więcej owej dziecinnej rozmowie choćby jednej przelotnej myśli, gdyby nie późniejszy rozwój wypadków.

Zamiast nacisnąć dzwonek u furtki tym razem Jerry przeskoczył przez mur, skaleczywszy sobie dłonie o kawałki szkła, które były wprawione w szczyt. Nie ruszył do drzwi frontowych, nie zawracał sobie głowy oglądaniem nieruchomych brązowych stóp u dołu schodów. Stał w ogrodzie, czekając, aż przebrzmi odgłos jego ciężkiego skoku i aż oczy i uszy wychwycą jakąś oznakę zamieszkiwania w wysokiej willi, która majaczyła w mroku na tle księżyca.

Podjechał zaciemniony samochód, z którego wysiadły dwie osoby, sądząc po ich posturze i cichym zachowaniu — Kambodżańscy. Wcisnęli dzwonek u furtki, następnie wyszeptali magiczne słowo w szparę między drzwiami i zostali natychmiast, w milczeniu, wpuszczeni do środka. Jerry usiłował sobie wyobrazić rozkład pomieszczeń. Dziwiło go, że do miejsca, w którym stał, nie dochodził od frontu domu żaden zdradziecki zapach. Było bezwietrznie. Wiedział, że dla dużego *dwanu** skrytość jest niezbędna, ale nie dlatego, że prawo było dokuczliwe, lecz dlatego, że dokuczliwe było dawanie łapówek. Dwupiętrowa willa miała komin i dziedziniec: wygodny dom w sam raz dla francuskiego pułkownika z niewielką rodziną złożoną z konkubin i mieszanych dzieci. Kuchnia została pewnie przejęta na laboratorium. Najbezpieczniejszym miejscem do palenia byłyby bez wątpienia pokoje na górze, z oknami wychodzącymi na dziedziniec. Jako że od drzwi wejściowych nie dochodziła żadna woń, Jerry domyślił się, że goście korzystają raczej z pomieszczeń z tyłu domu, nie zaś w skrzydłach czy z przodu.

Przeszedł bezszelestnie do ogrodzenia, które stanowiło tylną granicę posiadłości. Było obficie obrośnięte kwiatami i bluszczem. Okratowane okno dało mu pierwsze oparcie dla stopy, rura przelewowa drugie, wysoko zawieszony wyciąg klimatyzacyjny trzecie, i wspiąwszy się na balkon drugiego piętra, złowił wreszcie zapach, którego się spodziewał: ciepła, słodka, kusząca woń. Z wewnątrz nie dochodziło żadne światło, ale dzięki poświęceniu księżyca Jerry dostrzegł wyraźnie dwie młode Kambodżanki, które siedziały w kucki

* Divan (tur.) — palarnia (przyp. tłum.).

na balkonie. Widział ich przerażone oczy, wpatrzone w niego, gdy wyłonił się z mrocznego nieba. Gestem poleciwszy im wstać, pechnął je przed sobą, wiedziony zapachem. Bombardowanie ustało, pozostawiając ciszę nocy na pastwę gekonów. Przypomniawszy sobie, że Kambo-dżańczycy lubią wróżyć z liczby skrzydeł: jutro będzie szczęśliwy dla mnie dzień, jutro nie, jutro znajdę sobie żonę, nie, pojutrze. Dziewczyny były bardzo młode i pewnie czekały na wezwanie klientów. U wejścia zawahały się i spojrzały niepewnie na Jerry'ego. Wskazał ręką, zaczęły więc odgarniać warstwy plecionej maty, aż na balkon przedarł się snop bladego światła, równie słaby co blask świecy. Jerry wszedł do środka, trzymając dziewczyny przed sobą.

Pomieszczenie musiało być kiedyś sypialnią pana domu, z przyległym małym pomieszczeniem. Trzymał rękę na ramieniu jednej z dziewczyn, druga szła posłusznie obok. Wewnątrz leżało dwunastu klientów, sami mężczyźni. Między nimi spoczywało kilka dziewcząt, które szeptały. Bose żółtki usługiwały, przechodząc z dyskrecją od jednego rozciągniętego ciała do drugiego. Nawlekali igłą pigułki, zapalali je i przytrzymywali nad cybuchem fajki, podczas gdy klient brał długi, miarowy wdech, a magiczna kulka wypalała się. Trwały powolne, wyciszone, intymne rozmowy, przerywane łagodnymi kaskadami błęgiego śmiechu. Jerry rozpoznał szwajcarskiego handlowca poznanego na kolacji u konsula. Rozmawiał z grubym Kambodżań-czykiem. Nikt nie zwracał uwagi na Jerry'ego. Podobnie jak orchidee w bloku Lizzie Worthington, tak tu jego obecność uwiarygodniały dziewczyny.

— Charlie Marshall — powiedział cicho. Jeden z żółtków wskazał przyległy pokój. Jerry puścił dziewczyny, a one umknęły. Drugie pomieszczenie było mniejsze, w kącie zaś leżał Marshall, a nad nim kłęczała Chinka w wyszukany *cheongsam*, przygotowując mu fajkę. Jerry przypuszczał, że była córą domu i że Marshalla traktowano z honorami, albowiem był i *habitué*, i dostawcą. Ukląkł z drugiej strony. Z progu przyglądał mu się starzec. Dziewczyna również patrzyła, z fajką w dłoniach.

— Czego chcesz, Wolter? Dlaczego nie dasz mi spokoju?

— Przejdźmy się chwilkę, kolego. Potem sobie wrócisz.

Chwyciwszy Marshalla za ramię, Jerry postawił go łagodnie na nogi z pomocą dziewczyny.

— Ile wypalił? — zapytał ją.

Wzniósła trzy palce.

— A ile lubi?

Opuściła głowę z uśmiechem. Znacznie więcej, dawała do zrozumienia.

Z początku Marshall szedł tyle niepewnie co posłusznie, ale gdy dotarli do balkonu, zaczął stawiać opór, więc Jerry uniósł go i włożył sobie pod pachę jak strażak ofiarę pożaru, następnie ruszył w dół drewnianych stopni i dalej dziedzińcem. Starzec przy drzwiach skinął im usłużnie głową, wyszczerzony w uśmiechu służący przytrzymał otwartą furtkę i obaj byli wyraźnie wdzięczni Jerry'emu, że okazał tyle taktu. Jerry uszedł z Marshalllem ulicą może z pięćdziesiąt jardów, gdy z naprzeciwka nadbiegło dwóch chińskich chłopców, wrzeszcząc i machając kijami podobnymi do małych wiosel. Postawiwszy Marshalla na chodniku i przytrzymałszy go mocno lewą ręką, Jerry poczekał na atak pierwszego napastnika, odbił wiosło i uderzył go niezbyt mocno pięścią pod oko. Chłopak uciekł, jego kolega też. Jerry zaprowadził Marshalla nad rzekę, w gęsty mrok, gdzie posadził go jak marionetkę na trawiastym, stromym brzegu.

— Rozwalisz mi łeb, Wolter?

— To zostawimy narkotykom, kolego — odrzekł Jerry.

Jerry lubił Charliego Marshalla i w idealnie urządzonym świecie cieszyłby się na myśl o spędzeniu z nim wieczora w *fumerie* i wysłuchaniu historii jego marnego, ale wyjątkowego żywota. Teraz jednak chwycił go bezlitośnie za ramię, żeby nie przyszło mu do tępej głowy stanąć okoniem, albowiem miał wrażenie, że Charlie potrafi ręczo biec, gdy znajdzie się w desperackim położeniu. Leżał zatem, podobnie jak przy czarodziejskiej górze usypanej z pamiątek w mieszkaniu Pet, na lewym boku, wsparty na lewym łokciu, wciskając nadgarstek Marshalla w błoto, gdy tymczasem ten padł na plecy.

Znad rzeki leżącej poniżej w odległości około trzydziestu stóp dochodziły ciche zawodzenia z sampanów płynących bezwładnie po wodzie niczym liście na złotym księżycowym szlaku. Niebo, raz z przodu, to znowu za plecami, rozrywały sporadycznie błyski ognia artyleryjskiego, kiedy jakiś znudzony dowódca baterii postanawiał uzasadnić swe istnienie. Co jakiś czas, ze znacznie bliższej odległości, nadchodziły lżejsze, ostrzejsze trzaski zbrojnej odpowiedzi Czerwonych Khmerów, ale i one jedynie na mgnienie oka przerywały skrzek gekonów i wielką ciszę w tle. W poświacie księżyca Jerry zerknął na zegarek, następnie na wykrzywioną twarz Marshalla, usiłując ocenić siłę jego nałogu. Jakbym karmił dziecko, pomyślał. Skoro Charlie palił nocą, a spał rankiem, głód wkrótce go dopadnie. Jego twarz już pokrył upiorny pot. Ciekł z napuchniętych porów, dokoła wytrzeszczonych oczu oraz zakatarzonego, lejącego nosa. Płynął wartko bruzdami twarzy, tworząc w zagłębieniach zgrabne jeziora.

— Jezu, Wolter, Ricardo to mój przyjaciel. Wielki z niego filozof. Żebyś usłyszał, jak gada. Żebyś znał jego poglądy.

— Tak — przyznał Jerry. — Żebym.

Charlie Marshall chwycił go za rękę.

— Wolter, to są dobrzy ludzie, słyszysz? Pan Tiu... Drake Ko. Nie chcą niczyjej krzywdy. Chcą robić interesy. Oni mają coś na sprzedaż, i znajdują ludzi, co chcą kupić. To usługa. Wszyscy zadowoleni, wszyscy mają ryż w miseczkach. Dlaczego chcesz to popsuć? Sam jesteś miłym facetem. Widziałem. Niosłeś świnie starego. Kto widział, żeby okrągłooki nosił świnie skośnemu? Ale Jezu, Wolter, jeśli ty ze mnie coś wyciśniesz, to oni cię zabiją całkowicie, bo ten pan Tiu, on jest skuteczny, bardzo filozoficznie usposobiony dżentelmen, słyszysz? Zabiją mnie, zabiją Ricarda, zabiją ciebie, zabiją całą rasę ludzką!

Artyleria rozpoczęła ogień zaporowy i tym razem dzungla odpowiedziała niewielką salwą pocisków, może sześciu, które przeleciały z sykiem nad ich głowami niczym turkoczące okrągłaki wyrzucone z katapulty. Chwilę później usłyszeli detonację gdzieś w centrum miasta. Potem już nic. Żadnego wycia straży pożarnej, żadnej syreny pędzącego ambulansu.

— Dlaczego mieliby zabić Ricarda? — zapytał Jerry. — Co Ricardo przeszkrobał?

— Wolter! Ricardo to mój przyjaciel. Drake Ko to przyjaciel mojego ojca! Ci starszycy to wielcy kumple, walczyli razem w jakiejś wszawej wojnie w Szanghaju z dwieście pięćdziesiąt lat temu, w porządku? Poszedłem do ojca, mówię mu: „Ojciec, musisz mnie w końcu kochać. Musisz przestać nazywać mnie pajęczym bękartem i musisz powiedzieć swemu przyjacielowi Drake'owi Ko, żeby odpuścił Ricardowi. Musisz powiedzieć: Drake Ko, ten Ricardo i mój Charlie, oni są jak ty i ja. Są braćmi jak my dwaj. Uczyli się razem latać w Oklahomie, razem zabijali ludzkość. I paru dobrych przyjaciół. To fakt". Mój ojciec mocno mnie nienawidzi, w porządku?

— W porządku.

— Ale i tak wysłał Drake'owi Ko długi osobisty list.

Marshall bezustannie wciągał powietrze, jakby jego wąta klatka piersiowa nie mogła nabrać go dostatecznie dużo, by oddychać.

— Albo ta Lizzie. To dopiero babka. Lizzie, ona osobiście poszła do Drake'a Ko. Też w prywatnej sprawie. I powiedziała mu: „Panie Ko, musi pan odpuścić Rickowi". To bardzo delikatna sytuacja, Wolter. Musimy się wszyscy trzymać razem, bo pospadamy z tej góry, słyszysz? Wolter, puść mnie. Błagam! Błagam całkowicie, na miłość boską, je *m'abime*, słyszysz? Nic więcej nie wiem!

Patrząc na Marshalla, słuchając jego umęczonej spowiedzi, jak nisko upadł i wydzwignął się, znów upadł i znów się podniósł, ale już

nie tak wysoko, Jerry miał wrażenie, że jest świadkiem przedśmiertnych spazmów przyjaciela. Instynktownie chciał podnieść Charliego i pozwolić mu odejść. Jego dylemat polegał na tym, że nie wiedział, ile ma czasu, zanim przydarzy się to, co przydarza się narkomanom. Zadawał pytania, ale Charlie z trudem udzielał odpowiedzi. Innym razem odpowiadał na pytania, których Jerry nie zadał. A czasem jakiś opóźniony mechanizm wyrzucał z niego odpowiedzi na pytanie, o którym Jerry dawno zapomniał. Inkwizytorzy z Sarratt mawiali, że złamany człowiek jest niebezpieczny, ponieważ chce sobie kupić przychylność pytającego i płaci pieniędzmi, których nie ma. Ale przez te wszystkie cenne chwile Charlie wykladał swoją własną walutę.

— Drakę Ko nigdy w życiu nie był w Vientiane! — zawył nagle. — Zwariowałaś, Wolter! Ktoś taki jak Ko w takim zgniłym azjatyckim mieście? Drakę Ko to filozof, Wolter! Lepiej na niego dobrze uważaj! Jakoś tak wszyscy są filozofami, wszyscy oprócz Charliego Marshalla. Słyszysz, Wolter?!

Potem rozplakał się i chwyciwszy Jerry'ego za rękę, zapytał przez łzy, czy on też miał ojca.

— Tak, kolego, miałem — odparł Jerry cierpliwie. — Na swój sposób też był generałem.

Rozbłyśte nad rzeką dwie białe race przemieniły dokoła noc w dzień, natchnąwszy Charliego reminiscencjami na temat trudów pierwszych dni w Vientiane. Siedząc wyprostowany, narysował w błocie dom. Tam właśnie mieszkał on, Ric i Lizzie, powiedział z dumą, w zapchlonej norze na rogatkach miasta, tak wszawej, że nawet ge-kony miały jej dość. Ric i Lizzie wzięli w posiadanie królewski apartament, to znaczy jedyny pokój, jaki w ogóle był, a do Charliego należało nie wchodzić im w drogę, płacić czynsz i zadbać o dostatek wody. Wspomnienie straszliwego niedostatku poruszyło go nagle do tego stopnia, że na nowo zaniósł się płaczem.

— Więc z czego żyliście, kolego? — zapytał Jerry, nie spodziewając się odpowiedzi. — No, przestań, to już przeszłość. Z czego żyliście?

Zalany łzami, Charlie wyznał, że dostawał miesięczną pensję od ojca, którego kocha i szanuje.

— Ta szalona Lizzie! — wykrzyknął zdjęty smutkiem — ta szalona Lizzie podróżowała do Hongkongu dla Mellona.

Jerry z trudem zapanował nad sobą po to, żeby nie wybić Charliego z rytmu.

— Mellon. Kim był ten Mellon? — zapytał. Ale jego łagodny głos jedynie ukołysał Charliego, który zaczął się bawić w błocie, dorysowując domkowi komin i smugę dymu. '

— No, gadaj, do cholery! Mellon. Kim był?! — wrzasnął mu Jerry prosto w twarz, usiłując wymóc odpowiedź. — Mellon, ty rozbeczany wraku! Podróże do Hongkongu!

Postawiwszy Charliego na nogi, potrząsnął nim jak szmacianą lalką, ale uzyskanie odpowiedzi wymagało o wiele więcej zabiegów, a gdy Charlie w końcu ją podał, błagał jednocześnie Jerry'ego, by ten zrozumiał, co znaczy miłość, prawdziwa miłość do szalonej okrągłookiej dziwki i świadomość, że nigdy przenigdy nie będzie się jej miało, nawet na jedną noc.

Mellon był ohydny angielskim handlowcem, nikt nie wiedział, czym się zajmuje. Trochę tym, trochę owym, rzekł Charlie. Ludzie się go bali. Mellon powiedział, że może wprowadzić Lizzie na duży szlak heroiny. „Z twoim paszportem i ciałem — powiedział jej — możesz wjeżdżać do Hongkongu i wyjeżdżać jak księżna”.

Wyczerpany, Charlie osunął się na ziemię i kucnął przed domkiem w błocie. Przycupnąwszy za nim, Jerry chwycił go mocno ręką za kołnierz, uważając, by nie sprawić mu bólu.

— No i jeździła dla niego, co, Charlie? Wozila dla Mellona. — Dłonią przekręcił delikatnie głowę Charliego do tyłu, aż ujrzał jego zagubione oczy.

— Lizzie nie wozila dla Mellona, Wolter — poprawił go Charlie. — Lizzie wozila dla Ricarda. Nie kochała Mellona, kochała Ricarda i mnie.

Wpatrzony posępnie w swój domek, wybuchnął nagle ochryplym skrzekliwym śmiechem, który wkrótce ustał bez wyjaśnienia.

— Sknocisz to, Lizzie! — zawołał karcącym tonem, dźgając palcem narysowane w błocie drzwiczki. — Sknocisz jak zwykle, złotko! Za dużo gadasz. Dlaczego wszystkim mówisz, żeś królowa Anglii? Dlaczego gadasz, żeś jakimś wielkim szpiegiem? Mellon bardzo się na ciebie wkurzył. Mellon cię wywalił na zbitą buzię. Ric też się wkurzył, pamiętasz? Stukł cię na kwaśne jabłko i Charlie musiał cię zabrać do lekarza w środku nocy. Masz cholernie długi język, Lizzie, słyszysz? Tyś moja siostra, ale masz najdłuższy język na świecie!

Miała, do chwili aż Ricardo zawiązał go jej na supeł, pomyślał Jerry, przypominając sobie blizny na jej podbródku. Bo zepsuła układ z Mellonem.

Wciąż w kucki przy boku Charliego, trzymając go za kark, Jerry patrzył, jak świat wokół znika, a na jego miejscu pojawia się Sam Collins siedzący w samochodzie pod Star Heights, z dobrym widokiem na ósme piętro podczas lektury strony sportowej w gazecie.

Nawet trzask wybuchających w pobliżu rakiet nie mógł go oderwać od tej paraliżującej wizji. Na huk moździerzy nałożył się również głos Crawa, gęgającego na temat kryminalnej przeszłości Lizzie. Gdy w kieszeni robiło się pusto, powiedział, Ricardo zmuszał ją do wożenia przez granicę małych paczuszek.

A skąd miasto Londyn się o tym dowiedziało, Wasza Łaskawość — Jerry miałby wielką ochotę zapytać Crawa — jeśli nie od Sama Collinsa alias Mellona?

Trzysekundowa ulewa zmyła domek i Charlie wpadł w szal. Człapał dokoła na czworakach w poszukiwaniu rysunku, płacząc i klnąc zapamiętane. Kiedy napad wściekłości mu minął, znów zaczął mówić o ojcu, który znalazł dla swego naturalnego syna zatrudnienie w pewnej znakomitej linii lotniczej w Vientiane — choć w owym czasie Charlie miał wielką ochotę dać sobie spokój z lataniem z powodu starganych nerwów.

Pewnego dnia generał najwyraźniej stracił do niego cierpliwość. Zwołał swą ochronę i szedł z gór do małego opiumowego miasta o nazwie Fang, tuż za granicą tajlandzką. Tam, zwyczajem patriarchołów na całym świecie, zbeształ syna marnotrawnego.

Dla roli swego ojca Charlie miał specjalny skrzekliwy ton i specjalny sposób wydymania wymizerowanych policzków w wyrazie wojskowej dezaprobaty.

— Ty lepiej weź się do uczciwej pracy, słyszysz mnie, pają czy bękarcie? Trzymaj się z daleka od wyścigów konnych, mocnej wódki i opium, słyszysz? I lepiej zdejmij te komunistyczne gwiazdy z cycków i kopnij w tyłek swego kumpla, tego śmierdziela Ricarda. I przestań łożyć na jego kobietę, słyszysz? Bo nie będę cię utrzymywał ani dnia dłużej, ani godziny, ty bękarcie. Tak cię nienawidzę, że pewnego dnia cię zabiję, bo mi przypominasz tę korsykańską kurwę, twoją matkę!

Następnie ojciec Charliego przeszedł do sedna sprawy:

— Pewni bardzo kulturalni dżentelmeni z Czuczou, którzy są dobrymi przyjaciółmi moich dobrych przyjaciół, mają kontrolne akcje w jednym przedsiębiorstwie lotniczym. Ja też mam w nim udziały. To przedsiębiorstwo nosi dumną nazwę „Indocharter Aviation”. Czego się śmiejesz, małpi *kwailoll* Nie wolno ci się śmiać z tego, co mówię! No więc ci dobrzy przyjaciele, oni wyświadczyli mi przysługę i po mogli w załatwieniu pracy dla trójnogiego pajęczego bękartu, mego syna, i teraz modłę się całym sercem, że może spadniesz z nieba i zła miesz swój bękarci kark!

Zatem Charlie transportował opium ojca dla „Indocharter”, p0»
czątkowo jeden, dwa loty tygodniowo, stała, uczciwa praca, którą p©«
lubił. Opanował nerwy, uspokoił się i odczuwał prawdziwą wdłlfŚ* ność
dla starego. Próbował oczywiście namówić czuczouczyków, **MHP**
zatrudnili również Ricarda, ale nie chcieli. Po kilku miesiącach **IgOt** dził
się płacić Lizzie dwadzieścia dolców tygodniowo za **siedztflW** w biurze i
wdzięczenie się do klientów. To były złote czasy, dflf~ **4tt** zrozumienia
Charlie. Oni obydwójce zarabiali pieniądze, a **RlcarA**) przepuszczał je na
jakieś poronione przedsięwzięcia, wszyscy tM szczęśliwi, wszyscy mieli
zajęcie. Aż pewnego wieczora, niczym MM meżis, pojawił się Tiu i
wszystko schrzanił. Przyszedł akurat, **gfl** zamykali biuro, prosto z ulicy, bez
umówienia, zapytał o Charllepl Marshalla i przedstawił się jako członek
kierownictwa przedsięblOT stwa z Bangkoku. Czuczouczycy wyszli z
zaplecza, spojrzeli na **Tiu** zaręczyli o jego prawdomówności i dali drapaka.

Charlie przerwał, żeby zapłakać na ramieniu Jerry'ego.

— Posłuchaj mnie uważnie, kolego — rzekł z naciskiem Jerry. —
Posłuchaj. To jest to, o co mi chodzi, dobra? Opowiedz mi to powoli,
to zabiorę cię do domu. Obiecuję. No, proszę.

Ale Jerry pojmował sytuację opacznie. Kwestia nie polegała już na
zmuszeniu Charliego do zwierzeń. Jerry był teraz narkotykiem, od którego
uzależniony był Marshall. Nie trzeba go było przytrzymywać w miejscu.
Marshall uwiesił się Jerry'ego, jakby ten był ostatnią tratwą ratunkową na
bezkresnym morzu, i ich rozmowa przeobraziła się w desperacki monolog,
z którego Jerry łowił fakty, a skulony Marshall wił się i błagał, wył wręcz o
uwagę swego dręczyciela, żartując i śmiejąc się przez łzy. W dole rzeki
jeden z karabinów maszynowych Lon Nola, którego jeszcze nie sprzedano
Czerwonym Khmerom, wypalił pocisk smugowy w kierunku dżungli przy
błysku racy. Przez niebo i wodę przemknęły długie złote strzały, które
zniknęły wśród drzew, rozpalając tam krąg światła.

Charlie bełkotał i ślinił się, a jego przepocone włosy kłuły Jerry'ego
w brodę.

— Pan Tiu nie chciał gadać w biurze. O nie! Pan Tiu nie był
też dobrze ubrany. Tiu to zupełny czuczouczyk, używał tajlandz
kiego paszportu jak Drakę Ko, używał dziwnego nazwiska i trzymał
bardzo, bardzo nisko głowę, gdy przyjeżdżał do Vientiane. „Kapi
tanie Marshall — rzekł do mnie — niech pan powie, czy chciałby
pan zarobić trochę dodatkowej gotówki wykonując interesującą i róż
norodną pracę poza etatem w przedsiębiorstwie? Chciałby pan dla
mnie wykonać jeden niecodzienny lot? Mówiono mi, że z pana te
raz świetny pilot, z pewną ręką. Jak się panu uśmiecha zarobienie nie

mniej niż cztery, pięć tysięcy dolarów za jeden dzień pracy, nawet niecały dzień? Jak to się panu podoba, kapitanie Marshall?" „Panie Tiu, odpowiedziałem mu — wrzeszczał histerycznie Marshall — nie chcę w żaden sposób ograniczać swej pozycji do negocjacji, ale powiem panu, że w mojej obecnej sytuacji za pięć tysięcy dolarów poleciałbym dla pana do piekła i urwał czartowi jaja". Pan Tiu powiedział, że w takim razie wróci innego dnia i żebym trzymał gębę na kłódkę.

Wtem Charlie znów przemówił głosem ojca i zaczął się przezywać pajęczym bękartem i synem korsykańskiej kurwy, aż naraz Jerry uświadomił sobie, że on przedstawia następny epizod historii.

Zdumiewające, ale okazało się, że Charlie zatrzymał dla siebie tajemniczą ofertę Tiu aż do spotkania z ojcem, tym razem w Cziang Maj na obchodach chińskiego Nowego Roku. Nie powiedział o niej Ricowi, nie powiedział nawet Lizzie, może dlatego, że w owym czasie niezbyt dobrze im się razem układało, a Ric miał wiele kobiet na boku.

Rada generała nie była zachęcająca.

— Nie waż się dotykać tego konia! Ten Tiu ma mocne układy bardzo wysoko i coś się zbyt cackają z takim stukniętym pajęczym bękartem jak ty, słyszysz mnie? Jezusie Chrystusie, kto kiedy słyszał, żeby szantouczyk dawał pięć patyków za podróżowanie jakiemuś wszawemu *kwailol*

— A więc przekazałeś ofertę Ricowi, tak? — zapytał szybko Jerry. — Zgadza się, Charlie? Powiedziałeś Tiu: „Przepraszam, ale weź pan Ricarda"? Tak było?

Ale Charlie Marshall był już jedną nogą w grobie. Puścił się koszuli Jerry'ego i padł plackiem w błoto, z zamkniętymi oczyma, łapiąc powietrze chciwymi, charczącymi haustami, a oszalały puls w nadgarstku ściskanym przez Jerry'ego świadczył o piekle w jego ciele.

— Wolter — szepnął Charlie. — Zaklinam na Biblię. Jesteś do brym człowiekiem. Zabierz mnie do domu. Jezu, zabierz mnie do domu.

Oszołomiony, Jerry patrzył na leżącą, zdruzgotaną postać i wiedział, że musi zadać jeszcze jedno pytanie, nawet jeśli miałyby ono kosztować życie ich obu. Pochyliwszy się, postawił Charliego na nogi po raz ostatni. I tak przez godzinę, szarpiąc się u jego ramienia, podczas gdy salwy na wiwat kłuły mrok, Charlie Marshall krzyczał i błagał i przysięgał na ciemnej drodze, że nie przestanie kochać Jerry'ego do śmierci, jeśli tylko nie będzie musiał zdradzić, w jaki układ wszedł jego przyjaciel Ricardo. Ale Jerry wyjaśnił mu, że bez tego tajemnica nie jest nawet w połowie wyjawiona. I być może Marshall, w krańcowym wyczerpaniu i rozpacz, gdy z łkaniem wydał wreszcie niezgłębiony sekret, pojął rozumowanie Jerry'ego: że w mieście, które ma

niebawem zostać wydane dżungli, nie można mówić o zniszczeniu, jeśli nie jest ono całkowite.

Najdelikatniej jak potrafił, Jerry zaniósł Charliego Marshalla drogą z powrotem do willi, po schodach na górę, gdzie te same twarze przyjęły go z wdzięcznością. Powiniennem był wydobyć z niego więcej, pomyślał. I więcej powiniennem był mu powiedzieć: nie kierowałem ruchem w obie strony, jak mi kazano. Zbyt wiele czasu zmiężyłem na Lizzie i Sama Collinsa. Zrobiłem to na odwyrtkę, spartaczyłem, sknocilem jak Lizzie. Usiłowałem poczuć żal, ale nie potrafił. Sprawunki, które pamiętał najlepiej, nie widniały w ogóle na liście jego zakupów; utkwiły w jego umyśle niczym ostre kolce, podczas gdy pisał na maszynie wiadomość do drogiego George'a.

Pisał za zamkniętymi na klucz drzwiami i z pistoletem u boku. Nie było śladu Luke'a, więc przypuszczał, że w nastroju pijackiego przygnębienia zabrał się do jakiegoś burdelu. Pisał długi sygnał, najdłuższy w swej karierze: „Poznaj wszystko na wypadek, gdybym się więcej nie odezwał”. Doniósł o kontakcie z konsulem, podał swoją następną przystań, podał opis i adres Ricarda, opowiedział o trzyosobowej rodzinie w zapchlonej norze w Vientiane, ale jedynie najbardziej ogólnikowo, nie podzielił się natomiast w ogóle zdobytą wiedzą na temat roli odegranej niegdyś przez niesmacznego Sama Collinsa. W końcu jeśli już to mają, to jaki sens mówić im o tym? Opuścił nazwy miejsc i nazwiska i zakodował je osobno, następnie spędził godzinę na ubieraniu obu części sygnału w podstawowy szyfr, który nie powstrzymałby żadnego kryptografa nawet przez pięć minut, ale był poza zasięgiem zwykłych śmiertelników i takich jak jego gospodarz, konsul brytyjski. Zakończył przypomnieniem pod adresem administracyjnych, by sprawdzili, czy Blatt and Rodney wysłali do Cat ostatni przelew pieniężny. Następnie spalił teksty *en clair*, zawinął zaszyfrowane informacje w gazetę, po czym położył się na niej i zasnął, z bronią trzymaną niezręcznie przy boku. O szóstej ogolił się, przełożył sygnały do książki, z którą mógł się rozstać bez żalu, i wybrał się na spacer w spokojny ranek. Na placu stał rzucający się w oczy samochód konsula. Sam konsul, równie rzucający się w oczy, siedział na tarasie ładnego bistro, ubrany w słomkowy kapelusz, który przypominał Crawa, i raczył się ciepłymi rogalikami oraz *café au lait*. Na widok Jerry'ego zamachał pracowicie ręką. Jerry podszedł do niego.

— Dzień dobry — powiedział.

— Masz pan! Świetnie! — krzyknął konsul, zrywając się z krzesła. — Pragnąłem to przeczytać od samego początku!

Rozstawszy się z sygnałem, świadom tylko jego braków, Jerry miał wrażenie końca roku szkolnego. Może wróci, może nie, ale nic już nie będzie takie samo.

Dokładne okoliczności wyjazdu Jerry'ego z Phnom Penh są istotne ze względu na Luke'a.

Pozostałe godziny poranku Jerry spędził na zaspokajaniu swej obsesyjnej potrzeby kamuflażu, co było — być może — naturalnym antidotum na rosnące poczucie zagrożenia. Wyruszył więc przykładnie na poszukiwanie informacji do artykułów o uchodźcach i sierotach, potem wysłał je przez Kellera w południe wraz z całkiem przyzwoitym reportażem ze swego pobytu w Battambang, który, choć nigdy się nie ukazał, zdobył przynajmniej miejsce w jego dossier. W owym czasie były dwa obozy uchodźców, jeden w olbrzymim nie wykończonym hotelu na Bassac, nie spełnionym osobistym śnie Si-hanouka o raj, drugi na dworcu przekowym w pobliżu lotniska, z dwiema, trzema rodzinami wpakowanymi do jednego przedziału. Pojechał do obu; były takie same: młodzi bohaterowie z Australii walczący z bezradnością; wyłącznie brudna woda, garstka ryżu dwa razy w tygodniu i dzieci świergoczące za nim „cześć” i „pa”, gdy przechodził z kambodżańskim tłumaczem między nimi, zasypując każde pytaniami, grając swą rolę i szukając czegoś wyjątkowego, co zmiękczyłoby serce Štubbsa.

W biurze podróży hałaśliwie zarezerwował lot do Bangkoku nieudolnie próbując zatrzeć ślady. W drodze na lotnisko naszło go nagle uczucie *deja vu*. Kiedy byłem tu poprzednio, pojechałem na narty wodne, przypomniał sobie. Okrągłooocy handlowcy trzymali łodzie na Mekongu. Przez chwilę zobaczył siebie — i miasto — w czasach, gdy wojna w Kambodży miała wciąż pewną upiorną niewinność: arcysz-pieg Westerby, ryzykujący solo po raz pierwszy, podskakuje chłopięco na brązowej wodzie Mekongu, ciągnięty przez wesołego Holendra w motorówce, która paliła tyle benzyny, że starczyłoby na tydzień dla całej rodziny. Największym niebezpieczeństwem były wysokie na dwie stopy fale, przypomniał sobie, które przetaczały się z biegiem rzeki za każdym razem, gdy strażnicy na moście odpalali w wodzie ładunki, by uniemożliwić khmerskim nurkom wysadzenie go w powietrze. Teraz rzeka należała do czerwonych, podobnie dżungla. I tak jutro albo pojutrze będzie do nich należeć miasto.

Na lotnisku wcisnął pistolet do kosza na śmieci i w ostatniej chwili łapówkami zdobył miejsce na lot do Sajgonu, który był jego prawdziwym celem. Podczas startu zastanawiał się, komu zostało więcej czasu: jemu czy temu miastu, z którego umykał.

Lukę z kolei, z kluczem do hongkońskiego mieszkania Jerry'ego w kieszeni — albo raczej do mieszkania Szwaba Smiercioluba — poleciał do Bangkoku i tak się złożyło, że zrobił to nieroztropnie pod nazwiskiem Jerry'ego, albowiem Jerry był na liście pasażerów, a Lukę nie, wszystkie pozostałe miejsca zaś były zajęte. W Bangkoku wziął udział w pospiesznym kolegium redakcyjnym swej gazety, na którym dziennikarzom miejscowego zespołu przydzielono różne wątki kruszącego się frontu w Wietnamie. Lukę'owi dostały się Hue i Da Nang, więc stosownie do zadań poleciał nazajutrz do Sajgonu, a stamtąd z przesiadką na północ.

Wbrew późniejszym pogłoskom obaj mężczyźni nie spotkali się w Saj gonie.

Nie spotkali się również na północy w trakcie odwrotu. Ostatni raz widzieli się — w sensie bezpośredniego spotkania — owego wieczora w Phnom Penh, kiedy to Jerry zrugał Luke'a, a ten popadł w przygnębienie, i to jest fakt — coś, czego później było notorycznie brak.

Rozdział 17

RICARDO

Na żadnym etapie sprawy George Smiley nie trzymał steru z taką nieustępliwością jak teraz. W Cyrku nerwy były napięte do granic wytrzymałości. Cholerna beczynność i wybuchy szaleństwa, przed którymi zwyczajowo ostrzega Sarratt, stały się jednym i tym samym. Każdy nowy dzień, który nie przynosił konkretnych wiadomości z Hongkongu, był kolejnym dniem kłęski. Długi sygnał Jerry'ego został zbadany pod mikroskopem i uznany za tekst mętny, a nawet neurotyczny. Dlaczego Westerby nie przycisnęła mocniej Marshalla? Dlaczego nie wypytał go o rosyjskie widma? Powinien był pomęczyć Charliego na temat żyły złota, powinien był zacząć od tego, na czym skończył — od Tiu. Czy zapomniał, że jego główne zadanie polegało na sianiu popłochu, a dopiero w następnej kolejności na zdobywaniu informacji? Jeśli zaś idzie o jego obsesję na punkcie paskudnej córeczki — święta Opatrzności, czy on nie wie, ile kosztują sygnały? (Krytycy najwyraźniej zapomnieli, że to „kuzyni” płacili rachunki). I co ma znaczyć, że nie chce mieć więcej do czynienia z urzędnikami ambasady brytyjskiej, którzy działają w zastępstwie nieobecnych rezydentów Cyrku? Dobra, rzeczywiście doszło do opóźnienia w prze-

slaniu sygnału od „kuzynów”. Ale przecież zdążył przydybać Char-iego, prawda? Nie do agenta w terenie należy dyktować Londynowi, co wolno, a czego nie wolno. Sekcja administracji, która załatwiła ten kontrakt, domagała się nagany po powrocie.

Naciski z zewnątrz były jeszcze silniejsze. Kolonialna frakcja Wilbrahama nie próżnowała, a Grupa Kierownicza, w zaskakującej wolta, doszła do wniosku, że gubernator Hongkongu powinien być jednak poinformowany o całej sprawie, i to szybko. Toczyły się nawet rozmowy na wysokim szczeblu o wezwaniu go do Londynu pod byle pretekstem. Panika narastała, albowiem Ko znowu był gościem w rezydencji rządowej, tym razem na jednej z kolacji wydawanych przez gubernatora, na które zapraszano wpływowych Chińczyków, by wypowiadali się nieoficjalnie w różnych kwestiach.

Saul Enderby i jego frakcja twardegłowych ciągnęły w przeciwną stronę: „Do diabła z gubernatorem. Chcemy natychmiast pełnej współpracy z »kuzynami«!” George jeszcze dziś powinien udać się do Martella, powiedział Enderby, wyłożyć wszystko jak na spowiedzi i poprosić, by przejęli sprawę na ostatnim etapie. Powinien wyłożyć kawę na ławę, powiedzieć o istnieniu Nelsona, przyznać, że nie ma środków, pozwolić „kuzynom” odliczyć sobie ewentualne dywidendy wywiadowcze, a jeśli odratują sprawę, tym lepiej: niech na nich spłyną pochwały Waszyngtonu, na pohybel ich wrogom. Rezultatem tego szczodrego, wykonanego w porę gestu, dowodził Enderby — prawdziwej bomby, która gruchnęłaby w samym środku wietnamskiego fiaska — byłaby nierozzerwalna współpraca wywiadów na wiele lat, wizja, którą na swój chytry sposób zdawał się popierać Lacon. Złapany w krzyżowy ogień, Smiley zyskał nagle dwuznaczną reputację. Stronnictwo Wilbrahama napiętnowało go za an-tykolonializm i proamerykańskość, podczas gdy ludzie Enderby'ego oskarżali go o ultrakonserwatyzm w zawiadywaniu służbami specjalnymi. O wiele poważniejsze jednak było odnoszone przez Smileya wrażenie, że odgłosy kłótni dotarły jakimiś kanałami do Martella i że Amerykanin potrafi to wykorzystać. Źródła Molly Meakin, na przykład, donosiły o kwitnącej zażyłości między Martellem a Enderbym, i to nie tylko dlatego, że ich dzieci kształciły się w Lycee na South Ken-sington. Nabrali zwyczaju jeździć w weekendy na ryby do Szkocji, gdzie Enderby miał swój kawałek wody. Martello zapewniał samolot, mówiono później żartem, a Enderby ryby. Mniej więcej w tym samym czasie mało światowy Smiley dowiedział się o tym, o czym wszyscy wiedzieli od początku i dlatego zakładali, że on też wie. Obecna, trzecia już, żona Enderby'ego była Amerykanką, w dodatku bogatą. Zanim wyszła za niego za mąż, prowadziła dom otwarty dla

waszyngtońskiego establishmentu, a teraz ze sporym powodzeniem zajęła się tym samym w Londynie.

Tymczasem źródło powszechnego niepokoju było jedno. Otóż na froncie nic w gruncie rzeczy się nie działo. Co gorsza, odczuwano bolesny niedostatek informacji operacyjnych. W tym okresie Smiley i Guillam codziennie udawali się do Aneksu i za każdym razem wracali coraz mniej zadowoleni. Domowy telefon Tiu był na podsłuchu, podobnie linia Lizzie Worthington. Taśmy kontrolowano na miejscu, następnie przesyłano do Londynu do szczegółowej analizy. Jerry zmaltretował Marshalla w środę. W piątek Charlie wydo-brzał na tyle, by zadzwonić z Bangkoku do Tiu i otworzyć przed nim serce. Ale nie minęło trzydzieści sekund, gdy Chińczyk przerwał mu w pół zdania i kazał „skontaktować się natychmiast z Harrym”. Wszyscy rozdzielili usta, albowiem nigdzie dotąd nie występował żaden Harry. W sobotę ogłoszono alarm, ponieważ ekipa podsłuchująca domowy telefon Ko usłyszała, jak odwołuje on coniedzielnny mecz w golfa z panem Arpego. Wymówił się nagłym spotkaniem w interesach. Jest! Oto przełom! Nazajutrz, za zgodą Smileya, hongkongijscy „kuzyni” obskoczyli furgonetką inwigilacyjną, dwoma samochodami i motocyklem rolls-royce'a Ko, kiedy ten wjechał do miasta. Jakaż to tajemnicza sprawa stała się tak pilna, że zrezygnował z cotygodniowej potyczki w golfa? Odpowiedź: wizyta u wróżbity, sędziwego szantouczyka, który przyjmował w obskurnej świątyni w jednej z uliczek odchodzących od Hollywood Road. Ko spędził u niego ponad godzinę, po czym wrócił do domu, i choć jakieś gorliwe dziecię z ekipy „kuzynów” zdążyło zainstalować na oknie świątyni zamaskowany mikrofon kierunkowy, to jedynymi dźwiękami, które udało się nagrać prócz odgłosów ulicy, było kwokanie dochodzące z kurnika staruszka. W Cyrku wezwano di Salisa. Po cóż, na Boga Ojca, ktoś jedzie do wróżbity o szóstej rano, zwłaszcza milioner?

Szczerze ubawiony zakłopotaniem innych, di Salis z zachwytu nawijał na palec kosmyki włosów. Człowiek o pozycji Ko, odparł, żądałby przyjęcia go w pierwszej kolejności, albowiem umysł wróżbity jest wówczas świeży i bez trudu wychwytuje przesłanie duchów.

Przez następne pięć tygodni nic się nie działo. Nic. Kontrole linii telefonicznych i poczty dostarczały kupę surowego materiału, który, poddany rafinacji, nie przyniósł ani jednego tropu wywiadowczego. Tymczasem termin narzucony przez Urząd do Zwalczenia Narkotyków zbliżał się nieubłaganie, nadchodził dzień, kiedy to miał się rozpocząć otwarty sezon polowań na Ko, wyścig o to, kto najszybciej coś na niego znajdzie.

Mimo to Smiley nie tracił głowy. Odrzucił wszystkie zarzuty niewłaściwego kierowania sprawą przez niego samego i przez Jerry'ego.

Drzewem potrząśnięto, odpowiadał z uporem, Ko się spłoszył, czas pokaże, że mamy rację. Nie dał się nakłonić do żadnego dramatycznego gestu wobec Martella i trzymał się stanowczo warunków umowy przedstawionych w swoim liście, którego kopia znajdowała się teraz u Lacona. Odmówił również, do czego upoważniał go status jego służby, wzięcia udziału w jakichkolwiek dyskusjach na temat szczegółów operacyjnych, z wyjątkiem tych, które dotyczyły kwestii protokołu lub mandatu do działań w konkretnych miejscach. Dobrze wiedział, że pójsie na ustępstwa w tej sprawie oznaczałoby włożenie wątpiącym broni do ręki, z której mogliby go ustrzelić.

Przez pięć tygodni trzymał się obranego kursu i tak trzydziestego szóstego dnia albo Bóg, albo prawa logiki, albo raczej prawa ludzkiej natury, przyniosły mu spore, choć tajemnicze pocieszenie. Ko ruszył na wodę. W towarzystwie Tiu i nieznanego Chińczyka, zidentyfikowanego później jako główny kapitan jego floty dżonek, spędził większość trzech dni na objędzie hongkongijskich wysepek, powracając do portu o zmierzchu. Gdzie pływali, nie wiadomo. Mar-tello zaproponował obserwację ze śmigłowców, ale Smiley z miejsca odrzucił ofertę. Statyczna inwigilacja z przystani potwierdziła tylko, że każdego dnia odpływali i wracali innym kursem, to wszystko. Natomiast czwartego dnia jacht w ogóle nie powrócił.

Panika. Gdzie się podziiali? Władcy Martella w Langley wpadli w popłoch i doszli do wniosku, że Ko celowo wpłynął „Admirałem Nelsonem” na wody terytorialne Chin. Albo nawet, że Chińczycy go porwali. Nikt już go nigdy nie zobaczy. Enderby, którego akcje zaczęły iść w dół, zadzwonił do Smileya i powiedział mu: „To będzie twoja wina, cholera, jeśli Ko wyskoczy w Pekinie i zacznie wrzeszczeć o prześladowaniu go przez tajne służby”. Nawet Smiley, przez jeden rozdzierająco długi dzień, zastanawiał się w duchu, czy Ko wbrew wszelkiemu rozsądkowi rzeczywiście nie uciekł do brata.

Nazajutrz, rzecz jasna, jacht spokojnie wpłynął do portu, jakby powracał z regat, i Ko wesół jak szczygieł wysiadł na ląd w ślad za swą piękną, złotowłosą Liese, która niczym w reklamie schodziła w słońcu trzem.

To właśnie informacja o powrocie Ko, po długim namyśle i ponownej, szczegółowej lekturze jego teczki — nie wspominając o napiętej debacie z Connie i di Salisem — skłoniła Smileya do powzięcia jednocześnie dwóch decyzji, a więc, mówiąc językiem hazardu, rzucenia dwóch ostatnich kart, które miał na ręku.

Po pierwsze: Jerry powinien przejść do „ostatniej fazy”, przez co Smiley rozumiał zaatakowanie Ricarda. Miał nadzieję, że tym posunięciem utrzyma ciśnienie na Ko i dostarczy mu, jeśli on jeszcze tego potrzebuje, ostatecznego dowodu, że czas działać.

Po drugie: powinien wkroczyć Sam Collins.

Drugą decyzję Smiley podjął w porozumieniu jedynie z Connie Sachs. Nie ma o niej wzmianki w głównym dossier Jerry'ego, lecz jedynie w tajnym załączniku wydanym później, z pominięciami, dla szerszego przebadania sprawy.

Faktu, że owa zwłoka i wahania miały rozkładowy wpływ na Jerry'ego, nie mógłby wziąć pod uwagę w swych rachubach nawet największy szef wywiadu na świecie. Być tego świadomym to jedno — a Smiley bezsprzecznie był i nawet podjął pewne kroki, by temu przeciwdziałać — a kierować się tym, umieścić na tej samej płaszczyźnie co ciężkie racje polityczne, którymi codziennie go bombardowano, to drugie, całkowicie niemożliwe. Generał musi postępować stosownie do priorytetów.

Fakt pozostaje faktem: Sajgon był najgorszym miejscem na ziemi dla zbijającego bąki Jerry'ego. Okresowo, gdy opóźnienia się przeciągały, w Cyrku dochodziło do rozmów na temat wysłania go do zakątka o zdrowszym klimacie, choćby do Singapuru albo Kuala Lumpur, ale kontrargumenty — dogodne położenie Sajgonu i utrzymanie kamuflażu — zawsze przeważały, więc zostawał tam, gdzie był; ponadto nazajutrz wszystko może ulec zmianie. Nie należało również zapominać o kwestii jego osobistego bezpieczeństwa. Hongkongu nie można było brać pod uwagę, również w Singapurze i Bangkoku Ko miał z pewnością wpływy. No i ponownie kwestia kamuflażu: w świetle zbliżającego się upadku Wietnamu, jakież było bardziej naturalne miejsce dla korespondenta wojennego niż Sajgon? Mimo to Jerry żył połowicznie, i to w połowicznym mieście. Jakkolwiek by na to patrzeć, przez czterdzieści lat wojna była stałym przemysłem Sajgonu i wycofanie się Amerykanów w siedemdziesiątym trzecim spowodowało zapaść, po której miasto nie podniosło się już do końca, toteż ów od dawna oczekiwany ostatni akt dramatu w obsadzie milionów osób rozgrywał się teraz przy ubogiej widowni. Nawet gdy Jerry wybierał się na obowiązkowe wycieczki na front, miał wrażenie, że ogląda skąpany deszczem mecz krykieta i zawodników, którzy myślą tylko o tym, by znaleźć się w szatni. Cyrk zabronił mu opuszczać Sajgon z racji tego, że w każdej chwili może być gdzieś potrzebny, ale przestrzegając ów zakaz w pełni, naraziłby się na śmieszność, więc go zignorował. Xuan Loc było nudnym francuskim ośrodkiem uprawy kauczukowca leżącym pięćdziesiąt mil w głębi kraju, na terenach, które stanowiły teraz strategiczny obwód stolicy. Tocząca się tu wojna w niczym nie przypominała batalii wokół Phnom Penh, była bardziej zaawansowana technicznie i obmyślona po europejsku.

Podczas gdy Czerwonym Khmerom brakowało broni, północni Wietnamczycy mieli radzieckie czołgi i ciężką artylerię, które ustawiali w linii koło przy kole, wedle klasycznych radzieckich wzorców, jakby mieli zaraz atakować Berlin pod rozkazami marszałka Żukowa, i nikt nie zrobił kroku do przodu, dopóki ostatni karabin nie był gotów do strzału. Miasteczko było opustoszałe, a w kościele katolickim pozostał tylko jeden francuski ksiądz.

— *C'est termine* — wyjaśnił Jerry'emu krótko. — Południowi Wietnamczycy postąpią tak jak zawsze — dodał. — Powstrzymają natarcie, po czym obrócą się na pięcie i dadzą drapaka.

Pili razem wino, patrząc na pusty plac.

Jerry przesłał kolejny artykuł, w którym stwierdził, że tym razem klęska jest blisko, Stubbsie jednak rzucił tekst w kąć i odpowiedział lakonicznie: „Wolę ludzi od przepowiedni, Stubbs”.

W Sajgonie, na stopniach hotelu „Caravelle”, zebrzące dzieci handlowały bezużytecznymi girlandami kwiatów. Jerry dawał pieniądze i brał kwiaty, by oszczędzić malcom wstydu, następnie wrzucał je do kosza w swoim pokoju. Kiedy siedział na dole, stukwały w okno i sprzedawały mu „Stars and Stripes”. Pił w pustych barach, gdzie garnęły się do niego zdesperowane dziewczyny, jakby miał być ich ostatnim klientem. Tylko policjanci byli w swoim żywiole. Stali na każdym rogu, w białych hełmach i czystych białych rękawicach, jak gdyby gotowi do kierowania ruchem, gdy wjadą zwycięskie kolumny wroga. Jeździli białymi jeepami niczym królowie, mijając koczujących na chodnikach uchodźców. Jerry wrócił do pokoju. Zadzwoił Her-cule, jego ulubiony Wietnamczyk, którego się teraz wystrzeżał. Her-cule — jak sam się ochrzcił — był wrogo usposobiony do władzy i Thieu i dostarczał brytyjskim dziennikarzom informacji na temat Wietkongu z wątpliwej racji, iż Wielka Brytania nie była zaangażowana w wojnę, z czego żył całkiem nieźle.

— Brytyjczycy to moi przyjaciele! — krzyknął do telefonu błagalnym głosem. — Wywieź mnie stąd! Potrzebuję papierów i pieniędzy!

— Spróbuj u Amerykanów — odparł Jerry i z uczuciem beznadziejności odłożył słuchawkę.

Biuro Agencji Reutera, z której Jerry wysłał swój poroniony tekst, było pomnikiem ku czci zapomnianych bohaterów i romantycznych klęsk. Na blatach pod szkłem tkwiły fotografie rozczochranych chłopięcych głów, na ścianach zaś odmowy przyjęcia tekstu i przykłady wściekłości naczelnych; powietrze przesycone było wonią starego papieru gazetowego i atmosferą Anglii, namiastką ojczyzny, pożądaną przez każdego korespondenta trawionego tęsknotą za Al-bionem. Tuż za rogiem było biuro podróży i później okazało się, że

w owym okresie Jerry dwa razy zarezerwował sobie lot do Hongkongu, po czym nie pojawił się na lotnisku. Był obsługiwany przez gorliwego „kuzyna” nazwiskiem Pike, który miał kamuflaż Służb Informacyjnych i zjawiał się czasami w hotelu z sygnałami w 'żółtych kopertach, oznaczonych dla uprawdopodobnienia napisem „Pilne dla prasy”. Za każdym razem instrukcja była ta sama: brak decyzji, czekać w pogotowiu, brak decyzji. Czytał Forda Maddoxa Forda i okropną powieść o dawnym Hongkongu. Czytał Greene'a, czytał Conrada i T. E. Lawrence'a, ale wciąż nic nie przychodziło. Ostrzały artyleryjskie najgorzej brzmiały w nocy, wszędzie panowała ogólna panika, jak rozprzestrzeniająca się zaraza.

W poszukiwaniu ludzi, a nie przepowiedni, jak kazał Stubbs, Jerry udał się do ambasady amerykańskiej, gdzie kilkanaście tysięcy Wietnamczyków napierało na bramy, pragnąc udowodnić swe amerykańskie obywatelstwo. Kiedy tak patrzył, podjechał jeep z oficerem, który wyskoczył i zaczął lając kobiety, wyzywając je od kurew i zdraj-czyń. Tak się złożyło, że za cel swych obelg obrał sobie grupę żon *bona fide* Amerykanów.

Jerry wysłał kolejny tekst, ale Stubbs znów wyrzucił go do kosza, co z pewnością tylko pogłębiło stan przygnębienia.

Kilka dni później strategom Cyrku puściły nerwy. Ponieważ klęska Wietnamu Południowego zdawała się coraz pewniejsza i bliższa, wysłali Jerry'emu sygnał, by natychmiast leciał do Vientiane i przyczaił się tam do chwili, aż dostanie dalsze instrukcje od listonosza „kuzynów”. Poleciał zatem i wynajął sobie pokój w hotelu „Pod Gwiazdozbiorem”, gdzie niegdyś lubiła zachodzić Lizzie. Pił przy barze, gdzie lubiła pić, od czasu do czasu gawędził z Maurice'em, właścicielem, i czekał. Bar był zbudowany z betonu grubego na dwie stopy, tak że gdyby zaszła konieczność, mógł służyć za schron albo bunkier. Każdego wieczora w przyległej doń posępnej sali jadalnej pił i wieczerał wyszukanie pewien stary *colon* z serwetą zatknietą za koszulę. Przy innym stoliku siedział zaczytany Jerry. Byli jedynymi gośćmi, co dzień, i nigdy się nie odzywali. Po ulicach przechadzali się cnotliwie w parach przybyli dopiero co ze wzgórz zwolennicy Pathet Lao, na chińską modłę ubrani w czapki i mundurki, unikając spojrzeń dziewcząt. Przejęli we władanie wille stojące na rogach ulic oraz wzdłuż drogi na lotnisko. Mieszkali w nieskazitelnie czystych namiotach, których szczyty wystawały ponad mury zarośniętych ogrodów.

— Czy koalicja się utrzyma? — zapytał pewnego razu Jerry Maurice'a.

Maurice nie zajmował się polityką.

— Jest jak jest — odparł z teatralnym francuskim akcentem i w milczeniu sprezentował Jerry'emu na pocieszenie długopis. Na

upominku widniało słowo „Lowenbrau”. Maurice miał koncesję piwną na cały Laos, ale sprzedawał — jak mówiono — kilka butelek rocznie. Jerry trzymał się z dala od ulicy, przy której znajdowało się biuro „Indocharter”, podobnie jak wyperswadował sobie wycieczkę na rogatki miasta, by rzucić okiem, ze zwykłej ludzkiej ciekawości, na zapchlona norę, która — wedle zeznań Charliego Marshalla — gościła niegdyś *menage a trois*. Zapytany o Chińczyków, Maurice odparł, że zostało ich w mieście bardzo niewiele. — Chińczycy nie lubią — odparł z uśmiechem, wskazując ruchem głowy zwolenników Pathet Lao na ulicy.

Pozostaje zagadka transkrypcji rozmów telefonicznych. Czy Jerry dzwonił do Lizzie z hotelu „Pod Gwiazdozbiorem”, czy nie? Jeśli tak, czy chciał z nią rozmawiać, czy tylko usłyszeć jej głos? Jeśli zaś chciał rozmawiać, to co zamierzał jej powiedzieć? A może samo zamówienie rozmowy — podobnie jak zarezerwowanie miejsc na lot do Sajgonu — było wystarczającą odskocznią od rzeczywistości?

Pewne jest tylko to, że nikogo, ani Smileya, ani Connie, ani kogośkolwiek innego, kto czytał rzeczony transkrypcje, nie można by z powagą oskarżyć o niedopełnienie obowiązków, albowiem zapis był co najmniej niejasny:

„00.55 czasu hongkońskiego. Zgłoszenie telefoniczne z zagranicy, osoba biście do obiektu. Telefonistka na linii. Obiekt przyjmuje zgłoszenie, powtarza kilkakrotnie. Halo?

Telefonistka: Zamawiający rozmowę, proszę mówić!

Obiekt: Halo? Halo?

Telefonistka: Zamawiający rozmowę, nic nie słyhać! Proszę mówić!

Obiekt: Halo? Mówi Liese Worth. Kto dzwoni?

Rozmowa przerwana przez zamawiającego”.

Transkrypcja nigdzie nie wspomina o Vientiane jako miejscu zgłoszenia i wątpliwe jest, czy Smiley w ogóle ją widział, albowiem jego kryptonim nie widnieje w wykazie.

Bez względu na to, czy to Jerry dzwonił, czy ktoś inny, nazajutrz nie jeden „kuzyn”, ale dwóch przyniosło mu rozkaz wymarszu, a więc zarazem tak długo i niecierpliwie oczekiwaną ulgę w apatii. Cholerna beczynność niezliczonych tygodni wreszcie dobiegła końca — i to na dobre.

Popołudnie spędził na załatwianiu wiz i transportu, następnego zaś dnia o świcie przekroczył Mekong i znalazł się w północno-wschodniej Tajlandii, zabrawszy ze sobą worek i maszynę do pisania. Długi drewniany prom pękał w szwach od wieśniaków i kwiczących

świń. W chacie, która służyła za punkt odprawy granicznej, zobowiązał się wrócić do Laosu tą samą trasą. W przeciwnym razie, ostrzegli go urzędnicy służbiście, opatrzenie jego dokumentów w odpowiednie stemple nie będzie możliwe. Pod warunkiem, że w ogóle wrócę, pomyślał. Patrząc za siebie na oddalający się laotański brzeg, ujrzał amerykański samochód zaparkowany na ścieżce flisackiej, a obok dwie nieruchome, wpatrzone w niego szczupłe sylwetki. „«Kuzyni» jak zawsze u naszego boku”.

Po tajlandzkiej stronie wszystko przerodziło się nagle w splot niemożliwości. Wiza nie wystarczała, na fotografii był ktoś inny, tutejsze tereny były zakazane dla *farangów*. Dziesięć dolarów doprowadziło do diametralnej zmiany sytuacji. Po zdobyciu wizy przyszła kolej na samochód. Jerry uparł się na kierowcę władającego angielskim, więc opłatę stosownie podniesiono, ale starzec, którego dostał do usług, nie mówił w żadnym języku prócz tajskiego, a i to niewiele. Wykrzyczawszy kilka angielskich zwrotów w pobliskim sklepie z ryżem, Jerry trafił w końcu na grubego, nieruchawego chłopca, który znał trochę angielski i powiedział, że umie prowadzić. W bólach dobito targu. Ubezpieczenie starca nie obejmowało jednak innego kierowcy, w dodatku było przedawnione. Wyczerpany urzędnik wydał nową polisę, a tymczasem chłopiec poszedł do domu, by się przyszykować. Samochodem był czerwony ford o łysych oponach i wyklepanej karoserii. Wypadek z powodu złego ogumienia był akurat tym sposobem, w jaki Jerry nie zamierzał umrzeć w najbliższych dwóch dniach. Znowu rozpoczęto trudne negocjacje i Jerry dorzucił jeszcze dwadzieścia dolarów. W garażu pełnym kur obserwował uważnie każdy ruch mechaników, aż nowe opony znalazły się na kołach.

Tak zmarnowawszy godzinę, ruszyli wreszcie na złamanie karku na południowy wschód przez płaską, rolniczą okolicę. Chłopiec zagrał *The lights are always out in Massachusetts* pięć razy i w końcu Jerry poprosił o ciszę.

Droga była asfaltowa, ale pusta. Od czasu do czasu z naprzeciwka nadjeżdżał żółty autobus i wtedy chłopak natychmiast przyspieszał i trzymał się środka drogi, aż kolos ustępował i z łoskotem przemykał obok. Jerry się zdrzemnął, ale naraz obudził go chrzęst pękającego bambusowego płotu. Otworzył oczy w chwili, gdy tuż przed nimi wystrzeliła ku jasnemu niebu fontanna drzazg, a jakiś pikap w zwolnionym tempie stoczył się do rowu. Zobaczył, że drzwiczki wlatują jak suchy liść na wietrze, a ich śladem frunie kierowca, przez cgodzenie, prosto w wysoką trawę. Chłopak nawet nie zwolnił, tylko

od jego rechotu zarzuciło samochodem na boki. Jerry krzyknął „stój!”, ale nadaremnie.

— Chcesz pan ubrudzić krwią garnitur? Zostaw to doktorom — doradził chłopak stanowczo. — Ja cię pilnuję, dobra? To zły kraj, pełen komuchów.

— Jak masz na imię? — zapytał zrezygnowany Jerry.

Imię było dla niego nie do wymówienia, więc zdecydowali się na „Mickey”.

Do pierwszej blokady dotarli dwie godziny później. Jerry znów przysnął, wkuwając swoją rolę. Zawsze znajdują się jeszcze jedne drzwi, w które trzeba wepchnąć nogę, pomyślał. Był ciekaw, czy nadejdzie taki dzień — dla Cyrku, dla jego gazety — gdy staremu magikowi wyczerpie się repertuar, gdy pokona go sama energia potrzebna do przerzucenia dupy przez próg, i będzie stał sflaczały na zewnątrz, przystroiwszy się w dyżurny uśmiech sprzedawcy, podczas gdy słowa ugrzęzną mu w gardle. Jeszcze nie tym razem, pomyślał skwapliwie. Dobry Boże, jeszcze nie tym razem.

Zatrzymali się i spośród drzew wybiegł ku nim młody mnich z miską w dłoni. Jerry wrzucił do niej kilka *baht* na rzecz świątyni. Mickey otworzył bagażnik. Policjanci zajrzeli do środka, następnie kazali Jerry'emu wysiąść i zaprowadzili go do kapitana, który siedział samotny w ocienionej chacie. Oficer potrzebował sporo czasu, by zauważyć przybysza.

— Pyta, czyś Amerykanin — przetłumaczył Mickey.

Jerry wyjął dokumenty.

Po drugiej stronie szlabanu idealna asfaltowa droga biegła prosto jak drut przez płaskie nieużytki.

— Pyta, co szukasz tutaj — rzekł Mickey.

— Mam sprawę do pułkownika.

Ruszywszy dalej, minęli wioskę i kino. Jerry przypomniał sobie, że tu nawet najnowsze filmy są nieme. Pisał kiedyś o tym artykuł. Miejscowi aktorzy podkładają głosy i dodają do fabuły, co tylko przyjdzie im do głowy. Pamiętał Johna Wayne'a mówiącego piskliwie po tajsku oraz podekscytowanych widzów. Tłumacz wyjaśnił mu wtedy, że słyszą podróbkę burmistrza, który był znanym homoseksualistą. Wjechali w las; po obu stronach drogi drzewa zostały wycięte na odległość pięćdziesięciu jardów w głąb, żeby zminimalizować groźbę zasadzki. Od czasu do czasu mknęły po cienkich białych liniach, które nie miały nic wspólnego z ruchem samochodowym. Droga została położona przez Amerykanów, którzy nie zapominali o awaryjnych lądowiskach.

— Znasz pułkownika? — zapytał Mickey.

— Nie — odparł Jerry.

Chłopak roześmiał się z zachwytem.

— To co chcesz?

Jerry nie raczył odpowiedzieć.

Drugą zaporę napotkali dwadzieścia mil dalej, pośrodku wioski przejętej we władanie przez policję. Na dziedzińcu przed *wat* stała gromadka szarych ciężarówek, a obok szlabanu zaparkowały cztery jeepy. Wioska leżała przy skrzyżowaniu. Asfaltówkę, którą jechali, przecinała pod kątem prostym wiejska droga biegnąca przez równinę i wcinająca się we wzgórza po obu stronach. Tym razem Jerry przejął inicjatywę: gdy tylko się zatrzymali, wyskoczył z samochodu z okrzykiem zmiłowania: „Zaprowadźcie mnie do dowódcy!” Dowódcą okazał się młody, nerwowy kapitan z zafrasowaną miną człowieka, który stara się uciec przed sprawami nie na jego głowę. Siedział na posterunku policyjnym, z pistoletem na biurku. Jerry zauważył, że posterunek jest urządzony prowizorycznie. Za oknem zauważył zgliszcza, które wyglądały na ruiny poprzedniego.

— Mój pułkownik bardzo zajęty — rzekł kapitan za pośrednictwem Mickeya.

— I bardzo mężny — odparł Jerry.

Nie obeszło się bez przedstawienia mimicznego, by ustalić znaczenie słowa „mężny”.

— Zastrzelił wielu komunistów — powiedział Jerry. — Moja gazeta chce napisać o tym dzielnym tajskim oficerze.

Kapitan mówił coś długo i nagle Mickey parsknął śmiechem.

— Kapitan mówi, że nie ma komuchów, tylko Bangkok! Biedacy, co tu są, nic nie wiedzą, bo Bangkok nie dał im szkół, więc komuchy przychodzą w nocy gadać i mówią im, żeby ich wszyscy synowie pojechali do Moskwy, uczyć się na ważny lekarz, więc biedacy wysadzają posterunek.

— Gdzie mogę znaleźć pułkownika?

— Kapitan mówi, żeby tu zostać.

— Czy poprosi pułkownika, żeby do nas przyjechał?

— Pułkownik bardzo zajęty.

— A gdzie on jest?

— W następnym wioska.

— Jak się nazywa następna wioska? Chłopak ponownie zaniósł się śmiechem.

— Nie nazywa. Tam nie ma życie.

— A jak się nazywała, kiedy było w niej życie?

— Kapitan mówi, tajemnica wojskowa. Znaczy, nie wie.

— Czy przepuści nas, żebyśmy do niej zajrzeli?

Nastąpiła długa wymiana zdań.

— Jasne — odparł wreszcie Mickey. — Mówi, że możemy jechać.

— Czy kapitan połączy się z pułkownikiem i powie mu, że jedziemy?

— Pułkownik bardzo zajęty.

— Czy powie mu?

— Jasne — odparł Mickey, jakby tylko ohydny *farang* mógł robić aferę z tak oczywistej drobnostki.

Wsiedli z powrotem do samochodu. Szlaban podniesiono i ruszyli dalej po idealnym asfalcie z przetrzebionym po bokach lasem i sporadycznymi oznaczeniami dla samolotów. Przez następne dwadzieścia minut nie zobaczyli żywej duszy, ale owa pustka wcale nie przynosiła Jerry'emu pocieszenia. Słyszał, że każdemu komunistycznemu partyzantowi walczącemu w górach odpowiada pięciu na równinach, którzy dbają o ryż, amunicję i zaplecze, a właśnie przez równinę jechali. Po prawej ujrzeli wiejską drogę, z której kurz znaczył asfalt od niedawnego użycia. Mickey skręcił i wjechał w głębokie koleiny po kołach ciężarówek, znów włączywszy głośno wbrew Jerry'emu *The lights are always out in Massachusetts*.

— Tak komuchy myślą nas dużo ludzi — wyjaśnił ze śmiechem, więc Jerry nie mógł oponować. Ku jego zdumieniu chłopak wyjął z torby pod siedzeniem olbrzymi pistolet kaliber 0.45 o długiej lufie. Oстрыm tonem Jerry polecił mu schować broń. Kilka minut później poczuli woń spalenizny, przejechali przez gęste kłęby dymu i zaraz dotarli do pozostałości po wiosce: gromadki wystraszonych ludzi, kilku akrów wypalonych drzew tekowych, podobnych do skamieniałego lasu, trzech jeepów, dwudziestu kilku policjantów i krępego podpułkownika wśród nich. Zarówno wieśniacy, jak i policjanci pa trzymali na łatę tłącego się nie opodał popiołu, gdzie kilka zwęglonych belek znaczyło zarysy spalonych domów. Pułkownik przyglądał się, jak Jerry i Mickey wysiadają i podchodzą. Wojownik, Jerry od razu to spostrzegł. Był przysadzisty i silny, ani się nie uśmiechał, ani nie pa trzymał wilkiem. Śniady i szpakowaty, mógłby być Malajem, gdyby nie szeroki tors. Na piersi miał skrzydełka spadochronowe i lotnicze oraz kilka rzędów baretek. Był ubrany w mundur polowy, a na jego prawym udzie spoczywał w skórzanej kaburze pistolet automatyczny. Kłapa wisiała otwarta.

] — Pan ten dziennikarz? — zapytał Jerry'ego z amerykańskim] akcentem.

— Zgadza się.

Zwrócił spojrzenie na kierowcę. Powiedział coś i Mickey po spiesznie odszedł i wsiadł do samochodu.

— Czego pan chce?

— Ktoś tu zginął?

— Troje ludzi. Właśnie ich zastrzeliłem. Ale mamy trzydzieści osiem milionów. — Jego praktyczna amerykańska angielszczyzna była bliska ideałowi i coraz bardziej zdumiewająca.

— Dlaczego ich pan zastrzelił?

— W nocy KT mieli tu wykłady. Ludzie przychodzą zewsząd, by słuchać.

Komunistyczni terroryści, pomyślał Jerry. Podejrzewał, że wyrażenie to ukuli Brytyjczycy. Sznur ciężarówek snuł się wiejską drogą. Na ich widok wieśniacy poczęli zbierać dzieci i koce służące do spania. Pułkownik wydał rozkaz i policjanci ustawili ludzi w miarę równym rzędzie, gdy tymczasem ciężarówki wykręcały.

— Znaleźliśmy im lepsze miejsce — powiedział pułkownik. — Zaczną od nowa.

— Kogo pan zastrzelił?

— W zeszłym tygodniu zabito z mózdzierza dwóch moich ludzi. KT wyprowadzili atak z tej wioski. — Dostrzegł zasmuconą kobietę, która gramoliła się na ciężarówkę, i przywołał ją, by Jerry mógł się jej przyjrzeć. Stała ze zwieszoną głową.

— Mieszkali u niej w chacie — rzekł. — Tym razem zastrzeliłem jej męża. Następnym zastrzelę ją.

— A pozostałe dwie osoby? — zapytał Jerry.

Pytał, albowiem zadawać pytania, znaczy iść za ciosem, lecz to on, nie pułkownik, był wzięty na spytki. Brązowe oczy oficera pozostawały zimne i przenikliwe, pełne rezerwy. Patrzyły na Jerry'ego pytająco, bez niepokoju.

— Jeden z KT spał z tutejszą dziewczyną — padła odpowiedź. — Nie jesteśmy tylko policją. Jesteśmy również sędzią i trybunałem. Nikogo innego nie ma. Bangkok nie interesuje się tutejszymi sprawami.

Wieśniacy wsiedli na ciężarówki. Odjechali bez jednego spojrzenia za siebie. Jedynie dzieci machały ponad klapami. Następne ruszyły jeepy, oprócz jednego, zostawiając ich czterech: Jerry'ego, pułkownika, Mickeya i pewnego chłopca, w wieku może piętnastu lat.

— Kim on jest? — zapytał Jerry.

— On jedzie z nami. Za rok, może dwa jego też zastrzelę.

Jerry siedział w jeepie obok pułkownika, który prowadził. Chłopiec przycupnął niewzruszony w tyle, mrużąc „tak” i „nie”, podczas gdy pułkownik pouczał go stanowczym, mechanicznym tonem. Mickey jechał za nimi fordem. Na podłodze jeepa, między fotelem

a pedałami pułkownik trzymał w kartonowym pudełku cztery granaty. Na tylnym siedzeniu leżał mały pistolet maszynowy, którego pułkownik nie raczył zabrać, mimo że był w zasięgu chłopca. Nad lusterkiem, obok wotywnych obrazków, wisiał pocztówkowy portret Johna Kennedy'ego z legendarnym: „Nie pytaj, co ojczyzna może zrobić dla ciebie. Zadaj sobie raczej pytanie, co ty możesz zrobić dla ojczyzny”. Jerry wyjął notes. Pułkownik nadal pouczał chłopca.

— Co pan mu mówi?

— Wyjaśniam mu zasady demokracji.

— Jak one brzmią?

— Żadnych komunistów i generałów — odparł pułkownik i roześmiał się.

Na skrzyżowaniu z asfaltową drogą skręcili w prawo, w głąb kraju, za nimi zaś Mickey w czerwonym fordzie.

— Stosunki z Bangkokiem to jak wspinaczka na tamto duże drzewo — rzekł pułkownik do Jerry'ego, wskazując ręką las. — Wespniez się pan na jedną gałąź, odrobinę w górę, potem na drugą, która pęka, i znowu trzeba w górę. Może pewnego dnia dojdzie się do generała na samym czubku. A może nigdy.

Zamachało na nich dwoje dzieci i pułkownik zatrzymał *jeepa*. Wcisnęły się do tyłu obok piętnastolatka.

— Nieczęsto to robię — rzekł z kolejnym nagłym uśmiechem. — Teraz dlatego, żeby panu pokazać, jaki ze mnie miły facet. KT dowiadują się, że żołnierze podwożą dzieci, i wystawiają je, żeby zatrzymywały samochody. Trzeba zmieniać postępowanie. Tylko tak można przeżyć.

Znów wjechali w las. Po pokonaniu kilku mil dzieci wysiadły, ale zasmucony piętnastolatek pozostał. Nagle drzewa ustąpiły pola nieużytkom. Niebo się rozbieliło, a przez mgłę przebijały się cienie wzgórz.

— Co on takiego zrobił? — zapytał Jerry.

— On? Jest KT — odrzekł pułkownik. — Złapaliśmy go. — Wśród drzew Jerry dostrzegł złoty błysk, ale to była tylko *wat*. — W zeszłym tygodniu jeden z moich policjantów został informatorem KT. Wysłałem go na patrol i zastrzeliłem. I przez to stał się wielkim bohaterem. Żonie wyznaczyłem odszkodowanie, kupiłem dużą flagę do okrycia ciała, urządziłem wielki pogrzeb i wioska się wzbogaciła. Ten facet już nie jest informatorem. Jest bohaterem ludu. Trzeba zdobywać ludzkie serca i umysły.

— Bez wątpienia — zgodził się Jerry.

Dojechali do szerokiego, suchego pola ryżowego, pośrodku którego kopały motykami ziemię dwie kobiety. Oprócz nich w zasięgu

wzroku nie było nikogo, jedynie w oddali majaczył płot i skaliste diuny przechodzące w białe niebo. Zostawiwszy Mickeya w fordzie, Jerry i pułkownik ruszyli polem, z zasmuconym chłopcem za plecami.

— Brytyjczyk?

— Tak.

— Byłem w Międzynarodowej Akademii Policyjnej w Waszyngtonie. Miłe miejsce. Prawa kryminalnego uczyłem się na stanowym uniwersytecie Michigan. Dobra szkoła. Zechciałby pan iść trochę dalej ode mnie? — zapytał grzecznie, robiąc ostrożnie krok przez leżący pług. — Będą strzelać do mnie, nie do pana. Jakby zastrzelili *faranga*, to mieliby mnóstwo kłopotów. Nie chcą tego. Na moim terenie nikt nie strzela do *farangów*.

Doszli do kobiet. Pułkownik przemówił do nich, po czym odszedł na pewną odległość, przystanął i obejrzał się na zasmuconego chłopca. Wrócił i znów coś powiedział do kobiet.

— O co chodzi? — zapytał Jerry.

— Pytałem, czy w pobliżu są jacyś KT. Powiedziały, że nie. I wtedy pomyślałem sobie, że może oni chcą tego chłopaka z powrotem. Wróciłem więc i powiedziałem im, że jeśli coś się stanie, to je pierwsze zastrzelimy.

Doszli do płotu. Przed nimi ciągnęły się diuny, porośnięte wysokimi krzewami i palmami o liściach przypominających klingi szabel. Pułkownik przyłożył dłonie do ust i krzyknął głośno kilkakrotnie, aż nadeszła odpowiedź.

— Nauczyłem się tego w dżungli — rzekł z kolejnym uśmiechem. — Kiedy jest się w dżungli, trzeba najpierw zawołać.

— Gdzie była ta dżungla? — zapytał Jerry.

— Proszę teraz iść przy mnie. I proszę się uśmiechać, kiedy pan do mnie mówi. Będą chcieli widzieć pana dokładnie.

Doszli do małej rzeczki. Nad jej brzegami około stu smętnych chłopców i mężczyzn wykopywało z ziemi oskardami i łopatami kamienie albo przenosiło na plecach worki cementu z jednej kupy na drugą. Obserwowała ich obojętnie garstka policjantów. Pułkownik przywołał piętnastolatka i przemówił do niego, a gdy ten skinął głową, palnął go mocno w ucho. Chłopak coś mruknął i wtedy pułkownik uderzył go jeszcze raz, po czym poklepał po ramieniu, i wtedy on, niczym wolny, ale okaleczony ptak, umknął, by dołączyć do pracujących.

— Jak będzie pan pisał o KT, to niech pan napisze o mojej tamie — polecił pułkownik, kiedy ruszyli w powrotną drogę. — Zrobimy tu piękne pastwisko. Będzie ochrzczone moim nazwiskiem.

— Gdzie pan walczył w dżungli? — powtórzył pytanie Jerry.

— W Laosie. Bardzo ciężkie walki.

— Na ochotnika?

— No pewnie. Mam dzieci, potrzebuję pieniędzy. Wstąpiłem do PARU. Słyszał pan o PARU? Amerykanie to prowadzili. Dzięki nim powstało. Napisałem list z prośbą o zwolnienie z tajlandzkiej policji. Włożyli go do szuflady. Jeślibym zginął, wyciągnęliby go, by udowodnić, że złożyłem dymisję przed wstąpieniem do PARU.

— Czy właśnie tam poznał pan Ricarda?

— No pewnie. Ricardo to mój przyjaciel. Walczyliśmy razem, zabiliśmy wielu złych facetów.

— Chcę się z nim widzieć — powiedział Jerry. — W Sajgonie spotkałem jego dziewczynę. Powiedziała mi, że tu się ukrywa. Chcę mu zaproponować interes.

Znów minęli dwie kobiety na środku pola. Pułkownik pomachał do nich, ale go zignorowały. Jerry obserwował jego twarz, ale równie dobrze mógłby się przyglądać okrągłakowi na diunach. Pułkownik wsiadł do jeepa, Jerry wskoczył za nim.

— Myślałem, że może pan by mnie do niego zawiózł. Dzięki mnie mógłby być bogaty przez kilka dni.

— To dla gazety?

— Nie, to sprawa prywatna.

— Prywatny interes?

— Tak.

Kiedy wracali do drogi, nadjechały dwie żółte „gruszki” z cementem i pułkownik musiał cofnąć jeepa, żeby je przepuścić. Jerry automatycznie zakonotował sobie nazwę wymalowaną na bokach. Kiedy to czynił, uchwycił uważne spojrzenie pułkownika skierowane na niego. Jechali dalej w głąb lasu na tyle szybko, na ile mógł terenowy pojazd, aby umknąć cokolwiek złym zamiarom. Mickey wiernie podążał za nimi.

— Ricardo to mój przyjaciel, a ta okolica to mój teren — powiedział pułkownik świetną amerykańską angielszczyzną. Tym razem zdanie było wypowiedziane jako jawne ostrzeżenie. — Żyje tu pod moją opieką według łączącej nas umowy. Każdy tutaj wie o tym. Wieśniacy, KT. Nikt nie zrobi mu krzywdy, bo inaczej rozstrzelam wszystkich KT przy tamie.

Kiedy zjeżdżali z głównej drogi w wiejską, Jerry zauważył na asfalcie nieznaczące ślady poślizgu, które zostawił samolot.

— Tutaj ląduje?

— Tylko w porze deszczowej. — Pułkownik dalej przedstawiał swoje stanowisko w sprawie Ricarda: — Jeśli Ricardo pana zabije, to jego sprawa. Jeden *farang* zabija drugiego na moim terenie, to naturalne. — Równie dobrze mógłby dziecku wyjaśniać podstawowe

zasady arytmetyki. — Ricardo to mój przyjaciel — powtórzył bez cienia zażenowania. — Mój towarzysz.

— Spodziewa się mnie?

— Proszę mieć wzgląd na kapitana Ricardo. On czasem choruje. *Tiu znalazł dla niego specjalne miejsce*, powiedział Charlie Marshall, miejsce, gdzie przebywają tylko szaleńcy. *Tiu powiedział mu*; „Zostaniesz przy życiu, zatrzymasz samolot, będziesz latał jako obstawa Charliego Marshalla, kiedy tylko będziesz chciał, woził dla niego pieniądze, ochraniał mu plecy, jeśli on tak sobie życzy. Taka jest umowa, a *Drakę Ko nigdy nie łamie zawartej umowy*". *Ale jeśli Ric narobi kłopotów, albo coś spieprzy, albo zacznie mleć ozorem o pewnych sprawach, Tiu i jego ludzie zabiją skurwiela na amen, i nawet nie będzie wiedział, jak się nazywa.*

— Dlaczego Ric po prostu nie wsiądzie do samolotu i nie pryśnie? — zapytał wówczas Jerry.

Tiu ma jego paszport, Wolterze. Tiu wykupił jego długie, przedsiębiorstwa i akta policyjne. Wrobił go w handel pięćdziesięcioma tonami opium, dowody ma w szufladzie i w każdej chwili może je pokazać narkolapa-czom. Ric może wyjechać, wolna droga, tylko że na całym świecie czekają na niego więzienia.

Dom stał na palach pośrodku wiejskiej drogi, opasany balkonem, z małym strumyczkiem płynącym obok i dwoma tajskimi dziewczynami pod podłogą, z których jedna karmiła dziecko, a druga mieszała coś w garnku. Za domem ciągnęło się płaskie brązowe pole z szopą u jednego krańca, na tyle dużą, że mogłaby pomieścić mały samolot — powiedzmy beechcrafta — dalej zaś widniał srebrny szlak ugniecionej trawy, na której być może niedawno lądowano. Wokół nie było drzew. Sam dom stał na małym wzniesieniu i miał otwarty widok na cztery strony świata oraz długie, niezbyt wysokie okna, które — jak domyślił się Jerry — przerobiono, by zyskać szerokie pole ostrzału z wewnątrz. Pułkownik polecił Jerry'emu wysiąść i podszedł z nim do Mickeya. Powiedział coś do chłopca, a ten wyskoczył z forda i otworzył bagażnik. Pułkownik sięgnął ręką pod fotel kierowcy, wyjął pistolet o długiej lufie i wrzucił go z pogardą do jeepa. Obszukał Jerry'ego, następnie Mickeya, potem zaś sprawdził ich samochód. Kazał im obu zaczekać i wspiął się po stopniach na pierwsze piętro. Dziewczyny nie zwróciły na niego uwagi.

— Świetny pułkownik — powiedział Mickey.

Czekali.

— Anglia bogaty kraj.

— Anglia bardzo biedny kraj — odparował Jerry. Stali i patrzyli na dom.

— Biedny kraj, bogaci ludzie — powiedział chłopak. Wciąż śmiał się do rozpuku ze swojego dowcipu, gdy pułkownik wyszedł, wsiadł do jeepa i odjechał.

— Zaczekaj tu — powiedział Jerry. Podszedł powoli do schodów, uniósł głowę, przyłożył ręce do ust i zawołał:

— Nazywam się Westerby! Może pamiętasz, strzelałeś do mnie w Phnom Penh kilka tygodni temu! Jestem biednym dziennikarzem o bogatej wyobraźni!

— Czego chcesz, Wolterze? Ktoś mi mówił, że już nie żyjesz.

Latynoski głos, głęboki i chrapliwy.

— Chcę zaszantażować Drake'a Ko. Uważam, że moglibyśmy obaj naciąć go na dwa miliony i mógłbyś sobie kupić wolność.

W górze, w mroku odchylonej kłapy, Jerry ujrzał lufę karabinu, która łypnęła niczym oko cyklopa, następnie skupiła na nim swe spojrzenie.

— Dla każdego! — zawołał Jerry. — Dwa dla ciebie, dwa dla mnie. Wszystko mam opracowane. Z moją głową, twoimi informacjami i figurą, jaką ma Lizzie Worthington, to według mnie pewny strzał.

Ruszył powoli schodami na górę. *Wolter*, pomyślał. Gdy chodziło o rozpuszczenie gęby, Charlie Marshall nie zasypywał gruszek w popiele. Ale jeśli chodzi o moją śmierć, pomyślał Jerry, to będzie musiał jeszcze trochę poczekać.

Wspiąwszy się przez otwór w podłodze, Jerry wyszedł z mroku wprost na światło. — Stój — usłyszał latynoski głos. Usłyszał, rozglądając się po pomieszczeniu, które było połączeniem małego muzeum broni z amerykańskim kasynem wojskowym. Na środku tkwił stół, a na nim, na trójnogu, AK47, podobny do tego, z którego Ricardo ostrzeliwał się na lotnisku. Jerry podejrzewał, że z karabinu można prażyć przez wszystkie cztery okna, ale na wszelki wypadek było jeszcze kilka zapasowych egzemplarzy, każdy z porządną kupą magazynków przy kolbie. Wszędzie dokoła leżały granaty, jak owoce, w gromadkach po trzy lub cztery, na obrzydliwej zaś komodzie z orzecha, pod plastikowym wizerunkiem Madonny, leżał asortyment pistoletów i rewolwerów na każdą okazję. Był tylko jeden pokój, ale za to ogromny, z niskim łóżkiem o lakierowanych bokach. Przez chwilę Jerry zastanawiał się idiotycznie, jak u licha Ricardo wtaszczył to łóżko do małego beechcrafta. Dostrzegł dwie lodówki i maszynę do robienia lodów oraz w bólu wypracowane obrazy olejne nagich tajskich dziewcząt, namalowane z owym brakiem wprawy w erotyce, który jest zwykle rezultatem zbyt ograniczonego podejścia do tematu. Była jeszcze szafka biurowa, na której leżał luger,

i biblioteczka z dziełami na temat prawa handlowego, międzynarodowych przepisów podatkowych i technik miłosnych. Na ścianach wisiały rzeźbione przez miejscowych artystów ikony świętych, Dziewicy i Dzieciątka. Na podłodze leżało stalowe rusztowanie treningowej łodzi wioślarskiej z przesuwanym fotelem.

Pośrodku tego wszystkiego, w pozie podobnej do tej, w której Jerry po raz pierwszy go ujrzał, siedział Ricardo w dyrektorskim obracającym fotelu, ubrany w bransolety od CIA i sarong, ze złotym krzyżem na przystojnej, obnażonej piersi. Brodę miał mniej bujną niż we Phnom Penh; Jerry domyślił się, że przysrzygły mu ją dziewczyny. Brakowało też czapki, a jego faliste czarne włosy schwywane były w złoty pierścień na karku. Był barczysty i muskularny, o śniadej, natłuszczonej skórze oraz spletanym owłosieniu na piersi.

Przy łokciu trzymał butelkę szkockiej i dzban z wodą, ale bez lodu, ponieważ lodówki nie działały z braku prądu.

— Zdejmij marynarkę, proszę — polecił, a gdy Jerry usłuchał, wstał z westchnieniem, wziął ze stołu pistolet automatyczny i zaszedł Jerry'ego z boku, przyglądając się jego ciału. Następnie zaczął go obszukiwać.

— Grasz w tenisa? — zapytał, stojąc za nim i przesuając delikatnie dłoń wzdłuż jego pleców. — Charlie mi mówił, że masz mięśnie jak goryl. — W rzeczywistości zadawał pytania sobie. — Ja bardzo lubię tenis. Gram wyjątkowo dobrze. Zawsze wygrywam. Niestety, tutaj mam mało okazji. — Usiadł na powrót w fotelu. — Czasem człowiek musi się chować przed przyjaciółmi u wrogów. Jeżdżę konno, boksuję się, strzelam. Mam stopnie naukowe, potrafię prowadzić samolot, znam życie od podszewki, jestem bardzo inteligentny, ale wskutek nieprzewidzianych okoliczności mieszkam w dżungli jak małpa. — Pistolet spoczywał swobodnie w jego lewej dłoni. — Czy właśnie kogoś takiego nazywają paranoikiem, Wolterze? Kogoś, kto każdego uważa za wroga?

— Zdaje mi się, że tak.

By zażartować z siebie, Ricardo wskazał palcem swą brązową, natłuszczoną pierś.

— Ale ten paranoik ma prawdziwych wrogów — stwierdził.

— Jestem pewien, że z dwoma milionami dolarów — powiedział Jerry, wciąż stojąc przy klapie w podłodze — można pozbyć się większości z nich.

— Wolterze, muszę ci uczciwie powiedzieć, że uważam twoją propozycję za gówną wartą — rzekł Ricardo.

Roześmiał się; innymi słowy, ukazał garnitur białych zębów na tle przysrzyżonej brody i targnął lekko mięśniami brzucha. Nie spuszczać wzroku z Jerry'ego, sączył ze szklanki whisky.

Ustawiono go, pomyślał Jerry. Tak samo jak mnie. *Jeśli się pokaże, wysłuchaj, co ma do -powiedzenia*, powiedział zapewne Tiu. A kiedy już Ricardo mnie wysłucha, to co wtedy?

— Wyraźnie mi mówiono, że miałeś wypadek — powiedział Ricardo smutno i pokręcił głową, jakby się uskarżał na nierzetelność swych informatorów. — Chcesz się napić?

— Obsłużę się — rzekł Jerry. Szklanki stały w szafce, w różnych kolorach i kształtach. Podeszedł niespiesznie do mebla i wybrał sobie wysoki różowy kubek z wizerunkiem ubranej dziewczyny z wierzchu i nagiej od środka. Wlał kilka cali szkockiej, dodał odrobinę wody i usiadł za stołem naprzeciw Ricarda, który przyglądał mu się z zainteresowaniem.

— Ćwiczysz, podnosisz ciężary czy coś takiego? — zapytał ufnie.

— Nie, tylko szkło do ust — odparł Jerry.

Ricardo roześmiał się przesadnie głośno, wciąż wpatrzony w Jerry'ego błyszczącymi, lubieżnymi oczyma.

— Bardzo źle postąpiłeś z biednym Charliem, wiesz o tym? Nie lubię, jak ktoś wsiada na mojego przyjaciela, zmusza go do postu. Minie dużo czasu, zanim on się z tego otrząśnie. To bardzo niedobry sposób zaprzyjaźniania się z przyjaciółmi Charliego, Wolterze. Mówią, że byłeś nawet niegrzeczny dla pana Ko. I że zabrałeś moją Lizzie na kolację. Prawda to?

— Zabrałem.

— Przeleciałeś ją?

Jerry nie odpowiedział. Ricardo znów wybuchnął śmiechem, po czym zamilkł równie nagle. Pociągnął duży łyk whisky i westchnął.

— Mam nadzieję, że jest wdzięczna, to wszystko. — Z miejsca zaczął grać mężczyzną ze złamanym sercem. — Wybaczam jej, dobra? Jak ją znowu spotkasz, powiedz jej, że ja, Ricardo, wybaczam jej. To ja ją wszystkiego nauczyłem. Ja pchnąłem ją w odpowiednią stronę. Powiedziałem o wielu sprawach: o sztuce, kulturze, polityce, interesach, religii. Nauczyłem ją, jak się trzeba kochać, i posłałem w świat. Gdzie by teraz była bez moich znajomości? Żyłaby ze mną w dżungli jak małpa. To mnie wszystko zawdzięcza. *Pigmalion*, widziałeś ten film? No właśnie, to ja jestem profesorem. Powiedziałem jej to i owo — wiesz, co mam na myśli? Powiedziałem jej to, czego nie mógłby jej powiedzieć żaden facet oprócz mnie. Siedem lat w Wietnamie. Dwa w Laosie. Cztery tysiące dolarów miesięcznie od CIA, dla mnie, katolika. Myślisz, że nie miałem jej co mówić, takiej dziewczynie znikąd, puszczalskiej z Anglii? Ma dzieciaka, wiesz o tym? Małego chłopca w Londynie. Zostawiła go, wyobraź sobie. Ale matka, co? Gorsza od kurwy.

Jerry nie miał nic sensownego do powiedzenia. Patrzył na dwa duże sygnety zdobiące palec środkowy i serdeczny ciężkiej prawej

dłoni Ricarda i w pamięci porównywał odległość między nimi z bliźniami na podbródku Lizzie. To był cios z góry, doszedł do wniosku, prawy sierpowy, gdy stała trochę niżej niż on. Dziwne, że nie zламаł jej szczęki. A może zламаł, tylko chirurg miał szczęśliwą rękę?

— Ogluchłeś, Wolterze? Powiedziałem, żebyś przedstawił mi swoją ofertę. Bez uprzedzeń, rozumiesz. Tyle że nie wierzę w ani jedno twoje słowo.

Jerry poczęstował się whisky.

— Myślałem, że jeśli powiesz mi, co Drake Ko chciał, żebyś zrobił, gdy wykonywałeś dla niego lot, i gdyby Lizzie pomogła mi do niego podejść, i wszyscy troje trzymalibyśmy uczciwie ręce na stole, mielibyśmy szansę puścić go z torbami.

Teraz, kiedy to powiedział, zabrzmiało jeszcze bardziej nieprzekonująco niż podczas treningów, ale mało go to obchodziło.

— Jesteś stuknięty, Wolterze. Budujesz zamki na lodzie.

— Nie, jeśli Ko kazał ci lecieć do czerwonych Chin. Ko może mieć cały Hongkong na własność, ale jeśli gubernator dowie się o tej przygodzie, to coś mi się wydaje, że przestanie całować go na dobranoc. To na początek. Jest jeszcze coś na dokładkę.

— O czym ty mówisz? Jakie Chiny? Co ty mi tu za bzdury opowiadasz? Czerwone Chiny? — Ricardo wzruszył świecącymi ramionami i wypił kolejny łyk whisky, uśmiechając się ironicznie do szklanki. — Coś nie kapuję, Wolterze. Pierdzisz zamiast gadać. Skąd ci przyszło do głowy, że latałem dla Ko do Chin? Niedorzeczne. Śmiechu warte.

Jako kłamca, uznał Jerry, facet jest trzy ligi niżej od Lizzie, a to oznacza zupełnie inny świat.

— Mój naczelny mi wbił, kolego. To bardzo bystry jegomość. Ma wielu wpływowych, obytych w świecie przyjaciół. Mówią mu co nieco. Teraz, na przykład, ma silne przeczucie, że niedługo po tym, jak zginąłeś w tragicznej kraksie lotniczej, sprzedałeś mnóstwo surowego opium pewnemu sympatycznemu nabywcy z Ameryki, za angażowanemu w walkę z handlem narkotykami. Inne przeczucie mówi mu, że to opium należało do Ko, nie do ciebie, i że miejscem przeznaczenia były czerwone Chiny. Tyle że ty zdecydowałeś się na skok w bok. Jeśli więc tak było — ciągnął Jerry, gdy tymczasem Ricardo obserwował go znad szklanki — a Ko miał ambicję, powiedzmy, wprowadzić w Chinach na nowo zwyczaj konsumpcji opium, stwożyć powoli, ale konsekwentnie nowe rynki zbytu, rozumiesz mnie, to w takim razie, jak mi się wydaje, byłby gotów na wiele, by ta informacja nie dostała się na pierwsze strony światowych dzienników. To nie wszystko. Jest jeszcze inny aspekt tej sprawy, znacznie bardziej dochodowy.

— Jaki, Wolterze? — zapytał Ricardo, wpatrzony w Jerry'ego tak nieruchomo, jakby widział go w lunecie karabinu. — Co to za aspekt, o którym mówisz? Bądź tak miły i wyjaśnij.

— Chyba zatrzymam to na razie dla siebie, żeby zaostrił ci się apetyt — odrzekł Jerry ze szczerym uśmiechem. — A tymczasem może mi się czymś zrewanżuj.

Na górę weszła cicho schodami jedna z dwóch dziewcząt, niosąc miseczki ryżu, jarzyny i gotowanego kurczaka. Była kształtna i skończenie piękna. Spod podłogi dochodziły głosy, w tym Mickeya, oraz śmiech dziecka.

— Kogo tam masz, Wolterze? — zapytał Ricardo rozkojarzony, ocknąwszy się na poły z zadumy. — Jakiegoś goryla albo co?

— To tylko kierowca.

— Ma broń?

Nie otrzymawszy odpowiedzi, Ricardo pokręcił głową, zadziwiony.

— Jesteś stuknięty — stwierdził, machnąwszy ręką na dziewczynę, by sobie poszła. — Jesteś stukniętym facetem. — Podał Jerry'emu miseczkę i pałeczki. — Święta Mario. Ten Tiu to obcesowy facet. Ja sam jestem obcesowy, ale ci Chińczycy potrafią być bardzo niemili. Zadrzesz z takim facetem jak Tiu i zostanie z ciebie mokra plama.

— Pokonamy ich ich własną bronią — powiedział Jerry. — Weźmiemy angielskich adwokatów. Wypchniemy sprawę tak wysoko, że nawet najlepsze układy mu nie pomogą. Zbierzemy świadków. Ciebie, Charliego Marshalla, każdego, kto coś wie. Podamy daty, kiedy co mówił i robił. Pokażemy mu jedną kopię zeznań, pozostałe schowamy w banku i dojdziemy z nim do ugody. Będziemy mieć podpisaną, zapieczętowaną umowę. Legalnie jak cholera. On tak właśnie lubi. Ko to człowiek o prawniczym nastawieniu. Prześwieciłem jego interesy. Widziałem jego rachunki bankowe, aktywa. Czysty interes. A wzięwszy pod uwagę inne aspekty, o których wspomniałem, pięć milionów to według mnie taniocha. Dwa dla mnie, dwa dla ciebie. Jeden dla Lizzie.

— Dla niej ani grosza.

Ricardo nachylił się nad szafką biurową. Otworzywszy szufladę, zaczął grzebać wśród brozur i korespondencji.

— Byłeś kiedy na Bali, Wolterze?

Z powagą włożywszy na nos okulary do czytania, znów zasiadł za stołem i zaczął przeglądać jakieś dokumenty.

— Kupiłem tam trochę ziemi kilka lat temu. Zrobiłem interes. Robię dużo interesów. Spacerowałem, jeździłem, mam tam hondę 750 i dziewczynę. W Laosie zabijaliśmy wszystkich, w Wietnamie spalili śmy cały cholerny kraj, więc kupiłem kawałek ziemi na Bali, kawałek,

którego nie spaliliśmy, i wziąłem sobie dziewczynę, której nie zabiliśmy, wiesz, o co mi chodzi? Pięćdziesiąt akrów krzaków. Chodź tu, chodź.

Zajrzawszy mu przez ramię, Jerry zobaczył skopiowany na powielaczu plan międzymorza podzielony na liczne działki budowlane, w lewym dolnym zaś rogu słowa: „Ricardo and Worthington Ltd, Antyle Holenderskie”.

— Wejdiesz ze mną w interes, Wolterze. Razem to rozkręcimy, dobra? Zbudujemy pięćdziesiąt domów, po jednym dla nas, znajdą się mili ludzie, weźmiemy Charliego Marshalla na zarządcę, przyjmiemy parę dziewczyn, zrobimy może kolonię, wiesz, artyści, czasami koncerty. Lubisz muzykę?

— Potrzebuję niezbitych faktów — rzekł Jerry stanowczo. — Daty, miejsca, zeznania świadków. Kiedy mi powiesz, dam ci coś w zamian. Wyjaśnię ci pozostałe aspekty tej sprawy, te dochodowe. Wyjaśnię ci, na czym polega cały układ.

— Pewnie — odparł Ricardo nieobecnym głosem, wciąż wpatrzony w mapę. — Wyruchamy go. Pewnie, że tak.

Tak właśnie żyli razem, pomyślał Jerry, jedną nogą w krainie baśni, drugą w więzieniu, podtrzymując nawzajem swe fantazje, w operze zebraczej w obsadzie trzech osób.

Chwilę wcześniej Ricardo zapalał miłością do swych starych grzechów i Jerry nic nie mógł zrobić, by go powstrzymać. W prostym świecie meksykańskiego pilota mówić o sobie znaczyło poznawać lepiej innych. Mówił zatem o swej wielkiej duszy, swej wielkiej potencji seksualnej i trosce o jej trwanie, ale przede wszystkim mówił o potwornościach wojny, a więc o tym, z czym wedle własnego zdania był wyjątkowo obeznany.

— W Wietnamie zakochałem się w pewnej dziewczynie. Ja, Ricardo, zakochałem się. W moim wypadku to bardzo rzadkie, święte uczucie. Czarne włosy, proste plecy, twarz Madonny, małe cycuszki. Co rano gdy szła do szkoły, zatrzymywałem jeepa, ale ona zawsze kręciła głową. „Posłuchaj, mówiłem jej, Ricardo to nie Amerykanin, jestem Meksykaninem”. Nigdy w życiu nie słyszała o Meksyku. Od chodziłem od zmysłów. Przez całe tygodnie ja, Ricardo, żyłem jak mnich. Nawet nie dotykałem innych dziewcząt. I tak co rano. No i pewnego dnia jadę już na pierwszym biegu, a ona macha ręką i krzyczy „Stój!” Siada obok mnie. Zostawiła szkołę, pojechała żyć w *kampongu**, pewnego dnia powiem ci gdzie. Nadleciały B-52 i zrównały wioskę z ziemią. Jakiś bohater kiepsko odczytał mapę. Małe wioski, wszystkie wyglądają jednakowo, jak kamyki na plaży. Leciąłem

* Kampong (malaj.) — wioska (przyp. tłum.).

wtedy śmigłowcem za samolotami. Nic mnie nie mogło powstrzymać. Obok mnie siedział Charlie Marshall, wrzeszczał, że zwariowałem. Nie obchodziło mnie to. Schodzę, ląduję, odnajduję ją. Wszyscy w wiosce zabici, moja dziewczyna też, ale ją znalazłem. Wróciłem do bazy, żandarmi wojskowi pobili mnie, dostałem siedem tygodni paki, straciłem stopień. Ja, Ricardo.

— Biedak — powiedział Jerry, który słyszał podobne bajeczki i nienawidził ich, bez względu na to, czy w nie wierzył, czy nie.

— Masz rację — powiedział Ricardo, przyjąwszy wyrazy współczucia skinieniem głowy. — „Biedak” to właściwe słowo. Traktowali nas jak chłopów. Woziliśmy z Charliem wszystko, ale ani razu nas odpowiednio nie wynagrodzono. Rannych, zabitych, kawałki ciał, narkotyki. Za darmo. Jezus, ale walili na tej wojnie. Dwa razy poleciałem do prowincji Jiinnan. Jestem nieustraszony. Zupełnie. Nawet to, że jestem przystojny, nie sprawia, że się boją o siebie.

— Az podróżą dla Drake’a Ko — przypomniał mu Jerry — to będzie trzy, nie?

— Szkoliłem pilotów kambodżańskiego lotnictwa. Za darmo. Kambodżańskiego lotnictwa, Wolterze! Osiemnastu generałów, a tylko pięćdziesiąt cztery samoloty — i Ricardo. Jak twoja służba się kończy, dostajesz ubezpieczenie na życie, taki jest układ. Sto tysięcy amerykańskich dolarów. Tylko ty. Jak Ricardo umrze, jego najbliższa rodzina nie dostanie nic, taki jest układ. Jak Ricardo przeżyje, sam dostanie wszystko. Rozmawiałem kiedyś z kolegami z francuskiej Legii Cudzoziemskiej, oni znają się na rzeczy, ostrzegli mnie. „Uważaj, Ricardo. Szybko wyślą cię w takie miejsce, z którego nie wrócisz. W ten sposób nie będą ci musieli zapłacić”. Kambodżańczycy chcieli, żebym pole ciał z połową baku. Miałem zbiorniki skrzydłowe, więc odmówiłem. Innym razem schránili mi przewody. To sam sobie byłem mechanikiem. W ten sposób nie mogli mnie zabić. Posłuchaj, pstryknąłbym tylko palcami i Lizzie zaraz wróciłaby do mnie, jasne?

Obiad dobiegł końca.

— Jak to się potoczyło z Tiu i z Drake’em? — zapytał Jerry. W wypadku spowiedzi, mawia się w Sarratt, trzeba jedynie lekko kanalizować bieg strumienia.

Wydawało się, że po raz pierwszy Ricardo spojrzął na Jerry’ego z pełną intensywnością zwierzęcej głupoty.

— Zbijasz mnie z tropu, Wolterze. Jak ci powiem za dużo, będę cię musiał zastrzelić. Jestem bardzo gadatliwy, rozumiesz mnie? Czuję się tu samotny, mam skłonność do samotności. Jak kogoś lubię, to gadam z nim, a potem żałuję. Bo przypominam sobie o swoich zobowiązaniach, rozumiesz mnie?

Wewnętrzny bezruch opanował Jerry'ego. Człowiek z Sarratt stał się aniołem-powiernikiem, którego wyłączną rolą było słuchać i zapamiętywać. Wiedział, że z operacyjnego punktu widzenia znał się blisko końca podróży, chociażby dlatego, że droga powrotna stała w najlepszym razie pod dużym znakiem zapytania. Z operacyjnego punktu widzenia, wedle wszelkich precedensów, które pojmował, wyciszone dzwony tryumfu winny były bić w jego strachery zdjęte uszy. Ale tak się nie działo. I fakt, że się nie działo, był dla niego wczesnym ostrzeżeniem, już wtedy, że jego droga pod pewnym względem rozeszła się z drogą nauczycieli z Sarratt.

Początkowo opowieść Ricarda toczyła się zgodnie — pomijając jego wybujałość — z relacją Charliego Marshalla. Tiu przybił do Vientiane w przebraniu robotnika, cuchnąc kotami, i rozpytywał o najlepszego pilota w mieście. Naturalnie skierowano go natychmiast do Ricarda, który akurat miał wolne i gotów był wykonać pewne specjalistyczne i sownie opłacone zlecenie w dziedzinie awiacji. ■

W przeciwieństwie do Marshalla, Ricardo opowiadał z wystudiowaną bezpośredniością, jakby przeświadczony, że ma do czynienia z człowiekiem o mniejszej inteligencji niż on. Tiu przedstawił się jako osoba o rozległych stosunkach w przemyśle lotniczym, wspomniawszy jasno o swym powiązaniu z „Indocharter” i poruszył sprawę, o której rozmawiał wcześniej z Marshalllem. Wreszcie przeszedł do omówienia przedsięwzięcia, które było najpilniejsze, co oznacza, mówiąc wyszukany stylem Sarratt, że nakarmił Ricarda bajeczką. Pewna ważna firma handlowa z Bangkoku, z którą miał przyjemność być związany, jak się wyraził, była w trakcie załatwiania całkowicie legalnego interesu z pewnymi urzędnikami z sąsiedniego, przyjaznego kraju.

— To ja mu odpowiedziałem serio: „Panie Tiu, pan chyba właśnie odkrył Amerykę. Jeszcze nigdy nie słyszałem o azjatyckim kraju, który miałby przyjaznych sąsiadów”. Roześmiał się z mojego żartu. Rzecz jasna, uznał go za dowcipny wkład w rozmowę — powiedział Ricardo poważnym tonem w jednym ze swych nagłych napadów handlowej angielszczyzny.

Zanim jednak jego wspólnicy będą mogli skonsumować ów dochodowy i całkowicie legalny interes, wyjaśnił Tiu słowami Ricarda, stoi przed nimi problem opłacenia pewnych urzędników w owym przyjaznym kraju, którzy usunęły niezdrowo biurokratyczne przeszkody.

„A dlaczego to jest problem?” — zapytał Ricardo całkiem naturalnie.

Przypuśćmy, odparł Tiu, że chodzi o Birmę. Przypuśćmy. W dzisiejszej Birmie urzędnikom nie wolno się wzbogacać, z trudem też mogą wkładać pieniądze do banku. W takim wypadku trzeba obmyślić inny sposób zapłaty.

Ricardo zaproponował złoto. Tiu odrzekł z ubolewaniem, że w kraju, który ma na myśli, nawet złoto trudno spieniężyć. W tym wypadku walutą będzie opium, powiedział, czterysta kilogramów. Odległość nie jest wielka, Ricardo poleci i wróci w ciągu jednego dnia. Honorarium wyniesie pięć tysięcy dolarów, pozostałe zaś szczegóły zostaną mu przekazane przed odlotem, by uniknąć „niepotrzebnej erozji pamięci”, jak się wyraził Ricardo w kolejnym rozkwicie dziwnego słownictwa, które bez wątpienia stanowiło lwią część wykształcenia Lizzie, gdy była w jego rękach. Po powrocie — o czym Tiu był przekonany — z przyjemnego i pouczającego lotu pięć tysięcy dolarów w dogodnych nominałach będzie należeć do Ricarda pod warunkiem, że okaże on dowód, w jakiej bądź formie druga strona uzna za stosowne, że wywiązał się z zadania. Na przykład rachunek.

Ricardo wykazał się lisim sprytem, jak sam określił swoje podchody, w stosunkach z Tiu. Odpowiedział Chińczykowi, że przemyśli ofertę. Wspomnił o innych pilnych zleceniach i ambitnym zamiarze otwarcia własnej linii lotniczej. Następnie zaczął się dowiadywać, kim, u licha, jest pan Tiu. Bez trudu wywęszył, że po ich rozmowie Tiu nie wrócił do Bangkoku, ale natychmiast poleciał bezpośrednio do Hongkongu. Kazał Lizzie podpytać czuczouczyków z „Indocharter” i jeden z nich puścił parę z gęby, że Tiu musi być tłustym kocurem z „China Airsea”, albowiem podczas pobytu w Bangkoku zatrzymał się w apartamentach tej firmy w hotelu „Erewan”. Kiedy Tiu wrócił do Vientiane, by usłyszeć odpowiedź na swą ofertę, Ricardo wiedział już o nim sporo, choć nie domyślał się, że to prawa ręka Drake'a Ko.

Podczas drugiej rozmowy powiedział Tiu, że pięć tysięcy dolarów za jednodniowy lot to albo za dużo, albo za mało. Jeśli robota jest tak łatwa, jak twierdził Tiu, to za dużo. Jeśli zaś jest aż tak niebezpieczna, jak sam podejrzewał, to o wiele za mało. Zaproponował więc inne rozwiązanie, „handlowy kompromis”, jak się wyraził. Wyjaśnił, że cierpi na „chwilowy zator płynności finansowej” — wyrażenie, którego bez wątpienia przyszło mu często używać. Innymi słowy (interpretacja Jerry'ego), był jak zwykle bez grosza, wierzyciele zaś skakali mu do gardła. Potrzeba mu natychmiast stałych dochodów, wyjaśnił Chińczykowi, a problem ten zostałby najlepiej rozwiązany, gdyby Tiu załatwił mu pracę w „Indocharter” na stanowisku pilota-konsultanta za uzgodnioną pensję dwudziestu pięciu tysięcy dolarów rocznie.

Tiu najwyraźniej nie był wstrząśnięty tym pomysłem.

W domu na palach zrobiło się cicho jak makiem zasiał.

Po drugie, zamiast pięciu tysięcy dolarów wypłaconych po wywiązaniu się z zadania Ricardo domagał się zaliczki w wysokości dwudziestu tysięcy, by mógł wypełnić swe zaległe zobowiązania. Dziesięć tysięcy uzna się za zarobione, jak tylko dostarczy opium,

natomiast drugie dziesięć będzie mu potrącane „u źródła” — kolejna *nom de guerre* Ricarda — to znaczy z pensji wypłacanej mu przez „Indocharter” w następnych miesiącach zatrudnienia. Jeśli Tiu i jego wspólnicy nie mogą tego załatwić, rzekł, wówczas niestety będzie musiał czmychnąć z miasta przed dniem dostarczenia opium.

Nazajutrz Tiu zgodził się na te warunki, ale z pewnymi zastrzeżeniami. Zamiast wypłacić Ricardowi dwadzieścia tysięcy dolarów zaliczki, on i jego wspólnicy zaproponowali wykupienie jego długów bezpośrednio od wierzycieli. W ten sposób, wyjaśnił Chińczyk, wszyscy będą się czuć pewniej. Tego samego dnia ugoda została „uświęcona” — religijność Ricarda nigdy nie pozostawała długo w cieniu — w formie straszliwego kontraktu, sporządzonego po angielsku i podpisanego przez obie strony. Tak oto Ricardo — zakonotował sobie w głowie Jerry — sprzedał duszę.

— A co Lizzie sądziła o tej umowie? — zapytał cicho.

Meksykanin wzruszył połykliwymi ramionami.

— Kobiety — odparł.

— No tak — rzekł Jerry, odwzajemniając jego domyślny uśmiech.

Zabezpieczywszy sobie przyszłość, Ricardo rozpoczął na nowo „życie odpowiednie dla profesjonalisty”, jak to ujął. Jego uwagę pochłonął plan stworzenia ogólnozajatyckiej kolektury zakładów piłkarskich, jak również pewna czternastolatka z Bangkoku imieniem Rosie, którą odwiedzał co jakiś czas w celu wyszkolenia jej w wybitnej roli na scenie życia. Czasem, ale nieczęsto, latał tu i tam dla „Indocharter”, lecz nie było to nic męczącego.

— Parę razy do Cziang Maj. Do Sajgonu. Parę razy do Szanów, żeby zobaczyć się ze starym Marshalla, zabrać trochę opium, zawieźć mu trochę broni, ryżu, złota. No i do Battambangu.

— Gdzie tymczasem była Lizzie? — zapytał Jerry swobodnie, w tonie rozmowy między mężczyznami.

To samo pogardliwe wzruszenie ramion.

— Siedziała w Vientiane. Robiła na drutach. Szłała się trochę „Pod Gwiazdobiorem”. To już była staruszka, Wolterze, a ja potrzebuję młodości. Optymizmu. Energii. Ludzi, którzy mnie szanują. W mojej naturze leży dawać. Jak mogę coś dać staruszce?

— Do kiedy tak było?

— Ee?

— Kiedy skończyło się to słodkie buzi-buzi?

Opacznie zrozumiawszy ostatnie wyrażenie, Ricardo targnął się gwałtownie i warknął ostrzegawczo:

— Co masz na myśli, do cholery?

— Jak długo brałeś pieniądze i objąłeś się? Kiedy Tiu przyszedł z umową?

Półtora miesiąca, odparł, odzyskawszy panowanie nad sobą. Wcześniej dwa razy wszystko było nagrane, ale w ostatniej chwili lot odwołano. Raz posłano go do Cziang Maj, gdzie lenił się przez kilka dni, aż Tiu zadzwonił i powiedział, że odbiorcy nie są gotowi.

Ricardo rzekł, że odnosił coraz większe wrażenie, iż jest zamieszany w coś dużego, ale historia, jak dał do zrozumienia, zawsze wyznaczała mu czołowe role w życiu i przynajmniej wierzyli mu z pleców.

Urwał i po raz kolejny zaczął się przypatrywać Jerry'emu, drapiąc się w zadumie po brodzie. Wreszcie westchnął i nalawszy im obu whisky, pchnął jedną szklankę przez stół. Na zewnątrz przepiękny dzień szykował się do powolnej śmierci. Zielone drzewa nabrały ciężkości. Dym z ogniska tajskich dziewcząt pachniał wilgocią.

— Dokąd stąd, Wolterze?

— Do domu — odparł Jerry.

Ricardo parsknął śmiechem.

— Zostań na noc, dam ci jedną z moich dziewczyn.

— Jednak zrobię po swojemu, kolego — odparł Jerry. Niczym walczące zwierzęta, obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem i przez krótką chwilę omal nie zamigotała iskra walki.

— Ty jesteś stuknięty facet — mruknął Ricardo.

W Jerry'ym wzięła górę natura człowieka z Sarratt.

— No i pewnego dnia wszystko było gotowe do lotu, tak? — zapytał. — Tym razem niczego nie odwołano. I co się stało? Dawaj, kolego, miejmy to już za sobą.

— Dobra — rzekł Ricardo. — Dobra, panie Wolter. — Wypił, wciąż patrząc na Jerry'ego. — Powiem ci, co się stało.

A potem cię zabiję, mówiły jego oczy.

Ricardo był w Bangkoku. Musiał zadbać o Rosie. Tiu życzył sobie, by Ricardo był zawsze pod ręką, i pewnego wczesnego ranka, była może piąta, do miłosnego gniazdka przybył posłaniec z natychmiastowym wezwaniem do hotelu „Erewan”. Ricardo był pod wrażeniem apartamentów. Sam chciałby takie mieć.

— Widziałeś kiedy Wersal, Wolterze? Stół wielki jak B-52. Ten Tiu to był inny człowiek niż tamten śmierzący kotami żółtek, który przyjechał do Vientiane. Bardzo wpływowa osoba. „Ricardo, powie dział do mnie, tym razem to pewne. Tym razem będzie dostawa”.

Instrukcje były proste. Za kilka godzin do Cziang Maj leci samolot. Ricardo ma do niego wsiąść. W hotelu „Rincome” zarezerwowano dla niego pokój. Ma tam zostać na noc. Żadnej wódy, kobiet, towarzystwa.

— „Weź lepiej dużo do czytania”, powiedział mi. „Panie Tiu, odparłem, pan mi mówisz, gdzie lecieć, a nie gdzie czytać, jasne?” Ten facet zrobił się bardzo arogancki, jak usiadł za biurkiem, rozumiesz, Wolterze? Musiałem nauczyć go manier.

Nazajutrz o szóstej rano ktoś miał przyjść po Ricarda do hotelu i przedstawić się jako przyjaciel pana Johnny'ego. Ricardo powinien z nim pójść.

Wszystko potoczyło się zgodnie z planem. Ricardo poleciał do Cziang Maj, spędził noc wstrzemięźliwości w hotelu „Rincome” i o szóstej rano dnia następnego nie jeden, ale dwóch Chińczyków przyszło po niego i zawiozło na północ do jednej z wiosek Hakka. Tam wysiedli z samochodu i szli dalej przez pół godziny, aż dotarli do pustego pola z dużą chatą u krańca. W chacie stał „śliczniusi mały beechcraft”, nowiutki, a wewnątrz siedział w fotelu drugiego pilota Tiu z mnóstwem dokumentów i map na kolanach. Tylnie siedzenia wyjęto, by zmieścić worki jutowe. Obok stało kilku chińskich zbirów i ogólny nastrój, dał do zrozumienia Ricardo, nie bardzo przypadł mu do gustu.

— Najpierw musiałem wywalić kieszenie. A moje kieszenie to dla mnie bardzo osobista sprawa, Wolterze. To jak dla damy jej to rebka. Pamiątki. Listy, zdjęcia, moja Madonna. Zabrali mi wszystko, paszport, licencję pilota, pieniądze... nawet moje bransoletki — rzekł i uniósł brązowe ręce, aż złoto zadzwoniło.

Potem, ciągnął z brwiami ściągniętymi w wyrazie niezadowolenia, było jeszcze więcej dokumentów do podpisania. Choćby pełnomocnictwo dla adwokata, co oznaczało zrzeczenie się resztek wolności, jakie pozostały mu po przypieczętowaniu umowy z „Indochar-ter”. Oraz różne dokumenty, w których przyznawał się do „uprzednich nielegalnych procederów”, i to kilku — zapewnił Ricardo z oburzeniem — wykonywanych na zlecenie „Indocharter”. Jeden ze zbirów okazał się nawet prawnikiem, co Ricardo uznał za szczególnie niegodne.

Wtedy dopiero Tiu odsłonił mapy i swe zamiary, które Ricardo przedstawił Jerry'emu mieszając swój styl ze stylem Chińczyka:

— Ruszysz na północ, panie Ricardo, i tak będziesz leciał, na północ. Zetniesz kawałek Laosu albo zostaniesz nad Szanami, mam to gdzieś. Latanie to pańska sprawa, nie moja. Pięćdziesiąt mil po przekroczeniu chińskiej granicy zlokalizujesz Mekong i będziesz leciał wzdłuż rzeki. Wciąż na północ, aż natrafisz na małe górskie miaszeczko o nazwie Tienpao, przycupnięte nad dopływem Mekongu. Odbijesz na wschód i po dwudziestu milach znajdziesz lądowisko, z jednym białym światłem i jednym zielonym. I wtedy zrób mi przy sługę, panie Ricardo, i wyląduj na nim. Będzie na ciebie ktoś czekał.

Ten ktoś mówi bardzo lichy po angielsku, ale mówi. Tutaj masz połówkę banknotu dolarowego. Ten ktoś będzie miał drugą. Wyładujesz opium. Dostaniesz pakunek i pewne instrukcje. Ten pakunek to będzie twój rachunek za dostawę, panie Ricardo. Proszę go przywieźć i postąpić zgodnie z instrukcjami, zwłaszcza jeśli chodzi o miejsce lądowania. Czy rozumiał mnie pan we wszystkim?

— Jaki pakunek? — zapytał Jerry.

— Nie powiedział, a mnie nie obchodziło. „Zrób pan to, powiedział, i trzymaj mordę na kłódkę, a moi wspólnicy będą się panem opiekować do końca życia, jakbyś był ich synem. I twoimi dziećmi, i dziewczynami. Tą na Bali. Będą mieli dla ciebie wdzięczność do końca życia. Ale jeśli ich wyruchasz albo rozpuścisz gębę na mieście, to cię na pewno zabiją, możesz mi wierzyć, panie Ricardo. Może nie jutro, nie pojutrze, ale w końcu cię zabiją, na pewno. Mamy umowę. Spociłem się jak mysz, Wolterze. „Niech pan się nie martwi, panie Tiu”, odpowiedziałem. „Kiedy tylko będzie pan chciał zawieźć opium do czerwonych Chin, Ricardo jest do pańskich usług”. Wierz mi, byłem mocno zatroskany.

Ricardo ścisnął się za nos, jakby go szczypał od morskiej wody.

— Posłuchaj, Wolterze, bardzo uważnie posłuchaj. Kiedy byłem młody i głupi, poleciałem dwa razy do Junnanu dla Amerykanów. Żeby zostać bohaterem, trzeba czasem poważić się na szaleństwo, a jeśli będę miał kraknę, myślałem sobie wtedy, to jest szansa, że pewnego dnia mnie wyciągną. Ale za każdym razem, jak tam leciałem, patrzyłem na brązową ziemię i widziałem siebie w drewnianej klatce. Żadnych kobiet, jedzenie parszywe, brak miejsca, żeby usiąść, wstać albo spać, łańcuchy na rękach, bez praw, stanowiska, pozycji. „Zobaczcie szpiegującego psa imperialistów”. Powiem ci, Wolterze, że ta wizja mi się nie podobała. Gnić w więzieniu do końca życia za przemyt opium? O nie. „Dobra, panie Tiu, pa, do widzenia! Do zobaczenia wieczorem!” Miałem nad czym myśleć.

Wtem pokój wypełniła brązowa mgiełka zachodzącego słońca. Na piersi Ricarda, w odmiennej sytuacji, pojawił się ten sam pot. Perlił się kroplami na spleśnianych włosach i natłuszczonych ramionach.

— Gdzie w tym wszystkim było miejsce Lizzie? — zapytał Jerry.

Nerwowa, wściekła odpowiedź:

— W Vientiane! Na księżycu! W łóżku z Charliem! Kogo to, cholera, obchodzi?

— Czy wiedziała o układzie z Tiu?

Ricardo tylko sapnęła pogardliwie.

Czas zmykać, pomyślał Jerry. Czas zapalić ostatni lont i uciekać. Pod podłogą Mickey spędzał mile czas z kobietami Ricarda. Jerry sły-

szał jego śpiewną paplaninę, przerywaną piskliwym śmiechem, tak głośnym, jakby się śmiała cała żeńska szkoła.

— No i poleciałeś — rzekł. Czekał, ale Ricardo siedział zagoniony w myślach. — Ruszyłeś na północ — odpowiedział mu Jerry.

Podniósłszy nieco wzrok, Meksykanin wbił w niego zacięte, wściekłe spojrzenie, ale po chwili wezwanie, by opisał swój bohaterski wyczyn, wzięło w nim górę nad zaciętością.

— Nigdy w życiu tak dobrze nie prowadziłem samolotu. Nigdy. Byłem wspaniały. Ten mały czarny beechcraft. Sto mil na północ, bo nie ufałem nikomu. Może te błazny mają mnie na jakimś radarze? — pomyślałem. Nie chciałem ryzykować. Potem na wschód, ale po woli, niziutko nad szczytami gór. Leciałem krowom między nogami, co, Wolterze? Na wojnie mieliśmy tam mało lądowisk, tylko durne skrawki ziemi w samym środku piekła. Latałem tam, Wolterze. Znam je wszystkie. Znalazłem jeden na samym wierzchołku góry, gdzie można się dostać tylko z powietrza. Zerknąłem, zobaczyłem zwałkę paliwa, wylądowałem, napełniłem bak, przespałem się. To było głupie, ale Jezu, przynajmniej nie Jiinnan, co? Nie Chiny i Ricardo, amerykański przestępca wojenny i przemytnik opium, nie będzie wisiał wypatroszony w Pekinie do końca życia, tak? Dalej poleciałem z powrotem na południe. Znałem miejsca, znałem takie miejsca, gdzie mógłbym ukryć sto dywizjonów, wierz mi.

O kilku następnych miesiącach swego życia Ricardo opowiedział mętnie. Słyszał kiedyś o Latającym Holendrze i stwierdził, że właśnie czymś takim się stał. Latał, chował się, przemalowywał samolot, zmieniał numery rejestracyjne raz w miesiącu, sprzedawał opium w małych dawkach, by nie ściągnąć na siebie uwagi, tu kilogram, tam pięćdziesiąt. Kupił hiszpański paszport od jakiegoś Hindusa, ale nie polegał na nim, trzymał się z dala od wszystkich znajomych, nie wyłączając Rosie w Bangkoku i Charliego Marshalla. W tym czasie, jak pamiętał Jerry z odprawy u starego Crawa, sprzedał opium Ko bohaterom z Urzędu do Zwalczania Narkotyków. Z rozkazu Tiu, powiedział Ricardo, chłopcy z „Indocharter” szybko obwołali go truposzem, dla zmylenia śladów powiedzieli, że wykonywał lot na południe. Ricardo usłyszał o tym, ale nie miał nic przeciwko roli tragicznie zmarłego.

— A co zrobiłeś z Lizzie? — zapytał Jerry.

Ricardo znów wpadł w złość.

— Lizzie, Lizzie! Masz kręcka na punkcie tej puszczańskiej czy co? Co mi tak ciągle wciskasz jej imię do gęby? Nigdy w życiu nie znałem drugiej tak mało ważnej kobiety. Dałem ją Drake'owi Ko, już dobrze? Przyniosłem jej szczęście. — Chwyciwszy szklanekę, wypił, wzburzony.

Wstawiła się za nim, pomyślał Jerry. Ona i Charlie Marshall. Prosili, by uratować mu życie.

— Wspomniałeś chętnie o innych, dochodowych aspektach tej sprawy — powiedział Ricardo w nagłym przypiływie handlowej angielszczyzny. — Wyjaśnij mi je, proszę

Człowiek z Sarratt miał to w małym palcu.

— Po pierwsze, Ko dostawał duże sumy z radzieckiej ambasady w Vientiane. Pieniądze płynęły przez „Indocharter” na chłonne konto bankowe w Hongkongu. Mamy dowody. Mamy kopie rachunków bankowych.

Ricardo zrobił minę, jakby jego whisky nagle straciła smak, po czym łyknął jej więcej.

— Czy pieniądze były na rozkręcenie interesu opiumowego w Chinach czy na coś innego, tego jeszcze nie wiemy — rzekł Jerry. — Ale będziemy wiedzieć. Po drugie... Chcesz to usłyszeć czy wolisz iść spać?

Zapytał, bo Ricardo ziewnął.

— Po drugie — ciągnął — Ko ma w czerwonych Chinach młodszego brata. Kiedyś nazywał się Nelson. Ko udaje, że on nie żyje, ale to teraz gruba ryba w pekińskiej administracji. Ko od lat próbuje go stamtąd wydostać. Twoim zadaniem było zawieźć opium i zabrać pakunek. Tym pakunkiem był brat Nelson. Miałeś go wyciągnąć. To dlatego Ko kochałby cię do końca życia jak własnego syna. I dlatego miał cię zabić, gdybyś tego nie zrobił. I jeśli to nie jest warte pięć milionów dolarów, to co jest?

W niknącym świetle dnia z Ricardem nic szczególnego się nie działo prócz tego, że wyraźnie budziło się w nim drzemiące dotąd zwierzę. Pochylił się powoli do przodu, by postawić szklankę na stole, ale nie mógł ukryć napięcia ramion ani zwania mięśni brzucha. Błysnął zębami w ociężałym uśmiechu dobroci, ale w oczach miał iskry jak sygnał do ataku, tak więc kiedy wyciągnął prawą rękę, by poklepać czule Jerry'ego po policzku, ten był gotów przewrócić się do tyłu i pociągnąć go za sobą.

— Pięć milionów dolarów! — wykrzyknął Ricardo ze srogim zapałem. — Pięć milionów! Posłuchaj, musimy coś zrobić dla biednego Charliego Marshalla, dobra? Z miłości. Charlie nigdy nie ma grosza przy duszy. Może kiedyś damy mu do zarządzania kolekturę? Poczekaj. Mam trochę szkockiej, uczymy to. — Wstał z głową przewróconą na bok i wyciągnął nagie ramiona. — Wolterze — rzekł cicho. — Wolterze! — Ujął czule Jerry'ego za policzki i pocałował go. — Słuchaj, wyście odwalili niezłą robotę! Ten twój naczelny to grubszy cwaniak. Będiesz moim współnikiem w interesach. Tak jak

chciałeś. Dobra? Potrzebuję Anglika, choć raz w życiu. Tak jak Lizzie, muszę spiknąć się z nauczycielem. Zrobisz to dla mnie, Wolterze? Przyszlifujesz mnie trochę?

— Nie ma problemu — odparł Jerry, odwzajemniając uśmiech.

— Pobaw się chwilę bronią, co?

— Jasne.

— Ja tylko muszę powiedzieć coś dziewczynkom.

— Dobra.

— To osobista sprawa, rodzinna.

— Poczekam tu.

Spojrzał pospiesznie za schodzącym po stopniach Ricardem. W dole Mickey bujał dziecko na rękach, łaskocząc je za uchem. W obłąkanym świetle człowiek nakręca fikcję, pomyślał Jerry. Muszę się jej trzymać aż do ostatecznego końca i pozwolić mu zadać pierwszy cios. Powróciwszy do stołu, wziął ołówek i notes Ricarda i napisał nie istniejący adres w Hongkongu, gdzie rzekomo można się z nim było skontaktować o każdej porze dnia i nocy. Meksykanin nie wracał. Kiedy Jerry wstał, zobaczył go wychodzącego zza drzew od tyłu samochodu. Lubi umowy, pomyślał, więc trzeba mu dać coś do podpisania. Wyrwał drugą kartkę papieru. Napisał: „Ja, Jerry Westerberby, przysięgam uroczyście, że podzielę się z kapitanem Ricardem wszelkimi dochodami płynącymi z naszego wspólnego wyzyskania jego doświadczeń życiowych” i złożył swój podpis. Ricardo wchodził już po stopniach. Jerry'emu przyszło na myśl, by wspomóc się czymś z jego arsenału, ale domyślił się, że on właśnie na to czeka. Gdy Ricardo dolewał sobie whisky, Jerry wręczył mu obie kartki papieru.

— Sporządzę dyspozycję — powiedział, patrząc mu prosto w płonące oczy. — W Bangkoku mam angielskiego prawnika, któremu całkowicie ufam. Każę mu wszystkiego dopilnować i przysłać ci to do podpisania. Potem zaplanujemy nasze kolejne posunięcia, a ja pogadam z Lizzie, dobra?

— Jasne. Posłuchaj, jest już ciemno. W tym lesie czai się mnóstwo złych facetów. Lepiej zostań na noc. Pogadam z dziewczynkami. Polubiły cię. Mówią, żeś bardzo silny. Nie tak silny jak ja, ale silny.

Jerry powiedział coś o stracie czasu. Jutro chciałby znaleźć się w Bangkoku, rzekł. W jego własnych uszach brzmiało to tak kulawo jak tętent muła bez jednej nogi, może dostatecznie przekonująco, by wejść, ale w żadnym razie, by wyjść. Tymczasem Ricardo zdawał się być w pełni zadowolony. Może to jakaś zasadzka, pomyślał Jerry, może pułkownik coś dla niego przygotował.

— Jedź uważnie, koniarzu. Mój przyjacielu.

Ricardo chwycił Jerry'ego za kark, wbił mu kciuki w nasadę szczęki i przyciągnąwszy go do siebie, pocałował jeszcze raz. Jerry

zachowywał się bezwolnie. Choć serce waliło mu jak młotem, zgarbione, mokre od potu plecy bolały, nachylił się ulegle. Na zewnątrz zapadał zmrok. Ricardo nie odprowadził ich do samochodu, lecz patrzył na nich pobłaźliwie spod pali, machając nagimi rękoma na pożegnanie, obie dziewczyny zaś siedziały u jego stóp. W gałęzie drzew wplątały się resztki słonecznego światła. Koniec ostatniego dnia mego życia, pomyślał Jerry.

— Nie włączaj zapłonu — powiedział cicho do Mickeya. — Chcę sprawdzić olej.

Może to tylko ja jestem obłąkany. Może naprawdę wszedł ze mną w układ.

Usiadłszy w fotelu kierowcy, chłopak zwolnił blokadę i Jerry uniósł klapę. Nigdzie nie było plastiku, żadnego prezentu na drogę od jego nowego przyjaciela i współnika w jednej osobie. Wyciągnął wskaźnik poziomu oleju i udawał, że odczytuje wynik na skali.

— Chcesz oleju, koniarzu?! — zawołał Ricardo spod domu.

— Nie, wszystko w porządku! Na razie!

— Na razie.

Jerry nie miał latarki, ale kucnął i pomacał podwozie. Znow niczego nie znalazł.

— Zgubiłeś coś?! — krzyknął ponownie Ricardo, przyłożywszy dłonie do ust.

— Włącz zapłon — powiedział Jerry do Mickeya i wszedł do samochodu.

— Światła zapalone, proszę pana?

— Tak, zapalone.

To bez znaczenia, jeśli Ricardo dał cynk KT, pomyślał Jerry.

— Dlaczego on nazywa pana „koniarzem“?

— Mamy wspólnych znajomych.

Mickey włączył światła i amerykańska tablica rozdzielcza rozświeciła się jak małe miasto.

— Ruszamy — rzekł Jerry.

— Szybko?

— Tak, szybko.

Przejechali pięć, siedem, dziewięć mil. Patrzył na licznik, szacując, że od pierwszego punktu kontrolnego dzieli ich około dwudziestu, od drugiego czterdzieści pięć mil. Mickey pędził siedemdziesiąt na godzinę i Jerry nie miał powodu się uskarżać. Jechali środkiem prostej drogi, z boków, poza pasami wyrębu, drzewa tekowe umykały do tyłu niby pomarańczowe duchy.

— Świetny facet — powiedział Mickey. — Świetny kochanek. Te dziewczyny mówiły, że bardzo świetny kochanek.

— Uważaj na pułapki — polecił mu Jerry. Po prawej stronie las się skończył i wiejska droga niknęła w jarze.

— On tam dobrze żyje — ciągnął chłopak. — Dziewczyny ma, dzieci, dostaje whisky, jedzenie. Dobrze żyje.

— Stań, zatrzymaj samochód. Na środku, gdzie jest równo. Szybko, Mickey.

Mickey parsknął śmiechem.

— I dziewczyny sobie dobrze żyją — powiedział. — Dostają cukiereczka, dziecko też, wszyscy!

— Zatrzymaj się, do cholery!

Nie spiesząc się, chłopak wytracił prędkość, wciąż chichocząc.

— Czy to działa precyzyjnie? — zapytał Jerry z palcem przyciśniętym do wskaźnika benzyny.

— Precyzyjnie? — powtórzył Mickey jak echo, zaskoczony nie znaną mu angielszczyzną.

— Benzyna, paliwo. Pełny bak. Na początku wlałeś do pełna czy do połowy? Czy trzy czwarte? Czy wskazówka dobrze pokazywała podczas jazdy?

— Jasne. Ona dobra.

— Kiedy przyjechaliśmy do spalonej wioski, miałaś połowę baku. Teraz też masz połowę.

— Jasne.

— Dolałeś coś? Z kanistra? Dolałeś benzyny?

— Nie.

— Wsiadaj.

Mickey chciał się sprzeciwić, ale Jerry nachylił się ku niemu i otworzywszy drzwi z jego strony, wypchnął go na asfalt, po czym sam się wytoczył. Chwytał chłopaka za ramię, przerzucił go sobie przez plecy i popędził galopem ku szerokiemu pasmowi wyrąbanych drzew, gdzie, przebiegłszy dwadzieścia jardów, cisnął go na ziemię, sam zaś upadł trochę z boku, trochę na niego, tak że Mickey stracił dech w piersiach w pojedynczym zdumionym czknieniu i minęło dobre trzydzieści sekund, zanim zdolny był wykrztusić wzburzone: — Za co? — W tej samej chwili Jerry przycisnął mu twarz do ziemi, by nie dosięgnął go podmuch. Zdawało się, że stary ford najpierw zapłonął, a dopiero potem eksplodował, podskakując na jezdni w ostatnim odruchu życia i opadając bezwładnie na bok w płomieniach. Mickey patrzył osłupiały, tymczasem Jerry zerknął na zegarek. Jechali osiemnaście minut. Może dwadzieścia. Powinno było gruchnąć wcześniej, pomyślał. Nic dziwnego, że Ricardowi zależało, byśmy wracali.

Ci z Sarratt zginęliby w nieświadomości. To była wschodnia zagrywka, Sarratt zaś wyrosło w duchu europejskim i w starych dobrych czasach zimnej wojny: Czechosłowacja, Berlin i dawne fronty. Jerry był ciekaw, jaki to granat. Wietkong używał amerykańskich. Uwielbiali ich prostotę. Wszystko, co trzeba, mawiali, to szeroki wpust do baku. Wyciąga się zawleczkę, wokół sprężyny zakłada elastyczną gumkę, wrzuca granat do baku i czeka cierpliwie, aż benzyna przeżre gumkę. Rezultatem był jeden z tych zachodnich wynalazków, których zastosowanie odkrył dopiero Wietkong. Ricardo używa widocznie grubych gumek, doszedł do wniosku Jerry.

Po czterech godzinach doszli drogą do pierwszego punktu kontrolnego policji. Mickey nie posiadał się z radości z powodu odszkodowania, przyjąwszy, że skoro Jerry zapłacił składkę, pieniądze automatycznie należą się im do podziału. Jerry nie potrafił zachwiać jego przekonaniem. Ale Mickey odczuwał również lęk: po pierwsze przed KT, po drugie przed duchami, po trzecie przed pułkownikiem. Jerry wyjaśnił mu zatem, że ani duchy, ani KT nie ośmielą się zbliżyć do drogi, po tym, co się stało. Jeśli zaś chodzi o pułkownika — myśl zatrzymał już dla siebie — to cóż, jest ojcem i zarazem żołnierzem i ma do zbudowania tamę: nie na darmo przecież wznosi ją z cementu Drake'a Ko i za pomocą transportu „China Airsea”.

Przy punkcie kontrolnym udało im się znaleźć ciężarówkę, którą Mickey mógł wrócić do domu. Podczas ostatnich kilkunastu minut wspólnej jazdy, Jerry obiecał mu pomoc gazety na wypadek trudności z wyegzekwowaniem odszkodowania, ale ogarnięty euforią Mickey nie dopuszczał do siebie żadnych wątpliwości. Weseli, roześmiani, wymienili adresy i wiele uścisków dłoni, po czym Jerry wysiadł przed przydrożną kawiarenką, by zaczekać pół dnia na autobus, który zabrały go na wschód ku nowej strefie wojny.

Czy Jerry w ogóle musiał jechać do Ricarda? Czy wynik, dla niego przynajmniej, nie byłby taki sam, gdyby nie pojechał? Czy też jego wizyta, jak po dziś dzień utrzymują obrońcy Smileya, stanowiła ostatnie, kluczowe pchnięcie, od którego w końcu zatrzęsło się drzewo i spadł pożądany owoc? Członkowie Klubu Wspierania George'a Smileya nie mają wątpliwości: pojawienie się Jerry'ego u Ricarda było ostatecznym ciosem, po którym Ko wreszcie się ugiął. Bez tego mógłby przeczekiwać, aż nastałby otwarty sezon i on oraz informacje na jego temat znalazłyby się na wolnym rynku. Koniec dyskusji. Ponadto suche fakty ukazują zadziwiający zbieg okoliczności. Oto co się stało. Zaledwie sześć godzin po tym, jak Jerry i jego nieletni kierowca podnieśli się z kurzu przy drodze w północno-wschodniej

Tajlandii, na piątym piętrze Cyrku nastąpiła eksplozja najwyższej radości, która bez trudu przyćmiłaby słup ognia z czerwonego forda. W bawialni, gdzie Smiley obwieścił nowiny, di Salis ruszył w sztywne płasy i bez wątpienia Connie dołączyłaby do niego, gdyby choroba nie przykuła jej do nieszczęsnego wózka. Trot wył, Guillam i Molly padli sobie w objęcia i tylko nieco zdumiony Smiley zachował swą zwykłą pozę, choć Molly zaklinała się potem, że widziała, jak pokraśniał, gdy potoczył wzrokiem po towarzystwie.

Właśnie otrzymał wiadomość, powiedział. Błyskawiczny sygnał od „kuzynów”. Tego ranka o siódmej czasu hongkongijskiego Tiu telefonował do Ko do „Star Heights”, gdzie ten spędził relaksującą noc z Lizzie Worth. Słuchawkę podniosła dziewczyna, ale Ko odebrał zaraz z drugiego aparatu i ostrym tonem kazał jej się rozłączyć, co uczyniła. Tiu zaproponował jak najszybciej śniadanie w mieście. „U George'a”, rzekł ku rozbawieniu piszących transkrypcję. Trzy godziny później zadzwonił do agencji turystycznej w celu pospiesznego zaplanowania podróży w interesach do Chin. Pierwszym przystankiem miał być Kanton, gdzie „China Airsea” miało filię, ale głównym celem był Szanghaj.

Pozostaje pytanie, jak Ricardo skontaktował się tak szybko z Tiu, skoro nie miał telefonu. Najprawdopodobniej szał odpowiedź brzmi: za pomocą środków łączności pułkownika z Bangkokiem. A stamtąd? Bóg raczy wiedzieć. Teleks handlowy, sieć informacyjna kantorów wymiany, cokolwiek. Chińczycy mają swoje sposoby.

Z drugiej strony można również być zdania, że to sama natura Ko wybrała właśnie ten moment, by stracić cierpliwość, i że śniadanie „U George'a” dotyczyło czegoś zupełnie innego niż wizyty Jerry'ego u Ricarda. Tak czy inaczej, nadszedł przełom, o którym w Cyrku mierzono od dawna, tryumf Smileya i jego strategii. W porze lunchu zadzwonił osobiście Lacon, by złożyć gratulacje, późnym zaś popołudniem Saul Enderby uczynił gest, na który nie zdobył się dotąd nikt z tamtej strony Trafalgar Square. Otóż przysłał skrzynkę szampana od firmy Berry Brothers and Rudd, markowy trunek, godny konesera. Do podarunku dołączona była wiadomość dla Smileya, by wypił na cześć „pierwszego dnia lata”. I rzeczywiście, choć zbliżał się dopiero koniec kwietnia, właśnie tak to wyglądało. Za ciężkimi firankami na niższych piętrach Cyrku widać było okryte już listowiem drzewa. Wyżej, w doniczkę na parapecie Connie, rozkwitł pęk hiacyntów. — Czerwone — powiedziała, wypiswszy za zdrowie Enderby'ego. — Ulubiony kolor Karli, niech go licho.

NA ZAKRĘCIE

W bazie lotniczej nie było ani piękna, ani nastroju tryumfu. Oficjalnie znajdowała się pod dowództwem Tajów, w praktyce natomiast wolno im było jedynie wywozić śmiecie i obsadzić stanowiska na pierwszej linii. Wartownia stanowiła osobne miasto. W smrodzie spalenizny, moczu, marynowanych ryb i gazu ciepłowniczego rząd walących się domków z blachy realizował historyczne zadania profesji wojskowych. Burdele obsadzili kalecy alfonsi, sklepy z galanterią męską oferowały smokingi do ślubu, księgarnie zaś pornografię i wydawnictwa turystyczne, natomiast bary nazywały się „Sunset Strip”, „Hawaii” i „Lucky Time”. W budynku żandarmerii wojskowej Jerry zapytał o kapitana Urquharta od kontaktów z mediami i gdy powiedział, że jest z prasy, pewien czarny sierżant zagroził, że go wyrzuci za drzwi. Przyłożywszy słuchawkę do ucha, najpierw usłyszał mnóstwo zgrzytów i trzasków, po czym głos z południowym akcentem rzekł niespiesznie:

— Urquharta teraz nie ma. Nazywam się Masters. Kto dzwoni?

— Spotkałiśmy się zeszłego lata podczas odprawy u generała Crosse'a — powiedział Jerry.

— No tośmy się spotkali — odparł głos zdumiewająco powoli, przypominając Jerry'emu Szwaba Śmiercioluba. — Odeślij taksówkę. Zaraz będę. Niebieski jeep. Wypatruj migających oczek.

Nastąpiła długa cisza; prawdopodobnie sprawdzano hasła Ur-quhart i Crosse w księdze szyfrów.

W bramie bazy miały się pochody personelu lotniczego, czarni i biali w chmurnych, oddzielnych grupach. Przeszedł biały oficer. Murzyni oddali mu honory czarnej gwardii. Znużonym gestem podniósł dłoń do czapki. Szeregowi nosili na mundurach naszywki w stylu Charliego Marshalla, przeważnie wychwalające narkotyki. W powietrzu czuło się rezygnację, świadomość klęski i powstrzymaną agresję. Tajowie nikomu nie salutowali. Nikt też nie salutował Tajom.

Z drugiej strony szlabanu zajechał z piskiem opon niebieski jeep z migającymi światłami i włączoną syreną. Sierżant machnął ręką na Jerry'ego, by przeszedł. Chwilę później Jerry pędził na złamanie karku pasem startowym w kierunku szeregu niskich białych budynków stojących pośrodku płyty lotniska. Kierowcą był chudy chłopak, który wyglądał na łobuza z zakładu poprawczego.

— Ty jesteś Masters? — zapytał Jerry.

— Nie, proszę pana. Ja tylko noszę majorowi torby.

Z wciąż włączoną syreną i błyskającymi reflektorami minęli grających nieudolnie w baseball.

— Świetnie się maskujemy — powiedział Jerry.

— Że co?! — zapytał chłopak, przekrzykując ryk silnika.

— Nieważne.

Nie była to bardzo duża baza lotnicza. Jerry widział większe. Kiedy mijali rzędy fantomów i śmigłowców w drodze do białych budynków, Jerry uświadomił sobie, że te ostatnie są odrębnym ośrodkiem wywiadu z własnym ogrodzeniem, antenami i gromadką małych, pomalowanych na czarno samolotów — zwanych „cudaczkami”, które przed odwrotem woziły Bóg raczy wiedzieć kogo i gdzie.

Weszli bocznymi drzwiami, które kierowca otworzył kluczem. Na krótkim korytarzu było pusto i cicho. Na samym końcu znajdowały się otwarte na oścież drzwi, wykonane z tradycyjnej imitacji palisandru. Masters ubrany był w lotniczy mundur z krótkimi rękawami o niewielu insygniach. Miał medale i stopień majora i Jerry domyślił się, że to paramilitarny typ „kuzyna”, może nawet nie zawodowiec. Był śniadym i żyłastym mężczyzną, o zawzięcie zaciśniętych wargach i zapadniętych policzkach. Stał przed imitacją kominka, pod reprodukcją obrazu Andrew Wyetha; był w nim osobliwy bezruch i wyobcowanie. Przypominał człowieka, który umyślnie jest powolny, ponieważ wszyscy dokoła się spieszą. Kierowca dokonał prezentacji i zawahał się. Masters nie spuszczał z niego oczu, dopóki nie wyszedł, po czym zwrócił swe bezbarwne spojrzenie na stół z palisandru, na którym stała kawa.

— Wygląda na to, że przydałoby ci się śniadanie — powiedział.

Nalał kawy i zaoferował Jerry'emu talerz pączków, wykonując czynności w zwolnionym tempie.

— Udogodnienia — rzekł.

— Udogodnienia — zgodził się Jerry.

Na biurku stała elektroniczna maszyna do pisania, obok zaś leżał czysty arkusz papieru. Masters podszedł sztywnym krokiem do fotela i przycupnął na poręczy. Wziąwszy do ręki egzemplarz „Stars and Stripes”, zaczął czytać ostentacyjnie, Jerry tymczasem usiadł za biurkiem.

— Słyszałem, że wygrasz to za nas jedną ręką — powiedział Masters do gazety. — No, no.

Przedkładając swoją przenośną maszynę nad elektroniczny wynalazek, Jerry zaczął pisać raport serią uderzeń w klawisze, które w miarę pisania brzmiały mu w uszach coraz głośniej. Być może majorowi również, albowiem częstokroć podnosił wzrok znad gazety,

choć jedynie na tyle, by zobaczyć dłonie Jerry'ego i przenośną maszynę. Jerry podał mu skończony tekst.

— Masz rozkaz tu zostać — powiedział Masters, artykułując każde słowo z wielkim namaszczeniem. — Masz tu zostać, a tymczasem my wyślemy twój sygnał. Oj, wyślemy. Masz czekać w gotowości na potwierdzenie odbioru i dalsze instrukcje. Czy to się zgadza? Zgadza się, proszę pana?

— Pewnie — odparł Jerry.

— Może słyszałeś już wspaniałe wieści?

Stali twarzą w twarz; nie dzielił ich nawet metr. Masters patrzył na sygnał Jerry'ego, ale jego oczy najwyraźniej nie podążały za linijkami tekstu.

— Jakie wieści, kolego?

— Właśnie przegraliśmy wojnę, panie Westerby. Tak jest, proszę pana. Ostatni z mężnych dali drapaka śmigłowcem z dachu ambasady w Sajgonie jak banda rekrutów złapanych bez gaci w burdelu. Ale może to cię nie wzrusza. Z pewnością jednak ulży ci, gdy dowiesz się, że uratowano też psa ambasadora. Jakiś dziennikarz wywiózł go na kolanach. Ale może to też cię nie wzrusza. Może nie jesteś wielbicielem psów. Może psy wzbudzają w tobie dokładnie te same uczucia, co we mnie dziennikarze, panie Westerby.

Jerry czuł woń alkoholu płynącą z oddechem Mastersa, której nie mogła stłumić żadna ilość kawy, i domyślił się, że major łyknął sporo w daremnym zamiarze upicia się.

— Panie Westerby?

— Tak, chłopie? Masters wyciągnął rękę.

— Chcę uścisnąć twoją prawicę, chłopie.

Ręka zawisała między nimi z zadartym kciukiem.

— Z jakiej to przyczyny?

— Chcę dokonać powitania. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej właśnie złożyły podanie o członkostwo w klubie drugorzędnych potęg świata, w którym, o ile wiem, poczesne miejsce jako przewodniczący, prezes i najstarszy stażem członek zajmuje pana wybitny naród. Ręka!

— Z radością witamy w towarzystwie — powiedział Jerry i posłusznie uścisnął majorowi dłoń.

Natychmiast został nagrodzony promiennym uśmiechem fałszywej wdzięczności.

— No proszę, to się nazywa postąpić stosownie, proszę pana. Gdybym tylko mógł coś zrobić, by umilić pobyt u nas, proszę mnie natychmiast zawiadomić. Jeśli chciałby pan wynająć to wszystko, to — jak mówimy — nie odrzucimy żadnej rozsądnej oferty.

— Mógłbyś przepchnąć przez kraty trochę szkockiej — rzekł Jerry ze zdawkowym uśmiechem.

— Z przyjemnością — wybełkotał Masters tak powoli, że było to jak leniwe uderzenie pięścią. — Z nas, widać, bratnie dusze. Tak jest, proszę pana.

Zostawiwszy Jerry'emu pół butelki J&B i stare egzemplarze „Playboya”, ruszył do drzwi.

— Trzymamy te gazetki na podorędziu dla angielskich dżentelmenów, którzy nie uważali za stosowne ruszyć choćby palcem, by nam pomóc — wyjaśnił poufnie.

— Bardzo przeznornie z waszej strony — odparł Jerry.

— Idę wysłać twój list do mamusi. Aha, przy okazji, jak się miewa królowa?

Nie użył klucza, ale gdy Jerry nacisnął klamkę, przekonał się, że drzwi są zamknięte od zewnątrz. Okna wychodzące na płytę lotniska miały podwójne, przyciemniane szyby. Na pasie bezszelestnie lądowały i startowały samoloty. Tak właśnie próbowali zwyciężyć, pomyślał Jerry: ze środka dźwiękoszczelnych pomieszczeń, zza przydymionych szyb, maszynami używanymi na wyciągnięcie ręki. I tak przegrali. Pił, nic nie czując. Skończone, ot i tyle. Gdzie będzie mój następny przystanek? Co mnie czeka? Wizyta u ojca Charliego Marshalla? Mała przejażdżka po terenach Szanów, pogwarka od serca z goryłami generała? Czekał, czując natłok myśli. Usiadł, potem położył się na kanapie i przespał trochę, nie wiedział jak długo. Ze snu wyrwały go dźwięki muzyki z głośników, od czasu do czasu przerywanej wypowiedziami w tonie rodzinnej poufałości. Czy kapitan taki i taki mógłby zrobić to i to? Raz spiker zaproponował zdobycie wyższego wykształcenia. Innym razem kupno przecenionych pralek. Jeszcze innym — modlitwę. Jerry chodził po pokoju, rozdrażniony krematoryjnym spokojem i muzyką.

Podszedł do drugiego okna. W jego wyobraźni twarz Lizzie balansowała przy jego ramieniu w ten sam sposób jak niegdyś, dawno temu, twarz sieroty. Wypił więcej whisky. Powiniennem był się przespać po drodze, pomyślał. W ogóle powiniennem więcej sypiać. A więc w końcu przegrali tę wojnę. Sen nie przynosił mu ulgi. Od dawna już nie sypiał tak, jak lubił. Froście położył temu kres. Jerry zobaczył, że drżą mu dłonie: Chryste, popatrzcie tylko. Pomyślał o Luke'u. Czas, by razem z nim rzucić się w wir. Pewnie już wrócił, jeśli mu dupy nie odstrzelili. Trzeba powstrzymać pęd myśli. Ale w ostatnim okresie brykają mu po głowie! Trochę za bardzo, szczerze mówiąc. Trzeba to przyhamować, zdecydowanie. Człowieku. Przypomniawszy sobie granaty Ricarda. Szybciej, pomyślał. No, niech już coś zdecydują. Gdzie teraz? Do kogo? Żadnych „dlaczego”. Miał suchą, rozpaloną twarz, dłonie

zaś mokre od potu. Łupało go w głowie tuż nad oczami. Cholerna muzyka, pomyślał. Cholerna muzyka, cholerna muzyka obwieszczająca koniec świata. Miotał się wkoło, by znaleźć wyłącznik, gdy nagle ujrzał Mastersa stojącego w drzwiach, z kopertą w dłoni i pustką w oczach. Przeczytał sygnał. Masters znów przysiadł na poręczy fotela.

— „Synu, wróć do domu — zaintonował, naigrawiając się ze swego południowego akcentu. — Prościutko do domu. Nie zbaczaj. Nie musisz zbierać dwustu dolarów na podróż”. „Kuzyni” zawiozą cię do Bangkoku. Z Bangkoku masz natychmiast udać się do Londynu, do Anglii, nie do Londynu w Ontario, gdyby ci coś takiego strzeliło do głowy. Pod żadnym pozorem nie wolno ci wracać do Hongkongu. Pod żadnym! Absolutnie, proszę pana! Misja wykonana, synu. Dzięki jemy ci, dobra robota. Jej Wysokość nie posiada się z radości. Spiesz się więc do domu na kolację, mamy mamątygę, indyka i placek z borówkami. Wygląda, facet, że pracujesz dla prawdziwych dżentelmenów.

Jerry ponownie przeczytał sygnał.

— Samolot do Bangkoku odlatuje o jedenastej — powiedział Masters. Zegarek nosił po wewnętrznej stronie nadgarstka, tak że odczyt wskazówki pozostawał wyłącznie do jego wiadomości. — Słyszysz?

Jerry uśmiechnął się.

— Przepraszam, kolego. Wolno czytam. Dzięki. Za dużo tu wielkich słów. Trzeba przestawić umysł. Wiesz co, zostawiłem w hotelu swoje kłamoty.

— Moi chłopcy są na twe królewskie rozkazy.

— Dzięki, ale jeśli nie masz nic przeciwko, to wołałbym unikać jawnych powiązań z wami.

— Jak sobie pan życzy, wedle uznania.

— Przy bramie złapię taksówkę. Za godzinę będę z powrotem. Dzięki — powtórzył.

— To ja tobie dziękuję.

Na czule pożegnanie człowiek z Sarratt zastosował fachową zmyłkę:

— Mogę to tu zostawić? — zapytał, wskazując swoją poobijaną maszynę do pisania, leżącą obok wymuskanego wynalazku firmy IBM.

— Proszę pana, będzie to najcenniejsze dobro pod naszą opieką.

Gdyby w owej chwili Masters nie omieszkał spojrzeć na Jerry'ego, być może by się zawahał, albowiem zobaczyłby błyski zdecydowania w jego oczach. Gdyby lepiej znał jego głos lub zauważył owo szczególne zmatowienie barwy, może również ogarnęłyby go podejrzenia. Gdyby spostrzegł, jak Jerry ciągnie się za grzywkę, z przedramieniem trzymanym po przekątnej tułowia w odruchu instynktownego maskowania się, albo ujrzał potulny uśmiech wdzięczności na jego

twarży, kiedy powrócił młody kierowca, by odwieźć go niebieskim jeepem do bramy, być może także naszłyby go wątpliwości. Ale major Masters był nie tylko zgorzkniałym wojskowym z bagażem rozczarowań. Był dżentelmenem z Południa z raną porażki zadaną mu ręką niepojętych barbarzyńców; ponadto miał zbyt mało czasu, by bawić się w interpretowanie niuansów w zachowaniu znużonego, kłopotliwego Brytyjczyka, który wykorzystał jego upadającą bazę szpiegowską jako urząd pocztowy.

Wyjazdowi grupy operacyjnej Cyrku do Hongkongu towarzyszył nastrój radosnego święta, wzmożony jeszcze potajemnymi przygotowaniami. Początek uczuciu szczęścia dały wieści o ponownym pojawieniu się Jerry'ego, pogłębiła je treść jego sygnału, który nadszedł wraz z wiadomością od „kuzynów”, że Drake Ko odwołał wszystkie swoje towarzyskie i handlowe spotkania i zaszył się w swoim domu — Siedem Bram na Headland Road. Zdjęcie wykonane z dużej odległości przez ekipę „kuzynów” w furgonetce inwigilacyjnej ukazywało Chińczyka stojącego nieco bokiem w swym olbrzymim ogrodzie na progu altany z palisandrów, wpatzonego w morze. Choć jachtu nie było widać, miał na głowie swój miękki берет.

— Jak współczesny Jay Gatsby! — wykrzyknęła Connie z zachwytem, kiedy kontemplowali fotografię. — Zamyślony ciamajda na przystani!

Kiedy furgonetka wróciła po dwóch godzinach, Ko wciąż stał w tej samej pozycji, więc nie chciało im się ponownie pstrykać. Bardziej znaczący był jednak fakt, że przestał korzystać z domowych linii telefonicznych — przynajmniej tych, na które „kuzyni” założyli podsłuch.

Również Sam Collins przysłał raport, już trzeci z kolei, ale jak dotąd najobszerniejszy. Raport jak zwykle przybył pod specjalnym kamuflażem, adresowany osobiście do Smileya, i jak zwykle Smiley przedyskutował jego treść jedynie z Connie Sachs. Następnie w ostatniej chwili przed odjazdem towarzystwa na lotnisko nadeszła wiadomość od Martella, który informował, że Tiu powrócił z Chin i zamknął się z Ko na Headland Road.

Lecz we wspomnieniach Guillauma najważniejszym wydarzeniem wtedy i później, a także najbardziej niepokojącym była mała narada wojenna odbyta w pokojach Martella w Aneksie, na której obecny był wyjątkowo nie tylko kwintet w składzie Martello, jego dwa milczki, Smiley i Guillam, ale również Lacon i Saul Enderby, przybyli — co znaczące — jednym służbowym autem. Celem spotkania — zwołanego przez Smileya — było formalne przekazanie

lejców. Martello miał otrzymać pełen obraz sprawy Delfina, włącznie z ogromnie istotnym wątkiem Nelsona. Miał zostać wprowadzony w sytuację, z pewnymi niewielkimi pominięciami, które wyszły na jaw później, jako pełnoprawny współnik w przedsięwzięciu. Guillam nie miał pojęcia, jak to się stało, że Lacon i Enderby wprosił się na bal, Smiley zaś potem — co rozumiałe — mało mówił na ten temat. Enderby stwierdził lakonicznie, że przybył „w interesie porządku i dyscypliny wojskowej”. Lacon wyglądał jeszcze mizerniej i patrzył z jeszcze większą pogardą niż zwykle. Guillam miał silne wrażenie, że ci dwaj coś uknuli, spotęgowane jeszcze spostrzeżeniem zażyłości między Enderbym a Martellem. Krótko mówiąc, para nowych serdecznych przyjaciół tak często wpadała sobie wzajem w słowo, że przypominali mu potajemnych kochanków podczas obiadu u cioci — sytuacja, w której on i Molly często się znajdowali.

Chodzi o skalę, wyjaśnił Enderby w pewnej chwili. Sprawa rozrosła się do takich rozmiarów, że doszedł do wniosku, iż winni pozyskać poparcie kilku notabli. Miał na myśli stronnictwo kolonialistów, wyjaśnił zaraz potem. Wilbraham robi mnóstwo szumu w Ministerstwie Skarbu.

— No dobra, skończmy to gadu-gadu — rzekł, gdy Smiley za kończył już przydługi referat, a pochwały Martella omal nie zwały im sufitu na głowy. — A teraz pytanie numer jeden, George. Kto trzyma palec na spuście? — Po tych słowach narada przeobraziła się w popis Enderby'ego, jak to zwykle się działo ze spotkaniami, na których był obecny. — Kto będzie dowodził, kiedy zrobi się gorąco? Ty, George? Nadal? Wiesz, zrobiłeś dobrą robotę, przyznaję, ale to Marty daje ciężką artylerię, prawda?

W tej chwili Martello doznał kolejnego ataku głuchoty: siedział i rozpromieniony patrzył po twarzach wszystkich tych wspaniałych, szlachetnych Brytyjczyków, z którymi miał honor współpracować, i dalej pozwalał Enderby'emu odwalać za siebie brudną robotę.

— Marty, jak ty to widzisz? — nie dawał za wygraną Enderby, jakby miał jeszcze jakieś wątpliwości, jakby nigdy nie był z Martellem na rybach, nie przyjmował go na wystawnych kolacjach albo nie dyskutował z nim o sprawach ściśle tajnych.

Naraz Guillam doznał osobliwego olśnienia, choć pluł sobie potem w brodę, że tego nie wykorzystał. Martello wiedział. Rewelacje na temat Nelsona, które pozornie tak go zaskoczyły, wcale nie były rewelacjami, ale potwierdzeniem informacji, które on i jego milczki mieli od dawna. Guillam wyczytał to z ich bladych, drewnianych twarzy i uważnych spojrzeń. Wywnioskował z niesmacznych pochlebstw Martella wobec Smileya. On wiedział.

— Oficjalnie rzecz biorąc, to robota George'a — przypomniał Enderby'emu Martello, odpowiadając na pytanie, z dostatecznie jednak silnym naciskiem na słowie „oficjalnie”, by odmienić sens zdania. — To George stoi na mostku kapitańskim. My tylko trzymamy statek pod parą.

Enderby zmarszczył teatralnie czoło i wcisnął zapalną między zęby.

— George, a jak tobie się to widzi? Zgadzasz się? Chcesz przejąć za Marty'ego kamuflaż, lokale, łączność, wszystkie te historie spod znaku płaszcza i szpady, inwigilację, bieżnię po Hongkongu i co tam jeszcze? Ty będziesz tym dowodził? Chryste. Trochę to tak, jakby ubrać się w nie swój smoking.

Smiley wykazał odpowiednią stanowczość, ale wedle Guillema zbyt przejął się samym pytaniem, a nie szytą dostatecznie grubymi niemi znową.

— Absolutnie nie — odparł. — Martello i ja wyraźnie się poro zumieliśmy. Szpicą operacji będziemy zawiadywać my. Martello za pewni tylko wsparcie, jeśli będzie trzeba. Natomiast owoce naszych działań są do podziału. Jeśli już ktoś koniecznie chce myśleć w kategoriach dywidendy od inwestycji dokonanych przez Amerykanów, to będzie nimi udział w łupach. Ale odpowiedzialność za ich zdobycie spoczywa na nas — zakończył zdecydowanie. — Umowa na piśmie dotycząca tych szczegółów od dawna leży w aktach.

Enderby zerknął na Lacona.

— Ofiwier, mówiłeś, że mi ją wysłałeś. Gdzie ona jest?

Lacon przekrzywił swą długą głowę i uśmiechnął się ponuro do ściany.

— Pewnie ugrzęzła gdzieś w twoich sekretariatach, Saul — odparł.

Enderby spróbował zaatakować z innej strony.

— I oczywiście wy dwaj uważacie, że ta umowa obejmuje wszystkie ewentualności, co? Chodzi mi o to, kto zajmie się zorganizowaniem meliny i tak dalej? Kto schowa zdobyczą?

Znow odezwał się Smiley.

— Nasi administracyjni już wynajęli domek na wsi i właśnie go urządzają — odrzekł niewzruszony.

Enderby wyjął mokrą zapalną z ust i złamał ją wpół w popielniczkę.

— Mogliście wziąć jeden z moich ośrodków, gdybyście poprosili — mruknął rozkojarzony. — Pełno pokoiów. Nikogo tam nie ma. Tylko personel. Jest wszystko, co trzeba. — Zaraz jednak wrócił do swych wątpliwości. — Posłuchajcie, chcę mieć odpowiedź na następujące pytanie. Założmy, że wasz człowiek spanikuje. Zrywa się wam ze smyczy i lata po Hongkongu. Kto się bawi w policjantów i złodziei, żeby go dorwać?

Nie odpowiadaj! — modlił się Guillam w duchu do Smileya. On nie ma absolutnie żadnego prawa wścibiać nosa w nie swoje sprawy! Powiedz mu, żeby spadał!

Odpowiedzi Smileya, choć była kategoryczna, brakowało ogni-stości, której pragnął Guillam.

— Och, takie hipotezy zawsze można sobie wymyślać — zaproponował delikatnie. — Mogę tylko powiedzieć, że wówczas ja i Martello naradzimy się i wypracujemy najlepsze rozwiązanie.

— George i ja doskonale się rozumiemy w pracy, Saul — zapewnił wspaniałomyślnie Martello. — Naprawdę doskonale.

— Widzisz, George, byłoby o wiele skrzętniej — podjął Enderby z nową zapalką w zębach — o wiele bezpieczniej, gdyby to robili Jankesi. Jak ludzie Marty'ego sknoć, to będą musieli tylko przeprosić gubernatora, wysłać paru ze swoich na biegun północny i obiecać poprawę. To wszystko. I tak nikt się po nich niczego lepszego nie spodziewa. Oto korzyść zszarganej reputacji, co, Marty? Nikt się nie zdziwi, jakbyście przelecieli pokojówkę.

— No wiesz, Saul — rzekł Martello i uśmieł się donośnie ze wspaniałego brytyjskiego poczucia humoru.

— Z kolei jak my nabroimy, będzie o wiele gorzej — kontynuował Enderby. — To znaczy, jak ty nabroisz, George. Obecnie sprawy tak się mają, że gubernator może cię utracić jednym dmuchnięciem. Wilbraham już chodzi do niego na skargę.

Ponieważ wobec roztargnionego uporu Smileya nie było szans na najmniejszy postęp w tej kwestii, Enderby dał na chwilę za wygraną i od nowa podjęto dyskusję na temat „mięsa i kartofli”, jak Martello zabawnie określał szczegóły techniczne. Zanim jednak skończyli, Enderby dokonał kolejnej próby wysadzenia Smileya z siodła, znowu wybrawszy drogę przez kwestie skutecznego działania i opieki nad pochwyconymi.

— George, a kto zajmie się „torturowaniem” i tak dalej? Ty z tym twoim śmiesznym jezuitą, tym o zabawnym nazwisku?

— Di Salis będzie odpowiedzialny za chińskie aspekty sprawy, a sekcja radziecka za radzieckie.

— Masz na myśli tę kalekę akademicką, tak? Tę, którą cholerny Haydon posłał na zieloną trawkę za picie?

— To właśnie oni, nikt inny, doprowadzili sprawę aż do tego etapu — odrzekł Smiley.

Martello natychmiast skoczył, by powiększyć wyłom, co było nieuniknione.

— No nie, George, na to nie pozwolę! O nie, proszę pana! Saul, OHvier, chcę, żebyście wiedzieli, iż uważam sprawę Delfina we wszystkich jej aspektach za osobiste zwycięstwo George'a i tylko George'a!

Po gorących uściskach na pożegnanie kochany George oraz Gu-illam ruszyli w drogę powrotną do Cyrku.

— Haniebna zdrada, haniebna! — powtarzał wzburzony Guil-lam. — Dlaczego Enderby tak się pali, żeby cię strącić z konia? Po co to całe zamieszanie o zagubiony list?

— Tak — odparł wreszcie Smiley, ale nieobecny głosem. — Tak, to bardzo nieostrożne z ich strony. Postanowiłem wysłać im kopię. Bez podpisów, odręcznie napisaną, tylko w celu informacji. Enderby zachowywał się jakoś niewyraźnie, prawda? Dopilnujesz, Peter, żeby ją wysłano, poprosisz „matki”?

Napomnienie o umowie między Smileyem a Martellem — o kontrakcie, jak nazywał ją Lacon — obudziło w Guillamie najgorsze wspomnienia. Przypomnił sobie, jak nierozsądnie pozwolił, by Sam Collins zajął się jej doręczeniem i jak, wedle Fawna, Collins spędził ponad godzinę zamknięty na osobności z Martellem. Przypomnił sobie również, że ujrzał przelotnie Collinsa na korytarzach White-hallu, gdzie ten tajemniczy zausznik Lacona i Enderby'ego przechadzał się swobodnie niczym udomowiony kocur. Przypomnił sobie słabość Enderby'ego do backgammona, w którego ten grywał na wysokie stawki, i przyszło mu nawet do głowy, gdy wszędzie już węszył znowę, że Enderby jest bywalcem lokalu Collinsa. Szybko jednak wyrzucił tę myśl z głowy jako absurdalną. Ale jak na ironię okazało się później, że w istocie tak było. Przypomnił sobie również swe krótkotrwałe podejrzenie — oparte jedynie na zachowaniu trzech Amerykanów w Aneksie, więc szybko rozwiane — że oni wiedzieli wszystko, o czym Smiley przyszedł im powiedzieć.

Co do jednego natomiast Guillam miał pewność: że nad owym porannym spotkaniem unosił się cień Sama Collinsa. I kiedy wsiadł do samolotu na lotnisku, wyczerpany długim i namiętym pożegnaniem z Molly, ów zły duch wyszczerzył do niego zęby w uśmiechu spośród smug dymu z piekielnego brązowego papierosa.

Podróż przebiegła spokojnie z wyjątkiem jednego zdarzenia. Lecieli we trzech i podczas zajmowania miejsc Guillam wygrał małą potyczkę o fotel w swej nieustającej wojnie przeciwko Fawnowi. Wbrew uporowi sekcji administracji poleciał ze Smileyem pierwszą klasą, podczas gdy nadąsany totumfacki zmuszony był usiąść z brzegu na przodzie przedziału turystycznego, policzek przy szczęce członka brygady antyterrorystycznej, który wraz z kolegą spał snem niewiniątka niemal przez cały lot. Na szczęście nikt nie zasugerował, by Martello i jego milczki towarzyszyli w wyprawie, albowiem Smiley był zdecydowany do tego nie dopuścić. Martello poleciał zatem na zachód, zatrzymując się w Langley po instrukcje, następnie dalej przez Honolulu i Tokio aż do Hongkongu, żeby by pod ręką podczas przybycia Smileya.

Smiley zostawił w Cyrku długą, odręcznie napisaną notatkę — nieświadomie ironiczny przypis do swego wyjazdu — którą miano wręczyć Jerry'emu po powrocie, a która zawierała gratulacje za pierwszorzędne wykonanie zadania. Kalka z odbitym tekstem wciąż znajduje się w dossier Westerby'ego. Nikomu nie przyszło do głowy jej usunąć. Smiley napisał o „niewzruszonej lojalności” Jerry'ego i „wielu latach spędzonych w służbie Korony”. Dołączył do tego apokryficzne przesłanie od swej Ann, „która wraz ze mną życzy ci równie wspaniałej kariery powieściopisarza”. Zakończył raczej niezręcznie opinią, że „jednym z przywilejów naszej pracy jest to, że spotykamy w niej wspaniałych kolegów. Wyznaję, że wszyscy właśnie tak o tobie myślimy”.

Niektórzy ludzie wciąż zadają pytanie, dlaczego żadne alarmujące słowo na temat zniknięcia Jerry'ego nie dotarło do Cyrku przed opisanym wyżej odlotem. W końcu był już kilka dni spóźniony. Jest to kolejna próba zrzucenia winy na Smileya, ponieważ w rzeczywistości nie ma żadnego dowodu, że zaniedbanie leży po stronie Cyrku. W celu przesłania raportu Jerry'ego — jego ostatniego raportu — z bazy lotniczej w północno-wschodniej Tajlandii „kuzyni” ustanowili tymczasową linię łączności prowadzącą przez Bangkok do londyńskiego Aneksu. Tyle że owa linia przeznaczona była wyłącznie na jeden sygnał i jedną odpowiedź, żadnych komplikacji nie przewidziano. W ten sposób kiedy nastąpił zgrzyt, jego echa dotarły najpierw do Bangkoku, następnie do „kuzynów” w Hongkongu poprzez ich własną sieć wojskową — albowiem to Hongkong uważano za centrum zbierania materiałów w sprawie Delfina — i dopiero wówczas, przelane na papier i oznaczone określeniem „zwykłe”, trafiły do Londynu, gdzie przeleżały długo w kilku szufladach, zanim ktokolwiek zauważył ich doniosłość. Należy również nadmienić, że rozlaży major Masters nie przywiązywał większej wagi do „niepojawienia się”, jak to określił, błędnego rycerza z Albionu. „Sami znajdźcie wyjaśnienie”, zakończył swój sygnał. Major mieszka obecnie w miasteczku Norman w Oklahomie, gdzie prowadzi mały warsztat samochodowy.

Również sekcja administracji nie miała powodu do paniki — przynajmniej dotąd tak twierdzą jej przedstawiciele. Jerry otrzymał rozkaz udać się do Bangkoku i stamtąd, wykorzystując swą kartę lotniczą, wrócić samolotem — jakimkolwiek samolotem — do Londynu. Nie podano konkretnej daty ani nazwy linii lotniczej. Sztuka polegała właśnie na tym, by zachować dużą elastyczność. Uznano więc, że najprawdopodobniej zatrzymał się gdzieś, by odpocząć. Postępuje tak wielu powracających agentów, a Westerby'ego określono w aktach jako człowieka nienasyconego seksualnie. Administracyjni mieli

przez kilka dni oko na listy pasażerów, dokonali też rezerwacji w Sar-ratt w celu posłania Jerry'ego na przepisową półmiesięczną „kwa-rantannę”, ale potem poświęcili się pilniejszej sprawie, którą było przygotowanie meliny dla Delfina. Wybrali na nią czarujący młyn usytuowany na uboczu w miasteczku Maresfield w Sussex. Niemal codziennie znajdowali powód, by tam jeździć. Oprócz di Salisa i po-każnego pocztu jego „żółtków” we młynie należało umieścić istną armię tłumaczy i specjalistów od transkrypcji, nie wspominając już o technikach, strażnikach i mówiącym po chińsku lekarzu. Mieszkańcy miasteczka rychło zaczęli się skarżyć policji na napływ Japończyków. Miejscowa gazeta opublikowała artykuł, wedle którego przyjezdni byli podróżującą trupą tancerzy. To właśnie sekcja administracji zainspirowała ten przeciek.

Jerry nie miał nic do zabrania z hotelu, w istocie nie miał też hotelu, ale Masters mu uwierzył, więc oszacował, że zyskał co naj-mniej godzinę, a może dwie, by się zmyć. Nie wątpił, że Amerykanie dysponują łącznością w całym mieście i że jeśli Londyn o to poprosi, dla majora nie będzie nic prostszego, jak rozesłać jego opis i nazwi-sko pod pozorem poszukiwania amerykańskiego dezertera podróżu-jącego z fałszywym paszportem. Zatem gdy tylko taksówka minęła bramę bazy lotniczej, kazał się zawieźć na południowe przedmieścia, tam wysiadł i wziął inną taksówkę na północ, za miasto. Pola ryżowe skrywała mokra mgiełka, a pośród nich biegła bez końca prosta droga. Z radia wydobywały się monologi tajskich kobiet, podobne do recy-tacji nie kończących się rymowanek. Minęli amerykańską bazę woj-skową, kolisty teren o średnicy ćwierci mili, unoszący się w oparach mgły, zwany Klatką Słonia. Ogradzały ją wysokie szpiczaste pręty z żelaza, a w samym środku, otoczony pajęczynami napiętego drutu, płonął piekielny ogień niczym obietnica przyszłej wojny. Jerry słyszał, że wewnątrz szkoli się tysiąc dwustu adeptów rzemiosła wojennego, ale nie zobaczył żywej duszy.

Potrzebował czasu, więc dał sobie na wytchnienie ponad ty-dzień. Nawet wtedy potrzebował aż tylu dni, by dotrzeć do sedna, al-bowiem w głębi serca był żołnierzem i pracował ciałem. „Na początku był czyn”, mawiał do niego Smiley tonem niedoszłego kaznodziei, cytując jednego ze swych niemieckich poetów. Owa prosta maksyma stała się fundamentem nieskomplikowanej filozofii Jerry'ego. Co czło-wiek myśli to jego sprawa. Ważne jest, co robi.

Dotarliśmy wieczorem do Mekongu, wybrał sobie na bazę pewną wioskę i przez kilka kolejnych dni przechadzał się bez celu wzdłuż rzeki, dźwigając worek na ramieniu i kopiąc czubkiem buta puste puszki po

coca-coli. Na drugim brzegu, za brązowymi górami w kształcie mrowisk, biegł szlak Ho Szi Mina. Stamtąd obserwował kiedyś atak samolotu B-52, trzy mile dalej, w środkowym Laosie. Pamiętał, jak ziemia drżała pod stopami i jak niebo opustoszało i zapłonęło. Wiedział wówczas, przez krótką chwilę, co znaczy być w środku czegoś takiego.

Tego samego wieczora, by użyć jego własnego wesołego określenia, „ruszył w tany”, podobnie jak się tego po nim spodziewali administracyjni, choć w innych okolicznościach. W nadrzecznym barze, gdzie grano stare melodie z szafy grającej, pił czarnorynkową szkocką z amerykańskich kantyn i co noc szukał zapomnienia w ciele roześmianych dziewcząt, prowadzonych przez niego jedna po drugiej w górę ciemnych schodów do obskurnego pokoju, aż w końcu został w nim sam i długo nie wychodził. Obudzony nagle pewnego dnia o świcie pianiem kogutów i gwarem na rzece, już trzeźwy, zmusił się do przyjaznych wspomnień swego serdecznego kolegi i mentora, George'a Smiley'a. Owo myślenie było aktem woli, niemalże wyrazem posłuszeństwa. Chciał po prostu powtórzyć wyznanie wiary, a dotąd jego wiarą był stary George. W Sarratt ma się wyrozumiąle, elastyczne podejście do motywów działania agenta, natomiast za grosz cierpliwości dla gorliwców z ognistym spojrzeniem, którzy zgrzytają zębami i mówią: „nienawidzę komunizmu”. Jeśli tak go nienawidzą — argumentują werbownicy — to najpewniej już się w nim zakochali. Naprawdę poszukuje się ludzi — takim właśnie był Jerry — którzy nie mają zbyt wiele czasu na płomienne przemowy, ale kochają służbę i wiedzą — choć niech Bóg broni, by gardłowali na ten temat — że to my mamy rację. Owo „my” było z konieczności dość elastycznym pojęciem, ale dla Jerry'ego znaczyło „George”. Koniec.

Stary George. Świetnie, dzień dobry.

Pamiętał go takim, jakim lubił pamiętać, z ich pierwszego spotkania, w Sarratt, zaraz po wojnie. Jerry był wtedy kończącym służbę podoficerem, śmiertelnie zdruzonym młodym człowiekiem z Oksfordem w tle. Kurs przeznaczono dla „dorywczych” z Londynu, a zatem ludzi, którzy parali się odrobinę agenturalną robotą, ale formalnie nie znaleźli się na liście plac Cyrku i teraz przechodzili szkolenie jako rezerwa pomocnicza. Jerry starał się wcześniej o pełne zatrudnienie w Cyrku, ale werbownicy odrzucili kandydaturę, co niezbyt poprawiło jego samopoczucie. Kiedy Smiley przydreptał do ogrzewanej naftą sali wykładowej, ubrany w grube palto i okulary, Jerry jęknął w duchu i przygotował się na kolejne pięćdziesiąt minut zabójczej nudy — w najlepszym razie na rozmowę o przestarzałym prawie — po której miała nastąpić swego rodzaju potajemna przechadzka po terenie w celu zlokalizowania wydrążonych drzew na cmentarzach. Doszło do niezłej komedii, kiedy ludzie z personelu usiłowali obniżyć

pulpit mównicy, żeby George'a było zza niej widać. Wreszcie stanął nieco kapryśnie z boku i oznajmił, że tematem jego pogadanki będzie „problem utrzymania linii kurierskich na terytorium wroga”. Powoli Jerry uświadomił sobie, że Smiley nie czerpie swej wiedzy z podręcznika, ale z doświadczenia, że ten pedant niewielkiej postury o sowim obliczu, z nieśmiałym głosem, mrugającymi oczami i wstydliwą manierą, spędził trzy lata wojny w jakimś niemieckim mieście, gdzie kierował bardzo rozległą siatką wywiadowczą oraz gdzie w każdej chwili mógł się spodziewać przebijającego drzwi wojskowego buta i uderzenia kolbą karabinu w twarz, co byłoby zapowiedzią rozkoszy hitlerowskiego przesłuchania.

Kiedy wykład dobiegł końca, Smiley poprosił Jerry'ego o spotkanie. Usiedli w kącie pustego baru, pod porożem, gdzie wisiała tarcza do rzucania strzałkami.

— Bardzo mi przykro, że nie mogliśmy pana wziąć — rzekł. — Uznaliśmy, że powinien pan najpierw pożyć trochę na zewnątrz. — Co w ich języku oznaczało, że jest jeszcze niedojrzały. Dopiero wów czas Jerry rozpoznał w Smileyu jednego z milczących członków komisji selekcyjnej. — Gdyby pan zrobił magisterium, wspiął się nieco w górę w innej profesji, to pewnie byśmy zmienili nasz sposób zapamiętywania. Niech pan nie traci z nami kontaktu, dobrze?

Potem stary George zawsze był gdzieś w pobliżu. Spokojny, o anielskiej cierpliwości, łagodnie, acz konsekwentnie przestawiał tryby życia Jerry'ego w ten sposób, że w końcu stało się ono własnością Cyrku. Imperium ojca padło — George czekał z wyciągniętymi rękoma, żeby pochwycić Jerry'ego. Rozleciało się małżeństwo — George przesiadywał z nim całe noce, obejmował go za głowę.

— Zawsze czułem wdzięczność dla tej służby za to, że daje mi możliwość spłaty — mawiał. — Jestem pewien, że człowiek powinien tak czuć. Uważam, że nie powinniśmy bać się... poświęcenia jakiejś sprawie. Czy jestem staroświecki?

— Dajesz rozkaz i ja ruszam — odpowiadał Jerry. — Ty wyznaczasz zadania i ja je wykonuję.

Wciąż był czas, wiedział o tym. Pociąg do Bangkoku, hop w samolot do domu i najgorsze, co go czekało, to bura za kilkudniową zwłokę. Dom, powtórzył. Ot, zagwozdka. Dom w Toskanii i zionące pustką wzgórze bez sieroty? Dom u starej Pet, przepraszam, kochana, za filiżankę? Czy u Stubbsia, na stanowisku biurwasa? A może w Cyrku? I wtedy padnie: „Wydaje nam się, że najlepiej ci będzie w sekcji bankowości”. Albo — świetna myśl! — w Sarratt, w roli szkoleniowca, zdobywając serca i umysły nowicjuszy, dojeżdżając co dzień z dwupoziomowego mieszkania w Watford?

Czwartego czy piątego dnia obudził się bardzo wcześnie. Brzask właśnie podnosił się nad rzeką, najpierw zabarwiając ją na czerwono, potem na pomarańczowo, wreszcie brązowo. W błocie brodziła rodzina bawołów indyjskich, brzęcząc dzwoneczkami. Środkiem płynęły trzy połączone ze sobą w długą kolumnę sampany łąjące włokiem. Usłyszał cichy szum i zobaczył, jak sieć podwija się, po czym spada niczym grad na wodę.

A jednak nie ze względu na przyszłość tu jestem, pomyślał, ale ze względu na terażniejszość.

Dom jest tam, dokąd się człowiek udaje, kiedy już nie ma domu, pomyślał. To znaczy do Lizzie. Ciężka sprawa. Jakieś śniadanko. Na tylny palnik z tym.

Zajadając jajka i ryż na balkonie, Jerry przypomniał sobie chwilę, w której George przyniósł mu nowinę na temat Haydona. Było to w barze „El Vino” na Fleet Street, w deszczowe południe. Jerry nigdy nie potrafił nienawidzić kogoś dłużej niż dzień i gdy już minął pierwszy szok, niewiele zostało do powiedzenia.

— No cóż, nie ma sensu wyplakiwać łez w kieliszek, co, kolego? Nie wolno zostawiać okrętu szczerom. Trzeba walczyć, przecież o to chodzi.

Smiley przytaknął: zgadza się, trzeba walczyć i być wdzięcznym za możliwość spłaty długu. Jerry znalazł nawet osobliwe pocieszenie w fakcie, że Bill był jednym z nich. Nigdy nie miał poważnych wątpliwości, że kraj nieodwracalnie schodzi na psy i że to jego własna klasa społeczna jest winna tego stanu rzeczy.

„To my stworzyliśmy Billa — rozumował — zatem słuszne, byśmy ponieśli na swych barkach ciężar jego zdrady. Innymi słowy, byśmy spłacili dług. Spłacili. Zrobili to, o czym gada stary George”.

Włócząc się nad rzeką, oddychając ciepłym powietrzem wolności, Jerry ciskał płaskie kamyczki w wodę, puszczając kaczki.

Myślał o Lizzie. Lizzie Worthington, parweniuszka z przedmieścia. Ulubienica i worek treningowy Ricarda. Starsza siostra, matka ziemia i wyśniona kurwa Charliego Marshalla. Ptaszek na uwięzi w klatce Drake'a Ko. Moja towarzyszka przez cztery godziny wieczoru. A Collins, kim była dla niego? Dla pana Mellona, wstrętnego brytyjskiego handlowca — jak określił go Marshall — była kurierem działającym na szlaku heroinowym do Hongkongu. I jeszcze kimś więcej. Gdzieś po drodze Sam zsunął odrobinę maskę z twarzy i powiedział jej, że pracują dla królowej i ojczyzny. Tą radosną informacją Lizzie natychmiast podzieliła się z kręgiem swych wielbicieli. Ku wściekłości Collinsa, który rzucił ją jak gorący kasztan. A potem upatrzył ją sobie na ofiarę. W pewien sposób myśl o nieudany werbunku bardzo ubawiła Jerry'ego, albowiem Collins miał

reputację arcyszpiega, gdy tymczasem Lizzie Worthington mogłaby wystąpić w Sarratt jako archetyp kobiety zupełnie nie nadającej się do pracy agenturalnej.

Mniej zabawne było pytanie, co oznacza ona dla Sama dzisiaj. Co każe mu czaić się za jej plecami jak jakiś cierpliwy morderca, z tym swoim groźnym, szatańskim uśmiechem na twarzy? Owo pytanie nie dawało Jerry'emu spokoju. Mówiąc bez ogródek, obsesyjnie go dręczyło. Za żadne skarby nie chciał zobaczyć, że Lizzie znów zapada się pod ziemię. Jeśli ma opuścić łóżko Drake'a Ko, to tylko po to, by wejść do jego łóżka. Od pewnego czasu — w istocie odkąd ją spotkał — zastanawiał się, na ile posłużyłoby jej rześkie powietrze Toskanii. I choć nie znał powodów ani celów obecności Sama Collinsa w Hongkongu, ani nawet zamiarów Cyrku względem Ko, miał przemożne wrażenie — i na tym zasadzało się sedno sprawy — że zmykając teraz do Londynu, miał uprowadzić Lizzie na białym wierzchovcu, opuszczał ją siedzącą okrakiem na dużej bombie.

Co nie mieściło mu się w głowie. Kiedy indziej byłby gotów zostawić ten problem „sowom”, jak czynił z wieloma problemami w swym życiu. Ale to nie było „kiedy indziej”. Tym razem, z czego zdawał sobie sprawę, to „kuzyni” grali w drugiej linii, i choć nie miał nic do „kuzynów”, ich obecność przemieniała szachową rozgrywkę w mecz bokserski. Zatem jakiegokolwiek niejasne wyobrażenia o człowieczeństwie George'a miał Jerry, w tym wypadku nie znajdowały one zastosowania.

Ponadto zależało mu na Lizzie. Rozpaczliwie. W tych uczuciach nie było nic nieprecyzyjnego. Pragnął jej, z jej wszystkimi wadami. Była nieudacznikiem, a on ją kochał. Wszystko sobie obmyślił, wyznaczył granice i wreszcie, po kilku dniach liczenia „za” i „przeciw”, pojawił się wynik: dodatni, niezmienny. Jerry przeraził się nieco, ale poczuł też radość.

Geraldzie Westerby, pomyślał. Byłeś obecny przy swoich narodziinach. Brałeś udział w kilku małżeństwach i paru rozwodach i z całą pewnością będziesz obecny na swoim pogrzebie. Najwyższy czas, naszym zdaniem, byś był obecny także przy innych kluczowych wydarzeniach swego życia.

Podjechawszy autobusem kilka mil w górę rzeki, znów się wałęsał, jeździł motorowerami, przesiadywał w barach, kochał z dziewczynami i myślał jedynie o Lizzie. W gospodzie, w której się zatrzymał, było mnóstwo dzieci i pewnego ranka gdy się obudził, ujrzał dwoje z nich siedzących na jego łóżku, zdumionych olbrzymią długością jego nóg i chichoczących na widok bosych stóp zwisających na końcu krótkiego łóżka. Może powinienem tu zostać, przyszło mu do głowy. Ale zgrywał się, ponieważ wiedział już dobrze, że musi

wracać i spytać ją, nawet jeśli odpowiedź nie byłaby warta funta kłaków. Zaczął puszczać papierowe samoloty z balkonu, a dzieci klaskały i tańczyły z uciechy, patrząc, jak te odlatują.

Znalazł łódkarza i z nadejściem wieczoru przepłynął rzekę do Vientiane, unikając odprawy celnej. Nazajutrz, również ominąwszy formalności, dostał się na listę pasażerów lecącego poza rozkładem samolotu „Royal Air Lao” DC-8 i po południu już był w powietrzu, z pyszną ciepłą whisky w dłoni, gaworząc przyjaźnie z dwoma sympatycznymi handlarzami opium. Podczas lądowania padał czarny deszcz i szyby w autobusie zwożącym pasażerów z płyty lotniska były brudne od kurzu. Jerry’emu to nie przeszkadzało. Po raz pierwszy w życiu powrót do Hongkongu był niczym powrót do domu.

Niemniej w sektorze przylotów Jerry zachował dużą ostrożność. Absolutnie żadnych fajerwerków, powiedział sobie. Kilkudniowy odpoczynek podzielał cudotwórczo na przytomność jego umysłu. Rozejrzawszy się dokoła, Jerry poszedł do męskiej toalety zamiast do stanowisk odprawy paszportowej i zaszył się tam aż do przybycia czeredy japońskich turystów. Wmieszawszy się między nich, spytał, kto mówi po angielsku. Czwórce wybranych pokazał swoją hongkońską kartę prasową, po czym zasypał ich pytaniami o powody wizyty, plany pobytu i spotkania, notując zawzięcie na swoim bloczku. Następnie wyłowił z kolejki do odprawy kolejnych czworo i powtórzył rytuał. Czekał, aż przyjdzie nowa zmiana kontrolerów. Stało się to o czwartej i wtedy od razu podszedł do drzwi oznaczonych napisem „wstęp wzbroniony”, które zauważył wcześniej. Walił w nie tak długo, aż mu otworzono, po czym ruszył na drugą stronę.

— Dokąd to, cholera? — zapytał z oburzeniem szkocki inspektor policji.

— Wracam do redakcji, kolego. Muszę złożyć te bzdety o Japończykach. Pokazał kartę prasową.

— No to jazda przez bramki, jak każdy.

— Bądź pan rozsądny. Nie mam paszportu. Dlatego pański uprzejmy kolega przeprowadził mnie tędy.

Pięć minut później zwałistym ciałem, apodyktycznym głosem, ewidentnie brytyjskim wyglądem i ujmującym uśmiechem zdobył sobie miejsce w autobusie jadącym do miasta. Marudził nieco pod swoim blokiem, bo choć nie zauważył nikogo podejrzanego, to był przecież w Chinach, gdzie niczego nie można być pewnym. Winda

jak zwykle opróżniła się na jego widok. Jadąc nią na górę, Jerry zanucił jedyną płytę Szwaba Śmiercioluba na myśl o czekającej go gorącej kąpieli i zmianie bielizny. Pod drzwiami przeżył chwilę grozy, albowiem zobaczył, że drzazgi, które zostawił unieruchomione we framudze, leżą na posadzce, zaraz jednak przypomniał sobie o Luke'u i uśmiechnął się na myśl o ponownym złączeniu ich serc. Otworzył kluczem drzwi anty włamaniowe i wówczas dobiegł go szum, jednostajny szmer, który mógłby pochodzić z klimatyzora, gdyby klimatyzator Śmiercioluba nie był zepsuty i bezużyteczny. Ten cholerny idiota Lukę nie wyłączył gramofonu, pomyślał Jerry, i pewnie silnik się zagotował. Nie, jestem niesprawiedliwy, doszedł do wniosku, to ani chybi lodówka. W tej samej chwili otworzył drugie drzwi i zobaczył zwłoki Luke'a rozciągnięte na podłodze, z odstrzelonym czerepem i połową hongkongskich much rojącą się dokoła. Jedyne, co przyszło mu do głowy, kiedy szybko zamknął za sobą drzwi i przytknął chusteczkę do ust, to by pobiec do kuchni na wypadek, gdyby tam wciąż ktoś był. Wróciwszy do pokoju, rozsunął Luke'owi nogi, podważył klepkę podłogową, pod którą ukrył pistolet i zestaw awaryjny na wypadek ucieczki, włożył je do kieszeni i dopiero wtedy zwymiotował.

Wszystko jasne, pomyślał. To dlatego Ricardo był pewien, że koniarz nie żyje.

Dołączyłem do towarzystwa, powiedział sobie, kiedy już znalazł się ponownie na ulicy, z wściekłością i rozpaczą rozsadzającymi mu uszy i oczy. Nelson Ko nie żyje, ale nie przeszkadza mu to rządzić Chinami. Ricardo też nie żyje, ale Drake' Ko twierdzi, że puści mu wszystko płazem, jeśli tylko on będzie się trzymał cienistej strony ulicy. Koniarz Jerry Westerby także zszedł z tego świata, tyle że ów durny barbarzyńca, skurwiol, kat Drake'a Ko — krwawy pan Tiu — jest na tyle tępy, że zastrzelił innego okrągłookiego, niż chciał.

Rozdział 19

POTOI

Wnętrze amerykańskiego konsulatu w Hongkongu do złudzenia przypominało wnętrze Aneksu w Londynie nawet takimi szczegółami jak imitacja palisandru, dobrotliwa kurtuazja pracowników, plastikowe krzesła oraz dodający otuchy portret prezydenta, choć tym razem był to Ford. Witamy w szpiegowskiej melinie Howarda Johnsona, pomy-

ślał Guillam. Sala, w której pracowali, nazywała się „izolatką” i prowadziło do niej bezpośrednie wejście z ulicy, strzeżone przez dwóch żołnierzy z piechoty morskiej. Mieli przepustki na fałszywe nazwiska — Guillama brzmiało Gordon — i z wyjątkiem rozmów telefonicznych przez cały pobyt w konsulacie nie otworzyli ust do nikogo poza swoim gronem. „Nas nie tylko nie da się zidentyfikować — stwierdził Martello — ale nawet zobaczyć”. Tak to zostanie rozegrane, rzekł. Konsul generalny Stanów Zjednoczonych będzie mógł położyć prawicę na Biblii i przysiąc gubernatorowi, że nikogo o tych nazwiskach tu nie ma i że jego pracownicy nie są zamieszani w sprawę. „Oko przymknięte na fest”. Po tym stwierdzeniu oddał głos Smileyowi, albowiem — jak rzekł — „to ucza George’a od przystawki po deser”.

Konsulat dzieliło pięć minut drogi piechotą od hotelu „Hilton”, gdzie Martello zarezerwował dla nich pokoje. W przeciwną stronę, pod górę, mieli zaledwie dziesięć minut marszu do bloku z apartamentem Lizzie Worth, choć byłaby to ciężka wspinaczka. Tkwili w Hongkongu już pięć dni i teraz nastał wieczór, choć nie widzieli tego, albowiem sala nie miała okien. Były tam natomiast mapy mórz i lądów oraz kilka aparatów telefonicznych, obsługiwanych przez milczki Martella, Murphy’ego i jego kolegę. Martello i Smiley zasiedli osobno za dwoma wielkimi biurkami. Guillam, Murphy i jego przyjaciel wzięli we władanie stół z telefonami, Fawn zaś przycupnął markotny pośrodku rzędu foteli teatralnych, ustawionego pod przeciwległą ścianą, niczym znudzony krytyk na pokazie przedpremierowym, czasem dłubiąc w zębach, to znów ziewając, ale nie zamierzając wyjść, do czego nakłaniał go Guillam. Dano znać Crawowi, by trzymał się z dala od wydarzeń — całkowity nur pod wodę. Smiley bał się o niego od śmierci Frosta i z chęcią wywiózłby go z Hongkongu, ale stary wyga nie chciał wyjechać.

Nadeszła wreszcie godzina milczków: „nasza ostatnia szczegółowa odprawa”, jak określił to Martello. „Oczywiście, jeśli nie masz nic przeciwko, George”. Błady Murphy stanął na podwyższeniu przed mapą i zaczął recytować ze swoich notatek. Pozostali, nie wyłączając Smileya i Martella, usiedli u jego stóp i słuchali przeważnie w milczeniu. Murphy mówił tak, jakby wyjaśniał budowę odkurzacza, co według Guillama uczyniło jego monolog jeszcze bardziej hipnotyzującym. Mapa ukazywała głównie wodę, ale u góry na lewo widniała koronka południowochińskiego wybrzeża. Za Hongkongiem widać było rozstrzelone przedmieścia Kantonu tuż pod listewką, która przytwierdzała mapę do ściany, natomiast prosto na południe, na samym środku mapy, rozciągały się zielone zarysy czegoś, co było podzielone na części A, B, C i D i wyglądało na chmurę. To, powiedział Murphy

pełen uszanowania, są łowiska, a ów krzyżyk pośrodku to punkt centralny, proszę pana. Murphy zwracał się wyłącznie do Martella, mimo że była to uczta George'a od przystawki po deser.

— W oparciu o ostatni wyjazd Drake'a Ko z Chin, nadto dostosowując nasze szacunki do obecnej sytuacji, my oraz wywiad marynarki. ..

— Murphy, Murphy! — wtrącił Martello grzecznie. — Wyluzuj się trochę, dobra, przyjacielu? Nie jesteśmy w akademii. Rób to na spokojnie, synu.

— Tak jest. Po pierwsze: pogoda — rzekł Murphy, nieporuszony wezwaniem do złagodzenia samodyscypliny. — Kwiecień i maj to miesiące zmiany monsunów z północnego wschodu na te z południowego zachodu. Szczegółowe prognozy na każdy dzień są trudne do opracowania, ale żadnych ekstremalnych warunków pogodowych się nie przewiduje. — Wskaźnikiem zaznaczał linię z Szantou na południe w kierunku łowisk, następnie z łowisk na północny zachód, przez Hongkong, w górę Rzeki Perłowej aż do Kantonu.

— Mgła? — zapytał Martello.

— Mgły są typowe o tej porze roku, przewiduje się również zachmurzenie od sześciu ósmych do siedmiu ósmych, proszę pana.

— Cóż to znaczy sześć ósmych, u licha?

— W takiej skali mierzy się wielkość zachmurzenia konkretnego obszaru nieba, od jednej ósmej do ośmiu ósmych. Kiedyś podawało się w częściach dziesiątych. Natomiast od ponad pięćdziesięciu lat nie zanotowano w kwietniu żadnych tajfunów i wywiad marynarki uważa je za mało prawdopodobne. Wiatr wieje przeważnie wciąż ze wschodu, z prędkością od dziewięciu do dziesięciu węzłów, ale każda flota musi się liczyć z okresami flauty, a także wiatru wiejącego z przeciwnego kierunku. Wilgotność około osiemdziesięciu procent, temperatura od piętnastu do dwudziestu czterech stopni Celsjusza. Morze spokojne, lekkie fale. Prądy w pobliżu Szantou mają kierunek północno-wschodni, przez Cieśninę Tajwańską, około trzech mil morskich na dzień. Natomiast dalej na zachód, to znaczy tutaj, proszę pana...

— To akurat, cholera, wiem, Murphy — przerwał Martello ostro. — Wiem, gdzie jest zachód. — Następnie uśmiechnął się do Smileya, jakby chciał powiedzieć: „Och, te młode mędrki”.

Murphy ciągnął, niewzruszony.

— Musimy być przygotowani do obliczenia współczynnika szybkości i w rezultacie tempa, w jakim flota będzie płynąć na każdym etapie rejsu, proszę pana.

— Jasne, jasne.

— Księżyc — kontynuował Murphy. — Przyj ąwszy, że flota opu-
ściła Szantou w piątkową noc dwudziestego piątego kwietnia, będzie trzy
dni przed pełnią księżyca...

— A dlaczego tak przyjmujemy, Murphy?

— Bo właśnie wtedy flota wypłynęła, proszę pana. Godzinę
temu mieliśmy potwierdzenie z wywiadu marynarki. Zauważono
konwój dżonek na wschodnim krańcu łowiska C, jak kierował się na
zachód, z wiatrem. Czołową dżonkę zidentyfikowano ponad wszelką
wątpliwość.

Nastąpiła niezręczna cisza. Martello splonął.

— Spryciarz z ciebie, Murphy — rzekł ostrzegawczym tonem. —
Tylko trzeba mi było o tym powiedzieć trochę wcześniej.

— Tak jest. Przyj ąwszy również, że zamiarem floty wiozącej
Nelsona Ko jest wpłynięcie na wody terytorialne Hongkongu nocą
czwartego maja, księżyc będzie w ostatniej kwadrze. Jeśli oprzemy się do
końca na poprzednich...

— Tak zrobimy — rzekł stanowczo Smiley. — Ta ucieczka będzie
dokładnym powtórzeniem podróży Drake'a w pięćdziesiątym pierwszym.

Guillam zauważył, że po raz kolejny nikt nie podał jego słów w
wątpliwość. Dlaczego? Było to zadziwiające.

— ... w takim razie nasza dżonka powinna dopłynąć do najbar-
dziej wysuniętej na południe wysepki Po Toi jutro o ósmej wieczorem,
w porę dołączyć ponownie do floty płynącej w górę Rzeki Perłowej
i znaleźć się w porcie kantonńskim między dziesiątą trzydzieści a dwu
nastą dnia następnego, to jest piątego maja, proszę pana.

Podczas gdy Murphy nudził dalej, Guillam dyskretnie obserwował
Smileya, myśląc, jak mu się to często zdarzało, że nie wie o tym człowieku
więcej niż podczas ich pierwszego spotkania w mrocznych czasach zimnej
wojny. Gdzie on się wymyka o tak dziwnej porze? Rozmyśla o Ann? O
Karli? Z kim przestaje, że wraca do hotelu o czwartej nad ranem? Nie chce
mi się wierzyć, że przeżywa drugą młodość, dumął Guillam. Poprzedniego
wieczora nadeszły alarmujące wieści z Londynu, więc pospieszył do
konsulatu, żeby je odebrać. Donoszono, że Westerby urwał się z paska. W
Cyrku sądzono z przerażeniem, że Ko kazał go zamordować albo — co
gorsza — porwać i torturować i że w rezultacie operacja stanęła pod dużym
znakiem zapytania. Guillamowi bardziej prawdopodobne wydawało się to,
że po drodze do Londynu Jerry zaszył się gdzieś na chwilę z paroma
stewardesami, ale ponieważ sygnał był pilny, nie miał innego wyjścia jak
obudzić Smileya i przekazać mu nowiny. Zadzwoił do jego

pokoju, lecz nikt nie podnosił słuchawki, ubrał się więc i poszedł się z nim zobaczyć. Pukał do drzwi, ale bez skutku i w końcu otworzył je wytrychem, ponieważ z kolei sam spanikował: pomyślał, że Smiley zaniemógł.

Ale Smileya nie było, a łóżko stało zasłane. Podczas przeglądania jego rzeczy Guillam ujrzał zafascynowany, że stary agent z upodobaniem wszywa w swe koszule fałszywe metki markowych firm odzieżowych. Nic więcej jednak nie odkrył. Usiadł zatem w fotelu i po pewnym czasie zapadł w sen. Ocknął się dopiero o czwartej nad ranem, gdy usłyszał szmery. Otworzywszy oczy, ujrzał pochylonego i zagląającego mu w twarz Smileya. Bóg jeden wie, jak udało mu się tak cicho wejść do pokoju.

— Gordon? — zapytał Smiley półszepem, albowiem wkroczyli na dobre w stadium operacyjne i przyjęli założenie, że w pokojach jest podsłuch. — Stało się coś?

Z tego samego powodu Guillam nie odpowiedział, tylko w milczeniu wręczył mu kopertę zawierającą wiadomość od Connie. Smiley przeczytał tekst dwa razy, po czym go spalił. Guillam był zaskoczony, że George tak poważnie potraktował nowiny. Smiley uparł się, żeby mimo późnej pory udać się natychmiast do konsulatu i zająć tą sprawą, więc Guillam też poszedł, by szef nie musiał dźwigać toreb.

— Wieczór był pouczający? — zapytał, kiedy z mozołem wchodzili pod górę.

— Dla mnie? Ach tak, do pewnego stopnia tak — odparł Smiley, zamykając kwestię i to było wszystko, co Guillam lub ktokolwiek inny mógł z niego wydobyć na temat tajemniczych nocnych wędrówek. Rzecz w tym, że Smiley przynosił do konsulatu konkretne informacje operacyjne bez słowa wyjaśnienia, skąd pochodzą, i podawał je w taki sposób, że nikt nie miał czelności o to zagadnąć.

— Ej, George, możemy na tym polegać, tak? — zapytał Martello serdecznie po dłuższej chwili kłopotliwego milczenia, gdy zdarzyło się to po raz pierwszy, i odtąd przyjmowali wszystko bez najmniejszego sprzeciwu, nie mieli wyboru. Albowiem nikt, nawet Martello, nie śmiał kwestionować autorytetu Smileya.

— Ile to będzie dni łowienia? — zapytał Martello Murphy'ego.

— Flota ma na połowy siedem dni i z dużym prawdopodobieństwem wróci do Kantonu z pełnymi ładowniami.

— To się zgadza, George?

— Och tak, nic dodać, nic ująć, dziękuję.

Martello zapytał, kiedy flota będzie musiała opuścić łowiska, aby dżonka Nelsona zdążyła na spotkanie następnego dnia wieczorem.

— Określiłem czas na jedenastą jutro rano — odparł Smiley, nie podnosząc wzroku znad swych notatek.

— Ja też — dodał Murphy.

— To łódka czerwonych, Murphy — zaoponował Martello z kolejnym uległym spojrzeniem w stronę Smileya.

— Tak jest, proszę pana ■ — odrzekł Murphy.

— No więc czy ona może tak łatwo odłączyć się od całej paczki? Pod jakim pozorem wpłynie na hongkońskie wody terytorialne?

— Pod żadnym, tak się dzieje nagminnie, proszę pana. Rybacy z czerwonych Chin nie mają żadnego osobistego zysku z połowów. Nic więc dziwnego, że w rezultacie pełno pojedynczych dżonek odłącza się w nocy, bez świateł wpływa na wody Hongkongu i sprzedaje ryby mieszkańcom pobliskich wysepek.

— Ha, więc robota po ciemku, na czarno! — wykrzyknął Martello, zachwycony trafnością własnego określenia.

Smiley obrócił się ku wiszącej na drugiej ścianie mapie wyspy Po Toi i przekrzywił głowę, jakby chciał wzmocnić powiększający efekt swych szkielec.

— Mówimy o dżonkach jakiej wielkości? — zapytał Martello.

— To takłowce z kilkuosobową załogą, z przynętami i sieciami na rekiny i węgorza morskiego.

— Drakę Ko też pływał takimi?

— Tak — odparł Smiley ze wzrokiem utkwionym w mapę. — Pływał.

— I mogą podpłynąć zupełnie blisko? Pod warunkiem, że pogoda sprzyja, tak?

Znów odpowiedział Smiley. Guillam w życiu nie słyszał, by jego szef powiedział tyle na raz na temat łodzi.

— Zanurzenie takłowca jest niewielkie — stwierdził. — Można nim podpłynąć tak blisko, jak się chce, pod warunkiem że fale nie są zbyt duże.

Z tylnego rzędu dobiegł ich niepohamowany śmiech Fawna. Obróciwszy się na krześle, Guillam rzucił mu mordercze spojrzenie. Fawn łypał okiem i kręcił głową z zachwytem nad wszechwiedzą swego szefa.

— Ile dżonek składa się na flotę? — zadał kolejne pytanie Martello.

— Od dwudziestu do trzydziestu — odrzekł Smiley.

— Zgadza się — dorzucił nieśmiało Murphy.

— Więc co ten Nelson robi, George? Wyjdzie z konwoju i zboczy odrobinę?

— Będzie się włócił z tyłu — rzekł Smiley. — Floty lubią płynąć w kolumnie. Nelson każe swemu szyprowi zająć pozycję na szarym końcu.

— Oby tak zrobił, na Boga — mruknął Martello pod nosem. — Murphy, jakie oni mają tradycyjne sposoby identyfikacji?

— Mało wiadomo na ten temat, proszę pana. Lud łodzi trzyma te sprawy w tajemnicy. Ale nie mają respektu dla międzynarodowych przepisów morskich. Jak są na pełnym morzu, to w ogóle nie zapalają świateł, głównie ze strachu przed piratami.

Smiley znów stracił zainteresowanie. Zapadł w drewniany bezruch i choć wzrok wciąż miał wbity w mapę, Guillam wiedział, że myślami jest daleko, na pewno nie przy okropnym monologu Murphy'ego. W przeciwieństwie do Martella.

— Ile ogółem jest tego handlu na wodach przybrzeżnych? — zapytał Martello.

— Niestety nie ma żadnych danych na ten temat, proszę pana.

— A jest jakaś kwarantanna, kiedy dżonki wpływają na wody Hongkongu?

— Teoretycznie wszystkie statki powinny być sprawdzone.

— A praktycznie, Murphy?

— Dżonki nie liczą się z niczym. Oficjalnie rzecz biorąc, chińskim dżonkom nie wolno pływać między Wyspą Wiktorii a cyplem Koulunu, ale Brytoni za żadne skarby nie chcą handryczyć się z Pekinem o głupie pierwszeństwo przejazdu. O, przepraszam pana.

— Nie ma za co — odparł uprzejmie Smiley, nadal wpatrzony w mapę. — Brytanami jesteśmy i Brytanami pozostaniemy.

Taki wyraz twarzy ma wtedy, gdy myśli o Karli, doszedł do wniosku Guillam. Tak wygląda, gdy patrzy na jego zdjęcie. Przypadkiem natyka się na nie wzrokiem, odczuwa zaskoczenie i przez chwilę mu się przygląda: zarysowi głowy i zamazanemu, pustemu spojrzeniu. Wówczas blask powoli gaśnie mu w oczach, podobnie nadzieja, i czuć, że przerażony patrzy w głąb swej duszy.

— Murphy, wydawało mi się, że wspomniałeś o światłach nawigacyjnych? — zapytał Smiley, odwróciwszy nieco głowę, z oczami wciąż zwróconymi w kierunku mapy.

— Tak jest, proszę pana.

— Spodziewam się, że dżonka Nelsona będzie miała trzy — rzekł. — Dwa zielone w pionie na bezanmaszcie i jedno czerwone na sterburcie.

— Tak jest.

Martello usiłował uchwycić spojrzenie Guillama, ale Guillam nie zamierzał podjąć gry.

— Lecz może się zdarzyć inaczej — ostrzegł Smiley po namyśle.

— Może nie mieć żadnych świateł i dać sygnał dopiero z bliska.

Murphy kontynuował wykład. Nowy temat: łączność.

— Jeśli chodzi o łączność, to bardzo mało dżonek ma na pokładach nadajniki, dość często natomiast trafiają się odbiorniki. Czasem można trafić na szypra, który kupuje tanią krótkofalówkę o zasięgu jednej mili, żeby ułatwić sobie trałowanie, ale ogólnie rzecz biorąc, robią to od tak dawna, że chyba porozumiewają się bez słów. Jeśli zaś idzie o nawigację, wywiad marynarki twierdzi, że to niezła zagadka. Mamy wiarygodne informacje, że wiele takłowców używa prymitywnych kompasów, linki i ołowiu albo zwykłych zardzewiałych budzików, które wskazują północ.

— Murphy, jak to linki i ołowiu, na miłość boską?! — wykrzyknął Martello.

— Mają linkę z ołowianym pionem i woskiem, proszę pana. Sondują łowisko, wyciągają linkę i po tym, co się przyczepia do wosku, orientują się, gdzie są.

— Rany, naprawdę robią to po linii największego oporu — podsumował Martello.

Zadzwoił telefon. Drugi z milczków podniósł słuchawkę, trzymał ją przez chwilę przy uchu, następnie położył dłoń na mikrofonie.

— Obserwowana Worth właśnie wróciła, proszę pana — powie dział do Smileya. — Towarzystwo jeździło po mieście przez godzinę, a teraz ona odstawiła samochód na parking i jest w domu. Mac mówi, że to brzmi tak, jakby napuszczała wody do wanny, i pyta, kiedy wreszcie będziemy kręcić kamerami. Czy pani śpiewa w kąpieli, Mac?

— Odłożył słuchawkę na widelki. — Nie śpiewa.

— Nawijaj dalej, Murphy — warknął Martello.

Smiley powiedział, że wolałby jeszcze raz omówić plany przechwycenia obiektu.

— Ależ oczywiście, George, jak sobie życzysz! Przecież to twoja uczta, pamiętasz?

— Czy moglibyśmy jeszcze raz spojrzeć na mapę Po Toi? I Murphy podałby szczegóły. Pozwolisz, Marty?

— Oj, daj spokój z tym „pozwolisz”, George! — wykrzyknął Martello, więc Murphy zaczął od nowa, tym razem ze wskaźnikiem: punkty obserwacyjne wywiadu marynarki są tutaj, proszę pana... stała baza łączności... żadnych obiektów w promieniu dwóch mil morskich od strefy przybicia ... Wywiad marynarki ma powiadomić bazę, kiedy tylko łódź Ko ruszy z powrotem do Hongkongu... przechwycenia obiektu dokona regularna jednostka policji brytyjskiej, kiedy łódź wpłynie do portu. Nasi, to znaczący Amerykanie,

dostarczają jedynie informacji wywiadowczych i stoją w gotowości w razie konieczności nieprzewidzianego wsparcia...

Smiley kwitował każdy szczegół sztywnym kiwnięciem głowy.

— W końcu — wtrącił w pewnej chwili — kiedy Ko będzie miał Nelsona na pokładzie, to zostanie mu tylko jedna droga, prawda, Marty? Po Toi znajduje się tuż przy wodach chińskich. Więc albo do nas, albo z powrotem do nich.

Pewnego dnia, pomyślał Guillam zasłuchany, George'owi przydarzy się jedno z dwojga. Albo przestanie się przejmować, albo paradoks go zabije. Jeśli przestanie się przejmować, będzie połową tego stratega, którym jest teraz. Jeśli nie, jego mała klatka piersiowa pęknie od usilnych prób objaśnienia tego, co robimy. Kiedyś w katastrofalnej pogawędce z wyższymi rangą oficerami Smiley sam nadał określenia swoim dylematom i Guillam dotąd wspominał je z uczuciem zażenowania. „Być nieludzkim w obronie naszego człowieczeństwa”, rzekł, „twardym w obronie naszego współczucia”. „Być jednomyślnym w obronie naszej różnorodności”. Wytłoczyli się wówczas na korytarz w istnej powodzi sprzeciwu. Niech George po prostu zamknie się i robi swoje zamiast wyciągać z kieszeni swe credo i polerować je na oczach wszystkich, aż widać rysy. Connie mruknęła nawet Guillamowi do ucha jakiś rosyjski aforyzm, który z uporem przypisywała Karli.

— Nie będzie żadnej wojny, prawda, Peter, kochany? — powie działa uspokajająco, uściskawszy mu dłoń, kiedy prowadził ją korytarem. — Ale w walce o pokój nie zostanie nawet kamień na kamieniu, niech szlag trafi tego starego lisa. Założę się, że za to kolegium też mu nie podziękowało.

Z tyłu rozległ się huk. Fawn znowu zmieniał miejsce w rzędzie foteli teatralnych. Widząc obróconego Guillama, nadął wyzywająco nozdrza i prychnął.

Odbija mu, pomyślał Guillam z drżeniem.

Również Fawn przysparzał mu ostatnio zmartwień. Dwa dni wcześniej był w jego obecności sprawcą obrzydliwego zdarzenia. Smiley jak zwykle wyszedł sam. Dla zabicia czasu Guillam wynajął samochód i zawiózł Fawna nad chińską granicę, gdzie ten chichotał i prychnął na tajemnicze wzgórza w oddali. W powrotnej drodze przystanęli w wiejskiej okolicy na światłach drogowych i wtedy podjechał do nich na hondzie chiński chłopiec. Guillam prowadził, Fawn siedział z boku. Szybka po stronie Fawna była opuszczona, siedział bez marynarki z lewą ręką opartą na drzwiach, podziwiając nowy pozłacany zegarek, który kupił w sklepie w hotelu „Hilton”. Kiedy ruszali, nieroztropny chłopak na motocyklu rzucił się na zegarek, ale Fawn okazał się zbyt szybki. Chwyciwszy Chińczyka za przegub, ciągnął go

za sobą, a ten bezskutecznie próbował się wyrwać. Guillam przejechał z pięćdziesiąt jardów, zanim spostrzegł, co się dzieje, i wtedy natychmiast się zatrzymał, na co tylko czekał Fawn. Wskoczył, nim Guillam zdążył go powstrzymać, zsadził złodzieja z hondy, zaprowadził go na pobocze i złamał mu obie ręce, następnie wrócił uśmiechnięty do samochodu. Przerażony groźbą awantury, Guillam szybko odjechał, ścigany wrzaskami chłopca i widokiem jego zwisających bezwładnie rąk. Wrócił do Hongkongu zdecydowany donieść na Fawna Smiley-owi, ale na szczęście dla tego pierwszego minęło osiem godzin, zanim drugi się pojawił i wtedy Guillam uznał, że szef ma już dostatecznie dużo zmartwień na głowie.

Zadzwoił drugi telefon i tym razem Martello odebrał. Słuchał przez chwilę, po czym gruchnął śmiechem.

— Znaleźli go — rzekł do Smileya, podając mu słuchawkę.

— Kogo znaleźli? Słuchawka zawisła między nimi.

— Twojego człowieka, George. Weatherby'ego...

— Westerby'ego — poprawił Murphy i Martello posłał mu wściekłe spojrzenie.

— Mają go.

— Gdzie jest?

— Gdzie był, chciałeś chyba zapytać, George! Właśnie skończył umilać sobie życie w dwóch burdelikach w górnym biegu Mekongu. Jeśli nasi nie przesadzają, to facet jest najbardziej napalonym osobnikiem od czasów Casanovy!

— A gdzie on jest teraz?

Martello podał Smileyowi słuchawkę.

— Masz, niech ci sami przeczytają sygnał. Coś tam mówią, że przepłynął rzekę. — Obrócił się do Guillama i mrugnął okiem. — Podobno w Vientiane też jest kilka lokali, gdzie może się nieźle zabawić — powiedział i znów roześmiał się gromko, podczas gdy Smiley siedział cierpliwie ze słuchawką przy uchu.

Jerry wybrał taksówkę z dwoma bocznymi lusterkami i usiadł z przodu. Na Koulunie wynajął samochód od firmy z największym taborem, jaką udało mu się znaleźć, wykorzystując awaryjny paszport i prawo jazdy, ponieważ uznał, że fałszywe dokumenty dają odrobinę większe bezpieczeństwo, choćby godzinę więcej. Kiedy ruszył w kierunku Midlevels, zapadł zmierzch i wciąż padało; z neonów oświetlających zbocze góry zwisały olbrzymie aureole blasku. Minał amerykański konsul, następnie dwukrotnie przejechał obok Star Heights i za drugim razem był pewien, że zlokalizował okna jej mieszkania.

Światło było zapalone: w głębi widział wiszący z wdziękiem preten-sjonalny włoski abażur, pompa za trzysta dolarów. Również za ma-tową szybą w oknie od łazienki paliło się światło. Kiedy podjechał za trzecim razem, zauważył ją samą, jak okrywa ramiona chustą, i in-stynkt albo pewna formalność w jej ruchach podpowiedziała mu, że znów szykuje się do wyjścia i że tym razem jest wystrojona.

Ilekczo, gdy pozwalał sobie na wspomnienie o Luke'u, oczy mu matowiały i wyobrażał sobie, że dokonuje szlachetnego, bezużytecznego czynu, to znaczy telefonuje do jego rodziny w Kalifornii, albo do karła w redakcji, albo — choć nie wiedzieć po co — do Rockera. Później, doszedł do wniosku. Później, obiecał sobie, będą opłakiwać Luke'a w odpowiednim stylu.

Wjechał powoli na podjazd i minawszy wejście do bloku, dotarł do łącznicy z parkingiem. Parking miał trzy poziomy pod ziemią. Jerry jeździł dokoła, aż zauważył jej czerwonego jaguara, zadeko-wanego bezpiecznie w rogu, za łańcuchem, który miał strzec drogo-cennego lakieru przed nieostrożnymi sąsiadami. Na kierownicę za-łożyła imitację lamparciej skóry. Najwyraźniej nie mogła wypieścić tego cholernego samochodu. Zajdź w ciążę, pomyślał, rozżłony do żywego. Kup sobie psa, hoduj myszy. Niewiele brakowało, by zgniółł maskę, ale owo niewiele powstrzymywało go od popełnienia różnych głupstw więcej razy, niżby mógł zliczyć. Jeśli odstawiła to cacko, to znaczy, że Ko przyśle po nią limuzynę. Może nawet z Tiu w obstawie. Albo sam się zjawi. A może wyfiokowała się na wieczorną samoofiara w domu i wcale nie zamierza wychodzić? Żałował, że nie jest niedziela. Pamiętał, co mówił Craw: niedziele Ko spędza z rodziną i Liz-zie musi się sama zabawiać. Ale to nie była niedziela, nie było również pod ręką starego Australijczyka, wnioskującego — Bóg raczy wiedzieć z czego — że Ko wyjechał w interesach do Bangkoku albo Timbaktu.

Wdzięczny, że deszcz przyniósł mgłę, Jerry wrócił do wjazdu i tam znalazł niewielkie wolne miejsce przy szlabanie. Inni użytkow-nicy pewnie będą kwękać, ale zdołają przejechać. Otarł się o szlaban, lecz niewiele go to obchodziło. Z tego miejsca widział wejście pod pa-siastą markizą, wchodzących i wychodzących ludzi oraz samochody opuszczające lub wjeżdżające na główną ulicę. Nie czuł potrzeby zachowania ostrożności. Zapalił papierosa. Mijały go w tę i we w tę sapiące limuzyny, ale żadna nie należała do Ko. Od czasu do czasu prześlizgiwał się obok jakiś zwykły samochód i wówczas kierowca przystawał, by zatrąbić albo ponarzekać, ale Jerry puszczał wszystko mimo uszu. Co kilka sekund zerkał w lusterka i gdy w pewnej chwili pękata postać całkiem podobna do Tiu przemknęła skrycie z tyłu, odblępnął szybko trzymany w kieszeni pistolet i dopiero chwilę później spostrzegł, że mężczyźnie brak muskulatury zabójcy Luke'a.

Pewnie odbierał należności hazardowe od kierowców uprawiających *pak-pai**, pomyślał Jerry, kiedy postać znikła.

Przypomniawszy sobie dzień z Luke'em w Happy Valley. Przypomniawszy sobie dni z Luke'em.

Wciąż patrzył w lusterko, gdy nagle czerwony jaguar przemknął obok na zewnątrz, z samotnym kierowcą pod zaciągniętym dachem. Jerry uzmysłowił sobie, że nie wziął pod uwagę, iż ona może zjechać na parking windą, zamiast kazać podprowadzić wóz portierowi, jak wtedy. Ruszywszy, ujrzał, że w jej oknach wciąż pali się światło. Zostawiła kogoś w mieszkaniu? Zamierza zaraz wrócić? Przestań kombinować, cholera, powiedział sobie. Po prostu nie dba o prąd.

Kiedy ostatni raz rozmawiałem z Luke'em, kazałem mu się ode mnie odczepić, on zaś powiedział mi, że krył mnie przed Stubbssem.

Jechała w dół, w kierunku Śródmieścia. Podążał za nią i przez dłuższą chwilę byli sami na jezdni, co zdawało się nienaturalne, ale pora była przecież osobliwa i natura człowieka z Sarratt umierała w Jerry'ym szybciej, niż mógł nadążyć. Dziewczyna kierowała się ku najjaśniejszej części miasta. Przypuszczał, że nadal ją kocha, choć w tej chwili gotów był podejrzewać każdego o najgorsze. Trzymał się blisko niej, pamiętając, jak rzadko spogląda w lusterka. Ponadto we mgle i tak ledwie dojrzy jego przednie reflektory. Mgła zwisała w łąkach, a port wyglądał tak, jakby stanął w ogniu, ze światłami z dzwignów igrającymi w kłębach złudnego dymu. Dotarłszy do Śródmieścia, wjechała płynnie do innego podziemnego garażu, a on podążył jej śladem i zaparkował tylko sześć stanowisk dalej, ale go nie zauważyła. Pozostała przez chwilę w samochodzie, by poprawić makijaż, i widział, jak pudruje sobie blizny na podbródku. Następnie wysiadła i zamknęła dokładnie drzwi, choć byle dziecko z brzytwą mogłoby jednym ruchem przeciąć miękki dach i dostać się do środka. Była ubrana w długą jedwabną pelerynę. W drodze do krętych kamiennych schodów uniosła obie ręce i ostrożnie wyjęła spod kołnierza zebrane w koński ogon włosy. Wysiadłszy ze swego samochodu, Jerry ruszył za nią do hotelowego holu i skręcił w bok w samą porę, by uniknąć sfotografowania przez dwupłciowe stado rozgadanych dziennikarzy w atlasach i muchach.

Stosunkowo bezpieczny w bocznym korytarzu, usiłował połączyć się w sytuacji. Znalazł się na dużym prywatnym przyjęciu, na które Lizzie weszła kuchennymi drzwiami. Pozostali goście przybywali od frontu, gdzie tak roilo się od rolls-royce'ów, że nikt już się nie

* Pak-pai — chińska gra hazardowa w formie kartek z wypisanymi kolumnami znaków (przytłum.).

wyróżniał. Nad wszystkim czuwała kobieta o siwych włosach, snując się dokoła i zagajając przesiąkniętą dżinem francuszczyznę. Komitet powitalny tworzyła sztywna młoda Chinka z agencji public relations oraz kilka jej asystentek, i gdy gromady przybyłych tłoczyły się do środka, dziewczyna i jej świta zagadywały nadzwyczaj kordialnie o nazwiska, niekiedy o zaproszenia, następnie spoglądały na listę gości i mówiły: „Ach tak, naturalnie”. Siwowłosa kobieta jednocześnie uśmiechała się i powarkiwała. Świta Chinki wręczała mężczyznom ozdobne szpile do kłap, a kobietom orchidee, następnie opadała kolejną grupę przybyłych.

Przez tę kontrolę Lizzie Worthington przeszła drętwo. Jerry odczekał minutę, patrząc, jak znika w dwuskrzydłowych drzwiach oznaczonych napisem „Soiree” oraz strzałą Kupidyna, po czym stanął w ogonku. Młodą Chinkę najwyraźniej zafrasował wygląd jego butów z kozłej skóry. Już garnitur był dostatecznie obrzydliwy, ale to właśnie od butów nie mogła oderwać wzroku. Jerry podejrzewał, że podczas szkolenia nauczono ją przykładać wielką wagę do obuwia. Milioner może wyglądać na włóczykija od kostek w górę, ale para półbutów od Gucciego za dwieście dolarów jest mu przyrodzona. Ze zmarszczonym czołem Chinka popatrzyła na kartę prasową Jerry'ego, następnie na listę gości, potem jeszcze raz na kartę, ponownie na buty i posłała bezradne spojrzenie siwowłosej, która wciąż rozdawała uśmiechy i powarkiwała. Jerry domyślał się, że kobieta jest w trupa pijana. Wreszcie dziewczyna rozciągnęła twarz we własnej wersji dyżurnego uśmiechu i wręczyła Jerry'emu plakietkę wielkości spodka do filiżanki ze słowem „PRESSE” namalowanym dużymi białymi literami na tle jaskrawego różu.

— Chcemy, żeby dziś wszyscy wyglądali pięknie, proszę pana — powiedziała.

— Ja tu mam robotę, koleżanko.

— Podobają się panu moje perfumy?

— Są zachwycające — odparł Jerry.

— Nazywają się „Winorośl”, sto hongkongskich dolarów za mały flakonik, ale dziś Maison Flaubert rozdaje darmowe próbki wszystkim gościom. Madame Montifiori... ach tak, naturalnie, witamy u Flauberta. Podobają się pani moje perfumy?

Ubrana w *cheongsam* Euroazjatka podsunęła Jerry'emu tacę i szepnęła:

— Firma Flaubert życzy wieczoru pełnego egzotyki.

— Rany boskie — mruknął Jerry.

Za dwuskrzydłowymi drzwiami czekał kolejny komitet powitalny, na który składało się trzech pięknych chłopców przywiezionych

z Paryża ze względu na ich czar, oraz oddział ochroniarzy, który przyniósłby zaszczyt prezydentowi. Przez chwilę Jerry myślał, że będą go chcieli obszukać, i postanowił, że jeśli spróbują, roznieśie przyjęcie. Łypali nieprzyjaźnie, biorąc go za kolegę po fachu, ale ponieważ miał jasne włosy, pozwolili mu przejść.

— Dziennikarze siadają w trzecim rzędzie od wybiegu — powiedział hermafrodyta o blond włosach w skórzanym garniturze i wręczył mu broszury. — Nie ma pan aparatu?

— Ja tylko robię notatki — odparł Jerry. — Spike robi zdjęcia — dodał, wskazując kciukiem za siebie. Wszedł do sali, rozglądając się wkoło, uśmiechnięty od ucha do ucha, machając do każdego, kto na niego spojrział.

Piramida z kieliszków do szampana miała wysokość sześciu stóp, obok znajdowały się pokryte czarnym atłasem stopnie, by kelnerzy mogli brać szkło z samej góry. W drewnianych skrzyniach z lodem leżały flaszki niczym zmarli w trumnach w oczekiwaniu na pogrzeb. Była również taczka pełna ugotowanych homarów i tort weselny *pate de foie gras* zwieńczony napisem „Maison Flaubert” wykonany galaretą. W tle pobrzmiwała cicha muzyka, na którą nakładały się rozmowy, przede wszystkim znudzone pogaduszki niezmiernie bogatych. Wybieg ciągnął się spod długiego okna aż na środek sali. Okno wychodziło na port, ale widok przesłaniały strzępy mgły. Klimatyzacja była włączona do oporu, żeby panie nie pocily się w futrach. Większość mężczyzn nosiła smokingi, zaś młodzi chińscy playboye wystroili się w nowojorskie spodnie, czarne koszule i złote łańcuszki. Podchmieleni brytyjscy taj pani stali w kręgu wraz z żonami niczym znudzeni oficerowie podczas wieczorku towarzyskiego w garnizonie.

Poczuwszy obcą dłoń na ramieniu, Jerry odwrócił się błyskawicznie. Za nim stał mały chiński pederasta imieniem Graham, który pracował dla jednego z hongkongskich szmatławców. Jerry pomógł mu kiedyś sprzedać artykuł do swojej gazety. Fotele wokół wybiegu ustawione były w kształcie nieforemnej podkowy i w pierwszym rzędzie siedziała Lizzie, między panem Arpego a jego żoną lub kochanką. Jerry pamiętał ich z Happy Valley. Wyglądało na to, że towarzyszą Lizzie w charakterze opiekunów. Mówili coś do niej, ale słuchała jednym uchem. Zdjęła pelerynę i siedziała wyprostowana i piękna. Z miejsca, z którego obserwował ją Jerry, wydawała się całkowicie naga z wyjątkiem naszyjnika z pereł i kolczyków. Przynajmniej jest cała, pomyślał. Nie zachorowała na trąd, nie załapała cholery, nie odstrzelono jej głowy. Przypomniawszy sobie kaskadę jasnych włosów spadających na plecy, widzianą pamiętnego wieczora w windzie. Obok niego usiadł pedał Graham, natomiast dwa fotele dalej

zajęła miejsce Phoebe Wayfarer. Choć Jerry znał ją tylko przelotnie, pomachał ręką.

— Rany, super. Świetnie wyglądasz, Pheeb. Powinnaś być na wybiegu, koleżanko, pokazywać nóżki.

Wydawało mu się, że jest wstawiona, ale być może ona to samo myślała o nim, chociaż nie pił nic od wyjścia z samolotu. Wyjął bloczek i zaczął pisać, udając zawodowca, usiłując wziąć się w karby. Działaj spokojnie. Nie słoś zwierzyny. Światła jęły przygasać. Kiedy zerknął na to, co napisał, zobaczył dwa słowa: „Lizzie Worthington”. Graham również je przeczytał i roześmiał się.

— To mój nowy pseudonim — wyjaśnił Jerry i tym razem obaj gruchnęli śmiechem, nieco za głośno, albowiem ludzie z przodu od wrócili głowy. Przestraszył się, że Lizzie mogła rozpoznać jego głos, ale na szczęście siedziała dalej nieruchomo.

Z tyłu zamknięto drzwi, światła ledwo się jarzyły i Jerry'ego wzięła ochota zdrzemnąć się w miękkim, przytulnym fotelu. Rozrzedzona muzyka ustąpiła miejsca dzikiemu rytmowi wystukiwanemu zrazu delikatnie na czynelu. Wreszcie czarny wybieg i widownię oświetlał migotliwie tylko pojedynczy żyrandol, w dialogu z rozmazanymi, pstrymi światłami z widocznego za oknem portu. Rytm narastał, płynąc z głośników ustawionych dokoła. Rozwijał się, zręcznie grany, natrętny, aż stopniowo na tle okna ukazały się groteskowe ludzkie sylwetki. Bębny ucichły. W dźwięczącej ciszy na wybieg wkroczyły ramię w ramię dwie Murzynki, ubrane jedynie w klejnoty. Miały ogolone głowy, w uszach okrągłe kolczyki z kości słoniowej, na szyi zaś kołnierze z diamentów niczym niewolnice spętane żelaznymi obręczami. Natłuszczone kończyny błyskały kiściami diamentów, pereł i rubinów. Kobiety były wysokie, gibkie i piękne. Całkowicie zaskoczyły wszystkich swym wejściem, tak że przez chwilę widownia pozostawała w pętach najczystszy erotyzmu. Bębny na nowo podjęły rytm, coraz śmielej, reflektory punktowe przemykały po klejnotach i kończynach. Murzynki wyłoniły się z widocznych w oknie oparów mgły i ruszyły w kierunku publiczności w gniewnym pochodzie zmysłowego zniewolenia. Następnie obróciły się i odeszły, z wyzwaniem i pogardą w ruchu bioder. Zapaliły się światła, wybuchły nerwowe brawa, rozległy śmiechy i rozdano drinki. Wszyscy mówili jednocześnie, a najgłośniej Jerry: do panny Lizzie Worthington, szeroko znanej w arystokratycznych kręgach piękności, której matka nie potrafiła nawet ugotować jajka, oraz do Arpegów, którzy byli właścicielami Manili i jednej czy dwóch wyseppek, jak zapewnił go niegdyś kapitan Grant. Trzymał notes niczym kelner odbierający zamówienie.

— Lizzie Worthington, rany, cały Hongkong u pani stóp, jeśli mogę tak powiedzieć. Moja gazeta ma wyłączność na to widowisko i zamierzamy napisać głównie o pani, pani Worthington alias Worth, o pani sukniach, fascynującym stylu życia i jeszcze bardziej fascynujących przyjaciółach. Moi fotografowie dokonają reszty. — Skłonił się Arpegom. — Dobry wieczór pani i panu. Wszyscy są zaszczyceni państwa towarzystwem. Czy to pierwszy pobyt w Hongkongu?

Wykonywał numer błazna, pociesznej duszy towarzystwa. Kelner przyniósł szampana i Jerry uparł się, że sam rozda kieliszki. Arpegowie byli nieźle ubawieni wygłupami. Craw twierdził, że to oszuści. Lizzie patrzyła na Jerry'ego i w jej oczach było coś, czego nie rozumiał, coś rzeczyciwistego i strwożonego, jakby to ona, nie on, natknęła się na Luke'a.

— O ile wiem, pan Westerby napisał już o mnie jeden artykuł — powiedziała. — Ale chyba jakoś dotąd nikt go nie wydrukował, co, proszę pana?

— Dla kogo pan pisze? — zapytał nagle Arpego ostrym tonem. Już się nie uśmiechał. Wyglądał niesympatycznie i groźnie. Jego połowica napomknęła mu o czymś, o czym najwyraźniej kiedyś słyszał i co mu się nie podobało. Na przykład o czymś, przed czym przestrzegł go fiu.

Jerry odpowiedział.

— To idź pan pisać i zostaw tę panią w spokoju. Ona nie udziela wywiadów. Jak masz pan robotę, to idź ją wykonać gdzie indziej. Nie przyszedłeś się bawić, tylko zarabiać na życie.

— W takim razie mam kilka pytań do pana. Zanim sobie pójdę. Jak mam pana opisać? Jako bezczelnego milionera z Filipin? Czy tylko półmilionera?

— Na miłość boską — westchnęła Lizzie. Zrządzeniem Opatrzności w tej samej chwili pogasty światła i wszyscy wrócili na miejsca, z głośników zaś popłynął dyskretny komentarz kobiety mówiącej z francuskim akcentem. Na końcu wybiegu dwie Murzynki wykonywały długie, pobudzający wyobraźnię taniec cieni. Kiedy pojawiła się pierwsza modelka, Jerry zobaczył mimo ciemności, że Lizzie wstaje, naciąga pelerynę na ramiona i ze spuszczoną głową rusza szybkim, płynnym krokiem w kierunku drzwi. Zerwał się za nią. Znalazłszy się na korytarzu, obejrzała się przez ramię, jakby z myślą o nim, i przeleciało mu przez głowę, że czeka na niego. Wciąż miała ten sam wyraz twarzy, odzwierciedlający również jego nastrój. Wyglądała na zaszczutą, zmęczoną i zagubioną.

— Lizzie! — zawołał, jakby właśnie natknął się na dawną przyjaciółkę, i podbiegł do niej, nim zdążyła dojść do damskiej toalety. — Lizzie, mój Boże! Kupa lat, wieki całe! Super!

Dwaj ochroniarze patrzyli nieśmiało, jak chwyta ją w ramiona i składa na jej policzku pocałunek zażyłej przyjaźni. Lewą rękę wsunął pod pelerynę i w chwili, gdy uśmiechnięty przytulił Lizzie do siebie, do nagich pleców, tuż pod karkiem, przyłożył jej lufę pistoletu i tak złączony z dziewczyną uczuciową więzią, gaworząc po drodze wesoło, wyprowadził ją na ulicę i zatrzymał taksówkę. Nie chciał używać broni, ale nie mógł ryzykować przymusu fizycznego. Tak to jest, pomyślał. Człowiek wraca, żeby powiedzieć, że ją kocha, a potem prowadzi ją na muszce pistoletu. Drżała, ale chyba z wściekłości, albowiem nie sądził, że się boi, i nie wierzył, że żałuje, iż tak szybko opuściła okropne widowisko.

— Tego mi tylko było trzeba — powiedziała, kiedy jechali z powrotem we mgle pod górę. — Doskonale. Wprost doskonale, cholera jasna.

Pachniała perfumami, których nie znał, ale miał je za znacznie lepsze od „Winorośli”.

Guillam wprawdzie nie był jeszcze śmiertelnie znudzony, ale też nie mógł powiedzieć, że jego zdolność do koncentracji jest niewyczerpana, jak Smileya. Kiedy nie dumał o tym, co knuje cholerny Jerry Westerby, łapał się na uroczych fantazjach o erotycznej deprawacji Molly Meakin albo na wspomnieniach nieletniego Chińczyka z połamanymi rękoma, który skomlał za odjeżdżającym samochodem jak ranny pies. Murphy podjął nowy temat — wyspa Po Toi — i rozwodził się nad nim bezlitośnie.

Pochodzenie wulkaniczne, proszę pana.

Najtwardsza masa skalna z całej hongkongskiej grupy wysp.

Najbardziej wysunięta na południe, na samym skraju chińskich wód terytorialnych.

Wysokość siedemset dziewięćdziesiąt stóp, proszę pana, rybacy na pełnym morzu wykorzystują wyspę jako punkt nawigacyjny.

Dokładnie rzecz biorąc, nie jest to jedna wyspa, ale łańcuch sześciu, tyle że pozostałe to jałowe, bezdrzewne, nie zamieszkanе pustkowia.

Mają tam wspaniałą świątynię, proszę pana, wielki zabytek. Piękne drewniane rzeźby, natomiast bardzo mało zbiorników słodkiej wody.

— Jezu Chryste, Murphy, czy kupujemy ten teren? — zakipiał Martello. Guillam zauważył, że im bliżej do akcji oraz im dalej od Londynu, Martello traci coraz więcej ze swej ogłady i całą nabytą angielskość. Nosił pospolite amerykańskie garnitury i odczuwał silną

potrzebę rozmowy z ludźmi, zwłaszcza z krajanami. Guillam podejrzewał, że już pobyt w Londynie był dla niego przygodą, Hongkong zaś stanowił terytorium wroga. Smiley reagował na stres odwrotnie: stawał się zamknięty w sobie i wytrwale uprzejmy.

Po Toi ma niewielką populację: stu ośmiu rolników i rybaków, w większości komunistów, trzy zamieszkane wioski i trzy wymarłe, mówił Murphy. Nudził dalej. Smiley wciąż słuchał z największą uwagą, zniecierpliwiony Martello zaś bazgrał w notesie.

— A jutro, proszę pana — rzekł Murphy — jest coroczne święto wyspy ku czci Tin Hau, bogini mórz.

Martello znieruchomiał.

— Oni naprawdę wierzą w te bzdety?

— Każdy ma prawo do własnych przekonań religijnych, proszę pana.

— To tego cię nauczyli na szkoleniu, Murphy? — warknął Martello i powrócił do rysowania.

Zapadła niezręczna cisza, następnie Murphy mężnie wziął do ręki wskaźnik i przytknął koniec do południowego krańca wyspy na mapie.

— Uroczystości skupiają się w największym porcie, o tutaj, na południowo-zachodnim cyplu, gdzie znajduje się ta zabytkowa świątynia. Według dobrze poinformowanego źródła pana Smileya Ko będą przybijał tutaj, z dala od głównej zatoki, w małej zatoczce na wschodzie wyspy. Przybijając po tej stronie, gdzie jest odludzie, gdzie nie ma naturalnego dostępu do morza, o czasie, kiedy wszyscy będą brać udział w uroczystości w zatoce...

Guillam nie usłyszał terkotu telefonu. Usłyszał tylko głos drugiego milczka, który podniósł słuchawkę: — Tak, Mac — następnie skrzywienie plastikowego krzesła, kiedy usiadł prosto, patrząc na Smileya. — Dobra, Mac, pewnie. Zaraz. Tak. Poczekaj. Jest tutaj, obok mnie. Zaczekaj.

Smiley już nad nim stał, z ręką wyciągniętą po słuchawkę. Martello obserwował Smileya. Tymczasem Murphy tkwił na podwyższeniu odwrócony do wszystkich plecami i nieświadom, co się dzieje, wskazywał kolejne intrygujące szczegóły rzeźby terenu Po Toi.

— Żeglarze nazywają tę wyspę Skałą Duchów — wyjaśniał swym monotonnym głosem. — Ale jakoś nikt nie wie dlaczego.

Smiley przytknął na chwilę słuchawkę do ucha, po czym ją odłożył.

— Dziękuję, Murphy — powiedział uprzejmie. — To było bardzo interesujące.

Stał nieruchomo, z palcami przy górnej wardze, w Pickwickow-skiej pozie zamyślenia. — Tak — rzekł — bardzo dziękuję.

Podszedł do drzwi i przystanął.

— Wybacz mi, Marty — powiedział — ale muszę was na krótko opuścić. Chyba nie na dłużej niż godzinę albo dwie. W każdym razie zadzwonię.

Położył rękę na klamce, następnie odwrócił się do Guillama.

— Peter, będzie lepiej, jak pójdziesz ze mną, dobrze? Możemy potrzebować samochodu, a na tobie tutejszy ruch uliczny nie robi żadnego wrażenia. Czy nie ma tu gdzieś aby Fawna? Ach, tu jesteś.

Na Headland Road kwiaty jaśniały matowo niczym spryskane farbą paprocie w Boże Narodzenie. Chodnik był wąski i rzadko wykorzystywany, jedynie przez spacerujące z dziećmi *amah*, które wiodły malców bez słowa, jakby wyprowadzały na dwór psy. Wóz inwigilacyjny „kuzynów” umyślnie był niepozorną brązową furgonetką marki Mercedes, z zewnątrz wysłużoną, z lepkiem kurzem na błotnikach i napisem „BUDOWNICTWO I NAPRAWY” namalowanym na jednym boku. Stara antena, z której zwisały chińskie serpentyny, opadała bezwładnie na dach szoferki, i kiedy furgonetka sunęła posepnie obok rezydencji Ko — trzeci czy czwarty raz tego ranka — nikt nie zwrócił na nią uwagi. Na Headland Road, jak w całym Hongkongu, wciąż coś się budowało.

Wewnątrz, w gąszczu obiektów, aparatów fotograficznych i urządzeń telefonicznych, rozciągnięci na obitej skajem ławeczce, zainstalowanej właśnie w tym celu, dwaj mężczyźni obserwowali z uwagą dom Ko. Również dla nich przejażdżka obok Siedmiu Bram stawała się powoli codziennością.

— Bez zmian? — zapytał pierwszy.

— Bez — odparł drugi.

— Bez zmian — powtórzył pierwszy do nadajnika i usłyszał w słuchawce uspokajający głos Murphy’ego, potwierdzający odbiór wiadomości.

— Może to figury woskowe — powiedział pierwszy, wciąż wpatrzony w dom Ko. — Może trzeba do nich podejść, dźgnąć i zobaczyć, czy wrzasań.

— Może tak — zgodził się drugi.

Obaj przyznali zgodnie, że w całej swej profesjonalnej karierze nigdy nie obserwowali takiego bezruchu. Ko stał tam, gdzie dotąd, na krańcu altany z palisandrów, odwrócony plecami, wpatrzony w morze. Nieco dalej na białym ogrodowym krześle siedziała jego drobna żona, jak zwykle ubrana na czarno, i zdawało się, że patrzy na męża. Tylko Tiu się poruszał. Też siedział, lecz po drugiej stronie Ko, i zajadał coś, co wyglądało na pączka.

Dojechawszy do głównej ulicy, furgonetka potoczyła się dalej na kolejny objazd po okolicy podyktowany potrzebą kamuflażu.

Rozdział 20

KOCHANEK LIESE

Mieszkanie było duże i pozbawione harmonii: połączenie poczekalni na lotnisku, apartamentu dyrektora i buduaru kurtyzany. Sufit dużego pokoju biegł ukośnie w gwałtownym przechyle niczym nawa zapadającego się kościoła. Podłoga bez przerwy zmieniała poziomy, dywan był gruby jak murawa i zachowywał błyszczące ślady stóp. Olbrzymie okna dawały nieograniczony, ale posępny widok, i kiedy Lizzie spuściła żaluzje i zaciągnęła zasłony, znaleźli się nagle w podmiejskim bungalowie bez ogrodu. *Amah* zniknęła w swej służbówce za kuchnią, a gdy pojawiła się ponownie, Lizzie z powrotem ją tam wysłała. Kobieta wyszła rozsierzona, sapiąc. Poczekaj, powiem panu, mówiła jej mina.

Jerry założył łańcuch na drzwi wejściowe, po czym zabrał Lizzie na obchód po mieszkaniu, pokój po pokoju, trzymając ją przed sobą nieco z lewej strony, żeby otwierała drzwi pomieszczeń, a nawet szaf. Sypialnia była planem filmowym dla *femme fatale*, z okrągłym, pikowanym łóżkiem i wpuszczoną w podłogę okrągłą wanną za hiszpańskim parawanem. Jerry zajrzał do szafek przy łóżku w poszukiwaniu broni, bo choć Hongkong nie był szczególnie siedliskiem zbrodni, to ludzie, którzy mieszkali kiedyś w Indochinach, mieli w zwyczaju trzymać pistolety. Garderoba wyglądała tak, jakby Lizzie opróżniła jeden ze skandynawskich sklepów dekoratorskich w Śródmieściu. Wystrój jadalni stanowiły przydymione szkło, wypolerowany chrom i skóra, z fałszywymi przodkami pędzla Gainsborough spoglądającymi martwo ze ścian na puste krzesła. To te mumie, które nie potrafią ugotować jajka, pomyślał Jerry. Do pokoiku Ko prowadziły stopnie pomalowane na wzór tygryziej skóry. Tam Jerry przystanął na dłużej, rozglądając się dokoła, zafascynowany wbrew sobie, we wszystkim dostrzegając właściciela i jego pokrewieństwo ze starym Sambo. Biurko olbrzymich rozmiarów, o pękatych nogach w kształcie lwich łap, paradne sztucce. Kałamarze, nóż do papieru w pochwie i nożyczki, nietknięte książki prawnicze, te same, które Sambo woził ze sobą: Simons o podatkach, Charlesworth na temat prawa o spółkach.

Dyplomy w ramkach na ścianach. Formułka wręczenia Orderu Imperium Brytyjskiego, rozpoczynająca się słowami: „Elżbieta II, z łaski Boga...” I sam order, zabalsamowany w atlasie, niby broń zmarłego rycerza. Zbiorowe zdjęcia sędziwych Chińczyków stojących na stopniach jakiejś świątyni. Zwycięskie gonitwy. Śmiejąca się do niego Lizzie. Lizzie w kostiumie kąpielowym, przecudowna. Lizzie w Paryżu. Ostrożnie otworzył szuflady biurka i ujrzał tłoczony papier firmowy tuzina różnych firm. W szafce puste skoroszyty, elektroniczna maszyna do pisania firmy IBM bez wtyczki, notes z adresami bez adresów. Lizzie naga do pasa, zerkająca na obiektyw przez ramię. Lizzie — niech ją Bóg ma w opiece! — w ślubnej sukni, ściskająca bukiet gardenii. Ko musiał ją chyba zabrać do salonu sukien ślubnych, żeby zrobić takie zdjęcie.

Zdjęć worków jutowych nie było.

Dyrektorskie sanktuarium, pomyślał Jerry, stojąc na środku pokoju. Sambo miał takich kilka: parę dziewczyn dostało od niego mieszkania, jedna nawet dom, a mimo to widywały go ledwie kilka razy do roku. Wszędzie jednak była owa tajemnica — taki właśnie pokój, z biurkiem, nie używanymi aparatami telefonicznymi oraz upamiętnionymi na fotografiach chwilami — kąć wymoszczony w życiu innej osoby, schronienie przed innymi schronieniami.

— Gdzie on jest? — zapytał Jerry, przypomniawszy sobie o Luke'u.

— Drake?

— Nie, święty Mikołaj.

— Ty mi powiedz. Ruszył za nią do sypialni.

— Często się zdarza, że nie wiesz?

Ściągnęła kolczyki i wrzuciła je do szkatułki z biżuterią. Następnie zapinkę, sznur pereł i bransolety.

— Dzwoni do mnie, gdziekolwiek jest, o każdej porze dnia i nocy, kiedy tylko chce. To pierwszy raz, gdy nie daje znaku życia.

— Możesz do niego zadzwonić?

— Jasne, cholera jasna — odparła z brutalną ironią. — Dzwonię, kiedy tylko najdzie mnie ochota. Jego żonka i ja nie możemy bez siebie żyć. Nie wiedziałeś?

— Do biura też nie?

— On nie jeździ do biura.

— To może do Tiu?

— Pieprzę Tiu.

— Dlaczego?

— Bo to świnia — burknęła, otwierając szafkę.

— Mógłby ci przecież powiedzieć, gdzie jest.

— Mógłby, gdyby chciał, ale nie chce.

— Dlaczego?

— A skąd mam wiedzieć, do diabła? — Wyjęła pulower, parę dzinsów i rzuciła je na łóżko. — Bo mnie nie cierpi. Bo mi nie ufa. Bo nie lubi, jak jego Wielki Pan rypie okrągłooką. Wyjdź stąd, chcę się przebrać.

Poszedł z powrotem do garderoby, odwrócony do niej plecami, słysząc szelest jedwabiu.

— Widziałem się z Ricardem — rzekł. — Odbyliśmy długą, szczerą rozmowę.

Musiał się dowiedzieć, czyjej powiedzieli. Za wszelką cenę musiał ją rozgrzeszyć ze śmierci Luke'a. Słuchał przez chwilę, po czym rzekł:

— Charlie Marshall dał mi jego adres, więc wpadłem do niego i pogadaliśmy.

— Świetnie — rzekła — toście teraz koledzy.

— Powiedzieli mi o Mellonie. I że woziłaś dla niego narkotyki.

Nie odpowiedziała, więc obrócił się i zobaczył, że siedzi na łóżku, z głową w dłoniach. W dzinsach i pulowerze wyglądała o piętnaście lat młodsza i nieco niższa.

— Czego ty, cholera, chcesz? — wyszeptwała wreszcie, tak cicho, że równie dobrze mogłaby mówić do siebie.

— Ciebie — odrzekł. — Na zawsze.

Nie był pewien, czy usłyszała, albowiem tylko westchnęła głęboko i wyszeptwała: — O Jezu.

— Mellon to twój kumpel? — zapytała po dłuższej chwili.

— Nie.

— Szkoda, przydałby mu się ktoś taki.

— Czy Arpego wie, gdzie jest Ko?

Wzruszyła ramionami.

— Kiedy ostatni raz się odezwał?

— Tydzień temu.

— Co powiedział?

— Że musi dopilnować pewnych spraw.

— Jakich?

— Skończ z tymi pytaniami, na miłość boską! Cały pieprzony świat zadaje pytania, więc przynajmniej ty nie podążaj za stadem, dobra?

Patrzył na nią. Oczy zapłonęły jej gniewem. Otworzył drzwi do balkonu i wyszedł na zewnątrz.

Potrzebuję opera ty wki, pomyślał gorzko. Ej, mądrale z Sarratt, gdzie jesteście? Gdzie jesteście, kiedy was potrzebuję? Dotąd nie uświadamiał sobie, że zerwanie się ze smyczy oznacza utratę orientacji.

Balkon biegł wzdłuż trzech ścian. Mgła podniosła się na krótko. Z tyłu tkwił Peak ze skarpami przystrojonymi złotym blaskiem. Zwały chmur tworzyły wokół księżycyca ruchliwe pieczary. Port odsłonił całe swe piękno. W samym środku amerykański lotnikowiec, skąpany w świetle, wystrojony w kolorowe lampy, niczym rozpieszczona kobieta wylegiwał się wśród gromady dozorujących statków. Szereg śmigłowców i myśliwców na pokładzie przypominał Jerry'emu bazę lotniczą w Tajlandii. Obok lotnikowca przepłynął konwój oceanicznych dżonek, zdążający do Kantonu.

— Jerry?

Stała w prog, patrząc na niego poprzez rząd drzewek w donicach.

— Wejdz do środka, jestem głodna.

Była to kuchnia, w której nikt nie gotował ani nie jadał, a jednak znajdował się w niej bawarski kącik z sosnowymi ławami, widokami Alp i popielniczkami z napisem „Carlsberg”. Podała mu kawę przyrządzoną w ekspresie i zauważył, że kiedy ma się na baczności, kurczy ramiona i trzyma ręce przed sobą, na sposób sieroty. Drżała. Wydawało mu się, że drży od chwili, gdy przystawił jej pistolet do pleców, i żałował, że tak postąpił, albowiem uświadomił sobie wreszcie, że była w tak samo kiepskim stanie jak on, być może w znacznie gorszym, że połączeni są poczuciem klęski, niby dwie osoby, które przeżyły własne, osobne tragedie. Nalał jej brandy z wodą, sobie też, następnie zaprowadził ją do dużego pokoju, gdzie było ciepłej, i patrzył, jak siedzi skulona, popija alkohol i wpatruje się w dywan.

— Może trochę muzyki? — zapytał.

Pokręciła głową.

— Reprezentuję samego siebie — powiedział. — Żadnych związków z innymi firmami.

Mogła nie dosłyszeć.

— Jestem wolny i chętny — rzekł. — Tyle że zginął mój przyjaciel.

Zobaczył, że kiwa głową, ale tylko w wyrazie współczucia. Był pewien, że nie wie, o czym mowa.

— Wokół Ko robi się gorąco — powiedział. — Nic dobrego z tego nie będzie. Skumałaś się z bardzo nieprzyjemnymi facetami. Nie wy łączając Ko. Patrząc bez emocji, to wróg publiczny numer jeden. Po myślałem, że może chciałabyś, żeby cię z tego wyciągnąć. Dlatego wróciłem. Taki akt Lancelota z mojej strony. Tylko nie bardzo wiem, co się dokoła ciebie szykuje. Chodzi o Mellona i tak dalej. Może po winniśmy oboje zajrzeć pod łóżko i zobaczyć, co się tam kryje.

Po tym dość pogmatwanym wyjaśnieniu zadzwonił telefon. Aparat wyposażony był w jeden z tych stłumionych dzwonek, które wymyślono, by oszczędzić ludziom nerwów.

Telefon stał pod przeciwną ścianą na połączonym stoliku na kółkach. Z każdym wyciszonym dźwiękiem rozświeciła się różowa lampka, której blask odbijał się w pofalowanych szklanych półkach. Zerknęła na aparat, potem na Jerry'ego i na jej twarzy od razu odmalowała się nadzieja. Zerwawszy się na nogi, pchnął stolik w jej stronę, ale nóżki utknęły na moment w długich włosach dywanu. Spiralny kabel rozciągał się z tyłu coraz bardziej, kiedy Jerry przesuwiał stolik, aż przypominał dziecięce bazgroły narysowane przez cały pokój. Podniosła szybko słuchawkę i powiedziała „Worth” odrobinę niegrzecznym tonem, którego kobiety nabierają, gdy mieszkają same. Przyszło mu do głowy, by uprzedzić ją, że linia jest na podsłuchu, ale nie bardzo wiedział, przed czym by ją ostrzegł; wypadł z gry, nie stał po żadnej stronie. Nie wiedział w ogóle, jakie są strony, natomiast znów opadły go zniecała myśli o Luke'u i ponownie obudził się w nim czujny myśliwy.

Wciąż trzymała słuchawkę przy uchu, ale nic nie mówiła. Naraz powiedziała „tak”, jakby odbierała polecenie, potem zaś „nie”, stanowczo. Jej twarz straciła wszelki wyraz, z tonu głosu Jerry nic nie mógł wnosić. Wyczuł jednak posłuszeństwo, wyczuł maskowanie się i wówczas targnął nim gniew i już nic nie miało znaczenia.

— Nie — powiedziała do telefonu. — Szybko stamtąd wyszłam.

Ukląkł przy niej, usiłując podsłuchiwać, ale trzymała słuchawkę mocno przyciśniętą do ucha.

Dlaczego nie spyta go, skąd dzwoni? Dlaczego nie spyta, kiedy się zobaczy? Czy wszystko w porządku? I dlaczego tak długo nie dawał znaku życia? Dlaczego patrzy tak na mnie, nie okazuje ulgi?

Przyłożywszy dłoń do jej policzka, zmusił ją do odwrócenia głowy i szepnął do ucha:

— Powiedz, że musisz się z nim zobaczyć! Że przyjedziesz do niego. Gdziekolwiek jest.

— Tak — powiedziała znowu do słuchawki. — Tak, dobrze.

— Powiedz mu! Powiedz, że musisz się z nim zobaczyć!

— Muszę się z tobą zobaczyć — powtórzyła wreszcie. — Przyjadę, nieważne gdzie.

Wciąż trzymała słuchawkę w dłoni. Wzruszyła ramionami, pytając w ten sposób Jerry'ego o instrukcje, z oczami wciąż zwróconymi na niego — ale nie jako na jej Lancelota, lecz na fragment wrogiego świata, który ją otaczał.

— Kocham cię! — szepnął. — Powiedz to, co zawsze!

— Kocham cię — rzekła zwięźle z przymkniętymi oczyma i odłożyła słuchawkę, zanim zdążył ją powstrzymać.

— Jedzie tu — oznajmiła. — Niech cię cholera.

Jerry wciąż klęczał obok. Wstała, żeby się od niego odsunąć.

— Wie?

— Co wie?

— Że tu jestem?

— Może. — Zapaliła papierosa.

— Skąd dzwonił?

— Nie wiem.

— Kiedy tu będzie?

— Powiedział, że niedługo.

— Jest sam?

— Nie mówił.

— Czy nosi przy sobie broń?

Stała pod przeciwległą ścianą. Jej szare zmęczone oczy wciąż patrzyły na niego z wyrazem wściekłości i trwogi. Ale Jerry przestał zwracać uwagę na jej nastroje. Nad wszelkimi uczuciami górę w nim wzięła gorączkowy popęd do działania.

— Pytam. Czy Drake Ko, ten ujmujący pan, który uwił ci to gniazdko, nosi broń? Zastrzeli mnie? Jest z nim Tiu? Pytam tylko, nic więcej.

— W łóżku jej nie nosi, jeśli o to ci chodzi.

— Dokąd to?

— Pomyślałam, że będziecie chcieli zostać sami.

Zaprowadziwszy dziewczynę z powrotem do kanapy, posadził ją twarzą zwróconą do znajdujących się w przeciwległej ścianie dwuskrzydłowych drzwi. Miały szyby z matowego szkła i wychodziły na przedpokój i drzwi frontowe. Otworzył oba skrzydła, oczyszczając pole widzenia aż po wejście z klatki.

— Macie jakieś utarte reguły wpuszczania ludzi? — Nie zrozumiiała pytania. — Jest judasz. Czy każe ci zerkać za każdym razem, gdy masz kogoś wpuścić?

— Dzwoni z portierni. Potem otwiera drzwi własnym kluczem.

Drzwi frontowe były z utwardzanej płyty pilśniowej, solidne, ale niedostateczne. Jedna z sarrackich mądrości głosiła, że jeśli chce się kogoś kompletnie zaskoczyć, nie wolno się chować za drzwiami, bo nigdy już się zza nich nie wyjdzie. Z tym jednym Jerry był skłonny się zgodzić. Lecz otwarta gra oznaczała wystawienie się na cios każdego, kto będzie agresywnie nastawiony, Jerry zaś w żadnym razie nie mógł być pewien, że Ko jest sam albo usposobiony przyjaźnie. Przyszło mu do głowy, by skryć się za kanapą, ale w wypadku strzelaniny dziewczyna znalazłaby się na linii ognia, a tego nie chciał. Bierność i letargiczny wzrok Lizzie bynajmniej go nie uspokajały. Obok jej szklanki stała jego; schował jedną za wazon z plastikowymi orchideami. Opróżnił popielniczkę i położył na stole otwarty egzemplarz *Vouge*.

— Słuchasz muzyki, gdy jesteś sama?

— Czasami.

Wybrał Ellingtona. Nastawił.

— Za głośno?

— Za cicho — odparła. Podejrzliwy, przykręcił dźwięk, przyglądając się jej. W tej chwili w przedpokoju zabrzączał dwa razy domofon.

— Bez sztuczek — ostrzegł ją i z bronią w ręku ruszył na ugiętych nogach do drzwi frontowych. Stał trzy stopy od wejścia, na tyle blisko, by móc skoczyć do gardła, na tyle daleko, by oddać strzał i paść, co zaplanował, gdy osuwał się do półprzysiadu. Pistolet trzymał w lewej ręce, albowiem z tej odległości i tak nie mógł chybić, zaś prawą wolał mieć wolną w razie konieczności zadania ciosu. Pamiętał, w jaki sposób Tiu ugina ręce, i powtarzał sobie, by nie zbliżać się do niego zbyt blisko. Kopniak w krocze i tyle, żadnych poprawek z bliska. Trzeba być poza zasięgiem jego łap.

— Powiedz, żeby wjechał na górę — polecił dziewczynie.

— Wjedź — powiedziała do słuchawki domofonu. Odłożyła ją i zdjęła łańcuch z drzwi.

— Kiedy wejdzie, uśmiech jak do zdjęcia. Żadnych krzyków.

— Idź do diabła.

Jego wyczułone ucho złowiło dobiegający z szybu trzask nadeżdżającej windy i monotony gong rozsuwających się drzwi. Usłyszał zbliżające się miarowo kroki tylko jednej osoby i przypomniał sobie komiczny chód Drake'a Ko w Happy Valley, jak wypychał kolanami szare spodnie. W zamek wsunął się klucz, po chwili zza otwieranych drzwi wyłoniła się ręka i cała reszta, bez zachowania najmniejszej ostrożności. Jerry rzucił się do przodu z impetem, rozplaszczając nie stawiające oporu ciało na ścianie. Obrazek Wenecji spadł na podłogę, szkło rozprysło się w drobny mak. Jerry zatrzaskał drzwi, jednocześnie znalazł gardło i wbił lufę broni w miękki tułów. Wówczas drzwi ponownie otworzyły się od zewnątrz, bardzo szybko. Nagle uszła z niego siła, nogi pofrunęły do góry, paraliżujący ból w nerkach rozdarł go całego i cisnął na gruby dywan, drugi zaś cios trafił go w krocze i pozbawił tchu akurat w chwili, gdy szarpnął kolana ku brodzie. Załzawionymi oczyma ujrzał nad sobą niepozorną postać wściekłego Fawna, gotującego się do trzeciego uderzenia, oraz sztywny uśmiech Sama Collinsa, który zaglądał mu spokojnie przez ramię, by zobaczyć dokonane dzieło. Głębiej w przedpokoju zaś, swego długoletniego przewodnika duchowego i mentora, wzburzonego George'a Smileya, z zatroskaniem wygładzającego kołnierz po nie spowodowanym ataku i przywołującego brytany do nogi.

Jerry mógł siedzieć, ale tylko zgięty w pół. Trzymał obie ręce przed sobą, z łokciami przyciśniętymi do krocza. Ból wypełniał go całego niby trucizna rozprzestrzeniająca się ze środka ciała. Dziewczyna patrzyła z przedpokojem. Fawn czaił się z nadzieją na pretekst do zadania kolejnego ciosu. Sam Collins usiadł w fotelu w drugim końcu pokoju, ze skrzyżowanymi nogami. Smiley nalał Jerry'emu czystej brandy i właśnie pochylał się nad nim i wciskał mu szklanekę w dłoń.

— Co ty tu robisz? — zapytał. — Nic nie rozumiem.

— Zalecam się — odparł Jerry i zamknął oczy, ponieważ fala mdłego bólu przetoczyła się przez jego ciało. — Nieprzewidzianie wypielęgnowałem w sobie uczucie do naszej miłej gospodyni. Przykro mi.

— To bardzo nierozsądne z twojej strony — zaproponował Smiley. — Mogłeś zniweczyć całą operację. Przypuśćmy, że zamiast mnie przyszedłby Ko. Konsekwencje byłyby katastrofalne.

— Byłyby. — Jerry wypił więcej brandy. — Lukę nie żyje. Leży w moim mieszkaniu z odstrzeloną głową.

— Kto to jest Luke? — zapytał Smiley, zapomniawszy o spotkaniu w domu Crawa.

— Nikt. Przyjaciel. — Jerry pociągnął kolejny łyk. — Amerykański dziennikarz. Pijaczyna. Żadna strata dla nikogo.

Smiley zerknął na Sama Collinsa, ale ten tylko wzruszył ramionami.

— Nikogo takiego nie znamy — powiedział.

— Mimo to zadzwoń do nich — polecił Smiley.

Collins wziął do ręki telefon i wyszedł z pokoju pewnym krokiem, ponieważ doskonale znał rozkład mieszkania.

— Zaszantażowaliście ją, co? — zapytał Jerry, wskazując Lizzie skinieniem głowy. — Dotąd była to chyba jedyna rzecz na liście, której jej oszczędzono. Jak leci, koleżanko?! — zawołał do dziewczyny. — Przepraszam za bijatykę. Chyba nic nie stłukliśmy, co?

— Nie — odparła.

— Przycisnęli cię za twoją ciemną przeszłość? Kij i marchewka? Obiecali, że wytrą tabliczkę do czysta? Niemądra dziewczyna z ciebie, Lizzie. W tym fachu nie wolno mieć przeszłości. Na przyszłość też nie ma szans. *Verboten*.

Odwrócił się z powrotem do Smileya.

— To wszystko, George, nic więcej się za tym nie kryje. Żadna filozofia. Panna Lizzie zwyczajnie podbiła moje serce.

Odrzuciwszy głowę do tyłu, przyglądał się Smileyowi spod przykniętych powiek. I wówczas nastąpiło olśnienie, które niekiedy ból niesie ze sobą, i pojął, że swoim postępkami wystawił na niebezpieczeństwo egzystencję samego Smileya.

— Nie martw się — powiedział delikatnie. — Tobie coś takiego na pewno się nie przydarzy.

— Oj, Jerry — rzekł Smiley.

— Tak jest, szefie — odparł Jerry i usiadł paradnie wyprężony.

— Jerry, ty nie zdajesz sobie sprawy, co się dzieje. Mogłeś wszystko zepsuć. Nawet zaangażowanie tysięcy ludzi i wyłożenie miliardów dolarów nie przyniosłoby odrobiny tego, co mamy zamiar zyskać dzięki tej jednej operacji. Każdy generał śmiałby się do rozpuku na myśl o tak małych kosztach przy tak ogromnym zysku.

— Nie oczekuj, chłopie, że będę cię rozgrzeszał — rzekł Jerry, podnosząc ku niemu wzrok. — Ty jesteś „sową”, zapomniałeś? Nie ja.

Wrócił Collins. Smiley zerknął na niego pytająco.

— Żaden z nich — rzekł Collins.

— To mnie chcieli dorwać — wyjaśnił Jerry. — Zamiast tego dopadli Luke'a. Też jest wysoki. A raczej był.

— I leży w twoim mieszkaniu? — zapytał Smiley. — Nieżywy, zastrzelony? U ciebie?

— Od paru dni.

Zwrócił się do Collinsa:

— Musimy pozacierać ślady, Sam. Nie wolno nam ryzykować skandalu.

— W takim razie dzwonię jeszcze raz — powiedział Collins.

— I dowiedz się o samolot! — zawołał za nim Smiley. — Dwa miejsca, pierwsza klasa.

Collins skinął głową.

— Nie lubię gościa ani trochę — wyznał Jerry. — Nigdy go nie lubiłem. To pewnie przez jego wąsy. — Wskazał kciukiem Lizzie. — Dlaczego ona dla was taka ważna, George? Ko nie zwierza się jej ze swoich tajemnic. Dla niego to przecież okrąglooka. — Obrócił się do Lizzie. — Mam rację?

Kiwnęła głową.

— A nawet gdyby się zwierzał, to i tak by nie spamiętała — ciągnął. — W tych sprawach jest tępą jak diabli. Pewnie nawet nie słyszała o Nelsonie. — Ej! — zawołał do niej znowu. — Kto to jest Nelson? No kto? Nieżyjący syn Ko, prawda? No właśnie. Na jego cześć nazwał tak swój jacht, co nie? I rumaka. — Obrócił się znowu do Smileya. — Widzisz? Tępą. Wyłącz ją z tego, oto moja rada.

Collins wrócił z notatkami na temat godzin odlotów. Smiley przeczytał je, marszcząc brwi za grubymi okularami.

— Zmuszeni jesteśmy natychmiast wysłać cię do domu, Jerry. — powiedział. — Na dole czeka w samochodzie Guillam. Fawn też z tobą pojedzie.

— Niedobrze mi, muszę wstać, jeśli wolno.

Wyciągnąwszy rękę, Jerry przytrzymał się Smileya. Fawn natychmiast skoczył do przodu, ale Jerry wskazał go ostrzegawczo palcem, Smiley zaś kazał mu się cofnąć.

— Trzymaj się z dala, ty parszywy kurduplu — warknął Jerry.

— Wolno ci było ugryźć raz i tyle. Powtórnie tak łatwo ci nie pójdzie.

Ruszył zgięty w pół, powłócząc nogami, z rękoma przyciśniętymi do krocza. W przedpokoju zatrzymał się przed dziewczyną.

— Czy Ko i jego drużyna miesza tu nasiadówki? — zapytał. — Przyprowadzał tu swoich chłopców na pogawędki, co?

— Czasem.

— A ty pomagałaś naszym podkładać mikrofony, prawda, taka była z ciebie dobra pani domu? Wpuszczałaś złodziei dźwięku, przytrzymywałaś im światło? Jasne, że tak.

Skinęła głową.

— To jednak nie wszystko — stwierdził, wlokąc się do łazienki.

— To niewiele jeszcze wyjaśnia. Musi być coś więcej. O wiele więcej.

Znalazłszy się w łazience, wsunął twarz pod zimną wodę, wypił trochę i natychmiast zwymiotował. W powrotnej drodze rozejrzał się za dziewczyną. Siedziała w dużym pokoju i na sposób ludzi, którzy w chwilach stresu mają skłonność do wykonywania trywialnych czynności, porządkowała płyty gramofonowe, wkładając każdą w odpowiednią okładkę. W odległym kącie Smiley rozmawiał cicho z Collinsem. Przy drzwiach frontowych czekał w gotowości Fawn.

— Żegnaj, miła — powiedział Jerry do Lizzie. Położywszy dłoń na jej ramieniu, odwrócił ją, aż szare oczy patrzyły prosto na niego.

— Żegnaj — rzekła i pocałowała go, niezbyt namiętnie, ale przy najmniej z większą uwagą niż zwykła obdzielać kelnerów.

— Do dziś byłem swego rodzaju pomocnikiem w tej hecy — wyjaśnił. — Przepraszam. Za resztę jednak nie przepraszam. I lepiej pilnuj tego fagasa, Ko. Bo jeśli im się nie uda, to nie wiem, czy ja go nie zabiję.

Dotknął blizn na jej podbródku, następnie postąpił ciężko do drzwi, gdzie czekał Fawn, ale odwrócił się jeszcze, by pożegnać się ze Smileym, który znów stał sam. Collins był przy telefonie. Smiley tkwił w pozie, w jakiej Jerry najlepiej go pamiętał: z krótkimi rękoma nieco odsuniętymi od ciała, z głową lekko odchyloną do tyłu, ze skruszoną, a zarazem dociekliwą miną, jakby właśnie sobie uświadomił, że zostawił w metrze parasol. Dziewczyna odwróciła się do nich plecami i dalej porządkowała płyty.

— Pozdrowienia dla Ann — powiedział Jerry.

— Dziękuję.

— Jesteś w błędzie, kolego. Nie wiem jak, nie wiem dlaczego, ale jesteś w błędzie. Tyle że chyba za późno, by to wyprostować. — Znow poczuł mdłości, ból obitego ciała rozsadzał mu głowę. — Zbliź się do mnie o krok — zwrócił się do Fawna — a złamię ci ten parszywy kark, zrozumiano? — Obrócił się jeszcze raz do Smileya, który wciąż stał nieruchomo i nie dawał oznak życia.

— Zdrowia, szczęścia, pomyślności.

Kiwnąwszy głową na pożegnanie — Smileyowi, nie dziewczynie — pokuśtykał do drzwi. Za nim ruszył Fawn. Czekaając na windę, dostrzegł w progu korytarza eleganckiego Amerykanina z piętra niżej, obserwującego jego odejście.

— Ah, zapomniałem o tobie! — zawołał głośno. — To ty pod słuchujesz jej mieszkanie, co?! Brytoni ją szantażują, „kuzyni” pod słuchują! Szczęściara, nie ma co, dostała wszystko od życia!

Amerykanin zniknął, pospiesznie zamykając za sobą drzwi. Nadjechała winda i Fawn pchnął Jerry'ego do środka.

— Nie dotykaj mnie — ostrzegł go Jerry. — Ten dżentelmen nazywa się Fawn — powiedział gromkim głosem do pozostałych pasażerów. Większość ubrana była w smokingi i suknie z cekinami. — Należy do brytyjskich służb specjalnych i przed chwilą kopnął mnie w jaja. Rosjanie nadchodzą — dodał, patrząc na nalane, obojętne twarze. — Zabiorą wam wszystką forszę.

— Pijany — wyjaśnił Fawn z odrazą w głosie.

W holu przyglądał się im z żywym zaciekawieniem portier Lawrence. Na podjeździe czekał niebieski peugeot. Za kierownicą siedział Peter Guillam.

— Właż — warknął.

Drzwi z przodu były zamknięte. Jerry wsiadł do tyłu, za nim Fawn.

— Co ty, do cholery, wyrabiasz — cedził Guillam przez zaciśnięte zęby. — Od kiedy to zasrani „dorywcy” wpieprzają się w paradę w środku operacji?

— Trzymaj się z dala ode mnie — ostrzegł Jerry Fawna po raz kolejny. — Zmarszcz tylko czoło, a wpadnę w szal. Nie żartuję. Ostrzegam cię oficjalnie.

Mgła ponownie zaległa, przetaczając się kłębami nad maską samochodu. Mijane miasto ukazywało się fragmentami niczym oglądane w przelocie widoczki w ramkach: szyld, witryna sklepowa, wiązka kabli na neonie, kępa zac zadzonej roślinności, wszechobecny teren budowy, skąpany w rześistym świetle. W lusterku Jerry zobaczył podążającego za nimi czarnego mercedesa, w którym siedziało dwóch mężczyzn.

— „Kuzyni” pilnują nam tyłka — oznajmił.

Nagły ból w żołądku omal nie pozbawił go przytomności. Przez chwilę Jerry myślał, że Fawn uderzył go po raz trzeci, ale to były jedynie echa pierwszych dwu. W Śródmieściu kazał Guillamowi przystanąć i na oczach wszystkich zwymiotował do rynsztoka, wystawiwszy głowę przez okno, obserwowany przez czujnego Fawna. Jadący za nimi mercedes również się zatrzymał.

— Co tam trochę bólu — wykrzyknął Jerry, usadawiając się z powrotem — za możliwość rozruszania zastałego umysłu i kości, nie, Peter?

Zaślepiiony wściekłością, Guillam rzucił wulgarną odpowiedź.

Ty nie zdajesz sobie sprawy, co się dzieje, powiedział Smiley. Mogłeś wszystko zepsuć. Nawet zaangażowanie tysięcy ludzi i wyłożenie miliardów dolarów nie przyniosłoby odrobiny tego, co mamy zamiar zyskać dzięki tej jednej operacji.

W jaki sposób? — zadawał sobie pytanie Jerry. Co zyskać? Jego wiedza na temat pozycji Nelsona w administracji chińskiej była niepełna. Crawl wyjawiał mu tylko niezbędne minimum. *Wasza Łaskawość, Nelson ma dostęp do klejnotów koronnych w Pekinie. Każdy, kto złapie go na haczyk, odkryje chwałę siebie i swe szlachetne gniazdo rodzinne.*

Objędzali port, kierując się do tunelu. Z poziomu morza amerykański lotniskowiec wydawał się zaskakująco mały na tle wesołej kotary Koulunu.

— A jak Drake zamierza go wydostać? — zapytał Jerry Guillama gawędziarskim tonem. — Chyba nie na skrzydłach po raz drugi, co? Raczej pewne, że nie. Ricardo spalił ten sposób na dobre, co?

— Wyssie go — burknął Guillam.

To głupie z jego strony, pomyślał Jerry radośnie. Powinien trzymać głowę na kłódkę.

— Woda? — dopytywał się. — Chyba nie wplaw, co? To nie w stylu Drake'a. Poza tym Nelson jest za stary na takie wyczyny, zamarzyłby na śmierć, jeśli rekiny by się nie poczęstowały. A może pociągiem, w dostawie świń, będzie chrumkał z warchlakami? Przykro mi, kolego, przeze mnie ominie cię finał.

— Mnie też przykro i to bardzo. Chętnie wybiłbym ci zęby.

W mózgu Jerry'ego rozbrzmiały fanfary zwycięstwa. *Ależ to prawda!* — wykrzyknął do siebie w duchu. — *Właśnie w tym rzecz! Drake sprowadza Nelsona i oni wszyscy ustawili się w kolejce, żeby odebrać gościa!*

Za uchybieniem Guillama — dwoma słowami, ale wedle zasad nauczanych w Sarratt niewybaczalnym, katastrofalnym błędem — kryło się tak ołsniewające objawienie jak nic, co Jerry dotąd doświadczył, objawienie pod pewnymi względami również o wiele bardziej

gorzkie od innych. Jeśli cokolwiek może stanowić okoliczności łagodzące dla przestępstwa polegającego na niedyskrecji — a w kategoriach sarrackich absolutnie nic — to jedynie doświadczenia Guillaume z ostatniej godziny, spędzonej po połowie na karkołomnym wożeniu Smileya po zatłoczonych ulicach oraz na rozpaczliwym wyczekiwaniu w nieświadomości pod Star Heights. Wszystkie jego obawy z Londynu, najbardziej makabryczne lęki dotyczące związku Martella z Enderbym i tajemniczych drugoplanowych ról Lacona i Sama Collinsa okazały się w ciągu tych sześćdziesięciu minut uzasadnione, słuszne ponad wszelką wątpliwość, w dodatku niepełne.

Najpierw pojechali na Bowen Road na Midlevels, do bloku mieszkalnego, który był tak pospolity i ogromny, że z pewnością nawet jego lokatorzy dwukrotnie spoglądali na numer na drzwiach, zanim upewnili się, że wchodzi do swojego mieszkania. Smiley przycisnął dzwonek domofonu z nazwiskiem „Mellon”, a Guillam, jak idiota, zapytał, kim jest Mellon, dokładnie w tej samej chwili, gdy przypomniał sobie, że to pseudonim Collinsa. Następnie znów za późno się połapał i nie zdążył zadać Smileyowi drugiego pytania, albowiem jechali już windą, a chciał się dowiedzieć, jakim kretyńcem trzeba być, żeby po tylu szkodach wyrządzonych służbie przez Haydona nosić ten sam pseudonim co przed „upadkiem”? Potem Collins otworzył im drzwi, ubrany w tajski szlafrok, z brązowym papierosem w cygarniczce i tym uśmiechem na twarzy, o którym maszynistki Cyrku mówiły, że go pierze w balii, i chwilę później siedzieli w pokoju umeblowanym bambusowymi krzesłami i Collins włączył dwa radia tranzystorowe, nastrojone na różne stacje — w jednym głos, w drugim muzyka — by zapewnić podczas rozmowy elementarne zabezpieczenie antypodśluchowe. Zupełnie nie zwracając uwagi na Guillaume, zamienił ze Smileyem kilka słów, następnie połączył się z Martellem — proszę zauważyć, że miał bezpośrednią linię, nie wykręcił nawet numeru — by zapytać zawołanym językiem, „jak mają się sprawy ze stryjkiem”. Słowo „stryjek” — jak dowiedział się później Guillam — oznaczało w żargonie hazardzistów frajera. Martello odparł, że właśnie nadszedł meldunek z furgonetki inwigilacyjnej. Stróże donosili, że kumpel i Tiu siedzą na pokładzie *Admirala Nelsona* przy molu B, a mikrofony kierunkowe zbierają tak dużo odbić od wody (jak zwykle), że specjaliści od transkrypcji potrzebowaliby dni, jeśli nie miesięcy, żeby wyeliminować zakłócenia i dowiedzieć się, czy ci dwaj w ogóle powiedzieli coś interesującego. Tymczasem ekipa wysadziła swojego człowieka na nabrzeżu, skąd ze statycznego punktu miał obserwować jacht i informować niezwłocznie Martella, gdyby podniesiono kotwicę albo jeden z Chińczyków zszedł na ląd.

— W takim razie musimy zaraz jechać — powiedział Smiley, więc wtłoczyli się z powrotem we trzech do samochodu i kiedy Guillam wioził ich do pobliskiego Star Heights, kipiąc z gniewu i słuchając w bezsilności ich lakonicznej rozmowy, z każdą chwilą nabierał coraz silniejszego przekonania, że patrzy na pajęczą sieć i że tylko George Smiley, ze swą obsesyjną nadzieją na duży łup i *idee fixe* na punkcie Karli, jest dostatecznie krótkowzroczny, dostatecznie ufny i na swój paradoksalny sposób dostatecznie niewinny, by w nią wpaść.

Jego podeszły wiek, pomyślał Guillam. Polityczne ambicje Enderby'ego, zamiłowanie do jastrzębich, amerykańskich w stylu zagrywek, nie wspominając już o skrzynce szampana i przymilnych komplementach pod adresem piątego piętra. Chłodne wspierania Smileya przez Lacona i jednoczesne wyglądanie następcy. Przystanek Martella w Langley. Wysiłki Enderby'ego, ledwie sprzed kilku dni, by odebrać Smileyowi sprawę i podać ją na tacy Amerykanom. A teraz najbardziej wymowne i złowrogie ze wszystkiego dotąd ponowne pojawienie się na scenie Sama Collinsa jako błazna całego towarzystwa z połączeniem do Martella! No i Martello, Boże miej nas w opiece, udający głupa na temat tajemniczego źródła informacji Smileya — mimo bezpośredniego połączenia z pewnym mieszkaniem.

W oczach Guillama wszystkie te nitki prowadziły wyłącznie do jednego i nie mógł się doczekać, by wziąć Smileya na stronę i wszelkimi dostępnymi sposobami odciągnąć go od operacji, choćby na chwilę, żeby zobaczyć, dokąd zmierza. Powiedzieć mu o liście. O wizytach Collinsa w Whitehallu u Lacona i Enderby'ego.

Powiedzieć. Zamiast? Zamiast wracać. Musiał wracać do Anglii. Dlaczego? Bo pewien wesoły pismak o zakutym łbie nazwiskiem Westerby miał czelność zerwać się ze smyczy.

Nawet bez owej beznadziejnej świadomości bliskiej katastrofy doznawane rozczarowanie byłoby dla Guillama nie do zniesienia. Wiele wycierpiał, żeby dotrzeć do tej chwili. Hańbę i wygnanie do Brixton za rządów Haydona, nadskakiwanie George'owi miast powrotu w teren, tolerowanie jego obsesyjnej skrytości, którą w duchu uważał za upokarzającą i zgubną — ale ta podróż przynajmniej miała cel. Aż do chwili, kiedy cholerny Westerby, akurat on ze wszystkich ludzi, pozbawił go i tego. Jednak powrót do Londynu ze świadomością, że co najmniej na dwadzieścia dwie godziny zostawia naiwnego Smileya i Cyrk sforze wilków, był dla Guillama okrutnym ukoronowaniem pełnej wyrzeczeń kariery i jeśli obwinianie Jerry'ego miało coś pomóc, to niech go cholera, Guillam gotów był go obwiniać, a razem z nim cały świat.

— Wyślij Fawna!

„Fawn nie jest dżentelmenem” — odparłby Smiley lub wyrzekł inne słowa, które znaczyłyby to samo.

Nic dodać, nic ująć, pomyślał Guillam, przypomniawszy sobie chłopca z połamanymi rękoma.

Jerry również czuł, że pozostawia kogoś na pastwę wilków, choć myślał raczej o Lizzie Worthington niż George'u Smileyu. Kiedy spozierał w lusterko samochodu, zdawało mu się, że świat, przez który jedzie, także został porzucony. Uliczne bazyry były opustoszałe, podobnie chodniki, a nawet wejścia do domów. Powyżej majaczył kapryśnie Peak ze swym krokodylim grzbietem zabarwionym poświęcą postrzępionego księżyca. To ostatni dzień Kolonii, doszedł do wniosku Jerry. Pekin wykonał swój przysłowiowy telefon. „Wynocha, przyjęcie skończone”. Zamykano ostatni hotel. Zobaczył puste rolls-royce'y porzucone dokoła portu jak śmiecie, ostatnią okrągłooką matronę o farbowanych włosach, obładowaną wolnocłowymi futrami i biżuterią, wchodzącą niepewnie po trapie na ostatni transatlantyk, ostatniego obserwatora Chin gorączkowo wpychającego swe błędne rachuby do niszcarki, splądrowane sklepy, słowem puste miasto czekające niby padlina na hordy najeźdźców. Przez chwilę wszystko było jednym odchodzącym światem — Hongkong, Phnom Penh, Sajgon, Londyn — światem żyjącym na kredyt, z wierzycielami walącymi do drzwi, Jerry zaś stanowił w jakiś niewytłumaczalny sposób część długu, który należało spłacić.

Zawsze czulem wdzięczność dla tej służby za to, że daje mi możliwość spłaty. Czy ty to czujesz? Teraz? Przecież przeżyłeś.

Tak jest, George. Włóż mi te słowa w usta, chłopie. Proszę bardzo. Tyle że u mnie nie będą miały tego znaczenia, które ty im nadajesz. Jerry ujrzał radosną, mięsistą twarz Frosta z dni, kiedy z nim pił i pajacował. Naraz zastygła w przeraźliwym, przedśmiertelnym krzyku. Poczuł na ramieniu przyjazną dłoń Luke'a i zobaczył tę samą dłoń leżącą na podłodze, odrzuconą za głowę, jakby w zamiarze złapania piłki, która już nigdy nie nadleci. Kłopot w tym, kolego, pomyślał, że spłaty dokonują inne biedne frajerzyny.

Na przykład takie jak Lizzie.

Wspomni kiedyś o tym George'owi, jeśli kiedykolwiek jeszcze poruszą nad kieliszkiem drażliwy temat powodów, dla których pokonują szczyty. Nie omieszka wskazać, delikatnie, bez wyrzutu, rozumiesz, kolego, jak bezinteresownie i z oddaniem poświęcają innych, takich jak Lukę, Frost i Lizzie. Oczywiście George będzie miał gotową odpowiedź. Rozsądną, wyważoną. Apologetyczną. Bo on widzi

szerszy obraz. Rozumie imperatywy. Oczywiście, że rozumie. Przecież jest „sową”.

Zbliżyli się do portowego tunelu. Jerry myślał o jej ostatnim drżącym pocałunku, jednocześnie przypomniał sobie jazdę do kostnicy, albowiem przed nimi wyłoniły się z mgły rusztowania nowego budynku i podobnie jak tamte, były skąpane w świetle i roily się od zwawych robotników w złotych kaskach.

Tiu też za nią nie przepada. Nie lubi okrągłookich, którzy sypią Wielkiego Pana.

Usiłował skierować swe myśli na inny tor i odgadnąć, co zrobią z Nelsonem: bezpieczeństwa, bezdomną grubą rybą, którą można pożreć albo wyrzucić do morza, jeśli taka wola. Jerry spotkał w swym życiu kilka takich ryb, był obecny przy ich schwytaniu i pospiesznych przesłuchaniach; poprowadził niejedną przez granicę, którą dopiero co przeszły w przeciwną stronę, żeby natychmiast „wprowadzić surowiec wtórny do obiegu”, jak to się czarująco określa w Sarratt — „szybki powrót, zanim zauważą, że wyszedł z domu”. A jeśli nie zainstalują go na nowo? Jeśli zatrzymają tę wielką nagrodę, której tak wszyscy pożądają? Wówczas po Jatach maglowania — dwóch, trzech, słyszał kiedyś o pięciu — Nelson stanie się kolejnym Żydem Tułaczem szpiegowskiego fachu, którego trzeba ukrywać, przemieszczać, znowu ukrywać, nie kochanym nawet przez tych, dla których zdradził swoich.

A co Drakę robi z Lizzie, kiedy ten dramat będzie się rozgrywał? Na jakim śmietniku dziewczyna wyląduje tym razem?

Byli już u wlotu do tunelu i niemal całkowicie wytracili prędkość. Mercedes sunął tuż za nimi. Jerry'emu głowa opadła do przodu. Przyłożył obie dłonie do krocza, zaczął się bujać i jęczeć z bólu. Z prowizorycznego posterunku policji drogowej, podobnego do budki strażnika, przyglądał się im podejrzliwie chiński konstabl.

— Jeśli podejdzie, powiedz mu, że wieziemy pijanego — mruknął Guillam do Fawna. — Pokaż mu rzygowiny na drzwiach.

Wjechali żółtym tempem do tunelu. Z powodu złej pogody obydwa pasy ruchu były zatłoczone sznurami samochodów. Guillam wybrał prawy strumień aut, mercedes zboczył w lewo. Spod opuszczonych powiek Jerry ujrzał w lusterku brązową furgonetkę zjeżdżającą zgrzytliwie ze wzgórza tuż za nimi.

— Daj mi trochę drobnych — poprosił Guillam Fawna. — Będę potrzebował na myto przy wyjeździe.

Fawn zaczął szperać po kieszeniach, ale tylko jedną ręką. Tunel dudnił od warkotu silników. Rozpoczęły się piskówki klaksonów. Szybko dołączały inne auta. Do wdzierającej się mgły do-

szedł smród spalin. Fawn zamknął okno. Hałas potęgował się i odbijał echem, aż samochód wpadł w drżenie. Jerry przyłożył dłoń do uszu.

— Przepraszam, koledzy, ale chyba znowu będę haftował.

Tym razem pochylił się w stronę Fawna, który ze słowami „oblesny skurwiel!” zaczął pospiesznie odkręcać szybę w oknie, tyle że nagle Jerry trzasnął go głową w usta i wbił mu łokieć w krocze. Guillamowi, zmuszonemu do dzielenia uwagi między prowadzenie samochodu a samoobronę, dostał się jeden piekielny kuksaniec w miejsce, gdzie łopatka łączy się z obojczykiem. Jerry wyprowadził cios rozluźnioną ręką i dopiero w ostatniej chwili zamienił szybkość w siłę. Impet uderzenia wyrwał Guillamowi z gardła okrzyk „Chryste!” i cisnął go na kierownicę, a samochód targnął się w prawo. Fawn zarzucił Jerry'emu jedną rękę na szyję, drugą zaś usiłował pchnąć mu głowę do tyłu, co z pewnością oznaczałoby śmierć. Ale jest taki cios, którego uczą w Sarratt na wypadek walki w ciasnej przestrzeni i który zwie się „łapa tygrysa”. Zadaje się go wbijając spód dłoni w tchawicę przeciwnika, z ręką zgiętą w łokciu i palcami skulonymi dla odpowiedniego naprężenia. Jerry zachował się jak prymus i Fawn huknął potylicą w szybę, aż pękło szkło bezodpryskowe. Dwaj Amerykanie jadący w mercedesie patrzyli przed siebie, jakby zdążali na pogrzeb państwowy. Jerry'emu przyszło do głowy, by ścisnąć Fawnowi tchawicę palcami, ale to nie wydawało się już konieczne. Wyrwawszy mu swój własny pistolet zza paska, otworzył prawe drzwi. Guillam wykonał ostatni desperacki skok, by go zatrzymać, i urwał mu aż po łokieć rękaw wiernej, ale bardzo znoszonej błękitnej marynarki, lecz grzmotnięty bronią w przegub, cofnął rękę, z twarzą ściętą grymasem bólu. Jerry wyskoczył z samochodu. Fawn wystawił za nim nogę, ale Jerry zatrzasnął drzwi i usłyszał kolejne bolesne „skurwiel!” i potem już tylko biegł bez wytchnienia z powrotem w kierunku centrum, pod prąd sunących w ślimaczym tempie samochodów. Odskakując i klucząc między nimi, wypadł z tunelu i pomknął pod górę, aż dotarł do posterunku policji. Wydawało mu się, że słyszy wrzaski Guillama, że pada strzał, ale być może to wypalił gaźnik jakiegoś samochodu. W kroczu rwało go nieopisanie, ale miał wrażenie, że ból dodaje mu sił. Krzyknął na niego stojący na krawężniku policjant, drugi próbował go zatrzymać, rozpostarłszy ramiona, ale Jerry odepchnął obu na boki i na szczęście, jak często się zdarza, odpuścili okrągłookiemu. Biegł, aż złapał taksówkę. Kierowca nie władał angielskim, więc trzeba mu było wskazywać drogę. „Tak jest, kolego, tam, teraz w lewo, cholerny idioto, o to chodzi”, mówił Jerry, aż dotarł pod jej blok.

Nie miał pojęcia, czy Smiley i Collins wciąż u niej są, czy pojawił się Ko, może z Tiu, ale nie było czasu, by się ostrożnie przekonać. Nie zadzwonił do drzwi, albowiem wiedział, że mikrofony to zarejestrują. Wyjął z portfela pocztówkę, napisał, co trzeba i wcisnął ją przez otwór na listy. Spocony, usiadł w kucki pod drzwiami, nastawiając ucha, drząc i dysząc niby koń pociągowy, masując obite krocze. Czekał wieki całe, ale w końcu drzwi się otworzyły. Stała w progu, patrząc na niego, jak z wysiłkiem się podnosi.

— Chryste, Lancelot — mruknęła. Nie miała makijażu i blizny po ciosie Ricarda były głębokie i czerwone. Chyba nie płakała, tak przynajmniej mu się wydawało, ale jej twarz wyglądała starzej niż reszta ciała. Pociągnął ją na korytarz. Nie opierała się. Pokazał drzwi prowadzące do schodów przeciwpożarowych.

— Spotkamy się tam za pięć sekund, słyszysz? Nie dzwoń do nikogo, nie hałasuj i nie zadawaj głupich pytań. Weź trochę ciepłych ubrań. Jazda, koleżanko. Nie ociągaj się. Proszę.

Spojrzała na niego, na udarty rękaw i przepoconą marynarkę, potem na przesłaniający oczy lok grzywki.

— Masz do wyboru: albo ja, albo nic — powiedział. — I wierz mi, to naprawdę duże nic.

Weszła do mieszkania, zostawiając drzwi otwarte na oścież. Wróciła bardzo szybko i nie zamknęła ich za sobą, żeby się nie zdradzić. Założyła skórzany płaszcz i wzięła ze sobą torbę na ramię. Wyniosła Jerry'emu wełnianą kamizelkę, żeby mógł się pozbyć podartej marynarki. Domyślał się, że kamizelka należy do Ko, albowiem była na niego dziesięć numerów za mała, mimo to zdołał się w nią wcisnąć. Opróżnił kieszenie do torby i wrzucił marynarkę do zsypu na śmieci. Na schodach przeciwpożarowych szedł pierwszy. Podążała za nim tak cicho, że dwukrotnie się obejrzał, by się upewnić, czy nie zniknęła. Dotarłszy na parter, zerknął przez pokrytą siatką szybę w drzwiach i cofnął się natychmiast, ponieważ zobaczył Rockera we własnej osobie w towarzystwie zwalistego policjanta, jak podchodzi do portierni i pokazuje legitymację. Zszedł z Lizzie schodami aż na parking.

— Weźmy moją czerwoną raketę — zaproponowała.

— Nie bądź głupia, przecież została w mieście.

Pokręciwszy głową, zaprowadził dziewczynę przez parking na otwarty teren pełen śmieci i odpadków budowlanych, podobny do podwórka na tyłach Cyrku. Stamtąd, między murami z kruszącego się betonu, prowadziły w dół, do centrum, zawrotnie kręte schodki, osłonięte od góry czarnymi gałęziami drzew i podzielone na odcinki przez wijącą się stokiem ulicę. Bieg po stromych stopniach wzmagął u Jerry'ego ból krocza. Za pierwszym razem przebiegli jezdnię bez

namysłu. Za drugim, ostrzeżony w porą krwistoczerwonym błyskiem lamp policyjnych, Jerry pociągnął dziewczynę między drzewa, by uciec przed snopem światła z reflektorów mknącego w dół radiowozu. Pod wiaduktem znaleźli kierowcę od *pak-pai* i Jerry podał mu adres.

— Gdzie to jest? — zapytała.

— Gdzieś, gdzie nie trzeba się wpisywać do książki meldunkowej — - odparł. — Siedz cicho i pozwól mi się bawić w kapitana, dobra? Ile masz przy sobie pieniędzy?

Otworzyła torbę i przeliczyła banknoty w wypchanym portfelu.

— Wygrałam je od Tiu w mah-jong — powiedziała i Jerry wyczuł, że fantazjuje.

Wysiedli na krańcu alejki i piechotą przeszli niewielką odległość dzielącą ich od niskiej bramy. W domu było ciemno, ale kiedy zbliżali się do wejścia, drzwi otworzyły się i z mroku wbiegła do środka chyłkiem inna para. Weszli do holu, drzwi zamknęły się i za niesionym przez kogoś światełkiem ruszyli krótkim labiryntem wśród ceglanych murów, aż dotarli do małej salki, gdzie rozbrzmiewała grana na piszczałkach muzyka. Pośrodku pomieszczenia siedziała na kanapie wytworna, wymuskana Chinka z ołówkiem i notesem na kolanach, wzór *chatelaine* jak świat długi i szeroki. Na widok Jerry'ego uśmiechnęła się lekko, na widok Lizzie — szerzej.

— Na całą noc — powiedział Jerry.

— Oczywiście — odparła.

Podążyli za nią na górę do małego korytarza. Otwarte drzwi odślaniały w przelocie widoki jedwabnych kap, przygaszonych świateł, luster. Jerry wybrał pokój o najmniej wymownym wystroju, odrzucił propozycję przysłania drugiej dziewczyny dla urozmaicenia zabawy, dał Chince pieniądze i zamówił butelkę remy martin. Lizzie weszła za nim, cisnęła torbę na łóżko i zanim jeszcze drzwi się zamknęły, wybuchła nieszczerym śmiechem.

— Lizzie Worthington — rzekła do siebie. — Właśnie w takim miejscu przepowiadali ci koniec, ty bezwstydna dziwko, i niech cię szlag, jeśli nie mieli racji!

W pokoju stał szeszlong. Jerry położył się na nim i wpatrzył w sufit, ze skrzyżowanymi stopami, ze szklanką koniaku w dłoni. Lizzie zajęła łóżko i przez dłuższy czas żadne się nie odzywało. Od czasu do czasu z piętra wyżej dobiegały ich głośne jęki rozkoszy albo stłumiony śmiech, raz okrzyk sprzeciwu. Lizzie podeszła do okna i wyjrzała.

— Co tam jest?

— Zwykły mur, pełno kotów i stosy butelek.

— Mgła?

— Ohyda.

Poszła niespiesznie do łazienki, rozejrzała się dokoła i wróciła.

— Koleżanko — zagadnął Jerry.

Przystanąła, czujna.

— Czy jesteś przytomna i zdolna do trzeźwych osądów?

— Bo co?

— Chcę, żebyś mi powiedziała wszystko, co powiedziałaś im. A kiedy już to zrobisz, chcę, żebyś powiedziała, o co cię pytali, bez względu na to, czy znałaś odpowiedź, czy nie. A potem spróbujemy oboje zrobić coś, co się nazywa wędrówką po śladach gumki, i zorientować się, co ci skurwiele i cały weszchświat knują.

— To będzie powtórka — rzekła wreszcie.

— Czego?

— Nie wiem. Ale ma się to odbyć dokładnie tak, jak kiedyś.

— A co się odbyło kiedyś?

— To, co ma się powtórzyć teraz — odpowiedziała znużona.

Rozdział 21

NELSON

Była pierwsza w nocy. Lizzie wzięła kąpiel. Wyszła z łazienki owinięta w białą chustę, bosa, z włosami obwiązanymi ręcznikiem, tak że proporcje jej ciała nagle się zmieniły.

— W ubikacji są nawet papierowe serwetki — powiedziała. — I kubki do mycia zębów w celofanowych torebkach.

Drzemali, ona na łóżku, on na szezlongu, i w pewnej chwili powiedziała: „Zrobiłabym to z tobą, ale nie byłoby przyjemnie”, a on odparł, że po kopniaku tam, gdzie go trafił Fawn, libido jest mało ruchliwe. Opowiedziała mu o swoim nauczycielu — Cholernym Worthingtonie, jak go nazywała — i „jedynej próbie życia po Bożemu”, o dziecku, które mu urodziła przez grzeczność. Opowiedziała o okropnych rodzicach i o Ricardzie, jaki to z niego był skurwiel i jak go kochała, jak to pewna dziewczyna z „Baru pod Gwiazdozbiorem” poradziła jej otruć go, tak więc pewnego dnia, kiedy po raz kolejny zbił ją do nieprzytomności, wsypała mu „cholernie dużą dawkę do kawy”. Ale prawdopodobnie nie zdobyła tego, co trzeba, albowiem rezultat był taki, że tylko chorował przez kilka dni, a „jedyne, co było gorsze od zdrowego Ricarda, to Ricardo u wrót śmierci”. I jak

innym razem dźgnęła go nożem, gdy się kąpał, ale on tylko przyklepił na ranę kawałek plastra i znowu ją wygrzmocił.

I jak ona i Charlie Marshall nie dawali wiary w tragiczną śmierć Ricarda i rozpoczęli — jak to nazwali — kampanię wskrzeszania go, i jak Charlie poleciał do ojca i wiercił mu dziurę w brzuchu, wstawiając się za Ricardem, co własnymi ustami opowiedział Jerry'emu. Jak spakowała plecak i pojechała do Bangkoku, gdzie wparadowała do apartamentu firmy „China Airsea” w hotelu „Erewan” z zamiarem stawienia czoła Tiu i znalazła się oko w oko z Drake'em Ko, widzianym kiedyś przelotnie na herbatce w Hongkongu wydanej przez niejaką Sally Cale, farbowaną lesbijkę parającą się handlem antykami, która na boku rozprawiała heroinę. I jak odegrała przed nim scenę, która zaczęła się od ostrego „wynocha!” wypowiedzianego przez Ko, a skończyła na „zadośćuczynieniu zmysłem”, jak to wesoło określiła. „Kolejny krok Lizzie Worthington na prostej drodze do wiecznego potępienia”. I tak z jednej strony z ojcem Marshalla ciągnącym powoli, ale przebiegle za sznurki, z drugiej z „kochaną Lizzie oddaną sprawie ciałem i duszą, jak można by to ująć”, doprowadzono do zawarcia istnie chińskiej umowy, której głównymi sygnatariuszami byli Ko i ojciec Marshalla, zaś towarem przeznaczonym do wymiany pewien pilot i jego do niedawna życiowa partnerka.

Na warunki wspomnianej umowy, jak dowiedział się niezbyt zaskoczony Jerry, z wdzięcznością przystała zarówno dziewczyna, jak i Meksykanin.

— Powinnaś była go zostawić, żeby zgnił — powiedział Jerry, przypomniawszy sobie dwa sygnety na palcach prawej ręki i eksplodujący samochód.

Ale Lizzie inaczej się wówczas na to zapatrywała. I teraz też.

— Był jednym z nas — odparła. — Choć skurwysyn.

Lecz kupiwszy Ricardowi życie, poczuła się uwolniona od niego.

— Chińczycy co dzień załatwiają interesy za pomocą małżeństwa. Dlaczego więc nie Drake i Liese?

— O co chodzi z tą „Liese”? — zapytał Jerry. — Dlaczego „Liese”, a nie „Lizzie”, jak dotąd?

Nie wiedziała. Drake niewiele wyjaśnił. Była kiedyś w jego życiu jakaś Liese, tak powiedział, i wróżbiarz obiecał mu, że pewnego dnia pojawi się druga, uznał więc, że Lizzie to całkiem podobnie i że to właśnie o nią chodzi, zatem przechrzcila się i przy okazji obcięła sobie nazwisko do „Worth”.

— Kociak o blond włosach — rzekła zamyślona.

Powiedziała, że zmiana imienia i nazwiska miała również względy praktyczne. Albowiem wówczas Ko postarał się, by zniszczono jej policyjne akta.

— Aż pewnego dnia pokazał się ten skurwiel Mellon i zagroził, że napiszą je na nowo, ze szczególnym uwzględnieniem mojej kariery jako konwojentki jego heroiny.

Co pośrednio doprowadziło do sytuacji, w której właśnie się znaleźli.

Dla Jerry'ego ich senne rozmowy cechowały się spokojem, jaki zapada po zbliżeniu cielesnym. Leżał na szezlongu, całkiem wybity ze snu, natomiast ona opowiadała w przerwach między drzemką, zaspana podejmując wątek w miejscu, gdzie go przerwała, gdy zmorzył ją sen, i był przekonany, że mówi prawdę, albowiem nie powiedziała nic, czego by się nie spodziewał i czego by nie rozumiał. Uświadomił sobie również, że z czasem Ko stał się dla niej przystanią. Podobnie jak porzucony w Anglii nauczyciel, stanowił punkt stały, z którego mogła przyglądać się swej odysei.

— Drake nigdy w życiu nie złamał danego słowa — rzekła, przewracając się na bok i zapadając w niespokojny sen. Jerry'emu przypomniała się sierota: Nigdy mnie nie okłamuj.

Minęły godziny albo i wieczność cała, kiedy obudził ją ekstatyczny pisk dobiegający zza ściany.

— Chryste — rzekła z uznaniem. — Naprawdę dogodził dziewczynie. — Pisk się powtórzył. — Aha, udaje! — Zapadła cisza.

— Spisz? — zapytała.

— Nie.

— Co zamierzasz?

— Jutro?

— Tak.

— Nie wiem — odparł.

— Dołącz do towarzystwa — rzekła i najwyraźniej ponownie usnęła.

Potrzebuję operatywki, pomyślał. Na gwałt potrzebuję opera-tywki. Zadzwonić do Crawa. Poprosić kochanego George'a o kapkę filozofii, której tak ostatnio skąpi. Pewnie jest gdzieś niedaleko. Gdzieś.

Smiley istotnie był niedaleko, ale w owej chwili w żaden sposób nie mógłby Jerry'emu pomóc. Chętnie zamieniłby całą swą wiedzę na słowo wyjaśnienia. W „izolatce” nie było nocy ani dnia, siedzieli więc rozparci w sztucznym świetle padającym z sufitu, trzej Amerykanie i Sam Collins po jednej stronie sali, Smiley i Guillam po drugiej, Fawn zaś, maszerował w tę i z powrotem wzdłuż rzędu foteli teatralnych, upokorzony i wściekły, ściskając w obu drobnych dłoniach coś, co wyglądało na gumowe piłki. Wargi miał czarne i opuchnięte, podbite oko zamknięte. Zakrzepła krew pod nosem za nic nie chciała się zmyć.

Guillam trzymał prawą rękę na temblaku i nie spuszczał wzroku ze Smileya. Podobnie jak wszyscy, może z wyjątkiem Fawna. Odezwał się telefon, ale dzwoniło tylko z pokoju łączności piętro wyżej, by powiedzieć, że Bangkok donosi o natrafieniu na ślady Westerby'ego aż do Vientiane.

— Murphy, powiedz im, że trop nieaktualny — ■ polecił Martello z oczami utkwionymi w Smileya. — Powiedz im cokolwiek. Niech nam tylko dadzą spokój. Prawda, George?

Smiley skinął głową.

— Prawda — rzekł Guillam stanowczo za niego.

— Trop nieaktualny, ślicznoto — powtórzył Murphy do słuchawki. „Ślicznota” była niespodzianką. Dotąd Murphy nie okazał żadnych oznak ludzkich uczuć. — Napiszecie do nich sygnał sami, czy mam to za was zrobić? Nie jesteśmy już zainteresowani. Opuścić.

Rozłączył się.

— Rockhurst odnalazł jej samochód — powiedział Guillam po raz drugi. Smiley patrzył przed siebie. — Stał na parkingu podziemnym w Śródmieściu. Był tam też wóz Westerby'ego. Wynajęty dziś przez niego na fałszywe nazwisko. George?

Smiley skinął głową tak nieznacznie, że równie dobrze mógł się ocknąć ze snu.

— Przynajmniej facet coś robi, George — wtrącił Martello wymownie z głębi pokoju. — Niektórzy by powiedzieli, że jak się ma do czynienia z wściekłym słoniem, to najlepiej wyjść i go zastrzelić.

— Najpierw trzeba go znaleźć — burknął Guillam, który miał nerwy napięte do granic wytrzymałości.

— Ale ja nawet nie jestem pewien, że George tego chce, Peter — odparł Martello w nawrocie swej dobrotliwości. — Coś mi się wydaje, że George trochę spuścił oko z piłki, wystawiając nasze wspólne przedsięwzięcie na poważne niebezpieczeństwo.

— To co chcesz, żeby zrobić? — warknął Guillam opryskliwie. — Łaził po ulicach, aż go znajdzie? Kazał Rockhurstowi puścić w obieg jego nazwisko i rysopis, żeby każdy dziennikarz w mieście wiedział, że polujemy na człowieka?

Smiley siedział obok zgarbiony i apatyczny niby starzec.

— Westerby to zawodowiec — argumentował Guillam. — Nie jest urodzonym agentem, ale zna się na rzeczy. W takim mieście jak to może się zadekować na miesiące i Rockhurst go nie namierzy.

— Ale przecież wlecze ze sobą dziewczynę — zauważył Murphy.

Pomimo kontuzjowanej ręki Guillam pochylił się w stronę Smileya.

— To twoja operacja — szepnął gorączkowo. — Jeżeli każesz czekać, będziemy czekać. Ale wydaj rozkaz. Oni wszyscy czekają

tylko na pretekst, żeby ci wyrwać sprawę z rąk. Wszystko tylko nie próżnia. Tylko nie to.

Maszerując wzdłuż rzędu foteli teatralnych, Fawn pozwolił sobie na sarkastyczne mruknięcie.

— Gadu-gadu. Tylko to potraficie.

Martello spróbował jeszcze raz.

— George, czy to jest brytyjska wyspa, czy nie? Możecie to miasto przetrząsnąć, kiedy tylko chcecie. — Wskazał palcem ścianę. — Tam po ulicach biega człowiek, twój człowiek, który wyraźnie wpadł w amok. Nelson Ko to prawdopodobnie najgrubsza ryba, jaką ty albo ja kiedykolwiek złowimy. Największa w mojej karierze i stawiam w zakład zoną, babcię i zyski z mojej plantacji, że i w twojej.

— Nie wchodzę — odparł hazardzista Sam Collins z uśmiechem.

Wciąż siedział z trzema Amerykanami.

Martello kuł żelazo, póki gorące.

— Czy pozwolimy mu zepsuć nam połów? Będziemy tu siedzieć biernie i pytać jeden drugiego, jak to jest, że Jezus Chrystus urodził się w Boże Narodzenie, a nie dwudziestego szóstego czy siódmego grudnia?

Smiley zerknął wreszcie na Martella, następnie na Guillama, który stał sztywno u jego boku i wypręzał do tyłu ramiona, żeby utrzymać temblak, i wreszcie spuścił wzrok na swoje szczipione w walce dłonie i przez chwilę, całkiem nieznacznym ułamkiem czasu, poddał się analizie własnego umysłu i przyjrzał kruczajcie przeciwko Karli, którego Ann nazywała jego czarnym Graalem. Pomyślał o Ann i jej wielokrotnych zdradach w imię własnego Graala, którego nazywała miłością. Przypomniawszy sobie, jak wbrew trzęszącym osądom usiłował podzielać tę wiarę i niczym prawdziwy wyznawca odnawiać ją codziennie mimo anarchistycznego interpretowania jej przez Ann. Pomyślał o Haydonie, nakierowanym na Ann przez Karle. Pomyślał o Jerry'ym i dziewczynie, o psiej wspólnocie, która złączyła go z Worthingtonem podczas rozmowy w jego domu w Islington. „Obaj należymy do tych, których się porzuca”.

Pomyślał o innych krótkotrwałych miłośkach Jerry'ego przeżytych na szlaku, owych przejawach rozwiązłości, do których Cyrk dawno przywykł, i przyznał przed samym sobą, że wygodnie byłoby podciągnąć słabość do Lizzie pod tę samą kategorię, ale nie potrafił tego zrobić. Nie był Collinsem i nie miał najmniejszej wątpliwości, że w owej chwili uczucia Jerry'ego do tej dziewczyny to sprawa, w której Ann by orędownała. Ale swoją żoną Smiley również nie był. Niemniej przez jedną okrutną chwilę, kiedy tak siedział niezdolny do podjęcia decyzji, najszczerzej w świecie zastanawiał się, czy Ann ma

rację, i jego poszukiwanie odpowiedzi nie było niczym więcej jak prywatną wędrówką wśród upiorów zrodzonych z własnej niemożności — wędrówką, w którą bezlitośnie wkiłał takie prostackie umysły jak umysł Jerry'ego.

Jesteś w błędzie, kolego. Nie wiem jak, nie wiem dlaczego, ale jesteś w błędzie.

„Fakt, że ja nie mam racji — odpowiedział kiedyś Smiley Ann w trakcie jednej z ich nie kończących się kłótni — nie oznacza, że ty ją masz”.

Znów usłyszał Martella, mówiącego w czasie terażniejszym.

— George, nasi ludzie czekają gotowi do rozpoczęcia połowu. Do łapania Nelsona.

Dzwonił telefon. Murphy odebrał i przekazał wiadomość zebrany:

— Informacja z lotniskowca, proszę pana. Wywiad marynarki zaobserwował ruch dżonek dokładnie o czasie. Sprzyjający południowy wiatr i dobre połowy po drodze. Ale ja wątpię, że Nelson z nimi płynie. Nie widzę powodu.

Uwaga natychmiast skupiła się na Murphym, który nigdy dotąd nie wyrażał swojego zdania.

— Co to, cholera, znaczy? — zapytał szorstko Martello, zdumiony. — Ty też chodzisz do wróżbiarza, synu?

— Nie, ale byłem dziś rano na okręcie i tam mają mnóstwo danych. Nie potrafią wyjaśnić, dlaczego ktoś, kto mieszka w Szanghaju, chciałby uciekać przez Szantou. Oni zrobiliby to inaczej. Poleciłiby albo pojechali pociągiem do Kantonu i stamtąd wzięli autobus może do Waichow. Mówią, że to znacznie bezpieczniejsze.

— Tymi dżonkami płyną ludzie Nelsona — powiedział Smiley, a wszystkie głowy odwróciły się na powrót w jego stronę. — To klan. Woli być z nim na morzu, nawet jeśli to ryzykowne. Ufa im. — Zwrócił się do Guillama. — Działamy — rzekł. — Każ Rockhurstowi puścić w obieg rysopisy Westerby'ego i dziewczyny. Mówisz, że wynajął samochód na fałszywe nazwisko? Używa zapasowych dokumentów?

— Tak.

— Worrell?

— Tak.

— W takim razie policja ma szukać państwa Worrellów. Brytyjczyków. Żadnych zdjęć, tylko rysopisy, dość niewyraźne, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Marty.

Martello zamienił się w słuch.

— Ko wciąż na jachcie?

— Tak, siedzi tam razem z Tiu.

—Możliwe, że Westerby będzie chciał się do nich dostać. Macie statyczny punkt obserwacyjny na nabrzeżu. Wyślij tam więcej ludzi. Każ im mieć oczy i uszy otwarte.

— Na co?

— Na zgrzyty. To samo tyczy się wozu inwigilacyjnego pod jego domem. Powiedz mi, czy... — Smiley zagubił się na chwilę w myślach, ale Guillam niepotrzebnie się martwił. — Powiedz mi, czy możecie wywołać awarię domowego telefonu Ko?

Martello zerknął na Murphy'ego.

— Nie mamy odpowiedniego sprzętu, proszę pana — odparł ten — ale chyba moglibyśmy...

— W takim razie odetnijcie linię — przerwał Smiley. — Cały kabel, jeśli konieczne. Zróbcie to gdzieś przy robotach drogowych.

Wydawszy rozkazy, Martello przeszedł lekkim krokiem przez salę i usadowił się obok Smileya.

— Aha, George, chodzi o jutrzejszy dzień. Czy sądzisz, że moglibyśmy, hmm, przygotować się nieco do ostrzejszej gry? — Guillam przysłuchiwał się temu z uwagą przy biurku, przy którym stał i telefnował do Rockhursta. Z drugiego końca sali nadstawiał ucha Sam Collins. — Wydaje się, że trudno przewidzieć, co ten twój Westerby zrobi. Musimy być gotowi na rozmaite niespodzianki, prawda?

— Miej wszystko w pogotowiu, jak najbardziej, ale na razie nasze plany pozostają nie zmienione. I nadal ja dowodzę.

— Jasne, George, jasne — rzekł Martello przymilnie i z pokorą podreptał do swego obozu po drugiej stronie sali.

— Czego on chciał? — zapytał Guillam ściszym głosem, przysiadając obok Smileya. — Do czego próbuje cię namówić?

— Dość tego, Peter — uciął Smiley, również mruczając pod nosem. Nagle zapłonął gniewem. — Masz się więcej nie odzywać. Nie będę dłużej tolerował twoich bizantyjskich fantazji o pałacowych spiskach. Ci ludzie to nasi gospodarze i sprzymierzeńcy. Łączy nas z nimi pisemne porozumienie. Mam już dostatecznie dużo zmartwień bez tych groteskowych i, powiem to uczciwie, paranoicznych urojeń. A teraz bądź tak miły i...

— No to ci powiem...! — zaczął Guillam, ale Smiley kazał mu zamilknąć.

— Masz się skontaktować z Crawem. Pojedź do niego, jeśli trzeba. Może przejażdżka dobrze ci zrobi. Powiedz mu, że Westerby zerwał się nam ze smyczy. Natychmiast ma informować, jeśli się do niego odezwie. Będzie wiedział, co zrobić.

Wciąż przechadzając się wzdłuż rzędu foteli i ugniatając palcami to, co trzymał w dłoniach, Fawn patrzył, jak Guillam wychodzi.

W świecie Jerry'ego również była trzecia nad ranem. *Madame* znalazła dla niego brzytwę, ale świeżej koszuli nie miała. Ogolił się i umył najlepiej, jak potrafił, lecz ciało nadal bolało go od czubka głowy po koniuszki palców u stóp. Stał nad leżącą na łóżku Lizzie i obiecał, że wróci za kilka godzin, ale wątpił, by słyszała, co mówi. *Więcej dziewczyn zamiast informacji*, przypomniał sobie, *i świat byłby o wiele lepszym światem, panie Westerby*.

Wybierał kierowców od *pak-pai*, albowiem wiedział, że nie siedzą aż tak pod butem policji jak zwykli taksówkarze. Poza tym niektóre odcinki pokonywał piechotą. Chodzenie wyraźnie posłużyło jego ciału i mistycznemu procesowi podejmowania decyzji, ponieważ gdy leżał w pokoju na szezlongu, nic nie wydawało mu się możliwe. Potrzebował ruchu, by znaleźć dla siebie drogę. Zdązał nad Zatokę Głębokich Wód i wiedział, że wkracza w niebezpieczną okolicę. Teraz, kiedy się urwał, tamci otoczą jacht Ko jak hieny padlinę. Zastanawiał się, kogo mają, czego używają. Jeśli to „kuzyni”, trzeba się rozglądać za zbyt dużą ilością sprzętu i ludzi. Spadł deszcz i Jerry obawiał się, że mgła przerzednie. Powyżej księżyc już się częściowo ukazał. Jerry schodził cicho ze wzgórza, które dostrzegał w bladym świetle rzucanym przez dżonki maklerów, pojękujące i targające się na cumach. Zauważył, że wieje południowo-wchodni wiatr, coraz silniejszy. Jeśli to statyczny punkt obserwacyjny, to zainstalowali się dość wysoko, żeby nie było zakłóceń, i rzeczywiście, na cyplu na prawo zobaczył poobijaną frugonetkę mercedesa ukrytą między drzewami oraz antenę z chińskimi serpentynami. Zaczekał, wpatrzony, jak mgła się przetacza, aż ze wzgórza nadjechało auto z włączonymi światłami, i kiedy tylko go minęło, rzucił się przez jezdnię na drugą stronę, pewien, że żaden sprzęt na świecie nie pomoże im zobaczyć go za oślepiającymi reflektorami zbliżającego się samochodu. Na poziomie wody widoczność równała się zeru, musiał więc po omacku posuwać się promenadą i zejść po rozklekotanych drewnianych schodach, które pamiętał z pierwszego rekonesansu. Wreszcie znalazł tego, kogo szukał. Ta sama bezzębna staruszka siedziała w sampanie, uśmiechnięta do niego we mgle.

— Ko — szepnęła. — „*Admiral Nelson*” Ko? Jej rechoł przetoczył się echem po wodzie.

— Po Toi! — wykrzyknęła. — Tin Hau! Po Toi!

— Dziś?

— Dziś!

— Jutro?

— Jutro!

Rzucił jej kilka dolarów i odszedł, ścigany śmiechem.

Mam rację, pomyślał. Ja mam rację, Lizzie ma rację, oboje mamy rację. Ko jedzie na święto.

Modlił się w duchu, żeby dziewczyna nie wyściubiła nosa. Jeśli się obudziła, mogła nie wysiedzieć w pokoju.

Szedł, usiłując zagłuszyć ból w kroczu i plecach. Działaj powoli, krok po kroku, mówił sobie. Żadnych szaleństw. Rozgrywaj w miarę rozwoju wydarzeń. Mgła była niby korytarz prowadzący do wielu pokoi. Raz napotkał toczący się przy krawężniku samochód, obok którego biegł dla zaprawy trzymany na smyczy przez kierowcę owczarek niemiecki. Innym razem dwóch starców w podkoszulkach w trakcie porannej gimnastyki. W publicznym ogrodzie przyglądały mu się dzieci spod krzaku rododendronu, który najwyraźniej uczyniły swym domem, albowiem na gałęziach wisiały ich ubrania, a one same były nagie jak dzieci uchodźców we Phnom Penh.

Siedziała sztywno, czekając na niego. Wyglądała upiornie.

— Nie rób tego więcej — ostrzegła i wzięła go zaborczo pod rękę, gdy wychodzili znaleźć coś do jedzenia i łódź. — Nigdy nie zostawiaj mnie bez uprzedzenia.

Początkowo nie było wolnych łodzi w całym Hongkongu. Jerry nie brał pod uwagę dużych promów kursujących z turystami na wyspy. Wiedział, że Rocker ma je wszystkie na oku. Nie zamierzał również zejść nad zatokę i zagadywać pokątnie. Kiedy zadzwonił do przewoźników wodnych, wszystko, co mieli, było już albo wynajęte tego dnia, albo za małe na taką podróż. I wtedy przypomniał sobie o kombinatorze Luigim Tanie, który był legendą w Międzynarodowym Klubie Korespondentów. Luigi potrafił szybciej niż ktokolwiek inny wytrzasnąć spod ziemi dosłownie wszystko, począwszy od koreańskiej trupy tancerzy, na niżkowym bilecie na samolot skończywszy. Pojechali taksówką na drugą stronę Wanchai, dalej poszli piechotą. Była ósma rano, ale mgła się nie podniosła. Pogaszone neony spały w wąskich uliczkach niczym zmęczeni kochankowie: Happy Boy, Lucky Place, Americana. Ciepłe zapachy z otoczonych klientami straganów z jedzeniem mieszały się ze smrodem spalin i sadzy. Poprzez wylomy w murach dostrzegali kanał wodny. „Każdy powie, jak mnie znaleźć” — mawiał Luigi Tan. — „Trzeba tylko pytać o dużego faceta z jedną nogą”.

Znaleźli go w jego sklepie; dostatecznie wysoki, by wystawać zza kontuaru, ruchliwy pół-Portugalczyk, który niegdyś zarabiał na życie boksowaniem w obskurnych melinach Makau. Fronton sklepu miał szerokość sześciu stóp. Na towar składały się nowe motorowery oraz graty z demobilu, które nazywał antykami, ponadto dagerotypy

dam w kapeluszach w ramach z żółwich skorup, poobijany kufer podróżny oraz log żaglowca, którym wożono opium. Luigi wprawdzie znał Jerry'ego, ale o wiele bardziej spodobała mu się Lizzie i kiedy przepuścił ich pod sznurem prania do przybudówki z napisem „wstęp wzbroniony”, gdzie znajdowały się trzy krzesła i telefon stojący na podłodze, uparł się, żeby szła pierwsza, aby mógł przyjrzeć się jej pośladowcom. Złożywszy zgrabnie ciało, mówił po chińsku do słuchawki aparatu i po angielsku do dziewczyny. Stwierdził, że choć jest dziadkiem, wciąż z niego hoży chłopak, ma też czterech synów, wszyscy jak malowani. Syn numer cztery też już się uniezależnił. Wszyscy dobrzy kierowcy, dobrzy robotnicy i dobrzy mężowie. Powiedział również Lizzie, że ma mercedesa z kompletnym zestawem stereo.

— Może zabiorę cię kiedyś na przejażdżkę — dodał.

Jerry był ciekaw, czy dziewczyna zdaje sobie sprawę, że Luigi prosi ją o rękę tudzież o niewiele mniej.

A tak, odparł Luigi, łódź też się znajdzie.

Po dwóch telefonach wiedział już, że posiada łódź, którą kiedyś wypożyczył przyjaciółom po kosztach nominalnych. Podał Lizzie portfel, by policzyła, ile ma kart kredytowych, i obejrzała rodzinne fotki, z których jedna ukazywała homara schwytanego ponoć przez syna numer cztery w dzień jego ślubu, lecz tego nie mogli być pewni, bo poza skorupiakiem niewiele było widać.

— Po Toi to złe miejsce — rzekł Luigi do Lizzie, wciąż ze słuchawką telefonu przy uchu. — Bardzo niemiłe. Wzburzone morze, parszywe święto, kiepskie jedzenie. Po co tam jedzicie? Ze względu na Tin Hau, rzecz jasna, odpowiedział Jerry, wyręczając dziewczynę. Żeby zobaczyć słynną świątynię i uroczystości. Luigi Tan wolał rozmawiać z Lizzie.

— Lepiej jechać na Lantau — poradził. — To dobra wyspa. Niezłe jedzenie, dobre ryby, mili ludzie. Powiem im, że jedzicie na Lantau, będziecie jeść u Charliego. Charlie mój przyjaciel.

— Po Toi — rzekł Jerry stanowczo.

— Na Po Toi trzeba cholernie dużo forszy.

— Mamy cholernie dużo forszy — odparła Lizzie z uroczym uśmiechem i Luigi znów zmierzył ją wzrokiem, obrzucił zamyślnym spojrzeniem.

— Może pojedę z tobą — powiedział.

— Nie — odparł Jerry.

Luigi zawiózł ich do Zatoki Causeway i popłynęli sampanem. Łajbą była długa na czternaście stóp łódź motorowa z masztem, pospolita jak balia, ale Jerry uznał, że jest dostatecznie krzepka, a Luigi stwierdził, że ma głęboki kil. Na rufie siedział chłopiec, pluskając nogą w wodzie.

— Mój siostrzeniec — rzekł Luigi, z dumą targając chłopcu czu-
prynę. — Jego matka na Lantau. Zabierze was tam, zjecie u Charliego,
dobrze się zabawicie. Zapłacicie później.

— Posłuchaj, chłopie — zaczął Jerry cierpliwie. — Drogi kolego. Nie
chcemy płynąć na Lantau, lecz na Po Toi. Wyłącznie na Po Toi. Po Toi
albo nic. Wysadzisz nas tam i wrócisz.

— Po Toi to zła pogoda, złe święto. Złe miejsce. Za blisko chińskiej
wody. Mnóstwo komuchów.

— Po Toi albo nic — powtórzył Jerry.

— Łódź za mała — powiedział Luigi. Położył uszy po sobie i trzeba
było całego czaru Lizzie, by na powrót je postawił.

Przez następną godzinę chłopcy szykowali łódź, a Jerry'emu i Lizzie
pozostało jedynie zejść z widoku do nadbudówki, gdzie zaczęli sączyć w
rozsądnych ilościach remy martin. Co jakiś czas któreś pograżało się w
zadumie. Kiedy zdarzało się to Lizzie, kulila ramiona i bujała się powoli na
siedząco ze spuszczoną głową. Tymczasem Jerry szarpał się za grzywkę i
raz pociągnął tak mocno, że dziewczyna dotknęła jego ręki, by przestał, i
wówczas roześmiał się.

Z portu wypłynęli niemalże beztrasko.

— Nie wychylaj głowy — polecił Jerry Lizzie i objął ją na wszelki
wypadek, by nie porzuciła skromnego schronienia, jakie dawała nad
budówką.

Amerykański lotniskowiec pozbył się świetlnego stroju i stał w
wodzie szary i groźny niczym wyjęty z pochwy nóż. Zrazu otoczył ich
gęsty spokój. Na brzegu zwały mgły napierały na szare wieżowce, kolumny
zaś brązowego dymu wślizgiwały się w białe, nijakie niebo. Po gładkiej
tafli łódź niosła ich lekko jak balon, lecz gdy wydostali się za falochrony i
ruszyli na wschód, przodem zaczęło podrzucać i musieli przyhamować w
obawie przed wywrotką. Z drobnym dziobem szarpiącym się i ciągnącym
słabowicie resztę łodzi niby lichego koń, mijali dźwigi, składy towarów,
fabryki i kikuty wydrążonych przez górników wzgórz. Sunęli pod wiatr i
pył wodny tryskał na wszystkie strony. Chłopiec przy sterze śmiał się do
swego kolegi i wygłupiał. Jerry przypuszczał, że naigrawa się z nich
dwojga, pary zwariowanych okrągłookich, którzy wybrali sobie na zaloty
wywrotną łajbę. Minał ich olbrzymi tankowiec, pozornie zastygły w
bezruchu, którego śladem podążały brązowe dżonki. Z doków, gdzie
remontowano frachtowiec, mrugały do nich białym światłem spawarki.
Chłopak spoważniał, albowiem znaleźli się na morzu. Zerknąwszy do tyłu
między bujające się ściany statków, Jerry ujrzał Wyspę oddalającą się
powoli od niego, ściętą przez obłoki, podobną do góry stołowej. Po raz
kolejny Hongkong przestawał istnieć.

Minęli następny cypel. Na większych falach kołysanie stało się miarowe, chmury zaś obniżyły poziom, aż znalazły się ledwie kilka stóp nad masztem i przez dłuższą chwilę pozostawali w owym nierzeczywistym, zadaszonym świetle, płynąc pod osłoną szarego koca. Mgła skończyła się niespodziewanie i nagle znaleźli się w roztańczonych promieniach słońca. Na południu, na wzgórzach o bujnej roślinności, błyskało w przejrzystym powietrzu pomarańczowe światło latarni morskiej.

— Co teraz? — zapytała cicho, patrząc przez iluminator.

— Uśmiech i modlitwa — odrzekł Jerry.

— To ja się uśmiechnę, a ty się pomódl.

Równoległe do nich płynął statek pilotowy i przez chwilę Jerry spodziewał się, że ujrzy wściekłą gębę Rockera, ale tamci nie zwracali na nich uwagi.

— Kim oni są? — zapytała. — Co knują?

— Nic, to rutynowy kurs przy porcie. Bez znaczenia.

Statek oddalił się. Masz babo placek, pomyślał Jerry apatycznie. Namierzyli nas.

— Jesteś pewien?

— Setki łajb płyną na to święto.

Łódź podskoczyła nagle, raz, drugi, trzeci i tak już trwało. Świetny okręt, pomyślał Jerry, tuląc do siebie Lizzie. Świetny kil. Jeśli tak dalej pójdzie, nie będzie się nad czym zastanawiać. Morze dokona za nas wyboru. Była to jedna z tych eskapad, które jeśli zostają doprowadzone do końca, nie budzą niczyjzego zainteresowania, jeśli zaś nie, mówi się o niepotrzebnym narażeniu życia. Wschodni wiatr w każdej chwili mógł dokonać zwrotu. W porze między zachodnimi monsunami nic nie było pewne. Jerry słuchał z niepokojem dychawicznego kaszlu silnika. Jeśli siądzie, skończymy na skałach.

Znienacka jego lęki poczęły się nedorzecznie mnożyć. Butan, pomyślał. Chryste, butan! Kiedy chłopcy przygotowywali łódź, zobaczył dwie butle schowane w przedniej ładowni obok baniaków z wodą. Prawdopodobnie potrzebne im do gotowania homarów Lu-igiego. „Jaki dureń ze mnie, dopiero teraz się pokapowałem!” Butan jest cięższy od powietrza. A wszystkie butle na świetle przepuszczają. Kwestia tylko, jak bardzo. Z takimi falami walącymi w dziób gaz ulatnia się szybciej i pewnie zbiera na dnie pół metra od zapłonu silnika, z odrobiną tlenu dla zaiskrzenia. Lizzie wysunęła się z jego objęć i stanęła na rufie. Na morzu zrobiło się tłoczno. Znikąd pojawiła się flota dżonek rybackich i dziewczyna przypatrywała się łodziom z uwagą. Jerry chwycił ją za rękę i pociągnął z powrotem do kabiny.

— Myślisz, że gdzie jesteś, cholera?! — krzyknął. — Na wy cieczce?

Przyjrzała mu się, następnie pocałowała go lekko, raz, potem drugi.

— Uspokój się — rzekła. Pocałowała go po raz trzeci, mruknęła „tak”, jakby spełniły się jej oczekiwania, i usiadła spokojna, trzymając go za rękę, wyglądając na pokład.

Jerry szacował, że pod wiatr płyną pięć węzłów na godzinę. Powyżej rozległ się jazgot małego samolotu. Wepchnąwszy dziewczynę głębiej do kabiny, spojrział z niepokojem w górę, ale było za późno, by zobaczyć oznakowania.

Witamy, pomyślał gorzko.

Okrażali ostatni cyfel. Łódź podskakiwała i jęczała w pyłe wodnym. Naraz śruby z warkotem wydostały się nad powierzchnię wody. Kiedy znów jęły ciąć fale, silnik zająknął się, zachłysnął, ale uszedł z życiem. Jerry dotknął ramienia Lizzie i wskazał jej palcem kierunek, gdzie niby wycięta z papieru sylwetka majaczyła na tle rozdartego obłokami nieba naga, stroma wyspa Po Toi: dwa szczyty, strzeliste, większy na południu, z przełęczą pośrodku. Morze przybrało stalowoniebieską barwę i wiatr rwał je na strzępy, wpychając oddech z powrotem do ust i ciskając pyłem wodnym jak deszczem. Na lewo leżała wyspa Beauforta: latarnia morska, molo, bezludzie. Wiatr ucichł, jakby go nigdy nie było. Gdy wpływali na gładkie wody Po Toi od zawietrznej, nie powitał ich nawet najłżejszy podmuch. Słońce mocno prażyło. Z przodu, może w odległości mili, leżało wejście do największej zatoki wyspy, a dalej, niskie, brązowe cienie chińskich wysp. Wkrótce dostrzegli chaotyczną flotę dżonek i statki stłoczone w zatoce, a woda przyniosła pierwsze dźwięki bębnow i czynieli oraz nie skoordynowane monotonne śpiewy. Wyżej, na stoku wzgórza, leżała wioska, błyskając dachami z blachy, a na pobliskim cyplu tkwiła samotna budowla — świątynia Tin Hau z prowizoryczną trybuną w formie bambusowego rusztowania oraz tłumem ludzi w pozłocie słońca i wśród smug dymu.

— Po której to stronie? — zapytał Jerry dziewczynę.

— Nie wiem. Wspięliśmy się do jakiegoś domu i stamtąd szliśmy piechotą.

Ilekcioć mówił, patrzył na nią, i teraz zobaczył, że unika jego wzroku. Stuknąwszy w ramię nieletniego sternika, wskazał mu kurs. Chłopak natychmiast zaczął protestować. Jerry postąpił ku niemu i pokazał zwitek banknotów, wszystkie, które mu pozostały. Łódź bez wdzięku skręciła przy wejściu do zatoki i klucząc między łodziami, skierowała się do małego granitowego cypla, gdzie wałące się molo nie zapowiadało bezpiecznego przybicia. Hałas świętujących znacznie się wzmógł. Czuć było zapach pieczonych prosiąt i słycać zgodne wybuchy śmiechu, ale przez długą chwilę tłum był dla nich niewidoczny, podobnie jak oni dla tłumu.

— Tam! — ryknął Jerry — Podpłyn tam, szybko! Szybko!

Molo zachwiało się pijacko, kiedy się na nie wdrapali. Nie zdążyli jeszcze zejść na ląd, gdy łódź już odpłynęła w drogę do domu. Nikt się nie pożegnał. Rozpoczęli wspinaczkę, trzymając się za ręce, i na górze natknęli się na grę hazardową, obserwowaną przez roześmiany tłum. Pośrodku zebranych stał błazeński starzec z torbą monet, które ciskał ze skały jedna po drugiej, a tymczasem boski chłopcy rzucali się w pogoń za nimi, w ferworze rywalizacji popychając jeden drugiego na krawędź stromego urwiska.

— Popłynęli łodzią — powiedział Guillam. — Rockhurst przesłuchał właściciela. To jakiś znajomy Westerby'ego. Westerby i piękna dziewczyna wzięli łódź, żeby popłynąć na Po Toi.

— A jak Rockhurst to rozegrał? — zapytał Smiley.

— Powiedział, że to nie ci, których szuka. Skłonił się nisko, rozczarowany. Policja portowa również poniewczasie doniosła, że zaobserwowała tę łódź na kursie do Po Toi.

— George, chcesz, żebyśmy wysłali samolot zwiadowczy? — zapytał Martello nerwowo. — Marynarka ma różne cacka w pogotowiu.

Naraz Murphy wystąpił z genialnym planem.

— A może byśmy wzięli parę śmigłowców, polecili tam i zgarnęli Nelsona z dżonki? — zaproponował.

— Zamknij się — powiedział Martello.

— Płyną na wyspę — stwierdził stanowczo Smiley. — To pewne. Nie wydaje mi się, żebyśmy potrzebowali lotnictwa dla potwierdzenia.

Martello nie był usatysfakcjonowany.

— To może powinniśmy wysłać paru ludzi na wyspę. Może wreszcie powinniśmy się włączyć.

Fawn stał nieruchomo jak skała. Nawet jego dłonie się uspokoiły.

— Nie — powiedział Smiley.

Uśmiech na twarzy Collinsa nieco przygasł.

— Z powodu? — zapytał Martello.

— Ko do ostatniej sekundy kontroluje sytuację. Może wysłać bratu sygnał, żeby nie schodził na ląd — wyjaśnił Smiley. — Może go do tego skłonić najmniejsze zamieszanie na wyspie.

Martello westchnął gniewnie, nerwowo. Już dawno odłożył fajkę, którą popalał, i częstował się śmiało brązowymi papierosami siedzącego obok Collinsa, których ten miał najwyraźniej niewyczerpane zapasy.

— George, powiedz mi, czego chce ten facet? — zapytał rozeźlony. — Planuje szantaż? Zwariował? Nie widzę w tym sensu.

— Naraz przyszła mu do głowy straszna myśl i głos mu się załamał. Wyciągniętą ręką wskazał przeciwną ścianę. — Nie mów mi tylko, na miłość boską, że to jeden z tych nowych! Że to jeden z tych nawróconych weteranów zimnej wojny, który wykonuje misję samooczyszczenia na forum publicznym! Bo jeśli tak i za tydzień mamy przeczytać historię jego życia w „Washington Post”, to ja zaraz wyślę na tę wyspę całą Piątą Flotę, żeby go tylko powstrzymać. — Obrócił się do Murphy'ego.

— Mamy prerogatywy, tak?

— Tak.

— George, chcę, żebyśmy posłali ekipę na Po Toi. Możecie się dołączyć albo siedzieć tu dalej, jak chcecie.

Smiley popatrzył na Martella, potem na Guillama z jego obwiązaną, nieprzydatną ręką, następnie na Fawna, który zastygł niby skoczek na końcu trampoliny, z przymkniętymi oczami i zwartymi nogami, bujając się lekko na stopach.

— Fawn i Collins — rzekł w końcu.

— Wy dwaj — zwrócił się Martello do swoich milczków — zawieziecie ich na lotniskowiec i przekazcie naszym. Murphy wraca.

Na miejscu Collinsa pozostała chmura dymu papierosowego. Tam, gdzie przed chwilą tkwił Fawn, toczyły się leniwie po podłodze dwie gumowe piłki. Znieruchomiały.

— Boże, pomóż — mruknął ktoś gorliwie. Guillam, ale Smiley puścił jego słowa mimo uszu.

Lew, w którym kryli się trzej mężczyźni, szarżował na roześmianych ludzi, a samozwańczy pikadorzy poszturchiwali go kijami, gdy rozkołysanym krokiem podążał w dół wąską ścieżką, przyciągany łoskotem bębnow i czyneli. Dotarłszy do cypla, procesja zawróciła powoli i jęła podążać po swoich śladach. Właśnie w tym miejscu Jerry, zgięty wpół, by nie wystawać o głowę ponad innych, szybko wciągnął Lizzie w sam środek tłumu. Droga była błotnista i usiana kałużami. Wkrótce wraz z tancerzami znaleźli się poza świątynią i ruszyli betonowymi schodami na piaszczystą plażę, na której pieczono prosięta.

— W którą stronę? — zapytał.

Szybko poprowadziła go w lewo, z dala od rozpląsanej gromady, wiejskimi opłotkami i drewnianym mostem spinającym brzegi zatoczki. Wspięli się po zboczach skrajem cyprysowego zagajnika, Lizzie pierwsza, aż ponownie znaleźli się sami. Stanęli nad zatoką w kształcie idealnej podkowy i w dole ujrzeli *Admirala Nelsona*, który niby wielka dama kołysał się pośrodku wody w otoczeniu setek łodzi i dżo-

nek. Na pokładzie nie było nikogo, nawet załogi. W dali stało na kotwicy kilka szarych kutrów policyjnych.

Czemu nie, pomyślał Jerry, w końcu to święto.

Lizzie puściła jego dłoń. Odwrócił się ku niej i zobaczył, że nadal wpatruje się w jacht Ko, a na jej twarzy pojawił się cień rozterki.

— Naprawdę tędy cię przyprowadził? — zapytał.

Tak, tędy, odpowiedziała, spojrzawszy na niego tak, jakby chciała coś potwierdzić lub rozważyć w myślach. Pocałowała go w usta i skupiona przesunęła palcem po jego wargach.

— Jezu — westchnęła i równie poważnie pokręciła głową.

Ponownie zaczęli się wspinać. Jerry zerknął w górę i ujrzał zwodniczo bliski, brązowy wierzchołek wyspy, a na stoku zapuszczone poletka ryżowe. Wkroczyli do wioski, której jedynymi mieszkańcami były burkliwe kundle. Zatoka zniknęła z oczu. Opustoszały budynek szkoły stał otworem. W drzwiach widać było plakaty z walczącymi w powietrzu samolotami. Na schodku stały stągwie. Lizzie pochyliła się nad jedną, nabrała wody w stulone dłonie i obmyła twarz. Chaty zabezpieczono przed tajfunami za pomocą stalowych lin i cegieł. Ścieżka zrobiła się piaszczysta i maszerowało się coraz trudniej.

— Nadal tędy? — spytał.

— Jeszcze kawałek pod górę — odparła, jakby miała już serdecznie dość udzielania odpowiedzi. — Jeszcze kawałek, potem będzie dom i już. Chryste, za kogo ty mnie masz, za kretynkę?

— Nic nie mówię — odparł Jerry. Otoczył ją ramieniem, a ona przytuliła się do niego, poddawszy jego woli tak samo, jak to kiedyś uczyniła na parkiecie.

Od strony świątyni ryknęła ogłuszająca muzyka, albowiem ktoś sprawdzał działanie głośników, po chwili zaś dobiegło powolne, melodyjne zawrozczenie. Znowu pojawiła się zatoka. Na plaży zebrał się tłum ludzi. Jerry dostrzegł więcej dymów i w nieruchomym, rozpalonym powietrzu zwiertzył zapach kadzideł. Woda była błękitna, czysta i spokojna. Wokół jaśniały białe lampy osadzone na słupkach. Jacht Ko stał nieruchomo, podobnie jak łodzie policyjne.

— Widzisz go? — spytał.

Przyglądała się zebranim. Pokręciła głową.

— Pewnie uciął sobie drzemkę po lunchu — rzuciła niedbale.

Słońce paliło bezlitośnie. Gdy znaleźli się w cieniu stoku, zrobiło się ciemno, jakby zapadła noc, gdy zaś wyszli z półmroku, ich twarze smagnął skwar niczym żar ogniska. Zbocze usłane było wielkimi głazami, w powietrzu tańczyły ważki, krążąc nad krzakami w czerwono--biało--żółtych chmarach. Wokół wałało się mnóstwo starych puszek.

— To ten dom?

— Mówiłam ci — odparła.

Była to rudera, waląca się willa o splekanych, brązowych ścianach zionących wyrwami, wzniesiona z odrobiną fantazji powyżej wyschniętego strumienia. Prowadził do niej betonowy mostek. Nad cuchnącym błotem kłębił się rój owadów. Z przezierających między palmami i paprociami szczytków werandy rozciągał się widok na morze i zatokę. Gdy pokonali mostek, Jerry chwycił dziewczynę za ramię.

— Zakończmy to tutaj — powiedział. — Nie będzie żadnych pytań. Po prostu opowiedz.

— Już ci mówiłam, doszliśmy do tego miejsca, ja, Drake i pieprzony Tiu. Chłopcy przynieśli kosz i coś do przepłukania gardła. „Dokąd idziemy?“, spytałam, a on na to: „na piknik“. Tiu był przeciwny, żeby mnie brać, ale Drake powiedział, że mogę iść. „Przecież ty nienawidzisz chodzić“, mówię. „Jak żyję nie widziałam, żebyś przeszedł na drugą stronę ulicy!“. „Dziś się przejdziemy“, odpowiedział, grając znowu wielkiego wodza. Tak więc zamknęłam dziób i poszłam z nimi.

Ciemna chmura przesunęła się nad wierzchołkiem góry i powoli opadała na wzgórze. Słońce zniknęło. Chwilami obłok zachodził na nich i wtedy świat kurczył się do ich dwojga, w mroku nie widzieli nawet własnych stóp. Weszli po omacku do domu. Usiadła z dala od niego na zwalonej kalenicy. Na framugach widniały chińskie bazgrały wymalowane pionowo czerwoną farbą. Na podłodze wały się odpadki i długie pasy tapety.

— Kazał chłopcom zmykać, więc zemknęli. Potem gadał długo z Tiu w języku, którym akurat w tym tygodniu się porozumiewali. Nagle w połowie lunchu przeszedł na angielski i powiedział mi, że Po Toi to jego wyspa. Że tutaj znalazł się po ucieczce z Chin. Tutaj dowiózł go lud łodzi. „Moi ludzie“, tak ich nazywa. Dlatego co roku przyjeżdża tu na święto, dlatego wspiera datkami świątynię i dlatego wdrapaliśmy się w pocie czoła na to cholerne wzgórze. Potem znowu przeszli na chiński, a ja miałam wrażenie, że Tiu łajał Drake'a za to, że miele jęzorem, ale Drake był rozochocony jak dzieciak i nic do niego nie docierało. Potem wdrapali się na górę.

— Na górę?

— Na sam szczyt. „Nie ma jak stare ścieżki“, powiedział. „Trzeba się trzymać tego, co sprawdzone“. Na koniec dorzucił swój bapty-styczny tekst: „Poprzestań na tym, co dobre Liese. To raduje Pana“.

Jerry zerknął na obłok mgły w górze, albowiem przysięgłby, że dobiegł go słaby warkot samolotu, lecz w tamtej chwili nie przejął się tym zbyt, ponieważ miał to, czego najbardziej w świecie potrzebował. Dziewczynę i informacje. Dopiero teraz w pełni pojął, co

Lizzie znaczyła dla Smileya i Collinsa oraz w jaki sposób bezwiednie zdradziła im zamiary Ko.

— Tak więc weszli na szczyt. Poszłaś z nimi?

— Nie.

— Widziałaś dokąd poszli?

— Na sam szczyt. Mówiłam ci już.

— I co potem?

— Potem patrzyli na drugą stronę. Rozmawiali. Pokazywali coś. Rozmawiali i wskazywali na coś, potem zeszli, a Drake był jeszcze bardziej podekscytowany. Tak samo zachowuje się, gdy interesy dobrze mu idą i nie ma obok siebie Tiu, który popsuje mu humor. Tiu za to był śmiertelnie poważny, zawsze taki się robi, gdy Drake okazuje mi względy. Drake chciał zostać i trochę sobie popić, więc wściekły Tiu wrócił do Hongkongu. Drake'a wzięło na amory, zdecydował, że spędzimy noc na łodzi, a raniem wrócimy do domu. I tak się stało.

— Gdzie zazwyczaj trzyma jacht? Tutaj? W zatoce?

— Nie.

— Gdzie?

— Przy Lantau.

— Popłynęliście tam od razu?

Pokręciła głową.

— Zrobiliśmy rundkę wokół wyspy.

— Tej wyspy?

— Jest takie miejsce, które chcieliśmy zobaczyć po zmroku. Skrawek plaży po drugiej stronie. Chłopcy musieli przyświecać reflektorami. Powiedział, że tam właśnie przybił do brzegu w pięćdziesiątym pierwszym. Lud łodzi bał się wpłynąć do głównego portu. Bali się policji, duchów, piratów i celników. Twierdzili, że wyspiarze poderzną im gardła.

— A co było w nocy? ■— spytał łagodnie Jerry. — Gdy staliście przy Lantau?

— Powiedział mi, że ma brata i że go kocha.

— Wtedy powiedział ci to po raz pierwszy?

Skinęła głową.

— Powiedział, gdzie jest brat?

— Nie.

— Ale ty się domyśliłaś?

Tym razem nie dała żadnej odpowiedzi.

W chmurę wdarł się dochodzący z dołu gwar świętujących. Jerry delikatnie podniósł dziewczynę.

— Przekłęte pytania — szepnęła.

— Już prawie koniec — odparł. Pocałował ją. Pozwoliła mu na to, ale zachowała bierność.

— Wejdźmy wyżej i popatrzymy sobie — rzekł.

Dziesięć minut później znów pojawiło się słońce i błękit nieba. Lizzie szła pierwsza; szybko pokonali kilka zdradliwych wzniesień w drodze do przełęczy. Odgłosy znad zatoki ucichły, chłodniejsze powietrze wypełniły wrzaski kołujących mew. Zbliżyli się do grani i szli obok siebie. Ścieżka stała się szersza. Po paru krokach wiatr zaatakował ich z taką siłą, aż zawirowało nimi i zatkało dech. Przystanęli na skraju urwiska, zerkając w przepaść. Tuż pod ich stopami klif kończył się pionową ścianą, o którą w dole były rozwścieczone fale, cypel zaś pokrywały tumany piany. Od wschodu nadpływały ciastowate obłoki, za nimi czernił się pułap nieba. Około dwustu jardów niżej leżała zatoczka, do której nie docierały przybrzeżne fale. Nieco dalej z potęgą morza mocował się brązowy blok skalny, na którym fale pozostawiały białe półkola piany.

— To tam?! — spytał, przekrzykując wicher. — Tam wylądował?!
Na tym skrawku plaży?!

— Tak!

— Tam świecili reflektorami?!

— Tak!

Pozostawiwszy Lizzie na miejscu, przesunął się powoli na kraniec klifu, nieomal zgięty wpół pod świszczącymi w uszach podmuchami wiatru, który pokrył jego twarz lepką, słoną warstwą pyłu wodnego. Żołądek rozgorzał bólem, co jak przypuszczał, spowodowane było przebitym jelitem lub wewnętrznym krwotokiem, bądź jednym i drugim. Stojąc w najdalej wysuniętym punkcie, tuż przed miejscem, gdzie klif wrzynał się w morze, jeszcze raz spojrzął w dół i teraz wydało mu się, że dostrzega ślad ścieżki, miejscami jedynie smugę na skale lub pas zmierzwionej trawy, wiodącej wytrwale w stronę zatoczki. Nie było tam piasku, lecz niektóre skały wyglądały na suche. Wrócił do dziewczyny i zabrał ją znad urwiska. Wiatr ucichł, dobiegł ich za to znacznie głośniejszy niż dotąd zgiełk weselących się ludzi. Trzaskające petardy prowadziły wojnę na niby.

— Chodź o jego brata — wyjaśnił. — O Nelsona. Mówię ci to na wypadek, gdybyś nie kojarzyła. Ko ściąga go z Chin. Dziś w nocy. Sęk w tym, że facet ma powodzenie, mnóstwo osób miałoby ochotę zamienić z nim słówko. W tym celu zjawił się u ciebie Mellon. — Zacerpnął powietrza. — Na mój rozum powinnaś się stąd zmyć. Co ty na to? Drakę nie byłby zachwycony twoim widokiem. To jasne jak słońce.

— A twoim będzie? — spytała.

— Uważam, że powinnaś wrócić do portu — oświadczył. —
Słuchasz mnie?

— Oczywiście — wykrztusiła z trudem.

— Rozejrzyj się za jakąś miłą, przyjazną rodziną okrągłookich. Raz w życiu upatrz sobie kobietę, faceta zostaw w spokoju. Powiesz jej, że pożarłaś się ze swoim chłopakiem, i spytasz, czy nie zabraliby cię z powrotem do Hongkongu. Jeśli dadzą się nabrać, zostań z nimi na noc, jeśli nie, idź do hotelu. Uracz ich jedną z twoich historyjek. To dla ciebie chyba żaden problem, co?

Śmigłowiec policyjny zatoczył w powietrzu szerokie półkole, prawdopodobnie obserwując święto. Jerry instynktownie chwycił dziewczynę za ramiona i wciągnął między skały.

— Pamiętasz ten drugi lokal, do którego wtedy poszliśmy? Tam, gdzie grał duży zespół? — Nadal ją trzymał.

— Tak.

— Spotkamy się tam jutro wieczorem.

— No, nie wiem.

— Tak czy inaczej, bądź tam o siódmej. O siódmej, będziesz pamiętać?

Odepchnęła go delikatnie, jakby zdecydowała się stać sama.

— Powiedz mu, że dochowałam wiary — poprosiła. — Na tym mu najbardziej zależy. Gdy go zobaczysz, powiedz mu, że Liese dotrzymała umowy.

— Jasne.

— Nie zbywaj mnie żadnymi „jasne”. Powiedz mu. Wypełnił wszystko, co obiecał. Powiedział, że się o mnie zatroszczy. I zatroszczył. Powiedział, że puści Rica. I tak zrobił. Zawsze dotrzymuje umowy.

Ujął w dłonie jej głowę i uniósł lekko, ale ciągnęła:

— I powiedz mu... powiedz mu... że to przez nich nie wyszło. Osaczyli mnie.

—• Bądź tam od siódmej — powiedział. — Czekaj na mnie. Mogę się trochę spóźnić. Teraz chodźmy, to chyba nie takie trudne, prawda? Nie trzeba skończyć uniwerka, żeby mieć to za sobą.

Próbował ją uspokoić, wywołać uśmiech, walczył o ostatnią oznakę wspólnoty przed rozstaniem.

Skinęła głową.

Chciała coś powiedzieć, lecz nie mogła. Odeszła kilka kroków, odwróciła się i spojrzała na niego. Machnął ręką, raz, szeroko. Ruszyła dalej, aż znalazła się poniżej zarysów wzgórza, lecz on usłyszał jeszcze wykrzyczane przez nią: „Zatem o siódmej!” albo tak mu się tylko zdawało. Odprowadziwszy ją wzrokiem, wrócił na wąski szpic cypla, gdzie posiedział chwilę, by wytchnąć przed czekającą go przygodą Tarzana. Przypomniał sobie urywek z Johna Donne’a, jedną z niewielu rzeczy, które wyniósł ze szkoły, mimo że jakoś nigdy nie potrafił spamiętać dokładnie cytatów albo przynajmniej tak sądził:

*Na ogromnym wzgórzu,
Urwistym i niedostępnym, Prawdy jest siedlisko,
ten zaś, kto dotrzeć do niej pragnie, dookoła, dookoła iść musi.*

Albo coś w tym rodzaju. Minęła godzina, potem druga, a on, pogrążony w myślach, leżał osłonięty przed wiatrem w załomie skalnym i przyglądał się, jak nad odległymi o parę mil chińskimi wyspami dzień przechodzi w zmierzch. Potem zdjął buty z kozłej skóry i nawłókł sznurowadła „w jodełkę”, tak jak zwykł wiązać obuwie do krykieta. Włożył buty i ściągnął sznurowadła najmocniej, jak się dało. Równie dobrze mógłbym być teraz w Toskanii, pomyślał, i gapić się z pola szerszeni na pięć wzgórz. Tylko że tym razem nie zamierzał nikogo porzucać. Ani dziewczyny. Ani Luke'a. Nawet nie siebie samego. Choćby wymagało to wiele łażenia.

— Wywiad marynarki donosi, że flota dzonek płynie z prędkością sześciu węzłów stosownym kursem — oznajmił Murphy. — Opuścili łowiska dokładnie o jedenastej, zgodnie z naszymi przewidywaniami.

Zdobył skądś komplet miniaturowych stateczków z bakelitu, które przymocował do mapy. Z dumą skierował konwój na wyspę Po Toi.

Murphy wrócił, jego kolega zaś został z Collinsem i Fawnem, tak więc w konsulacie było ich teraz tylko czterech.

— Rockhurst odnalazł dziewczynę — powiedział cicho Guillam, odkładając słuchawkę. Był potwornie błądy, ramię go rwało.

— Gdzie? — spytał Smiley.

Murphy odwrócił się od mapy. Martello odłożył długopis na biurko, na którym leżała księga raportów.

— Zwinął ją, jak tylko zeszła na ląd w porcie — wyjaśnił Guillam. — Ublagała na Po Toi jakiegoś bankiera i jego żonę, żeby zabrali ją z powrotem do Hongkongu.

— I co dalej? — zapytał Martello, zanim Smiley zdążył otworzyć usta. — Gdzie jest Westerby?

— Nie wie — odparł Guillam.

— No nie!

— Dziewczyna twierdzi, że posprzeczali się i odплыnęli z wyspy osobno. Rockhurst mówi, żebyśmy dali mu godzinę, to wszystko z niej wydobędzie.

— A Ko? — odezwał się Smiley. — Gdzie jest Ko?

— Jego jacht jest ciągle w porcie na Po Toi — odrzekł Guillam.
— Większość turystów już odplynęła, ale jego jacht stoi tam, gdzie stał. Przytulnie zakotwiczony w zatoce, nikogo na pokładzie.

Smiley zapatrzył się na mapę morza, potem przeniósł wzrok na Guillama, a następnie na mapę Po Toi.

— Jeśli powiedziała Westerby'emu to samo, co Collinsowi, to został na wyspie — rzekł.

— Z jakimi zamiarami? — zapytał podniesionym głosem Martello.
— George, po co ten facet siedzi na tej wyspie?!

Uplynęła wieczność, nim Smiley odpowiedział.

— Czeka.

— Na co, jeśli wolno spytać? — nie dawał za wygraną Martello.

Żaden z nich nie widział twarzy Smileya. Znalazła swój własny cień. Ujrzeli natomiast, jak zgarbił plecy, jak dłoń powędrowała ku okularom, jakby chciała je zdjąć, a następnie opadła na blat palisandrowego stołu.

— Cokolwiek postanowimy, przede wszystkim musimy pozwolić Nelsonowi zejść na ląd — rzekł zdecydowanie.

— Ale czy w ogóle coś postanowimy?! — ryknął Martello. Zerwał się na nogi i obszedł biurko. — Westerby'ego oficjalnie tu nie ma, George. Przyjechał do Kolonii po kryjomu. Cholera, przecież może uciec tą samą trasą!

— Nie krzycz na mnie, bardzo proszę — rzekł Smiley.

Martello puścił uwagę mimo uszu.

— Co to w końcu ma być, kurwa mać?! Tajna operacja czy gówno na patyku?!

Guillam podniósł się wyprężony, zagrządzając drogę, i przez chwilę wydawało się, że pomimo złamanego obojczyka zamierza powstrzymać Martella przed marszem na siedzącego Smileya.

— Peter — odezwał się Smiley cicho. — Widzę, że za tobą stoi telefon. Bądź tak dobry i podaj mi go, dobrze?

Była pełnia, wiatr ucichł, a na morzu zapanował spokój. Jerry nie zszedł nad samą zatokę, lecz zrobił sobie przystanek trzydzieści stóp nad wodą, gdzie znalazł schronienie wśród zarośli. Dłonie i kolana miał pokaleczone do krwi, policzek rozorany przez gałąź, ale czuł się świetnie: był głodny i czujny. Wysiłek i strach kazały mu zapomnieć o bólu. Zatoczka okazała się większa, niż wyglądała z góry, w granitowych klifach na poziomie morza ziały otwory grot. Usiłował odgadnąć zamiary Drake'a — z powodu Lizzie myślał teraz o nim „Drake”. Głowił się cały dzień. Doszedł do wniosku, że cokolwiek Chińczyk zamierza, jest nad samym morzem, albowiem nie byłby

zdolny do karkołomnego zejścia z urwiska. Początkowo zastanawiał się, czy Drake nie chce aby przechwycić Nelsona przed przybiciem dżonki do brzegu, ale uznał, że Nelson nie mógłby niepostrzeżenie wymknąć się z konwoju i spotkać z bratem na morzu.

Niebo pociemniało, pojawiły się gwiazdy, rozbłysła złota smuga znacząca wędrówkę księżyca. A Westerby? — pomyślał. Co teraz zrobi nasz bohater? Jedno jest pewne: zoczył cholernie daleko od drogi wytyczonej mu przez mędrców z Sarratt.

Drake byłby niespełna rozumu, gdyby próbował przybić do brzegu po tej stronie wyspy. Jego jacht nie był dostatecznie zwrotny i potrzebował zbyt dużo wody pod kilem, by podejść do brzegu od nawietrznej. Lepsza byłaby niewielka łódka, a najlepiej sampan lub ponton. Jerry zsuwał się po urwisku, aż obcasy grzechotały o kamienie, potem skulił się pod skalną ścianą, wpatrzony w bijące fale i drobiny fosforu tańczące wraz z morską pianą.

„Pewnie już wróciła”, pomyślał. Przy odrobinie szczęścia wprosiła się do czyjegoś domu, oczarowuje dzieciaki i rozgrzewa się kieliszkiem whisky. „Powiedz mu, że dochowałam wiary”.

Księżyc powędrował wyżej, a Jerry nadal czekał, osuwając oczy z najciemniejszymi miejscami, by widzieć jak najlepiej. Przysięgłby, iż wśród plusku fal złowił uchem głuchy chlupot wody o drewnianą burtę i krótkotrwały warkot włączonego i zgaszonego zaraz silnika. Nie dostrzegł żadnego światła. Prześlizgując się pod pogrążoną w cieniu skałą, doczołgał się na tyle blisko wody, na ile starczało mu odwagi. Ponownie przykucnął w oczekiwaniu. W chwili gdy fala oblała mu uda, ujrzał to, czego wypatrywał: na tle smugi wędrującego księżyca, nie dalej jak w odległości dwudziestu jardów, kołysał się na kotwicy samotny sampan o łukowatej kabinie i zagiętym dziobie. Uszu Jerry'ego dobiegł plusk i wydany stłumionym głosem rozkaz. Osunąwszy się na tyle, na ile pozwalała skarpa, spostrzegł na tle rozgwieżdżonego nieba wyraźny profil Drake'a Ko, jak w swoim francuskim berecie brodzi ostrożnie w stronę plaży, za nim zaś Tiu, trzymający w obu dłoniach karabin maszynowy M6. Tuś mi, pomyślał Jerry, kierując to bardziej do siebie niż do Drake'a Ko. Kres długiej drogi. Zabójca Luke'a, zabójca Frościa — nieważne, czy zabił cudzymi rękoma czy osobiście — kochanek Lizzie, ojciec Nelsona, brat Nelsona. Witamy człowieka, który nigdy w życiu nie złamał obietnicy.

Drake także niósł ciężar, ale nie tak złowrogi jak Tiu. Na długo zanim Jerry dostrzegł wyraźnie zarysy przedmiotów, wiedział, że to reflektor i akumulator, podobne do tych, których używał na szkoleniu w delcie Helfordu, z tym że Cyrk upodobał sobie raczej ultrafiolet i tandetne okulary w drucianych oprawkach, nieprzydatne w deszczu lub pyle wodnym.

Mężczyźni dobrnęli do plaży i zasapani szli po kamykach, aż dotarli do najwyższej położonego miejsca, a potem, podobnie jak Jerry, wtopili się w czerń skał. Przypuszczał, że znajdują się sześćdziesiąt stóp od niego. Dobiegło go chrząknięcie, potem zobaczył błysk zapalniczki i dwa rozżarzone punkty, i usłyszał pomruk rozmowy. Sam bym się chętnie poczęstował, pomyślał. Pochyliwszy się, wyciągnął wielką rozczapierzoną dłoń, nabrał pełną garść kamyków i na tyle cicho, na ile potrafił, ruszył wzdłuż podnóża skały w stronę dwu czerwonych ogników. Ocenił, że dzieli go od nich z osiem kroków. W lewej dłoni ścisnął pistolet, w prawej kamyki. Wsłuchał się w chlu-pot fal, jak wzbierają, stają dęba i odskakują wstecz, i pomyślał, że łatwiej byłoby rozmawiać z Drake'em, gdyby udało się wyłączyć Tiu.

Bardzo wolno, w klasycznej pozycji zawodnika rzucającego piłką, odchylił tułów, uniósł łokieć lewej ręki na wprost twarzy, a prawe ramię odciągnął daleko do tyłu, gotów do wzięcia pełnego zamachu. Słyszał pędzące morze, szum rozbitej piany i bulgot nadciągających grzywaczy. Czekał z wyciągniętą do zamachu ręką, aż dłoń ścisnąca kamyki stała się mokra od potu. Gdy następna fala wezbrała, cisnął z całej siły kamyki na szczyt urwiska. Przycupnął w półprzysiadzie, wpatrzony w dwa czerwone ogniki. Czekał. Po chwili usłyszał, jak pierwsze kamyki uderzają o skałę, jak ich grad przybiera na sile, doszło go krótkie przekleństwo Tiu i rozżarzony punkcik zatańczył w powietrzu, albowiem Chińczyk poderwał się z karabinem w dłoniach i celując w stronę urwiska, stanął tyłem do Jerry'ego. Drake rzucił się nieporadnie za skały.

Najpierw Jerry mocno uderzył Tiu pistoletem, uważając by schować palce pod osłonę przy spuście. Następnie zadał drugi cios, prawą ręką, trafiając go z impetem dwiema kostkami zamkniętych palców, pięścią skierowaną do dołu i — jak mawiają w Sarratt — wyprowadzoną ruchem obrotowym, z pełnym zamachem. Gdy Tiu padł, Jerry wymierzył mu prawą nogą potężnego kopniaka w twarz i usłyszał trzask kłapiącej szczęki. Podniósł M16 i wbił kolbę Chińczykowi w nerki, myśląc z gniewem o Luke'u i Froście, a także o wrednej gadce na temat Lizzie nie wartej podróży z Koulunu do Hongkongu. Pozdrowienia od koniarza, pomyślał.

Następnie spojrzął w stronę Ko, który choć postąpił do przodu, wciąż był ledwie czarną sylwetką na tle morza: zgiętą postacią o pre-celkowych uszach wystających spod starego beretu. Wiatr znów się zerwał — albo może Jerry nie uświadamiał sobie dotąd, że wieje. Świszczał w skałach poniżej i nadymał spodnie Ko.

— Pan Westerby, angielski dziennikarz? — zapytał Chińczyk tym samym głębokim, chrapliwym głosem co w Happy Valley.

— We własnej osobie.

— Z pana jest bardzo polityczny człowiek. Czego pan tu chce, u licha?

Jerry dopiero odzyskiwał oddech i przez chwilę nie był gotów odpowiedzieć.

— Ricardo powiedział moim ludziom, że pan chce mnie szantażować. Czy pańskim celem są pieniądze?

— Mam wiadomość od pańskiej dziewczyny — powiedział Jerry, czując, że w pierw powinien wywiązać się z obietnicy. — Mam przekazać, że dochowała wiary, że stoi po pańskiej stronie.

— Ja nie mam strony. Jestem jednoosobową armią. Czego pan chce? Marshall mówił moim ludziom, że z pana bohater. Bohaterowie to bardzo polityczni ludzie. Nie dbam o bohaterów.

— Przyszedłem pana ostrzec. Chcą Nelsona. Nie wolno go panu zabierać do Hongkongu. Wszystko uknute i gotowe. Załatwią go, że do końca życia się nie pozbiera. I pana też. Stoją w kolejce po was obu.

— Czego pan chce?

— Zawrzeć umowę.

— Nikt nie chce samej umowy. Wszyscy chcą jakiegoś towaru. Umowa tylko prowadzi do jego zdobycia. Czego pan chce? — powtórzył rozkazująco Ko, podnosząc głos. — Proszę powiedzieć.

— Kupił pan dziewczynę za życie Ricarda — odparł Jerry. — Pomyślałem sobie, że ja odkupię ją za życie Nelsona. Pomówię z nimi w pana imieniu. Wiem, czego chcą. Dobijemy targu.

Oto po raz ostatni wciskam stopę w drzwi, pomyślał.

— Politycznego targu? Z pańskimi ludźmi? Wielokrotnie dobijałem z nimi politycznego targu. Mówili mi, że Bóg kocha dzieci. A czy pan widział kiedykolwiek, żeby Bóg kochał jakieś azjatyckie dziecko? Powiedzieli mi, że Bóg jest *kwailo*, a jego matka miała jasne włosy. Powiedzieli, że to pokojowo usposobiony człowiek, ale gdzieś kiedyś przeczytałem, że nigdzie nie było tylu wojen domowych co w ziemi Chrystusa. Powiedzieli...

■ — Pański brat, panie Ko.

Ko obrócił się błyskawicznie. Z lewej strony, od wschodu, nadpływało w poszarpanej kolumnie kilkanaście dżonek pod pełnymi żaglami, ze światłami klującymi wodę. Padłszy na kolana, Ko zaczął rozpaczliwie szukać reflektora. Jerry odnalazł po omacku statyw, rozstawił trzy nogi, a Chińczyk pospiesznie umocowywał reflektor, ale ręce drżały mu niepohamowanie i potrzebował pomocy. Jerry chwycił przewody, zapalił zapałkę i podłączył końcówki do zacisków. Patrzyli w morze, stojąc ramię w ramię. Ko mignął reflektorem, raz, drugi, najpierw na czerwono, potem zielono.

— Czekaj — powiedział Jerry cicho. — Za wcześnie. Spokojnie, bo wszystko schrzanisiz.

Odsunawszy Chińczyka łagodnie na bok, nachylił się do okularu i obserwował sznur łodzi.

— Która? — zapytał.

— Ostatnia.

Skupiwszy się na ostatniej dźonce, choć wciąż była ledwie cieniem, Jerry ponownie zasygnalizował światłem, po kolei czerwonym i zielonym, i chwilę później usłyszał padający z ust Ko okrzyk radości, ponieważ w odpowiedzi na wodzie błysnął ogień.

— Poradzi sobie dalej? — zapytał Jerry.

— Pewnie — odparł Ko, wpatrzony w morze. — Pewnie, że sobie poradzi.

— To dajmy spokój, więcej nie trzeba migać.

Chińczyk obrócił się ku Jerry'emu. Ten ujrzał na jego twarzy podniecenie oraz wyczuł rodzącą się ufność.

— Panie Westerby, pragnę pana uczciwie uprzedzić, że jeśli oszukał pan mnie i mego brata, to chrześcijańskie piekło będzie ni czym w porównaniu z tym, co moi ludzie z panem robią. Ale jeśli mi pan pomoże, dam panu wszystko. Taką umowę proponuję, a ja nigdy w życiu nie złamałem słowa. Mój brat również zawarł pewne umowy. — Ko spojrział w kierunku morza.

Pierwsze dżonki zniknęły im z oczu, pozostało tylko kilka płynących w ogonie. Jerry'emu zdało się, że z oddali dobiegł go nierówny terkot silnika, ale wiedział, że ma przeczulone zmysły i że to najprawdopodobniej szum fal. Księżyc schował się za szczyt i niby czarne ostrze na morze padł cień góry, pozostawiając dal w blasku poświaty. Pochylony nad reflektorem Ko wydał kolejny okrzyk tryumfu.

— Niech pan spojrzy, niech pan spojrzy!

W okularze Jerry dostrzegł cień pojedynczej dżonki, mrocznej, oświetlonej nikle jedynie trzema lampami, dwiema zielonymi na maszcie i czerwoną na sterburcie. Posuwała się w ich stronę. Ze srebra wpłynęła w mrok i stracił ją z oczu. Za plecami usłyszał jęk Tiu. Drakę zupełnie nie zwrócił na to uwagi i dalej tkwił z okiem przy okularze, z jedną ręką wyrzuconą w bok niczym wiktoriański fotograf, wołając ściszym głosem po chińsku. Jerry podbiegł do Tiu, wyrwał mu zza pasa pistolet, podniósł M16 i podszedłszy nad samą wodę, rzucił jedną i drugą broń w fale. Ko gotował się, by powtórzyć sygnał, ale na szczęście nie mógł znaleźć przełącznika i Jerry zdążył go powstrzymać. Znow miał wrażenie, iż słyszy warkot, tym razem nie jednego silnika lecz dwóch. Popędził na kraniec cypla, spojrział z niepokojem na północ i na południe, spodziewając się łodzi patrolowej, ale nic nie dostrzegł i znow położył to na karb szumu morza i własnej umęczonej wyobraźni. Dżonka była coraz bliżej, sunąc ku wyspie;

sztynny żagiel zdał się nagle okropnie wysoki i wyraźnie widoczny na tle nieba. Ko podbiegł do linii wody. Machał rękoma i wołał.

— Ciszej! — syknął Jerry za jego plecami.

Ale on już się nie liczył. Całym życiem Drake'a Ko stał się Nelson. Z mroków cypla w kierunku bujającej się na falach dżonki wypłynął niepewnie odkotwiczony sampan. Księżyc wyszedł z ukrycia i Jerry na moment zapomniał o swych lękach, albowiem odziana na szaro postać, w kapoku i wydętej proletariackiej czapce, mała i krzepka, zupełne przeciwieństwo Drake'a, zeskoczyła z pokładu ku wyciągniętym rękoma załogi sampana. Drake wydał kolejny okrzyk, dżonka chwyciła wiatr w żagiel i umknęła za cypel, skąd ponad skalnym grzbieciem wystawało jedynie zielone światło zawieszzone na maszcie, ale i ono zaraz zniknęło. Sampan płynął do plaży i Jerry widział już krępawą sylwetkę Nelsona, który stał na dziobie i wymachiwał obiema rękoma. Na plaży Drake Ko tańczył jak szaleniec i również machał.

Jerry znów złowił warkot silników, znacznie wyraźniejszy, ale wciąż nic nie dostrzegał. Morze opustoszało, a kiedy zerknął w górę, ujrzał jedynie nawis skalny i czarny szczyt na tle gwiazd. Bracia spotkali się, padli sobie w ramiona i trwali bez ruchu, zamknięci w uścisku. Dopadł ich i okładając pięściami po plecach, ryknął z całych sił:

— Do łodzi! Z powrotem! Szybko!

Nie widzieli nikogo prócz siebie. Jerry podbiegł do wody i chwycił dziób sampana, by przytrzymać łódź, wołając bez przerwy, albowiem zobaczył, że niebo wokół wierzchołka robi się żółte, po czym szybko rozjaśnia jeszcze bardziej, tymczasem warkot przerodził się w dudnienie i trzy reflektory z ciemnych śmigłowców oblały ich oślepiającą jasnością. Skały zatańczyły do rytmu wirujących światel, morze wzburzyło się, a kamyki kozłowały i padały gradem dokoła. W ułamku sekundy Jerry dostrzegł, jak Drake obraca się ku niemu i patrzy błagalnie, jakby dopiero teraz, zbyt późno, uświadomił sobie, skąd otrzyma pomoc. Powiedział coś, ale hałas zagłuszył słowa. Jerry rzucił się do przodu. Nie ze względu na Nelsona, ani tym bardziej Drake'a, ale ze względu na to, co ich łączyło, oraz to, co łączyło jego z Lizzie. Zanim jednak dopadł Chińczyków, czarny rój spadł na dwóch braci, rozdzielił ich brutalnie i uniósł krępą postać do śmigłowca. Jerry wyszarpnął pistolet. Krzyczał, choć nie słyszał siebie w wojennej nawałnicy. Śmigłowiec unosił się. W otwartych drzwiach tkwiła jakaś postać spoglądająca w dół i być może był to Fawn, albowiem oczy patrzyły pośepnie i z wściekłością. Naraz rozbłysł pomarańczowy ogień, jeden, drugi, trzeci i dalej Jerry już nie liczył. W furii wyrzucił w górę ręce, z ustami otwartymi do krzyku, z twarzą w niemym wezwaniu o miłosierdzie. Następnie padł i leżał nieruchomo, aż

znów zaległa cisza, mącona jedynie chłupotem fal na piasku i beznadziejnym, dławiącym płaczem Drake'a Ko, pokonanego przez zwycięskie armady Zachodu, które uprowadziły mu brata i niewzruszone pozostawiły u jego stóp własnego nieżywego żołnierza.

Rozdział 22

NOWO NARODZONY

Z nadejściem radosnych wieści od „kuzynów” w Cyrku zapanował nastrój tryumfu. Nelson złowiony, Nelson w siłkach! I przy tym włos nie spadł mu z głowy! Przez dwa dni spekulowano na temat orderów, tytułów szlacheckich i awansów. Przynajmniej George musi coś dostać, to już na pewno! Niekoniecznie, rzuciła z kąta znająca życie Connie Sachs. Nigdy mu nie zapomną, że zdemaskował Billa Haydona.

Euforii towarzyszyły pewne kłopotliwe pogłoski. Na przykład: Connie i di Salis, czym prędzej przeprowadziwszy się do meliny w Maresfield, ochrzczonej teraz „Dolphinarium”, czekali cały tydzień na przybycie gości. Na próżno. Podobnie tłumacze, specjaliści od transkrypcji, inkwizytorzy, opiekunkowie i inni przedstawiciele stowarzyszonych rzemiosł, którzy stanowili komitet powitalny.

Mecz przełożony z powodu ulewy, donieśli administracyjni. Ustali się kolejną datę. Pozostawać w gotowości, dodali. Ale wkrótce dzięki przeciekowi z agencji nieruchomości z sąsiedniego miasta o nazwie Uckfield dowiedzieli się, że sekcja administracji usiłuje renegocjować warunki wynajmu młyna. No i oczywiście po kolejnym tygodniu zespół rozwiązano „z racji decyzji kadrowych”. I już nigdy go nie powołano.

Następnie doszły ich słuchy, że Enderby i Martello — mariaż, który jeszcze wtedy budził zdziwienie — przewodniczą anglo-ame-rykańskiej komisji. Miała ona obradować na zmianę w Waszyngtonie i Londynie i być odpowiedzialna za sprawiedliwy podział korzyści płynących ze sprawy Delfina, kryptonim „KAWIOR”, między dwa bratnie kraje po obu stronach Atlantyku.

Całkiem przypadkowo wydało się również, że Nelson jest w Stanach Zjednoczonych, w przygotowanym zawczasu, strzeżonym lokum w Filadelfii. Wyjaśnienie tego faktu nadeszło jeszcze później. Odczuwano — prawdopodobnie ktoś odczuwał, ale w instytucjach trudno zlokalizować właścicieli odczuć — że Nelson będzie bezpiecz-

niejszy na kontynencie amerykańskim. W sensie fizycznego bezpieczeństwa. No bo pomyślcie o Rosjanach. I o Chińczykach. Ponadto, dowodzili administracyjni, amerykańskie ekipy analityków bardziej odpowiadają skali tak bezprecedensowych korzyści, jakich się spodziewano. W dodatku „kuzynów” stać na poniesienie kosztów. Poza tym...

— Poza tym klimat tam zdrowszy i jedzenie smaczniejsze! — wybuchła Connie, gdy usłyszała powyższe.

Czekała z di Salisem w pośepnym nastroju na zaproszenie, by dołączyć do zespołu „kuzynów”. Schorowana, przygotowała sobie nawet zastrzyki na wypadek podróży, ale zaproszenie nie nadeszło.

Nadeszły wszakże kolejne wyjaśnienia. „Kuzyni” mają nowego człowieka z Harvardu, poinformowali administracyjni, kiedy Connie natarła na nich na swym wózku inwalidzkim.

— Kogo?! — zapytała w ataku furii.

Jakiegoś profesora, młodziaka, autorytet w sprawach Moskwy. Specjalizuje się w sekretach z życia moskiewskiej centrali i opublikował ostatnio w obiegu wewnętrznym pracę opartą na archiwach Langley, w której odnosi się do „zasady kreta”, a nawet, w zawoalowanej formie, do prywatnej armii Karli.

— Jasne, że to zrobił, poczwara jedna! — uniosła się, połykając łzy goryczy. — Bo zerznął to z moich cholernych raportów, może nie? Nazywa się Culpepper i tyle wie o Karli, co moje lewe ucho!

Administracyjnych jednak nie wzruszyła wzmianka o lewym uchu Connie. Albowiem to Culpepper, nie Sachs, cieszył się zaufaniem nowej komisji.

— Zaczekajcie, aż George wróci! — ostrzegła ich głucho. O dziwo, groźba nie wywarła wrażenia.

Di Salis nie miał się lepiej. „Żółtków” jest w Langley na pęczki, powiedziano mu. Nadpodaż na rynku, chłopie. Przykro nam, rzekli administracyjni, ale takie są rozkazy od Enderby'ego.

— Enderby'ego! — powtórzył jak echo di Salis.

No, całej komisji, odparli wykrętnie. To kolegialnie podjęta decyzja.

Zatem di Salis poszedł ze swoją sprawą do Lacon, który lubił myśleć o sobie jako o orędowniku nieszczęśników w podobnych sytuacjach, a Lacon z kolei poszedł z di Salisem na lunch, za który zapłacili po połowie z własnej kieszeni, albowiem Lacon nie pochwałał, kiedy urzędnicy państwowi raczyli się ucztami na koszt podatników.

— A tak przy okazji, jakie wy tam macie odczucia względem Enderby'ego? — zapytał w pewnej chwili, przerywając di Salisowi płacziwy monolog na temat obeznania z dialektami Czuczou i Hakka.

W owych dniach odczucia odgrywały istotną rolę. — Jakże on ma u was notowania? Sądziłbym, że podzielacie jego spojrzenie na wiele spraw. Ale czy nie jest aby trochę za „czyży”, jak myślicie?

W języku Whitehallu „czyży” oznaczał w owym czasie „jastrzębi”.

Pognawszy z powrotem do Cyrku, di Salis zadał to zdumiewające pytanie Connie Sachs — na co liczył oczywiście Lacon — i odtąd Connie widywano bardzo rzadko. Spędzała czas na cichym „pakowaniu kufereka”, jak to nazywała, co oznaczało, że przygotowuje dla potomności swe archiwum na temat moskiewskiej centrali. W Cyrku pracował pewien nowy „dłubacz”, którego sobie upodobała, lubieżny, ale uczynny młodzieniec nazwiskiem Doolittle. Posadziła go u swoich stóp i zaczęła nauczać mądrości.

— Stare odchodzi — ostrzegła każdego, kto chciał słuchać. — Ten matoł Enderby wprowadza po cichu nowy porządek kuchennymi drzwiami. Będzie pogrom.

Zrazu kwitowali jej słowa podobnymi drwinami, które musiał znosić Noe, gdy rozpoczął budowanie arki. Wciąż jednak obeznana w fachu, Connie wzięła na stronę Molly Meakin i namówiła ją do napisania podania o zwolnienie z pracy.

— Powiedz administracyjnym, kochanieńka, że szukasz czegoś bardziej satysfakcjonującego — poradziła, puszczając oko i szczypiąc ją porozumiewawczo. — W najgorszym razie dadzą ci podwyżkę.

Molly miała obawy, że administracja pójdzie jej na rękę, ale Connie знаła życie od podszewki. Dziewczyna napisała zatem podanie i od razu otrzymała polecenie, by zostać po godzinach. Szykują się zmiany, powiedzieli jej administarcyjni w zaufaniu. Jest parcie, by odmłodzić i ożywić służbę, powiązać ją bliżej z Whitehallem. Molly uroczyście obiecała rozważyć swą decyzję, Connie zaś — już z determinacją — dalej „pakowała kuferek”.

A gdzie przez ten cały czas był George Smiley? Na Dalekim Wchodzie? Nie. W Waszyngtonie? Nonsens! Z powrotem w ojczyźnie! Zaszył się na wsi — Kornwalia zajmowała poczesne miejsce w jego sercu — zażywając dobrze zasłużonego odpoczynku i paląc fajkę pokoju z Ann!

Następnie ktoś z administracyjnych zdradził, że George'owi być może „kapkę doskwiera przemęczenie” i od tego określenia powiało grozą, albowiem nawet najgłupszy małpolud w sekcji bankowości wiedział, że przemęczenie, podobnie jak podeszły wiek, jest chorobą, na którą istnieje tylko jedno lekarstwo i bynajmniej nie przynosi ono ozdrowienia.

Wreszcie powrócił Guillam, ale tylko po to, by porwać Molly na urlop. Nie chciał powiedzieć słowa. Ci, którzy widzieli go podczas jego szybkiego przemarszu piątym piętrem, mówili, że wyglądał

na skonanego i spragnionego odpoczynku. I coś mu się chyba stało w obojczyk, albowiem prawy bark miał obwiązany. Od administracyjnych dowiedziano się, że spędził kilka dni pod opieką Cyrkowego konowała w jego prywatnej klinice na Manchester Square. Nadal jednak nie było Smileya, administracyjni zaś okazywali jedynie niewzru-szoność, ilekroć zapytywano o jego powrót. W owych dniach stali się Izbą Gwiazd*, lękano się ich, ale i potrzebowano. Dyskretnie usunięto portret Karli; dowcipnisie twierdzili, że po to, by go wyczyścić.

Osobliwe i na swój sposób okropne, że nikomu nie przyszło do głowy, by zajść na Bywater Street i zadzwonić do drzwi pewnego małego domu. Gdyby komuś przyszło, zastałby tam Smileya, najpewniej w bonzurce, poleruj ącego zastawę albo przyrządzaj ącego potrawy, których nie jadał. Czasem, zwykle o zmierzchu, wybierał się na samotny spacer po parku i zerkał na mijanych ludzi, jakby kogoś mu przypominali, więc i oni spoglądali na niego, po czym spuszcza li wzrok. Albo udawał się na King's Road i siadał w jednej z tańszych kawiarenek, wzięwszy z domu książkę dla towarzystwa i zamówiwszy słodką herbatę dla pokrzepienia, porzucił bowiem swój szczytny zamiar wytrwania przy sacharynie ze względu na nadwagę. Ktoś, kto zjawiłby się na Bywater Street, zauważyłby, że Smiley częstokroć przygląda się swoim dłoniom, przeciera okulary krawatem albo setny raz czyta list od Ann, bardzo długi, ale tylko z powodu licznych powtórzeń.

Odwiedzał go Lacon, odwiedzał Enderby, a raz przyszedł z nimi Martello, na powrót we wcieleniu londyńczyka, i wszyscy czterej orzekli zgodnie, żaden z większą szczerością niż Smiley, że w interesie samej służby leży, by jej przejęcie nastąpiło tak gładko i bezboleśnie, jak to możliwe. Smiley wyraził kilka życzeń dotyczących personelu, które dokładnie zapisał Lacon, zaznaczając przy okazji, że skąpy dotąd Skarb patrzy obecnie na Cyrk znacznie łaskawszym okiem, tymczasem inne instytucje nie mają tyle szczęścia. Przynajmniej w świecie tajnych służb funt brytyjski szedł w górę. Lacon powiedział, że nie tylko sukces w sprawie Delfina spowodował tę odmianę uczuć. Co jeszcze? No cóż, entuzjazm Amerykanów z racji mianowania Enderby'ego na stanowisko był przytłaczający. Odczuwało się to nawet na najwyższych szczeblach. „Spontaniczny poklask”, oto jak Lacon to określił.

— Saul naprawdę wie, jak z nimi gadać — rzekł.

— Ach tak? To dobrze. Bardzo dobrze — odparł Smiley i podrzucił głową w wyrazie aprobaty, jak czynią głusi.

* Angielski sąd powstały w średniowieczu, początkowo złożony z członków rady królewskiej, nazwany tak od miana komnaty w pałacu Westminster, w której obradował. Był symbolem surowego prawa (przy p. tłum.).

Nawet gdy Enderby zwierzył się, że zaproponował Sama Collinsa na szefa operacyjnego, Smiley nie okazał nic prócz kurtuazji. Sam to dynamo, wyjaśnił Enderby, a w Langley właśnie takich teraz cenią. Jedwabne koszule poszły w odstawkę, stwierdził.

— Bez wątpienia — powiedział Smiley.

Zgodzili się, że Roddy Martindale, choć niedościgniony z niego wesolek, nie nadaje się do tej pracy. Roddy jest naprawdę zbyt kobiecy, zawyrokował Enderby, i minister truchleje na jego widok. Również z Amerykanami zbyt gładko mu się nie układa, nawet z tymi, którzy mają podobne upodobania. Ponadto Enderby chciał przykręcić nieco nabór absolwentów Eton, bo to robi złe wrażenie.

Tydzień później administracyjni otworzyli dawny pokój Collinsa na piątym piętrze i wynieśli stare meble. Cień Sama zniknął na dobre, zacierali dłonie mało zorientowani. Już w poniedziałek przybyło ozdobne biurko o skórzanym blacie i kilka fałszywych drzeworytów ze scenkami polowania zdjętych ze ściany w klubie Collinsa, który to klub został przejęty przez jeden z większych syndykatów gier hazardowych ku zadowoleniu obu zainteresowanych stron.

Drobnego Fawna więcej nie widziano. Nawet wtedy, gdy przywrócono do życia kilka londyńskich placówek Cyrku, włącznie z łowcami skalpów w Brixton, do których niegdyś należał, i „lampiarzy” w Acton pod Tonym Esterhase'em. Lecz za nim również nie tęskniono. Na podobieństwo Collinsa prześlizgnął się przez całą historię bez przynależenia do niej. Natomiast w przeciwieństwie do Sama, gdy dobiegła końca, nie pojawił się więcej na scenie.

Collinsowi zaś, i to pierwszego dnia na posterunku, przypadło w udziale oznajmienie smutnej nowiny o śmierci Jerry'ego. Uczynił to w bawialni, w formie krótkiej beznamiennej mowy i wszyscy uznali zgodnie, że dobrze mu poszło. Nie podejrzewali go o takie zdolności.

— Tylko dla uszu piątego piętra — powiedział. Zebranych najpierw ogarnęła groza, potem duma. Connie rozplakała się i usiło wała przedstawić Jerry'ego jako kolejną ofiarę Karli, ale uciszono ją, albowiem chciano się dowiedzieć, kto czy co go zabiło. Stało się to w wyniku operacji, poszły sluchy, i ze szlachetnych pobudek.

W Hongkongu natomiast, a konkretniej w Klubie Zagranicznych Korespondentów, z początku wykazano wiele troski o los dwojga zaginionych dzieci: Lukę'a i Westerby'ego. Dzięki silnym naciskom członków rozpoczęto dyskretne, acz zakrojone na dużą skalę śledztwo pod przewodnictwem czujnego inspektora Rockhursta, aby rozwiązać zagadkę podwójnego zniknięcia. Władze obiecały podanie do publicznej wiadomości wszelkich ustaleń, natomiast konsul generalny

Stanów Zjednoczonych zaferował pięć tysięcy dolarów z własnej kieszeni dla każdego, kto udzieli konkretnych informacji. W geście szacunku dla uczuć miejscowych obywateli, w swej ofercie zamieścił również nazwisko Jerry'ego Westerby'ego. Obaj dziennikarze stali się znani pod nazwą „Para Zaginionych” i wkrótce poczęły się szerzyć niepohamowanie pogłoski o haniebnym związku między nimi. Redakcja Luke'a również wysupłała pięć tysięcy i karzeł, choć był niepokieszony, podjął duży zakład, że zgarnie obie pule. W końcu to on, pracując na obu frontach jednocześnie, dowiedział się od Smiercio-luba, że mieszkanie na Cloudview Road, z którego Lukę do niedawna korzystał, odremontowano od podłogi aż po sufit, zanim bystroocy śledczy Rockera pojawili się, by zajrzeć do środka. Kto to zlecił? Kto zapłacił? Nikt nie wiedział. Karzeł zebrał również zeznania z pierwszej ręki, że Jerry'ego widziano na lotnisku Kai Tak, jak przeprowadzał wywiady z japońskimi turystami. Ale grupa śledcza Rockera zmuszona była je odrzucić. Japończycy, o których mowa, byli wprawdzie „świadkami chętnymi do współpracy, ale mało wiarygodnymi, gdy chodzi o zidentyfikowanie okrągłookiego, którego widzieli przelotnie po długiej podróży”. Cóż się tyczy Luke'a, no cóż, powiedzieli, tak się ostatnio prowadził, że i tak czekał go wkrótce tragiczny koniec. Dobrze poinformowani przebąkaliwali o pierwszych objawach amnezji, spowodowanej alkoholem i życiem na gorąco. Z czasem nawet najbardziej sensacyjne opowieści przycichły. Pojawiły się natomiast pogłoski, że widziano obu dziennikarzy na szlaku podczas upadku Hue — czy Danangu? — oraz jak pili razem w Sajgonie. Ktoś inny napotkał ich siedzących na nabrzeżu w Manili.

— Trzymali się za ręce? — zapytał karzeł.

— Gorzej — padła odpowiedź.

Nazwisko Rockera również stało się powszechnie znane, głównie dzięki spektakularnemu procesowi o handel narkotykami, do którego doprowadził wspólnie z amerykańskim Urzędem do Zwalczenia Narkotyków. Na ławie oskarżonych zasiadło kilku Chińczyków oraz zachwycająca poszukiwaczka przygód z Anglii, dostawczyni heroiny, i choć jak zwykle Ten Najważniejszy nie stanął przed obliczem sprawiedliwości, mówiono, że Rockerowi zabrakło deczko szczęścia, by go przygwoździć. „Nasz twardy, ale uczciwy stróż prawa”, napisał „South China Morning Post” w komentarzu redakcyjnym na cześć przebiegłego inspektora. „Hongkongowi przydałoby się więcej takich”.

W poszukiwaniu innej rozrywki członkowie Klubu Korespondentów mogli się skupić na barwnym otwarciu High Haven, otoczonego wysokim na dwadzieścia stóp ogrodzeniem z drutu, patrolowanego przez psy obronne. Ale nie zapraszano już tam na darmowe lunche, więc żarty szybko ustały.

Jeśli chodzi o starego Crawa, przez całe miesiące ani go nie widziano, ani o nim nie rozmawiano. Aż pewnego wieczora pojawił się, bardzo postarzały, ubrany bez ekstrawagancji. Usiadł w swoim kącie i zapatrzył przed siebie. Wciąż ostało się kilku, którzy go pamiętali. Kowboj z Kanady zaproponował partyjkę kręgli, ale Crawl odmówił. I wtedy stało się coś dziwnego. Doszło do sprzeczki na temat nieistotnego punktu klubowego protokołu. Zupełna drobnostka: poszło o to, czy tradycyjne wypisywanie bonów do kasy wciąż przydaje lokalowi kolorytu. Nic poważniejszego. Ale z jakiegoś powodu stary Crawl dostał szału. Zerwał się na równe nogi. Łzy ciekły mu po policzkach, kiedy maszerował do windy, obrzucając zebranych wyzwiskami.

— Żeby mi tu nic nie zmieniać! — przykazał, z furią machając laską. — Stary porządek nie odchodzi, lecz trwa na wieki. Nie zmienicie go ani razem, ani osobno, wy zasmarkane, wazeliniarskie żółtodzioby! Tylko spróbujcie, a jesteście martwe cycki!

Starość nie radość, uznali zgodnie, gdy drzwi się za nim zamknęły. Biedaczyna. Żenująca.

Czy rzeczywiście istniał spisek przeciwko Smileyowi, i to na taką skalę, jak podejrzewał Guillam? A jeśli tak, jaki wpływ miały na to wybryki Westerby'ego? Nie ma żadnych informacji na ten temat i nawet ci, którzy ufają sobie nawzajem, nie są skłonni dyskutować nad odpowiedziami na te pytania. Z pewnością było ciche porozumienie między Enderbym a Martellem, zgodnie z którym „kuzyni” mieli pierwsi rozpracować Nelsona — jak również pierwsi okryć się chwałą za udział w jego schwytaniu — w zamian za zwycięstwo Enderby'ego w walce o Cyrk. Z pewnością Lacon i Collins, w swych dwóch odległych od siebie sferach działania, również byli w to zaangażowani. Ale kiedy dokładnie ci ludzie postanowili schwytać Nelsona dla siebie i jakim sposobem zdobyć na to przyzwolenie — być może tradycyjnym, a więc skoordynowanymi zabiegami na szczeblach ministerialnych w Londynie — prawdopodobnie nigdy nie będzie wiadome. Nie ma jednak wątpliwości, że — jak się okazało — Westerby był w istocie wodą na ich młyn. Dał im pretekst, którego szukali.

Czy Smiley wiedział o tym spisku? W głębi serca? Czy zdawał sobie sprawę z jego istnienia i czy możliwe, że w skrytości ducha powitał jego owoce z radością? Peter Guillam, który spędził potem trzy lata na wygnaniu w Brixton i miał dość czasu na przemyślenie sprawy, upiera się, że odpowiedź na powyższe pytania brzmi stanowczo: „Tak”. Utrzymuje, że jest list, który George napisał do

Ann w gorączkowych godzinach kryzysu, prawdopodobnie podczas jednego z długich okresów wyczekiwania w konsulacie amerykańskim w Hongkongu. Na tym liście Guillam opiera ufnie swe twierdzenia. Ann dała mu go do przeczytania, kiedy odwiedził ją w Wilt-shire w płońskiej nadziei doprowadzenia do pojednania między małżonkami. Guillam przekonuje, że zapamiętał fragment i zapisał go natychmiast po powrocie do samochodu. Bez wątpienia styl poniższego ustępu jest o wiele bardziej górnolotny niż wszystko, co mógłby sobie przypisać.

Szczerze się zastanawiam, bez chorobliwej autorefleksji, jak to się stało, że stoję przed takim dylematem. O ile dobrze pamiętam mą młodość, wybrałem drogę przez tajne służby, albowiem zdawała się najprostsza i najbliższa celowi, który przyświeca mojej ojczyźnie. W tamtych dniach wrogiem był ktoś, kogo mogliśmy wskazać i o kim mogliśmy przeczytać w gazetach. Dziś wiem jedynie tyle, że nauczyłem się interpretować cały świat w kategoriach spisku. Tym mieczem sam wojowałem i kiedy teraz spoglądam dokoła siebie, widzę, że od tego miecza zginę. Ludzie, których mam obok, przerażają mnie, ale przecież jestem jednym z nich. jeśli zadadzą mi cios w plecy, to przynajmniej będzie to osąd równych mi rangą.

Jak zaznaczył Guillam, list pochodzi z okresu „ciemnej tonacji” w życiu Smileya.

Obecnie, jak twierdzi, George znacznie bardziej przypomina siebie. Od czasu do czasu zjada lunch z Ann i Guillam, jest przekonany, że pewnego dnia dojdzie między nimi do zgody i na tym się skończy. George jednak nigdy nie wspomina o Westerbym. Guillam też nie, właśnie ze względu na George'a.

SPIS TREŚCI

Część I Nakręcanie zegara

Jak to Cyrk opuszczał miasto	9
Wezwanie	29
Koń George'a Smileya	42
Zamek budzi się do życia	62
Przechadzka po parku	87
Szantażowanie Frosta	104
Jeszcze o koniach	126
Narada baronów	151
Stateczek Crawa	173
Herbatka i współczucie	190
Podróż do Szanghaju	211
Zmartwychwstanie Ricarda	234

Część II Potrząsanie drzewem

Liese	257
Dzień ósmy	277
W oblężonym mieście	296
Przyjaciele Charlie'ego Marshalla	325
Ricardo	355
Na zakręcie	392
Po Toi	409
Kochanek Liese	428
Nelson	447
Nowo narodzony	474